

MISTRZOWIE  LITERATURY

ANTONIO MUÑOZ
MOLINA



JEŹDZIEC
POLSKI



ANTONIO MUÑOZ
MOLINA

JEŹDZIEC
POLSKI

Przełożył
Wojciech Charchalis



DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań 2003

*Dla Antonii Moliny Expósito
i Francisca Muñoz Valenzuela*

*Dla Leonor Expósito Mediny,
in memoriam*

I

Królestwo głośów

ZANIM SIĘ SPOSTRZEGLI, zapadł zmrok w pokoju, z którego nie wychodzili przez wiele godzin, gdzie się kochali i rozmawiali coraz ciszej, jakby półmrok, a później ciemność, na którą nie zwracali uwagi, przytłumiały ich głosy, ale nie namiętność słów, w miarę przygasania początkowego żaru, z jakim zaspokajali i zarazem podsycali swe pożądanie, gdy w śniegu i chłodzie wracali pieszo z irlandzkiej tawerny, w której jedli obiad, a jej bosa stopa zręcznie i bezwstydnie szukała go pod stołem przykrytym krótkim obrusem, potem niemal napastowanie w windzie, przed drzwiami, w korytarzu, w łazience, ubranie zerwane w szale niecierpliwości, gryzione usta, podczas gdy ich oddechy stawały się coraz szybsze w ciepłe pokoju późnym popołudniem, w świetle przenikającym przez szpary żaluzji, pozwalające dojrzeć szpaler drzew o nagich gałęziach po drugiej stronie ulicy, której nazwy nie potrafiła mu podać, i rząd domów z czerwonej cegły z kamiennymi nadprożami, ze złotymi kołatkami i błyszczącymi drzwiami pomalowanymi na czarno, dającymi mu kojące złudzenie, iż znajduje się w Londynie lub w jakimkolwiek innym anglosaskim, cichym mieście, pomimo hałasu samochodów dobiegającego z alej, policyjnych i strażackich syren, ciężkiego szumu okalającego ciszę, w której oboje oddychali, tak samo jak napawające strachem i nieograniczone miasto otaczało niewielką przestrzeń mieszkania (niczym bezpieczny przedział w okręcie podwodnym), w którym się spotkali, choć wydawało im się to niemal niemożliwe, pośród tylu milionów mężczyzn i kobiet, twarzy, imion, języków, rozmów telefonicznych.

Przeżywali swego rodzaju cud, którego nie poszukiwali ani nie oczekiwali, nie znani sobie jeszcze kilka dni wcześniej, teraz rozpoznawali się w spojrzeniach, głosach, ciałach, złączeni nie tylko spokojnym i rozpalonym do białości miłosnym obyczajem, ale też głosami i świadectwem świata, wdzierającego się w nich z przeszłości z takim impetem, z jakim życiodajne soki powracają wiosną do pozornie obumarłej i uschłej gałęzi, postacią jeźdźca gnającego w nocnym pejzażu, źrenicami zamurowanej kobiety utkwionymi w ciemność i pustkę, mumii nie tkniętej rozkładem przez siedemdziesiąt lat, kufrem z fotografiami Ramira Portrecisty i protestancką Biblią, spisaną w niezrozumiałym hiszpańskim z XVI wieku, po której stronach przebiegały teraz jego dłonie, jak kiedyś robiły to przez ponad sto lat dłonie nieżyjących już, zagubionych w dali i czasie, pogrzebanych po drugiej stronie morza, w mieście, którego nazwa wypowiedana w tym mieszkaniu zdawała im się brzmieć tak dziwnie, jakby ono w ogóle nie istniało, Mágina, jej samogłoski okrągłe jak słońce w południe, twarde spółgłoski ostre jak kamienne bloki na narożnikach pałaców w kolorze piasku, żółte w porannym słońcu, miedziane pod wieczór, niemal szare w deszczowe dni tamtej zimy jego młodości, którą dzielili, aż do końca o tym nie wiedząc, ona na wpół cudzoziemka, o rudawych włosach, niedawno przybyła z Ameryki, on smagły i milczący, pragnący wyjechać z Maginy dokądkolwiek, wyobrażający sobie, iż przeznaczenie i kobieta jego życia czekają na niego w mieście, do którego być może nigdy nie pojedzie; ona urodziła się na przedmieściu o domach z czerwonej cegły albo z drewna pomalowanego na białe, dokąd czasem zapuszczały się mewy, wilgotny wiatr znad zatoki i zapach nabrzeża i mułu, i została wykształcona w języku angielskim z irlandzkim akcentem i w klarownym hiszpańskim, jakim mówiono w Madrycie przed wojną i który został jej przekazany przez ojca tak bezwiednie, jak zawzięte i uważne spojrzenie; on przyszedł na świat pewnej burzowej, zimowej nocy i przy świetle

świeczki, wychował się pośród ogrodów i gajów oliwnych Maginy, przeznaczony do porzucenia szkoły w wieku czternastu albo piętnastu lat i do rozpoczęcia pracy na roli u boku ojca i dziadków, a w odpowiednim czasie miał znaleźć sobie narzeczoną, bez wątpienia znaną od urodzenia, i zaprowadzić ją w białej sukni do ołtarza po nużącym siedmio- albo ośmioletnim narzeczeństwie, nieokrzesany, gniewny, milczący, buntowniczy, spisujący w zeszytach dzienniki straszliwej niedoli i nienawidzący miasta, w którym mieszkał, i jedyne go stylu życia, jaki dane mu było poznać, i jedyne, jakiego miał prawo oczekiwać, choć teksty piosenek, książki i filmy mamały go innym życiem; wyszukiwał w radiu zagranicznych stacji i piosenek, wyobrażając sobie, że odchodzi z torbą na ramieniu i że droga prowadząca do Madrytu wydłuża się w nieskończoność ku północy, do miejsc, w których później żyje, obojętne, w jaki sposób, i zmienia nazwisko, i mówi tylko po angielsku, i zapuszcza włosy aż do ramion, jak któryś z jego idoli: Edgar Allan Poe, Jim Morrison, Eric Burdon, tak rozpaczliwie pragnął wyjechać i nigdy więcej nie wrócić, że nie interesowało go, iż już nigdy w życiu nie zobaczy przyjaciół ani tej dziewczyny, w której był w owym czasie zakochany, miłością mającą więcej z tchórzostwa i literatury niż z entuzjazmu i pożądania, tak górnolotną, bolesną i śmieszoną jak jego własne życie i marzenia o ucieczce, i wiersze, i zwierzenia, zapisywane w zeszytach podczas nudnych godzin w szkole, gdzie uczył literatury przysłany tu za karę nauczyciel z Madrytu, szybko przezwany Praxisem przez najbardziej złośliwego z uczniów, przyszłego porucznika Guardia Civil, który już wtedy popalał maryskę, marzył o pokryciu ramion legionowymi tatużami, a nazywał się Patricio Pavón Pacheco. Nie znając się, mijali się na ulicach Maginy, tak sobie obcy, jakby żyli oddaleni od siebie o kilka wieków, przepelnieni na wskroś głosami starszych, spadkobiercy męstwa stłumionego na długo przed ich narodzeniem i bezwiednie ukształtowani pamiętnymi albo okrutnymi wydarzeniami, o których nic nie wiedzieli, mimowolni dziedzice samotności, cierpienia i miłości tych, którzy ich spłodzili.

Wsparł się na łokciu, aby sięgnąć po papierosy leżące na szafce, i zdał sobie sprawę, jak jest późno, dopiero wtedy, kiedy spojrzął na budzik i odruchowo przeliczył, która godzina jest w Maginie. Pewnie już weszło słońce, ojciec przyszedł na rynek i układa wilgotne i lśniące warzywa na marmurowym kontuarze, i być może raz na jakiś czas zadaje sobie pytanie, gdzie może się znajdować jego syn, do którego z tych miast, do jakich chciał uciec w młodości, zaniósł go włóczęgowski zawód tłumacza. Spojrzął na telefon i poczuł wyrzuty sumienia na myśl o tym, jak wiele czasu minęło od chwili, kiedy po raz ostatni rozmawiał z rodzicami, zapalił papierosa i włożył go w usta Nadii, przez chwilę pieścił jej twarz i włosy, nie chciał jeszcze zapalać światła, choć nastąpiła już północ, nie czuł upływu czasu ani nie spieszył się, żeby zrobić cokolwiek albo żeby dokądś iść. Dlaczego wówczas się nie spotkaliśmy, odezwał się, pochylając się nad nią w ciemności, nie przed kilkoma miesiącami, ale osiemnaście lat temu, dlaczego zabrakło nam odwagi, rozumu, ironii i przebiegłości, albo przynajmniej dlaczego mnie tego zabrakło, jaka mgła zasnuła mi oczy, że nie potrafiłem cię zauważyć, kiedy stałaś przede mną, o pół życia młodsza, choć nie mniej pożądana niż teraz, dokładnie taka sama; chcąc ją sobie przypomnieć, wyobraził ją sobie, jej irlandzką twarz i hiszpańskie oczy, kasztanowe włosy błyszczące rudo w promieniach słońca, swobodny i niedbały sposób chodzenia, nie tylko wtedy, kiedy nosiła tenisówki i dzinsy, ale też teraz, kiedy wkłada krótkie obcisłe sukienki i buty na obcasie, żeby na nią patrzył i jej pożądał, wyciągając po nią rękę w zamkniętej przestrzeni pokoju, bo zamarzałaby, gdyby tak ubrana wyszła na ulicę, żółta sukienka dotykająca jej skóry, delikatny zapach mydła, perfum i kobiecego ciała, jednak po upływie kilku dni pachniała także nim, jego śliną i nasieniem, zapachy tak pomieszane jak wspomnienia i tożsamości, jak ich głosy w półmroku wymieniające i smakujące czas bez rozkładów i dat: poranki, wieczory, noce, podczas których bezbarwne, a później niebieskie światło brało w posiadanie pokój, gdy przypatrywał się jej śpiącej, dobierając w różnych

językach słowa, by ją nazwać, i jednocześnie wybierając pieszczoty, które stopniowo poprowadzą ją do przebudzenia, spokojnie nie pragnął jej posiadać – bo nigdy nie potrafił ani nie chciał posiadać tego, co było dla niego najważniejsze – pragnął uwielbiać ją, troszczyć się o nią, wymazać przyływem swej ciepłości i gorliwej czułości wszystkie nieszczęścia jej życia i przywołać ten lekki uśmiech, skrzący się w jej oczach i igrający na ustach, gdy przepełniała ją szczęście spełnionej miłości, patrzeć na nią śpiącą w jego ramionach i odsuwać się od niej ostrożnie, aby jej nie obudzić, i pójść do kuchni, żeby przygotować dla niej kawę, sok pomarańczowy, tosty i jajecznicę, z taką naturalnością, jakby od zawsze mieszkali razem w tym mieszkaniu, które ona jeszcze kilka miesięcy wcześniej dzieliła z innym, z byłym mężem, którego zdjęcia znikły z domu – poszukiwał ich w przyływach zazdrości, dręczony myślami o mężczyznach, z którymi była wcześniej, jak gdyby była mu niewierna, zanim jeszcze się poznali – i z synem o blond włosach, śmiejącym się do niego, był zazdrosny także o tego chłopca, bo czuł się intruzem, patrząc na jego zdjęcia na nocnym stoliku, na półce z książkami, obok maszyny do pisania, gdzie pracowała, stało się to bardziej dojmujące, kiedy z pewną obawą i trochę nieśmiało zaglądał do jego pustego pokoju i patrzył na łóżko z kolorową pościelą i na zabawki równo ułożone na półkach, na superbohaterów z komiksów i statki, i kierowców, i karuzele z blachy, które dostała od swego ojca i przekazała synowi z uczuciem przytłaczającej nostalgii, jaka nie była jemu dana, bo nie miał dzieci i nigdy nie rozważał takiej możliwości, i dopiero teraz, kiedy zakochał się w kobiecie, która urodziła dziecko, rozumiał albo mógł sobie wyobrazić dumę z rozpoznania siebie w czymś istnieniu. Jakie to dziwne, myślał, że ktoś urodził się z niej i może jej potrzebować bardziej niż ja. Pozwolił jej spać, odgarnął wilgotne włosy z jej twarzy, aby pocałować usta, policzki, skronie, do końca opuścił żaluzje w pokoju i zaciągnął zasłony, aby nie obudziło jej światło zimowego poranka, i stało się tak, jakby na obrazie jeźdźca zawieszonym naprzeciw łóżka również ponownie zapadła noc i ożywił się ogień, który ktoś zapalił nad brzegiem rzeki i przy którym Tatarzy zbuntowani przeciwko carowi rozgrzewali do czerwoności głownie szabli mającej osłepić Michała Strogowa.

Kim jest, zapytał siebie po raz kolejny, dokąd zmierza, od kiedy, przez ile lat i w ilu miejscach spoglądał major Galaz na tę ciemną reprodukcję jeźdźca w tatarskiej czapce, z sajdakiem i łukiem przytroczonym do siodła, z prawą ręką w geście próżności wspartą na biodrze, podczas gdy lewą przytrzymał wodze, patrząc nie na drogę, ledwie dostrzegając w nocnym mroku, lecz w dal, daleko ponad widzem, jakby nakłaniając go do przeniknięcia swej tajemnicy i odgadnięcia imienia. Podniósł z ziemi jedwabny szlafrok, który wkładała, wychodząc z kąpieli, i który później ześlizgiwał się po jej świeżej i pachnącej skórze jak strużki wody, wtulił się weń i sycił jej zapachem, aż jego oddech skroplił się na materiale, zaparzył dla siebie kawę, spojrzął na kuchenny zegar niedokładnie wskazujący godzinę, bo nie chciało jej się zwracać głowy przestawianiem wskazówek, kiedy gazety i władze ogłosiły zmianę czasu, wrócił do salonu z filiżanką w ręku, nastawił bardzo cicho płytę Bola de Neve, której słuchali poprzedniej nocy; ponownie na nią popatrzył, stojąc bez ruchu w progu sypialni, nucąc pod nosem słowa bolera, z pełną napięcia czułością, która ożywiła jego pożądanie i sprawiała, że ugiwały się pod nim kolana, jakby miał szesnaście lat i po raz pierwszy widział nagą kobietę śpiącą z rozchyłonymi nogami, z kołdrą wciśniętą pomiędzy uda, częściowo przysłaniającą gęsty i ciemny puszek ogolony dokładnie na granicy pachwin, wdzięczny za bezkarność, z jaką może ją podziwiać, łapczywie zatapiać w niej, żeby się obudziła, język albo palce, bluźnierczy i nabożny, Dog, Soid, Brausen, Elohim, myślał, *przyrównywan cię, o przyjaciółko moja! jeździe w wozach Faraonowych*¹, powtarzał po

¹ Wszystkie cytaty z Biblii według „Biblia to jest całe Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu z hebrajskiego i greckiego języka na polski pilnie i wiernie przetłumaczona”, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1976.

cichu jej imię, Nadia, Nadia Allison, Nadia Galaz, za każdym razem z akcentem z innych języków, dzięki którym zarabiał na życie, a potem, spuszczać oczy, spojrzeć z ironią i dumą, a nawet próżnością, na bezpośrednią i zuchwałą konsekwencję kontemplacji tego widoku, *wprowadził mnie w dom wina, mając za chorągiew miłość przeciwko mnie*, czytał w Biblii należącej do don Mercuria i aby nie ulec znowu pokusie obudzenia jej, włożył spodnie i wrócił do kufra Ramira Portrecisty i do zbioru wszystkich zdjęć, które ten zrobił w Maginie w ciągu czterdziestu lat, porzucanych po ziemi, po poduszkach kanapy, niektóre stały oparte o grzbiety książek na półce obok kolorowych zdjęć syna Nadii. Przyszedł mu na myśl inny, zawsze zamknięty kufer stojący na poddaszu domu rodziców, w którym schował się kiedyś, gdy miał siedem czy osiem lat, a także kufry zrzuceniem opatrności odnajdywane przez powieściowych rozbitków na plażach bezludnych wysp; nie postrzegał poszczególnych zdarzeń ani przedmiotów, niepowtarzalnych wrażeń, bezdźwięcznych słów, osamotnionych miejsc; wokoło, w świadomości, w spojrzeniu, nawet na powierzchni skóry, wszystkie rzeczy promieniowały więzią przestrzeni i czasu, wszystko składało się na nigdy nie przerwany porządek pomiędzy przeszłością i teraźniejszością, pomiędzy Maginą i wszystkimi miastami świata, w których był albo marzył, że się do nich wybiera, pomiędzy nim samym i Nadią, i tymi czarno-białymi twarzami z fotografii, w których można było odnaleźć i którym można było przyporządkować nie tylko zdarzenia, ale też najstarsze korzenie ich życia. Z zaskoczeniem ponownie zobaczył siebie, gdy miał trzy lata, siedzącego na kartonowym koniu na jarmarku w Maginie, w kordobańskim kapeluszu, w prążkowanej koszuli, w krótkich spodenkach, białych skarpetkach i lakierkach, i wydało mu się oszustwem to, że jest tutaj, w innym świecie, tak daleko, gdzie odzyskał to utracone i przez tyle lat zapomniane zdjęcie. Zobaczył rodziców w dniu ślubu, zobaczył pradziadka Pedra siedzącego na schodkach domu, zobaczył inspektora Florencia Péreza w gabinecie na placu generała Orduñi i zniedołężniałego lekarza Mercuria pochylającego głowę nad wielkimi stronicami Biblii, ponownie zobaczył twarz kobiety zamurowanej w Casa de las Torres i jej oczy oślepięte ciemnością i śmiercią, zobaczył dziadka Manuela w mundurze Gwardii Szturmowej i pomyślał, że już nadszedł czas, by pomyśleć o powrocie do Maginy, teraz, kiedy miasto już nie mogło go zranić ani uwięzić, o powrocie z Nadią, by pokazać jej miejsca, których ona prawie nie pamiętała, spacerować, obejmując ją, pod arkadami na placu generała Orduñi, po ulicy Nowej, po pasażu Świętej Marii, po brukowanych ulicach prowadzących do placu Świętego Wawrzyńca i do Casa de las Torres, szepcząc jej na ucho, muskając włosy ustami, przygarniając ją z uczuciem i pewnością, że do niego należy, na co nie potrafił się zdobyć, gdy miał szesnaście lat. Przypomnił sobie dźwięk kołatki w domu swych rodziców i dopiero wtedy dokładnie zdał sobie sprawę, jak ogromna przepaść dzieli go od miasta, w którym się urodził: drapacze chmur, stalowe mosty, przemysłowe pejzaże, lotniska, oceany, nocne kontynenty, gdzie rzeki błyszczały w księżycowej poświacie, a miasta zdawały się lodowymi gwiazdkami, dni i miesiące podróży poprzez plamy czystych kolorów na mapach świata, w które wpatrywał się jako dziecko, jakby pochylając się nad skrajem urwiska, z którego mógł objąć wzrokiem całą ziemię. Nie spieszył się, nie czuł też przygnębienia ani strachu, jak to się często zdarzało, jak niemal zawsze w życiu, ani niczym nie uzasadnionych wyrzutów sumienia, które dręczyły go od czasu, gdy nauczył się posługiwać rozumem, i sprawiały, że zawsze żył w obawie przed karą spadającą na niego w postaci przypadkowego nieszczęścia; spał bardzo krótko i czuł w członkach zmęczenie, ale bez ociężałości, przyływ ospałości, skłaniający go do powrotu w półmrok, do ciepłych zapachów sypialni.

Ostrożnie zamknął drzwi, aby nie wdarło się światło z korytarza, wsłuchał się w oddech Nadii śpiącej z na wpół rozchyłonymi ustami, zdjął spodnie, położył się obok niej na boku, przysuwając się do jej bioder i podkurczonych nóg, a kiedy wygodnie się ułożył i znieruchomiał z zamkniętymi oczyma, znowu wydało mu się, że powrócił do

niezapomnianego schronienia i że dźwięki dochodzące z miasta i światło dnia zostały przytłumione, i wydawało się, że jest wczesne popołudnie albo że leniwie i statycznie zmierzcha, zupełnie jak wtedy, gdy szli do łóżka po obiedzie i zmrok zapadał niepostrzeżenie, podczas gdy rozmawiali i pieścili się przez dłuższe i spokojniejsze godziny niż te, które przypadają innym ludziom, wstrząsani dreszczem, niewinni, z bezwstydem wzmacnianym czułością, dzielili obłęd i śmiech, nagle milkli, z napięciem wpatrując się sobie w oczy, ze zdumieniem i przerażeniem, jak świadkowie cudu, którego doświadczali, pokonani później, jedno na drugim, lśniący od potu, wyczerpani pieszczotami. Wtedy słuchali swych oddechów w ciszy, stóp ocierających się pod pościelą, a ręce i usta znowu zaczynały poszukiwania, tym razem już bez pośpiechu, jakby chcąc potwierdzić i poznać całe ciało, teraz i zawsze pożądane, a w rozmowy wplatał się ton wspomnień i tajemnic, czas rozlewał się w nich jak powolny prąd rzeki występującej z brzegów przy zamulonej delcie ujścia, a oni, wyciągnięci, pozwalali się nieść, porzuceni w leniwym nurcie słów, stale rozmawiali, powtarzając słowa zawarte w zakurzonej Biblii, które wiek wcześniej być może wzbudziły pożądanie innych, *na łożu majem w nocy szukałam tego, którego miłuje dusza moja; szukałam alem go nie znalazła*, wspominając imiona i piosenki, słuchając ich ponownie po tylu latach, nieustannie zaskakiwani tym, że kochali te same melodie w tym samym wieku i że nieoczekiwanie mieli wspólną przeszłość, w której, choć się nie znali, już byli razem. Poza dniem i poza nocą, poza kalendarzem i zegarem, byli jak rozbitkowie na bezludnej wyspie, na wyspie głosów, nie tylko ich własnych, ale także tych, które przywoływali w wyobraźni i w pamięci. Zasnawszy, śnili, że dalej rozmawiają i że znowu przeglądają niezliczone zdjęcia Ramira Portrecisty, a gdy otwierali oczy, pierwszą rzeczą, jaką zauważali, była postać jeźdźca przemierzającego pejzaż, który niebawem rozświetli wschodzące słońce albo otuli zmrok, samotny i spokojny podróżnik, czujny, dumny, jakby roześmiany, odwrócony plecami do wzgórza, na którym można dostrzec cień zamku, zdaje się przemieszczać bez celu, w kierunku jakiegoś miejsca, którego nie można zobaczyć na obrazie i którego nazwy nikt nie zna, podobnie jak nikt nie zna imienia jeźdźca ani długości, ni szerokości geograficznej kraju, przez który przejeżdża.

WIDZĘ ZAPALAJĄCE SIĘ pojedynczo światła na werandach domów Maginy pod bezchmurnym fioletowym niebem, którego jeszcze nie zasnuł mrok, żarówki mrugają i drżą za węglem ostatnich domów jak gazowe płomyki, a lampiony zwieszające się nad placami rzucają krąg jasności kołyszący się, kiedy wiatr szarpie kable rozciągnięte pomiędzy dachami, wydobywający cienie samotnych kobiet, które przechodzą ze spuszczoneymi głowami i brodami wciśniętymi w wełniane chusty, niosąc cynową bańkę na mleko albo szufelkę z czerwonym żarem przykrytym popiołem. Na nogach mają wełniane pończochy, łapcie z czarnego sukna, otulają się kaftanami zapiętymi pod szyję nad wycięciami fartucha, pochylone, brną wbrew nocy albo wiatrowi, docierają do domu, ale nie zapalają światła, zostawiają na progu szufelkę z żarem, przynoszą żarownik i wypełniają go do połowy, a potem, zasypawszy popiołem, wynoszą na próg, aby wieczorny wiatr, delikatny jak morska bryza, szybciej go rozpałił. Nie liczy się pamięć, tylko spojrzenie, widzę w zimnym półmroku ten poblask, który ożywa, w miarę jak ciemność zdobywa ulice, wciągam w nozdrza dym i chłód, dym połączanego, czerwonego żaru w granatowym zmierzchu i wrzącej żywicy, i mokrego drewna oliwkowego, zapach zimy, listopadowej albo grudniowej nocy, w której nieco smętnym spokoju jest coś z atmosfery zawieszenia broni, bo zaledwie kilka dni wcześniej zakończyło się świnioobicie, a jeszcze nie zaczęto zbierać oliwek, pamiętam jakąś kobietę w czarnej chuście z siwymi włosami zebranymi w kok, która postradała zmysły i co wieczór, tuż przed zmrokiem, drobnymi kroczkami schodziła w dół ulicą Pozo, tuż przy murze, i kradła kamienną kostkę z budowy w Casa de las Torres, po czym wracała, niosąc zdobycz pod chustą, jakby tuliła małego kotka, uśmiechając się, ukrywając go, szepcząc, przemawiając do kamienia, wyimaginowanego kota lub dziecka, które ponoć zmarło, kiedy była młoda.

Mężczyźni przed chwilą wrócili z pola i przywiązali zwierzęta do sztchet ogrodzenia, rozładowali je i wyprzęgli, zapalili żółte światła w kamiennych sieniach i ciepłych, śmierdzących gnojem stajniach, zmęczeni i surowi, utrudzeni znojem, ale w pokojach, w których kobiety gawędzą cicho albo zachowują pracowite milczenie podczas szycia, panuje jeszcze półmrok, rozjaśniany tylko latarniami z ulicy i ostatnim poblaskiem wieczornego nieba, błękitnego i czerwonego na zachodnich krańcach. Przy oknie, którego okiennice zamkną się, kiedy zapłonie elektryczne światło, zalegają resztki bieli nieokreślonego pochodzenia, odbijającej się w twarzach, dłoniach, białym płótnie tamborków, błysku źrenic wpatrzonych w ulicę, na której rozbrzmiewają głosy i strzępy wyraźnych rozmów, w oświetloną podziałkę radia, gdzie widnieją liczby i nazwy rozgłośni i miast, i odległych krajów, z których nieliczne z kobiet pochodzą, i czyjaś dłoń powoli kręci potencjometrem, a wskazówka przesuwa się po miejscach w rzeczywistości niedostępnych, żeby zatrzymać się w końcu na melodii z reklamy, której początkowo nie sposób odróżnić pośród pisków, obcych głosów, odgłosu dartych papierów, melodia reklamy albo piosenki, albo ze słuchowiska, jak to możliwe, że we wnętrzu tego tak małego pudełka siedzą ludzie, jak oni się kurczą, w jaki sposób wchodzą do środka, przez szpary, jak mrówki, głos spikera brzmi poważnie i niemal groźnie, „Powóz numer trzynaście – deklamuje – słuchowisko Xaviera de Montepin”, i w pokoju słychać powolny stukot końskich kopyt oraz metaliczne skrzypienie kół na bruku chłostanym zimowym deszczem w obcych krajach i w innym wieku, w innym mieście, w

radiu nie tylko mieszczą się ludzie, również pada deszcz i jeżdżą konne powozy, Paryż, mówi spiker, ale już nie słyszę jego słów, zamazuje je odległość albo zagłusza stukot kopyt zwierząt rżących w stajni, oddalają się, jakby mi uciekła fala radiowa, a ja jeszcze bezskutecznie kręcę potencjometrem, wpatrując się w to tajemnicze światło wydobywające się z wnętrza odbiornika, promyk światła, jak ten przeciskający się pod drzwiami we wnętrzu domu, w którym zamieszkują tylko głosy, nieprawdopodobne głosy z całego świata; zapalone światło w jednym z okien Casa de las Torres, w którym mieszkała samotnie obłąkana strażniczka, co to pewnego dnia znalazła mumię bardzo młodej kobiety, pojmanej i zamurowanej przez mauretańskiego króla, jak twierdził dziadek Manuel. Powóz zjeżdża w dół ulicą Pozo, a metalowe obręcze kół i końskie kopyta rozbijają nocną ciszę, uderzając o kocie łby, i choć nie widać nikogo za firaneczkami, dzieci, gdy powóz je mija, śpiewają głośno piosenkę o don Mercuriu: „Hop, hop! Kto to? Kto to? Lekarz garbaty pieniądze chce do łapy, po pesety jedzie za wizytę po obiedzie”, drażniąc woźnicę w zielonej liberii i wspinając się na ściany powozu, żeby dostrzec żółtawą twarz lekarza poprzez zasłonki z czarnej gazy, zakrywające okna jak w karawanie. Słyszę te odgłosy z tak daleka, jakby oddziaływały mnie od nich zagrody, i widzę cień skradającej się kobiety, przytulającej do piersi kamień, i ślepcę, któremu w młodości wypaliły oczy dwa ładunki z solą i spłoszyły jego konia, wprawiając go we wściekły galop, słyszę w tę zimową noc statyczny i głuchy szum miasta i kojarzę go od razu z hałasem ruchu ulicznego, lecz to niemożliwe, w Maginie tamtej zimy – której roku nie potrafię określić, ale z pewnością była wcześniejsza od mej pamięci, a także od mojego życia – nie słyhać było warkotu silników, a zresztą znajduję się zbyt daleko, aby go usłyszeć, zupełnie jakbym płynął oparty o burtę żaglowca mijającego port, który majaczy zaledwie jako odległe światła na zamglonym morskim horyzoncie. Jedyne, co mogę usłyszeć, to kroki mężczyzn i stukot kopyt i kół, metaliczny dźwięk kołatek, głosy sąsiadek, piosenki intonowane przez dziecięce chóry, aby odegnać odwieczny strach przed nadchodzącą nocą, „aj, jak strasznie chodzić tutaj, mumio odejdz i mnie nie słuchaj”, wszystko jakby wywatowane ciszą, dzwony wzywające na modlitwę albo na pogrzeb, ich bicie sprawia, że kobiety żegnają się w półmroku pokojów, ryczenie krów zaspokajających pragnienie w poidle przy murze i kontynuujących przemierzanie placu Świętego Wawrzyńca w kierunku zagród, są prowadzone przez smagłych poganiaczy chłoszczących im grzbiety długimi batami, a kiedy wciskają się w ulicę Pozo, echo ich kroków staje się donośniejsze i ostatnie dzieci, które nie usłuchały wołania matek i nadal bawią się lub opowiadają historie na oświetlonych narożnikach ulic, pierzchają ze strachu przed stratowaniem, wspinają się na płoty, chowają się w bramach i śpiewają piosenkę oddalającą niebezpieczeństwo: „Hej, hej, skacz na czarne i na kolorowe, na białe nie, bo białe jest morowe”.

Po przejściu krów unosi się w powietrzu ciepły zapach oddechów i gnoju, nocne osamotnienie potęgowane światłami w oknach biur, w mrocznych tawernach, gdzie mężczyźni piją wsparci na wielkich beczkach wina, wyżej, dalej na północ, poza pustką placu generała Orduñi, gdzie tarcza zegara rozjaśnia w tej samej chwili i takim samym kleistym odcieniem światła, jaki mają balkony komisariatu, wystawy pustych sklepów, gdzie subiekci, mający dłonie delikatne i blade jak księża i zacierający je w taki sam sposób, zwijają bele materiału na kontuarach z polerowanego drewna, zanim zamkną sklepy i pożegnają się, żartując, stawiając kołnierze skórzanych kurtek i zacierając ręce z jeszcze większym zapalem, jakby skostniałe od kościelnego chłodu, subiekci, ulegli zakrystianie Systemu Metrycznego, największego sklepu z konfekcją w Maginie, znajdującego się naprzeciw parafii Świętej Trójcy, gdzie zatrudniony jest na mało istotnym etacie chłopca na posyłki Lorencito Quesada, przyszedł lokalny dziennikarz, korespondent prowincjonalnego dziennika „Singladura”, sprzedawanego nieopodal w kiosku na placu, do którego ojciec wysyłał mnie co piątek, żebym mu kupił „Siete Flechas”, która na rozkładówce zawierała ilustrowane opisy zbrodni.

Ale nie chciałem oddalać się tak bardzo, wracam, bo nie prowadzi mnie ciepła dłoń matki i boję się zgubić na tych nieznanych ulicach, po których krążą czarne samochody prowadzone przez suchotników w białych fartuchach, porywających dzieci, aby wyssać z nich krew, znowu widzę ulicę Pozo, wybrukowaną i ciemną, z szerokimi ogrodzeniami zagród i kamiennymi nadprożami, z sieniami, gdzie błyszczą oliwne lampki przed obrazem Naszego Pana Jezusa albo Serca Jezusowego, potem plac Altozano, bardzo duży, widzę studnię, przy której co rano zbierają się gadatliwe kobiety ze swymi przyśpiewkami, przekrzykują się w rozmowach, oczekując na swoją kolej, mówią, że w Casa de las Torres znaleźli zachowane ciało świętej w szklanej trumnie i że pachnie ono różami albo kościołem. Nocą plac Altozano ma coś z granicy i otchłani, chłostany zimnym wiatrem, który wstrząsa jedyną wiszącą lampą i przynosi z drugiego krańca Maginy dźwięk trąbki wzywającej na modlitwę u bram koszar piechoty, których wysokie i niedawno rozjaśnione światłem okna nadają budynkowi wygląd wielkiej fabryki wzniesionej pośród ziemnych nasypów na obrzeżach miasta, na tle sinawo-czerwonego zachodniego nieba, naprzeciw doliny Gwadalkiwiru, przeciętej ostatnimi jasnymi lśnieniami dróg prowadzących na drugą stronę rzeki i do osad leżących na stokach Sierry, białych plam w granatowym mroku; mężczyzna, major Galaz, świeżo awansowany, niedawno przybyły do Maginy, spogląda na ten widok z okna swej sypialni w pawilonie oficerskim, kiedy podnosi zmęczone oczy znad książki, której nie będzie mógł czytać, jeśli nie zapali światła, patrzy na leżącą na stole zamkniętą książkę i na pistolet w czarnej kaburze i zaciska szczęki, i przymyka oczy, zastanawiając się, co się czuje, kiedy się umiera, ile minut albo sekund trwa wszechogarniający strach. W ogrodzie ojca wuj Rafael, wuj Pepe i porucznik Chamorro często o nim rozmawiali, robiło na mnie wrażenie to dźwięczne i rzadko spotykane nazwisko, jakie można było nadać tylko wymyślonemu mężczyźnie, fikcyjnemu bohaterowi jak Zielony Kozak albo Michał Strogow, albo generał Miaja, major Galaz, który sam udaremnił spisek buntowników; wuj Rafael, spoglądając na nas małutkimi wilgotnymi oczkami, opowiadał, że w pewną duszną lipcową noc, na oczach całego pułku ustawionego w szyku na środku dziedzińca, uniósł pistolet i strzelił w pierś porucznikowi Mestalli, po czym powiedział zwyczajnym tonem, bo nigdy nie podnosił głosu: „Jeśli jest tu jeszcze jakiś zdrajca, niech wystąpi”.

Bardziej niż kiedykolwiek wzrusza mnie teraz to nazwisko, którego nie słyszałem od czasów dzieciństwa, i widzę go, byłego majora Galaza, wiele lat później, ale ciągle jeszcze zanurzonego w tym statycznym czasie, w którym zarówno żywi, jak i martwi poruszają się jak identyczne cienie, jest wysoki, trochę przygarbiony, w płaszczu i kapeluszu, z muszką zamiast krawata, schodzi w dół szeroką i pustą ulicą nazywaną teraz aleją Osiemnastego Lipca, już dawno wycięli tam stare kasztanowce, które obsiadywały w kwietniowe poranki rozświergotane ptaki. Widzę, jak zbliża się powoli, od niechcienia, bez cienia nostalgii, do koszar i będąc już całkiem blisko, zatrzymuje się i słucha trąbki wzywającej na modlitwę w listopadowy albo grudniowy wieczór. Zdaje sobie sprawę, że zatrzymał go tam automatyczny odruch z młodości, że już miał zamiar przyjąć postawę zasadniczą i unieść prawą dłoń do skroni, jakby od tamtej pory nie minęło trzydzieści siedem lat, jakby nie minęło pół życia, odkąd po raz ostatni włożył mundur, i jakby nie było jednej ojczyzny i jednej Republiki, którym winien dochować wierności, a kiedy rusza z miejsca, nie idzie przed siebie, nie ze strachu przed melancholią, ale z obawy przed niepoohamowanym i niewytłumaczalnym szlochom, odwraca się na pięcie, a zimny wiatr uderza go w twarz i uświadamia mu, że ma wilgotne oczy, widzę, jak brnie w kierunku bardziej oświetlonych ulic centrum, dokąd nie dociera ciężki i żyzny zapach zimowej ziemi ani plusk wody w kanałach ukrytych w gęstych zaroślach i sitowiu, tak głębokich, że strach nie pozwala zbliżyć się do ich krawędzi, do gęstwiny bez dna, gdzie czasem śmigają szczury i żmije, które wyobraźnia przekształcała, szczególnie nocą, w kajmany, tygrysy, pytony i w żarłoczne jankonie. Jednak na drogach pośród pól nie ma już prawie nikogo, oprócz spóźnionego ogrodnika prowadzącego za uzdę

muła z ładunkiem jarzyn czy chłopca, który pomaga sobie w marszu pod górę, łapiąc za ogon zwierzaka, i słania się ze zmęczenia, senności i zimna, i jakiegoś młodego mężczyzny, mojego ojca, nastolatka, z miną bardzo poważną, a twarzą jeszcze dziecięcą, z kręconymi włosami po męsku przyklepanymi brylantyną, śmiejącego się do obiektywu aparatu Ramira Portrecisty. Niemal go rozpoznaję z daleka, tak jak będąc dzieckiem, rozpoznawałem go pośród ludzi na rynku po sposobie chodzenia, chociaż nie widziałem jego twarzy, nie potrafię jednak określić jego wieku, bo nie odróżniam dokładnie rysów ani podziału czy abstrakcyjnego numerowania lat, a czas tego wieczoru zdaje się nie należeć do mego obecnego życia, nie płynie i nie wymyka się jak godziny i tygodnie, i dni z elektronicznych zegarków i automatycznych kalendarzy, umyka, wirując, i powraca w utrwalonej archaicznym aparatem mdłej wieczności, w jakiej czasem przeszłość wydarza się znacznie później niż przyszłość i wszystkie głosy, twarze, piosenki, sny, imiona skrzą się w jednoczesnej terażniejszości.

Zbliżam się do miasta, nadchodząc z bardzo daleka, z góry, jakbym śnił, że bezszelestnie lecę na lotni, a czas cofa się przede mną falującymi kręgami, zmienia się tak szybko jak pejzaż za oknem pociągu, i ta spóźniona postać, którą obserwowałem przemierzającą ulice Maginy, jest teraz moim dziadkiem wracającym po rocznym więzieniu w obozie koncentracyjnym. Widzę go od tyłu, dyszącego, pokonanego, szedł przez dwa dni bez przerwy i teraz boi się, że upadnie, jak koń zajeżdżony niemal na progu własnego domu, idę szybciej niż on, wznoszę się, docieram do placu Świętego Wawrzyńca dużo wcześniej, niż on pojawi się przy pierwszym oświetlonym domu, widzę prostokąt placu, bardziej przytulnego niż za dnia, trzy topole, których jeszcze nie wycięli, żeby zrobić miejsce dla samochodów, słyszę głos kobiety wołającej głośno jakieś dziecko, to babcia Leonor woła z balkonu wujka Luisa, który nie boi się krów ani ślepców, ani zjaw i bawi się na ulicy nawet po zmroku, widzę przymknięte drzwi i promyk światła ślizgający się po udeptanej i zimnej od wilgoci ziemi, a spojrzenie przenika bez przeszkód aż do przedsionka, gdzie znajduje się wieniec z suchych kłosów, których magiczne przeznaczenie przyniesienia obfitych zbiorów sprawia, iż przychodzą mi na myśl żółte liście palmy, zawieszane w Niedzielę Palmową na balkonach, aby chroniły domy przed uderzeniem pioruna. Posuwam się naprzód, nikt mnie nie widzi, nawet ja sam, rozpoznaję w półmroku rozkład drugiego przedsionka, drzwi do stajni, małe drzwiczki do schowka pod schodami, do którego tak bardzo bałem się wchodzić, bo raz zobaczyliśmy tam żmiję wijącą się wokół wielkiego dzbana do połowy zakopanego w ziemi, którego wylot otwierał się niczym otchłań studni, w której mieniła się i mocno pachniała oliwa. Delikatnie popycham trzecie drzwi, ale może nie jest to konieczne, i tak ustępują przede mną i czas się rozdziela jak wody jeziora, jak następujące po sobie zasłony mgły, widzę kuchnię o kamiennej posadzce, z surowymi ścianami, być może obwieszonymi oprawionymi w ramki fotografiami zmarłych śmiejących się sztywno jak postacie wyrzeźbione na etruskich sarkofagach, z belkami pomalowanymi na czarno, z których zwieszają się kiście suszonych winogron, a po jednej stronie, niemal plecami do mnie, przed ogniem, siedzi mężczyzna z siwymi włosami, gładzący grzbiet psa skulonego u jego nóg, to mój pradziadek Pedro Expósito, zmarły przed moim narodzeniem, który został zabrany z sierocińca przez bardzo biednego ogrodnika i nigdy nie chciał poznać rodziny, która porzuciła go zaraz po urodzeniu, walczył na Kubie i przeżył zatopienie statku na Karaibach podczas powrotu do Hiszpanii, i został sfotografowany tylko raz w życiu, bez swej wiedzy, z daleka, kiedy siedział na schodach przed wejściem, z okna domu naprzeciwko, gdzie Ramiro Portrecista ukrył aparat, wbrew swej woli, nakłoniony, niemal zmuszony przez dziadka Manuela potrzebującego zdjęcia wszystkich krewnych, żeby mu przyznano legitymację licznej rodziny, a nie mógł jej dostać, bo mój pradziadek, a jego teść, nie życzył sobie, by go fotografowano.

Słyszę głosy, które opowiadają, słowa, które przywołują i nazywają, nie w mojej pamięci, która nawet nie jest moją, słyszę nie znany mi głos pradziadka Pedra Expósito, przemawiającego do psa, gdy go gładzi po łbie, obaj w podobny sposób wpatrują się w płomienie, opowiadano, że przywiózł tego psa z Kuby i że zwierzę było prawie tak stare jak on; wiem, że to niemożliwe, ale to, że jakaś rzecz jest niemożliwa, nie wydaje się dziadkowi Manuelowi wystarczającym powodem, aby o niej nie opowiadać, przeciwnie, przedkłada ją nad inne, opowiadał więc, że bezimienny pies jego teścia dożył siedemdziesięciu pięciu lat, z taką samą naturalnością, z jaką wyjaśniał, że król Alfons XIII poprosił go o ogień w pewną bardzo ciemną noc w jednym z zaułków na przedmieściach i że w górach żyły pewne stworzenia, w połowie ludzie, w połowie konie, które były bardzo okrutne i niechętne ludziom, i że w śnieżne zimy schodziły w dolinę Gwadalkiwiru oszalałe z głodu, nie tylko tratując kopytami sałatę i kalafiory w ogrodach, ale posuwając się nawet do zjadania ludzi. Dowodem na istnienie jankoni była, oprócz zeznań kilku przerażonych osób, którym udało się przeżyć ich atak, kamienna płaskorzeźba na fasadzie kościoła Zbawiciela, gdzie rzeczywiście widnieje fryz przedstawiający centaury, skoro więc wyrzeźbiono je w miejscu tak świętym, obok figur świętych i pod reliefem Przemienienia Pańskiego, dowodził, śmiejąc się, dziadek, trzeba by być wielkim heretykiem, żeby nie wierzyć w ich istnienie. Słucham z tak daleka, z miejsca, o którego istnieniu on nie ma pojęcia, głos mego dziadka Manuela, nie milknący, gardłowy, dziwny, jego śmiech, którego już nigdy nie usłyszę, choć dziadek jeszcze żyje, jego obecne milczenie, tusza spotęgowana starością, trwanie w bezruchu przy żarowniku w tej samej kuchni, teraz z sufitem zamiast powały, z posadzką, z telewizorem w jednym kącie, z kolorowymi zdjęciami w ramkach, nie noszącymi już podpisu Ramira Portrecisty, oświetlona ogniem albo płomieniem oliwnej lampki kuchnia, w której pradziadek Pedro zamieszkuje w innym czasie, w której moja dziesięcioletnia matka, nie wiedząca jeszcze, że nim minie godzina, zastukają do drzwi, a gdy je otworzy, stanie twarzą w twarz z nieznanym brodatym mężczyzną, w którym nie będzie potrafiła rozpoznać swego ojca, zbliża się do dziadka, aby znaleźć ciepłe i pewne schronienie w jego bliskości i ukryć się przed chłodem, opuszczeniem, strachem, żeby nie słyszeć dziecięcych głosów śpiewających na ulicy piosenkę o Ciotce Żerochłopce, córce króla Baltazara, albo wyśpiewujących chórem historię o kobiecie-zjawie pogrzebanej żywcem w piwnicy Casa de las Torres, która o tej porze zaczyna przemierzać jak pokutująca dusza salony rezydencji o marmurowych posadzkach i obrócone w ruinę galerie i mija szereg gargulców, dzierżąc w dłoniach zapaloną żagiew, bardzo blisko, tuż-tuż, powtarzają po drugiej stronie placu, a w niektóre noce, kiedy nie może spać, wychyla się przez okno swojego pokoju i wydaje jej się, że widzi światło przesuwające się za szybami w oknach baszt, okrągłą twarz widziadła, białą i rozpląszczoną na szybie, wyobraża ją sobie bladą w poświacie księżyca, rysy widziane jedynie w nocnych koszmarach i w urojeniach bezsenności, nienaruszone przeszły z jej pamięci do mojej, nie tylko poprzez jej słowa, ale też przez milczące przecucie przerażenia, które tak wiele razy dostrzegałem w jej oczach, oraz ciepły i rozpaczliwy sposób przytulania mnie, nie wiem kiedy, znacznie wcześniej niż wszedłem w wiek, w którym zachowuje się pierwsze wspomnienia, kiedy mieszkaliśmy na tym poddaszu zwanym pokojem belki, a ona patrzyła przez balkonowe okno na zapadający zmrok i słuchała trąbki rozbrzmiewającej w pobliskich koszarach, czekając na powrót mojego ojca, tak bardzo pogrążonego w pracy, że noc zawsze zaskakiwała go na ścieżkach pomiędzy polami.

Oni mnie stworzyli, spłodzili, przekazali mi wszystko, co mieli, i to, czego nie mieli, słowa, strach, czułość, imiona, ból, rysy twarzy, kolor oczu, wrażenie, że nigdy nie wyjechałem z Maginy, i wspomnienie spoglądania, jak niknie z oczu w nocnej dali, na tle nieba, które jeszcze jest czerwone i fioletowe na obrzeżach, nie miasto ani nawet nie patetyczny przypływ nostalgii, która rozwieje się tak szybko jak dym ogniska roznieconego w

oliwkowym gaju w deszczowy i wietrzny poranek, lecz układ świateł drżących na horyzoncie niczym płomyki oliwnych lampek, przesuwających się na południe w miarę mego nieuchronnego zbliżania się do terenów górskich przewierconych tunelami i przepaściami, przez które przejeżdża ekspres do Madrytu. Czasem, niespodziewanie, nie ma mnie już w Maginie ani nie wiem, gdzie ją odnaleźć, myślę o dziadku Manuelu i o babci Leonor i potrafię wyobrazić ich sobie tylko zniszczonych przez starość i zwalonych jedno obok drugiego na kanapie obitej sztuczną skórą, i drzemiących bez godności i wspomnień przed telewizorem, gasną imiona, z których czerpałem swe życiowe siły, zmieniają się w bezładne słowa, bez dźwięku i treści, jak kawałki ołowiu, i wdzierają się we mnie, i biorą w posiadanie inne słowa, kłamliwe, trywialne, zawile i napszone, obcojęzyczne, których słucham przez słuchawki w kabinie tłumacza symultanicznego i powtarzam w moim własnym języku tak prędko, że chwilę potem nie pamiętam, że je wypowiedziałem.

Ciągle się budzę, ale to już nie to samo, teraz nie ma znaczenia spojrzenie, nie czuję zapachu zimy ani zbliżającego się deszczu, ani mokrych liści gnijących pośród ciemnych grud ziemi, nie przeszywa mnie dreszcz ani szczęście czy przerażenie, nie widzę placu generała Orduñi ani pomnika, ani zegara na wieży, nie potrafię odróżnić za zaciągniętymi zasłonami sylwetki inspektora Florencia Péreza liczącego na palcach sylaby i jednocześnie oglądającego fotografię kobiety zamurowanej przed siedemdziesięciu laty, które ktoś, Ramiro Portrecista, przed chwilą zostawił na stole w jego gabinecie, te same zdjęcia, które ja sam, w innym kraju i innych czasach, miałem w ręku, wtedy zamykam oczy i trwamy w bezruchu przez kilka sekund i chciałbym nie widzieć ani nie słyszeć, ani nie dotykać, ani nie czuć niczego, co do mnie nie należy i co nie było ze mną od zawsze, choć ja o tym nie wiedziałem, kilka imion, wrażeń, twarz pradziadka Pedra i babci Leonor, i matki z tego zdjęcia, o którym myślałem, że zagubiło się na zawsze, a teraz noszę je w portfelu niczym tajemną zdobycz, zapach szafy, w której przechowywano puszkę z banknotami Republiki i kurtkę Gwardii Szturmowej dziadka Manuela, dotyk podartej jedwabnej parasolki leżącej na dnie kufra, posępny nastrój serialu radiowego, *copia* Antonia Moliny, piosenka Jima Morrisona, której słuchałem z przyjaciółmi z szafy grającej w barze Martos, twarz Nadii z tamtego okresu, w świetle październikowego poranka, jej obecne spojrzenie, ciemne włosy z miedzianym połyskiem lśniąca w półmroku, kiedy zapadła ciemność, a my tego nie zauważyliśmy, ona wspiera się na łokciu, żeby zapalić lampkę, a ja zatrzymuję ją w ramionach, prosząc, żeby zaczekała jeszcze chwilę, wyobrażam sobie, iż właśnie w tym momencie w Maginie zapalają się latarnie na narożnikach ulic i w ciszy słyszeć bicie dzwonów na placu generała Orduñi oraz znacznie bardziej odległą trąbkę w koszarach, wyobrażam sobie, że słyszę koła powozu don Mercuria i mocne, metaliczne uderzenia w wielkie zamknięte drzwi Casa de las Torres i że ściemniło się, podczas gdy bawiłem się na ulicy z Feliksem, i wracam do domu, bojąc się, że za oświetlonym rogiem ulicy pojawi się okrutny duch Ciotki Żerochłopki. Ale to nieprawda, stwierdzam, rzucając okiem na zegarek stojący na nocnym stoliku, nie ta godzina jest w Maginie, i to nie tylko dlatego, że ja znajduję się na innym kontynencie i po drugiej stronie oceanu, ale dlatego, że te zegarki nie nadają się do mierzenia czasu, który istniał tylko w tamtym mieście, nie wiem kiedy, we wszystkich przeszłościach i przyszłościach, jakie były konieczne, bym ja stał się tym, kim jestem, żeby twarze i wiek żywych i umarłych zebrały się przede mną jak w niezgłębionym kufrze Ramira Portrecisty, aby Nadia zaistniała w moim życiu.

POWODOWANI NIE BEZINTERESOWNYM powołaniem zgłębienia czystej wiedzy, lecz koniecznością wyjścia naprzeciw wydarzeniom, jakie ich poprzedzały i stworzyły, Manuel i Nadia szperają w kufrze, który Ramiro Portrecista powierzył majorowi Galazowi, i cofają się do źródeł głosów, aż docierają do opowieści młodego i świeżo przybyłego do Maginy lekarza, porwanego przez nieznanymi w środku karnawałowej wtorkowej nocy, i zadają sobie pytanie o to, jaka część prawdy mogła przetrwać po tylu latach i z przynajmniej trzech opowieści oddzielonych od siebie wielkimi przestrzeniami tajemnicy i milczenia. To, co wydarzyło się tylko jeden raz, to, co pozostało niewyjaśnione przez siedemdziesiąt lat i bez niczyjej wiedzy wpływało na ukryty porządek wydarzeń, najpierw ulega zatarciu w pamięci pierwszego świadka, a potem w słowach słuchanych i skrywanych jak skarb przez Ramira Portrecistę i przekazanych majorowi Galazowi w przyszłości, kiedy nie żył już nikt, kto mógłby potwierdzić ich prawdziwość; pozostaje z żywymi to, co zmarli chcieli im przekazać, nie tylko słowa, domniemania i daty, ale też coś, co znacznie bardziej interesuje tych dwoje, część przyczyny ich życia, pilne zadanie, zbiorowe, nie przemyślane i podejmowane na oślep, które teraz jest formą ich przeznaczenia. I dlatego znajdują, dziękują i dowiadują się, dlatego wpatrują się w fotografie i przywołują zwierzenia i czyny, a im więcej się dowiadują, tym bardziej się boją, że coś z tego, co się wydarzyło, mogło mieć inny przebieg, niwecząc przed wiekiem albo przed trzydziestu laty, albo przed dwoma miesiącami niepewną możliwość ich spotkania.

Aby nie zatracić się w labiryntach przeszłości, postanowili wyznaczyć początek wszystkiego w najstarszym posiadanym świadectwie: młody lekarz, być może cierpiący głód, nie mogący nocą zmrużyć oka, obudzony, gdy w końcu udało mu się zasnąć, przez hałas ostatniej nocy karnawału, przez pijackie kłótnie i śpiewy świętujących pogrzeb sardynki, z zapamiętaniem tańczących wokół kartonowej trumny i zamaskowanego łachmianiarza na błotnistym placu, gdzie jedynym źródłem światła są płomienie pochodni i papierowe lampiony i pośrodku którego jeszcze nie postawiono pomnika żadnego generała, tylko fontannę z trzema strugami wody, gdzie o świcie poją się kozy i mlecze oślice. Zaledwie kilka tygodni wcześniej przyjechał z Madrytu, umykając przed policyjnym prześladowaniem, którego przyczyn nigdy nie wyjaśnił, ale mogło to mieć coś wspólnego z obławą na internacjonalistów i republikanów, do której doszło po zabójstwie generała Prima na ulicy Turco. Spędził fatalną noc, gnębiony bezsennością i chłodem w wagonie trzeciej klasy pociągu dojeżdżającego tylko do parowów Despeñaperros, a stamtąd dotarł do miasta na dwukołowym wózku, bardziej niewygodnym i powolnym niż najgorszy dyliżans, i po niemal drugim dniu podróży przez wąwozy i dukty biegnące pośród fantastycznych skał, a później przez niegościnnie pejzaż przedgórza, leżące odłogiem pastwiska i łupkowe zbocza, stopniowo przechodzące w niczym nie ograniczone przestrzenie czerwonej ziemi i wysepki gajów oliwkowych nabierające o zmierzchu niebieskiej barwy.

Zapadła już noc, kiedy wóz zostawił go na placu, który wtedy nazywał się placem Toledo, tuż przy nie oświetlonych podcieniach, naprzeciw czarnej wieży, na której nie było jeszcze zegara, pół wieku później zatrzymanego strzałami przez aktywistów. Postawił na ziemi lekarską torbę i brezentowy worek, w którym przechowywał cynową tubę z dyplomem, kilka książek, których nie odsprzedał za bezcen, aby sfinansować podróż, oraz biały fartuch, którego nowoczesna higieniczność wraz z jego bródką, odpowiednim słownictwem i

fonendoskopem miała mu pomóc pozyskać zaufanie przyszłych pacjentów, przynajmniej taką miał nadzieję. Poprawił na skroniach czarny melonik, zarzucił na lewe ramię połę peleryny i ruszył, nie wiedząc dokąd, z determinacją umniejszaną jedynie przez zmęczenie, zimno i niepewność. Właśnie tam, na placu Toledo, dwa dni później wynajął od na wpół ślepej i bardzo brudnej kobiety dwa pokoje równie dobrze przewietrzane co umeblowane, którym natychmiast w wyobraźni nadał odpowiednie określenia: mieszkanie prywatne i gabinet. W pierwszym ustawił łóżko z siennikiem oraz kocem, który sądząc po wydzielanej przez niego woni, pochodził ze stajni, jak również lustro i miskę, a w drugim rozmieścił po długim namyśle stół z żarownikiem, parawan z orientalnymi malowidłami, za którym wyobrażał sobie rozbierające się z szelestem chore damy, oraz fotel o surowym wyglądzie, w którym zasiadł w oczekiwaniu, odziany w biały fartuch, wspierając łokieć na krawędzi stołu, a podbródek na dłoni, jak gdyby pozował do fotografii, wypalając w zamyśleniu ziołowe papierosy, spozierając na drzwi, parawan, dyplom zawieszony na ścianie, na ceglanej podłodze, plamy wilgoci, odwracając się od czasu do czasu w kierunku balkonu, aby bez melancholii rzucić okiem, gdyż był mało wrażliwy, na starodawny i przygnębiający plac Toledo, niskie i brzydkie domy, jakby przygniecione i skrzycone, niezdrowe i ciemne podcienie, wieżę dominującą jak zgrzybiały kolos nad dachami i nad fontanną będącą raczej poidłem otoczonym gliną i gnojem.

Opublikował ogłoszenie w dzienniku o tytule „El Fomento del Comercio” i codziennie, nie bez próżności, czytał swe nazwisko i tytuł, wypijając flegmatycznie filiżankę czekolady niemal po omacku przygotowywaną przez gospodynię, kobietę mrukliwą i miłosierną, która domyślając się jego trudności, nie naprzykrzała się domaganiem lichego czynszu, i która bez wątpienia nabyła biegłości w sztuce słodzenia i zagęszczania czekolady podczas lat służby na plebanii pobliskiego kościoła Świętego Izydora. Dopijał czekoladę, ocierał usta cerowaną serwetą, ostrożnie składał gazetę, szufelką rozgrzebywał mizerny żarownik i zaczynał czekać na przyjście jakiegoś chorego, bez najmniejszej oznaki zniechęcenia czy zniecierpliwienia i nigdy nie wątpiąc w samego siebie ani w nieunikniony sukces swej wiedzy medycznej, która w owym czasie, jak znacznie później sam powiedział Ramirowi Portreciście, była znikoma, wszak nie tylko nie miał jakiegokolwiek praktyki, nie licząc niezbyt uważnego asystowania przy otwieraniu zaszuszonego i szytego setki razy trupa, lecz także jego wiedza teoretyczna nie wychodziła poza kilka maksym i opisów anatomicznych wyuczonych na pamięć, żeby jakoś przebrnąć przez egzaminy przeprowadzane byle jak w zgiełkliwych aulach Uniwersytetu Centralnego, bardziej wykorzystywanych w owym czasie do politycznych debat i rozgorączkowanych wieców, poprzedzających zwycięstwo Republiki niż do rozważań profesorów, z których wielu było aktywnymi zwolennikami rewolucji albo ramolami pograżonymi w rozpacz z powodu upadku dynastii.

W każdym razie zgłębił tajniki medycyny o wiele później, niż zawiesił dyplom na ścianie pokoju zwanego gabinetem, kiedy w końcu zaczął się rozczytywać, podczas swych samotnych i pełnych niedostatku dni, w opasłych i nietkniętych tomach, przywleczonych ze sobą z Madrytu, nie z ciekawości, ale z nudów, bo stołeczne dzienniki nie docierały do Maginy, a gdy w końcu się pojawiały, miały wartość archeologiczną, publikowane w mieście zaś były jedynie żalonymi stronicami pełnymi rolno-hodowlanych albo patriotycznych wierszy, ogłoszeń o nowennach i nekrologów. Nie było telegrafu ani gazowego oświetlenia, ani kawiarni, jedynie obrzydliwe knajpy śmierdzące sfermentowanym moszczem; nie było też chorych, a w każdym razie nie dowiedział się o istnieniu jakiegoś chorego aż do owej karnawałowej nocy, kiedy to tak gwałtownie i w tak bardzo nieodpowiedni sposób zażądano jego pomocy. Jednak kiedy to się wydarzyło, przebywał w Maginie już od dwóch miesięcy, ciągle nie mógł zmienić koszuli z brudnymi lamówkami i żył praktycznie z miłosierdzia czy też wyrozumiałości swej gospodyni, punktualnie podającej mu jego jedyny posiłek – filiżankę

czekolady, kto wie czy nie wykradanej z księżej spizarki. Kobieta żegnała się i zerknęła na niego z ukosa krótkowzrocznymi oczyma za każdym razem, kiedy przyrzekał jej natychmiastową spłatę zaległego czynszu albo ofiarowywał się osłuchać jej piersi w ramach rekompensaty swym osławionym fonendoskopem, aparatem, którego do owej chwili miał okazję używać jedynie do badania, zawsze dającego satysfakcjonujące rezultaty, własnego organizmu.

Gdyby nie wrodzony entuzjazm i niezachwiane przekonania dotyczące higieny, szybko poczułby się oszukany i porzucony, tak daleko od Madrytu, od kawiarni z tandetnymi orkiestrami i gazowych lamp, i pulsujących aktualności politycznych, lecz on dawał zdecydowany odpór tak przeciwnościom i zniechęceniom jak chłodowi i w taki sam sposób spacerował we wszystkie poranki, nawet w te najbardziej chłodne i wietrzne podczas swej pierwszej zimy w Maginie, nie zakrywając ust połą peleryny i świadomie wdychając zimne powietrze przewietrzające mu płuca i dotleniające krew, w ten sposób znosił biedę i przeciwstawiał się znudzeniu, przyjmował mniszą regułę swej samotności jako okoliczności wzmacniające organizm i ducha, osłabione, jak mawiano, rozpasaniem madryckiego życia oraz niezdrowym żarem politycznego sekciarstwa. Inny na jego miejscu poddałby się; nawet on sam, gdyby miał dokąd pójść. Lecz całkowity brak środków do życia, paradoksalnie, miał też swą dobrą stronę, mianowicie nie pozostawiał mu innego wyjścia niż upór, tak więc nie przestawał co rano wypijać filiżanki czekolady, wkładać białego fartucha, patrzeć na gołe ściany i malunki na parawanie, i na drzwi, w których pojawiała się jedynie mało pokrzepiająca postać prawie ślepej gospodyni, i co wieczór zdejmował fartuch przed wejściem do drugiego pokoju, który jedynie przez tak niepoprawnego optymistę jak on mógł być nazywany prywatnym mieszkaniem, kładł się na sienniku i przykrywał końską derką, frakiem, podróżnym surdudem i peleryną, a nawet lekarskim fartuchem, bo w miarę panoszenia się zimy zimno stawało się nie do wytrzymania, choć wcale nie sprawiało to, żeby ktoś się przeziębził albo złapał zapalenie płuc, albo żeby komuś przynajmniej przyszło do głowy udać się do biednego, młodego i nie znanego w mieście lekarza.

Jednak zachowywał się tak, jakby wiedział, że po upływie kilku lat stanie się głównym lekarzem najlepszego towarzystwa oraz powiernikiem, a nawet uwodzicielem lękliwych dam, i jedynie nadejście karnawału przyprawiło go o pewną melancholię, przede wszystkim dlatego, że nie gustował we wszelkiego rodzaju zbiorowych wybuchach wesołości i był niebywale wyczulony na śmieszność innych ludzi, i stać go było co najwyżej na nieprzychylnie obserwowaniu brutalności pijackich ekscesów, fatalną przypadłość niższych klas i przeszkodę w ich ostatecznym poddaniu się. Starał się nie wychodzić w te dni, a we wtorkową noc położył się spać, wyobrażając sobie z uczuciem ulgi ciszę środy popielcowej. Zamknął okiennice, ale były wypaczone i przepuszczały zimne powietrze i pijackie głosy intonujące sprośne przyśpiewki, w których jednogłośnie wyszydzano majestat jego wysokości Amadeusza Sabaudzkiego. Długo nie mógł zmrużyć oka, a kiedy w końcu zasnął, śnił sen pełen karnawałowych masek i mrocznych zaułków, po których włóczył się dręczony głodem i potrzebą wysikania się, ścigany berlinkami i wystrzałami ze sztucera, które mogły być echem petard rzucanych pod jego balkonem na placu Toledo.

We śnie rozbrzmiały trzy uderzenia, które powtórzyły się w niejasnej rzeczywistości, kiedy otworzył oczy i nie wiedział jeszcze, czy już się obudził. Usłyszał, że otwierają się wychodzące na korytarz drzwi gabinetu; nie miały zamka tylko zasuwkę, którą z łatwością można było otworzyć od zewnątrz. Przyszło mu do głowy, że chronią go jeszcze drugie drzwi, te od alkowy, pod którymi wpadał teraz promyk światła. Słyszał zbliżające się kroki, chciał wyskoczyć z łóżka i przytrzymać nie istniejący zamek, ale nie poruszył się. Po drugiej stronie, nie siląc się na ostrożność, ktoś szarpał za klamkę. Desperacko wycężył całą swoją wolę w pragnieniu, żeby drzwi się nie otworzyły i żeby przewyciężyć potrzebę wysikania

się. W miarę jak drzwi z ciemnych desek się uchylały, drżący prostokąt światła i bardzo wysoki cień wydłużały się aż do nóg łóżka. Mężczyzna, w aksamitnej pelerynie oleiście lśniącej w ciemności, w cylindrze tak wysokim, że nocny gość musiał schylać się, aby przejść przez drzwi, w żółtej masce przylegającej do nosa i skroni jak chusteczka i w białej koronkowej kryzie, trzymał w lewej ręce przysłoniętą latarnię, a prawą szermował czymś, co mogło być laską albo bykowcem. Powiedział, a nie zapytał: „Jest pan lekarzem”, a on wsparty na łóżku, przytrzymując pelerynę, frak, surdut i koc, żeby nie spadły na podłogę, z takim uczuciem wstydu, jakby przytrzymał spodnie, pomyślał, że już gdzieś słyszał ten głos, może w Madrycie, i że bez względu na to, kim jest zamaskowany mężczyzna, przyszedł tu, żeby ukarać go za przestępstwo, do którego popełnienia w jakiś sposób mógł się przyczynić, ale nie był tego całkowicie pewien.

„Proszę się ubrać. Musi pan pójść ze mną”, odezwała się maska, nie natarczywym ani nawet nie władczym tonem, lecz z suchą stanowczością nienawykłą do braku posłuchu ani do afektacji. Wstając, nie bez żalu, iż obcy człowiek odkryje, że śpi w ubraniu, zobaczył jeszcze kogoś w drugim pokoju, postać, pomyślał później, po której znać było niższą pozycję, może lokaja albo woźnicy, płatnego mordercy bez skrupułów. Tamten nie zasłaniał całej twarzy, spostrzegł to, zanim zawiązano mu oczy, miał tylko maskę z rozczochranymi włosami i Wąsami z paku i puciołowate policzki z kartonu. Postanowił uznać, że stał się ofiarą jednego z figli, do jakich skłonna jest w karnawale plebejska wyobraźnia. Kiedy wiązano mu z tyłu głowy tasiemki maski mającej zamiast otworów na oczy namalowane źrenice, pomyślał, że go zabiją, i z obojętnością wspomniawszy, iż skazanym na garotę kat nakładał kaptur; przyszedł mu na myśl obraz przedstawiający rozstrzelanie w Torrijos. Mężczyzna z pałką – nawet z zawiązanymi oczyma wiedział, że to był on, bo pachniał lawendowym mydłem, a także dlatego, że delikatnie ocierały się o niego zimne poły jego peleryny – niemal uprzejmie wziął go pod rękę i wyprowadził na korytarz. Zachowywał spokój, a nawet resztki nieugiętości, bo nigdy nie był strachliwy, ale kolana mu się trzęsły i nie czuł mięśni nóg; gdyby mężczyzna go puścił, zwałiby się na ziemię niczym słomiana kukła. Przygnębiony, usłyszał chrapanie gospodyni, tak głośne, że nieraz go budziło. Szczerze żałował, że jeśli go teraz zabiją, nie będzie mógł wyrównać z nią rachunków. Schodząc po wąskich schodach, ramieniem ocierał się o wapienną ścianę, a z przodu rozbrzmiewały głucho kroki mężczyzny w kartonowej masce; ten z kryzą nosił trzewiki, a jego prawa ręka, która zaciskała mu się na łokciu, była zarazem delikatna, ciepła i bezlitosna.

Głosem, który jemu samemu wydał się nieprzyjemnie słaby, zapytał, dokąd go zabierają, i nie otrzymał odpowiedzi. Jego nie całkiem rozbudzona świadomość pozostawała w stanie napiętego wyczekiwania i niemal czujności, ale ciało instynktownie kulilo się z przerażenia. Zabiją go w zamkniętym powozie o czarnej budzie i czerwonych kołach, takim samym jak ten, w którym jechał Prim, kiedy do niego strzelono, zabiorą go do dworku za miastem i nie ściągając mu maski, przyłożą do skroni albo potylicy lufę rewolweru, a on nawet nie usłyszy wystrzału. Myśląc, że ma przed sobą jeszcze kilka stopni, potknął się, gdy dotarli do sieni wyłożonej nierównymi kamiennymi płytami, śmierdzącej wilgocią jak piwnica. Odryglowano drzwi prowadzące na ulicę i do środka wdarł się powiew świeżego powietrza, z drobnymi igiełkami deszczu ze śniegiem i nawałnicą gwizdków, rechotu, walenia bębnow i pijackich zawodzeń. Nie bez powodu karnawał napawał go takim obrzydzeniem. Wychodząc, ponownie się potknął, tym razem o próg, i mężczyzna w czarnej pelerynie podtrzymał go, a lokaj albo woźnica zbliżył się do niego tak bardzo, że wionął mu w twarz smrodliwym oddechem cuchnącym przetrawioną cebulą i bimbrem. Dla każdego, kto by go teraz zobaczył, byłby jeszcze jednym pijakiem, potykającym się, z przekrzywioną maską, powalonym przez wino, z trudem podtrzymywanym przez towarzyszy hulanki. Nocne powietrze przywróciło mu sprężystość mięśni i jasność umysłu uspiętego do tego czasu rezygnacją, tak właściwą snom, nieszczęściom i absurdowi. Zapewne instynktownie wykonał ruch zdradzający chęć

ucieczki, bo gładka maska i kryza otarły mu się o twarz, a wyższy mężczyzna wyszeptał: „Niech pan nie próbuje uciekać, nic panu nie zrobimy. Jeśli zrobi pan, co trzeba, nie pożałuje tego spotkania”.

Poczuł zarazem ulotną wdzięczność i wszechogarniające przerażenie. W głosie nie słychać było ani groźby, ani litości. Teraz szli szybciej, schodząc w dół podcieniami i zderzając się gwałtownie z ludźmi zmierzającymi w przeciwną stronę, otrzymywali klepinięcia, kuksańce i deptano im po nogach. Zmuszono go do skręcenia w prawo, w ulicę Gradass, zupełnie pustą i cichą. Pośród tłumu czuł się bezpiecznie, chociaż i tak nikt by nie zwrócił uwagi, gdyby zabito go pchnięciem noża czy strzałem, padłby na ziemię pośród masek i nóg niczym ostatecznie zamroczony pijak. Głosy stopniowo stawały się coraz bardziej odległe i teraz szli, nie wpadając już na nikogo. Przypomniał sobie, że nie było oświetlenia na tej wąskiej ulicy wychodzącej na plac Świętego Izzydora, gdzie znajdowała się fontanna, jej plusk dobiegł jego uszu w tej samej chwili co chlupotanie w błocie kopyt konia, który wstrząsając łbem, zadzwieczał dzwoneczkami. „Teraz będą mi kazali wejść do powozu, przystawiając do pleców lufę rewolweru albo laskę, i ten o szorstkich dłoniach wskoczy na kozioł, a drugi usiądzie u mego boku i ani na chwilę mnie nie puści”. Bez zaskoczenia przyjmował potwierdzenie swej zdolności do przepowiadania przyszłości; usłyszał, jak otworzyły się i zaskrzypiały drzwiczki i wysunęły się schodki. Zamaskowani mężczyźni wcisnęli go między sobą do wnętrza powozu jak paralytyka albo więźnia, nie stawiając im oporu. Niemal wciągnęli go do środka, a on nie poczuł ciężaru swego ciała. Tapicerka zrobiona była z delikatnej i miękkiej skóry. To dało mu nadzieję, że nie znalazł się w rękach tajnej policji. Jej powozy zawsze były nędznymi dryndami z poszarpanymi obiciami i śmierdziały niedobrym tytoniem, starym potem i czymś, co przypominało skisły koci mocz. U jego boku oddychał mężczyzna w masce, który zaciągnął zasłony i poruszał pod peleryną swym korpulentnym ciałem, jeszcze niespokojny, czujny, napięty. Woźnica pognął konia i strzelił batem w powietrze, a niebywale wygodny powóz sprawnie popłynął gliniastą ulicą, kołysząc się w rytm powolnego stukania kopyt, stopniowo coraz szybszego, w miarę jak zostawiali za sobą plac Toledo i zbliżali się, jak się domyślał, do nieużytków po zachodniej stronie miasta, gdzie za ostatnimi domami wznosiły się w ciemności, niczym samotne giganty, arena i szpital Świętego Jakuba, którego spiczaste wieże jako pierwsze dostrzegano, zbliżając się do Maginy od strony Madrytu.

Przełknął ślinę, odetchnął głęboko, zebrał całe oburzenie i zdobył się na ostre słowa: „Kawalerze – powiedział – gdyby nim pan był, w co powątpiewam, biorąc pod uwagę pańskie karygodne zachowanie...” Nie podnosząc głosu, ten drugi przerwał mu: „Albo przestanie pan gadać, albo pana zaknebluję. Proszę wybrać”. Zmarłym podwiązywano zuchwy i kładziono złote monety na zamkniętych powiekach. Gdyby go zabili, gdyby porzucili go martwego na gnojowisku, leżałby z wytrzeszczonymi oczyma i rozdziawionymi szczękami, jak umierający na atak serca, ze strużką krwi albo śliny na podbródku. Przymyślnie i rozpaczliwie pomyślał o tym, jak zdumiewające jest życie, a przeznaczenie osobliwe; człowiek przyjeżdża przypadkowo do nie znanego sobie miasta, otwiera gabinet, do którego nikt nie przychodzi, przyzwyczajają się do studiowania anatomii i do odżywiania się gorącą czekoladą i ziołowymi papierosami, pewnej nocy kładzie się spać i po chwili wyprowadzają go z zawiązanymi oczyma, a przecież istnienia miejsca swej śmierci nie podejrzewał jeszcze kilka miesięcy wcześniej; człowiek umiera w wieku dwudziestu trzech lat jak mucha albo karaluch, poświęcony tak nikczemnie jak kura, i tylko stara i na wpół zidiociała kobieta, choć o dobrym sercu, będzie go żałować, a po kilku dniach nikt nie będzie już o nim pamiętać i stanie się tak, jakby nigdy nie znalazł się na tym świecie.

Za miastem stukot kopyt końskich brzmiał głucho, bez echa, a wiatr targał powozem i wstrząsał szybami okienek. Bardzo daleko, za ich plecami, wybuchały fajerwerki sztucznych ogni i od czasu do czasu do ich uszu docierała muzyka. Gdyby przed śmiercią zdjęto mu

opaskę z oczu, zobaczyłyby wzlatające w górę i eksplodujące race na tle białego nieba, z którego niebawem w ciszy zacznie prószyć śnieg, ponad pozałamywaną linią dachów i wież. Był wtedy jeszcze tak młody, że nie znał siły swego charakteru. Nie zdając sobie z tego sprawy, rozparł się na wygodnym skórzanym siedzeniu i zaczął odczuwać pewne obiektywne zainteresowanie tym, co wiele lat później nazywał rozwojem wypadków. Czy ktoś naprawdę i na poważnie mógł wziąć go za prawdziwego konspiratora? Spędzał noce w kawiarniach, wsłuchując się w płomienne przemowy, porywające i trochę żenujące, podobnie jak wielu wykrzykiwał „niech żyje” i „precz” naprzeciw szabel i hełmów policyjnych i chadzał do piwnic i na zaplecza sklepów, z których trzeba było wychodzić pojedynczo, rzucając okiem przez ramię, i nie zanadto przyspieszać kroku, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł przypuszczać, że był w jakiś sposób zamieszany w zabójstwo na ulicy Turco. Czmychnął stamtąd, to oczywiste, ale tylko przez roztropność albo może dlatego, że w głębi ducha nudziło go już takie nieuporządkowane i próżniacze madryckie życie. Zdecydował więc, że albo chodziło o jakieś nieporozumienie, które niebawem się wyjaśni, albo o nieco makabryczny żart, a w obu przypadkach – a także w trzecim, gdyby jednak chciano go zabić – jedyne, co mógł zrobić, to zachować godność, jak również trzeźwą i pełną urazy rezerwę. Tak więc kiedy ten drugi zapytał go, jakby chcąc zaskarbić sobie jego sympatię, czy nie za mocno zacisnął tasiemki maski, zaprzeczył ruchem głowy i zachował milczenie, a kiedy powóz w końcu się zatrzymał i otworzyły się drzwiczki, odepchnął rękę, która chwyciła w ciemności jego dłoń, nogą wyszukał stopień i stał wyprostowany i nieruchomy aż do chwili, kiedy ponownie wzięto go pod ramię i poprowadzono po wyłożonej kamieniami drodze, która sądząc po pogłosie, znajdowała się w jakimś zaułku, bo wcześniej powóz, zamiast oddalić się przez morze błota na tyłach szpitala, wrócił do centrum miasta i po chaotycznym krążeniu, obliczonym z pewnością na zdezorientowanie go, woźnica nadrobił stracony czas, zmuszając konia do trwożliwego galopu, poganiany przez mężczyźnię w masce, nieustannie nerwowo stukającego laską w szybkę okienka.

Jeszcze drżało mu całe ciało po jeździe wyboistą drogą. Wprowadzili go przez małe drzwiczki do korytarza, a następnie powiedli do kamiennych schodów, z których niewygodnie wynioskował, że należą do części domu przeznaczonej dla służby. Potem stąpił po marmurowych płytach i usłyszał za wielkim oknem albo ciężkimi zasłonami orkiestrę grającą szybkie walce. „Spokojnie – odezwał się głos bardzo blisko niego – już prawie jesteśmy”. Zatrzymano go i natychmiast stwierdził bez wahania, że znalazł się przed zamkniętymi drzwiami. Ten z kryzą powoli trzykrotnie zastukał i drzwi się otworzyły, wypuszczając ze środka zapach tanich perfum i kobiecy głos. Wprowadzono go do wnętrza, a kiedy drzwi zamykały się za jego plecami, usłyszał ciężkie dyszenie, jakby zwierzęcia. Gdy delikatne dłonie mężczyzny dotknęły jego głowy, rozwiązując tasiemki maski, poczuł dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. W tamtej chwili zaczął się bać prawdy, nie tego, że umrze, ale tego, że ujrzy coś, co zrani mu oczy bardziej niż ostre światło. Znajdował się w małym pokoiku o niskim sklepieniu, oświetlonym przez dwa lichterze, w pokoju służącej, a naprzeciw niego stało żelazne łóżko, na którym w pościeli skręcało się napęczniałe ciało, którego dokładnego kształtu długo nie mógł odróżnić. Stał jeszcze oszołomiony ciemnością, przestraszony, nieruchomy, nie zdając sobie sprawy, że mężczyzna w masce znajduje się obok niego i podaje mu jego lekarską torbę. Postrzegał wszystko w sposób tak fragmentaryczny, jakby widział rzeczy odbite w odłamkach stłuczonego lustra, jakby rozmazane i absurdalnie zniekształcone przez soczewkę: dwie blade, długie ręce zaciśnięte na zimnych szczeblach łóżka, dwa przezroczyście nadgarstki, nogi w pończochach opadłych aż do kostek, kopiące i zrzucające pościel na podłogę, niebieskie oczy z błyskiem przerażenia pośród czarnych kosmyków, posklejanych i pociemniałych od potu, oddech nadymający i moczający chusteczkę zawiązaną na ustach, ogromny brzuch, wydęty, nieprzyzwoity pod podartą w strzępy koszulą nocną, bez pępka, drżący i wypukły, lśniący od potu, ale przede

wszystkim oczy patrzące na niego z przerażeniem bardziej przejmującym niż krzyk, niebieskie skronie i ręce wykręcone na szczeblach, zatapiane w dłoniach paznokcie, sine i poplamione krwią jaśniejszą niż ta, która broczyła spomiędzy ud i zalewała pościel. Powiedział Ramiowi Portrećście, że wtedy po raz pierwszy w życiu widział, jak kobieta rodzi, i kiedy go tam przyprowadzili, było już za późno; po godzinie, przerażony, wyczerpany, z rękoma do łokci umazanymi krwią, jak rzeźnik, zdołał wydobyć z tego trzęsącego się brzucha jakby garść trzewi, fioletowe ciało dziecka, które udusiło się pępowiną.

ROZRÓŻNIAM DŹWIĘK każdej kołatki z placu Świętego Wawrzyńca tak dokładnie jak głosy i twarze sąsiadów, odmienne brzmienie, z jakim kółko uderza w drzwi, a nawet specyficzny sposób, w jaki stukają mężczyźni i kobiety, rodzina i nieznajomi, żebracy, mleczarze i sprzedawcy, wiem też, jak brzmią kołatki nagłej potrzeby i strachu w nocnej ciszy, kiedy metaliczne uderzenia powodują we wnętrzu domu szelesty budzenia się i szybkie kroki na schodach albo pełne napięcia ciche wyczekiwanie w sypialniach, w których jeszcze nie zapłonęło światło. Nie muszę wychylać się przez okno, aby dowiedzieć się, do czyich drzwi zastukano; słyszę potężne brzmienie kołatki Bartolomégo, barwa dźwięku przywodzi mi na myśl złoto, bo to najbogatszy człowiek na placu, ma wielkie gaje oliwkowe i mulników mówiących do niego ze spuszczonej głowami, kiedy przyjmuje ich rozparty w wiklinowym fotelu przed wejściem do domu, z bezrzęsymi powiekami, wywróconymi oczyma zaspanego trytona i z oślinionym niedopałkiem cygara zwieszającym mu się z warg tak luźno, jak wisi mu podbródek. Słyszę słabe uderzenia malutkiej kołatki Lagunasa, która jest zmarniała jak on i tak samo piskliwa, jazgotliwa i roztrzepana jak głos eunucha; mocne i surowe stukanie kołatki w moim domu, mające godność postawy i głosu mojego ojca, docierające do najdalszych zakątków zagrody i odbijające się wyraźnie od fasady Casa de las Torres, martwy stukot kołatki w domu na rogu, przylegającym do naszego, niemal zawsze niemej, bo od lat nikt tu nie mieszka, odkąd ślepy Domingo González, który przywłaszczył sobie domostwo pod koniec wojny, oszalał ze strachu i z powodu ciemności i znalazł sobie schronienie w jednej z opuszczonych stacji nad rzeką.

Wyobrażam sobie, że słyszę kołatki w spokojnym powietrzu na placu, dźwięki wyraźne, odcinające się od głosów dziewczynek śpiewających romances, skaczących przez skakankę i chłopców grających w ronglo, w kule, w noże, zależnie od pory roku, bo każda przynosi ze sobą własne gry, a nawet opowiadania i strachy: lęk przed suchotnikami, kiedy nocą płoną ogniska na Świętego Antoniego, zagrożenie ze strony Czapek, które uciekły rozszalałymi stadami z sierocińca i dręczą psy, i kamieniują dzieci, niewidoczna obecność Ciotki Żerochłopki wyśpiewującej po drugiej stronie ulicy swe zabójcze zawołanie w noc wigilii Świętego Jana, duch z Casa de las Torres, którego twarz, tak wiele razy wyobrażaną w bezsenne noce dzieciństwa, zobaczyłem trzydzieści lat później na fotografiach z kufra, który major Galaz zabrał ze sobą do Ameryki i być może nigdy nie otworzył. Nie tylko powtarzaliśmy piosenki i gry naszych rodziców i byliśmy skazani na powtórzenie ich życia – nasza wyobraźnia i słowa powtarzały też ich strach, który bezwiednie nam przekazywali od dnia naszych narodzin, i uderzenia kołatki w kształcie kółka w wielkie zamknięte drzwi Casa de las Torres brzmią w mej pamięci tak samo jak w pamięci mojej matki, przenosząc ją do tego majowego poranka, kiedy zobaczyła na ulicy Pozo najpierw plugawy karawan, który nazywano Makanką, a następnie czarny powóz lekarza don Mercuria, ciągnięty przez konia Bartłomieja i klacz Weronikę, powożony przez młodego woźnicę w zielonym prochowcu o imieniu Julian, którego poznałem jako łysego i postawnego taksówkarza, a który czasem woził nas do stolicy prowincji, do tego miejsca, gdzie były bardzo wysokie budynki i niewidomi w ciemnych okularach na narożnikach ulic, i lekarze z lusterkami na czole umocowanymi na skórzanych paskach.

Matka szła w sieni, tuż przy przymkniętych drzwiach, w półmroku pachnącym jak liście topól po deszczu, słuchając bez zazdrości, z nieświadomym wrażeniem oddalenia, głosów dziewczynek skaczących przez skakanki na placu, a potem niemal nie spostrzegła, że nagle zapadła cisza, że jakiś metaliczny dźwięk znosił inne dźwięki albo je przytłumiał, aż stały się szeptem, i że otwierały się okiennice na ulicy Pozo. Koła o żelaznych obręczach toczyły się po kocich łbach, a bat woźnicy strzelał w powietrzu, nie poganiając muła, krocącego jakby w sennym odrętwieniu, ciągnącego ten złowróbnny wóz, którego sama trudna do wyjaśnienia nazwa, Makanka, była groźbą, tak jak inne nazwy i słowa, których słuchała, nie rozumiejąc, ale instynktownie wyczuwając, że oznaczają coś złego. Pomyślała, że Makanka wiezie zwłoki jej ojca, że go zabili albo że umarł z głodu w tym miejscu, które dziadek Pedro Expósito nazywał obozem koncentracyjnym, a które ona wyobrażała sobie jako pustą równinę otoczoną drutem kolczastym, przemierzaną przez ojca jakby był cierpiącą duszą pośród nieurodzajnych drzew oliwkowych; w wojskowej kurtce na ramionach, w poszarpanym niebieskim mundurze Gwardii Szturmowej, poważny bohater z fotografii i historii, wymyślanych bez najmniejszego zamiaru okłamywania kogokolwiek, ofiara zatwardziałej niewinności często graniczącej z głupotą i szaleństwem – sobotnią nocą, pod koniec marca wrogie wojska wkroczyły do Maginy, a następnego poranka, nie słuchając nikogo, on włożył galowy mundur i spokojnie ruszył w stronę szpitala Świętego Jakuba, bo tego dnia wypadała jego służba, a gdy tylko doszedł na miejsce, zobaczył, że zmieniono flagę powiewającą na fasadzie, i aresztowano go, wrócił po ponad dwóch latach. Był człowiekiem honoru, nigdy nie zrobił nic ponad wypełnianie swych obowiązków, a ponieważ nie otrzymał innych poleceń, jego obowiązkiem było stawienie się na służbie o ósmej, więc w trochę przekrzywionej czapce, spokojnie, z zapiętymi pod szyję guzikami, które matce wydawały się ze złota, wyszedł na ulicę, pomachał córce ręką na pożegnanie, po czym zniknął za rogiem; był zimny i pochmurny marcowy poranek, który wydawał się jej odległy, bo jeszcze nie nauczyła się mierzyć czasu, dzielić na tygodnie, miesiące i lata statycznej i niezmiennej wieczności dzieciństwa. „Manuelu, nie bez powodu masz tak wielką głowę”, powiedziała do niego Leonor Expósito, żegnając się z nim na progu, a pradziadek Pedro, który prawie nigdy nic nie mówił, pogładził po twarzy swoją matkę, moczając sobie palce jej łzami, i wyszeptał jej do ucha tym samym tonem, jakim rozmawiał z psem: „Dziecko, twój ojciec to kretyń”.

Odłożyła szycie na krzesło, nie odważyła się jednak wyjrzeć przez drzwi, nie tylko dlatego, że bała się Makanki, ale też dlatego, że matka kategorycznie zabroniła jej otwierać. W taki sposób żyła przez ostatnie lata, całym jej życiem, odkąd sięgała pamięcią, była wyłożona kamieniami sień, pokoje w półmroku i na wprost przymknięte drzwi, przez które zabraniano się jej wychylać, nierealne głosy z ulicy, na której plenił się gąszcz niebezpieczeństw, bombardowania, pojedyncze wystrzały, wściekła furia kobiet i mężczyzn, krzyczących, wznoszących pięści i broń, nieznajomi ofiarowujący dziewczynkom cukierki albo niosący na ramieniu worki, które być może zawierały obciążoną głowę, włóczędzy, dezertery, Maurowie schodzący wieczorami do źródła przy murach, aby wyprać swe ubrania, tańcząc na nich wielkimi, czarnymi, bosymi stopami, potem klękali na rozłożonym kocu, wznosili ramiona i korzyli się, krzycząc w języku, który nie wydawał się stworzony ze słów, mówiono, że się modlą. Słyszała odgłos żelaznych kół tak blisko, że zwyciężyła w niej pokusa rozsunięcia firanek w oknie wychodzącym na ulicę Pozo w tej samej chwili, kiedy przejeżdżał wóz w kształcie trumny, mający z tyłu dokładnie taki sam rygiel, na jaki zamyka się piec. Powoził nim błądy mężczyzna o twarzy suchotnika albo ożywionego wisielca, prawą ręką uderzał w kozioł, a lewą strzelał skórzanym batem, okładając ze zbędną werwą kościsty zad muła. Kiedy ktoś się zabijał, nie przyjeżdżał po jego ciało powóz z żalobną krepą, ale nikczemna Makanka, która nie zabierała go na dziedziniec chrześcijańskiego cmentarza, lecz na drugą stronę muru, do pozbawionego krzyży podwórca zabitych. Pojawiał się też w czasach epidemii albo kiedy popełniono przestępstwo, albo kiedy znajdowano w przydrożnym rowie

ciało kogoś nieznanego i nie wiadomo było, czy zmarł wypowiadany. Skoro więc teraz wóz pojawił się na placu Świętego Wawrzyńca, był to znak, że wydarzyło się jakieś nieszczęście – w nagłej ciszy matka usłyszała stukot kół i kopyt muła, strzelanie bicia, tak jakby rozbrzmiewały we wnętrzu domu, i teraz wreszcie odważyła się wyjrzeć na ulicę, oszołomiona strachem, jak zahipnotyzowana, ale też zuchwała, wyobrażając sobie, że wóz zatrzymał się przed jej drzwiami i że woźnica ściąga wodze, schodzi z kozła i wlepia w nią swe oczy chorego, źrenice, w które ani ona, ani nikt inny nie odważali się spojrzeć. Ale powóz nie przystanął, teraz matka widziała go od tyłu, długi katafalk pomalowany na czarno, przejeżdżający obok topoli i zamkniętych drzwi na pustym placu, zatrzymał się w końcu z jakby zardzewiałym skrzypieniem przed wejściem do Casa de las Torres, pod płaskorzeźbą skutych łańcuchami olbrzymów podtrzymujących zatarty herb i gargulcami ukazującymi spod okapów swą przerażającą drapieżność. Zobaczyła na wpół otwarte okna i zaciekawione twarze kobiet dających sobie znaki z balkonów. Także jej matka, Leonor Expósito, wyszła z kuchni, wycierając czerwone dłonie w fartuch, spojrzała na nią ze złością i złapawszy za ramię, wepchnęła z powrotem do sieni, po czym zamknęła drzwi z takim samym zdecydowanym pośpiechem jak wtedy, gdy rozbrzmiewały syreny i trzeba było szybko ukryć się w piwnicy. Matka jak najszybciej przebiegła cały dom w poszukiwaniu dziadka Pedra, który był, jak należało się spodziewać, na podwórzu, siedział obok studni, gładząc wyleniałego ze starości psa i być może opowiadając mu historie z wojny kubańskiej albo podając przykłady kretynizmu swego zięcia, który zamiast pozbyć się munduru i ukryć na jakiś czas, tak jak zrobiło wielu, albo włożyć niebieską koszulę i wiwatować na cześć mauretańskich i karlistowskich oddziałów na ulicy Nowej, włożył białe rękawiczki od galowego munduru, aby świeżo przybyli najeźdźcy zatrzymali go i aresztowali z należną godnością.

Pedro Expósito, kiedy zobaczył, że zbliża się wnuczka, przestał rozmawiać z psem – zawsze do niego mówił, ale tylko wtedy, gdy byli sam na sam, mówił mu coś i milkł, wpatrując się w smutne oczy zwierzęcia, które zdawało się słuchać jego słów i przyznawać mu rację kiwnięciami łba, a jeśli ktoś się pojawiał, pradziadek szybko dawał psu znak i zwierzę obojętnie obrzucało spojrzeniem intruza, jakby prowokując go, by spróbował odgadnąć nie przeznaczoną dla niego tajemnicę. „Dziadku” – odezwała się matka, tak podekscytowana, że połykała słowa – „wyjdz, bo chyba coś się stało, przyjechał wóz śmierci”. Stary uśmiechnął się i nic nie odpowiedział, jakby jej nie zrozumiał, spoglądał na nią z perspektywy swego wieku, jego spojrzenie było dokładnie takie samo jak spojrzenie psa, a potem przywołał ją ruchem ręki, serdecznie i czule, jakby wystarczyło zawołać ją, aby odegnąć wszelkie zło, jakie jej zagrażało. Objął ją ramieniem, przyciągając lekko ku sobie, i pogładził po twarzy, prawie nie dotykając, jakby był niewidomy i w pamięci odtwarzał jej rysy. „Nie bój się, nie przyjechał po ciebie”.

Spośród wszystkich znanych jej głosów tylko ten potrafił ukoić jej strach i zawsze wydawał się jej wolny od ciemności i kłamstwa. Głos ojca, przypominany sobie teraz tylko w snach, z których budził ją własny płacz, często zmieniał się we wściekły jazgot. Nagle słyszała jego krzyki, nie rozumiejąc ich przyczyny, i próbowała się ukryć, ze swej kryjówki – spod obrusa na stole, zza oparcia fotela, z przytulnej bliskości i zapachu starego materiału i tytoniu dziadka – słuchała obelg i okropnych przekleństw, tupotów i uderzeń świszczących w powietrzu za zamkniętymi drzwiami. Głos matki, kiedy do niej mówiła, zwykle miał chłód rozkazu albo gorzyc skargi, jeśli nie był ironiczny ton, raniący ją jeszcze wiele lat po okresie dzieciństwa, po którym zapewne nie został jej w pamięci obraz nieokreślonego raj, lecz skrywane tortury strachu i niepewności, jakie być może ja po niej odziedzyczyłem, podobnie jak rysy twarzy i kolor oczu. Przynajmniej jednak zawsze miała przy sobie głos dziadka Pedra, przemawiający do jej duszy wcześniej niż sięgała pamięcią, bo słuchała go od kołyski,

kiedy to półgłosem nucił jej habanery. Nocą wystarczyło, że usłyszała go w przyległym pokoju albo tylko wyobraziła to sobie, żeby rozpląły się wszystkie inne odgłosy ciemności, psalmy czarownic i okropne opowiadania wujka Mantequera, świst bomb, samochody przed świtem zatrzymujące się przed drzwiami domów i natarczywe walenie kołatkami, litanie matki i córki leżących w łóżku i nasłuchujących kroków mordercy, który przyszedł poderżnąć im gardła. *Oj, mamusiu, mamusiu, mamusiu, kto to może być*, śpiewano chórem o zmierzchu w świetle dopiero co zapalonych żarówek, *cicho, córeczko, córeczko, córeczko, już sobie idzie*, te słowa, które właśnie ją najbardziej wprawiały w przerażenie, powtarzała monotonicznie jej pamięć, kiedy leżała już w łóżku, i nie miało sensu zakrywanie głowy kocem i modlenie się Pod Twoją obronę, bo skrzypienie schodów oznaczało czyjeś kroki, a chrzączenie komików w belkach sufitu albo myszy w brogu było ostrzeżeniem, że ktoś wierci dziurę w murach zamkniętego domu, ktoś zbliżający się z nieuchronnością mechanizmu zegara, *oj mamusiu, mamusiu, mamusiu, kto to może być*, mężczyzna, który przyszedł im powiedzieć, że jej ojciec jest w więzieniu, *cicho, córeczko, córeczko, córeczko, już sobie idzie*, ci, którzy zastukali do drzwi domu na rogu i zabrali Justa Solanę w czarnej furgonetce, woźnica Makanki z twarzą kata albo nieboszczyka, garbaty lekarz don Mercurio, który odwiedzał chorych w jednym z ostatnich powozów, jakie widziała Mágina, i wydawał się z góry wysłany przez przedsiębiorstwo pogrzebowe.

Matka opowiada, że tego ranka powóz don Mercuria wjechał na plac Świętego Wawrzyńca kilka minut po Makance, czarny i zniedołężniały jak postać właściciela, ze skórzaną budą zniszczoną od słońca i wszystkich zim stulecia, z szybami porysowanymi od fal uderzeniowych eksplozji, z firaneczkami z gazy jak wdowia woalka, przez które mój dziadek Manuel ponoć zobaczył kiedyś twarz młodej kobiety, co pozwoliło mu zmyślać historie na temat legendarnej męskości don Mercuria, która według niego zachowała witalność i zadziorność aż do osiągnięcia przez lekarza wieku stu lat. Lecz moja matka jeszcze nie zobaczyła powozu, nie czekała, żeby się domyśleć po dźwięku kołatki, do czyjego domu zawitało nieszczęście. Została na podwórku, pod ochroną ręki dziadka, jeszcze spoczywającej na jej ramieniu, tak cicha jak pies, dzieląc z nim to samo poczucie bezpieczeństwa, jakie obojgu dawał głos Pedra Expósito, głaszczącego łeb zwierzęcia i mówiącego: „Ty też się nie martw, po nas też nie przyjechał”.

Przyjechał po kogoś, kto właśnie skończył nędzną śmiercią w Casa de las Torres, usłyszeli przez studnię z podwórka sąsiadów. W nocy kilka osób słyszało głąchą eksplozję, która wstrząsnęła szybami we wszystkich oknach, z przyzwyczajenia przypisali ją zapomnianym bombom, jakie zdradziecko wybuchwały na nie uprawianych polach i w ruinach domów. Przyjechali po murarza, który się powiesił, powiedziała Leonor Expósito jakaś kobieta, która na chwilę przystanęła przy oknie, po czym pobiegła, aby czym prędzej dołączyć do trwożliwej grupy formującej się już wokół Makanki, ale potem zobaczyli, że jeszcze nie całkiem wyzionął ducha, i natychmiast posłali po don Mercuria, bo nie było w Mágina lekarza mogącego zaradzić w tak beznadziejnym przypadku. I matka, i ojciec wiedzieli, że na plac Świętego Wawrzyńca zajeżdżał powóz don Mercuria, bo dotarła do ich uszu, ponad żywopłotami z winnego grona, piosenka, jaką dzieci śpiewały, gdy tylko się pojawiał.

*Hop, hop! Kto to? Kto to?
Lekarz garbaty
pieniądze chce do łapy,
po pesety jedzie
za wizytę po o biedzie.*

Tę samą piosenkę śpiewała babcia Leonor, kiedy była dzieckiem, i już wtedy wydawała się ona tak stara jak romanca o doñi Marii de las Mercedes; śpiewano ją jeszcze za mojego

dzieciństwa, dwadzieścia lat po śmierci lekarza, który musiał mieć już z dziewięćdziesiąt lat, kiedy odkryto mumię zamurowanej kobiety. Opowiadano mi jednak, że najdziwniejsza nie była zwinność mechanicznej małpy, z jaką się poruszał, ani niezmienna trafność jego diagnoz, lecz oderwanie od teraźniejszości, jego ubrania i maniery, peleryna z początku wieku, powóz z końmi nazwanymi dziwacznie *Weronika* i *Bartłomiej*, którym poruszał się po mieście w dzień i w nocy, bo nieważne, o jak późnej porze ktoś do niego przyszedł, zawsze zastawał go dobrze ubranego i gotowego do wyjścia: wysoki celuloidowy kołnierzyk, aksamitna peleryna z czerwonymi wyłogami i torba w zasięgu ręki, koń i kłacz zaprzęgnięte, zaspany woźnica w zielonej liberii i w czapce, którą zdejmował z głowy z szacunkiem zakrystianina, wchodząc do domu, w którym leżał zmarły albo ciężko chory. Według dziadka Manuela don Mercurio wymyślił miksturę zapewniającą mu nieśmiertelność. Matka wspomina, że z jednego z balkonów na pierwszym piętrze, schowana za doniczkami z geranium, zobaczyła, jak przed drzwiami Casa de las Torres ten wytworny staruszek, drobnutki i pokrzywiony, wyskoczył z powozu jak sprężyna, zanim Julian rozłożył schodki, i wystraszyła ją, choć widziana z tak daleka, jego blada twarz, rzeźba łysej czaszki, którą lekarz, w młodości mający opinię nieposkromionego uwodziciela pań z dobrego towarzystwa, natychmiast przykrył cylindrem, dotykając róna i lekko chyląc głowę, aby powitać inspektora Florencia Péreza, a także lekarza i pisarza sądowego, którzy wyszli mu naprzeciw z Casa de las Torres. Żółty i wysoki jak pomnik, na który nikt nie ma odwagi spojrzeć, woźnica Makanki palił, siedząc na koźle i obrzucając spojrzeniem woźnicę don Mercuria z perspektywy swej samotności kata albo przestępcy, i bez wątpienia porównując się z nim z zazdrością. Dwóch policjantów w szarych mundurach odpychało co bardziej zuchwałe albo złorzeczące kobiety, a pośród nich skakał jak małpa i krzyczał jak papuga skąpiec Lagunillas, który wiele lat później, gdy skończył osiemdziesiątkę, cherlawy i bezwąsy, jak zasuszone dziecko, zapragnął się ożenić i dał ogłoszenie w „Singladurze”, aby znaleźć narzeczoną młodą, uczciwą i robotną, kłamiąc przy tym tak bezczelnie co do swego wieku i wyglądu, że kiedy jakaś lekkomyślna wdowa odpowiedziała na ogłoszenie, przysłała go odwiedzić i zobaczyła go w wypaczonych drzwiach jego domu, rzuciła się biegiem w stronę ulicy Pozo, jakby uciekała przed zjawą. Sąsiadki żadne informacji stawiwały czoło policjantom, mimo to drzwi zatrzęsnęły się z ostatecznym hukiem nagrobnej płyty i nikt nie mógł się niczego domyślić aż do chwili, kiedy kilka godzin później strażniczka, łamiąc nakaz policji, opowiedziała w kolejce do studni na Altozano, że w jednej z krypt tego opuszczonego od półwiecza pałacu odkryto nienaruszone ciało dziewczyny. Przepiękna, powiedziała strażniczka, jak aktorka filmowa, i natychmiast się poprawiła, jak obrazek Najświętszej Pani, ubrana jak niegdyś damy, brunetka, z lokami, w sukni z czarnego aksamitu, z różańcem w dłoniach, święta zamęczona w tajemnicy, zamurowana w najgłębszej piwnicy Casa de las Torres, za ścianą z cegieł, przypadkowo rozbitą teraz granatem. A w ciągu kolejnych dni dopowiadała w długiej kolejce do studni i w publicznej pralni koło murów, że teraz zrozumiała, skąd się brały te głosy, co to czasem straszyły ją nocami, szepty i płacz jakby duszy w czyścicu cierpiącej, które składała na karb strachu, wszak żyła samotnie w tym wielkim domu z wieżami i blankami jakby w zamku, a w końcu był to wzywający ją głos świętej. Gabrielo, przyjdź, mówił, Gabrielo, jestem tutaj, ale ona tchórzliwie nie chciała słuchać, chowała głowę pod poduszką i nie opowiadała o tym nikomu, żeby nie wzięto jej za wariatkę. Któregoś razu, przy studni na Altozano, matka usłyszała, jak strażniczka naśladowała głos świętej, przeciągając końcówki słów w charakterystyczny „zaświatowy” sposób, jak w serialach radiowych, i tej nocy, gdy leżała w swoim pokoju, z którego okien w poświacie księżyca widać było fasadę Casa de las Torres i wydłużone cienie gargulców, wydało jej się, że do niej też docierają słowa wypowiedane tonem skargi, i wyobraziła sobie, że ciemność, w której otwiera oczy, jest ciemnością piwnicy i zamurowanej dziewczyny. Pamiętała, że wybuch rozległ się w podziemiach na placu godzinę przed świtem, ale nie ze świstem, jak działo się to w przypadku bomb zrzucanych z

samolotu, ale raczej jak rozszerzająca się fala trzęsienia ziemi, wygasająca tak szybko, że wielu śpiącym po przebudzeniu wydaje się senną marą. Strażniczka powiedziała, że gwałtownie zrzucona z łóżka, zobaczyła, jak nad jej głową pęka kamienne sklepienie pokoju, i wyszła na korytarze zasypane gruzem, drżąc o to, by nie zginąć pogrzebana żywcem w ruinach domu, który tym razem ostatecznie miał się zawalić po czterdziestu latach opuszczenia i trzech latach bombardowań. Kiedy jednak wyszła na dziedziniec, zapadła cisza, i nie spostrzegła żadnych zmian w zwykłym wyglądzie okien bez szyb i obróconych w ruinę podcieni, także więc uwierzyłyby, że był to senny koszmar albo krótkotrwałe trzęsienie ziemi, gdyby nie wydobywający się z jednego z piwnicznych okien słup kurzu zabarwionego na fioletowo rozproszonym światłem świtu.

To był znak, powiedziała później, nie don Mercuriowi ani policjantom, których pobożności nie dowierzała, ale sąsiadkom, które przez kilka tygodni dawały wiarę jej absurdalnym opowieściom, znak z nieba, sygnał od świętej, że już nie chce dłużej pozostawać ukryta przed adoracją katolików, a spostrzegłszy, że ciekawość kobiet jest tak wielka, iż nawet nie pilnują swego miejsca w kolejce do studni, na nowo przeżywała ten poranek, kiedy to ujrzała wznoszący się słup pyłu albo dymu i zebrała się na odwagę, aby wejść w podcienie, skąd schodziło się do podziemi, dokąd nikt, z tego co wiedziała, nie zszedł w ciągu minionego półwiecza, odkąd porzucił dom ostatni członek rodziny, zamieszkującej tu przez czterysta lat, i pozostała w nim jedynie stara strażniczka, jej matka, po której odziedziczyła nie tylko stanowisko, ale także wczesne wdowieństwo i skłonność do wynikających z samotności dziwactw, stopniowo przechodzących w dewocję i szaleństwo. Nie była jednak tchórzliwa, nie mogła być, skoro żyła w tym labiryncie korytarzy o sklepieniach z gnijących belek, będących siedliskiem nietoperzy, na dziedzińcach ze studniami ukrytymi w zaroślach, w salach balowych i podziemiach nawiedzanych przez stada szczurów tak zdrowych i szybkich jak króliki, zawsze sama, z pękiem wielkich kluczy jak wytrychy przywiązanych u pasa do konopnego powroza, który wyglądał jak sznur pokutny, otoczona dzikimi i wiernymi kotami, nocą oświetlająca sobie drogę okrętową latarnią, bo światło elektryczne miała tylko w pokojach południowej wieży, służących jej za mieszkanie. Zanim zeszła do piwnic, aby zbadać źródło dymu czy też wzywającego ją głosu, zarzuciła na ramiona swego rodzaju pelerynę austro-węgierską, wygrzebaną być może z wielkiego kufra, gdzie przechowywano karnawałowe przebrania, wbiła się w wielkie kalosze pozostałe po nieboszczyku mężu, wzięła latarnię, pasterską laskę, którą zwykle wygrażała włączającym do domu dzieciom i włóczącym przeskakującym parkany od tyłu, żeby przenocować i schronić się przed deszczem i chłodem. Wymacując laską drogę na nierównych kamieniach, zeszła ostrożnie do podziemi przypominających lochy, w których wyraźnie było słyhać złowrogie drapanie i szelest wielkich szczurów, umykających do pogrążonych w mroku zakątków. Pomimo głębokości i panującej ciemności piwnica nie śmierdziała wilgocią, ale powietrzem suchym i stęchłym, jak wewnątrz szafy zamkniętej przez długi czas, a kiedy strażniczka przedzierała się przez pajęczyny zagradzające jej drogę, dusił ją prośnący z nich pył.

W miarę jednak jak posuwała się naprzód głównym korytarzem, coraz wyraźniej wyczuwała zapach prochu, a potem, niemal za ostatnim zakrętem, wyczuła krew i z obrzydzeniem spostrzegła coś kosmatego i zakrwawionego przyklejonego do ściany, i dopiero po upływie kilku chwil zdała sobie sprawę, że jest to oderwana kocia głowa; kawałek dalej niewiele brakowało, a wdepnęłaby w kupę drżących jeszcze trzewi, przybliżając światło do wklęsłego granitowego muru, zobaczyła plamy krwi i strzępy poszarpanego mięsa, kawałki drewna i dymiącego żelaza. Wtedy sobie przypomniała. Kilka lat wcześniej przyjechali do Casa de las Torres żołnierze z rozkazem zamienienia domu na koszary albo magazyn, wyskoczyli z ciężarówki, pokazali jej brudny, zatłuszczony papier i zaczęli wyładowywać skrzynie i okropnie krzyknąć. Ale ona pogroziła im swą laską i dzieliła nią po grzbiecie

jednego z umundurowanych mężczyzn, który nie chciał jej słuchać, i obrzuciła ich takimi przekleństwami, że twarz zniekształciła jej się tak bardzo, iż wydawała się jednym z gargulców. Żołnierze śmiali się z niej, ale było ich tylko trzech i bardzo możliwe, że nie potrafili posługiwać się bronią albo nawet nie mieli amunicji. Czym prędzej zebrali skrzynie, wskoczyli do ciężarówki ścigani nieubłaganą pałąką i złorzeczeniem strażniczki, po czym zapalili silnik, grożąc, że wrócą, żeby ją rozstrzelać. Nie czekała, aż odjadą; zamknęła bramę, przekręcając klucz trzy razy, zasunęła grube zasuwki, nie tyle zadowolona ze swego zwycięstwa, ile zirytowana bezczelnością intruzów, co to nawet nie ubierali się jak prawdziwi żołnierze. Ale z jednej ze skrzyń wypadł ręczny granat i kobieta, dokładnie go obejrzawszy, trochę ze strachu ukryła go najlepiej jak potrafiła w najgłębszym zakamarku ostatniej piwnicy, wyobrażając sobie być może, że użyje go do obrony, gdyby wrócili żołnierze, obwarowując się w domu jak pan feudalny, co to go zbudował, niesforny konstabl Dávalos, który zbuntował się przeciwko Karolowi V w czasach powstania miast. I kiedy całkiem już zapomniała o broni przygotowanej do beznadziejnej obrony, jeden z dzikich kotów, słuchających jej jak tresowane sokoły, pewnie nadepnął albo ugryzł zawleczkę i spowodował wybuch, który rozszarpał go w jednej chwili, wstrząsnął posadami Casa de las Torres, skruszył kawałek muru z cementu i gliny zasłaniający najdalszy zakątek piwnicy i strażniczka odkryła w świetle latami bladą i zakurzoną twarz, zdającą się unosić w półmroku, jak twarz ducha odbijająca się nocą w szybie, jak woskowa Matka Boska w głębi kaplicy, gdzie ledwie tłą się gromnice. Spoglądała na mnie, jakby wychyliła się z dziury w ścianie, powiedziała strażniczka, spoglądała na mnie i mówiła, żebym się nie bała, że ona jest dobra i że nie zrobi mi nic złego. Na początku kobieta twierdziła, że słyszała głos świętej w snach, ale potem zaczęła dodawać szczegóły wyolbrzymiające cud, a głos świętej zmienił się w rzeczywisty, wypływający z jej zamkniętych ust, bardzo delikatny, jak zamierający szept obłożnie chorej, wszak święta spędziła dziesięć czy dwanaście wieków zamknięta w ciemności, siedząc w fotelu jak dama, która przysła z wizytą, z otwartymi niebieskimi oczyma wpatrzonymi w ścianę, znieruchomiałymi w wiecznej bezsenności, oświetlonymi kilka godzin później błyskiem magnezji Ramira Portrecisty, który uwiecznił jej olśniewające martwe oczy na fotografiach, abym teraz ja mógł na nie patrzeć i odbyć podróż, jakby w tajemniczym wehikule czasu, do placu ocienionego nie istniejącymi już topolami, i rozpoznać, i przypomnieć sobie rozbrzmiewające w dzieciństwie głosy moich rodziców oraz echa kołatek uderzających w drzwi domów, w których od lat nikt już nie mieszka.

UTRACONE GŁOSY miasta, świadkowie wytrwali, ignorowani, nieznani, ci, którzy opowiedzieli i którzy zachowali milczenie, ci, którzy strawili lata na wspomnieniach albo nienawiści, i ci, którzy wybrali apostazję i zapomnienie; klepsydry zawieszane na wystawach sklepów na placu generała Orduñi i na ulicy Nowej, znudzeni starszycy grający w domino i rozmawiający, zagłuszani przez telewizor, w domu starców, zażywający kąpiele słonecznych w zdewastowanych ogrodach Cava, depczący szkła ze stłuczonych butelek i plastikowe strzykawki albo drzemący przy grzejnikach w pokojach z meblami z syntetyczną tapicerką lub w ponurych korytarzach domu starców, wspominane głosy zmarłych i beznamienne twarze umarłych za życia.

Głosy, bezimienne twarze, postaci znieruchomiałe w czasie, oblicza zmarłych, katów, niewinnych, ofiar; inspektor Florencio Pérez, który nigdy nie rozwiązał żadnej kryminalnej zagadki ani nie przeprowadził żadnego przesłuchania, ani nie odważył się opublikować pod własnym nazwiskiem swoich wierszy; porucznik Chamorro, z dyplomem Wojennej Szkoły Ludowej w Barcelonie, więziony przez czternaście lat za wspieranie wojskowej rebelii, uwolniony i ponownie uwięziony po dwudziestu dwóch dniach, bo zaraz po wyjściu z więzienia wpadł mu do głowy szalony pomysł udania się w góry Maginy z oddziałem uzbrojonym w dubeltówki, w celu zgładzenia Generalissimusa polującego tam na jelenie albo uczestniczącego w duchowym odpoczynku kapelanów wojskowych; Manuel García, saper Gwardii Szturmowej oskarżony o bunt, bo pojawił się zgodnie z regulaminem w szpitalu Świętego Jakuba kilka minut po zawieszeniu na jego fasadzie czerwono-żółtej flagi; Domingo González, który uciekł z Maginy w maju 1937 roku i uniknął śmierci dzięki temu, że ukrył się w sianie, a jeden z tych, którzy go ścigali, wymacał jego ciało widłami do przetrucania gnoju, lecz zamiast go przebić albo zawołać innych milicjantów, powiedział, że mogą już iść, bo w stodole nie ma nikogo – później Domingo został sędzią spokojnie podpisującym wyroki śmierci, nie mającym litości nawet dla swego byłego przyjaciela i krajana porucznika Chamorro, jako nieustraszonego sędziego i emerytowanego pułkownika wrócił do Maginy i zamieszkał w domu na placu Świętego Wawrzyńca, gdzie wcześniej mieszkał stary Justo Solana, pewnego dnia podczas samotnej konnej przejażdżki otrzymał dwa strzały z pocisków z soli w oczy i ośleplł, resztę życia spędził dręczony strachem, że mężczyzna, który go oślepił, spełni swoją groźbę i przyjdzie go zabić w ciemności; Ramiro Portrecista, fotograf, smutny i zakochany w zmarłej, wygnaniec z wyboru w Maginie, w Madrycie, na Plaza de España, portrecista biednych nowożeńców w podróży poślubnej, młodych małżeństw z prowincji, uśmiechających się i trzymających pod rękę przed pomnikiem Don Kichota i Sanczo Pansy. I Lorencito Quesada, znakomity reporter i weteran z Systemu Metrycznego, dziekan korespondentów prasowych, radiowych i telewizyjnych w Maginie, ochotniczy i zawsze skazany na porażkę biograf znamienitych postaci z Maginy i całego okręgu, korespondent „Singladury”, tropiciel zagadek kryminalnych i paranormalnych, dowodów mocy telepatii i odwiedzin wysłanników z innych planet w dolinie Gwadalkiwiru, autor powieści w pięciu odcinkach o *Tajemnicy zamurowanej kobiety* czy też *Tajemnicy Casa de las Torres*, bo oba tytuły wydawały mu się sugestywne i dużo czasu zajęło wybranie jednego z nich, okazało się to zupełnie niepotrzebne, bo po kilku tygodniach gorączkowej pracy i bezsenności naczelny „Singladury” odrzucił nadesłanych trzydzieści stron maszynopisu i nigdy nigdzie ich nie wydano.

To Lorencito Quesada odkrył i chciał ujawnić światu czy też Maginie nie wydane wspomnienia inspektora, a później podkomisarza Florencia Péreza, to on poszukiwał, zawsze bezskutecznie, pieniędzy i sponsora, aby je wydać, powodowany entuzjazmem, nigdy się nie poddając ani też nie odnosząc sukcesu. Może tylko on w całym mieście wiedział (albo podejrzewał) cokolwiek o zacięciu literackim emerytowanego policjanta, który przez całe życie pisał wiersze i wysyłał je, pod pseudonimem, na wszystkie konkursy w prowincji, otrzymując z rzadka nagrody, których nigdy nie odbierał, z braku odwagi i nadmiaru wstydu, z powodu panicznego strachu przed śmiesznością, z wiekiem coraz bardziej dojmującego, który w końcu sprawił, gdy podkomisarz był już niemal na łożu śmierci, że poczuł pokusę spalenia wszystkich swych dzieł, pracowicie przepisanych na maszynie na rewersach oficjalnych formularzy, tak samo jak to zrobił albo kazał zrobić Wergiliusz. Aż do czasów emerytury powstrzymywał się przed uprawianiem prozy, bo uważał ją – z czego kiedyś zwierzył się Lorencitowi Quesadzie – za gatunek niższy, ale kiedy nie miał już nic więcej do roboty i zrozumiał, że stanął w obliczu zagrożenia gnuśnością i melancholią, potęgującymi się ponuro gdy zabrakło codziennego urozmaicenia życia, jakim była stała praca, przyszło mu do głowy zrehabilitowanie swych wspomnień, i wtedy wzmocnił się w nim zabobonny strach przed śmiercią, o ile nie była to żądza życia, bo zaczął się bać, że śmierć go zabierze, zanim skończy opowiadać swoją historię. Był wdowcem, mieszkał w domu córki, której mąż, magnat lokalnych wideoklubów, otwarcie nim gardził, inspektor miał jeszcze syna w Madrycie, i drugiego, który jako młody chłopak poszedł do seminarium, ale z jakichś niewyjaśnionych powodów zatracił się, zapuścił włosy i postanowił zostać wokalistą nowoczesnego zespołu. Po przejściu na emeryturę podkomisarz daremnie oczekiwał, że jego byli podwładni złożą mu wzruszający hołd albo przynajmniej podarują pamiątkową tabliczkę. Jednak tylko Lorencito Quesada, uważny na wszystko, poświęcił mu artykuł w „Singladurze”, a podkomisarz napisał do niego wyciskający łzy z oczu list z podziękowaniami, schował wycinek w niebieskiej teczce i zamknął się w swego rodzaju komórce, gdzie córka i zięć go zesłali, z odkupioną za grosze maszyną do pisania i paczką formularzy podań o dowód osobisty, które wyniósł z komisariatu, mocno się przy tym rumieniąc. Dopiero kiedy zaczął pisać na poważnie, ze zdziwieniem i z przykrością zdał sobie sprawę, że podczas całego życia właściwie nic mu się nie przytrafiło. Tak więc zadanie, którego się podjął i które jawiło mu się jako wyczerpujące, niebawem okazało się lekkie i trywialne i w ciągu niecałego roku codziennego pisania opowiedział sześćdziesiąt lat swego życia, a pewnego dnia, po dwudziestu minutach pracy, doszedł do przeżywanego właśnie chwili, zamyślił się więc, zniechęcony przejrzał notatki z ostatnich dni, wkręcił nową kartkę do maszyny i spokojnie zaczął opowiadać swe wspomnienia z następnego dnia, początkowo ze swego rodzaju poczuciem nierealności, a następnie oszukaństwa, jakby pozwolił sobie na drobne oszustwo w pasjansie, potem jednak kontynuował pisanie z coraz większą swobodą, a nawet radością, i opowiedział powrót swego młodszego syna, czarnej owcy rodziny i zgryzoty jego starości, który przybył skruszony, z ostrzyżonymi włosami, w krawacie, i poprosił o wybaczenie po przeżyciu kilku lat w jakiejś komunie na Ibizie, potem opisał podróż do Madrytu, gdzie zatrzymał się w tym samym pensjonacie, w którym zwykł przemieszkiwać przed wojną, pływał łódką po parku Retiro i jadł pieczone na blasze krewetki w tawernie „Abuelo” i dziękował Chrystusowi z Medinacelli za powrót marnotrawnego syna – kiedy podkomisarz umarł, na początku czerwca, jego wspomnienia dochodziły do pierwszych dni przyszłego Bożego Narodzenia, do dnia poprzedzającego uroczystość, którą Koło Kultury i Wypoczynku w Maginie miało zorganizować na jego cześć w kinie Ideal, aby uczcić złote gody jego związku z policją i literaturą.

W miarę jak maszynopis coraz bardziej zagłębiał się w przyszłość i fikcję, stawał się coraz bardziej zbyt konkretnie szczegółowy, inaczej niż w przypadku zdarzeń rzeczywistych, w których

znać było pospieszną albo pełną rozczarowania oschłość – wydarzenia związane ze znalezieniem nienaruszonego ciała dziewczyny nie zajmowały więcej niż pół strony i nie wnosiły niczego nowego ani zaskakującego, być może dlatego, że inspektor zapomniał szczegółów albo – jak domniemywał Lorencito – potężne i niejasne interesy zmuszały go czterdzieści lat później do zachowania tajemnicy. Już wtedy, w pierwszych dniach swej kariery, inspektor miał wypisane na twarzy pełne zamyślenia cierpienie i wypracowaną arogancję, które prezentuje na fotografiach Ramira Portrecisty i które pozostały niezmiennie aż do starości. „Spójrz na niego”, mówi Nadia, przypominając sobie, rozpoznając go, niemal z czułością, chociaż kiedy osiemnaście lat temu widziała go po raz pierwszy i jedyny, był już starym i smutnym policjantem wzbraniającym się przed hańbą emerytury. Oddziela zdjęcie od pozostałych, pokazuje je Manuelowi, stojącemu cicho za jej plecami i delikatnieją obejmującemu, obie ręce wsunął jej pod bluzkę. „Nigdy się nie zmienił”, powiedziała Nadia, miał twarz jakby wyciętą z szarego kartonu, włosy zachodzące aż do połowy czoła, zaczesane do tyłu i przyklepane brylantyną, sterczące mimo to grubymi kosmykami, których nie sposób było opanować, brwi jak dwa czarne łuki, twarz kwadratową o ładnych rysach, dolną wargę mięsistą i obwisłą z nieodmiennie przyklejonym skrzętem; twarz zarośnięta, choćby się golił dwa razy dziennie, niesamowita twarz, myślał z bólem, tak niesamowita jak jego imię, Florencio Pérez Tallante, imię fatalne zarówno dla policjanta, jak i dla poety, rozpacz i kaplica. Ramiro Portrecista sfotografował go w tym samym miejscu i niemal w takiej samej postawie, w jakiej zobaczyła go Nadia wiele lat później, siedzącego za stołem, pod krucyfiksem i obrazkiem Pana Naszego Jezusa oraz portretem Franco, telefon po prawej i sekretarzyk po lewej, broda wsparta na ręce, jakby pozował na myśliciela. Nudził się i liczył na palcach sylaby w swym gabinecie na placu generała Orduña, tuż przy wieży z zegarem, kiedy wszedł policjant, żeby mu powiedzieć, że jakaś kobieta wyglądająca i zachowująca się jak wariatka przysłała zgłosić znalezienie nie zidentyfikowanego trupa, z całą pewnością więźnia czerwonych, pogrzebanego po torturach w ukrytej niszy jakiejś podłej piwnicy. Jako pierwszy środek zapobiegawczy, nie zobaczywszy jeszcze kobiety ani jej nie wysłuchawszy, inspektor Florencio Pérez, nieustępliwy zwolennik metod radykalnych, nakazał natychmiastowe aresztowanie donosicielki, lecz kiedy policjant wychodził, aby wykonać rozkaz, który samemu inspektorowi wydał się wspaniale oschły i zdecydowany, drzwi gabinetu rozwarły się na oścież i wpadła strażniczka, wznosząc prawe ramię w gwałtownym *arriba España*², i hałaśliwie potrząsając pękiem kluczy przywiązanych do pasa jak więziennymi łańcuchami. „Chciałam pójść do proboszcza od Świętego Wawrzyńca” – zajazgotała, nie dając inspektorowi czasu na okazanie wzburzenia – „ale przypomniałam sobie, że już go nie ma, i pomyślałam sobie, Gabriela, idź do psiarni, bo to teraz najwyższa władza”.

To, że komisariat w Maginie nazywano psiarnią, doprowadzało inspektora Florencia Péreza do stanu bliskiego depresji, ale to, że rozczochrana kobieta w wyświechtanej pelerynie na ramionach, z pękiem kluczy, w cuchnących kaloszach, wpadła do jego gabinetu o tej spokojnej porannej godzinie, którą zwykł trawić na słodkim nieróbstwie i komponowaniu jedenastozgłoskowców, krzyczała na niego i nie okazywała strachu w obliczu władzy, wypowiadając mimochodem słowo psiarnia, niemal przyprawiło go o atak serca. Słabe uderzenie pięścią w stół sprawiło, że zawartość popielniczki wysypała się na protokoły – pośród których inspektor zwykł ukrywać brudnopisy sonetów – ale nie poprawiło jego zdania na temat własnej osoby. Nie nadawał się do tej pracy, zwykł zwierzać się przyjacielowi z dzieciństwa, porucznikowi Chamorro, którego z ubolewaniem od czasu do czasu był zmuszony aresztować, brak mu było charakteru. „Droga pani” – powiedział, wstając i strzepując popiół przyprószający mu spodnie i kłapy marynarki, jak don Antoniowi Machado

² Za czasów Franco w hiszpańskim wojsku obowiązywało salutowanie na sposób hitlerowski (przyp. tłum.).

– „proszę się zachowywać jak należy, bo będę musiał panią zamknąć za brak szacunku i wyrzucić klucz do studni”. „Oni tak z nią zrobili” – odparła strażniczka, której oddech cuchnął gumą i kanalizacją, jak kalosze – „zamknęli ją w ciemnicy i nie musieli wyrzucać klucza, bo zamurowali wyjście, żeby już nigdy nie wyszła”. „No aż tak to nie”, humanitarnie wymamrotał policjant, ale nie tak cicho, żeby inspektor nie usłyszał: „Wy, Murciano, odzywajcie się, kiedy się was pyta” – rzucił surowo – „wyjdźcie i czekajcie na rozkazy”. Policjant miał twarz wieśniaka i niezbyt odpowiednią posturę, aby nosić mundur, bo był dla niego trochę za duży, i kiedy przybierał postawę zasadniczą, marynarka żałośnie opadała wzdłuż tułowia jak sukienka. „W takim razie nie zabieram ze sobą tej kobiety w charakterze zatrzymanej?” „W żadnym charakterze, Murciano” – odparł inspektor, zirytowany, bo podwładny zawłaszczzył jego ukochane formuły oficjalnego języka. – „Wyjdźcie i nie zawracajcie mi głowy, już ja wam powiem, co robić, kiedy skończy się przesłuchanie”. „Ib znaczy, że nie zamknie mnie pan w psiarni?” Strażniczka zaczęła zbliżać się do inspektora, ze złożonymi rękoma, jakby się modliła, jakby za chwilę miała paść na kolana: „Miałam rację, kiedy mówiłam, że ma pan twarz dobrego człowieka, prawie chłopczyka”. „Proszę pani!” Inspektor wstał, po raz kolejny stwierdzając, że nie jest tak wysoki, jak to sobie wyobrażał w ulotnych chwilach euforii, a drugie uderzenie pięścią w stół spowodowało przejmujący ból w dłoni, bo grzmotnął w metalową krawędź przycisku do papieru w kształcie bazyliki z Montserrat. Odruchowo zważył go w ręce, przypominając sobie, jak łatwo dowolny przedmiot może się stać narzędziem zbrodni. „Proszę usiąść” – odłożył przycisk na stół. – „Proszę się odzywać tylko wtedy, kiedy będę pytał, i proszę zrobić mi tę grzeczność i zwracać się do mnie z należnym szacunkiem”.

To jednak nie ma sensu, myślał, nikt nigdy go nie szanował, ani przestępcy, ani podwładni, nikt, nawet własne dzieci, które po śmierci wręczyły Lorencitowi Quesadzie jego wspomnienia, nawet ich nie przejrzawszy, jak stare papiery oddawane na makulaturę. Aby się uspokoić, inspektor niezdarne skręcił papierosa i kiedy przesuwiał językiem po nasączonej klejem krawędzi bibułki, wpatrzył się w stojący na placu pomnik generała Orduñi, któremu poświęcił sonet rozpoczęty tego poranka. *Nieśmiertelny brąz twych trwałych czynów*, wymamrotał z niesmakiem, ale nie poddając się, *pamiętny brąz twych śmiałych czynów*. Palcami lewej ręki uderzał w szybę, licząc sylaby, tak zamyślony, tak bardzo zajęty trudnościami rymu, że przez dłuższy czas nie zdawał sobie sprawy, że za jego plecami strażniczka nie przestaje mówić, nie czekając na pytania, bez najmniejszego respektu dla jego władzy: „...brunetka, tak jest, ale z niebieskimi oczyma, bardzo dużymi, jakby była przerażona, tak jak ci ludzie, którym pomieszały się zmysły i już nie rozmawiają ani niczego nie rozpoznają, z przedziałkiem na środku, jak dawne damy, ze wstążkami i lokami, w czarnej sukience z wielkim dekoltem, czarnej albo granatowej, albo fioletowej, nie mogłam dobrze zobaczyć, bo w dziurze jest bardzo ciemno, a ja nie chciałam bardziej jej rozbijać, żeby niczego nie dotykać, zanim panowie nie rozkażecie, i ma szkaplerz na szyi, to widziałam bardzo dobrze, wydaje mi się, że to szkaplerz Pana Naszego Jezusa...”

Hiszpanii chwały wciąż wielkiej przydając, zdecydował się inspektor, nie spoglądając na strażniczkę ani jej nie słuchając, *żar odwagi w swych trzewiach podsycając*. „A wzrostu będzie gdzieś takiego jak pan, drobniutka, ale bardzo zgrabna, chociaż też nie widziałam jej zbyt dobrze, bo zdaje się, że siedzi w fotelu, nie chciałam też zaglądać do środka, żeby czegoś nie zniszczyć, zmarłych nie należy dotykać, zanim sędzia nie rozkaże, żeby ich podnieść, ona oczywiście nie leży, a mnie się wydaje, że też nie jest martwa, jak mogłaby być, skoro ma skórę delikatną jak brzoskwinia, ale bardzo bladą, tak, tak, jak wosk, czy to dlatego, że – jak słyszałam – te damy pijały ocet...” *Z zapomnienia wichrów przed się gnając!*, niemal wykrzyknął inspektor entuzjastycznie, a bojąc się, że później nie będzie pamiętał tego tak wspaniałego wersu, wrócił do biurka i zapisał go na marginesie jakiegoś urzędowego pisma,

udając, że zapisuje szczegóły oświadczenia strażniczki. Godzinę później, znużony niemożnością niepowtarzania w myślach absurdalnych słów zakończonych na „-ąc” i nie potrafiąc skłonić strażniczki do chronologicznego uporządkowania opowieści, inspektor Florencio Pérez energicznie nacisnął różne dzwonki, odbył dwie rozmowy telefoniczne, rzucając później słuchawkę ze stosowną gwałtownością, włożył płaszcz i kapelusz i nakazał przygotować samochód celem natychmiastowego stawienia się na miejscu zdarzenia, jak wyjaśnił w raporcie, którego zredagowanie kosztowało go więcej wysiłku niż pierwsza strofa sonetu o generale Orduña, do którego w piwnicach Casa de las Torres dodał wers kończący się na „pajęczyny tkając”, tak wiele ich musiał z obrzydzeniem usuwać z twarzy i rąk, kiedy dokonywał wnikliwych oględzin tego, co w swym raporcie nazwał teatrem zbrodni, nie dlatego, że uważał, iż popełniono zbrodnię, ale po to, by po zaledwie czterech liniijkach nie powtarzać „miejsce zdarzenia”.

W swych wspomnieniach zawarł nazwiska świadków, którzy zeszli wraz z nim do piwnicy, gdzie odkryto nienaruszone ciało kobiety: lekarz don Mercurio i jego woźnica Julian, lekarz sądowy Galindo, Medinilla, skryba sądowy, który po latach zarządzał znaną kancelarią i został wybrany posłem do Kortezów, policjant Murciano, krnąbrna strażniczka i na koniec Ramiro Portrecista i jego pomocnik Matías, który był głuchoniemy, odkąd spędził cały dzień pogrzebany pod gruzami domu rozbitego pociskiem z haubicy. Inspektor poczuł się zlekceważony, kiedy pojawił się don Mercurio, którego oczywiście nikt nie wezwał, wszyscy skłonili się zgodnie przed jego autorytetem i przestali zauważać inspektora, jakby przestał istnieć, jakby to nie on w tej chwili był najwyższą władzą w Casa de las Torres. „Chodzi o niespotykany przypadek mumifikacji”, powiedział lekarz sądowy, kiedy strażniczka zamknęła drzwi prowadzące na ulicę i głosy kobiet słychać było jak odległe gruchanie stada gołębi. „Nie wydaje mi się, żeby był bardziej niespotykany niż ja sam” – powiedział don Mercurio, stojąc tuż przy inspektorze, jakby go nie widział, obrzucając spojrzeniem niepewne marmurowe kolumny i łuki dziedzińca. – „W moim wieku zrozumiecie, panowie, że człowiek najlepiej zna się na mumiach”. „Sądząc po ubraniu, powiedziałbym, że zamurowano ją jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat temu”. W przypadkach beznadziejnych inspektor Florencio Pérez próbował umocnić swój chwiejny autorytet, posiłkując się wiedzą naukową. „Sześćdziesiąt lat!” wykrzyknęła strażniczka, jakby potępiając bluźnierstwo i groźnie potrząsając pękiem kluczy. „Raczej sześćdziesiąt wieków, odkąd zbudowano ten dom. Była więziona przez Maurów...” „Proszę nie opowiadać bzdur, proszę pani” – Medinilla, skryba sądowy, donosiciel tajnej policji, machnął jej przed oczami otwartym notesem i ołówkiem i udał, że notuje – „bo ja wszystko zapisuję i zostaje tu, czarno na białym”.

Szli, wymijając pokruszone posągi i kupy gruzu, na których rosły malwy i stulisze, a gdy dotarli do dziury pod marmurowymi schodami, kroki i głosy zaczęły odbijać się echem jak w krypcie. „Ostrożnie na schodach” – powiedziała strażniczka – „są bardzo zdradliwe”. Jako pierwszy zszedł inspektor, oświetlając sobie drogę silną latarką, i nikt więcej się nie odezwał, nawet strażniczka, kiedy mijali piwnice i korytarze prowadzące do innych, identycznych piwnic, zastawionych meblami wielkimi jak katafalki, i przegniłe magazyny rozmaitych powozów. Kiedy latarka oświetliła niszę, którą murarz całkowicie odsłonił, strażniczka przeżegnała się szybko i pobożnie i wszyscy, oprócz don Mercuria, zachowali pewien dystans, spoglądając na cienie rzucane na ściany w kręgu światła, wśród których jak woskowa figura pośrodku kapliczki, majestatyczna jak egipski posąg nieznanego boga, z rękoma złożonymi na podołku, w sukni w stylu Drugiego Imperium i z głową wspartą na oparciu bardzo wysokiego fotela, dziewczyna spoglądała w próżnię swymi niebieskimi oczyma, z których silna latarka wydobywała szklany blask. Nie było w niej jednak nic zaskakującego, raczej jakby nie zmacona niczym naturalność, jakby nie była zamurowana przez ostatnie

siedemdziesiąt lat, ale właśnie przed chwilą usiadła w fotelu w gabinecie, aby w spokoju przyjąć najbliższych przyjaciół, którzy z szacunku nie podchodzą bliżej, lecz czekają, aż ich przywoła jednego po drugim.

Nie odwracając się, jak chirurg skupiony na problemach skomplikowanej operacji, don Mercurio zażądał okularów, swej torby, światła. Obok niego, bardzo usłużnie, odgadując jego gesty, Julián pochylał się, aby przyjrzeć się dziewczynie, i zmuszał pozostałych do zachowania dystansu, oddzielając ich od don Mercuria. Teraz Julián trzymał latarkę, bo inspektor Florencio Pérez wręczył mu ją z potulnością, którą w cichości ducha uznał za niewybaczalną, i przez ponad minutę, dopóki strażniczka nie zapaliła naftowej lampy, jedynie błyszcząca i sina postać zmarłej, z zakurzonymi włosami okalającymi jej twarz jak czarna gaza, wyłaniała się z ciemności otaczającej pozostałych, tchórzliwe cienie, ocierające się o siebie, nie rozpoznające się i wsłuchujące się w swe oddechy, podczas gdy niewielka i garbata postać don Mercuria poruszała się powoli w oświetlonej niszy, wykonując szybkie ruchy jakby w jakiejś liturgii albo odczyniania uroków rozczapierzonymi palcami, przesuwał nimi po twarzy mumii, nie dotykając jej, a zaplątawszy się w jeden z loków na skroniach, wzbudził delikatną chmurę kurzu, który przyprawił ich o kaszel.

„Zwróć uwagę, Julianie” – odezwał się don Mercurio – „że ta dziewczyna nie bronila się przed zamurowaniem. Czyżby ją uszpeci, a kiedy się obudziła, dostała zapaści, która nie dała jej czasu nawet na panikę? Przyjrzyj się jej palcom” – don Mercurio zdjął binokle i w żółtym lewym oku umocował maleńką, ale bardzo silną lupę – „wszyscy pogrzebani żywcem przy ekshumacji wykazują podobne cechy. Zdarłe paznokcie, połamane palce, nienaturalnie poskręcane członki. Wytrzeszczone oczy, rozwarte szczęki, wywichnięte od krzyków przerażenia. Ta pani albo panna, nie. Zwróć uwagę na jej pozycję; doskonały spokój. Specyficzne środowisko tej krypty spowodowało fenomen, który tej biednej strażniczce wydał się cudem. Zdarzenie niecodzienne, ale nie wyjątkowe, o czym doskonale wiedzą archeolodzy i władze kościelne. Co o tym sądzisz, Julianie?” Wiedza don Mercuria czasem napełniała woźnicę chwytającym za gardło poczuciem szczęścia: „Co ja mam sądzić? Że jest pan wybitnym specjalistą, don Mercurio”. „Nie podlizuj się Julianie, bo jedną nogą jestem już na granicy wielkiej niewiadomej i próżność tego świata jest mi obojętna. Fakty, Julianie, *facts*, jak mówią Anglicy”. „Ostrożnie, don Mercurio” – odezwał się Julian, rzucając okiem na pozostałych – „bo mamy tu wielu stronników Osi”. Don Mercurio przysunął lupę do źrenicy martwej dziewczyny, niczym okulista badający wzrok. „Od pół wieku jestem zwolennikiem aliantów, Julianie, nie chcesz chyba, żebym stojąc nad grobem, stał się wielbicielem Kaisera”. „Ale nie ma już Kaisera, don Mercurio” – odezwał się skryba, który zbliżył się do nich z instynktowną ostrożnością donosiciela – „teraz w Niemczech rządzi Hitler”.

„Też mi różnica”, lekarz nawet się nie odwrócił. Każąc Julianowi bardziej przybliżyć światło, musnął policzki mumii palcem wskazującym prawej ręki, po czym powoli i delikatnie pocierał opuszek kciukiem, aby dokładnie wyczuć teksturę kurzu, pyłu, delikatnego jak pyłek z motyli skrzydeł. Wydawało się, że dotyka marmuru posągu albo powierzchni obrazu, który boi się uszkodzić dotykiem czy nawet oddechem. Rogiem chusteczki wyczyścił medalion, lśniący na dekolcie zmarłej, i bardzo delikatnie dmuchnął w malutkie szkiełko osłaniające sepiowy obrazek Chrystusa w koronie cierniowej. Potem cofnął się o kilka kroków, nie przestając patrzeć na dziewczynę, a zwróciwszy lupę Julianowi, który skrupulatnie schował ją do torby, zanim ponownie umocował na nosie binokle, potarł oczy i przez chwilę wydawał się znacznie starszy i słabszy, jakby nagła fala zmęczenia uwydatniła jego garb albo jakby za chwilę miał zemdleć. Julian, natychmiast wyczuwając jego samopoczucie i alarmujące wahnięcia, wręczył latarkę inspektorowi i odstawił torbę na podłogę, przygotowując się do dyskretnego podtrzymania tego ciała tak lekkiego jak słomiana kukła, przysuwając się do niego, jak to robił wielokrotnie, aby nie pozwolić mu upaść, bo bał

się, że jeśli don Mercurio osunie się na podłogę, zostanie tam na zawsze. Jednak lekarz tylko nieznacznym gestem szukał ramienia swego woźnicy, a natrafiwszy nań, zacisnął na nim prawą dłoń z siłą będącą już tylko samym uporem, i w sekundę potem, jakby poprzez ściśnięcie czyjegoś ramienia wpłynęły weń nowe siły, ponownie uniósł głowę, włożył kapelusz i ze zwykłą dziarską ironią stawiał czoło pytającym i trochę wystraszonemu spojrzeniom pozostałych.

„Moim zdaniem” – powiedział – „i powstrzymując się przed oświadczeniami leżącymi w gestii mego uczonego kolegi, do którego obowiązków należy w końcu wygłoszenie sądu, najbardziej roztropnym będzie nieruszanie ciała z miejsca. Jak pan z całą słuszością domniemywał, panie inspektorze, ta młoda osoba została tu zamurowana jakieś siedemdziesiąt lat temu. Wiem to, niestety, bo pamiętam, że tak się ubierały młode kobiety z dobrych rodzin w czasach mej pierwszej młodości. I kto nam zaręczy, że nie rozpadnie się w pył, kiedy zabierzemy się do jej przenoszenia, bez względu na to, jak będziemy ostrożni? Przypuszczam, że jest pan na bieżąco, panie inspektorze, z pracami nieodżałowanego egiptologa mister Cartera, któremu szczęśliwie miałem honor być przedstawiony wiele lat temu w Madrycie. Mumie zachowane w doskonałym stanie przez cztery tysiąclecia mogą zostać nieodwracalnie uszkodzone przez zbyt mocne światło, gwałtowną zmianę temperatury albo odrobinę wilgotnego powietrza”.

Inspektor Florencio Pérez chciał coś powiedzieć, lecz przyływ wdzięczności wobec don Mercuria i Howarda Cartera, o którego pracach nie miał bladego pojęcia, ale którego śmierć nagle zdała mu się wielką tragedią, zakleszczał mu gardło, i obawiał się, że jeśli przemówi, wyda z siebie piskliwy głos. „Widziałem film na ten temat” – usłyszał u swego boku głos skryby Medinilli. – *Przekleństwo mumii. Z Borisem Karloffem*. „Sugeruję więc” – don Mercurio nawet nie spojrzął na skrybę – „sprowadzenie fotografa, zapieczętowanie piwnicy i poproszenie o pomoc specjalistów lepiej przygotowanych niż my, dla dobra nauki, bo wszak nie tej dziewczyny, jej w tej sytuacji jest pewnie całkowicie obojętne, czy przerwiemy jej wieczne odpoczywanie”. „Amen”, powiedziała strażniczka, pochylając głowę. A inspektor, od kilku chwil cyzelujący nowy wers („pozagrobowej twarzy biel”) i mający poczucie zrehabilitowania dzięki szacunkowi okazanemu przez don Mercuria, zdecydował się w odpowiedniej chwili przejąć należną mu inicjatywę. „Murciano” – odezwał się równie uprzejmie co stanowczo – „proszę zawiadomić Ramira. I niech nie zapomni przynieść magnezyj”. „Rozkaz” – Murciano stanął na baczność. – „Mam powiedzieć temu od Makanki, żeby odjechał?” „I niech nie wraca”, wtrąciła się nagle strażniczka. „Jeśli chodzi wam o karawan” – inspektor z radością przyjął okazję wykazania się przed don Mercuriem biegłością w posługiwaniu się językiem – „możecie powiedzieć woźnicy, że tymczasem nie ma potrzeby korzystania z jego usług”. „Dobrze powiedziane. Nieboszczycy niech jądą na cmentarz, to jest chrześcijański dom”. Strażniczka przemówiła w tak niewielkiej odległości od twarzy inspektora, że obficie spryskała go śliną. „A co do pani” – spokojny, niemal upojony władzą i ufnością pokładaną w samym sobie, inspektor wytarł twarz chusteczką i spojrzawszy strażniczkę głęboko w oczy – „proszę zrobić mi tę grzeczność i zostawić mnie sam na sam z tymi panami”. „Sprawa poufna” – rzucił skryba, siłąc się na operetkowe cwaniactwo – „*top secret*”.

Julián odprowadził strażniczkę i Murciana i zaraz wrócił z latarką. Kiedy wchodząc, niechcący oświetlił don Mercuria, jego twarz znowu wydała mu się znacznie starsza niż kilka godzin wcześniej, i pomyślał, że lekarz wie coś, co ukrywa przed pozostałymi, i dostrzegł w nim przynębnienie, którego wcześniej nie zauważył, jakby wyrzeczenie się silnej woli i wewnętrzne oddanie się śmierci. „Wie, kim ona jest, i nikomu o tym nie powie, znał ją, kiedy żyła i oboje byli młodzi”. Ale bał się o tym myśleć, przepełniała go strachem myśl o tym, jak niebywale stary jest don Mercurio, i o otchłani doświadczenia i okropieństwa, jaką

przechowywał w swej pamięci po siedemdziesięciu pięciu latach obcowania dzień w dzień z chorobą, bólem, nędzą, agonią, po przeżyciu kilku wojen i obejrzeniu narodzin, a potem schyłku i śmierci tak wielu mężczyzn i kobiet, którzy już nie istnieją, fioletowe twarze wybuchające szlochom pośród potoków krwi i rozrzuconych trzewi, krzyczących kobiet z rozchylonymi kolanami, twarze nieruchome, zasnuwane śmiercią na poduszkach jeszcze wydzielających woń potu, strachu i już bezużytecznych leków. Pomyślał, że dla don Mercuria żywi i martwi są podobnymi cieniami, złudą młodości i piękna, i wigoru, bezgłośnie toczeni gangreną rozkładu i zawsze zagrożeni sztyletem cierpienia; bez wątpienia on sam, Julián, i lekarz sądowy, i inspektor, i sądowy skryba, byli bardziej odlegli dla don Mercuria niż ta zmarła przed siedemdziesięciu laty, czas terazniejszy, w którym oni wszyscy żyli, wydawał mu się urojeniem albo teatrem cieni, podobnych do tych rzucanych przez światło latarki i naftowej lampy, przyszłością tak odległą od jego młodości, że nie mógłby jej nadać, chociażby chciał, niewątpliwej konsystencji rzeczywistości.

Takim go zobaczył po swym przyjsciu Ramiro Portrecista, półoficjalny policyjny fotograf, pięć nieruchomych cieni przy niszy oświetlonej stojącą na ziemi lampą naftową, mniej realni i trwali w jego wyobraźni niżli twarz i spojrzenie tej kobiety, której pośmiertny portret pokazał majorowi Galazowi ponad trzydzieści lat później, jakby chciał go przekonać, że nie wymyślił historii o jej odnalezieniu. Zawiadomiono go, powiedział, tak jak zwykle, że znaleziono trupa, portretował zarówno żywych, jak i martwych, załadował aparat na siedzenie swego niemieckiego motocykla, na migi kazał swemu głuchoniememu pomocnikowi wsiąść ze statywem do przyczepy, sam założył okulary lotnicze i ruszył w kierunku Casa de las Torres, a kiedy w końcu poprowadzono go do piwnicy i zapytał, przechodząc od razu do sedna sprawy, gdzie jest trup, usłyszał nieprzyjemny głos skryby Medinilli: „To nie trup. To zmumifikowane ciało”.

To nie może być mumia, pomyślał Ramiro Portrecista, kiedy zobaczył z bliska jej twarz, podczas gdy pomocnik rozkładał statyw i umieszczał w odpowiednich miejscach flesze z magnezją; to była bardzo młoda dziewczyna, choć trochę staroświecka, niech pan spojrz, powiedział do majora Galaza, trzymając fotografię w drżących już ze starości dłoniach, bardzo spokojna i bardzo piękna, z wysokimi kośćmi policzkowymi, z otwartymi oczyma, z włosami zebranymi w kok i z lokami, i wydało mu się, że miała nawet upudrowane różem policzki, tylko odrobinę, jak na kolorowanych ręcznie portretach, i że jej martwe oczy spoglądały na niego tak, jak nigdy nie patrzyły żywe kobiety, bo go nie zauważały, kobiety nie patrzą na fotografa, wyjaśnił, myślą o kawalerze, któremu wysłać zdjęcie z elegancką, czułą albo namiętną dedykacją, wedle uznania. Przyjrzał się twarzy dziewczyny i pomyślał, że jest hoża i krągła, bo znał te dwa przymiotniki z powieści, a potem jego wzrok zsunął się nieśmiało i z szacunkiem na szyję, która zdawała się zrobiona z wosku, i ujrzał medalik ze świętym obrazkiem, wydało mu się przez moment, że dostrzega ledwie widoczny, kataleptyczny oddech. To on, Ramiro Portrecista, był jedynym, który odważył się ująć w palce medalik, starając się to ukryć przed innymi, odwrócił go i zobaczył, że po drugiej stronie nie było świętego obrazka, tylko fotografia bardzo młodego mężczyzny, z wąsami i hiszpańską bródką, jak Gustavo Adolfo Bécquer, powiedział majorowi Galazowi. Zobaczył też w miejscu, w którym wypukłość piersi rozluźniała odrobinę dekolt, rąbek czegoś, co zdawało się wielokrotnie złożoną kartką papieru. Odszedł trochę do tyłu, przez cały czas wpatrując się w te oczy, jakby z bladoniebieskiego szkła przysypanego pyłem i niezmiennie utkwione w jego oczach, poprawił ustawienie fleszy, poruszając rękoma niemal tak szybko jak jego pomocnik, do którego w ciszy adresował kwieciste diatryby, schował głowę pod czarną pluszową płachtą aparatu, wyglądającą potem jak garb don Mercuria, i kiedy miał nacisnąć archaiczną gumową gruszkę zwalniająca migawki, widząc odwrócony obraz martwej dziewczyny, odniósł wrażenie, że on też odwrócił się z lekkością, i beznadziejnie zapragnął,

by ogień magnezji, rozjaśniając źrenice młodej kobiety, przywrócił jej życie, przynajmniej na ułamki sekundy, na czas trwania płomienia.

PAMIĘTAM ZIMĘ i chłód, doskonały błękit w grudniowe poranki i zimne promienie słońca na wapnie ścian i żółtym piaskowcu Casa de las Torres, pamiętam zawroty głowy, nachodzące mnie przy wyglądaniu przez mury i spoglądaniu w otchłań przepaści i na nieograniczone przestrzenie świata, tarasy ogrodów, grzbiety wzgórz pokryte oliwnymi gajami, daleki i wąty blask rzeki, granat łańcuchów Sierry, kontur góry Aznaitín, na której zboczach wisiały białe skupiska domów i nocami błyszcząły światła jak świece w kościele, i reflektory samotnych samochodów, przeszywające ciemność jak reflektory przeciwlotnicze, to pojawiające się, to znikające pomiędzy rzędami drzew oliwkowych i na zakrętach szosy. W niesamowitej przejrzystości najbardziej odległe przedmioty nabierają wyrazności kryształów lodu. Wskazywali na te góry i mówili, że po ich drugiej stronie stanął front i że południowy wiatr przynosi opóźnione odgłosy detonacji dalekiej bitwy. Na tym horyzoncie przelatowały od czasu do czasu wrogie samoloty, które chyba nigdy nie zbliżyły się do Maginy i były jedynie metalicznymi refleksami słońca w jasne południe. Stamtąd, z drugiej strony gór, przybywali podróżnicy i uchodźcy, ścieżkami wspinającymi się z doliny przyszedł pieszo do Maginy dziadek Manuel, kiedy wypuścili go z obozu koncentracyjnego, i na zboczu wzgórza tuż nad rzeką Domingo González dostał te dwa strzały z pocisków z soli, które go oślepiły; przez skupiska drzew oliwkowych dotarł do miasta, wlokąc się jak zraniony pies. W tym kierunku prowadziły wszystkie możliwe drogi, poza nasypami bez torów kolejowych, które nigdy nie istniały, i błotnistym prądem Gwadalkiwiru, na skałach, siniejących o zmierzchu, zamieszkiwały jankonie i mieli swe sanatoria suchotnicy, co to czasem przyjeżdżali do Maginy w czarnych furgonetkach wyładowanych wielkimi, pustymi, szklanymi pojemnikami, a wypełnionymi krwią, kiedy wyruszali w drogę powrotną, ludzką krwią spuszczoną za pomocą wielkich stalowych igieł, którymi operowali w gumowych rękawiczkach i które szybko wycierali w poły białego fartucha, krwią dzieci długo nie wracających do domu, kiedy zapadła już noc i widziały otwierające się drzwi czarnego samochodu i bladą dłoń przyzywającą je i ofiarowującą cukierka albo kawałek czekolady Później znajdowano ich bladospine ciała w gnojówce albo na skraju drogi, a na przedramionach albo na szyi widać było purpurowy znak po igle, która powoli wyssała z nich krew. Widzieliśmy z daleka kondukt z małą białą trumną i ktoś zapewniał, że spoczywa w niej dziecko złapane przez suchotników, ubrane jak do Pierwszej Komunii, z różańcem w rękę i książeczką oprawioną w masę perłową. Od czasu do czasu wieść się nosła po szkolnym dziedzińcu albo pośród plotkarzy na placu Świętego Wawrzyńca, że przyjechali suchotnicy, ktoś widział ich długie karawany albo słyszał, gdy przejeżdżali, brzęk pojemników na krew, ktoś został przez nich złapany i umknął, wyslizgując się z drapieżnych zimnych dłoni w gumowych rękawiczkach, i uciekał od twarzy zakrytych maskami, zza których dobiegał świst oddechu przyspieszonego łaknieniem krwi, a wtedy, przez kilka dni, dopóki nie minęło przerażenie, tak samo niespodziewanie jak się pojawiło, nikt nie odważał się zostawać na ulicy po zapadnięciu zmroku ani zbiec z drogi prowadzącej do szkoły, strachliwym spojrzeniem obrzucaliśmy tych kilka samochodów, które krążyły po mieście, i zapadała nad zaułkami i placami naszej dzielnicy przedwczesna cisza, spływająca jak delikatna, fioletowa mgła na całą okolicę, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi w zimowe popołudnia; złowieszczą cisza, wypełniona duchami zrodzonymi ze strachu kilku pokoleń, ze szczęku rygli i uderzeń kołatek, z kroków nieznanomych, pijanych, morderców, wariatów, trwających w tchórzliwej pamięci Maginy i

naszych rodziców, w słowach, zawsze ukradkowych albo dwuznacznych, pozostałości strachu i nieszczęść z czasów wojny.

Pamiętam wilgotne i złote światło deszczowych dni i zieleń świeżo wzeszłej trawy pomiędzy kocimi łbami oraz intensywność, z jaką słońce się w nich odbijało, i widzę siebie samego z oddali, z perspektywy dorosłego, jak zbieram owady, żeby chować je do pudełka od zapalek, które później przykładałem do ucha, wsłuchując się w delikatny szelest ich czułków i odnóży, zawsze samotnie, chyba że byłem z moim kolegą Feliksem, zawsze przyglądałem się z daleka zabawom innych dzieci, obawiałem się ich, okrutnie pastwiących się nad sobą i wściekle prześladowujących słabszych, mniejszych albo głupich, chowałem się w sieni, żeby stamtąd bezpiecznie śledzić ich zabawy i rozmowy, wyobrażałem sobie przygody, wyolbrzymiając rozmiary miejsc i przedmiotów, przemieniając drobne łądźki traw w leśne drzewa, a owady w prehistoryczne stworzenia, jak te widziane w kinie, a zamknięte drzwi Casa de las Torres w mury zamku, zawsze oczekiwałem czegoś, nie wiadomo czego, przybycia z pola ojca albo dziadka Manuela, ciągnącego za sobą muła załadowanego oliwkami, warzywami albo paszą, pachnących gliną i sztruksem, i sianem, na powrót matki, o której mówiono, że jest w szpitalu, i pojawiała się nagle, kiedy już niemal o niej zapomniałem, stała w progu, początkowo wydawała się nieznajoma, bo była chudsza i bledsza, pochylała się nade mną, żeby podnieść mnie z podłogi, i przytulała mnie do swych miękkich i ciepłych piersi, szlochając w ciszy, wycierała mi łzy chusteczką, wyjmowaną z fartucha i też wydzielającą zapach choroby i szpitala.

Nie widzę jej ówczesnej twarzy, pamiętam siwe włosy i dzisiejsze postarzałe rysy i nie chcę jej sobie wyobrażać, tak samo jak nie chcę myśleć, że mój ojciec nie jest odporny na działanie czasu, ani wspominać dziadka Manuela czy babci Leonor gnuśniejących na kanapie jakby w poczekalni przed śmiercią, ale czasem, kiedy dzwonię z jakiegoś miejsca, którego ona nie potrafiłaby odnaleźć na mapach, z oddali, jaką potrafiłaby sobie wyobrazić tylko w zestawieniu ze snami albo obrazami z filmów, słyszę jej głos, i jest to ten sam głos sprzed lat, jestem jej wdzięczny za okazywaną czułość i za akcent z Maginy, dostrzegam w niej tę niewinność i niepokój, tembr głosu, jakim budziła mnie w zimowe poranki, śpiewając mi romance, otwierając okna, zamiatając posadzkę i ścieląc łóżka. Miała taki sam głos przed moim narodzeniem: nie głos kogoś, czyje istnienie ogranicza się do bycia matką, lecz głos dziewczynki z kokardką we włosach, śmiejącej się do aparatu zaciśniętymi ustami, żeby nie pokazać zębów, i głos kobiety pozującej profilem do zdjęcia w sukni ślubnej, spoglądała i bezwiednie przechylała głowę w sposób przywodzący na myśl pozujące w owym czasie artystki filmowe, odchyłała prawą ręką zasłonę, za którą widać balustradę i francuski ogród, namalowany być może w latach dwudziestych przez don Otta Zennera, apostoła fotografii studyjnej w Maginie, poprzednika i mistrza Ramira Portrecisty.

Nie pamiętam jej twarzy i umykam od wzbudzającego poczucie winy wyobrażenia sobie, jakie może być obecnie jej życie, postępująca starość, bóle stawów, trudności we wchodzeniu po schodach, utrzymaniu domu w czystości bez niczyjej pomocy, taszczeniu drewna, żeby rozpalić pod kuchnią przed świtem, pielęgnowaniu, ubieraniu i myciu dziadków, ślepy obowiązek pracy, któremu się poświęciła, odkąd nauczyła się posługiwać rozumem, zawsze posłuszna innym, zawsze obawiająca się okrucieństwa innych albo zraniona ich obojętnością, nigdy nie myślała, że na coś zasługuje, że można żyć w inny sposób. Wolę słyszeć jej młody głos w słuchawce telefonu i nie myśleć, że prowadzi życie inne niż moje, w którym poznała niewiele ponad strach, pracę, obowiązek i ból. Zegnam się, odkładam słuchawkę, odrzucam nostalgię i wyrzuty sumienia i wpatruję się w okno hotelowego pokoju albo w hol lotniska, z którego do niej zadzwoniłem, żeby nie wyobrażać sobie smutnego półmroku, żeby nie widzieć jej, trzymającej jeszcze w ręku słuchawkę, jakby nie przestawała mnie słuchać, jakby sygnał na linii był cennym znakiem, że oto znajduję się jeszcze po drugiej stronie. Umykam, z

udawanym zaangażowaniem wypełniam swe zadania, rozmawiam w dwóch czy trzech językach, tak samo jakbym podróżował po krajach albo życiach, do których nie należę, nie spóźniając się choćby o minutę, wchodzę do przeznaczonej dla mnie kabiny tłumacza, sprawdzam mikrofony, słuchawki, przewyciężam pokusę zapalenia papierosa, słyszę głos i staram się powtórzyć po hiszpańsku słowa, nie interesując się, co oznajmiają, podczas gdy słucham i mówię dobrze wyważonym i neutralnym tonem, spoglądam przez szyby kabiny na salę, gdzie kobiety i mężczyźni ubrani tak jednakowo, że zawsze wydaje mi się to nierealne albo futurystyczne, jak wyrazy ich twarzy i blask jarzeniówek, gestykulują i poruszają ustami w ciszy, jak ryby, albo drzemią, albo nudzą się z szarymi kablami słuchawek, zwieszającymi się z szyi jak stetoskop.

I podczas gdy słucham słów, które nic mnie nie obchodzą, i natychmiast automatycznie wyszukuję ich odpowiedniki, słyszę w tle tych głosów, i mego własnego, inne powracające głosy, zdające się szeptać do mego ucha, jakby to one rozbrzmiewały w miękkich słuchawkach, monotonne, ukryte, tak wierne jak pulsowanie mej krwi, mówiące, żebym wracał, obwieszczające mi, że nie przestały istnieć w chwili, kiedy z ulgą odłożyłem słuchawkę, że przez cały czas rozbrzmiewają w domu i na placu bez topoli, i na ulicach, z których odszedłem z mocnym postanowieniem, że nigdy nie powrócę, dokładnie pół życia temu. Teraz przy drzwiach są dzwonki, a nie metalowe kołatki, w Casa de las Torres jest szkoła plastyczna, puste są już niemal wszystkie domy na placu, a ziemia została tam pokryta betonem, i niedawno zburzono narożny dom, który został opuszczony jako pierwszy i przez lata popadał w ruinę, ten sam, w którym mieszkał ten, co go zabili, mówi moja matka, pamiętasz, co potem mieszkał tam ten ślepy, co to się odwracał co kilka kroków, podnosił laskę i wyciągał pistolet, wygrażając nim w powietrzu. Wiem jednak, że we wnętrzu domu, który po tylu latach nadal nazywam moim, panuje taki sam półmrok jak wtedy, gdy chodziłem po pokojach w zimowe popołudnia i poszukiwałem zdjęć i tajemniczych przedmiotów pod białą bielizną przechowywaną w komodach i za przysłoniętymi firaneczkami szybami wbudowanych w ścianę szaf, kiedy spędzałem w pustym domu całe dni z babcią Leonor, bo dziadek i rodzice o świcie wychodzili zbierać oliwki, i nasłuchiwałem odgłosów z ulicy, mając nadzieję usłyszeć stukot kopyt i kół wozów i kroki chłopów wracających ze zbioru oliwek, brzmiące jak marsz pokonanego wojska; drzwi otwierały się na zimne powietrze i gwar głosów mężczyzn rozładowujących spocone muły, i na zapach gnoju, ziemi, trawy, worków i soku pomiażdżonych oliwek, rozczochraną matkę, otuloną czarnym szalem z frędzlami, z szorstkimi dłońmi i ze skórą zdartą na palcach od zbierania oliwek z ziemi, na dziadka z biskupią godnością wjeżdżającego na plac Świętego Wawrzyńca na osle przygnięcionym jego tuszą, wydającego rozkazy wstrząsające całym domem, bardzo wysoki, niezmordowany, porywczy, jowialny, żądający kolacji, wlewający lodowatą wodę z dzbana do miski, energicznie myjący sobie twarz w kuchni, gdzie garnki z kolacją już kipią na ogniu. Siadam u jego boku, przynoszę mu żar na malutkiej szufelce do podgarniania popiołu, żeby zapalił sobie papierosa, spoglądam na jego otwarte dłonie złożone na kolanach obleczonych w płócienne spodnie, czekam, aż się odezwie, proszę, żeby coś mi opowiedział, żeby zaczął mówić o kobiecie zamurowanej w Casa de las Torres, żeby zaczął naśladować wycie wilków w górach Maginy, kiedy przechodził przez nie nocą, zmierzając ku bohaterskim czynom i wojnie, a on uśmiecha się do mnie i pali powoli, i zaczyna opowiadać, zawsze starając się, żeby słyszała go babcia Leonor, która przerywa mu ze złością i mówi, że łyże jak pies i śni z otwartymi oczyma, że tylko mu kielbie we łbie i fantazjowanie, że jest kłamstwem to, że to on znalazł tę mumię w Casa de las Torres, bo kiedy ją znaleźli – doskonale to pamięta – dziadek siedział w więzieniu, tak się chwaliś dobrą pamięcią, mówi mi, a to, co trzeba pamiętać, zapominasz.

Widziałem ich zdjęcia ukryte w pudełkach i teraz w kufrze, które Nadia przegląda u mego boku, prosząc, żebym przyporządkował imiona do twarzy, żebym skojarzył daty i związki i opowiedział jej historie, które tylko dla nas dwojga zaludnią puste obszary naszej wspólnej przeszłości, wymyślonej, niemożliwej, a odnajdując zdjęcie dziadka Manuela podpisane w ostatnim roku wojny przez don Otta Zennera, widzę go takim, jak wyolbrzymiała go moja wyobraźnia, kiedy natrafiałem na jego portret w zakazanych pudełkach, takim, jakim pamięta go moja matka w świetle swego dzieciństwa, nie wyprężoną czarno-białą postać, lecz mężczyznę wyższego niż jakikolwiek inny, którego znała, postawny blondyn w niebieskim mundurze i w wojskowej czapce, podnoszący ją strasznie wysoko w górę, aby ją pocałować przed wyjściem, jak co dnia, do tych koszar, z których pewnego dnia nie wrócił, bo go aresztowano. Słuchałem, jak głosem silnym i dramatycznym opowiadał o poświęceniu się całego batalionu Gwardii Szturmowej na stoku Perdices, i nauczyłem się od niego słów, które lśniły w mej niewiedzy jak ognie albo błyskawice w ciemności: wojna, batalion, koniec świata, karabin maszynowy, ofensywa, podjazd, komunizm, wóz bojowy, to ja odnalazłem w szafie z jego ubraniami niebieską wojskową kurtkę ze złotymi guzikami i koalicijkę, i czarną kaburę wydzielającą intensywny zapach skóry, która napędziła mi tyle strachu, jakby jeszcze zawierała rewolwer, to ja otworzyłem puszkę i ujrzałem w niej grube pliki fioletowych banknotów, i pomyślałem z niepokojem i dumą, że mój dziadek ukrywa skarb zdobyty wiele lat temu na jakiejś wojnie, na tej, o której zawsze wspominają starsi i którą zawsze kojarzę niepewnie z wojnami z filmów i komiksów, a kiedy mój dziadek wymienia przy mnie nazwisko generała Miaja, wyobrażam sobie okrągłą twarz, miękką jak miąższ chleba, a kiedy wspomina kogoś o imieniu Manuel Azaña, przypomina mi się komiks o *Hazañas Bélicas*, czynach bitewnych, które wypożycza na placu generała Orduña mężczyzna z uciętymi nogami.

Odkładam słuchawkę telefonu i wiem, że kiedy matka wróci do jadalni, zobaczy go siedzącego w fotelu jak wielki i zniedołężniały Budda, jak archaiczny mebel, którego nikt nie ma odwagi usunąć, oczy niebieskie i zażawione, utkwione w telewizor albo w ścianę, albo w pustkę, wielkie jak góra ramiona, pochylone do przodu, jakby opadł na nie ciężar wielu geologicznych warstw, ręce złożone na podolku albo zaciśnięte na zakrzywionej krawędzi stołu, kościste i skręcone jak korzenie drzewa oliwkowego, z brunatnymi plamami na fioletowym grzbiecie, nie nadające się już do niczego poza poprawianiem koca na zreumatyzowanych nogach, żeby nie uronić z żarownika ani odrobiny ciepła, którego zawsze mu mało, choćby matka dopiero co podgarnęła szufelką żar, a płonie też ogień na kominku, który rozpala rumieńcem jego przekrwioną i beznamiętną twarz, ale mimo to nie udaje mu się przezwyciężyć zimna skrywającego się w szpiku kostnym i w stawach kolanowych, stwardniałych od bezruchu, tak słabych, że wydają się łamać i nie być w stanie go utrzymać, gdy udaje mu się dźwignąć, po kilku próbach coraz bardziej przygnębiających, podczas których nikomu nie pozwala sobie pomagać, i posuwa się powoli, krok za krokiem, wspierając się na lasce, na stole, na oparciach krzesel, oddychając, jakby miał w oskrzelach pajęczyny albo żwir, szurając z powolną rozważą gumowymi podszwami po posadzce, chwytając się poręczy, która skrzypi, kiedy podejmuje wyczerpujące i nigdy nie kończące się wyzwanie wspięcia się na schody, po północy, kiedy dobiegły już końca telewizyjne programy i matka wyłącza odbiornik, a dziadek pyta, na co czeka, żeby się położyć. Tym tak słabym teraz głosem, którego nie rozpoznaję w słuchawce, mamrocze dobranoc, a matka zostaje, aby robić na drutach albo mozolnie sylabizować gazetę, albo czekać, aż ja zadzwonię z jakiegoś kraju, gdzie jeszcze jest dzień, i odpowiada mu, jeśli Bóg pozwoli, i patrzy, jak się oddala korytarzem przygnięciony ciężarem swoich ramion, przypomina mu, żeby zapalił światło, bo jeszcze się przewróci, żeby uważał na schodach, przecież nikt go nie goni, niebawem nie będzie już mógł po nich wejść bez pomocy i trzeba będzie postawić mu łóżko

na dole, bo ona nie jest w stanie utrzymać tego bezwładnego i tak ogromnego ciała, z każdym dniem coraz cięższego. Nie zaznaje spokoju, zanim nie usłyszy szczęku kontaktu na piętze, a zaraz potem zamykanych drzwi sypialni, kroków, które teraz rozbrzmiewają nad jej głową, i skrzypienia sprężyn, kiedy dziadek opada na łóżko, budząc być może babcię Leonor, która położyła się wcześniej i strofuje go na wpeł zaspana, bo przez niego, jak co noc, nie zmruży oka aż do rana, nie tak jak on, co to mówi, że nie śpi, a jak tylko zwala się na łóżko, zaczyna chrapać jak niedźwiedź i budzi się, kiedy słońce jest już bardzo wysoko, kiedy żarownik i ogień rozpalony o świcie przez matkę ogrzały już jadalnię, z której ani on, ani babcia nie wyjdą przez cały dzień, siedząc jedno obok drugiego na kanapie z brązowego skaju, surowi i nieruchomi jak umarli z fotografii z początków wieku, sztywni, stłamszeni, cisi, jakby nie żyli już na tym świecie, trwając jednak w przerażeniu, że śmierć ich z niego zabierze, oszołomieni, pogrążeni w czujnej i jakby zawziętej obojętności, zapadają co kilka minut w niespokojną drzemkę, z której budzą się z przestrachem, że mogli umrzeć we śnie. Podczas snu głowa dziadka Manuela odchyła się do tyłu i opada mu żuchwa, a pod przymkniętymi powiekami widać białka oczu, które wydają się oczyma nieboszczyka albo ślepcy, powietrze świszczę pomiędzy jego sztucznymi zębami, z których był tak dumny dwadzieścia lat temu, kiedy je sobie wstawił i jego uśmiech stał się drapieżny, bo tak szeroki, jakby przez pomyłkę wprawiono w jego twarz usta innej osoby, znacznie młodszej, albo przypominał przesadny uśmiech maski. Wtedy wyciągał szczękę, żeby pokazać, jak jest wspaniała, ku zdumieniu sąsiadów i ku zmieszaniu moich kuzynów i mojemu, pokazywał nam język pod różowymi sztucznymi dziąsłami, co sprawiało wrażenie, że ma dwie buzie, jedną twardą, zamkniętą i groźną z dwoma rzędami identycznych zębów, a drugą miękką i komiczną, z czubkiem języka wysuwającym się spomiędzy dolnej wargi i imitacji dziąsła.

Teraz jednak ledwie się uśmiecha i niemal nie mówi, tak bardzo jest pogrążony w cichym letargu jak w grząskiej statyczności swego coraz cięższego i coraz bardziej odrętwiałego ciała, napęczniałego od nadmiaru jedzenia i bezruchu, któregoś dnia stanie się tacie coś złego, mówiła mu matka, kiedy byłem tam po raz ostatni w krótkiej przerwie pomiędzy dwoma podróżami, niech tata nie je tyle chleba, niech tata nie polewa tych wielkich porcji zup oliwą, ale on nie zwraca na to uwagi, jeszcze boi się głodu, tak jak oni wszyscy, udaje, że śpi, kiedy go łajają, i często naprawdę zasypia nad talerzem, broda opada na białą serwetę, którą mu zawiązują pod szyją, żeby się cały nie poplamił, bo bardzo trzęsą mu się ręce i unosząc łyżkę do ust, wylewa połowę jej zawartości. On, który był dla mnie bohaterem wszystkich przygód, który bronił się, ostrzeliwując, kiedy jacyś zamaskowani ludzie chcieli odebrać mu kopertę z tajnymi rozkazami powierzonymi mu przez majora Galaza, żeby oddał ją osobiście generałowi Miai, za co ręczył życiem, który krzykiem i świstem pasa terroryzował swe dzieci, teraz z rezygnacją pozwala, by matka go goliła, wiązała mu pod szyją śliniak, okrywała jego ramiona dzierganą na szydełku chustą, żeby go nie przewiało, ale nie pozwala, żeby mu pomagano, kiedy wchodzi do ubikacji, i zawsze wszystko zapaskudzi, mówi matka, kupili mu pojemnik z plastikową rurką, żeby do niego sikał, ale odmawia używania go albo może próbuje i nie daje rady, tak bardzo trzęsą mu się ręce, tak więc za każdym razem, kiedy wstaje, przechodzi przez pokój i otwiera drzwi ubikacji, mijają długie minuty, podczas których babcia i matka z trwożną uwagą wyłapują najmniejszy hałas, wydaje się, że długo nie wychodzi, nie słysząc go, może coś mu się stało, jakiś atak, zemdłał, i kiedy nie ma w domu ojca, wyobrażają sobie z przerażeniem, co by się stało, gdyby dziadek pośliznął się na posadzce łazienki i upadł, jak by go podniosły, kogo poprosiły o pomoc, skoro na placu Świętego Wawrzyńca połowa domów jest pusta, a w tych zamieszkałych nie mieszka nikt młody i silny. Kto jeszcze został? Wdowa po Bartolomé, która w czasach mojego dzieciństwa była kobietą bardzo zażywną, z twarzą pokrytą makijażem, a teraz jest ślepa i sparaliżowana; Lagunillas, który ma osiemdziesiąt cztery lata i bezwąsą twarz zaszuszonego dziecka i mieszka

w towarzystwie psa i kozy, i zatrzymuje na ulicy nieznajomych, pytając, czy nie znają przypadkiem jakiejś robotnej i uczciwej kobiety poszukującej narzeczonego; smutny mężczyzna o jasnych oczach, który niedawno owdowiał i nie rozmawia z nikim. Tak teraz wygląda miejsce, które stanowiło centrum mojego życia, serce dzielnicy o wybrukowanych zaułkach i domach pobielonych wapnem, gdzie wrzało od głosów plotkarzy i końskiego rżenia i gdzie liczne gromady dzieciarni odbywały okrutne bitwy na kamienie albo bawiły się w procesje i w filmy, wdrapywały się na topole w poszukiwaniu gniazd, przekradały się do schodów i piwnic Casa de las Torres w poszukiwaniu urojonej mumii i uciekały przed jęklwym skrzeczeniem strażniczki i przed młynkami, jakie wywijają pasterską laską, gdzie przy cembrowinach studni słychać było rozmowy mieszkańców, a w spokojne sierpniowe noce docierały tu głosy i odgłosy burzy z letniego kina oraz zgiełk oklasków, którymi witano na końcu filmów zwycięskie parady bohaterów. Przy zamkniętych drzwiach gromadziły się w zimowe poranki ekipy zbieraczy oliwek, a pod warstwą betonu jeszcze tkwią korzenie ściętych topól i twarda, naga ziemia, w której kopaliśmy dołki, żeby grać w kulki, i w którą wtykaliśmy patyki i rysowaliśmy numerowane kwadraty do gry w klasy i chłopka, tuż przy opuszczonych narożnikach, gdzie teraz światła są tak słabe jak w przeszłości i gdzie grupy mieszkańców zasiadały, aby korzystać z wieczornego chłodu, a ja wyteżałem słuch, żeby wylapywać słowa, których prawie nigdy nie rozumiałem, i spoglądałem na ściany z rozplaszczonymi, wiszącymi głową w dół, nieruchomymi salamandrami, których ślina miała właściwości sprawiające, że łysiał każdy, kto wypił wodę z dzbana, do którego one napłyły.

Chociaż tego nie chcę, wracam, mimo że zadomowiłem się w obcych językach i ukrywam się w nich jak w fałszywej tożsamości, i spaceruję po miastach, których nazwy oni tylko czytali na oświetlonej podziałce radia, przy którym słuchaliśmy seriali i piosenek Antonia Moliny i Juanita Valderrama, chociaż Nadia nie leżała wyciągnięta w ciemności, nie przytulała się do mych pleców i nie szeptała mi do ucha, opowiedz mi, jacy byli, jak żyli, jak wyobrażali sobie świat, jak mogli zrozumieć i zaakceptować twoje odejście, skąd czerpali odwagę i niewinność konieczne do przetrwania bez żalu i cierpienia. Wtedy mój głos powtarza dla niej to, co mi opowiedziały inne głosy, i wydaje mi się, że nie mówię jej o własnym życiu, lecz o innych czasach, znacznie odleglejszych, których ja nie mógłbym być świadkiem, chyba że ten zaimek skrywa więcej niż jedną tożsamość albo obejmuje obszary znacznie głębsze i odleglejsze, niż ogarnia moja świadomość i dziurawa pamięć, tak jak czasami moje ciało gubi się i płacze z jej ciałem i już nie wiem, do kogo z nas należą ręce albo usta, albo oddech, albo ślina. Kto pamięta i kto mówi, kto widział ślepego Dominga Gonzáleza schodzącego w dół ulicą Pozo, wymacującego kamienie i okienne kraty okuciem laski i zawsze chowającego prawą rękę w kieszeni płaszczka, gdzie zaciskał dłoń na kolbie pistoletu albo na kamieniu, kto słyszał o północy, nie śpiąc w swym pokoju, kroki tego mężczyzny, przechodzącego przed naszymi drzwiami, ocierającego się o ściany i zatrzymującego się przed swymi drzwiami, i wyciągającego wielki klucz, którym przez nieskończenie długie minuty usiłował je otworzyć, mamrocząc coś pod nosem, odwracając się ze strachu, że rozbrzmiewające w ciemności kroki należą do mężczyzny, który go oślepił i teraz wraca, żeby go zabić, czyj to sen albo wspomnienie o tym, że się zgubił pewnej nocy na nieznanym placach, pomiędzy ludźmi trzymającymi pochodnie i flagi, ubranymi w białe koszule i czerwone chusty na szyi, kto widzi twarz dziadka Manuela, zarośniętą i brudną, żółtą z przerażenia i głodu, przyklejoną do więziennych krat, kto go szuka nad ranem w deszczu, biegnąc wzdłuż rzędu ciężarówek z zapalonymi światłami i silnikami, pod których ociekającymi wodą plandekami gromadzą się cienie skutych więźniów. Podczas jednej z pierwszych wojennych nocy matka, mająca wtedy sześć lat, zgubiła się na ulicy i pociągnęła ją za sobą tłum, pędzący w stronę nieużytków przy koszarach, i babcia Leonor strawiła kilka pełnych udręki godzin na poszukiwaniach po całym mieście, wpadając na mężczyzn i kobiety

skandujących hasła, których nie potrafiła zrozumieć, słuchając odgłosu wystrzałów. Trzy lata później poszła do klasztoru, w którym zamknięto dziadka Manuela, aby zanieść mu koszyk zjedzeniem, i zobaczyła reflektory ruszających ciężarówek, powiedziano jej, że w jednej z nich siedzi jej mąż. Biegła od jednej do drugiej, szukając go wśród twarzy spoglądających spod plandek na deszcz, nawołując go po imieniu łamiącym się głosem, zagłuszonym warkotem silników i wyszczekiwanymi komendami, ale ciężarówki oddalały się i gdy już nie miała siły, aby dalej biec, zobaczyła czerwone światła ostatniej z nich i wyobraziła sobie, że dojrzała dziadka dającego jej znaki rękami, jakby się żegnał albo ją wołał. Dopiero wtedy ogarnęło ją prawdziwe przerażenie, bo do tej pory nigdy nie przypuszczała, że mogą go zabić, bo przecież on nic nie zrobił, mawiano na widok innych kobiet zalewających się łzami, on nigdy nikomu nie wchodził w drogę ani nie kradł, ani nie zabijał, wypuszczą go, gdy tylko zdadzą sobie sprawę z pomyłki, wszak nie można wsadzić człowieka do więzienia za nic, za to tylko, że wypełnia swe obowiązki i jest trochę papłą, tak, zgubiło go to, że wiecznie głądził, nie tak jak ona, która zawsze wołała zachować milczenie, jak jej ojciec, co w ostatnich latach swego życia wybrał ciszę, jakby się wycofał do domu o niewidzialnych i nienaruszalnych ścianach, w którym mieszkał tylko w towarzystwie psa, przemawiając do niego po cichu, dręczony nie starością, lecz skrywanym i nieprzemijającym wstydem, że nigdy nie poznał swych rodziców i że zwał się Expósito Expósito³; także babcia Leonor w wieku osiemdziesięciu pięciu lat, ponad wiek po porzuceniu pradziadka w ochronce, zachowuje nietknięty ból doznanej krzywdy, podobnie jak każdego dnia wspomina dziecko, zmarłe w wieku sześciu miesięcy na gorączkę, i noc, kiedy przyszli jej powiedzieć, żeby nie czekała na męża, bo go aresztowano.

Przechowuje to wszystko w sobie, czujna i milcząca, jakby nie istniała rana, którą czas mógłby zagoić. Przeklina łotrów z latynoamerykańskich seriali telewizyjnych tak samo zapamiętała, jak trzydzieści lat wcześniej przeklinała złych bohaterów o chrapliwych i metalicznych głosach z seriali radiowych i tych z gazetowych historii w odcinkach, które dziadek czytywał nam w zimowe wieczory. Widzę ją, jak siedzi w fotelu, w granatowym fartuchu, z niebieską chustą na ramionach, prawie niewidoma, z jednym okiem zasnutym przez kataraktę, z siwymi włosami i głową uniesioną z taką samą zamyśloną dumą, jaką prezentuje na fotografiach z młodości, z wydatnymi i szerokimi policzkami, przydającymi jej twarzy urody, wyciąga rękę, żeby dotknąć moich włosów i twarzy i rozpoznać mnie z precyzją, na którą nie pozwalają już oczy, mówi do mnie, pamiętasz, kiedy byłeś mały, prosiłeś mnie, żebym ci czytała wieczorami, pyta mnie, gdzie mieszkasz i z kim, dlaczego tak rzadko przyjeżdżasz, jak to możliwe, że mieści ci się w pamięci tyle słów i że potrafisz zrozumieć, co mówią ci zagranicznicy w telewizji. Kogo widzi teraz, kiedy głądzi szorstki podbródek mężczyzny i w pamięci swych dłoni nie potrafi rozpoznać dziecięcej twarzy, kogo wspomina, kiedy pyta o mnie, i nie mówią jej, że być może właśnie w tej chwili lecę dokądś samolotem, aby niepokój nie przyprawił jej o bezsenność, komu przypisuje ten głos, jaki w niektóre popołudnia słyszy w słuchawce telefonu, trzymanej sztywno tuż przy twarzy, nie do końca przyjmując do wiadomości niewyjaśnialny fakt, że może rozmawiać z kimś, kto w tej chwili znajduje się po drugiej stronie oceanu. Pamiętam, jak stoi na stopniach, za przymkniętymi drzwiami, wyglądając na ulicę, po której już prawie nigdy nie chodzi, z rękoma splecionymi na brzuchu, wsparta na mojej matce, patrzy na mnie, gdy wsiadam do taksówki, i żegna mnie, myśląc, że może właśnie widzi mnie po raz ostatni. Bo to, co najmocniej mnie z nimi łączy, to strach; gdziekolwiek bym był, zawsze kiedy w środku nocy

³ W Hiszpanii wszyscy mają co najmniej dwa nazwiska, jedno po matce, drugie po ojcu. Brak jednego z nich oznacza, że jest się dzieckiem z nieprawego łoża, co w czasach Hiszpanii frankistowskiej z góry określało pozycję społeczną takiego dziecka i ograniczało jego możliwości awansu społecznego. Słowo *expósito* oznacza „podrzutek” (przyp. tłum.).

zrywa mnie dzwonek telefonu, budzę się z obawą, że usłyszę głos oznajmiający śmierć kogoś z nich.

PEWNIENIE WIDZIAŁ TWARZ wyłaniającą się przed jego oczyma, początkowo delikatne szare kontury, a potem plamy, jeszcze zamazane pod falującym wywoływaczem, w czerwonym półmroku laboratorium, schowany za grubą czarną kotarą i za drzwiami, których jego głuchoniemy pomocnik miał pod żadnym pozorem nie otwierać, w ciemni, jak mawiał don Otto Zenner, jego mistrz, który był trochę spirytystą, w tajemnym miejscu, gdzie światło dokonywało swego cudu i z niczego, z wody, z soli i srebra wyłaniały się ludzkie twarze i spojrzenia, zarysowujące się na bieli kartonu i w przejrzystości płynu, jakby kreśliła je niewidzialna dłoń albo przywoływało bezgłośnie wezwanie, któremu nie sposób się przeciwstawić; patrzył na z każdą chwilą coraz wyraźniejszą twarz zamurowanej dziewczyny i przypomniał sobie grawiurę czy też fotografię widzianą w archiwum don Otta Zennera, kobieta śpiąca albo utopiona, unosząca się na powierzchni nieruchomych wód jeziora, tak błada jak ta, podobnie uczesana i w podobnej sukni, nazywała się Ofelia, tylko tyle zrozumiał z opisu umieszczonego pod spodem, napisanego po niemiecku, ale tamta miała zamknięte oczy, a ta pewnie patrzyła przed siebie, wpatrywała się w niego z dna umywalki, której używał do wywoływania zdjęć, jakby oddychała pod wodą, w otchłani śmierci, tak jak patrzyła przez siedemdziesiąt lat i nadal patrzy po następnym półwieczu na zdjęciu zrobionym jej przez Ramira Portrecistę, jedynym powiększonym i oprawionym z całego jego archiwum, zagubiona pośród tłumu innych, pogrzebana w nich i pod wiekiem kufra, gdzie przeżyła swą kolejną podróż przez ciemność, jak odzyskana figura z nagrobnego pomnika, stojąca przez całe dziesięciolecia w magazynach muzeum.

To podczas wywoływania negatywów z Casa de las Torres Ramiro Portrecista pojął oszałamiającą wspaniałość piękna kobiety, a ponieważ nie potrafił znaleźć w rzeczywistości niczego podobnego, a malarstwo było mu obce, przypomniał sobie kobiety sportretowane przez znakomitego Nadara, na którego pracach uczył go don Otto Zenner; delikatna ostrość spojrzenia i rysów, niezmienna elegancja, gardząca czasem i wkraczająca weń z ironicznym i bezwzględny majestatem. Wydało mu się, że tak jak tamte kobiety należała do świata i czasu, które nigdy nie były czasem ani światem żywych, choć też nie zmarłych, bo zmarli nie istnieją, nie mają twarzy ani spojrzenia, przynajmniej tak utrzymywali krytycy spirytyzmu, nauki albo zabobonu, której Ramiro Portrecista przez kilka lat był adeptem i którą porzucił po części dlatego, że w pewnej chwili zrozumiał, że stał się ofiarą szalbierzy, a po części ze strachu przed bezsennością i popadnięciem w szaleństwo, szczególnie od chwili, kiedy odnalazł w papierach don Otta Zennera album z domniemanymi fotografiami duchów zrobionymi na początku wieku przez jakiegoś fotografa spirytystę z Moguncji. Najbardziej przerażało go w zdjęciach umarłych to, jak bardzo były podobne do zdjęć żywych, i to spotęgowało w nim narastającą stopniowo skłonność do mylenia ich. Widział kogoś pozującego do zdjęcia w swoim studiu i zanim włożył głowę pod czarną płachtę, już sobie wyobrażał jego twarz na pośmiertnym zdjęciu, zapominał jednak o tych posępnych objawach swego szaleństwa, kiedy widział przez obiektyw odwróconą postać: wtedy poważny kawaler albo próżna dama, albo okaleczony hierarcha w czerwonym birecie i z odznaczeniami zmieniali się w absurdalnych ekwilibrystów, wiszących głową w dół i za wszelką cenę usiłujących zachować swą godność. Od tego ciągłego oglądania ludzi do góry nogami przez obiektyw aparatu w końcu utracił szacunek dla wszelkich autorytetów i zaczął je skrycie

lekceważyć, kiedy szedł ulicą i mijał wysokiego rangą oficera, kapelana albo kobietę w mantylce i płaszczu z karakułowym kołnierzem, pozdrawiając ich pokornym skinieniem głowy, automatycznie wyobrażał ich sobie do góry nogami i z trudem dusił w sobie atak śmiechu. Wraz z upływem lat zaczął odczuwać w stosunku do rodzaju ludzkiego obojętność lekarza przyzwyczajonego do oglądania fluoryzujących szkieletów na ekranie do przeglądania zdjęć rentgenowskich, a kiedy przyglądał się dopiero co wykonanej fotografii, myślał, że w końcu i tak stanie się portretem trupa, tak jak wszystkie, tak że zawsze niepokoiło go nieprzyjemne podejrzenie, że nie jest fotografem, lecz swego rodzaju przedwczesnym grabarzem – to przez tę samotność tak się z nim porobiło, powiedział major Galaz, przez to, że poświęcił się patrzeniu, a nie życiu, i że jego jedynym towarzyszem był ten głuchoniemy, będący w pewnym sensie zmartwychwstańcem, bo wzięto go za zmarłego, kiedy wyciągnięto go spośród ruin zbombardowanego domu, w którym zginęli jego rodzice, a on otworzył oczy w trumnie, na kilka minut przed jej zamknięciem, i od tego czasu nie wypowiedział ani słowa ani nie dał żadnego znaku, że cokolwiek słyszy, żył w ciszy jak w butli z formaliną, z wiecznym wyglądem małego pieszczocha coraz bardziej otumanionego, usłużnego, niepokojącego, łagodnego, patrzącego na Ramira Portrecistę oczyma dzikiego człowieka, błakającego się po studiu i piwnicy, gdzie znajdowało się laboratorium i archiwum z wyrazem zdumienia i przerażenia na twarzy, jakby widział przed sobą oblicza zmarłych z fotografii.

Pod płynem lekko zabarwionym na różowo zobaczył usta, włosy, uśmiech, spojrzenie, dłonie, dekolt, błyszczącą plamkę szkaplerza, jak bilardzista podziwiający rezultat przypadkowego uderzenia lub niedawno uświadomionej maestrii, z uszanowaniem zanurzył palce, aż dotknął ostrych krawędzi kartonu, obawiając się poplamić albo zamazać cud tego objawienia, powiesił fotografię, jeszcze ociekającą, za pomocą pincety, wyszedł oślepiony z laboratorium, a w przyległym pokoju głuchoniemy wlepił w niego niewzruszony wzrok krowy albo muła, jakby z góry wiedział, że on wyjdzie i jaki będzie miał wyraz twarzy, kiedy się pojawi, opadł na fotel przy swym roboczym stoliku, który wcześniej należał do don Otta Zennera, tak jak wszystko w tym studiu, aparaty i malowane draperie, i popiersia znanych ludzi, z rezygnacją machnął prawą ręką i głuchoniemy z powściągliwą skwapliwością nastawił gramofon i grzebał w szafie w poszukiwaniu tego, na co Ramiro Portrecista czekał, butelki, jednej z ostatnich z niemieckim alkoholem, którego niemożliwa do wymówienia nazwa brzmiała jak splunięcie i który miał tę zaletę, że błyskawicznie powodował upojenie u każdego, kto odważył się go spróbować. Kiedy don Otto Zenner porzucił swą pracę i studio i wyjechał z Maginy, aby wrócić do swego kraju i przyłączyć się do pancernych dywizji Rzeszy, zostało w piwnicy jeszcze pół tuzina butelek, które zgromadził, przewidując niedostatek, jaki niechybnie musiało przynieść ze sobą zwycięstwo bolszewizmu. Prowadził życie malarza bohemy artystycznej w przededniu europejskiej wojny, podczas której dosłużył się stopnia sierżanta, a po zawieszeniu broni albo po upokarzającej kapitulacji, jak precyzował w kawiarniach, zaciekle wymawiając wszystkie „r” i wałąc pięścią w marmurowe blaty stolików, odrzucił pędzle na rzecz fotografii i otworzył studio w Berlinie, lecz po kilku miesiącach niepewności i biedy wyruszył w powolną podróż na zachód, uciekając przed niechybną inwazją azjatyckich hord – które zamordowały Romanowów i niebawem miały zalać Europę rozbrojoną po klęsce centralnych cesarstw – aby znaleźć schronienie, choć nie spokój, bo ciągle drżał o to, że go dopadnie nieuchronny zalew Armii Czerwonej w tym odległym od światowego zamieszania i częściowo osłoniętym murami miasteczku, w którym jego sztuka szybko zyskała uznanie, bardzo zbliżone do chwały, jakiej nigdy nie zdobyłaby w niewdzięcznych i upokorzonych Niemczech weimarskich.

Także motocykl z przyczepą i okulary lotnicze, które wkładał Ramiro Portrecista, kiedy na nim jeździł, należały do don Otta, nawet drewniany perszeron z żółtą grzywą i szklanymi oczyma, na którym sadzano dzieci w kordobańskim kapeluszu, by pozowały do fotografii.

„Zostawiam ci wszystko. Jeśli nie wrócę, będziesz moim spadkobiercą”, powiedział mu don Otto, niespodziewanie się z nim żegnając, kiedy dowiedział się, że dywizje niemieckie zaatakowały Rosję, i zdecydował się w patriotycznym delirium na nowo przemierzyć wielkie przestrzenie Europy, tym razem w przeciwnym kierunku, aby przyłączyć się do zwycięskich oddziałów Rzeszy. Na stacji, ubrany w mundur z czternastego roku, który przechował przez ponad dwadzieścia lat w walizce przytaszczonej ze swego kraju, w spiczastym i świeżo wypolerowanym hełmie i z maską przeciwgazową regulaminowo zawieszoną na szyi, ojcowskim i zarazem żołnierskim uściskiem pożegnał Ramira Portrecistę, swego wychowanka, pierwszego i jedyne go ucznia, właściwie przybranego syna, wymógł na nim przyrzeczenie wytrwałości w kultywowaniu wspaniałej sztuki fotografii studyjnej i wszedł do madryckiego pociągu, stuknąwszy obcasami, po czym zniknął, salutując w oknie na rzymski sposób, spowity obłokami czarnego dymu lokomotywy i, prawdopodobnie, pogrążony też w starczej demencji i nieodwracalnych już skutkach oparów sznapsa, bo choć nigdy więcej nic pewnego o nim nie usłyszano, mawiano, że jego wyprawa na rosyjskie stepy zakończyła się w Alcazar de San Juan, gdzie został zatrzymany za pijaństwo i spowodowanie zamieszania na posterunku Guardia Civil, aż sanitariusze, których zaatakował szpicem swego pruskiego hełmu, rycząc przy tym po niemiecku, odwieźli go do domu wariatów w Leganés albo Ciempozuelos.

Do wyjazdu don Otta Ramiro czasem tylko szybko pociągał z tych butelek po kryjomu. Dopiero kiedy został sam, zaczął bezwiednie naśladować najgorsze nawyki swego mistrza, siadając noc w noc w piwnicy, aby przyglądać się twarzom zmarłych na zdjęciach zrobionych w ciągu dnia, pociągając sznapsa i słuchając niemieckich płyt, na których były tylko, ku jego zachwytowi i na jego nieszczęście, utwory Schuberta, pieśni rzewne, śpiewane przy akompaniamencie fortepianu, i fragmenty utworów kameralnych, które znał na pamięć, gdyż słuchał ich, odkąd tylko wszedł do tego domu jako uczeń, nie zwracając na nie uwagi, tak jak się słucha deszczu albo gwaru ulicy. Niemożność uzupełnienia zapasów alkoholu uchroniła go przed alkoholizmem, ale z Schuberta nie mógł się już uleczyć, nawet wtedy, kiedy płyty były tak zniszczone, że bardziej niż słuchał, odgadywał muzykę albo wspominał pomiędzy przeskokami i trzaskami igły, podobnie jak ślepy wspomina kolory, coraz bardziej zniekształcone przez zapomnienie i ciemność.

Być może skutki słuchania Schuberta nie byłyby tak zgubne, gdyby nie odnalezienie dziewczyny w Casa de las Torres, które zbiegło się w czasie z okresem szczególnie żalonym dla ducha Ramira Portrecisty, człowieka o charakterze słabym i mrocznym – saturnalistycznym, mawiał – który nawet bez zdradzieckiego wpływu niemieckiego alkoholu skłaniał się ku smutkowi i rozczulaniu nad sobą i który przeżył lata powojenne w przygnębieniu, jakby w nieustającym zmierzchu niedzielnego wieczoru. Wyobrażał sobie siebie jako człowieka pokonanego, upokorzonego tchórzostwem, jako samotnego artystę, niezrozumianego, bliskiego pełnego niedostatku życia cyganerii oraz pouczającej i patetycznej śmierci w kwiecie wieku, zagubiony i zapomniany na tej nędznej prowincji, gdzie niemożliwy był nie tylko sukces, ale też klęska, przynajmniej ta kategoria klęski, jakiej pragnąłby dla siebie, wielkiej, wspaniałej, z operową afektacją i romantycznym samobójstwem, bez letargu przy żarowniku, jak poddawali się klęsce ludzie w Maginie, poeci z miejskiej listy płac, komponujący sonety za okienkiem urzędu podatkowego, kompozytorzy tworzący żalose suites na orkiestrę i chór parafialny, poeci-proboszcze i zakrystianie, a nawet poeci-policjanci, jak inspektor Florencio Pérez, o ile prawdziwa była ta wieść gminna krążąca na jego temat, tak wstydlivi w kawiarnianych rozmowach, jakby szeptano o ich męskości, artyści z państwową posadą, książeczką licznej rodziny i podpisaną lojalką, malarze zarządzający drogeriami i przechowujący jak cenne odznaczenia najskromniejsze wycinki z prowincjonalnego dziennika... On, Ramiro, portretował ich wszystkich, próżnych i wyprężonych przed fleszami w jego studiu, zwieszających się głową w dół jak nietoperze w

obiektywie jego aparatu, wspierających łokieć na krawędzi stołu i palec wskazujący na policzku z wyrazem poważnej zadumy, przed draperią z balustradą i perspektywicznymi ogrodami, obok kolumny z gipsowym popiersiem którejś z germańskich znakomitości, jakie czcił don Otto, zanim postradał zmysły. Zakapturzony i ukryty pod płachtą aparatu, chroniony bezkarnością szklanego oka, wyłapującego mimowolne gesty i niespokojne spojrzenia, Ramiro Portrecista asystował z rosnącym rozczarowaniem próżnej pospolitości lokalnych notabli przychodzących do jego studia, sztuczna uroda kobiet, nieprzyzwoita tusza, łysina, głupota, schyłek, a kiedy nocami zasiadał, żeby słuchać Schuberta i popijać sznapsa, i przeglądał swe ostatnie fotografie, poszukując zdjęcia godnego wielkich artystów z ubiegłego stulecia, których don Otto nauczył go podziwiać, odnajdował tylko twarze banalne albo dzikie, albo patetyczne, których nawet wspianiały Nadar nie potrafiłby uszlachetnić. Wykonywał gest i głuchoniemy, zawsze patrzący na niego bez mrugania oczyma ze znamionującej szacunek odległości, niczym gruby i posłuszny ministrant, napełniał pusty kieliszek, a kiedy płyta dobiegała końca i kazał mu nastawić na nowo ten wyjątkowo przygnębiający kwartet zatytułowany *Śmierć i dziewczyna*, który podobał mu się najbardziej ze wszystkich utworów Schuberta i niezmiennie przywodził mu na myśl zdjęcie ślubne zrobione kilka lat wcześniej, kiedy jeszcze był pomocnikiem don Otta. Zaczynał go szukać, zamroczony alkoholem i destrukcyjną gwałtownością muzyki, ale choćby go nie odnalazł, dokładnie pamiętał mężczyznę w mundurze i dziewczynę opierającą się na jego ramieniu, bardzo szczupłą, z jasnymi ogromnymi oczyma i ze skórą niemal przezroczystą na skroniach, z krótkimi kasztanowymi włosami, don Otto powiedział mu, że z profilu wyglądała jak renesansowe damy; dowiedzieli się później, że następnego dnia po nocy poślubnej wychyliła się przez balkon, bo usłyszała odgłosy strzelaniny, i zabił ją zabłąkany pocisk. Pijany alkoholem i muzyką Ramiro Portrecista patrzył na tę kobietę w przededniu jej śmierci, kiedy on sam robił jej ślubne zdjęcie, i osiągał stan paroksyzmu zarazem rozpacz i szczęścia, który stał się chroniczny i znacznie bardziej wyniszczający, kiedy zobaczył wyłaniającą się w kuwecie z wywoływaczem twarz dziewczyny z Casa de las Torres. Tytuł jego ulubionej płyty wydał mu się wtedy profetyczny: śmierć i dziewczyna. Pomyślał tej nocy, porównując zdjęcie ślubne i to, które zrobił na polecenie inspektora Florencia Péreza, że kobiety były do siebie podobne i że połączyło je wspólne przeznaczenie. Czy zmarła z 1937 roku nie była inkarnacją tej drugiej, czy nie powtórzyła prawie siedemdziesiąt lat później entuzjazmu, a następnie pokuty za karygodną miłość, czy nie wstała lunatycznie z łóżka i nie wyszła na balkon, słuchając uwodzicielskiego głosu śmierci, tak jak zamurowana w Casa de las Torres i dziewczyna z utworu Schuberta?

Drżały mu ręce, wpatrywał się w oba oblicza w świetle lampy na roboczym stole i coraz bardziej wydawały mu się identyczne. Oschle wysłał głuchoniemego do łóżka. Miał bujną wyobraźnię i był nieśmiały, od piętnastego albo szesnastego roku życia żył w wygodnej czystości pracowitego seminarzysty. Jego intymne stosunki z rzeczywistymi kobietami były bardzo trudne i przynosiły mu znacznie mniej przyjemności niż te utrzymywane z pewnymi pannami o ostrzyżonych włosach na styl *garzon*, jak mawiano w Maginie, które paliły papierosy w całkowitym negliżu i przybierały ekstrawaganckie i nieprzyzwoite pozy na kolekcji pocztówek przywiezionych z Berlina przez don Otta Zennera. Przez jakiś czas nie dochowywał im wierności, kiedy dowiedział się o gwałtownej śmierci panny młodej sportretowanej przez niego kilka godzin wcześniej, a całkowicie o nich zapomniał, jak o wstydliwych znajomościach albo miłości nastolatka, kiedy wydało mu się, że źrenice dziewczyny zamurowanej w Casa de las Torres spoglądają na niego i błyszczą ożywione rozpoznaniem. Schował zdjęcia, odmówił sobie ostatniego kieliszka sznapsa, bo wstając z fotela, spostrzegł, że się zatacza, wyłączył gramofon, przewracał się niespokojnie z boku na bok w ciemnościach, a kiedy zdołał zasnąć, we śnie słyszał *Śmierć i dziewczynę*, ale nie

kwartet, lecz wersję na orkiestrę, której nigdy wcześniej nie poznał, a wraz z kolejnymi akordami materializowała się przed nim dziewczyna, z taką samą wodnistą powolnością, z jaką wyłaniała się w płynie wywoływacza. Ocknął się, kiedy jej głos szeptał mu do ucha jego imię, Ramiro, Ramiro Portrecista, tonem, jakim nigdy nie mówiła do niego żadna kobieta. W dwie noce później, wyczerpany bezsennością, wyszedł ze swego domu ostrożnie niczym złodziej i błąkał się bez celu po pustych placach i zaułkach Maginy, nie chcąc zbliżyć się do dzielnicy Świętego Wawrzyńca, wiedząc, że choćby nie chciał, skończy tam właśnie, jakby popychała go muzyka ciągle rozbrzmiewająca w jego wyobraźni albo jakby wzywał go głos, tak słodko wypowiadający we śnie jego imię. W wewnętrznej kieszeni płaszcza niósł, ukrytą niczym broń, elektryczną latarkę i szedł wyposażony w piersiówkę i okulary lotnicze z kauczukowymi paskami, być może bezsensownie sądząc, że w razie niebezpieczeństwa będzie mógł ich użyć jako maski. Alkohol i nocna samotność przydały mu brawurowej odwagi, somnambulicznej gotowości na przygodę, która w skacowane poranki zwykła żałośnie się przekształcać w przygnębienie i skruchę. Do przytłaczającego Schuberta dołączyło podczas tej nocy lekkiej nekrofilii bolero czarnego Machina zatytułowane *Czekaj na mnie w niebie*, którego wysłuchał w radiu kilka godzin wcześniej. Latarnie na narożnikach ulic były pogaszone i nie widział żadnego światła w oknach domów, jak w niezbyt jeszcze odległych czasach alarmów przeciwlotniczych. Jedynie księżyc delikatnie rozświetlał miasto, tylko on, Ramiro Portrecista, zdawał się w nim zamieszkiwać. Na placu generała Orduñi zgasło nawet światło na balkonie inspektora Florencia Péreza. Zszedł w dół ulicą Rastro, obecnie Queipo de Liano, przemykając się wzdłuż domów, przylegając do murów, wzdrygając się tak samo nerwowo i wstydliwie jak wtedy, kiedy kilka razy odważył się odwiedzić dom publiczny, skręcił w ulicę Pozo na skrzyżowaniu owiewanym przez wiatr od Altozano i nieużytków Cava, a odwróciwszy się, zobaczył wydłużony cień pijanego Fantomasa i usłyszał na kamiennym chodniku jego kroki. Ale nie, to nie echo słyszał, były to powolne kroki innego mężczyzny, którego cień ledwie odklejał się od ścian. Ramiro Portrecista schował się w jakimś zagłębieniu i przylgnął do drzwi, widział, jak tamten się zbliża z nieuchronnością zjawy, kroki dudniły w zalanym alkoholem mózgu fotografa i zagłuszały muzykę, skrzypce Schuberta i barani głos czarnego Machina, kroki, a także jeszcze jeden natarczywy dźwięk, którego nie potrafił określić, cichy, nieustanny, suchy, przemieszany z coraz bliższym szelestem ocierania, metalowa końcówka laski uderzająca w krawężnik chodnika i powodująca większy hałas, gdy natrafiała na kraty, jakiś mężczyzna szedł bardzo powoli, ocierając płaszczem o wapno ścian, i miał ze sobą laskę, bez wątpienia niewidomy, ale co robił niewidomy o tej porze na ulicach Maginy, dlaczego go śledził?

Zimny dreszcz strachu przebiegł po plecach Ramira Portrecisty i niemal przywrócił mu jasność umysłu, przywarł jeszcze mocniej do drzwi i wsunął rękę do kieszeni płaszcza, aby znaleźć pocieszenie w piersiówce, po jednym haŭście odzyskał całą wspaniałość muzyki i całe pijackie otumanienie. Nie powinien wydawać żadnych dźwięków, nawet oddychać, niewidomy był już o kilka metrów od niego i jeśli nie będzie ostrożny, jeśli poruszy się choćby o milimetr, zostanie odkryty, niewidomi mają nadzwyczajny słuch i zdaje się, że wyczuwają, co się dzieje wokół nich, węchem rozpoznają obcych, jak zwierzęta. Usłyszy bicie swojego serca, pomyślał Ramiro Portrecista, ale nie było słychać uderzeń, lecz kroki, w które się wsłuchiwał, kroki tamtego mężczyzny, ocieranie się jego płaszcza o ściany, suche uderzenia laski i ten głuchy pogłos zbliżający się wraz z nim, jakby się modlił, jakby idąc, recytował litanie. Przez kilka sekund Ramiro patrzył na poprzedzający go cień, niepewny błysk okularów i metalowej końcówki laski uderzającej o stopień, na którym stał, niemal dotykającej jego butów, powolna i matowa postać ślepcy kołysała się na chodniku, przez chwilę zamarł w bezruchu o krok przed Ramirem Portrecistą, zwracając się odrobinę w jego stronę, podczas gdy laska poruszała się w powietrzu, jakby wymacując jakąś przeszkodę, po

czym odszedł z nieludzką powolnością, jak ożywiony pomnik o butach z brązu. Gdy niewidomy dotarł do placu Świętego Wawrzyńca, odgłos kroków stał się bardziej wyrazisty, ale Ramiro poruszył się dopiero, kiedy usłyszał zgrzyt klucza w zamku, a potem zamykające się z trzaskiem drzwi. Ślepiec mieszkał bardzo blisko, w jednym z domów na placu, za którąś z bezlistnych topól, których gałęzie sięgały najwyższych okien. Pozwolił sobie na kolejny łyk, zatarł skostniałe dłonie, ponownie usłyszał w wyobraźni jakby natarczywie melancholijny kwartet Schuberta. Ponad bramą Casa de las Torres widniały groźne sylwetki gargulców. Budynek zajmował cały kwartał i Ramiro stwierdził, że bez trudu dostanie się do wnętrza, wspinając się po na wpół zburzonych murach na tyłach.

Nie bał się, że zaskoczy go strażniczka. Był tak odurzony alkoholem, bezsennością, muzyką i widmami z fotografii, że nie bał się niczego ani nie zdawał sobie sprawy ze stanu upojenia, w jakim się znajdował, i zaczął myśleć, że cień, który go wystraszył kilka minut wcześniej, był mirażem wywołanym ciemnością. Nie musiał już sobie przypominać melodii Schuberta ani nie usiłował jej gwizdać, czuł, jak krąży mu w żyłach zmieszana z alkoholem, wartka, niepohamowana, narastająca do granic możliwości, jakby miała eksplodować, zanim dobiegnie końca, uspokoiła się później, kiedy już niemal sparaliżowała mu serce, przynosząc kilka chwil spokoju, zwiastujących stopniowy nawrót bólu, żałoby i zuchwałości. Nie pamiętał później, w jaki sposób zstąpił jednocześnie do piwnic Casa de las Torres i w głąbiny swej duszy opętanej sznapssem i poruszonej muzyką. Znalazł się na wprost niszy, gdzie ciągle siedziała dziewczyna, z otwartymi oczyma, z dłońmi splecionymi na podołku, jakby nie spała, oczekując go. Wydała mu się trochę mniejsza i jakby rozmyta przez chmurę kurzu z jej loków, odrobinę pomniejszona w stosunku do naturalnych rozmiarów, mniej piękna i napawająca strachem niż na fotografiach, niemal domowa, zniechęcona, znudzona. Teraz, kiedy stanął naprzeciw niej, nie wiedział, co robić, i w mroki pijaństwa zaczęło się wkradać poczucie bezsensu i śmieszności, choć jeszcze bardzo słabe. Jej loki, oglądane z tak bliska, wydawały się zrobione z wystrzępionych pakuł, jak włosy lalek, a oczy miały mętną matowość, jakby cierpiała na zaćmę, w kącikach ust skrywały się delikatne nacięcia albo zmarszczki, co przywiodło mu na myśl usta kobiet, którym niszczył się makijaż w świetle fleszy studia. Dotknął jej twarzy, bojąc się ją sprofanować, i poczuł, że jest tak sucha i zimna, i tak ziarnista w dotyku jak piwniczne kamienie. Lecz jej spojrzenie, teraz wyraźnie martwe i ślepe, nie przestawało go mamić, a zapach kurzu, wydzielany przez ubranie i włosy, mdlił go jak usypiające perfumy, których – o czym czytał – używały kobiety fatalne.

Musnął jej twarz, półotwarte usta, szyję, zbliżył palce do dekoltu i wyczuł krawędź kartki papieru. Musiał być jeszcze bardziej ostrożny, musiał się uspokoić, aby opanować drżenie rąk. Odwrócił się do niej plecami, z szacunku, i pociągnął łyk z piersiówki, potarł palce, splótł je i rozprostował, jak złodziej przygotowujący się do odgadnięcia kodu kasy pancерnej. Papier mógł się rozpaść w pył przy próbie rozłożenia go. Wyjął kartkę i rozłożył z taką delikatnością, z jaką by rozprostowywał skrzydła zaszuszonego motyla, ale nie mógł uniknąć rozdarcia w miejscach zgięć. Nie widział zbyt dobrze, z winy sznapsa zlewały mu się litery, światło latarki słabło, niebawem całkowicie zgaśnie, a wtedy co? Nie odnajdzie wyjścia, zgubi się w piwnicach, objając się o ściany jak ślepiec, przewróci stare meble i kadłuby powozów, odnajdzie go straszliwa strażniczka i po kilku godzinach będzie skazany na publiczny wstyd, a może nawet więzienie, już sobie wyobrażał niewzruszoną i grobową minę inspektora Florencia Péreza, upadek swego studia, żebraninę, przytułek dla ubogich. Muzyka i strach jak nawałnice wstrząsały jego świadomością, muzyka wzmagająca się aż do ostatecznej eksplozji ulgi i płaczu, strach osaczał go jak ciemność, ledwie rozpraszana światłem latarki, a pośrodku, przed jego oczyma, we wspomnieniu snu i fotografii pod błyszczącym i różowawym płynem wywoływacza, nie pogrzebana dziewczyna, porzucona i wygnana w piwnicy Casa de las Torres, przechowująca pomiędzy swymi gipsowymi piersiami sekretną, miłosną wiadomość, powracającą na światło dzienne po trzech czwartych stulecia i nie

przeżywaną przez Ramira Portrecistę tej samej nocy, lecz następnego ranka, po przebudzeniu na sienniku w laboratorium, cuchnącym wymiocinami i chemikaliami, i przy dźwiękach skrzypienia igły na gramofonowej płycie, która zdawała się uparcie żłobić i rozpruwać mu mózg. Spał w płaszczu i okularach, nie mogąc sobie przypomnieć, że je wkładał, a przy ustach leżała opróżniona piersiówka, którą od razu zrzucił na podłogę, aby uniknąć mdłości. Zdołał powoli rozewrzeć prawą dłoń i znalazł w niej cztery identyczne kawałki grubego pożółkłego papieru. Powrót z Casa de las Torres zatarł mu się w pamięci; to jest najgorsza właściwość alkoholu, wyjaśnił mu major Galaz, pozbawia człowieka całych godzin życia. Ostatnią rzeczą, jaką potrafił sobie przypomnieć, był strach przed pozostaniem w ciemnościach piwnicy, miauczenie kota, nieruchomy cień konnego powozu. Wszedł do studia, gdzie głuchoniemy w bezruchu wlepił w niego oczy z tym samym spłoszonym spokojem, z jakim pewnie patrzyłby na nieboszczyka wychodzącego z grobu, gestem nakazał mu, by sobie poszedł, i nie zdejmując jeszcze płaszcza ani kauczukowych okularów, które z winy całonocnego alkoholowego pocenia się przykleiły mu się do skroni, zwałił się na fotel w małym pokoiku, którego używał jako archiwum, i rozłożył przed sobą, pod silną lampą, cztery kawałki papieru. *Przyłóż mię jako pieczęć na serce swoje*, przeczytał w końcu, kiedy zdołał je ułożyć, i wydało mu się, że gdy czytał, ponownie usłyszał kwartet Schuberta, i że muzyka słów wypisanych pełną zawijasów kaligrafią, znamionującą męską rękę, ożywiła jego krew i pogrążyła go w katastrofalnej, nieuzasadnionej czułości i żalu nad samym sobą, *jako sygnet do ramienia swego! albowiem miłość mocna jest jako śmierć, twarda jak grób zawistna miłość; węgle jej jako węgle ogniste i jako płomień gwałtowny. Wody wielkie nie mogłyby zagasić tej miłości, ani rzeki zatopić*. Wymęczony kacem, oślepiiony łzami, rycząc jak ciele, Ramiro Portrecista zrozumiał bez żalu i nadziei, że wielką miłością jego życia była kobieta, która zmarła zamurowana trzydzieści lat przed jego narodzeniem. Więcej już jej nie zobaczył, oświadczył majorowi Galazowi, jakby mówił o kobiecie, którą poznał za życia; dwie albo trzy noce później, po opróżnieniu jednej z ostatnich butelek don Otta, ponownie zebrał się na odwagę i powrócił do krypty tą samą drogą, lecz jego latarka oświetliła już tylko pustą niszę.

PATRZĘ NA ICH TWARZE i odnoszę wrażenie, że nigdy naprawdę ich nie poznałem, że nigdy nie dowiedziałem się, jacy byli, kim są, poza mną i daleko ode mnie, co pamiętają, co wiedzą, jak żyli w mrocznym okresie głodu i terroru, nie wieki temu, ale lata, niezbyt wiele lat temu, niedługo przed moim przyjściem na świat, kiedy ojciec i matka się pobrali i starczyło im tylko na wynajęcie poddasza, gdzie zamieszkali, patrzę na fotografie, jakie im zrobił Ramiro Portrecista, nie pamiętając być może, że ich sportretował, kiedy byli dziećmi, i już wtedy mieli wypisane na niewinnych twarzach całe swe przyszłe opuszczenie, ojciec w marynarce i w krawacie, w krótkich spodniach, pozujący przy kolumnie, na której siedzi gipsowy chart, matka w białych sandałach i ciemnych skarpetkach, ze wstążką we włosach, miała dwanaście albo trzynaście lat, trzyma na rękach jednego ze swych młodszych braci, uśmiecha się w cieniu dziadka Manuela, jak w cieniu dębu, dziadek już bez munduru Gwardii Szturmowej, który pewnie od długiego czasu wisiał w szafie, gdzie go znalazłem, łysy, bez blond czupryny, jaką miał jeszcze na swym ślubnym zdjęciu, w płóciennych spodniach i kamizelce, w koszuli bez kołnierzyka zapiętej pod szyją, poważny, jakby pozując, przypomniał sobie, że kiedyś był saperem i uwodził kobiety jednym spojrzeniem spod daszka żołnierskiej czapki, obejmował ramieniem babcię Leonor w geście niezwykłej czułości, spoglądając kątem oka, trochę z obawą, na pradziadka Pedra, który nie wie, że robią mu zdjęcie, i siedzi jak co rano w słońcu na schodach, i ma u swych nóg bezimiennego psa. Twarze wujków, ogolone głowy, spiczaste kolana głodujących i opadające kolanówki, marynarki po dorosłych, jakie nosili, zmniejszane przez babcię w bezsenne noce. Nie potrafię sobie wyobrazić ani wymyślić i niemal już nie potrafię sobie przypomnieć ich historii i bardzo możliwe, że nie będę miał okazji poprosić ich, żeby dalej mi opowiadali, jaki był obóz koncentracyjny, do którego cię zabrali?, zwykłem pytać dziadka, co czuje człowiek, kiedy wie, jak łatwo zostać skazanym na śmierć?, jak to jest, kiedy ma się karabin w rękach i leżąc w okopie, wypatruje się po drugiej stronie twarzy albo sylwetki, do której ma się strzelić? „Ja zawsze zamykałem oczy” – mówił wujek Rafael – „strzelałem tak źle, że nawet gdybym tego nie robił, i tak bym nikogo nie trafił, jak tylko poczułem zapach prochu, trzęsły mi się ręce i kolana, oczy zachodziły mgłą i widziałem dwie albo trzy muszki, i myślałem, no dobra, przecież tamci z drugiego okopu nic mi nie zrobili, a co zresztą mieliby mi zrobić, skoro w ogóle ich nie znałem, zamykałem więc oczy i ciągnąłem za cyngiel, i mówiłem do siebie, niech się dzieje co chce, ale ogarniała mnie wściekłość, kiedy o tym myślałem, chłopcy jak dęby bawiący się w strzelaninę i równający krok, zamiast pracować na swoim”.

Czasem o tym rozmawiali, o poczuciu absurdalności, o niemożności zrozumienia, mówiono im „trzeba wziąć to wzgórze”, i myśleli, że nawet jeśli przepędzą stamtąd wroga, nie wezmą go, bo wzgórze pozostanie dokładnie w tym samym miejscu, bardziej ogołocone, podziurawione bombami, splamione krwią, zaludnione trupami bez twarzy, z rozrzuconymi nogami i wnętrznościami rozlewającymi się po brudnych gaciach, ale w tym samym miejscu, powtarzał, kręcąc głową wujek Rafael, i nikt nie mógł go stamtąd zabrać ani mieć z niego jakichkolwiek korzyści. Jednak nie bali się, wszystko działo się zbyt szybko, byli głodni, opowiadają, gryzły ich wszy i pluskwy, umierali z zimna w kurtkach mundurów albo mdleli z gorąca w stalowych hełmach, obcierały ich wojskowe buty, dręczyły odmrożenia, wspominali zbiory, które zostały na polach z powodu wojny, i w świetle kaganków pisali sztywne i

oficjalne listy do swych żon albo rodziców lub dyktowali je innym, droga Leonor, mniemam, iż miewasz się dobrze, ja, Bogu dzięki, daję sobie radę, pisał dziadek w liście, który znalazłem w szufladzie jego nocnego stolika, i nie mówił o przegranej ani o strachu przed sądem potowym, ale o pogodzie albo o tym, że wspomina ją i dzieci, przebywając w tym miejscu, które w mojej wyobraźni wyglądało jak obozy koncentracyjne z telewizji, rzędy baraków, prycze z gołych desek, wieże strażnicze z reflektorami i głośnikami, druty pod napięciem, ale nic z tego nie było prawdą: setki, tysiące mężczyzn krążących jak cienie po jakimś ściernisku z drzewami oliwkowymi, powiedział mi, kiedy jeszcze nie stracił pamięci czy też przyjemności opowiadania, otoczonym drewnianym parkanem, jak pastwisko, pilnowanym przez gniazdo karabinów maszynowych, bez budynków ani placów apelowych, bez choćby jednego dachu, pod którym można by się schronić przed deszczem i zimnem. Spali na ziemi pod gałęziami drzew oliwkowych, przylegając do pni albo poskręcanych korzeni, rozciągnięci na ziemi w ciepłe noce; dni i tygodnie, i miesiące krążyli jak zagubieni podróżnicy, tłocząc się i walcząc ze sobą, kiedy wysypywali przed nimi z worków czarny chleb, patrząc, jak na ziemi i na gałęziach czernieją oliwki, których nikt nie zbierał przez cztery czy pięć lat, upodleni tym stłoczeniem, głodem, nudą, ciągle czekający na list albo przepustkę, albo wyrok śmierci lub dożywocia, piszący, jeśli potrafili to robić i jeśli znaleźli ołówek i kartkę papieru: z najwyższym uszanowaniem żegna się ten, który jest twoim mężem, Manuel, podpis tak fantazyjny jak jego głos albo gesty, pochylone litery, rozwlekłe, zdradzające wysiłek, jaki musiał włożyć, aby wybrać i zapisać każde słowo, ołówek tak malutki, że niemal zniknął pomiędzy palcami, krótki rysik zwilżony śliną, słowa na wpół zatarte po tylu latach, zniekształcone błędami ortograficznymi, opowiedz, jak idą żniwa, tutaj dużo padało i pełno jest oliwek, ale nikt ich nie zbiera, szkoda; a babcia, w Maginie, tak bardzo odległa od miejsca, w którym się znajdował, bo nie potrafiła nawet oszacować odległości, nasłuchiwała kroków i pogwizdywania listonosza przechodzącego ulicą Pozo i wybiegała na zewnątrz, zanim rozbrzmiał jednocześnie gwizd i stukot kołatki, przepełniona nadzieją i strachem, bo zwykle listonosz przechodził obok, a poza tym mógł się zatrzymać po to, żeby poinformować ją o nieszczęściu, że dziadka zabili, że już nie wróci, tak jak nigdy nie wrócił stary z domu na rogu, teraz zajmowanym przez ślepego, który z nikim nie rozmawia. Słuchała stukotu kołatki i czuła, jakby rozbrzmiewał w jej pustym żołądku, wyżej, w piersiach, otwierała drzwi i stawała z kopertą w dłoniach wytartych w fartuch, z trudem odczytywała własne imię, Leonor Expósito, z ulgą rozpoznając pismo dziadka, patrzyła na nadawcę, z wielką ostrożnością rozdzierała kopertę i stała, wpatrując się w tajemnicze słowa, nie potrafiąc zbyt dobrze odcyfrować pisma i nie rozumiejąc połowy tego, co dziadek jej oznajmiał, czytała na głos, sylaba po sylabie, gryząc usta z upokorzenia i niecierpliwości, tak jak wtedy, kiedy byli bardzo młodzi i on się do niej zalecał, przysyłając listy przepisane z podręcznika kaligrafii sentymentalnej, handlowej i przyjacielskiej. Początkowo zwracała je, nie otwierając, bo taki był zwyczaj, a kiedy zaczęła je przyjmować, rzadko je otwierała, nie tylko dlatego, że prawie nie umiała czytać, bo, zawsze mogła znaleźć kogoś, kto zrobiłby to za nią, lecz dlatego, że nie wyobrażała sobie, iż mógł istnieć jakiś związek pomiędzy jej życiem i zapisanymi słowami, którym przypisywała zgubną moc: przez ten dyplom, który jeszcze przechowują w szafie, dziadek przestał pracować w polu, żeby włożyć niebieski mundur ze złotymi guzikami i w bardzo krótkim czasie stał się błądliwy jak urzędnik; mężczyźni, którzy jej oznajmili, że został aresztowany, przynieśli list w żółtej kopercie; żeby go odwiedzić w pierwszym więzieniu, musiała pokazać papier, który oni nazywali przepustką; a teraz nie miała innego papieru, żeby pozwolili mu wyjść z obozu koncentracyjnego. Jej ojciec, Pedro Expósito, jedynego mężczyzna, jakiego podziwiała, nie potrafił ani czytać, ani pisać, i szorstko oświadczał z dumą, że nigdy w życiu nie postawił krzyżyka ani nie odcisnął kciuka na żadnym dokumencie. A jej męża, dziadka Manuela, zgubiły słowa, nie wierność ani poczucie obowiązku, jedynie dźwięczne słowa, które Lak

lubił; hałas i powietrze, szeptał z pogardą pradziadek do psa, z którym być może najbardziej łączył go zwyczaj zachowywania milczenia.

Gdzieś ty się nauczył używać tych wszystkich słów, słyszałem, jak mówiła do niego za każdym razem, kiedy zaskoczyła go na opowiadaniu mi jakiejś historii o niewoli albo bohaterstwie, śmiejąc się z niego, kto mu każe tyle gadać i tak głupio mieszać się w sprawy innych ludzi, zamiast zająć się własnym życiem, zawsze pełnym kłopotów, podsycanych słowami i bujdami, łatwowiernością i pychą, żeby potem skończyć, tak jak widzisz, półinwalida od tej ciągłej pracy bez żadnych rezultatów, tylko ta nędzna emerytura, a i tak dobrze, że ci uznali te lata Gwardii Szturmowej, bo co byśmy jedli? Złączem jak bliźnięta syjamskie starością i strachem przed śmiercią, niewypowiedzianym żalem i współczuciem, pozwalają upływać godzinom i dniom, siedząc przed telewizorem, a ostatnimi czasy, mówi matka, już się nie kłócą ani nie wypominają sobie krzywd, które pomimo zapomnienia może jeszcze ich zatruwają jak śmiertcionośne substancje niepostrzeżenie krążące we krwi. W czterdzieści dziewięć lat od dnia, w którym wyszedł z obozu koncentracyjnego, niosąc ze sobą tylko zniszczoną kurtkę i tobołek z butami, kawałek czarnego i twardego komiśniaka oraz końskiej kiełbasy, dziadek Manuel, w tej właśnie chwili, w Maginie, wstaje z miejsca z niezwykłą powolnością i wymacuje drogę gumową końcówką laski, i spogląda na odległe i nieosiągalne czubki palców nóg, posuwających się centymetr za centymetrem po terakocie, i ból stóp przywołuje w myślach fragmenty obrazów z długiej i zapomnianej drogi, którą odbył pieszo, wrażenie, że stopy otworzą się, jakby je rozplątano tasakiem, że nogi i całe ciało, i świadomość rozpuszczą się w błocie, bo już dawno zapadła noc, a on nie przestał maszerować ani na chwilę, odkąd wzeszło słońce, nie wie kiedy ani dokąd, wie tylko, że nie jadł i że droga pod jego stopami i przed jego oczyma nigdy się nie kończy, ścieżka zagubiona w jakichś górach, równa droga, wyglądająca jakby słońce przyszpilało ją do ziemi, horyzont sinich wzgórz, w których się zgubi, gdy zapadnie noc, mając za jedyne oświetlenie ognik papierosa, nie słyszał przez wiele mil nic poza własnymi krokami i dźwięczeniem dzwoneczka przywiązanego do uprzęży muła. Lubił opowiadać w ten sposób, mówi Nadii, wyjaśniając wszystko, wymyślając wszystko, nocną ciemność, wycie wilków, rozżarzoną końcówkę zapalonego papierosa, dzwonek, którego dźwięk słyszałem tak dokładnie, jakbym odbył wraz z dziadkiem te podróże przez góry, banalne okoliczności nabierały w jego opowieści ponurości złych wróżb. Przypomniawszy sobie o dzwoneczku, bo usłyszał stukanie łyżeczki w szklance z lekarstwem przygotowanym przez matkę, którego nie będzie potrafił wypić, nie wylewając niemal wszystkiego na brodę i piersi, ale to mu się zawsze zdarzało, mówi babcia Leonor, nigdy nie potrafił pić syropów ani lekarstw, ani mleka, ale jak pije wino, nie skapnie ani kropelka, choćby pił z *porrón*⁴, to ci dopiero zagadka.

W jego pamięci, jak w jednym z tych nic nie znaczących snów, w które łatwo wkrada się rzeczywistość, odgłos mieszania łyżeczką przekształca się w monotony dźwięk dzwonka i zmęczenie nóg przenosi go automatycznie w jedną z jego ekspedycji na drugą stronę sinich gór, które pokazywał mi zamaszystym gestem z wyżyn swej postury, opowiadając o czasach, kiedy to potajemnie zarabiano na życie na czarnym rynku – to następne niezrozumiałe słowo, którego nauczyłem się od niego – kupując ziemniaki i fasolę, i pszenicę w odległych wioskach i przysiółkach, aby później je sprzedać w Maginie, nie hurtowo, jak jego sąsiad Bartolomé mający kapitał i wpływy, dzięki czemu w ciągu kilku lat podwoił majątek, lecz przy tak mizernych środkach i w takim strachu, że go złapie Guardia Civil, że nigdy nie miał najmniejszej możliwości wyjścia z biedy ani nawet nie zarobił na spokojne spłacenie muła, którego kupił, zaczynając handlować, i który pewnej zimowej nocy zdechł, zajeżdżony pod zbyt ciężkim ładunkiem na najtrudniejszej stromiźnie drogi zwanej Chwackim Podejściem, pozostawiając dziadka na pastwę śniegu i wilków z daleka węszących krew zwymiotowaną

⁴ Specjalne naczynie do picia wina z cienkim spiczastym dzióbkiem. Pije się, wlewając sobie wino do ust z wysokości kilkudziesięciu centymetrów (przyp. tłum.).

przez zwierzę – w opowieściach dziadka Manuela zawsze była noc i padał deszcz albo śnieg i słychać było ryk wiatru albo dzikich zwierząt. Nie wiadomo jednak, czy wspomina, czy też śni, robi jeszcze jeden krok, wspiera się na lasce, bojąc się, że się złamie, nie rozróżnia snów i wspomnień, obrazów z własnej wyobraźni i tych, które przesuwają się wokół niego albo w telewizji – w pamięci przełamały mu się bariery i podziały czasu, i ta chwila, w której obecnie żyje, pozbawiona jest realności i prawdopodobieństwa, być może dlatego, że twarzom i przedmiotom brak wyraźnych konturów, pojawiają się bez powodu, znikają bez wyjaśnienia, jak przedmioty badane i przewracane przez kilkumiesięczne dziecko. Kiedy czasem przyjeżdżam, rozwiewam się i ja, jego najstarszy wnuk, wchodzę do pokoju, całuję go i pytam, jak się ma, a on nagle spogląda na mnie, jakby mnie nie rozpoznawał, uśmiecha się i pozwala się całować, ale w głębi ducha wątpi, że jestem tym, za kogo się podaję, i kiedy chce na mnie spojrzeć, żeby potwierdzić swe podejrzenia, albo otwiera oczy po kilkuminutowej drzemce, okazuje się, że mnie już nie ma w pokoju, że minęły dni albo tygodnie podczas tego chwilowego snu, pyta o mnie i babcia odpowiada, ależ Manuelu, czy to możliwe, nie pamiętasz, że wyjechał i że przed chwilą rozmawiałeś z nim przez telefon?

Nie chodzi o to, że nie pamięta, nie potrafi albo nie chce kontrolować swej pamięci; widzi obrazy szczegółowe i absurdalne jak strzępy snów, patrzy na moją matkę, wycierającą mokrą ścierką ceratę, i nagle nad stołem pochyla się inna kobieta, babcia Leonor, kiedy była bardzo młoda i dopiero co się pobrali, i rozpałał w nim pożądanie biały odcień jej skóry i ciepła jędrność mięśni. Lekko się wtedy uśmiecha, z wywróconymi i wilgotnymi oczyma i z gorzkim grymasem na zaciśniętych ustach, jakby przez kilka chwil oglądał raj swego życia i zdał sobie sprawę z tego, jak jest odległy, miłość kobiet, pycha i odwaga młodości, muzyka defilad, kiedy stukał obcasami na ulicy skąpanej w słońcu i wznosił oczy w stronę balkonów, na których klaskały w dłonie dziewczęta wsparte na trójkolorowych flagach. Czterdzieści dziewięć lat po wyruszeniu w drogę powrotną do Maginy zza parkanów obozu koncentracyjnego śni albo wspomina, że idzie dzień i noc i jest tak zmęczony, że czasem zasypia, nie zatrzymując się, tak wyraźnie śni swój marsz, że pomimo zmęczenia i głodu na nowo odczuwa żwawość wznoszącą się od stóp jak żywotne soki, radość z rześkiego powietrza w płucach, woń kopru, tymianku i wilgotnej październikowej nocy. „Szedłem przez dwadzieścia cztery godziny bez ustanku”, mówił; postanowił, że zatrzyma się dopiero w Maginie, i aby przyspieszyć kroku, wyobrażał sobie, że defiluje jak na paradach z okazji czternastego kwietnia, z podniesioną głową, łokciem pod kątem prostym do lewego biodra, żeby podtrzymywać kolbę mauzera, wyjaśniał mi, używając motyki jako karabinu, prawa ręka energicznie wznosiła się na wysokość ramienia, rytmiczny oddech, powietrze wdychane przez nos, żeby zabijać mikroby, i wypuszczane przez usta; gdy wkładał mundur, nie było mężczyzny bardziej chwackiego niż on, ale równe maszerowanie nigdy nie wychodziło mu zbyt dobrze, rozpraszał się, spoglądając na kobiety w jasnych sukienkach z trójkolorowymi kokardami, asystujące defiladom i klaszczące w dłonie, przede wszystkim kiedy przechodzili saperzy, najwyżsi, zawsze szli pierwsi.

Uśmiecha się i być może nie wie dlaczego, otwiera szeroko oczy i nie pamięta snu, z którego się zbudził, wodzi wzrokiem dookoła i nie rozpoznaje pokoju, w którym się znajduje, obmacuje nogi pod falbanami obrusu i stwierdza, że są skostniałe z zimna, tak więc nie może być tym mężczyzną, niezmordowanie maszerującym nocą, depczącym żwir drogi łapcami, których nie zdjął z nóg, aż zdarły się zelówki, bo buty, odkupione od jednego z więźniów za przydział tytoniu, chciał zachować na górskie ścieżki. Umiera ze zmęczenia, senna i głodu i nie chce się jeszcze zatrzymać ani zjeść tego kawałka kiełbasy, który mu pozostał, czy czarnego komiśniaka, który ugryzł tylko dwa czy trzy razy, odkąd ruszył w drogę, kto może wiedzieć, ile czasu będzie jeszcze szedł do Maginy, kiedy zobaczy z daleka sylwetki jej wież na tle wzgórze i mury, Gwadalkiwir, równinę, gaje oliwne, lśniąca i świeża zieleń

granatowców w sadach. Zasypia w marszu i nagle budzi się, bo upadł twarzą na ziemię, dźwiga się i nie wie, gdzie jest, we śnie w środku innego snu, na nie oświetlonej szosie, która wcześniej czy później zaprowadzi go do Maginy, w wielkim i ogrzonym pokoju, gdzie rozbrzmiewa muzyka telewizyjnego programu i strofuje go głos, który rozpoznaje dopiero po chwili, Manuelu, jak to możliwe? Znowu spałeś.

Ale on nie śpi, nie chce spać, tylko idzie i odmierza rytm, i poszukuje w czerni nieba pierwszych oznak świtu, wydaje mu się niemożliwe, że jest tak młody, idzie dzień i noc, jakby niósł go rzeczny prąd, prawie bez jedzenia, mówi do siebie, żeby nie zasnąć, śpiewa pod nosem flamenco głosem podobnym do głosu Pepe Marcheny; znajdował go w sobie, kiedy wychylał dwa kieliszki bimbrowy i słuchał zagrzewającego go klaskania, wyrzucał w górę prawą rękę, odwracał się od baru i energicznie zawodził albo wykrzykiwał na przykład Miguel de Molina, w śpiewie i pod wpływem alkoholu zapominał o bożym świecie i wracał do domu pijany i bez grosza, ale nie musiał przecież giąć karku w polu od świtu do zmierzchu przez cały boży dzień i zamykać się nocą w domu jak zwierzęta w oborze. Nie chciała tego zrozumieć babcia Leonor, bez względu na to, jak późno wracał do domu, czekała na niego, nie śpiąc, i wyzywała od łazęgów, bezwstydników, pijaków, jakby stale się gdzieś włóczył i nie mordował się całymi dniami, zarabiając na chleb dla dzieci. Gdyby mógł wybrać swoje przeznaczenie, zostałby śpiewakiem flamenco, choć zawód gwardzisty też nie był najgorszy, praca zapewniona na całe życie i opłacana przez rząd, książeczka oszczędnościowa, darmowe przejazdy tramwajem i to, co mu się najbardziej podobało – szacunek dla munduru, zadowolenie z tego, że kobiety przyglądają mu się na ulicy, był wysoki jak aktor filmowy, wspomina matka, z paskiem czapki na podbródku, przybierał władczy ton, prosił przechodzić, prosił zrobić przejście, prosił stać w kolejce, bo będzie zmuszony do użycia siły, któż by powiedział, że z chłopaka pomagającego przy mułach stanie się saperem Gwardii Szturmowej.

I nagle katastrofa, jakby trafił w niego piorun w najlepszej chwili jego życia, pomimo niedostatku, jaki cierpiał podczas ostatnich wojennych miesięcy i pomimo plotek o rozpuszczaniu oddziałów. To go ani ziębiło, ani grzało, myślał z charakterystyczną wyniosłością: czy zrobił coś złego? Splamił się krwią? „Jak człowiek się boi, to znaczy, że coś zbroił, Leonor” – powiedział babci ostatniej niedzieli na wolności. – „A ponieważ ja nie zrobiłem nic, czego musiałbym się wstydzić, nie mam zamiaru się ukrywać”. Wszystko na próżno, wszystko zostało utracone na zawsze w chwili, kiedy zabrano go zakutego w kajdanki jak przestępcę, w wyglancowanych butach, w białych rękawiczkach i w galowym mundurze, jego, który nigdy w nic się nie mieszał, który nawet o mało nie został rozstrzelany, kiedy milicjanci zajęli majątek, gdzie pracował do wybuchu wojny, i pani, która bardzo go kochała, wezwała go do pałacu w Maginie, padła przed nim na kolana i poprosiła z taką żarliwością, że w jednej chwili niemal przywiodła go do płaczu: „Manuelu, na wszystko, co kochasz na świecie, ty nie jesteś taki jak ci niewdzięcznicy, idź do majątku i porozmawiaj z nimi, może uda się coś uratować, wiedz, że ci się odwdzięczę”. Jednak kiedy tam przyszedł, wandy nie podpalili dom i nie mógł ocalić z pożaru nic ponad kilka książek i srebrnych łyżeczek oraz poświęconego popiersia Matki Boskiej z Gavellar, patronki Maginy, które wyniósł ukryte pod marynarką, i niewiele brakowało, żeby go zastrzelili albo wrzucili do ognia, niejako lokaja kapitalistów i zdrajcę swej klasy, jak wykrzykiwali milicjanci, ale za kretynizm, powiedziała babcia Leonor, patrząc na jego poprzypalane ubranie i czarną od sadzy twarz, wyglądał, jakby dopiero co wyskoczył z diabelskiego kotła, kto tobą rządzi, wrzeszczała na niego, coś ty zgubił w majątku, trzeba było powiedzieć paniusi, żeby sama poszła bronić swoich rzeczy, skoro tak jej na nich zależy.

Dziadek zniżał głos i robił minę znamionującą gotowość do konfrontacji, na jego twarzy pojawił się gorzki uśmiech rozczarowania albo pogardy, którego być może nauczył się od galantów z teatru; był biedny i nie miał żadnej szkoły ani żadnych dóbr poza honorem, ale nie

mógł pozostać nieczuły na prośby kobiet. Jeśli stał po czyjejś stronie, to tylko po stronie porządku, zawsze podobały mu się defilady i akademie, wzruszał się, czytając w „El Debate” przemówienia Gila Roblesa, choć w równym stopniu wzruszał się Julianem Besteiro i Azañą. 15 kwietnia trzydziestego pierwszego ze łzami w oczach czytał w „ABC” list Alfonsa XIII do Hiszpanów, ale płakał też, kiedy na balkonie ratusza wciągano trójkolorową flagę, i pewnie płakałby z radości, gdyby widział wkraczających do Maginy Maurów i karlistów. Nic na to nie mógł poradzić, wszystkie hymny sprawiały, że skóra mu cierpła, a włos się jeżył, słuchał przemówienia, patrzył na flagę albo czytał artykuł i do oczu napływały mu łzy, i w końcu zapamiętywał się tak samo na mityngu anarcho-syndykalistów co na kazaniu księdza klerykała. Nie istniał zapał, który nie mógłby mu się udzielić, ani przemówienie, które nie wydawałoby mu się cudowne, a kiedy był obecny przy wygłaszaniu jakiejś politycznej diatryby u fryzjera, przyjmował po kolei i z jednakową gorliwością punkt widzenia każdego z mówców, a kiedy proszono go, by czytał na głos, zgadzał się całkowicie z artykułami ze wszystkich gazet. Deklamowane czy pisane, słowa wprawiały go w euforię, zupełnie jak wino, wracał więc od fryzjera tak samo upojony jak z tawerny i kończył lekturę antagonistycznych gazet pogrążony w podobnym oszołomieniu, jakie powoduje kac po przemieszaniu różnych alkoholi.

Uniwersalność jego entuzjazmu zaludniła moje dzieciństwo godnymi podziwu nieznanymi: don Santiago Ramón y Cajal, don Miguel de Unamuno, don Alejandro Lerroux, don Juan de la Cierva, Largo Caballero, hiszpański Lenin, don Niceto Alacalá Zamora, don Miguel Primo de Rivera, Millán Astray, general Miaja, major Galaz, Azaña, bohaterowie z *Plus Ultra*, Madame Curie, której przypisywał wynalezienie aparatu radiowego, Roosevelt, Stalin, doktor Fleming, Mussolini, Adolf Hitler, a nawet cesarz Abisynii, którego wygnanie dziadek Manuel opłakał tak szczerze jak bohaterstwo Włochów, którzy go obalili, nazywał go Hajle Sellasje albo Negrus, wyobrażając sobie, że kolor jego skóry przyczynił się do powstania przydomku, jakim go określano w międzynarodowych kronikach. Słowa akcentowane na trzeciej sylabie od końca i łańcuchy niewybrednych epitetów jaśniały w jego wyobraźni jak klejnoty, nazywał Guardię Civil „dobroczynną”, choć czasem plątały mu się sylaby, a mianem „Hrabiowskiego miasta” określał Barcelonę, i wiedział, że hołota, o której pisały prawicowe gazety, była zbuntowanym tłumem, i że Liga Narodów miała siedzibę w Genewie, choć nigdy nie potrafił zrozumieć mapy. Myliły mu się linie granic z rzekami w sposób tak nie rozerwalny jak składniki dodawania, a gdy chciałem pokazać mu na mapie z mojej szkolnej encyklopedii, gdzie znajduje się Mágina, nie chciał mi uwierzyć; nie mogła być tak mała i tak zagubiona, i do tego tak daleko od morza, bo on je widział pewnego ranka ze szczytu góry Aznaitín, z najwyższego punktu Sierry, tak zmęczony marszem, że myślał, iż nadszedł jego kres, było to na kilka chwil przed zwróceniem oczu ku północy i ujrzaniu niczym złudnego mirażu doliny Gwadalkiwiru, spowitej stężalą, fioletową mgłą, nad którą jak wyspa wznosiło się odległe wzgórze Maginy.

Może to właśnie wspomnienie tego poranka sprawia, że oczy dziadka nieruchomieją utkwione w pustkę i szklą się łzami, nie zwraca uwagi albo nie słucha, kiedy się go pyta, o czym myśli. Zbyt późno zauważa wilgoć wytryskującą z gruczołów łzowych, spływającą potem po policzkach, nie może jej zatrzymać, sparaliżowany, jakby utracił zdolność poruszania rękoma uspiętymi ciepłem żarownika i sięgnięcia po chusteczkę, i zatrzymania łez, których skrycie się wstydzi, jak swej udręki, jakby zsikał się w majtki; no co to, to nie, myśli, przynajmniej jak dotąd, do kiedy? Mam nadzieję, że wcześniej umrę. Jak sknera, który najbardziej niedowierza tym, którzy są najbliżej, być może zachowuje dla samego siebie chwile przytomności i lawiny wspomnień, słowa i strzępy historii wdzierające się w monotonię ośpienia i amnezji, jak blask obrazów w pamięci niewidomego. Pewnie woli, żeby nie wiadomo, żeby nie podejrzewano, że jeszcze rozumuje i że nabył mocy oglądania mniej istotnych zdarzeń ze swego życia z jasnością, jakiej nie miał, kiedy mu się przytrafiały,

i teraz nie chce się nimi z nikim dzielić ze skąpstwa i dumy, a także z obawy, że słowa wszystko umniejszą. Nigdy mu już nie powiedzą, że zmyśla swoje opowieści, bo teraz opowiada już tylko samemu sobie i uśmiecha się ponuro, myśląc, iż rzeczy, które widział i w które mu nie uwierzono, gdy o nich opowiadał, zginą razem z nim niczym pochłonięte przez morze skarby. Nigdy więcej nikt nie usłyszy słów brzmiałych w jego wyobraźni jak słabe echo tamtych, które tylekroć powtarzał na głos, nikomu już nie opowie, że pewnej bardzo ciemnej zimowej nocy jakiś człowiek poprosił go o ogień i w świetle zapalniczki zobaczył twarz Alfonsa XIII ani że pewnego razu natrafił w zaroślach nad brzegiem rzeki na szkielet jankonia, ani że był jednym z mężczyzn towarzyszących don Mercuriowi, kiedy odnaleziono w Casa de las Torres tę mumię, którą ktoś ukradł kilka dni później, a on wie kto... I kiedy zauważał nasze wyczekiwanie, milkł, zasepiony, ze spuszczoną głową, zaciskając usta, jakby odczuwał ciężar strzeżonej tajemnicy, której ku swemu ubolewaniu nie mógł wyjawić i która nie zasługiwała na niedowierzających mu powierników jego historii. Opowiadaj dalej, prosiłem, jeszcze trochę, jeszcze nie pora spać, kto ukradł mumię? Dlaczego zamurowano tę dziewczynę? Uśmiechał się, spoglądając na mnie chytrze i z zadowoleniem, rzucał okiem na drzwi ze strachu, że pojawi się w nich babcia Leonor i zacznie zrzędzić, mlaskał językiem, przesuwając ręką po ustach. I potem dodawał, kiedy już szedł spać, po nakręceniu ściennego zegara kluczem przechowywanym w kieszeni kamizelki, którym – o czym byłem święcie przekonany – regulował bieg czasu: „Skoro omówiliśmy wszystkie kwestie, zamyka się posiedzenie”.

PRZYŁÓŻ MIĘ JAKO PIECZĘĆ na serce swoje, jako sygnet do ramienia swego, mówi Nadia, recytuje z zamkniętą książką w ręku, wysłużoną Biblią hiszpańskich protestantów ze stronami o piaskowej teksturze, którą don Mercurio zapisał Ramirowi Portreciście w testamencie, choć ten nie potrafił powiedzieć dlaczego, dopatrując się w tym jakiejś ekstrawagancji lekarza, oznaki jego nieprawdopodobnego nawrócenia na łożu śmierci, jak niektórzy zatwardziali ateusze, o których wspominał w rozmowach przy stole z żarownikiem i różańcu inspektor Florencio Pérez, nieśmiały lider grupy Ewangelicznego Przebaczenia i Nocnej Adoracji. Podczas jednej z takich pogawędek zagadnął go ten dzielny i łagodny, dobrze się zapowiadający młodzieniec, Lorencito Quesada, odpowiedzialny za piłkarzy Akcji Katolickiej i wieczny subiekt Systemu Metrycznego, pierwszego, który wprowadził w Maginie system dziesiątyny, korespondent „Singladury”, prowincjonalnego dziennika Ruchu, autor nigdy nie wydanej książki o ludziach i nazwiskach Maginy, w której chciał umieścić sto najlepszych fotografii Ramira Portrecisty, pośród których nie ma żadnej mogącej dorównać zaskakującemu zdjęciu lekarza don Mercuria zrobionemu na kilka miesięcy przed jego śmiercią, kilka miesięcy albo tygodni, co do tego Lorencito nie był pewien i nie mógł być, bo kiedy poszedł ustalić dokładną datę z Ramirem, ten zniknął bez śladu, a głuchoniemy Matías, jego pomocnik od zawsze, który teraz chętnie jak auryga prowadził swój motorowy wózek, poświęcając się transportowi paszy, też nie potrafił wskazać, dokąd udał się jego mistrz; wzruszył ramionami, uśmiechając się tym samym idiotycznym uśmiechem szczęścia, z jakim obudził się trzydzieści kilka lat temu z katalepsji; ani on, ani nikt inny nie znał miejsca pobytu fotografa, oprócz majora Galaza, ale ten też zniknął w tym samym czasie, po raz drugi i ostatni, i prawie nikt nie zwrócił na to uwagi, podobnie jak prawie nikt, oprócz Ramira Portrecisty, inspektora Florencia Péreza i porucznika Chamorro, nie zauważył jego powrotu do miasta, zmienił się w obcokrajowca, który zamiast staroświeckich krawatów nosił muszki niczym amerykański profesor i spędzał czas tak osamotniony w swoim domku w kolonii Carmen, jakby mieszkał na przedmieściach Nowego Jorku, skąd przyjechał. Tylko z nim pożegnał się Ramiro, z nim i z jego córką, z tą cichą, rudowłosą dziewczynką, a potem Lorencito Quesada dowiedział się, że fotograf odwiedzał majora przez ostatnich kilka miesięcy, które obaj spędzili w mieście, powierzając mu najbardziej skrywane sekrety, jakby się spowiadał, a eksmajor – który w rzeczywistości mógł być ekspułkownikiem – nigdy mu nie przerwał ani nie zapytał o powód tych zwierzeń, zawsze milczący i uważny, z uprzejmością iście niewojskową proponował filiżanki herbaty, których Ramiro nie kosztował, bo nie miał takiego zwyczaju, i kieliszki koniaku, które fotograf wychylał z taką samą łapczywością, z jaką pił podczas ostatnich lat swej młodości niemiecki alkohol don Otta Zennera; siedzieli w ciszy, kiedy Ramiro pokazywał mu stare fotografie, tę zrobioną w nocy, podczas której major ustawił wojsko na placu przed ratuszem i wyprężył się przed burmistrzem, obwieszczając mu, że garnizon Maginy jest wierny porządkowi konstytucyjnemu Republiki, a także inne, których nikt nie widział, portret don Mercuria i zamurowanej dziewczyny, panny młodej zabitej strzałem w głowę kilka godzin po ślubie. Pokazał mu też Biblię o czarnej okładce, odziedziczoną po lekarzu, a potem przechowywaną w kufrze, który Matías przewiózł swym wózkiem do domu majora jako krępujący i raczej absurdalny spadek, którego przyjęcia major przez delikatność nie potrafił odmówić, choć nie rozumiał, dlaczego Ramiro Portrecista wybrał właśnie jego, może dlatego,

że wyobrażał sobie, iż major Galaz zachowa kufer na zawsze i ani trochę nie będzie go kusić, by go otworzyć i przejrzeć jego zawartość, że jest tak odporny na ciekawość jak na najmniejszy przejaw niewierności czy zdrady.

Wolny, rozmowny, nie zanadto pijany, niemal bohaterski, ze strachu przed przeziębieniem nie zdejmując płaszcza ani granatowego szalika, który tak kojąco otulał jego szyję, Ramiro Portrecista rozkładał się w fotelu majora i nie rozprasząc się, kontemplował ogród pełen suchych liści i bezpiecznych kotów albo reprodukcję jeźdźca gnającego w noc i opowiadał jak nigdy przedtem, jakby dopiero wtedy miał okazję albo prawo wypowiedzieć na głos wszystkie słowa, jakie zachowywał dla siebie przez całe życie; popijał koniak, nieustannie i drobnymi łykami, i ciężko wzdychał, przydzielając sobie rolę postaci drugoplanowej, ale niezbędnej w historii, o której nie mógł z całą pewnością powiedzieć, że była jego historią, pozbywał się jej w taki sam sposób, w jaki pozbył się studia i całego archiwum, aby lżej mu było wyjechać z Maginy, aby ostatecznie w tym nieszczęściu, tak pożądanym i wygodnym, jakim jest emerytura, z dala od wszystkiego, w mieście, gdzie nikt go nie zna, gdzie nawet on sam nie będzie mógł znaleźć w twarzach i na rogach ulic natrętnych raportów z własnej przeszłości, z oszustwa, jakim było jego życie, gdzie twarze widziane na ulicach nie będą wspomnieniem albo cieniem tych przechowywanych w jego archiwum jak nękająca go pamięć, zastępująca jego własną. Musiał się dowiedzieć, kim była zamurowana kobieta, powiedział majorowi Galazowi, bezskutecznie podchodził strażniczkę z Casa de las Torres i nieufnych, wrogich mieszkańców z placu Świętego Wawrzyńca, wreszcie chwycił się ostatecznego sposobu i choć wstrząsał nim dreszcz na samą myśl o przestąpieniu progu psiarni, udał się do inspektora Florencja Péreza, ale nie otrzymał żadnego wyjaśnienia, prawdopodobnie dlatego, że inspektor nic nie wiedział. Przyjął go jakby oszołomiony w swoim gabinecie, do połowy wychylony przez balustradę balkonu, wychodzącego na plac generała Orduñi, spoglądał na rozleniwionych mężczyzn zbierających się pod podcieniami i wokół pomnika, czujny i pogrążony w myślach, palcami prawej ręki wybijał rytm na ścianie, na udach i na biurku, monotony i niespokojny rytm, który powodował nerwowość u Ramira. Inspektor nie przestawał stukać i nie słuchał, co się do niego mówi, jakby był gdzieś indziej, jak poeta poszukujący trudnego rymu albo detektyw mizantrop na chwilę przed odkryciem tajemnicy. Inspektor, mówił Ramiro, pragnął być jak ten gruby detektyw z powieści, który domyślał się wszystkiego, nie wychodząc nawet z gabinetu, poprzez rozmyślanie, dedukcję, chciał badać duszę każdego mieszkańca Maginy. Jako kryminolog i funkcjonariusz – oraz świadomy i zawzięty opozycjonista, nie tak jak inni, których znał i którzy wspięli się znacznie wyżej po szczeblach kariery, za jedyną zasługę mając niebieską koszulę z podwiniętymi rękawami i dziarskie stuknięcie obcasami, z jakim przedstawiali się w sądzie – inspektor Florencio Pérez traktował donosy i tortury jako czynności być może konieczne, ale ze wszech miar niegodne, tak plebejskie i godne pożałowania jak socha i łapcie z ostnicy, i chciałby zastąpić je osiągnięciami nauki, czystą ścisłością intelektualnej dedukcji i cudami telepatii, hipnozy i wykrywacza kłamstw. Ale rolnictwo i handel cierpią na średniowieczne uwstecznienie, czy to dziwne – powiedział melancholijnie do fotografa – że służby porządku publicznego w wykonywaniu nakazanych prawem obowiązków muszą uciekać się do metod tak elementarnych, jakimi dysponowały trybunały Inkwizycji? Mikrofony zakamuflowane w szpilce krawata, westchnął, ukryte kamery zamiast niechlujnych donosicieli o fałszywym spojrzeniu, eliksir prawdy, a nie bicie i groźby, krzesło elektryczne zamiast nikczemnej garoty!

Nieprzenikniona enigma bez odpowiedzi, zanotował szybko inspektor, zanim schował do szuflady zdjęcie wręczone mu przez Ramira Portrecistę, i wzruszył ramionami, a jego pociągła i mazgajowata twarz zdała się odklejać jak maska po nieudanym balu: „Niech pan spyta don Mercuria” – powiedział – „może on coś wie”. „Pan go zapytał?” Ramiro myślał o

zdjęciu, schowanym właśnie przez inspektora, wyobrażał sobie, że szuflada była nowym grobem dziewczyny, zniewagą dodaną do ukrycia i zapomnienia. „Mnie nic nie powie. Nie pozwala mu na to jego masońskie credo”. Ze swego balkonu inspektor widział okna gabinetu don Mercuria po drugiej stronie placu, z zawsze zaciągniętymi firankami, a potem jego spojrzenie ześlizgnęło się na podcienie, w których zaczynali zbierać się mężczyźni, gdy tylko ogrzało je przejrzyste i zimne słońce głodowej zimy, początkowo przychodzili pojedynczo, samotni i milczący, ze spuszczoneymi głowami i naciągniętymi czapkami, nieruchomi w słońcu, na krawędzi chodnika, przytupywali z zimna, twarze mieli ukryte za szalikami i na wpół rozmazane w gęstej parze oddechów i papierosowym dymie, stale czekali, spoglądali na zegar na wieży, pomnik generała Orduñi i posepny budynek komisariatu ze swego rodzaju zawziętą cierpliwością, sprawiającą, że wydawali się zarazem nieustraszeni i pokonani, czujni i potulni. W miarę zwiększania się oświetlonej przez słońce przestrzeni i kurczenia się cienia rzucanego przez mur i wieżę, mężczyźni zbijali się w grupy, z których wznosiła się gęstsza i wspólna para, przytłumione i mocne głosy docierały do gabinetu inspektora jako monotony szmer. Zapomniał, że Ramiro Portrecista jeszcze u niego jest, i odwrócił się do niego plecami, zacierając skostniałe ręce, bo nigdy nie było mu ciepło w tym mrocznym budynku, pomimo wełnianych skarpet i noszonych w tajemnicy flanelowych kalessonów, co napełniało go uczuciem wstydu i śmieszności, podobnie jak nieodmienne ulubowanie poezji, wszak nie był pewien, czy poezję i flanelowe kalessony można pogodzić z władzą.

„Ale przecież będzie pan musiał zbadać, kto ją zabrał” – powiedział Ramiro Portrecista – „na pewno są jacyś współnicy, świadkowie, na tym placu kobiety ciągle obserwują wszystkich, którzy tam przechodzą”. Inspektor go nie słyszał, wolał go nie słyszeć, aby nie poczuć się kretynem, palił, przyglądając się źle ogolonym i bladym od głodu twarzom, stężałym w wyrazie wściekłości, ponurym, zaciętym, niemal zawsze znajomym, twarze potencjalnych podejrzanych, agitatorów, tchórzy, kalek bez renty, beznadziejnie biednych, próżniaków, idiotów, gruźlików, wyobrażał sobie możliwość zdobycia lornetki i odczytania treści rozmów z ruchów warg, jak ponoć robił głuchoniemy pomocnik Ramira Portrecisty. Ze swego punktu obserwacyjnego na balkonie, na pierwszym piętrze budynku tak nikczemnie zwanego psiarnią – i nie bez racji, odważył się pomyśleć, zacierając skostniałe z zimna dłonie – inspektor nabierał czasem pewności co do udzielności swego władztwa, jakby wraz ze stanowiskiem otrzymał również władzę nad całym światem, który potrafił objąć wzrokiem i który ku jego satysfakcji ograniczał się do placu generała Orduñi. Obserwował formujące się i rozpraszające grupki, jakby przypatrywał się pływom morskim, wsłuchiwał się w szum głosów, obserwował wyrazy twarzy, ruchy rąk, doszukując się oznak zapowiadających wybuch społecznego gniewu i niebezpieczeństwo buntu, a kiedy widział, że tłumek gęstnieje wokół kogoś, kto mówi, gestykulując i szybko wyrzucając słowa, natychmiast wstrząsał nim dreszcz niepokoju, pojawiało się na wpół zatarte wspomnienie falujących tłumów i lasu flag, i wzniesionych pięści na tym samym placu, gdzie obecne szeptanie brzmiało jak przygaszony żar krzyków i ówczesnych hymnów, wycie zawziętego tłumu, jak sam napisał w sonecie poświęconym generałowi Orduñi, który kosztował go tyle bezsennych nocy, a teraz spał w teczce z materiałami z postępowania śledczego, cichy i pokryty kurzem, jak harfa Bécquera, jak nie tknięte rozkładem ciało kobiety, o którą z taką natarczywością wypytywał Ramiro Portrecista, jak wszystkie sonety i królewskie oktawy, i redondille, i dziesięciozłoskowce albo espinele, które pisał w swoim gabinecie podczas pierwszych leniwych godzin dnia i których nigdy nie zdecydował się opublikować, co powiedzieliby jego zwierzchnicy, gdyby odkryli jego słabość, gorzej jeszcze, w jaki sposób zdołałby wzbudzić strach w zatrzymanych, jaki szacunek mieliby dla niego podwładni, gdyby któregoś dnia otrzymał w nagrodę kwiat, już słyszał rzenie Murciana i drwiące przypuszczenia, że może inspektor jest pedałem. Wyobrażał sobie ten wstyd, strażnika powstrzymującego śmiech, kiedy będzie wchodził po schodach do swego gabinetu; wzmogło się pieczenie odmrożeń i inspektor dla

dobrania sobie animuszu spojrział surowo na Ramira Portrecistę, energicznie splótł palce i strzelił stawami, gest ten miał tę właściwość, że natychmiast go uspokajał, od chwili, kiedy spostrzegł, że przestrasza tym przesłuchiwanym, być może dlatego, że postrzegali ten dźwięk jako przyszyły chrzęst ich własnych kości.

„Proszę nie mówić don Mercuriowi, że był pan u mnie”, powiedział. „I lepiej niech pan wyjdzie tylnymi drzwiami, żeby pana nie widział, bo pomyśli, że ja pana przysłałem”. Udręczony tym, że używa tej samej plugawej drogi co donosiciele, Ramiro Portrecista wyszedł w zaułek na tyłach wieży i szybko wrócił na plac generała Orduńi, rozgoryczony, że musi zarabiać na życie, zadając się z tymi ludźmi, których ciągle nazywał wrogami, chociaż sam, jak powiedział mu major Galaz, nigdy nie rozumiał polityki, odczuwał jedynie swego rodzaju sentymentalną nostalgię za innymi czasami, w których był szczęśliwszy i młodszy, zanim głód, nocne zaciemnienia i ciężkie defilady mundurów i sutann zaćmiły ulice Maginy, kiedy nie brak było pracy w studiu don Otta Zennera, a on nie musiał robić zdjęć jak kramarz pomiędzy budami na jarmarku ani chodzić do kostnicy, żeby sportretować twarze zmarłych, co powiedziałyby don Otto, gdyby go teraz zobaczył, gdyby wrócił do Maginy, wyleczony, i odkrył, że jego uczeń, niemal syn, apostoł, opuszcza raz na jakiś czas swe sanktuarium, aby w niedziele zainstalować się na rogu placu generała Orduńi razem z kartonowym koniem i czekać, aż ktoś zdecyduje się poprosić go o zdjęcie swych dzieci.

Przeszedł przez plac, patrząc na twarze ocalałych i przyszyłych zmarłych, omijając rozstrzelany pomnik generała Orduńi, mającego pod pozorem wojskowych alegorii wygląd trupa powstałego z grobu kilka dni po pogrzebie, z wyłupionym i przewierconym strzałem brązowym okiem, z piersią i szyją podziobanymi pociskami, z uniesioną głową, zwróconą na południe, w kierunku wałów Cava i odległego granatu Sierry. Ramiro, gdziekolwiek by zwrócił oczy, nie odnajdował niezmiennych cech i postaci zatrzymanych w tej beczkowej terażniejszości, w jakiej niemal wszystkim ludziom wydaje się, że żyją, lecz nieudane albo zniekształcone ślady pochodzenia, w którym być może nie zabrakło niewinności, ale też i zapowiedzi szybkiej degradacji mającej znaleźć swój kres za niewiele lat w starości i śmierci, w absolutnej nicości, kiedy za jedyną pociechę i wspomnienia ma się fotografie i nazwiska wyryte na sztucznym marmurze nisz, małe, owalne medaliony pod wypukłym szkłem, żeby ci, którzy przeżyją, nie zapomnieli; jak ten portret, który miała na odwrocie szkaplerza tamta kobieta, portret młodego mężczyzny, przypominał sobie Ramiro, z czarną hiszpańską bródką i nastroszonymi wąsami, kim on mógł być? W jakim ciemnym pokoju, piwnicy albo szafie ktoś ukrył mumię? Po co? Jedynie ona zdołała się oprzeć rozkładowi i zwyciężyć czas, bardziej żywa w wyobraźni i spojrzeniu Ramira Portrecisty niż wszyscy ci mijani w podcieniach mężczyźni i kobiety razem wzięci, miała błysk szczęścia czy też zadumanego pożądania w źrenicach, jakiego nie sposób znaleźć teraz w oczach żywych, *przyłóż mię jako pieczęć na serce swoje*, ktoś jej napisał, *jako sygnet do ramienia swego!* Za każdym razem, kiedy Ramiro powtarzał sobie w myślach te słowa, odczuwał przyływ zazdrości i osamotnienia, a kiedy wypowiedział je przed don Mercuriem, w pokoju będącym gabinetem lekarza przez trzy czwarte wieku, poczuł, że dopuścił się zdrady, jak gdyby wypowiadając je, nagle stał się niegodny tej gorączki, jaką spowodowało pojawienie się oblicza dziewczyny pod płynem wywoływacza, ożywiającej go, przywracającej mu pełnię i żar, całkowicie nieznaną z rzeczywistego doświadczenia, a odczuwany jedynie w muzyce i snach, czasami w spojrzeniach kobiet, które zaskakiwały go podczas jego późnego i odległego już dojrzewania, w wulgarnej wylewności słuchanych w radiu piosenek, niekiedy śpiewanych przez przyjezdne animatorki w cafe Royal przy ulicy Gradass, gdzie wiele lat później był salon Maciste, jowialna i spocona stepująca Murzynka, którą nazywali Lokowaną Mulatką, młoda dziewczyna o blond włosach w krótkiej spódniczce i butach na koturnie, śpiewała głosem bardzo cienkim i bardzo słodkim piosenkę Celii Gámez, *Jeśli chcesz mnie zabić, spojrzysz na mnie*.

Julian, woźnica w zielonej liberii, sekretarz i pomocnik, wprowadził go do gabinetu, lekarz siedział tak malutki i skurczony po drugiej stronie stołu, że Ramiro przez chwilę go nie zauważył, rozkojarzony chaosem tysięcy książek zajmujących ściany i podłogę oraz archaicznych urządzeń sanitarnych tarasujących przejście, jak w magazynie opuszczonego Muzeum Postępu albo w jednym z laboratoriów zwariowanych doktorów, jakie ogląda się w filmach. Julián odsunął na bok zakurzony parawan z wizerunkami ptaków i don Mercurio, który za pomocą lupy czytał wielką książkę, wykonał gest jakby powitania albo niechęci, jego prawa ręka uniosła się w stronę Ramira Portrecisty jak w swego rodzaju drżącym, kościelnym błogosławieństwie, wydawał się znacznie starszy niż kilka dni wcześniej, kiedy spotkali się w krypcie Casa de las Torres, starszy albo bardziej wymięty, bez sztywnego kołnierzyka i muszki, bez pudru, którym pewnie barwił sobie policzki przed wyjściem, w fartuchu obwisłym jak wyblakła na słońcu zasłona i aksamitnym berecie na głowie, z oczyma utkwionymi w jeden punkt, okrągłymi i nieulekłymi, jak oczy koguta w zagrodzie, które otwierały się i zamykały w szybkim, mechanicznym mruganiu, był wspaniały i straszliwy w swym rozkładzie jak żebrak, wyrzeźbiony półcieniami gabinetu jak na portretach tenebrystów.

Poprosił, by usiadł naprzeciwko niego, machając złotą ręką, w ciszy wnikliwie badał go wzrokiem przez kilka minut tak niewzruszenie, jak wysłuchał później jego pytań, kręcąc głową i wilgotnym, spiczastym nosem niemal dotykającym brody, kiedy kurczył bezzębne usta, starszy niż jakikolwiek inny człowiek na tym świecie, wydawała się go cechować przebiegłość przedwcześnie zmarłego żartownisia, między jego wargami przelotnie ukazywał się spiczasty i bardzo czerwony język, jakby ptaka albo gada; oczywiście, że ją znałem, powiedział, ale do tamtego czasu widziałem ją tylko raz, jeszcze żywą, choć na chwilę przed śmiercią, podczas odległej nocy karnawałowego wtorku, co w wyobraźni Ramira, w miarę jak słuchał, nabierało posępnego romantyzmu litografii i powieści w odcinkach: młody lekarz, uprowadzony przez niezajomych w pelerynach i maskach, refleksy światła w deszczu i latarnie na budzie powozu, kopyta stukające na kocich łbach, wielki dom, do którego don Mercurio powrócił siedemdziesiąt lat później i w którego piwnicach stanął jak wryty, widząc tę samą twarz, nietkniętą, którą ujrzał tamtej nocy, kobiety młodej i przerażonej, która po kilku godzinach męczarni urodziła uduszone pępownią dziecko. Później ponownie zawiązano mu oczy i kazano wejść do powozu, a po długim krążeniu po ulicach mającym na celu zdezorientowanie go, zostawiono o brzasku na placu generała Orduña, zwanym wtedy placem Toledo, tam z tyłu, powiedział don Mercurio, wskazując za siebie, ale nie odwracając się do okna z przymkniętymi okiennicami. Zdjął maskę i zobaczył powóz oddalający się szybko w kierunku Corredera, szyby z zaciągniętymi firankami i woźnicę w czarnym cylindrze i płaszczu z pelerynką, strzelającego batem po końskim zadzie, w ciszy panującej na pustym placu. „I tyle wiedziałem aż do dzisiaj” – podsumował don Mercurio – „któż by powiedział, że dowiedzenie się, dokąd mnie zabrali, zajmie mi siedemdziesiąt lat”.

Ale kto to był? – powtarzał Ramiro. – Dlaczego została zamurowana? Przez kogo? Przysiągł, że nigdy nie zdradzi tej tajemnicy, że nie ma nic wspólnego z ohydnyimi donosicielami psiarni; to prawda, że od czasu do czasu pracował dla inspektora Florencia Péreza, ale dlatego, że nie miał innego wyjścia, żeby zarobić na chleb w tych czasach, kiedy nikt nie ma ochoty patrzeć sobie w twarz, a co dopiero utrwalac ją na fotografiach. Zawsze byłem po stronie wiernych, oświadczył bardzo cicho, nie usłuchałem nakazów don Otta Zennera i pewnej rozpalonej do białości sobotniej lipcowej nocy pobiegłem do ratusza i z narażeniem życia torowałem sobie drogę łokciami pośród tłumu, aby zrobić zdjęcie majorowi Galazowi, kiedy ten wszedł po marmurowych schodach, zostawiając swój batalion piechoty w szyku na placu Vazqueza Moliny, i wyprężył się na baczność przed burmistrzem, który nie

wiedział, co powiedzieć, uśmiechał się i drżał ze strachu, bo wydawało mu się, że żołnierze przyszli go aresztować.

„Wiele lat temu mówiono różne rzeczy”, ciągnął don Mercurio. Słuchał Ramira Portrecisty z charakterystycznym dla zmarłych brakiem zainteresowania dla spraw i wyznań żywych. „Ale nie mogę pana zapewnić, że te plotki odnosiły się do tej samej kobiety ani że miały jakiegokolwiek podstawy. Ale wtedy ludzie bardzo lubili poetycki teatr i powieści don Manuela Fernándeza y Gonzáleza. Słyszałem, że w obecnych żalosnych czasach kinematograf i radiowe seriale powodują podobne zniszczenia. I zastanawiam się, czy pan nie jest jedną z ich ofiar, młody przyjacielu”. Źrenice don Mercuria rozszerzyły się i błysnęły pomiędzy jego pomarszczonymi i bezrzęsymi powiekami, nabierając owej fanatycznej intensywności, która sprawiała, że upodabniały się tak bardzo do kogucich oczu. Pochylił się nad stołem, wskazując Ramiro gestem hipnotyzera, żeby się przybliżył, ścisnął mu prawy nadgarstek dwoma palcami tak precyzyjnymi i lodowatymi jak stalowa pinceta, wciskając kciuk dokładnie w miejsce, gdzie najwyraźniej czuć było pulsowanie krwi, pomiędzy stron wielkiej księgi z czarnymi okładkami, którą czytał, wyjął lupę w srebrnej oprawie, a jego oczy, podczas gdy badał twarz Ramira, otwierały się coraz szerzej i nabierały potwornego wyrazu, jak oczy ośmiornic, które fotograf zobaczył kiedyś pośród ryb na rynku. On, który sfotografował tyłu zmarłych w kostnicy, odnosił wrażenie, że asystuje przy własnej autopsji, pasywny i bezbronny w obliczu beznamietnego badania lekarskiego. „Niech się pan nie kłopotce, don Mercurio, nigdy nie czułem się lepiej”, wykrztusił, z dłonią przyciśniętą do stołu, usiłując się uśmiechnąć. Kiedy don Mercurio go puścił, Ramiro miał na nadgarstku fioletowy ślad i serce biło mu znacznie szybciej. Oczekiwał słów lekarza z takim napięciem, z jakim czeka się na wyrok sędziego albo przepowiednię jasnovidza.

„Tego się obawiałem, od razu wiedziałem, kiedy pana zobaczyłem. Arytmiczny puls, niezdrowa i nadmierna błądź, rozszerzone źrenice, zaczerwienione gruczoły łzowe. Brak światła słonecznego i ćwiczeń fizycznych, nadmierna skłonność do duchowych swawoli. Nieustanne wdychanie toksycznych oparów i niechlujne żywienie przy niezdrowych dawkach destylowanych alkoholi. Sen późny i niespokojny, całkowity brak rozrywek cielesnych, pomijając sporadyczne uciekanie się do praktyk Onana, nie tak bardzo zgubnych jak zapewnia kościelna moralność, ale niewystarczających dla utrzymania równowagi dorosłego organizmu. *Semen retentum venenum est*, mój przyjacielu. Celibat, mówię to z doświadczenia, choć w moim przypadku, jak może pan przypuszczać, ma ono wartość archeologiczną, wymaga przeciwwagi w postaci swego rodzaju libertynizmu. Ale zdaje mi się, że pan jest czystszy od świętego Józefa”. „Nieupełnie, don Mercurio, ja też już zrobiłem swoje”, powiedział Ramiro Portrecista, ale nawet samemu sobie wydał się niewiarygodny w tych zapewnieniach, nie dlatego, że nie potrafił kłamać, ale dlatego, że gdyby nawet potrafił, był przekonany, że lekarz jest zdolny odgadnąć jego myśli jak budzący trwogę chiromanta, widzący w liniach na jego dłoniach i w smutnym, lęklwym spojrzeniu całą jego przeszłość, a także całą przyszłość, jego naganne przywiązanie do pornograficznych pocztówek don Otta Zennera, strach i przecucie katastrofy, jakie zawsze budziła w nim bliskość kobiet, jego bezsensowna miłość do fotografii mumii. „Ale niech pan dalej opowiada, don Mercurio” – powiedział, obawiając się, że lekarz zaczyna zapominać – „mówił pan coś o jakichś plotkach”.

Wydało mu się, że lekarz długo nie może sobie przypomnieć albo że udaje, niechętny tym wspomnieniom. Zakończywszy badanie Ramira Portrecisty, don Mercurio ponownie skurczył się po drugiej stronie stołu, przygarbiony, maleńki, zgrzybiały, w fartuchu z materiału na zasłony i w berecie jak z karykatury lichwiarza, z nieruchomymi i błyszczącymi oczyma pod najeżoną linią brwi, zatopionymi w ich cieniu niby koszy używanych przy winobranii, podkreślały one wyraźną rzeźbę czaszki – takim sfotografował go Ramiro Portrecista kilka

dni albo tygodni później, przekonany, że ze wszystkich twarzy w Maginie jedynie ta zasługuje na nieśmiertelne utrwalenie na portrecie. Don Mercurio śmieje się, ma twarz zasuszonego ptaka, ręce złożone na wielkiej księdze o czarnych skórzanych okładkach, być może na tej Biblii, którą Nadia i Manuel znaleźli w kufrze Ramira Portrecisty, ale usta ma trochę wykrzywione, jakby w ataku apopleksji, a w jego oczach wyczytać można przerażenie. „Plotki”, powiedział z pogardą, wypluwając to słowo swym małym różowym językiem, „powieści w odcinkach”: stary hrabia mizantrop, mieszkający w Casa de las Torres, tak osamotniony jakby żył w średniowiecznym zamku, ożeniony z kobietą znacznie od siebie młodszą, wspierany przez duchownego będącego niemal jego służącym, może jakiegoś zubożałego krewnego, któremu opłacił seminarium. „Ma więc pan już scenerię i obsadę” – powiedział don Mercurio, kpiąc ponuro – „salony z łukowymi sklepieniami, zapalone kandelabry, wielkie skrzypiące drzwi, feudalny arystokrata, piękna i zawsze zamknięta w domu dama, dystygnowany duchowny. Baryton, sopran i tenor, chór starych, wiernych sług i plotkarskich sąsiadek. Błada dama wychylająca się jak zjawa z najwyższego okna wieży, duchowny pijący z nią czekoladę sam na sam, kiedy mąż tyran wizytuje swe wiejskie posiadłości, leżące odłogiem, rzecz jasna, obłożone hipoteką aż do ostatniego kurka na gołębniku. Nagle duchowny znika i nic o nim nie wiadomo, mówiło się, że był bezwstydnikiem i hazardzistą i że zginął podczas szulerskiej kłótni albo że zmuszono go, aby objął probostwo w arcybiskupstwie Filipin. Po niedługim czasie stary arystokrata i jego żona także wyjeżdżają w bardzo długą podróż. Mówiło się, że zachorowała na ostrą gruźlicę i że małżonek oddał za bezcen pałac i ostatnie posiadłości, żeby opłacić jej pobyt w sanatorium w Alpach. Ale mówiono też, że to nie żona wsiadła z nim do powozu, bo kobieta miała twarz zasłoniętą czarnym welonem i niektórym wydała się niższa albo grubsza, niż była wcześniej, choć właściwie nigdy nikt jej nie widywał. I tutaj kończy się historia, mój przyjacielu. Nie ma ostatniego aktu albo zgubiła się ostatnia strona książeczki. Czy hrabia Dávalos zamordował swą młodą niewierną żonę i duchownego, który podwójnie zdrwił ze swych ślubów i z wierności, jaką był winien swemu panu? Zamurował ją w piwnicy Casa de las Torres i kupił milczenie służącej, która włożyła jej suknię i podróżną pelerynę i zasłoniła twarz welonem, żeby za nią uchodzić? Mój przyjacielu, powieści w odcinkach, brody z pakuł, kartonowe lochy”. Sarkastyczny śmiech don Mercuria brzmiał jak suchy kaszel; zwiesił brodę na piersi, potem powoli uniósł oczy, spoglądając z ukosa i badawczo na Ramira Portrecistę, który zaczął wyczuwać zapach kurzu tak zleżałego jak ten przyprószający mumię. Don Mercurio na chybił trafił otworzył księgę i za pomocą lupy przeczytał na głos, przesuwając wzdłuż linii zakrzywionym palcem wskazującym: *Jako chwytający cień i ścigający wiatr jest ten, co kontempluje sny, w snach wszystkie rzeczy podobnymi są do siebie, niczem oblicze do oblicza. Jakaż to rzecz z brudu wyłoni się czysta? A z fałszu? Jakaż prawda?* „Ale to nie jest sen, don Mercurio, ta kobieta tam była, pan i ja widzieliśmy ją, a teraz ją ukradli”. Lekarz nie odpowiedział. Wpatrywał się w niego, z dłońmi złączonymi na szerokich stronach książki, uśmiechnął się do niego zmęczonym uśmiechem politowania albo szyderstwa, ponownie przyłożył lupę do prawego oka i przesunął w dół wskazującym palcem po tej samej stronie, aż znalazł to, czego szukał: *Wiele widziałem, podczas mej pielgrzymki i więcej rozumiem, niż mógłbym tu wyjawić.*

KIEDY ZACZYNAŁA SIĘ ŁADNA POGODA, w kwietniowe popołudnia, kiedy unosiły się pyłki kwiatów w złotym i spokojnym powietrzu na placu, a mężczyźni przynosili z pola kwitnące gałęzie drzew oliwnych, których żółte pączki traktowano jako pierwszą zapowiedź przyszłych zbiorów, dziadek Pedro siadywał na schodkach, z psem leżącym u jego nóg, i obaj w niezmaconej ciszy przyglądali się zabawom dzieci i przechodzącym ludziom i zwierzętom, codziennemu defilowaniu nieznanym nomadów, nie należących do naszych ulic ani nawet do Maginy, wykrzykujących swe obwieszczenia z dziwnymi akcentami, galicyjscy szlifierze dmuchali w piszczałki, prowadząc rowery, które później stawiali do góry kołami, żeby kręcić szlifierskim kamieniem, szmacciarze zachęcali głośno do sprzedawania im starych łapci i króliczych skór, melancholijni druciarze, którzy zdawali się dopiero co przypaleni w piecu, w diabelskim kotle, napawający strachem węglarze o czarnych twarzach i błyskających białkami oczach, *manchegos* w czarnych bluzach z wagami na ramionach, niosący sery w białych brezentowych workach, samotni i mrukliwi żebracy, żebracy modlący się, stare małżeństwa żebraków, które uderzały w głęboką miskę, śpiewając unisono litanie do Matki Boskiej z Pilar i piosenkę z *Rocío, aj Rocío, gałazeczko kwietna*, ślepi recytowali romance o cudach i zbrodniach, prowadzeni przez łazików, dzieci o ogolonych głowach przykrytych beretami i w marynarkach po dorosłych, z dziurawymi kieszeniami i z żałobną opaską na ramieniu, sprzedawcy doniczek i dzbanów ze swymi osłami z czerwono-żółtymi uprzężami, klnący mulnicy, cygańscy parasolnicy i sprzedawcy materaców, ci, co zamieniali cieciorę surową na prażoną, pasterze kóz i krów przechodzili ze swymi stadami do poidła przy murze, zostawiając za sobą smród gnoju i suchość kurzawy nieuprawnej roli, chłopci tak biedni, że nie mieli nawet żadnego zwierzęcia i schodzili z pola przygniecenii ciężarem drew albo worka oliwek zebranych po żniwach na polach innych, warzyw albo trawy.

Ale teraz to nie moja matka wspomina, tylko ja, wymieniam dla Nadii i samego siebie postaci z tego czasu bez dat, które jej wyobraźnia umiejscawia raczej w ubiegłym stuleciu, a nie w pamięci i w życiu kogoś, kto ma tyle samo lat co ona i przylegając do niej całym ciałem, szepcze jej do ucha w zmęczonej ciemności miłosnej nocy, podczas gdy bardzo daleko, po drugiej stronie oceanu, na szczycie szerokiego wzgórza, które wydaje się znacznie wyższe, gdy się patrzy znad brzegów Gwadalkiwiru, słońce już od kilku godzin łśni na burych dachach i piaskowych wieżach Maginy, na fasadach i białych murach dzielnicy Świętego Wawrzyńca i na zaroślach i mchu porastającym daszki na płotach opuszczonych zagród, wszystko to jak nienaruszona scenografia, porzucona już dawno temu przez aktorów i publiczność, która pozostawiła jednak w powietrzu gwar głosów, tak samo jak wtedy, gdy zapada zmrok, ale powietrze jeszcze wibruje dźwiękami dnia: monotonna piszczałka szlifierza, beczenie owiec, piskliwe nawoływanie blacharza, uderzenia kołatek, głosy dzieci jeszcze bawiących się w świetle latarni, chociaż matki już jakiś czas temu wołały je do domu. Pewien przygarbiony starzec pojawiał się co wieczór o tej samej godzinie, mijając narożnik Casa de las Torres, i zbliżał się do ulicy Pozo, bo mieszkał trochę dalej, na ulicy Ogrodniczej, i docierając do pradziadka, zrzucał worek z ramion, aby odetchnąć, wycierał pot z czoła i odzywał się do niego: „Pedro, zostało nas już tylko trzech i don Mercurio”, po czym ponownie zarzucał ładunek na plecy i ruszał przed siebie wolnymi, drobnymi kroczkami, wydawało się, że w każdej chwili może upaść pod niewielkim ciężarem worka z trawą, bo był

najstarszym człowiekiem, jakiego matka widziała w swoim życiu, z krzywymi i trzęsącymi się kolanami, z fioletowymi rękoma, z wilgotnymi oczyma i powiekami tak obwisłymi, że odsłaniały żywą czerwień gruczołów łzowych, ze spojrzeniem porzuconego zwierzęcia. Pytała dziadka, dlaczego ten człowiek codziennie mówi mu to samo, ale on nie odpowiadał, uśmiechał się do niej i gładził jej policzki, i oddawał się obserwowaniu czegoś, czego ona nie potrafiła odkryć, dachów na placu albo koron drzew, albo twarzy przechodzących nieznanym, zawsze był milczący, ale nie nieprzyjazny wobec niej, przyglądał się, jak skrapia wodą kamienie przed drzwiami, a potem zamiata je z taką samą swobodą dorosłej kobiety, z jaką nosiła na rękach swe młodsze rodzeństwo albo klękała z mokrą ścierką w rękę, aby umyć kamienne płyty w sieni; patrzył na nią, przypomina sobie, z bólem i czułością, widział, jak rośnię, podczas gdy on niezmiennie siedział przy kominku albo na swym niskim krześle, albo na schodach przed wejściem do domu, i nigdy nie przyszło jej do głowy, że mógłby kiedyś umrzeć, że z biegiem lat stanie się tak kruchy i żalony jak ów człowiek, który codziennie przechodził obok ich domu z workiem trawy na plecach i przystawał, dysząc, aby powiedzieć mu, kilka miesięcy później: „Pedro, zostaliśmy już tylko my dwaj i don Mercurio”. Zapytała matkę, ale Leonor Expósito wzruszyła ramionami i powiedziała, że ona też nie rozumie tych słów, to sprawy starych; nie lubiła mówić o młodości swego ojca, może dlatego, że wiedziała o niej niewiele, ale przede wszystkim dlatego, że napęniała ją wstydem wspomnianie, że nie miał prawowitych nazwisk, ponieważ zaraz po urodzeniu porzucono go w ochronce, nazwano go Pedro, bo w dniu tego świętego został przyjęty przez zakonnice – Expósito Expósito – jak podwójne przekleństwo, które nie było jego winą, ale które musiał nieść ze sobą przez całe życie, przyklejone do imienia aż do dnia śmierci, i które babcia przekazała swoim dzieciom jako drugie nazwisko, plamę, której nie sposób zmyć, mawiał do niej dramatycznie dziadek Manuel, kiedy chciał ją zranić, kiedy wracał pijany z tawerny i bił ją, i szukał dzieci po pokojach, chłuszcząc ściany i meble kłamrą pasa, wielki i brutalny, zmieniony nie do poznania, groźny jak olbrzymy z bajek, tak czuła matka, słuchając kroków, które wstrząsały schodami i podłogą w sypialni, podczas gdy ona leżała schowana pod łóżkiem albo pod stołem, zasłaniając uszy rękoma i zaciskając zęby, aby nie słyszeć krzyków, uderzeń pasa i płaczu, albo obok dziadka Pedra, skulona pomiędzy jego nogami zupełnie jak jego pies bez imienia.

Dorastała w takich warunkach, przytłoczona strachem, karmiona nim, zawsze drząc przed groźbą nieszczęścia i kary, wzruszała się piosenkami z radia i czarno-białymi fotografiami amantów, jakie widywała na kinowych plakatach, bo przez długi czas, dopóki nie miała oficjalnego narzeczonego, nie mogła zobaczyć żadnego filmu, a nawet później rodzice zmuszali ją do wychodzenia pod eskortą młodszych braci, głośno ją wołających z kurnika, rzucających w nią i w jej narzeczonego, mojego ojca, nasionami konopi i łupinami słonecznika, łazili więc za nimi po ulicy Nowej, kiedy spacerowali, nigdy nie trzymając się pod rękę, niemal ze sobą nie rozmawiając, sztywni w swych niedzielnych ubraniach, milczący i niezgrabni, niezdolni do wypowiedzenia tych słów, jakie szeptał sobie mężczyźni i kobiety w filmach i radiowych powieściach, słów, które pisał do niej w miłosnych listach, kiedy się o nią starał. Miała już szesnaście albo siedemnaście lat, a dziecięcy strach wtopił się w niepewność, jaką przyniosło ze sobą dojrzewanie, strach, a także poczucie, że na nic nie zasługuje, nieustanne odwlekane własnego życia, wzbranianie jej bowiem pragnień i skromnych przywilejów, jakimi cieszyły się inne dziewczęta, te, które zza okiennych firanek albo półprzymkniętych drzwi widywała bawiące się na placu Świętego Wawrzyńca, a które teraz wychodziły w niedzielę w butach na obcasach i z pomalowanymi ustami i nie czerwieniły się, spuszczać wzrok, kiedy patrzył na nie jakiś mężczyzna. Wstawała przed świtem, z ostatniej zagrody przynosiła naręcze drewna, żeby rozpalić pod kuchnią, drżała ze strachu, kiedy słyszała na schodach kroki i kaszel ojca, przygotowywała mu kosz zjedzeniem,

które zabierał ze sobą w pole, grzała mleko dla braci, jeszcze na wpół zaspanych, posłusznych ojcu w milczącym przerażeniu, pogodzonych z tym, że nie będą chodzić do szkoły, tylko pracować do zmierzchu w rozpaczliwym szale dorosłych, wynosząc gnój ze stajni, jucząc muły, przewożąc na nich motyki albo tyczki, już na zawsze ubrani jak mężczyźni, w starych marynarkach, w beretach i w płóciennych spodniach. Czerpała wodę ze studni, przygotowywała dzbany, aby pójść do źródła, zanim zrobi się tam tłoczno od kobiet, stawiała przy ogniu krzesło, na którym niedługo potem siadywał dziadek, wstający trochę później, żeby nie spotkać się z zięciem, i kiedy Pedro Expósito schodził do kuchni, czekał już na niego duży garnuszek z gorącym mlekiem i wielki kawał chleba, którym dzielił się z psem, podając mu rozdrobnione okruchy na otwartej dłoni, kiedy siedzieli we dwóch w ciepłym płomieniu, nieodgadnieni i starzy, patrząc, jak matka bezustannie się krząta, zmywa brudne naczynia albo zamiata podłogę, przynosi następne narzędzia drewniane, bardzo kruche, jak sobie wyobrażam, z kręconymi włosami i okrągłą twarzą, jak na zdjęciach, krucha i energiczna, osłabiona ciągłym głodem i bezwzględnością pracy, z tą przesadną powagą, jaka charakteryzowała ich wszystkich po wyjściu z dzieciństwa, w brezentowych łapciach, z fartuchem matki zawiązanym w pasie, ścieliła zbyt wysokie dla niej łóżka i wycierała kurze, i opróżniała nocniki, budziła później swych młodszych braci, myła im buzie i ubierała ich do szkoły, podczas gdy babcia Leonor w sieni z niezmienną szybkością tkala maty z ostnicy, a pradziadek siedział, wpatrując się w żar, jakby widział w nim nieskończoną linię swego życia, katastrofy i blaski, mrok swego pochodzenia i trudy, jakie musiał znosić podczas kubańskiej wojny.

Jednak nigdy o tym nie opowiadał, i kiedy myślę o wszystkich głosach, jakie ukształtowały moją wyobraźnię, dostrzegam brak jego głosu i nie potrafię wyobrazić sobie, jak mógł brzmieć, był powolny, jak sądzę, bardzo delikatny, opowiada moja matka, mówił tak cicho, że trudno było go zrozumieć, tak samo ledwo dostrzegalnie, jak się poruszał albo zamierał w bezruchu, tak że na wiele godzin można było zapomnieć, że jeszcze tam jest, siedzi na schodach przed wejściem do domu, z rękoma splecionymi na kolanach, ze źdźbłem słomy albo trawy w ustach i z utkwionym w dal wzrokiem, jak widać na zdjęciu Ramira Portrecisty, pod którym skrywa swą pamięć, tak jak za życia skrywał ją w ciszy: ponure sypialnie ochronki, poranki dziecięcego żalu, zimna woda na twarzy, zimne dłonie sióstr i szelest kornetów, sprzed ponad wieku, w czasie minionym bez śladu, rozsnuwającym jednak swe nici z mroków niczym pająk, aby dotrzeć do mnie i stanowić część osnowy mego życia, mężczyzna i kobieta, którzy go adoptowali, kiedy miał pięć czy sześć lat, i których zawsze nazywał ojcem i matką, nawet wtedy, kiedy przyszedł ktoś, aby mu powiedzieć, że jeśli zechce poznać swą prawdziwą rodzinę, odziedziczy mnóstwo pieniędzy i nie będzie musiał całymi dniami harować w polu; wyobrażam sobie wyraz jego twarzy i spojrzenie, jakim powitał wysłannika, początkowo nic nie mówiąc, nie wierząc do końca w to, co usłyszał, potem pewnie przekrzywił nieznacznie głowę, wlepił wzrok w ziemię, być może tak samo, jak widać na jedynej jego fotografii, i powiedział spokojnie: „Znam już swoją rodzinę. Nie mam nic wspólnego z tymi, którzy mnie porzucili”.

Mówię to Nadii i mój głos jest echem nigdy nie słyszanego głosu pradziadka Pedra, a słowa należą do mojej matki, która być może usłyszała je od swojej albo od dziadka Manuela, tak bardzo lubiącego się w dźwięcznych zdaniach. Podobnie w kabinie tłumacza mój głos jest echem i cieniem innych głosów szepczących mi do ucha; ale ten głos, tak odległy, nie ginie ani nie rozplywa się w pustce i w gąszczu słów, trwa pośród nich jak metaliczny blask, jak ciepło żaru jeszcze płonącego pod warstwą popiołu. Oto co zostało z całego życia człowieka, twarz na zdjęciu, którego nie pozwalał sobie zrobić, i tych kilka słów wypowiedzianych po cichu, nieodwracalnie określających jego przeznaczenie. Nie tylko to, także milcząca dobroć i spokojna odwaga, sposób, w jaki patrzył na wnuczkę i przywoływał

ją gestem ręki, i gładził jej włosy i twarz, niezwykła determinacja pograżenia się w milczeniu, kiedy przygniotło go podwójne nieszczęście starości i wojny. W sąsiednim domu, na rogu, zajmowanym przez ślepego Gonzáleza, zawsze mieszkał jedyny przyjaciel pradziadka Pedra, człowiek, który walczył wraz z nim na Kubie i został rozstrzelany bez słowa wyjaśnienia kilka dni po wkroczeniu wojska Franco do Maginy, kiedy dziadek Manuel już siedział w więzieniu. Podczas długich kwietniowych i majowych wieczorów, kiedy nie słychać już było świstania jaskółek i jerzyki śmigają jak piloci samobójcy pomiędzy gargulcami Casa de las Torres, starzec wracający z pola z workiem trawy przystawał przed pradziadkiem i wycierał sobie czoło chustką, zanim zwrócił się do niego: „Pedro, zostaliśmy już tylko my dwaj i don Mercurio”. Pewnego wieczoru matka, kiedy miała już siedemnaście lat, w końcu zdołała zrozumieć znaczenie tych niebywale monottonnych słów, zobaczywszy starca na rogu, w chwili kiedy słuchała bijących dzwonów od Świętej Marii. Mężczyzna położył worek na ziemi, bardziej zmęczony i z oczyma bardziej zaczerwienionymi niż zwykle, machnął ręką w kierunku, skąd dochodziło bicie dzwonów, i powiedział: „Pedro, biją dla don Mercuria. Zostaliśmy tylko ty i ja. Pamiętaj, gdyby nie on, skończyłaby z nami ta gorączka na bagnach”; ów mężczyzna przez ostatnie lata swego życia poświęcał się odliczaniu tych, którzy przeżyli wojnę na Kubie i umierali w Maginie, i może kiedy dowiedział się, że umarł don Mercurio, który się nimi zajmował w szpitalu w Hawanie, spojrzął na pradziadka Pedra z trudnym do zniesienia poczuciem osamotnienia, bo obaj byli już tylko dwoma obcymi w świecie żywych, i następnym razem, kiedy przyjdzie śmierć, aby wznowić eksterminację rocznika poborowego z dziewięćdziesiątego czwartego, będzie musiała wybrać jednego z nich.

Matka mówi, że pewnego wieczoru ten mężczyzna się nie pojawił; odkąd zrozumiała, co go łączyło z dziadkiem, zaczęła ukradkiem obserwować jego wędrówkę, drżąc o to, że go nie zobaczy, a jeśli była w którymś z pokojów na piętrze, wychylała się co jakiś czas z jednego z balkonów w poszukiwaniu jego przygarbionej postaci albo schodziła do sieni i pod jakimkolwiek pretekstem zostawała w pobliżu dziadka, podczas gdy słońce jeszcze błyszczało na dachowych kurkach Casa de las Torres i spowijało gargulce czerwonym światłem. Początkowo, podczas pierwszych dni jego nieobecności, chciała myśleć, że być może mężczyzna zmienił swą zwykłą drogę do domu albo że jest chory, a kilka razy, z daleka, w słabym świetle, pomyliła go z innym, lecz choć nie zamieniła z dziadkiem ani słowa na ten temat, pewnego dnia skrzyżowały się ich spojrzenia, kiedy dziadek podniósł się ze schodów i powoli wszedł do ciemnej sieni, oboje uświadomili sobie, że myślą o tym samym, i od tego dnia Pedro Expósito nie wyszedł więcej na próg, aby grać się w słońcu i prawie przestał się odzywać do swego psa. To wtedy matka stopniowo zaczęła tchórzliwie dopuszczać do siebie niepojętą myśl, że dziadek niedługo umrze, że niezauważony zniknie z tego świata, ze schodów, na których siadywał, z podwórka, ze swego trzcinowego krzesła przy kominku, tak samo jak tamten mężczyzna zniknął bez śladu pewnej wieczornej godziny z narożnika placu Świętego Wawrzyńca. I zauważała z bólem, iż już zaczęła się od niego oddalać zgodnie z bezwzględny prawem beznadziejnie oddzielającym żywych od umarłych, tak samo jak oddziela chorych od zdrowych i kreśli między nimi niewidzialną granicę, której ani miłość, ani współczucie, ani poczucie winy nie są w stanie przekroczyć. On patrzył na nią już z drugiej strony tej granicy, z litością i rezygnacją, wyobrażając sobie być może, z jakim bólem wspominałby w przyszłości szybki koniec jej młodości i jej wejście w bezwzględne życie dorosłych kobiet i mężczyzn; patrząc na nią, odgadywał jej wstydlivość i przerażenie, niechęć, z jaką będzie oglądać swe odbicie w lustrze, niezdolność do odczuwania cierpienia i zdobycia się na odwagę pragnienia tego, na co zasługuje. Chciałby ją obronić, tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i kuliła się pomiędzy jego kolanami, ale nie potrafił albo nie mógł ochronić swej córki Leonor i cierpiał, jakby powolnie upokarzany, patrząc na stopniowy

schyłek jej piękna i młodości, unicestwianych kolejnymi porodami, pracą bez nagrody i wytchnienia oraz brutalnością i bezmyślnością dziadka Manuela, któremu kiedyś powiedział: „Zabijasz moją córkę drewnianym nożem”. Teraz spoglądał na wnuczkę i widział, jak również jej twarz zaczyna przybierać wyraz skazanej ofiary, ale był już tak zmęczony monotonią bólu, że pragnął tylko umrzeć.

Kiedy ojciec zaczął przychodzić z wizytą, pradziadek obserwował go w ciszy jak potencjalnego wroga; bardzo poważny chłopak, który wyraźnie krążył wokół matki przez kilka miesięcy, nie odzywając się do niej ani słowem, zatrzymywał się co noc pod jej balkonem i wysyłał jej listy bez wątpienia przepisane z tego samego podręcznika, z którego trzydzieści lat wcześniej przepisywał je dziadek, nie przez fałszywość czy miłość do literatury, lecz dlatego, że właśnie to trzeba było robić. Kiedy się poznali? Kiedy po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę? Dlaczego ją wybrał? Grupki dziewcząt trzymających się pod rękę i idących przez park Real i ulicę Nową w niedzielne popołudnia na mszę do Świętej Marii z białymi woalkami na twarzach, wracające do domu przed zmrokiem, zniechęcone, ze stopami obolałymi od butów na obcasach, zasłaniające sobie usta dłonią, kiedy się śmiały. Dla niej, która prawie nie wychodziła z domu, wyjście na plac generała Orduñi i ulicę Nową było niemal odwiedzeniem innego świata, bardziej podobnego do filmu niż do rzeczywistości, zapierającą dech w piersiach przygodą i lśnącymi, gorzkimi nadziejami, które się nie spełniają. Kręcone włosy z przedziałkiem po lewej, z wpiętą kokardką albo sztucznym kwiatem, niepewny uśmiech kogoś, kto zaciska usta, aby nie było mu widać zębów, twarz, o której mówią, że tak bardzo jest podobna do mojej. Nadia spogląda na fotografię i uśmiecha się, w milczeniu porównując ją ze mną. Brwi, mówi, broda, oczy, czerń włosów. Podoba jej się rozpoznawanie ukochanych rysów w kimś, kto nie jest mną; podobnie jak pamięć i wypowiedane przez nas słowa, także nasze twarze nie całkiem do nas należą. Teraz to rozumiem, kiedy widzę spojrzenie i policzki Nadii na zdjęciu jej ojca, kiedy rozpoznaję cień albo ślad jej tożsamości w fotografiach jej syna, które porozkładała pozornie przypadkowo po całym mieszkaniu.

Jestem pewien, że matka nigdy nie myślała, że jakiś mężczyzna może wybrać właśnie ją; miłość była czymś, co przytrafiało się innym kobietom, pierwszym dziewczynom z sąsiedztwa, które znalazły narzeczonych i przestały wychodzić na ulicę z koleżankami, kobietom z piosenek i słuchowisk radiowych, których imiona wymieniał spiker w koncertach życzeń w dniu Świętego Walentego. Poczłtówki z przesytytymi strzałą sercami i z różowymi chmurami, na których jak na materacach rozkładały się puszczające oko amorki, pisane kursywą wiersze, amanci z przylizanymi włosami i wąskimi wąsikami, klękający przed pannami jakby z minionego wieku pod pergolami bardzo podobnymi do tych, jakie widać było w namalowanych ogrodach Ramira Portrecisty. Ciche rozmowy i tłumione śmiechy podczas lekcji kroju i szycia, w kolejce do studni albo w grupach kobiet zbierających oliwki, strach, wstyd i upokarzające pragnienie w groźnym półmroku konfesjonału, tuż przy kratce, zza której szeptem wyznacza pokutę głos jakby nie całkiem męski. Nocą, przed snem, kiedy w domu zgasły już wszystkie światła i słycać było tylko zwierzęta w stajni, matka, drząc, zbliżała się do balkonu w swej sypialni, aby zobaczyć tę nieruchomą sylwetkę na placu, jej ukośny cień w świetle narożnej lampy, ognik papierosa. Słuchała jego kroków, kiedy szedł ulicą Pozo, wiedziała z pełnym obawy niedowierzaniem, że to był on, znała go z widzenia, był synem ogrodnika i mieszkał nieopodal, na ulicy Chirinos, blisko i daleko zarazem, bo było to poza Altozano, a ten plac, tak wielki i tak ciemny nocą, tak mocno chłostany wiatrem podczas burz, był niejako ziemią niczyją, oddzielającą przyległe dzielnice, Świętego Wawrzyńca i Fuente de las Risas, jakby nietknięty pozostał pas średniowiecznych murów, w których półtora wieku temu otwierała się gotycka brama na ulicy Pozo. Nazywał się Francisco, znała go, bo był przyjacielem jej starszego brata, mojego wujka Nicolasa, w

niektóre niedziele widywała ich razem na ulicy Nowej, zawsze w towarzystwie młodszego od nich kuzyna Rafaela, który jako ostatni z całej trójki zaczął zaczesywać włosy do tyłu i nosić długie spodnie. Bez wahania rozpoznałem mojego ojca na fotografii z archiwum Ramira Portrecisty, której nigdy nie widziałem w domu, a odnalazszy pośród tylu czarno-białych twarzy umarłych i nieznanymi z Maginy rysy tak niemal jeszcze dziecięce, a jednak tak zdecydowanie przeznaczone do stania się twarzą dojrzałego mężczyzny, poczułem pewność, że spośród wszystkich mężczyzn właśnie on jest moim ojcem, że takim go widziałem, kiedy byłem dzieckiem, a on rozmawiał z innymi albo obsługiwał grupę gadatliwych klientek na rynku, wysoki i młody, już z siwymi włosami, z krępującą jowialnością, jakiej niemal nigdy nie okazywał przy rodzinie, w białej marynarce, która mnie wydawała się bielsza niż innych sprzedawców, błyszczącej świeżo wypraną bielą jak cykorie wyłożone na marmurowym blacie straganu.

Siedzą we trzech na motorze z przyczepą Ramira Portrecisty, na pewno w świąteczne popołudnie, na początku października, ojciec, jego kuzyn Rafael i mój wuj Nicolas, wujek na siodełku udaje, że prowadzi, a ojciec i Rafael ulokowali się w dwuosobowej przyczepie, zwrócenie plecami do alpejskiego pejzażu skrupulatnie wymalowanego przez don Otta Zennera. W okularach lotniczych na czole, z wydatną dolną szczęką, wuj Nicolas pochyla się nad kierownicą, jakby naprawdę gnał pod wiatr, a jego oczy mają napięty i przestraszony wyraz. Ojciec i jego kuzyn Rafael zaciskają ręce na chromowanych uchwytach przyczepy, jakby rzuciło nimi na wyboistej drodze, wydaje się, że nie potrafią usiedzieć spokojnie na miejscu, nie mogą się powstrzymać od śmiechu, trzymaj się, kuzynie, pewnie mówił Rafael, bo teraz będzie zakręt, nie gnaj tak, Nicolasiu, bo się zabijemy, a Ramiro Portrecista, upokorzony uliczny fotograf z konieczności, musiał wystawić głowę spod osłony aparatu i poprosić głuchoniemego pomocnika, żeby jeszcze nie odpalał fleszy, zniechęcony, powstrzymywał gniew, przestańcie się wreszcie kręcić, bo wyjdzie poruszona, oto co go spotyka za to, że zniżył się do robienia zdjęć tej zgrai na jarmarku, zamiast pozostać w studiu w oczekiwaniu na wizytę godnych klientów, dam o wysmukłych szyjach i kawalerów o podkręconych wąsach i w kamizelkach z zegarkami, które wystawiali dwadzieścia lat wcześniej przed don Ottem z tą samą niewzruszoną godnością, z jaką pozawaliby do olejnego obrazu, a nie ci hultaje o krótko przystrzyżonych i tłustych włosach i szorstkich dłoniach, śmierzący gnojem i potem i śmiejący mu się w twarz, Ramiro, a kuku, wołał kuzyn Rafael, wystawiając głowę i natychmiast chowając ją za ramieniem swego kuzyna. Z nich trzech on ma najbardziej dziecięcą twarz, jeszcze czesze się z przedziałkiem, a nie zaczesuje włosów do tyłu, jako jedyny śmieje się otwarcie i nie pokazuje papierosa w lewej ręce – trzymanie papierosów w prawej ręce było obyczajem kobiet i pedałów – z niepewną pyszałkowatością; wystarczyło mu szczęście włożenia wreszcie długich spodni i pójścia na jarmark z kuzynem Franciskiem, którego darzył bezgranicznym i wiernym przywiązaniem, jakie pojawia się w wieku młodzieńczym i gaśnie wraz z nim, był tak zadowolony, że nawet zapomniał o swoim ojcu, wujku Rafaelu, co to z winy nieszczęśliwych zbiegów okoliczności był w wojsku przez dziesięć lat, bo miał przejść do rezerwy, kiedy wybuchła wojna, walczył w niej na pierwszej linii, a kiedy się skończyła, wcielili go znowu frankiści, bo służba u czerwonych się nie liczyła, a przecież tak bardzo był dumny z tego, że służył pod rozkazami majora Galaza. „Rafael” – wołali za jego synem wredni żartownisie na ulicy – „gdzie jest twój ojciec?” A on odpowiadał: „W wojsku” – przewidując wybuch śmiechu. – „No to niedługo razem wyjdziecie do cywila”.

Na zdjęciu ojciec ma pofalowane i bardzo krótkie włosy, śmieje się tak samo jak teraz, z pewną rezerwą samotnika; niebawem miał skończyć czternaście czy piętnaście lat i jeszcze nie wiedział, że zakocha się w siostrze swego kolegi Nicolasa, jego karnacja była tak ciemna, a ręce tak silne jak rodziców, bo odkąd skończył dziesięć lat, pracował w polu u boku

dorosłych mężczyzn, i znać w jego twarzy dumę, spokojną wiarę w siebie, przedwczesną surowość, którą podkreśla wyświechtane ubranie dorosłego mężczyzny i powściągliwy uśmiech, być może nie wynikający ze sztywności, przed obiektywem aparatu. Spieszyło mu się, żeby dorosnąć jak najszybciej, znaleźć narzeczoną i zaoszczędzić dość pieniędzy, żeby kupić krowę, a potem konia i ziemię, która miałaby dużo wody i należała wyłącznie do niego, nie tak jak dzierzawiona ziemia jego ojca. Patrzę na niego i widzę, że już wtedy paliło go pragnienie, które tak bezskutecznie próbował też i mnie wpoić, stania się mężczyzną zdyscyplinowanym i szanowanym, pracującym na własny rachunek, pragnienie kupienia krowy i gajów oliwnych i posiadania syna, który zawsze będzie mu pomagał; lecz w ambicji, jaką dostrzegam w jego twarzy, nie ma śladu braku wstrzemięźliwości ani pychy, jedynie przekonanie co do własnej woli, nie oddzielającej tego, czego pragnął, od tego, co było mu konieczne do życia, nie pielęgnował też marzeń, których czas i wytrwałość nie mogłyby spełnić.

Ponieważ dzieciństwo skończyło się dla nich tak wcześnie, później niemal nie pamiętali, że je mieli; przestali chodzić do szkoły, kiedy wybuchła wojna, i pewnego dnia zauważyli, że w domu zabrakło ojca, i aby przetrwać, musieli porzucić zabawy na podwórku, podobnie jak kilka miesięcy wcześniej porzucili szkołę, i nauczyć się dyscypliny pracy kruszącej im kości, zdzierającej skórę z rąk, gdy ciągnęli sznury i kopali motyką, pochylali ramiona pod ciężarem ładunku drewna albo gnoju, albo oliwek, których nieobecni mężczyźni nie mogli dźwigać. Wzrastali w niepewności wojny i w biedzie reglamentacji i przyzwyczaili się do nich, jak gdyby były to naturalne aspekty życia, stali się silni i wytrzymali, zanim stwardniały im kości, skóra im ogorzała, zanim jeszcze zaczęli się golić, nabrali powagi, która szybko uczyniła ich starszymi, niż byli, i której nigdy już nie utracili, i dopiero wiele lat później, kiedy spostrzegli, że starzeją się przed czasem, odkryli – nie w pamięci, ale w bólu kolan i niepokojącej kruchości kręgosłupa – dawną krzywdę ich przedwczesnego wygnania, na które nie narzekali, kiedy je cierpieli, uśpieni fatalizmem i nierealnością dzieciństwa, tak jak wtedy, gdy budzono ich przed świtem, żeby wyszli w pole, i schodzili zaspani ścieżkami, niosąc na ramieniu sierp albo motykę, którymi ledwie potrafili się posługiwać.

Chcę wyobrazić sobie dni jego dojrzałości i dowiedzieć się, co czuł, kiedy po raz pierwszy patrzył na matkę, i rozumiem, że jest to zadanie niewykonalne, że nie tylko uniemożliwia mi je niewiedza i życie w innych czasach, ale też wstyd. Chyba nigdy nie odbyliśmy prawdziwej rozmowy, prawie nigdy nie mówił mi o sobie. Kiedy byłem dzieckiem, pokazywał mi bliźnię na gardle i opowiadał, że zranił go Maur swym chandzarem podczas wojny w Afryce. Wiem o nim to, co widziałem na zdjęciach, niemal to samo, czego może dowiedzieć się Nadia, kiedy je ogląda. Dumny wygląd, samotność i godność, troskliwe i ceremonialne pochylanie się nad matką na ich ślubnym zdjęciu. Niemal dziesięć lat młodszy niż ja jestem w tej chwili, zamknięty w sobie i pewny siebie, przejawiający pewną oziębłość w spojrzeniu i uśmiechu. Pochyla się nad nią i śmieje się do niej, bo tak mu polecił Ramiro Portrecista. Nie potrafię wyobrazić go sobie poddającego się innej namiętności niż samotność i praca, pragnącego kogoś albo tęskniącego za kimś, nie mogącego zasnąć, bo wspomina jakąś kobietę, pieszczącego swoją matkę i mówiącego do niej, szepczącego jej ciche słowa w tym pokoju, do którego się wprowadzili po ślubie i w którym ja się urodziłem, w „pokoju belki”, tak blisko koszar, że odmierzali czas sygnałami wojskowej trąbki. Nie martwi mnie to, że tak niewiele o nim wiem, ale to, że moja niewiedza jest tak ostateczna, jakby już umarł. Wiem, że mógłbym zadzwonić i zapytać go o to wszystko, i wiem, że nie będę w stanie tego zrobić, nawet kiedy stanę z nim twarzą w twarz i zostaniemy sami przy stole w kuchni, sami i milczący, oglądamy telewizję, podczas gdy matka w kuchni zmywa naczynia i parzy kawę. Kiedyś usłyszał w radiu, jak tłumaczę przemówienie jakiegoś zagranicznego ważniaka. Nieustannie słucha radia, ma tranzystor, który zabiera ze sobą w pole i chowa pod poduszką, kiedy idzie spać, a

pierwsze, co robi po wstaniu z łóżka o tej niehumanitarnej porze, kiedy przygotowuje się do wyjścia na rynek, to włącza radio w kuchni i słucha wiadomości, przygotowując kawę i rozkoszując się ciszą domu, w którym wszyscy jeszcze śpią. Wtedy mi powiedział: „Nigdy nie słyszałem, żebyś tyle mówił naraz”.

On też prawie nic o mnie nie wie; co by pomyślał, gdyby zobaczył Nadię, jak by z nią rozmawiał, pewnie podniósłby głos, bo nie jest Hiszpanką, jest przekonany, że z obcokrajowcami i przez telefon trzeba rozmawiać bardzo głośno, żeby zostać zrozumianym. Kiedy miał jedenaście lat, po zakończeniu wojny, siał miętę przy kanałach nawadniających, żeby potem sprzedawać ją Maurom z wojsk okupacyjnych, stosujących ją do aromatyzowania herbaty. Zaoszczędzał część swych skromnych dochodów z zamiarem kupienia sobie kiedyś krowy, a za resztę kupował anyżowe papierosy i wejściówki do kurnika na występy zespołów rewiowych, przyjeżdżających do Maginy na październikowe święta i podczas kilku tygodni po zbiorze oliwek, kiedy w mieście były pieniądze i mężczyźni nie byli tak zmęczeni, że po kolacji od razu morzyły ich sen.

Wyobrażam go sobie, jak w niedzielne popołudnia gna z pola do domu, tak samo jak ja wiele lat później, żeby jak najszybciej opłukać się w zimnej wodzie w misce w kuchni, włożyć swe „dorosłe” ubranie i zaczesać włosy na brylantynę przed kawałkiem lustra, a potem ruszyć z przyjaciółmi, moim wujkiem Nicolasem i swoim kuzynem Rafaelem, w kierunku placu generała Orduñi, pysznie pobrzękując kilkoma monetami w kieszeni, obrzucając spojrzeniem nogi dziewcząt i wdychając zapach intensywnych i pospolitych perfum, zostawiany przez nie w powietrzu jak obietnica, gdy przechodziły obok. Widzę, jak wychodzi nocą z domu, po zrzuceniu ładunku warzyw na rynku, na pewno niedługo po tym, jak stał się mężczyzną, może świeżo ogolony, zatrzymuje się na rogu Altozano, żeby zapalić papierosa, mniej nerwowy, a bardziej zdecydowany, z rękoma w kieszeniach kieruje się w stronę ulicy Pozo, papieros w kąciu ust i powolny krok charakterystyczny dla pracujących w polu mężczyzn, ma trochę krzywe nogi, schodzi na plac Świętego Wawrzyńca nie po to, żeby rozmawiać z matką czy zapukać do drzwi jej domu, do którego wejdzie dopiero za dwa albo trzy lata, ale po to tylko, żeby okazać matce i jej rodzinie, i czujnym sąsiadkom, że ją wybrał i że będzie przychodził co noc, aż ona odpowie na jeden z jego listów, aż zgodzi się zamienić z nim kilka słów, kiedy któreś niedzieli spotkają się na ulicy Nowej albo w kościele Świętej Marii, po wyjściu ze mszy, nie patrząc mu w oczy, rzecz jasna, początkowo nie odpowiadając, starając się nie czerwienić, udając, że go nie widzi; on powtarza co noc tę samą drogę, a ona nasłuchuje jego kroków i nie zostawia zapalonego światła w pokoju, aby nie dostrzegł jej nieruchomej sylwetki za zasłonami, i oboje wiedzą, że się zgodzili i podjęli wypełnienia rytuału, w którym początkowo raczej nie pojawiają się ani wola, ani uczucia, rygorystycznej gry, pełnej norm tak archaicznych jak te z listów, które on musi pisać, a na które ona odpowie dopiero po kilku miesiącach, niepewna, pochylając się nad poliniowaną kartką papieru jak dziecko w szkolnej ławce, prawie nie potrafi pisać, bo przerwano lekcje na początku wojny, a kiedy się skończyła, było już dla niej za późno, aby je wznowić; oboje używają słów, których nie rozumieją i które nie należą do ich świata, zakurzone westchnienia romantyzmu zniesionego przed stuleciem, wielmożna Pani, błagam Panią usilnie, by zechciała uraczyć mnie łaską odbycia ze mną przyjacielskiej rozmowy, podczas której wyłożę czystość uczuć, jakie ku Pani żywię i które to z mocą wielką w sercu mem znalazły przystań. Pewnej nocy na pewno zostawiła zapalone światło w pokoju, jako znak, i w dwa albo trzy tygodnie później czekała na niego przy kracie okna na parterze, a po pierwszej rozmowie rozpaczliwie nieporadnej z powodu obyczajowych rygorów i wieczornej ciszy, rozmawiali przez miesiące, zanim on odważył się dotknąć jej rąk zaciśniętych na prętach kraty, a potem zrobił gest, jakby chciał je ująć, a ona cofała dłonie, jakby bała się oparzyć, i oboje udawali, że spotykają się w całkowitej tajemnicy, i kiedy dziadek Manuel pojawiał się na placu o tej

porze, ojciec natychmiast odchodził, a matka zamykała okno, kto to był, pytał ojciec groźnie, z kim rozmawiałaś, z nikim.

Potem, z podobnie pozorną przypadkowością, z jaką zaczęli rozmawiać przez okienne kraty, on przychodził nocą i zastawał ją w drzwiach, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, przytrzymującą rękawy kaftana zarzuconego na plecy i ze skromnie złączonymi nogami, i od tego czasu rozmawiali w tym miejscu, noc za nocą, nie zamykając całkowicie drzwi, żeby ze środka można było ich obserwować; monotonne i prowadzone szeptem rozmowy, próby pieszczot, nieme odmowy, młodszy bracia szpiegujący z balkonów albo z sieni i dziadek wołający ją, kiedy ostentacyjnie spojrzawszy na ścienny zegar, stwierdzał, że już się zrobiło późno; któregoś dnia, może po dwóch czy trzech latach, ojciec włożył krawat, ogolił się dokładniej niż zwykle i poprosił o przywilej wejścia do domu. Nie muszę się wysilać, żeby to sobie wyobrazić, jest tak poważny, nie uśmiecha się do niej, siedzi przy stole, unika pytających spojrzeń dziadków i pradziadka Pedra i wyczekuje rytualnych pytań: Jakie są pańskie zamiary? Jakimi środkami pan dysponuje, żeby się z nią ożenić? Z czasem zostawał dłużej, a może nawet później jego dłonie poszukiwały dłoni matki pod stołem, i słuchał powieści w odcinkach, jakie dziadek czytywał po kolacji, i rozmawiał z nim o zbiorach oliwek albo o pogodzie; w taki sposób zawsze się to działo, z bezosobową powolnością i duszącą, ceremonialną etykietą, ani jej, ani jemu nigdy nie przyszła do głowy żadna inna możliwość, tak samo jak żniwa mogły być tylko w lecie, winobranie we wrześniu, a oliwki w zimie i nie można było odwrócić kolejności zbiorów ani ich przyspieszyć. Sześć czy siedem lat po pierwszym spotkaniu przy oknie na parterze, kiedy wszystkie gesty i słowa nabrały już ciężaru małżeńskiego znudzenia, a przy tym oboje pozostawali dla siebie tak nieznajomi jak przy pierwszym spotkaniu, ustalano dzień spowiedzi i dzień ślubu, a ją z góry ogarniały, jak sądzę, mieszane uczucia rozczarowania i przerażenia. Przesiadywała wraz z matką jeszcze długo po północy, haftując obrusy do posagu, przygotowując prześcieradła, ręczniki i bieliznę z jej inicjałami. Powiedział jej, że po ślubie będą musieli mieszkać przez jakiś czas w wynajętym pokoju; miał pracować na polu swego ojca, zdobyć miejsce na rynku, kupić mleczną krowę za pieniądze zaoszczędzone w czasach, kiedy za kilka centymów sprzedawał Maurom wiązki mięty. Jego rodzice kupili im masywne, ciemne meble, których prawdopodobnie nigdy nie mieli używać i które nie mieściły się w ich pokoju, wielki krucyfiks, Ostatnią Wieczerzę wyrzeźbioną w mahoniu, dwie małe kropielnice z wodą święconą do powieszenia po obu stronach małżeńskiego łóża, liczną zastawę stołową wiecznie przechowywaną w kredensie, serwis do kawy, którego filiżanki tłukły się, nigdy nie używane, posrebrzane noże i łyżki, i widelce z wygrawerowanymi inicjałami, które szybko utraciły połysk. Na kilka dni przed ślubem cały posag został wystawiony w najbardziej obszernym pokoju i wszystkie sąsiadki z ulicy Pozo i z placu Świętego Wawrzyńca przychodziły go oglądać i gratulowały mojej matce. Przed wklęsłym pryzmatem luster u krawcowej przymierzała suknię ślubną, spoglądając na siebie kątem oka, wstydliwie i z niedowierzaniem, tak samo jak patrzy na zdjęcia ślubne zrobione im przez Ramira Portrecistę w jego studiu, na tle niezdarnie wymalowanego francuskiego ogrodu, z białymi statkami i mirtowym żywopłotem, pod czarno-białym niebem fikcyjnego zmierzchu.

Może przeczuwała podczas ostatnich bezsennych nocy w domu swych rodziców, że po raz kolejny zostanie oszukana, i nie potrafiła powiedzieć dlaczego ani nie wyobrażała sobie, że jej życie mogłoby się potoczyć inaczej; miała zamieszkać w innej części miasta, niemal w innej części znanego jej świata, dalej niż Altozano, niż Fuente de las Risas, niż ulice, na których spędziła dzieciństwo. Miejsce, do którego miała się przeprowadzić, nieopodal koszar, zwano w Maginie Lejío; myślała, że nie zna tam nikogo, że wcześniej zapada tam zmrok i że wiatr wieje z większym impetem niż w brukowanych zaułkach Świętego Wawrzyńca. Cierpiała na przedwczesną i niezdolną tęsknotę za matką, młodszymi braćmi, za dziadkiem i jego

beziemiennym psem i przyrzekła sobie, że będzie ich odwiedzać codziennie, że nie dopuści, aby stali się dla niej obcy. Po upływie niecałego miesiąca od ślubu pewnej nocy usłyszała kroki na schodach prowadzących do pokoju belki, a potem pukanie do drzwi i głos brata Luisa. Umarł dziadek Pedro. Umarł po kolacji, siedząc jeszcze przy stole, zwiesił głowę na piersi, jakby zasnął, i powoli osunął się na jedną stronę, z otwartymi ustami, dysząc ciężko przez kilka sekund. Nie zauważyliby, że umarł, gdyby pies nie rozszczękał się gwałtownie, wspinając się na tylne łapy, żeby polizać go po twarzy, jakby chciał go obudzić, po czym skrył się pomiędzy jego nogami, skamłąc od czasu do czasu, aż kilka dni później też zdechł, nie w domu, lecz na cmentarzu, zwinięty w kłębek na grobie pradziadka Pedra Expósito.

NIEOSIĄGALNE EMOCJE w otchłani czasu, wstrząsające jednak przeżywaną obecnie chwilą – oto co chciałby jej opowiedzieć, nie wspomnienia ani słowa, lecz tych kilka obrazów powracających do niego teraz, delikatnie mu się narzucających, bez udziału woli, bez pośrednictwa tęsknoty, wywodzące się z czułości dla Nadii, jak echo imion i przedłużenie pieszczot w stronę przeszłości, choć też nie podoba mu się to słowo, zdaje mu się nieścisle, prawdopodobnie kłamliwe, nie może być przeszłością to, co żyje w tej chwili w nim samym, jest to ta sama terażniejszość, którą wyczuwa w pulsie Nadii, kiedy obejmuje ją od tyłu i ujmuje w dłonie jej piersi, *jak snopek myrry jest mi miły mój na piersiach moich odpoczywający*, czyta w Biblii, która należała do don Mercuria, kiedy zsuwa dłonie na wewnętrzną stronę jej ud, intymne pulsowanie, wyczuwane wilgotnymi opuszkami, wzmaga się jak delikatne wyładowanie elektryczne, sięga aż do jego serca, zrównuje z nim rytm i ponownie podsycza pożądanie, kiedy gładzi jej kolana i całuje je, i zsuwa się, by dotknąć jej stóp i całować je, odnajduje pulsowanie pod napiętą skórą na kostkach, *o jakże piękne są nogi twoje w trzewikach, o córko książęca!*, powiedziała ona albo on, zapominają, do kogo należą te uczucia, słowa, dłonie, uścisk, który ich splata, kiedy się pochylają i rozciągają jedno na drugim, jedwabne nitki splatające się i lśniące pod światło o poranku, nagłym i odległym, żółte nitki wysnuwane przez gąsienice jedwabników, kiedy zaczynały tworzyć swój kokon; wilgotne liście morwy, opowiada Nadii Manuel, zawinięte w mokrą szmatę, żeby utrzymać świeżość, zebrane pod wielkimi drzewami rosnącymi na ulicach w pobliżu koszar; był tchórzliwym dzieckiem i nie wspinał się aż do ich koron, on i jego kolega Feliks stali, patrząc na starszych i odważnych chłopców, którzy wspinali się jak małpy i docierali do gałęzi z najbardziej jędrnymi liśćmi. Oni zbierali z ziemi te, których nie chcieli inni, wygładzali je, kładąc jeden na drugim, jakby to były znaczki pocztowe, ciemna błyszcząca, wilgotna zieleń, pachnąca szałwią i sokiem z morwy, trzymali gąsienice w pudełkach po butach, wyściełanych liśćmi morwy.

Nie wystarcza im patrzeć na siebie i wiedzieć, kim są, z pewnością i dumą, jakiej nigdy dotychczas nie poznali, jakby każde z nich było jedynym możliwym odbiciem twarzy drugiego, a także jedyną postacią, jaką pragnęły zobaczyć ich oczy; chcą odnaleźć się w czasie, w którym jeszcze się nie znali, i w świecie, w którym żadne z nich się nie urodziło, i zdaje im się, że we wszystkim, czego się domyślają i opowiadają sobie, co się rozbudza w nich tak jednocześnie, jak niemal bolesna intensywność, z jaką jawią się przed nimi nieznane królestwa ich ciał wyczerpanych miłością, od początku istniał impuls przeznaczenia albo przypadek, o którym nikt, nawet oni, nic nie wiedział i który chronił ich czy też zachowywał, pocieszał w nieszczęściu, samotności, w pomyłkach i wygnaniu, urodzonych na przeciwległych krańcach świata i bez najmniejszej możliwości już nawet nie spotkania się, ale posiadania czegoś wspólnego, choćby jedynie niebieskiego odcienia pejzaży widzianych podczas najbardziej przejrzystych dni: Nadia obserwowала zarys Manhattanu po drugiej stronie East River, Manuel szczyty gór Maginy, daleko poza gajami oliwnymi i Gwadalkiwirem.

Taka była pierwsza dal, jaką zobaczył; teraz zdaje sobie sprawę, że został przez nią ukształtowany i wychowany w takim samym stopniu jak przez głosy starszych, być może z obu tych źródeł wypływa żądza poznawania tego, co znajduje się odrobinę dalej, udania się

trochę dalej niż sięga spojrzenie i dalej niż sięga własna pamięć. Trzymając za rękę ojca, kiedy uczył się chodzić, schodził ulicą Trzynastego Września albo Osiemnastego Lipca i docierał do nasypu, z którego widać było całą przejrzystą i niebieskawą dolinę. Kręciło mu się w głowie, kiedy patrzył na zwrócone na południe okna koszar i wielki zbiornik wody, ustawiony na wysokim stalowym rusztowaniu, w którym, jak powiadano, utopił się niegdyś jakiś rekrut. Mury koszar wznoszące się na południowym skrzydle tuż przy nasypie były tak wysokie jak mury zamków, na które musieli się wspinać bohaterowie bajek, a poza nimi mieszkał kiedyś albo mieszka obecnie ten człowiek, który pojawiał się w rozmowach starszych znacznie wcześniej, niż on zaczął posługiwać się rozumem, major Galaz, postać wymyślona i potężna, w wysokich oficerkach i z pistoletem u pasa, tak mitologiczna jak postać don Manuela Azañi albo brązowego generała stojącego na placu zegara. W zimowe noce, na chwilę przed zaśnięciem, słyszał pośród świstów wiatru dźwięk sygnałówki oznajmiającej capstrzyk. Widzi swą bardzo młodą matkę, pochyloną nad nim w pokoju belki, widzi sufit z trzciny i gliny, jak w stodole, stół stojący przy oknie, przez które zawsze wpada do pokoju żółte i statyczne słońce, jego blask zawiera w sobie, jakby był wykonany z tej samej widzialnej i słyszalnej materii, śpiewy ptaków w koronach kasztanowców i piosenki dziewczynek grających w klasy podczas długich kwietniowych i majowych wieczorów, kiedy to po wyjściu dzieci ze szkoły słońce świeci jeszcze przez kilka godzin. Teraz jednak nie wzięty go w posiadanie wspomnienia innych; jakby płynąc, zbliżał się do brzegu i tchórzliwie badał nogą wodną głębię i dotykał piasku, stawiał stopy na twardej ziemi, tak naprawdę należącej do niego, jeszcze głęboko zanurzonej, niepewnej, niemal nieosiągalnej, rozległej i wiernej, jak przestrzenie raj. Na kredensie, tam, gdzie nie dosięga dłońmi, stoją filizanki z kremowymi rysunkami ryb i małe zwierzątka zrobione z kartonowych pudełek po lekarstwach. Nieruchomy przy ścianie, rozciąga swe skrzydła porcelanowy ptak, a on przygląda mu się godzinami z kołyski i dziwi się, że ptak nie fruwa jak inne ptaki, które widzi, gdy siedzi przy oknie na swym krzeselku. Ale wszystko jest bardzo wysoko i daleko, jak cienie rzucane na sufit przecięty na ukos belką, jak twarz ojca, kiedy obejmuje go za kolana i wyciąga ręce w górę, i ledwie dosięga jego pasa.

Opowieści, które słyszał, i to, czego nie pamięta, miesza się w najodleglejszych przestrzeniach jego pamięci jak ziemia i niebo na nocnym horyzoncie. „Urodziłeś się w roku srogiej zimy”, opowiadali mu, a słowa te, odnoszące się do jego własnego życia, wydają mu się traktować o czasach nie tylko znacznie wcześniejszych niż jego początek, ale o wiele wcześniejszych niż początek jakiegokolwiek ludzkiej egzystencji, o czasach tak mrocznych i pustych jak pierwsze wieki istnienia świata. Ojciec leży wyciągnięty na łóżku, a on rozumie, że jest to pewna nieprawidłowość w niezmiennym porządku rzeczy, tak samo jak unoszący się w powietrzu zapach lekarstw i alkoholu palonego w metalowym pojemniku, kiedy już sobie poszedł ten straszny człowiek, gruby, łysy, z czarnymi wąsami, którego zwą lekarzem, doktor Medina. U wezglowia łóżka, twarz ojca jest żółta na tle kołdry, żółta i szara na podbródku. Przychodzi inny mężczyzna i siada przy łóżku. Uśmiecha się do niego i bierze go w ramiona, czuje, że mu nie ciąży, sadza go na kolanach, bierze do rąk pudełko z lekarstwami i nożyczki, przez chwilę palce i błyszczące nożyczki poruszają się w jakiś tajemniczy sposób i w końcu na dłoni mężczyzny leży nie podłużne pudełko, lecz szczekający pies, z pyskiem tak samo spiczastym jak mordka drugiego psa, którego poruszające się palce mężczyzny rzucają na białą ścianę. „Trzymaj się, kuzynie” – słyszy – „poczekam, aż wyzdrowiejesz i pojedziesz ze mną do Madrytu, tutaj czeka nas tylko bieda”. Mężczyzna nie przestaje się uśmiechać i w jego rękach oraz za pomocą długich i błyszczących nożyczek powstaje inne zwierzę, teraz jest to osioł z podniesionymi uszami, z koszem i dwoma papierowymi dzbankami. On bawi się tymi zwierzętami na podłodze, a potem otwiera oczy i wstaje w kołysce, jest prawie noc, białe, niebieskie i zielone postaci kartonowych zwierząt stoją w szeregu, nieosiągalne na kredensie, paradując pomiędzy filizankami z rysunkami ryb. Paradują i nie poruszają się, tak

samo jak ptak ze ściany, lecący i zawsze pozostający w bezruchu. Przy łóżku powietrze jest tak gorące jak twarz jego ojca. Podupadł na zdrowiu, powiedzieli mu później, i przez kilka miesięcy miał gorączkę, a żeby zapłacić za lekarstwa i wizyty lekarza, musiał sprzedać krowę, kupioną przed ślubem, i nie mógł wyjechać z kuzynem Rafaelem, który znalazł dobrą posadę w Madrycie. Kuzyn Rafael odwiedzał go codziennie wieczorem, gdy wracał z pola, przychodził w spodniach jeszcze poplamionych gliną i wydzielając zapach paszy i łajna, nie jak lekarz, którego bał się jeszcze bardziej, bo pachniał lekarstwami i wodą kolońską, i niebieskim alkoholowym płomieniem, miał białe i delikatne dłonie jak ksiądz. Kiedy kuzyn Rafael rozmawiał z ojcem, siedząc u wezglowia łóżka, brał pudełko z nocnej szafki i nożyczki i na jego dłoni powstawał kartonowy zwierzak: szczekający pies, kot z nastroszonymi wąsami, osioł woziwoda, koń w galopie. Razem się wychowali i teraz mieli się rozstać po raz pierwszy, ale kuzyn Rafael odwlekał swą podróż, mieli znaleźć posadę dla obu i dzielić pokój w tym samym pensjonacie, wtedy wcześniej zaoszczędziliby pieniądze i mogliby sprowadzić rodzinę do Madrytu. Kłamał ten, kto mówił, że w Barcelonie albo w Niemczech jest więcej pracy; jak mogło tak być, skoro Madryt to stolica. W Madrycie, jeśli ktoś zachorował, ubezpieczenie płaciło za lekarstwa i człowiek brał pieniądze, dopóki nie wyzdrowiał, w każdym domu były krany z bieżącą wodą i kuchenki na gaz, a łazienki miały kafelki aż pod sufit. W świecie, z dala od Maginy, wydarzały się rzeczy niebywałe: istniały samoloty odrzutowe, których ślad na niebie różowił wieczorną porą, maszyny do kopania, siania zboża, a nawet do zbierania oliwek, i setki ludzi nie musiały już łamać sobie krzyża w zamian za mizerną zapłatę, wystarczyło tylko nacisnąć guzik, istniały satelity okrążające Ziemię w jeden dzień, a niedługo wygodniej będzie lecieć na Księżyc, niż dojechać z Maginy do stolicy prowincji liniowym autobusem. Któregoś dnia, zamiast w ubraniu roboczym, kuzyn Rafael przyszedł w garniturze i pod krawatem, a on zwrócił uwagę, że blade i włochate nadgarstki bardzo mocno mu wystawały z rękawów marynarki, i usłyszał, że czarne buty wydają dziwny dźwięk, kiedy kuzyn chodzi. Czekał, aż dłonie i nożyczki zaczną się poruszać, lecz tym razem pozostały w bezruchu na kolanach, na prążkowanym materiale spodni kuzyna Rafaela, które były takie same jak garnitur jego ojca wiszący w szafie. Kuzyn Rafael w oba policzki pocałował ojca, który ledwie mógł się unieść na poduszce, a potem wyciągnął rękę do matki, pocałował też jego, unosząc go wysoko, aż głową dotknął wielkiej belki, a kiedy ponownie, trochę skołowany, stanął na posadzce, ręka kuzyna Rafaela wsunęła coś do jego dłoni; otworzył ją i nie było w niej malutkiego zwierzątka, lecz miętowy cukierek zawinięty w nawoskowany papierek.

To wyzbyte czasu miejsce, bez precyzyjnych kształtów, bez związków pomiędzy rzeczami, twarzami, odosobnionymi słowami i wrażeniami jest zarazem scenerią życia jego rodziców, które bez wątpienia nie było podobne do rajskiego obrazu, jaki on wspomina. Chciałby ich zapytać i wie, że tego nie zrobi. Pyta Nadię, patrząc na zdjęcia jej syna: Jakie po latach będzie dla niego to miejsce, w którym oboje żyjemy? Co mu zostanie z tego mieszkania, bez wątpienia dla niego nieograniczonego? Jak będzie pamiętał ciemne budynki po drugiej stronie ulicy, gdzie powoli już zapalają się światła? Może też będzie się bał poprosić, żeby mu opowiedziano, z nieśmiałości albo strachu, ze wstydu wyobrażenia sobie młodości rodziców i pożądania, jakie każde z nich odczuwało, kiedy go spłodzili. Wszak jest możliwe, że w narodzinach człowieka miłość nie odegrała żadnej roli; w końcu u swego zarania Manuel widzi czarną czeluść, opuszczenie i może cierpienie, ból, którym została na zawsze naznaczona jego dusza w chwili urodzin, znacznie wcześniej, podczas jednej z pierwszych nocy, jakie spędzili jego rodzice w pokoju belki, jeszcze trudniejszej do wyobrażenia, bo on jeszcze nie istniał i dlatego, że właściwie nie ma odwagi domniemywać, co myśleli albo mówili, kiedy zostali całkiem sami po raz pierwszy, odkąd się poznali, gdy w milczeniu wspięli się po schodach na ostatnie piętro i zamknęli drzwi na poddaszu, na którym z trudem zmieścili swe świeżo nabyte meble, pachnące jeszcze lakierem i drewnem, kredens,

małżeńskie łoże, krucyfiks, ślubne fotografie ze złotym podpisem Ramira Portrecisty, płaskorzeźbę Ostatniej Wieczerzy, szafę na ubrania, wielki stół i sześć krzeseł z obiciami, których nigdy nie używali przez swego rodzaju szacunek, jakby należały, podobnie jak serwis do kawy i stołowa zastawa, do cudzej jadalni, do jakiejś rodziny duchów.

Nie potrafi albo nie chce sobie wyobrazić, odsuwa się od Nadii i znowu przechodzi do pokoju, gdzie stoi kufer Ramira Portrecisty, obojętnie rzuca okiem na wieczorne światło za żaluzjami, słucha zgiełku ruchu ulicznego w alejach, odległego i nieustającego jak szum wodospadu, wyszukuje pośród fotografii ślubne zdjęcie rodziców i przez chwilę się w nie wpatruje w świetle lampy, przy jej biurku, takie samo zdjęcie, jakie w tej chwili wisi na ścianie ich domu w Maginie, w tym pokoju, który zwą salonem i do którego nigdy nie wchodzi, bo właśnie tam nadal stoi kredens i stół otoczony sześcioma krzesłami. Z bliska przygląda się młodym twarzom swych rodziców, które mają już ten niejako abstrakcyjny wyraz nieznanymi ze starych zdjęć, jakby wraz z upływem czasu utracili swą tożsamość, aby stać się alegorycznymi postaciami z zamierzchłej przeszłości. Zapytuje tego mężczyznę i tę kobietę z odległości trzydziestu sześciu lat i chce wyczytać z wyrazu oczu i ze sposobu, w jaki się uśmiechają i dotykają swych dłoni, to, czego nigdy mu nie powiedzą, ani jemu, ani nikomu innemu; niewinność, niepokój, duma, samotność, strach i może trochę brutalności i niezgrabności, powstrzymywany krzyk i gwałtowne dyszenie w ciemności. Wpatruje się w oczy ojca na zdjęciu; kiedy są razem, kilka razy pojechał do Maginy podczas ostatnich lat, obaj unikają otwartego patrzenia na siebie. Patrzy w oczy dwudziestopięcioletniego mężczyzny, który w dniu swego ślubu, w studiu Ramira Portrecisty, wyprostowany obok swej narzeczonej, nieruchomy w nienaturalnie skróconej perspektywie z francuskim ogrodem w tle, nie rozluźnia napiętych mięśni ani nie łagodzi spojrzenia utkwionego nie w aparacie, lecz w samotnym impulsie swej woli. Zaciska szczęki, chyba nie potrafi albo nie chce się uśmiechać, tak jak nie potrafi albo nie chce naturalnie objąć prawym ramieniem tej, która siedzi jakby pośrodku wielkiej spódnicy z błyszczącego atłasu i bezskutecznie usiłuje pokazać uśmiech ślubnego szczęścia zastygły na jej ustach, bezwiednie naśladowując uśmiechy artystek filmowych, kobiet z pocztówek wysyłanych przez narzeczonych w dzień Świętego Walentego i z okładek magazynów mody. Teraz jego ojciec ma siwe włosy i bardziej napuchniętą twarz, wiek złagodził jego rysy, lecz ciągle rozpoznaje go na tej fotografii z młodości, podobnie jak rozpoznaje go na jego wcześniejszych zdjęciach dzięki temu, jak patrzą jego oczy, przez cierpienie, jemu nie znane, lśniące w nich intensywnym chłodem, cichą dumą, zdyscyplinowaniem i beznadzieją. Kim był? Kim naprawdę jest teraz? W jakim stopniu uważa, że jego sny się nie spełniły? Jaki jest i o czym myśli, kiedy jest sam?

Prawie z nią nie rozmawiał ani z nikim innym, oprócz kuzyna Rafaela, szedł na rynek, kiedy jeszcze była noc, wracał około drugiej i jadł w milczeniu, nie mówiąc jej nigdy, czy smakuje mu jedzenie, które przygotowywała we wspólnej kuchni, bo w swym wynajętym pokoju nie mieli nawet miejsca na maszynkę spirytusową, zdejmował białą marynarkę sprzedawcy i wkładał stare ubranie do pracy w polu, zanim ona zebrała talerze i obrus ze stołu, zapalał papierosa i ponownie wychodził, wracał bardzo późno, po zawiezieniu warzyw na rynek i rozwiezieniu mleka od krowy kupionej za dziesięć latnie skrupulatne oszczędności, jadł kolację i znowu wychodził, żeby wypić kieliszek wina z kuzynem Rafaelem i odwiedzić matkę; nic jej nie powiedział ani nie zmienił nieprzeniknionego wyrazu twarzy, kiedy mu obwieściła, umierając ze strachu, że zaszła w ciążę, kiedy zaczęła mieć mdłości i nie mogła znieść zapachu ryb i brudnej wody w zlewozmywakach, kiedy zaczęła myśleć, że nie potrafi o niego dbać ani gotować dla niego i że prawdopodobnie nie potrafi też urodzić zdrowego syna, który będzie mu pomagał w pracy. Zawsze była sama, w tej najdalszej dzielnicy, w której nie знаła nikogo, daleko od placu Świętego Wawrzyńca, od swych braci, od matki, obawiała się wyjść z domu ze strachu, że on niespodziewanie wróci i jej nie zastanie, wstydziła się własnego smutku równie bardzo jak swego coraz bardziej

wyduętego brzucha, niezdarnego chodu, trudności, z jaką wspinała się po schodach prowadzących na poddasze, spojrzeń i śmiechów kobiet w pralni i w kolejce po wodę. Patrzyła na wiszące na ścianie zdjęcie ślubne i ogarniał ją taki wstyd jak podczas przyglądania się sobie w lustrze, starała się tego nie robić, żeby nie widzieć siebie takiej, jaką prawdopodobnie on ją widział, okrągła twarz i nastroszone brwi, usta tak bardzo podobne do ust jej ojca, zęby nierówne i słabe. Porównywała się z innymi kobietami, z własną matką, żałując, że nie odziedziczyła po niej urody, myślała, że nie potrafi śmiać się beztrudnie i głośno rozmawiać, i poruszać się jak one, powoli pograżała się w niedoli, którą odczuwała jako poczucie winy i groźbę kary, i nieuchronnego nieszczęścia, bała się wszystkiego tak samo jak w domu rodziców, że nie zrobi czegoś tak, jak jej kazano, że przez jej niedbalstwo umrze jeden z jej małych braci, że przyjdzie ojciec, ściągnie pas i zacznie ją bić.

Spędzała dzień na wyczekiwaniu na niego, ale kiedy słyszała i rozpoznawała jego kroki na schodach, drżała ze strachu przed jego obecnością, obawiała się jego słów tak samo jak milczenia, jego nieodmiennego chłodu i nagłego pożądania, nawet zapachu tytoniu i paszy, i potu jego ciała, ale przede wszystkim bała się nieprzeniknionej samotności, spowijającej go jak lodowata mgła, za którą skrywał swe cele: kupić ogród i dom, porzucić udrękę tego wynajętego pokoju, mieć krowy i gaje oliwne i sprzedawać na rynku najwięcej warzyw ze wszystkich, choć czasem, nagle, zdawał się zapominać o tej przyszłości, którą sobie wyobrażał od jedenastego roku życia, kiedy sprzedawał miętę Maurom Franco, i mówił o zostawieniu wszystkiego i wyjechaniu z Maginy, jak robiło wielu znajomych, wyjeżdżali do Barcelony, Niemiec, Francji i już nie wracali, jak miał wyjechać jego kuzyn Rafael. Ale zachowywał milczenie, unikając jej spojrzenia, zostawiał łyżkę w talerzu, prawie nie skosztowawszy jedzenia, i spoglądał przez jedyne okno na dachy Maginy, zaciskając usta, udając, że jej nie słyszy, gdy pytała, czy nie smakuje mu jedzenie, czy cieciorka nie jest za twarda, czy jest za mało słona czy przesolona. Nie potrafiła zyskać pewności siebie nawet w najmniej istotnych czynnościach i myślała przerażona, że on może żałować, że się z nią ożenił, bo gdyby był sam, jak jego kuzyn Rafael, wyjechałby do jednego z tych miejsc, gdzie nie istniały ani zmęczenie, ani bieda, do olśniewających krajów i miast o budynkach tak wysokich jak kominy fabryczne, które czasem pokazywano w kronikach filmowych, gdzie mężczyźni wkładali białe fartuchy i czyste niebieskie kombinezony, a kobiety nosiły blond peruki i słoneczne okulary i bezwstydnie paliły papierosy z filtrem, podczas gdy w kuchniach białych jak szpitalne sale pracowały za nie zmywarki i elektryczne chłodziarki, i kuchenki na gaz.

Zaczęła się bać, że on nie będzie kochał dziecka. Jej matka Leonor Expósito, która urodziła siódmkę dzieci, przyjrzała się brunatnym plamom na jej twarzy i bez wahania przepowiedziała, że nosi w sobie syna. Bała się więc, że urodzi się nieżywy albo tak słaby, że umrze zaraz po urodzeniu, albo że będzie miała za mało pokarmu, albo za mało treściwego i nie wystarczy, żeby wykarmić dziecko. Podczas ostatnich miesięcy ciąży, jeśli przez chwilę nie czuła ruchów dziecka, przerażała ją myśl, że mogło umrzeć, bo przybrała złą pozycję. Poczucie winy i strach przed karą bez wyjaśnienia działały na jej duszę jak nieustający szantaż; jeszcze przed urodzeniem dziecko stało się zakładnikiem jej nieszczęścia. Mąż nigdy jej nie dotykał, nawet przestał na nią patrzeć, odwracał wzrok, żeby nie widzieć nabrzmiałego ciała. Nie pytał też o samopoczucie ani o możliwe daty rozwiązania. Na pewno nie był okrutny, po prostu nie potrafił się zdobyć na jakikolwiek gest czy czułe słowo. Tuż obok niej zamykał się w sobie i stawał się dla niej bardziej nieznajomy niż wtedy, gdy krążył wokół niej na placu Świętego Wawrzyńca, bardziej obcy i niedostępny, bo teraz był z nią i spędzali razem kilka godzin w pokoju, w którym nie sposób było nie ocierać się o siebie, kładł się obok niej w ciemności i natychmiast zasypiał, oddychając przez otwarte usta, z rozrzuconymi nogami, zajmując prawie całe łóżko, zostawiając jej i jej wielkiemu brzuchowi, w którego

wnętrzu pulsowało i wierciło się dziecko, zaledwie krawędź, na której nie mogła odpocząć, spędzała więc bezsennie kolejne noce, w strachu, że we śnie położy się na brzuchu i zmiążdży ciało kręcące się w jej ciele z wodnym ocieraniem jakby rybich płetw, leżała na plecach, z oczyma tak szeroko otwartymi, że aż bolały, utkwionymi w powierzchnię trzciny i plamy gipsu na suficie, tak niskim, że ją przytłaczał, jakby obudziła się w grobie, tak samo jak ta kobieta, o której opowiadał ojciec, że ją pogrzebano żywcem i oszalała po przebudzeniu, drapiąc miękkie obicie trumny, albo jak ten głuchoniemy pracujący jako pomocnik Ramira Portrecisty, którego odnaleźli żywego i z otwartymi oczyma, kiedy usuwali gruz z domu, pod którym zostali pogrzebani jego rodzice. Przez okno bez firanek wpadała rozproszona poświata, coraz jaśniejsza podczas kolejnych bezsennych godzin, kuliła się coraz bardziej i czuła się przytłoczona ciężarem brzucha, starała się nie ruszać, niemal nie oddychała ze strachu, że on się obudzi, i widząc najpierw cień, a potem plamę jego twarzy na poduszce, myślała, że zapaliwszy światło, nie rozpoznająby jego rysów, bo z powodu jednego z tych okropnych błędów, tak pospolitych w koszmarach, położyła się do łóżka z mężczyzną nie będącym jej mężem, lecz całkowicie obcym, nigdy wcześniej nie widzianym, postać bez rysów, plastyczna twarz z cieni, tak jak twarz tego stworzenia skrywającego się w jej brzuchu, z oczyma i członkami, i palcami nie do końca ludzkimi, ale które przynajmniej nie napawały jej strachem, rozwijało się w jej brzuchu i żywiło się jej krwią, miało serce nieustannie bijące w rytm jej serca, znacznie delikatniej, ale było wstrząsane tym samym strachem i czasem ukojone tym samym spokojem, tak kruche, że gwałtowny ruch mógł je zniszczyć, tak bliskie jak głos szepczący jej do ucha, jak głos dziadka Pedra, który w tej samej chwili w samotności nocy, pod ziemią tego wielkiego podwórca zwanego ze złowieszczą ironią przez ojca folwarkiem milczących, pewnie leży martwy i przegniły, zredukowany do kości i suchej skóry, i siwych włóków przylepionych do czaszki, albo niezmiennie – myślała z jeszcze większym strachem – nietknięty, tylko z niebywale długimi paznokciami, jakie ponoć miała zamurowana kobieta odnaleziona w piwnicach Casa de las Torres przed tyloma już laty, pamiętała to dokładnie, kiedy była mała i żył dziadek, i ojciec był w obozie koncentracyjnym, kiedy jeszcze nie знаła tego milczącego i surowego mężczyzny, który teraz śpi u jej boku snem tak głębokim i obraźliwym dla tych, którzy nie mogą zasnąć. Bezsennosc dręczyła ją z coraz większą bezwzględnością w miarę zbliżania się dnia rozwiązania. Czekwała w ciemności tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i chowała się pod kocami, bo słyszała skrzypienie desek i była przekonana, że morderca albo żywy trup wchodzi po schodach, żeby poderżnąć jej gardło, *oj mamusiu, mamusiu, mamusiu, kto to może być, cicho, córeczko, córeczko, córeczko, już sobie idzie*. Nie były to kroki, ale coraz silniejsze pulsowanie na gładkiej powierzchni rozciągniętej skóry i ocieranie się niewielkich łapek w jej wnętrzościach, a także ponad jej głową, na trzciniowym suficie, szelest trzciny i szum wiatru unoszącego dachówki i przynoszącego o świcie walenie w bębny i dźwięk sygnałówki, echo kroków żołnierzy na żwirze dziedzińca koszar, wiatr i deszcz podczas okrutnych nocy owej zimy, której tak często gasły światła, bo jak mawiano, wiatr przewracał słupy i rwał kable, a mąż spał u jej boku, obojętny jak toból, albo też nie spał i tylko udawał, co przestraszało ją jeszcze bardziej, oddychał ze świstem otwartymi ustami, leżał z rozłożonymi nogami, pokonany zmęczeniem nie znającym od wielu lat nagrody ani odpoczynku. Pewnego dnia odwiedziła ją matka, przyszła z tych odległych i wspomnianych z utęsknieniem terenów placu Świętego Wawrzyńca, popatrzyła na nią, po czym powiedziała z przerażającą naturalnością: „Opadł ci brzuch. Tylko patrzeć, jak urodzisz”. Chciała ją poprosić, żeby z nią została, ale zabrakło jej odwagi, powiedziała, że czuje się świetnie i że się nie boi, że mąż niebawem przyjdzie, że przy tej złej pogodzie popołudniami nie chodzi w pole. I z wysokiego okna i ze stołu ze świeżo rozpalonym żarownikiem, które w pamięci jej syna na zawsze pozostaną nieodłącznymi atrybutami Edenu, patrzyła, jak jej matka odchodzi pod wiatr, jak odwraca się w jej stronę, żeby pomachać na pożegnanie, zawinięta w jeden z tych wielkich szali z czarnej

welny, których używały kobiety przy zbiorze oliwek, przygarbiona, szukająca osłony w narożnikach domów, bezbronna pod kablami, na których wisały lampy, pod nagimi i wstrząsanymi wiatrem konarami kasztanowców, i przypomniała sobie coś, co mawiano jej, kiedy była mała, i co ona sama będzie powtarzać swemu synowi w wietrzne dni: „Idź środkiem ulicy, żeby dachówka nie spadła ci na głowę”.

On jednak nie przychodził, czuła przeraźliwe błyski bólu w pachwinach i niezwykajny spokój w brzuchu, skoro dziecko się nie rusza, to dlatego, że już się przeciska, powiedziała jej matka, usłyszała trąbkę wzywającą na obiad w koszarach, a potem syrenę o drugiej trzydzięci w odlewni, a on ciągle nie pojawiał się na pustej ulicy, może za długo został na rynku i potem od razu poszedł do ogrodu swego ojca, bez obiadu, czasem zdawał się nie potrzebować ani jedzenia, ani snu, jakby były słabościami, na które prawdziwy mężczyzna nie powinien sobie pozwalać. Lecz dokąd mógł pójść, skoro wiatr i deszcz chłostały w ten przedwczesny wieczór na ulicach Maginy z furią, przywodzącą jej na myśl filmowe burze powodujące morskie katastrofy, bo najwyższe gałęzie drzew uderzały o dachy, okienne szyby drżały, jakby miały rozprysnąć się w kawałki. Słyszała wycie wiatru we wnętrzu mieszkania, w szparach między drzwiami, w kominie, i zdawało jej się, że sufit trzęsie się nad jej głową i że zaczynają poruszać się płyty posadzki, po których stąpa, także meble w pokoju poruszały się, wirując, początkowo bardzo powoli, potem z szybkością trąby powietrznej, rozpluwając się w plamach i błyskawicznie migających mozaikach kolorów, jak kolumny pyłu wznoszące się w górę podczas letniej burzy. Stała przy oknie, z twarzą opartą o szybę, wpatrując się w ulicę, na której on się nie pojawiał, i musiała ucześcić się obiema rękoma krawędzi stołu i niemal po omacku wyszukać krzesła, na które powoli zwała swe coraz cięższe ciało. Nie mogła teraz zemdleć, gdyby upadła na podłogę, zmiażdżyłaby dziecko, gdyby straciła przytomność, obudziłaby się w szpitalnym łóżku i powiedzieliby jej, że urodziła martwe dziecko, z jej winy, z powodu jej słabości i strachu. Wyciągnęła ręce, aż dosięgła krawędzi łóżka, zdołała wesprzeć się na nim i położyć, przeszywana od czasu do czasu bólem zapierającym jej dech, niezdolna do krzyku, gryzła usta, wilgotne od łez i śliny, jak usta płaczącego dziecka, położyła się na boku i ból zelżał na kilka chwil, zdołała wyciągnąć się na plecach, zapierając się łokciami i piętami o materac, znieruchomiła naprzeciw niskiego sufitu, na którym oschle ryczał wiatr, czekała na nawrót bólu, z obiema rękami na brzuchu, jakby chciała powstrzymać wypłynięcie jelit i zahamować obfity krwotok. Odczuwała klucie, gryzienie pomiędzy pachwinami, błyski, powolne cięcia bólu, wyobrażała sobie, że dziecko przeciska się przez jelita, drapiąc jak kot, że się topi i wpada w panikę, i zatrzymuje się, dysząc tak samo jak ona, złane potem, znowu pchane furią bardziej zawziętą niż wściekłość wiatru, miała przed oczyma brzuch jak górę, pod której ciężarem zginie, pogrzebana, i jęcząc, gryzła kołdrę i zatapiała twarz w poduszce wilgotnej od potu, śliny i krwi z poranionych warg. Wiatr wzmagął się, aż przemienił się w krzyk nie całkiem ludzki, rozbrzmiewający w pokoju, krzyk kobiety, lecz nigdy nie słyszała, by ktoś krzyczał w taki sposób, i dopiero po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że słyszy samą siebie. Jak we śnie spostrzegła, że ciemniejsze światło i że meble stają się ciemnymi plamami, wymacała wezgielnie łóżka, aż natrafiła na nocną szafkę, zimną i ostrą krawędź szkła, kabel lampy, lecz palce nie dotknęły włącznika, zrzuciły coś, co spadło na podłogę, powodując przeraźliwy hałas, i wtedy zaczął rozbrzmiewać dzwonek, raniący jej uszy z tą samą bezwzględnością co ból szarpiący brzuch, zrzuciła budzik, i kiedy on wróci, skarci ją, musi go wyłączyć, ten dzwonek musi ucichnąć albo ona umrze lub oszaleje, podpełzła do krawędzi łóżka, mając wrażenie niebezpieczeństwa, jakby zaglądała w otchłań przepaści, sięgnęła prawą ręką aż do zimnej podłogi, lecz jej palce poruszały się w próżni, nie mogąc natrafić na metalową i okrągłą powierzchnię budzika, i nie była w stanie odwrócić głowy i poszukać go wzrokiem, teraz dzwonek rozbrzmiewał dokładnie pomiędzy jej skrońmi, w środku głowy, przeszywał ją od

jednego bębena do drugiego, tak jak igły bólu przesywały na wskroś jej brzuch; nagle dzwonek ucichł, otworzyły się drzwi i już była noc. Ktoś patrzył na nią z bardzo wysoka, nieznajoma i bardzo blada twarz, częściowo oświetlona drżącą poświatą wpadającą z ulicy, gdy pochylał się nad nią, powtarzając jej imię, twarz powiększała się, jakby widziała odbicie w krzywym zwierciadle; rozpoznała go po tym tak ciepłym oddechu, po szorstkości dłoni gładzących jej czoło i odgarniających posklejane potem włosy, nie po głosie, w którym brzmiał dziwny ton tchórzliwości, delikatności i czułości. Spokojnie, usłyszała, nie martw się, wyślę kogoś po twoją matkę i po akuszerkę, leż spokojnie, nie ruszaj się, nie bój się, on też się trząsł, przerażony, zbierając z podłogi budzik, bezskutecznie usiłując zapalić światło, jak to możliwe, teraz musiało wsiąść światło. Kiedy się podniósł, chciała go zatrzymać u swego boku, nie odchodź, powtarzała, nie pozwól mi umrzeć, ale on uwolnił się z jej rąk, mówiąc, że zaraz wróci, a zostawszy sama i wyciągając ramiona w jego poszukiwaniu, poczuła, że zaczyna pogrążyć się w burzliwej ciemności, jakby pochłaniała ją woda i wiatr, ciągnięta na dno ciężarem brzucha, rozdarta bólem jak celnym ciosem, rozszczępiającym gruby pień drzewa oliwnego, czując, że broczy krwią i że życie uchodzi z niej pomiędzy udami, podczas gdy łóżko, podłoga i sufit, i ściany domu były wstrząsane podmuchami wiatru, który tej nocy wyrwał drzewa z korzeniami, przewracał słupy i zrywał kable, pogrążając całe miasto w pełnej lęku ciemności, która wielu przywiodła na myśl zaciemnienia następujące po alarmach przeciwlotniczych. Ponownie usłyszała głosy, ale bicie jej serca zagłuszyło je, zobaczyła zbliżające się światło w ciemności poprzetykanej srebrnymi nitkami łez i zalanej błyszczącym potem, płomień świecy w niebieskim lichtarzu i podtrzymująca go dłoń, rozpoznała twarz Leonor Expósito i dotyk jej palców, wyczuła brutalne dłonie zagłębiające się w niej jak dłonie rzeźników zanurzone w miednicy wypełnionej krwią, przyj, mówili, prawie krzyczeli, ale była przekonana, że jeśli dalej będzie przeć, zabije ją ból, zagryzła zęby, zacisnęła powieki, dziecko przeciskało się, rozrywając ją, i nagle zaczęło się wyslizgiwać tak zwinnie i płynnie, że popychało ją w omdlenie, twarze i ciała poruszały się w półmroku, pojawiały się i zamazywały w słabym blasku świecy, mieszały się z załamanymi cieniami na suficie, podczas gdy ona ponownie zamykała oczy i słyszała szczękanie własnych zębów, i parła, aż całkowicie straciła świadomość w ostatecznym i bezwstydnym delirium. Kiedy wróciła do siebie, coś fioletowego i zakrwawionego wisiało głową w dół w świetle świecy, jak jeszcze żywe, obdarte ze skóry zwierzę, drobniutkie, bezbronne, nie twarz o określonych rysach, ale ledwie otwarte usta jak rozdarcie, wydające z siebie płacz znacznie słabszy niż uderzenia i świst wiatru w zimową noc przed trzydziestoma pięcioma laty.

OPOWIEDZ MI, mówi Nadia, po kilku minutach ciszy, podczas których uspokoił się jej oddech i wydawało się, że zasnęła. Wstrząsa nią dreszcz, naga wtula się we mnie, jej palce dotykają mojej twarzy w poszukiwaniu powiek, żeby sprawdzić, czy zamknąłem oczy; powiedziała mi, że na początku, podczas pierwszych nocy, napawała ją strachem cisza i zamknięte oczy, bała się, że jeśli przestanie mnie słyszeć albo widzieć moje oczy, natychmiast zamienię się w obcego człowieka, jak każdy z tych mężczyzn, z którymi była przelotnie, zanim spotkała mnie, i taka też była przyczyna tego, że kiedy się kochaliśmy, zawsze wpatrywała się we mnie z napięciem bliskim olśnieniu, a kiedy zamykałem oczy w przyływie pożądania albo w jednoczesnym osiągnięciu rozkoszy, początkowo mającej coś z ofiary i bólu, otwierała mi je opuszkami palców, pieszcząc powieki, liżąc je, unosząc niemal siłą, żeby nie przestać widzieć moich źrenic i wiedzieć, że to ja jestem z nią w tej chwili. Opowiedz, szepcze mi do ucha, obejmując mnie od tyłu, przytulając się do moich bioder i wciskając nogi pomiędzy moje uda, jakby moje ciało było formą jej ciała, a potem, następnego dnia po śniadaniu, wyjaśnia mi, że w nocy zdała sobie sprawę, że prosząc, abym jej opowiadał, mówiła tym samym tonem, jakim prosiła swego ojca, i z takim samym poczuciem tajemniczości i ciepła, i że to nie tęsknota kazała jej powtórzyć ten ton głosu i wtulać się we mnie, jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i nie mogła zasnąć, a jej ojciec siadywał obok niej na łóżku, lecz wszechogarniające poczucie odzyskania tamtego szczęścia, nietkniętego obecnie w jej duszy i w spokoju ciała, a nawet w sposobie, w jaki czysta pościel i lekka kołdra, i moja obecność spowijają jej skórę, delikatniejszą teraz niż kiedykolwiek wcześniej, mówi, dotyka siebie i nie rozpoznaje, jak gdyby dotyk moich rąk poraził jej dłonie w taki sam tajemniczy sposób, w jaki sprawił, że patrząc na siebie w lustrze, widzi się moimi oczyma; nie żałuje czegoś, co miała i utraciła, mówi, czuje w oszołomieniu i z wdzięcznością, że niczego nie straciła, że to, co ma w tej chwili, zawsze było z nią, podtrzymywało ją bez jej wiedzy i pozwoliło jej uniknąć rozklejenia się i popadnięcia w obłąd, i czekania nie wiedzieć na co, i dodało rozwagi, i pobudziło instynkt potrzebny do rozpoznania tego daru, kiedy znowu się pojawił, kiedy wyłonił się z niej i objawił jak błyskawica w obecności kogoś innego.

Prosi mnie, żebym nie przestawał mówić, nie chce jeszcze spać, choć niczego nie lubi tak bardzo – mówi, uśmiechając się do mnie, ma czerwone i na wpół rozchylone usta i burzę włosów, jeszcze nie uczesanych – jak patrzeć niemal w całkowitej ciemności, jak poddaję się snowi. Ja, zawsze taki nerwowy, tak spięty i przyczajony, staję się u jej boku wielki i uspokojony, nagi, z rozchylonymi nogami, oddycham delikatnie, tak mocno pogrążony we śnie, jak pogrążam się czasem w przyjemnościach i nagabywaniu jej ust. Słyszę ją, na wpół śpiąc, uśmiecham się i otwieram oczy, odgarniam jej z twarzy włosy, które przed chwilą muskały moje uda, przyglądam się jej i przyciągam do siebie, mówię, że śniłem o niej przez kilka sekund, że widziałem mojego ojca jadącego konno drogą pomiędzy ogrodami, że na kilka chwil wróciłem do domu, w którym mieszkałem między trzecim i ósmym rokiem życia, na ulicy w Maginie, której nazwa, dla mnie tak pospolita, jej przynosi wrażenie bezmiaru i przypomina lato, Fuente de las Risas.

Słyszę swój powolny i chrapliwy od snu głos i choć całkowicie się obudziłem, słowa przynoszą obrazy, przepływają przed moimi oczyma tak wyraźne jak postać jeźdźca na

malowidła zawieszonym przed nami. Słowa nie opowiadają, przywołują, sprawiają, że pamięć staje się czystym spojrzeniem, przemieniającym mnie w nieruchomego świadka tego, co mówię, i słyszę swój głos, tak samo jak słyszy go Nadia, przytulony do niej w spokoju podróży, którą dopiero teraz zdołałem albo odważyłem się zrozumieć, wtulony i wyciszony, zawieszony pomiędzy snem i jawą, tak jak wtedy, gdy siedłem z rodzicami do kina i zdumiewały mnie kolory i wielkość przedmiotów na ekranie, a kiedy zasypiałem, matka brała mnie na ręce, a ja spałem z przymkniętymi oczyma, jednocześnie oglądając film, tak jak wtedy, gdy wyszliśmy późno z domu dziadków, pewnej zimowej nocy, chłodny wiatr wiał mi w twarz, a chwilę wcześniej leżałem przy żarowniku, tak bardzo chciało mi się spać, że ugiwały się pod mną nogi, i ojciec wziął mnie na ręce, zasłonił mi usta wełnianym szalikiem i powiedział do mnie, zamknij usta, żebyś się nie nałykał zimnego powietrza, delikatna i kłująca wełna, wilgotniejąca od oddechu, szczęście bycia niesionym i otulonym, i patrzenia na światła na narożnikach ulic i w środku domów, w jadalniach, z których dochodzi brzęk sztućców i strzępy rozmów, programów radiowych, w których rozbrzmiewało pasodoble z korridy, kroki rodziców odbijające się echem na pustych ulicach, kiedy niosą mnie do bezpiecznego schronienia, miękkiego i ciepłego, mojego łóżka, domy wyższe w nocy, przytłaczające jak postacie olbrzymów, i w półśnie dziecka, opierającego głowę na ramieniu ojca, głosy i obrazy z niedawnej wizyty rozdrabniają się i zmieniają w materiał dla snów, cerata, na której wyrysowano mapę Hiszpanii i Portugalii, ciemny pokój, w którym na marmurowym blacie nocnej szafki płonie oliwna lampka w intencji dusz w czyścicu cierpiących, zakratowana spiżarnia pachnąca ziołami i kawałami schabu zanurzonego w smalcu, z której w dalszym ciągu koszmaru wyjdzie wilk z otwartym pyskiem. Kiedyś było tak samo jak teraz, rozkosz i tęsknota za tym wszystkim, i niebycie niczym i nikim, obecność na marginesie życia starszych, rozmawiających wokół stołu albo przy kominku w języku jeszcze mało znanym i przebywających w nieosiągalnym wymiarze przestrzennym, stół, na którym wspierali łokcie, a do którego powierzchni ja ledwie sięgałem wzrokiem, kiedy wspinałem się na palce, kredensy, na które odkładali rzeczy, żeby ich nie dosięgnął, najwyższe półki spiżarni, stolik, na którym stało radio, bardzo duże, oświetlone nocą, mające coś z kaplicy albo tabernakulum, zegar ścienny, którego drzwiczki co wieczór ceremonialnie otwierał dziadek, żeby go nakręcić kluczem tak złotym jak wahadło, w które wpatrywałem się jak zahipnotyzowany przez szybę, przez chwilę widząc swoją rozmazaną twarz na wypolerowanej powierzchni i wsłuchując się w rytm zębatych kół. Było to tajemnicze życie w królestwie olbrzymów, stworzonym na ich wymiar, poruszałem się po miejscach, które oni deptali, nie zauważając ich, tak odlegli i wysocy, posępni, wyczerpani pracą, pobłażliwi wobec mnie albo milczący ze złością, niezrozumiali, w jakiś tajemniczy sposób godni litości, surowi i enigmatyczni w swoich rozmowach, które podsłuchiwałem z tą samą bezkarnością co kot i nie rozumiejąc wiele więcej, niż rozumiałby kot, kłęczałem w kącie, goniłem za gumową piłką pod deskami żarowników, chcąc wspiać się w górę, żeby otworzyć drzwi, przemykałem się do miejsc, w których mnie nie widzieli, do sypialni z zaciągniętymi zasłonami, do spichlerzy, gdzie bawiłem się w pływanie po oceanie pszenicy, do spiżarni ze słojami wydzielającymi woń smalcu i oliwy, i surowej szynki zatopionej w soli, do tych pokoi, które oni zajmowali, a które dla mnie były kilkakrotnie większe, ze ścianami znacznie wyższymi i z matowym półcieniem, bardzo przerażającym. Chodziłem na czworakach pomiędzy ich nogami, włożyłem pod stół, słuchając ich nigdy nie kończących się opowiadań o zbiorach i o wojnie albo wszystkich ich napomnień, uważaj na żarownik, bo się oparzysz, nie wyglądaj zza drzwi na ulicę, nie podchodź do kota, bo cię podrapie, odejść od ognia, wyjdź z kuchni, bo wrząca oliwa pryśnie ci w oko, nie zapalaj papierów, bo będziesz sikał w nocy, nie kop puszek, bo matka wyzionie ducha, nie wywracaj parasola na lewą stronę, nie kładź pieniędzy na stole, kiedy jesz. Unosiłem obrus, spoglądałem na zgromadzony wokół stołu nierealny konwentykl różnych par nóg i butów, widziałem fluoryzujące oczy kota patrzącego

na mnie, jakby rozpoznał bliźniego, i ocierającego się o czyjeś nogi, może matki albo babci Leonor, a żar płonący pod popiołem miał blask diamentów albo lawy, szczególnie kiedy ktoś podgarniał węgle szufelką i jeszcze bardziej je rozżarzał, co mnie przywodziło na myśl wybuchy wulkanów, które widywałem w kinie. Niektóre kobiety zakładały na nogi kawałki tektury na gumkach, żeby ciepło żarownika nie przysporzyło im wyprysków, które zwały barankami. Zamykając oczy, wyobrażałem sobie, że jestem niewidzialny, chowając się do pustego kufra w brogu, udawałem, że umarłem albo że jeszcze się nie urodziłem, albo że odszedłem z domu, a jednak mogłem słyszeć, jak rodzice rozmawiali o mnie, ich żal z powodu mojej śmierci albo nieobecności, słyszałem zbliżające się kroki, słyszałem głos matki albo babci Leonor, nawołujący mnie we wszystkich pomieszczeniach domu, począwszy od sieni, wchodziły po schodach, a ja drżałem, kiedy się zbliżały, tak samo jak bohaterzy filmowi, kiedy kryli się w puszczy, ścigani przez złych z czarnymi opaskami na włosach, zaciśniętymi białymi zębami i z zakrzywionymi szablami malajskich piratów, albo gorączkowo walący w bębny w przygodach Tarzana, które podobały mi się przede wszystkim ze względu na białe i nagie nogi Jane i jej bose stopy, miałem ochotę podnieść jej krótką skórzaną spódniczkę lub wsunąć rękę za gorący dekolt. Szpiegowałem i oceniałem starszych jak mieszkańców odległych rejonów ziemi, gdzie rozgrywała się akcja niektórych słuchowisk radiowych i czarno-białych filmów, których wspomnienie później nie pozwalało mi zasnąć, decydowałem się w tajemnicy nie odpowiadać na ich wołanie, bo zmieniłem imię, postanowiłem zostać dzieckiem zgubionym w lesie i zagrożonym przez wilki, a kilka minut później sam byłem wilkiem albo drzewem o nieosiągalnych konarach, pod którym spał chłopiec, zmieniałem się w jeźdźca, w węża, w jankonia, wyciągałem się pod łóżkiem, zamykałem oczy i byłem tą kobietą, którą według mojego dziadka pogrzebali żywcem, wchodziłem do najwyższych pokojów i otwierając szafę, stawałem się swoim dziadkiem albo lekarzem don Mercuriem, a dziecięcy pistolet albo kuchenny moździerz, niesiony w ręku, byłby naftową lampą, którą miałem oświetlić zamurowaną kobietę w Casa de las Torres.

Wyprowadziliśmy się z pokoju belki i teraz mieszkaliśmy w domu, który wydawał mi się przeogromny, na innej ulicy, wychodzącej na nasypy z ogrodami i na dolinę Gwadalkiwiru, ale ja prawie nigdy nie wychodziłem za drzwi, a kiedy już to robiłem, to tylko po to, żeby usiąść na schodach i czekać na ojca; zawsze cichy, posłuszny, cierpliwy, tchórzliwy, spoglądałem z zazdrością i przerażeniem na inne, rozbawione i nieznajome dzieci, gryzłem pajdę chleba z oliwą posypaną cukrem albo tabliczkę czekolady. Czekoladę trzeba jeść bardzo powoli, małe kawałeczki i dużo chleba, powtarzała matka, nie tylko po to, żeby starczyło na dłużej, ale dlatego, że jak się je szybko, to czekolada może zaszkodzić. We wszystkich pospolitych rzeczach kryły się zgubne właściwości: zbyt zimna woda z dzbana mogła zabić człowieka gorączką, we mchu na dachach leżały się jadowite węże, czasem spadające na ulicę, mogły zostać unieszkodliwione tylko przez piątego syna z rodziny, jeśli udało się komuś policzyć wszystkie gwiazdy w letnią noc, zabijał go Bóg, jeśli nie gasiło się żarownika przed snem, dym zabijał śpiących. Wszystkie dzieci z ulicy wydawały mi się większe niż ja, a jeśli chciały, żebym się z nimi bawił, to tylko po to, żeby móc mnie oszukać, mawiała matka, żeby zabrać mi moje błyszczące niklowane kulki albo dopiero co kupione komiksy Kapitana Trueno, które namiętnie oglądałem na długo przed zgłębieniem sztuki czytania. Jeszcze nie znałem Feliksa, który był niemal tak cichy i strachliwy jak ja, mieszkał w głębi sąsiedniego podwórka, w mrocznych pokojach, do których nigdy nie odważyłem się wejść, bo w jednym z nich zawsze leżał jego ojciec, kaleka, wyciągnięty na łóżku, uskarżający się na ból paraliżujący mu kości i zabijający go tak powoli, że umieranie zajęło mu dwadzieścia lat. Wychodziłem na próg, czekałem, siedząc, czując zimno kamieni na pośladkach, ale czas rozciągał się w wieczność, nie mogłem się doczekać powrotu ojca, kiedy zapalały się światła na narożnikach ulic i powietrze było szare i pachniało dymem, i słychać było dzwony

wzywające na modlitwę i beczenie kóz wracających z pastwiska, co oznaczało, że ojciec niebawem wróci i że w radiu zacznie się słuchowisko, wchodziłem do domu, do kamiennej sieni, ze strachem zaglądałem do mrocznego korytarza prowadzącego do stajni i zagrody, pachniał wilgotnymi kamieniami i gnojem, wyglądał jak tunel, którym w jakimś filmie szło dziecko, a podłoga w sieni była ze skały, nie z kamiennych płyt albo bruku, lecz z falistej powierzchni skały, tak mawiano, zrodzona i wyrosła w tym miejscu jak mineralna istota, lśniąca od wilgoci jak grzbiet wieloryba, sypały się iskry, kiedy stukały o nią końskie kopyta, gdy zapadła już ciemna noc, kiedy ojciec wracał i wyładowywał w sieni łądunek trawy przepełniający cały dom wonią szaławii i ściętych pędów. Były kłosa kłujące w palce i zielone kwiaty zwane bułeczkami albo bananami mające bardzo słodki sok, ale niedobrze było jeść trawę czy jędrne łądygi, bo ten, kto je trawę, dostaje wzdęcia i pada martwy pośrodku drogi, jak w roku głodu, mawiali, a ja wyobrażałem sobie nieskończenie długi i dręczący rok bez jedzenia, rok stanowiący dla mnie w owym czasie znieruchomiłą wieczność. Myszkowałem po domu, niewidzialny, w tajemnicy przed matką, bo w rzeczywistości to nie ja tam byłem ani oni nie byli moimi prawdziwymi rodzicami, prześlizgiwałem się w półmroku, podczas gdy matka, siedząc przy oknie, obok radia, szyła coś, napięta nic wyciągnięta w górę i czubek igły błyszczący pomiędzy jej palcami, zielonkawe światło radia, niebieskawy płomień gazowego palnika, wynalazku stulecia, powiedział dziadek Manuel, kiedy go zobaczył, fantastyczny postęp, nie trzeba już było wstawać o świcie, żeby przynieść drwa z komórki, ani dmuchać aż do wyczerpania, i dom nie napełniał się zapachem dymu, zapachem biedy, mawiano. Któregoś dnia ojciec wrócił z rynku wcześniej niż zwykle, a wraz z nim przyszedł mężczyzna w niebieskim kombinezonie, niosący wielkie tekturowe pudełko, wyciągnął z niego ten biały, lśniący przedmiot, który potem zaczął ziać ogniem, nie żółtym, pomarańczowym, czerwonym i fioletowym, jakim płonie drewno, ale niebieskim okrągłym płomieniem, udomowionym, bardzo delikatnym, zapalającym się, kiedy zbliżano do niego zapalną, syczącym, zanim zapłonął, i zostawiającym w powietrzu ciężki zapach; trzeba bardzo uważać, słyszałem, jak mówili, żeby dziecko nie dobrało się do kurków, żeby nigdy nie zapomnieć ich wyłączyć, bo się zatrujemy i wszyscy umrzemy, jak ta kobieta, o której mówiono, że umarła we śnie przez kuchenkę gazową, bo zapomniała ją wyłączyć i gaz ulatniał się przez całą noc, sycząc jak wąż, powoli wślizgiwał się po schodach, jak śmiercionośna mgła w *Dziesięciorgu przykazaniach*. Pewnego dnia wzięli mnie za rękę i zaprowadzili do domu, w którym już zebrały się wszystkie sąsiadki, i matka wzięła mnie na rękę, żebym zobaczył nowy mebel postawiony na kredensie: swego rodzaju radio, obite błyszczącym drewnem, z białymi guzikami i szarym wypukłym ekranem, który szybko wypełnił się rażącym światłem, a na nim pojawiła się, jak w malutkim kinie, kobieta o blond włosach, która czytała, nie patrząc, leżące przed nią kartki papieru i wymawiała wszystkie „s”. Ekran zamrugał szaro-biało, blondynki już nie było, zobaczyliśmy za to matadora wbijającego szpadę w kark byka i wszystkie sąsiadki zaklaskały w dłonie.

Podobało mi się to słowo, które tak często wypowiadali, zaliczka, chociaż ostrzegali, że wszystkie one roją się od niebezpieczeństw, lecz niebezpieczeństwo zdawało się czymś najbardziej pospolitym na świecie, nie zbliżać się do kotów, żeby nie podrapały, ani do końskich kopyt, bo mogą zmiażdżyć głowę, nie chodzić pod okapami dachów w wietrzne dni, bo może zabić człowieka spadająca dachówka albo spaść na ziemię żmija i ukąsić w kostkę, albo jeszcze gorzej – może wśliznąć się do domu i w poszukiwaniu ciepła wejść do łóżka i ukryć się pośród koców i kołder małego dziecka, nie pić wody, do której napluły salamandry, zimą nie odpoczywać w cieniu, żeby nie nabawić się zapalenia płuc, uważać na przeciągi, bo powodują idiotyzm, wykrzywiają gębę i wywracają oczy, nie brać cukierków od nieznanomych, bo mogą to być suchotnicy kręcący się po okolicy w poszukiwaniu świeżej dziecięcej krwi, nie wdychać powietrza przesyconego gazem, nie dotykać kontaktów, nie

patrzeć za długo w ten aparat, którego nigdy wcześniej nie widziałem, ale który ponoć stał w zasobnym domu Bartolomégo na placu Świętego Wawrzyńca, aparat taki sam jak kino, choć znacznie mniejszy i bez kolorów, w którym można obejrzyć korridę i przemówienia Franco. Oglądało się telewizję, mówili, dzięki szarym i białym proszkom wsypanym do ekranu, te proszki były bardzo szkodliwe dla oczu, jak siarka, która sprawiała, że nocą lśniły cyfry i wskazówki budzika stojącego na nocnej szafce rodziców. Ale człowiek nie był pewien, że te rzeczy istnieją, wszystko było domniemywane i nieprawdopodobne i kiedy coś się wydarzało, miało znamiona wyjątkowości i zarazem naturalności; samotnie rozmyślać o wilkach w środku nocy, kiedy nie można zasnąć, a potem śnić o nich, przebudzić się, kiedy światło świeci w oczy i słuchać świstu jaskółek gnieźdzących się na balkonie, widzieć ogromne twarze na ekranie letniego kina i słuchać głosów ze słuchowisk radiowych, stukot kopyt, szum wiatru, koła powozu sunącego w deszczu, i wszystko to ukryte we wnętrzu aparatu emanującego zielonkawym światłem, za wydzierganymi na szydełku firanczkami, dźwięki nasilały się albo nikły, zależnie od ustawienia potencjometru głosu albo fali, czarna wskazówka przesuwająca się pomiędzy słowami, które stopniowo, powoli można było odcyfrować, sylaba za sylabą i na głos, Madryt, Londyn, Paryż, Lizbona, Andora.

Zawsze słuchałem, szpiegowałem, nie rozumiejąc, przyjmowałem strachy i cuda, wymyślałem dla siebie łatwe do modelowania tożsamości, fałszywe imiona, nie istniejących przyjaciół, bezkarnie zbliżałem się do kręgu starszych i stopniowo uczyłem się odczytywać ich historie i wymawiać wypowiedane przez nich dźwięczne słowa: oliwka, telewizja, cielna krowa, koniec świata, cyklony, wojna, Azaña, generał Miaja, major Galaz, don Juan Negrín, Franco, Ama Rosa, Juanito Valderrama, Guillermo Sautier Casaseca, Cinemascope, rosółki Avecrem, propan-butan, Madryt, zamurowana mumia, zaliczka, operacja, szpital. Czasem nie istniałem dla nikogo, samotnie myszkowałem po domu i znajdowałem skarby za drzwiami sieni i białe równiny kurzu pod łózkami, i rozżarzone puszcze w ogniu, a innym razem byłem zakutany aż pod brodę, niesiony na rękach, wzniesiony wyżej niż najwyższy szczyt i posadzony na końskim grzbiecie, wtulony w szal, w ciepłe i miękkie piersi matki, prowadzony za rękę po ulicach, na których zawsze ścigał mnie strach przed starszymi dziećmi albo przed zgubieniem się, albo przed głosem Ciotki Żerochłopki, albo mumii z Casa de las Torres; obudzono mnie przed świtem, żeby dokądś pójść, do domu babci Leonor, gdzie jedzenie smakowało inaczej i pościel była zimniejsza i też inaczej pachniała, żeby wsiąść do wielkiego, czarnego samochodu, prowadzonego przez mężczyznę z guzami na łysej czaszce, zwanego Julian, i po długiej jeździe drogą pomiędzy oliwnymi gajami zatrzymać się przed budynkiem z czerwonej cegły z korytarzami zamieszkanymi przez zakonnice, które nie stawiały stóp na ziemi, lecz sunęły ponad kamienną posadzką jak pióro popychane podmuchami wiatru i otwierały białe drzwi, za którymi leżała nieznajoma kobieta, z wilgotnymi włosami po obu stronach twarzy i z udręczonym spojrzeniem, moja matka. W jakiś niejasny sposób zauważałem, że minęło wiele czasu, odkąd ją widziałem po raz ostatni, że była chora, że o niej zapomniałem, ale podnosiła się na łóżku o białych i żółtych szczeblach i przytulałem się do niej, i chociaż jej piersi były tak samo miękkie, wydawały się cieplejsze i pachniały inaczej, tak jak pokój z belką, kiedy dawali zastrzyki mojemu ojcu, pachniały alkoholem i nieszczęściem, pachniały strachem, teraz to wiem, przerażeniem i szpitalem.

Nie ma przyczyn ani chronologii, ani stanów pośrednich. Leżąc u boku Nadii, nocą, o godzinie, której nie potrafię określić, bo nie mam ochoty odwracać się do stolika, na którym stoi zegar, na granicy pogrążenia się we śnie i całkowitego odzyskania świadomości, czuję to samo wszechogarniające rozleniwienie jak wtedy, gdy byłem chory i nie posyłano mnie do szkoły, i otulano mnie kołdrą aż po sam nos. Fotografie z kufra Ramira Portrecisty włączają się w moje sny jak obrazy z filmu, który oglądałem, zasypiając, nieruchome postacie, których

usta zaczynają się poruszać i niezauważalnie dla mnie przemawiają moim głosem, kiedy mówię do Nadii; oboje nie śpimy, wyczerpani bardziej, niż wyjaśniałoby to zmęczenie i pożądanie, jeszcze siebie szukamy, pieścimy się z delikatną rozwagą. Nigdy nie opowiadałem nikomu tak wiele o sobie, ile opowiadam jej, tak powoli, tak szczegółowo, z taką samą powolnością, z jaką moje palce rozchylają jej usta albo zagłębiają się w niej, albo zwilżają śliną jej sutki, chce wiedzieć o mnie to, o czym ja nawet nie myślałem, i wtedy po raz pierwszy w życiu zdaję sobie sprawę, że opowiadam, a nie słucham, że opowiadam nie po to, żeby wymyślać albo ukryć samego siebie, tak jak wtedy, gdy Feliks i ja mieliśmy po sześć czy siedem lat i prosił mnie, żebym opowiadał mu historie, albo kiedy byłem sam w ogrodzie ojca i bawiłem się, godzinami głośno opowiadając przyszłe i nieprawdziwe życie, ale po to, żeby opowiedzieć to, czego być może do tej pory nie zrozumiałem, co ukryłem za głosami innych ludzi. Teraz godzinami słucham własnego głosu, opowiadającego Nadii, i odnoszę wrażenie, że słyszę bardzo stare nagranie albo że głos rozbrzmiewa – a ja nie wiem, skąd dochodzi – w słuchawkach kabiny tłumacza. Jestem, poprzez Nadię, świadkiem własnego opowiadania, to ona domaga się mojego głosu i ożywia go z tą samą żarliwą czułością, z jaką jej palce przebiegają po mojej skórze i z jaką kształtuje wokół mnie przestrzeń i czas, w której jesteśmy tylko my, a mimo to przepływają w niej wszystkie głosy i wszystkie obrazy naszego życia.

Myślę o ówczesnym zdumieniu, o bezbronnej niewinności, z jaką moje oczy postrzegały świat. Dzień jest przyprawiającą o zawrót głowy wiecznością światła na nasypach przy ulicy Fuente de las Risas, a kiedy nagle zapada noc, zapada na zawsze, wszystko wydarza się w terażniejszości bez przepowiedni ani wspomnień. Sam bawię się na ulicy, przed przymkniętymi drzwiami swego domu, i nagle unosi się z ziemi wilgotny chłód, a kiedy ojciec wróci z pola, przyniesie ze sobą pełnię nocy i zapach trawy. Pokazuje mi bliznę na szyi i opowiada, że został cięty szablą przez Maura na wojnie. Przebiegam pokoje w poszukiwaniu matki, która być może poszła do sklepu, a ponieważ jej nie znajduję, myślę przygnębiony i zrezygnowany, że już jej więcej nie zobaczę. Jestem razem z nią w ciemnej kinowej sali, nie w Maginie, lecz w stolicy prowincji, i na ekranie widzę ogromne twarze i ciała z odciętymi nogami, które mimo to spacerują. Widzę albo śnię o śpiącym małym dziecku, nagim, leżącym na owczej skórze, wąż przesuwają się w tunelu z piaskowca i dziecko przewraca się we śnie, a ja zamykam oczy, bo wiem, że wąż je ukąsi i że być może tym dzieckiem jestem ja sam. Matka rozmawia z sąsiadką, nagle przytula mnie do piersi i uderza w płacz, a sąsiadka wypowiada dwa słowa: kometa i koniec świata. Ojciec leży w łóżku, ma bardzo bladą twarz, bielszą niż poszewka poduszki, a na nocnej szafce stoją butelki z lekarstwami i małe tekturowe pudełeczka, które były wycinane, aż nabrały kształtów zwierzaków: psa z oklapniętymi uszami, osła z wielkim koszem, kota z podkreconymi wąsami. Bawię się w nie swoim domu i nagle ogarnia mnie tęsknota za matką, wiem, że nie przyjdzie, kiedy ją zawołam. Leżę w obcym łóżku, naprzeciwko szyb z firankami, za którymi jest pokój, który napawa mnie strachem: bardzo długi stół z błyszczącego drewna, a na nim gipsowy pies z wywalonym na brodę jęzorem, wokół stołu stoi sześć obitych zielonym materiałem krzesel, a mnie się wydaje, że siedzi na nich sześciu niewidzialnych ludzi. Unoszę głowę, słysząc czyjś głos, podchodzi do mnie matka, uśmiechnięta i zmieniona, sadza mnie sobie na kolanach i dotyka zimnymi rękoma mojej zalanej łzami twarzy. Przyszedł mężczyzna i usiadł u wezglowia łóżka, w którym leży ojciec, chociaż jest dzień, otwiera prawą dłoń, a na niej leży cukierek w zielonym papierku, a smak cukierka jest jeszcze bardziej zielony, ostry, bardzo intensywny, powietrze staje się świeże, kiedy wchodzi przez nos. Jest dzień i nagle zapada noc. Jestem w pokoju belki i jacyś mężczyźni wnoszą meble, podając je sobie przez okno, a potem stoję na naszym podwórku przy Fuente de las Risas i patrzę na rząd czerwonych mrówek wspinających się na pień granatowca. Ziarenka granatu są czerwone jak główki

mrówek. Liście figowca puszcza białe i piękne mleczko, palące mi oczy, kiedy pocieram je poplamionymi rękoma. Bawię się na ulicy gumowym Indianinem, którego matka miała w kieszeni fartucha, gdy pojawiła się w drzwiach, w których sekundę wcześniej jej nie było, cień kogoś nieznanego pochyla się nade mną, a potem twarz, i już nie mam Indianina. Widzę wymizerowanego chłopca, stoi przede mną, z wielkimi oczyma i łysą głową, w fartuchu takim samym jak mój. Moja matka rozmawia z jego matką, która ma sinoczerwone kolana pod rąbkiem spódnicy, i mówi: „To jest Feliks, na pewno będziecie przyjaciółmi”. Widzę puszkę z rysunkami mostów i kobiet z parasolkami, uczesanych w kok, a otworzywszy ją, odkrywam skarb, pliki banknotów, a trochę głębiej, w szafie, natrafiam na pas i skórzany futerał w kształcie pistoletu, otwieram go, ale jest pusty. Widzę kartonowego konia, mającego wielkie i spokojne oczy, jak ten chłopiec o imieniu Feliks, i kiedy podchodzę, żeby go dotknąć, ktoś krzyczy żartem, „uwważaj, bo ugryzie!”, odsuwam rękę i słyszę głośny śmiech babci Leonor, który później powtarza się we śnie. Zgasło światło, kiedy wchodziłem po schodach, a głos z dołu, jednego z moich wujków, szepcze: *Oj, mamusiu, mamusiu, mamusiu, kto to może być, cicho, córeczko, córeczko, córeczko, już sobie idzie*. We śnie babcia Leonor i sąsiadki z ulicy śmieją się bez ustanku na placu Świętego Wawrzyńca i stają się coraz mniejsze i grubsze, i mają coraz większe usta. Budzę się i nie ma nic w ciemności. To samo widziała kobieta, którą zamurowali w Casa de las Torres. Stoję w ciemności, bardzo wysoko, na stole, do mojej piersi przylega szyba tak lodowata jak okienne szyby w zimie. Wyciągam ręce i nie ma nic, ani u góry, ani na dole, ani dnia, ani nocy. Jakaś ręka dotyka mojej ręki i słyszę głosy matki i babci, które rozmawiają z kimś, jakbym spał, i wypowiadają słowo, którego nie rozumiem i którego bardzo się boję: rentgen. Teraz jest tyle światła, że muszę zamknąć oczy, mężczyzna w białym kitlu, który nie pachnie jak mężczyźni z mojej rodziny, patrzy na mnie, wokół głowy ma gumowy pasek, a na czole okrągłe lusterko, w którym widzę odbicie swojej buzi. Czuję chłód w piersiach, a czasem wielkie gorąco i pragnienie, pragnienie tak wielkie, że nie pozwala odlepić języka od podniebienia i poprosić o wodę. Matka trzyma mnie w ramionach, stoi tuż obok drzwi z zamalowanymi na biało szybami, kobieta ubrana na biało uśmiecha się i coś do mnie mówi, a ja wiem, że mnie okłamuje, wyrwa mnie z ramion matki i zanosi do pokoju po drugiej stronie szyb, gdzie jest lekarz z tym szklanym czy metalowym lusterkiem na czole, które wygląda jak ogromne oko. Na nieużytkach przy Fuente de las Risas Feliks i ja kopujemy w wilgotnej i gliniastej ziemi w poszukiwaniu skrzydlatych mrówek. Wzlatują i błyszczą w złocistobłękitnym powietrzu jak okruchy szkła. Matka prowadzi mnie za rękę, a ja nie wiem dokąd, i umieram ze strachu. Na wystawie jest zabawka – wóz z czterema zielonymi końmi i żołnierzem trzymającym bat. Słyszałem, że przed moim narodzeniem w Maginie jeździł wóz zmarłych, ciągnięty przez konie, i że woźnica batem popędzał je do galopu. Nazwa tego wozu napawała mnie większym strachem niż słowo suchotnik albo szpital: Makanka. Mam na ręku malutkiego i jasnego kotka, który bawił się ze mną pod stołem, podczas gdy starsi rozmawiali wysoko ponad nami, nie widziany przez nikogo zamykam go w szufladzie z nożami, łyżkami i machiną z czerwoną rączką służącą do ubijania jajek, której czasem używam jako broni, takiej jak widziana w filmach. Matka ciągnie mnie po bardzo długim korytarzu, moja spocona dłoń wymyka się z jej dłoni i staję pomiędzy dwiema terakotowymi płytkami, jedna noga na płytce białej, druga na czarnej. Nie wiem, gdzie jestem, ale nie w Maginie, i coś się ze mną stanie. Na podwórku domu, gdzie piętrzą się koła samochodów, Feliks pochłania garście ciemnej ziemi. Ziemia jest gorzka i rozplywa się w ustach tak samo jak czekolada z obrazkiem Najświętszej Pani. Pod kolorowym opakowaniem czasem znajduję obrazki z przygodami albo z artystami filmowymi, mocno pachnące kakao. Otwieram szuflady, są puste. Otwieram szuflady wyściełane żółtymi stronami z gazet. Lubię otwierać szuflady i gmerać pod złożonymi ubraniami w poszukiwaniu fotografii. Matka mówi, że ten mężczyzna o siwych włosach, który siedzi na schodach i głaszcze psa, był jej dziadkiem; jakie to dziwne, ona nie jest małą

dziewczynką i ma albo miała dziadka, tak jak ja, a gdzie on teraz jest, pytam, a ona nie chce odpowiedzieć. Czasem starsi milkną i nie chcą odpowiadać na pytania. Otwieram szufladę, kot ze zjeżoną sierścią skacze na mnie i drapie mi ręce i twarz, widzę wszystko na czerwono, tak jak wtedy, gdy chowam się za czerwoną zasłoną w pokoju rodziców i nie odpowiadam, kiedy mnie wołają. Jestem przywiązany pasami do fotela i mężczyzna z lusterkiem przytrzymuje pod moimi ustami miseczkę pełną krwi. Ziemia, na której siedzimy z Feliksem, kiedy jemy piasek, jest zimna i wilgotna, i wiem, że niebawem zapalą się światła i będzie noc, i usłyszymy trąbkę z koszar. Kiedy ziemia staje się zimna i pachnie dymem, przyjeżdża ojciec na mule i wtedy jest noc. Czasem noc jest większa i niebieska i w górze pojawia się księżyc, a także w wodzie w studniach. W niebieskie noce widać z nasypów światła drżące w oddali, słycać głosy i muzykę z letniego kina, a na niebie jest biała droga i żółty księżyc nad dachami wydaje się twarzą. Leżę wyciągnięty na łóżku, otwieram oczy i nie wiem, gdzie jestem, a na nocnej szafce obok mnie stoi powóz z żołnierzem trzymającym bat. Blisko mnie jakiś głos mówi: „Już się budzi z narkozy” i czuję, że myślę o ostatnim słowie mającym zapach szpitala i gorzki smak lekarstwa. Kiedy chce mi się spać, matka mawia, chodź do kina z białym prześcieradłem, i ja jej wierzę, bo myślę o białym i pustym prześcieradle wiszącym przed nami, kiedy jeszcze nie zgasły światła. W kinie wszyscy siedzą cicho i pachnie delikatnym czerwonym obiciem foteli albo pestkami słonecznika, albo nocnymi zalotnikami, i nic nie widać na ekranie, który jest białym prześcieradłem. Potem na ekranie jest dzień, a trochę wyżej i dookoła letnia noc, nad którą wisi nieruchomo twarz księżycy, podobna do twarzy mojej matki. Mówią operacja, mówią szpital, mówią sanatorium, prostata, penicylina, rentgen, narkoza. Nogi z czarnymi kolanówkami matki Feliksa pojawiają się obok nas, jej ręka z żalobną opaską na rękawie podnosi go z ziemi i uderza w twarz, otwarta buzia Feliksa pełna jest śliny, ziemi i smarków. Wypowiadają słowa, które stopniowo zaczynam rozpoznawać i rozumieć, choć czasem mają niewiarygodne znaczenie, mówią „zabijać czas”, a ja wyobrażam sobie zgarbionego człowieka dźgającego nożem ciemność, mówią „gwiazda filmowa” i widzę pogrążoną w ciemności salę i przecinający ją ukośnie promień światła, jak spadające gwiazdy w letnie noce, mówią „przewrócić dom do góry nogami” i widzę nasz dom na ulicy Fuente de las Risas i ojca, który obdarzony herkulesową siłą chwyta dom, przewraca go do góry nogami i rzuca na ulicę, gdzie rozbija się o kamienie z brzękiem tłuczonego szkła i gruchotem miażdżonych dachówek. Rozmawiają między sobą, opowiadają, nigdy nie przestają opowiadać, dziadek Manuel sadza mnie sobie na kolanach, przy ogniu, zdejmuje beret i jego łysina lśni w świetle jak brzuch dzbana, uśmiecha się do mnie i mówi, chcesz, żebym ci opowiedział najwspanialszą bajkę, gdzie koty dostają fujarkę samograjkę, ja mu odpowiadam, że tak albo że nie, a on powtarza to samo, aż jestem zupełnie wyczerpany, nie chciałem, żebyś mi powiedział tak albo nie, pytałem, czy chcesz, żebym ci opowiedział najwspanialszą bajkę, gdzie koty dostają fujarkę samograjkę, albo wpatruje się we mnie zamyślony i mówi, dobra, stary, dobra, a więc jesteś strażnikiem bobra, a kiedy mu odpowiadam, że nie, powtarza, dobra, stary, dobra, a ja myślałem, że to ty jesteś strażnikiem bobra. Słuję głosy, słyszę je o każdej porze w radiu, wydobywające się nie wiadomo skąd, z wnętrza aparatu, wspina się na krzesło, żeby zobaczyć odbiornik, i staram się zajrzeć w tę szparę, przez którą wieczorami sączy się zielone światło, chcąc odkryć, kto się czai w środku, jak to możliwe, że wystarczy trochę pokręcić potencjometrem, żeby następowały po sobie głosy mężczyzn i kobiet, piosenki, których czasem nie można zrozumieć, jak komunikaty zagranicznych rozgłośni, przygody na południowych morzach albo na ulicach Paryża, żeby szum morza brzmiał głośniejsz niż we wnętrzu muszli, i deszcz, i wiatr, i huk pioruna, żeby parskały i galopowały konie, i wyły wilki jak w historiach, które opowiada mi dziadek. Słyszę głosy, przyporządkowuję im twarze, słyszę morze i widzę je, ma taki sam oleisty i błyszczący, niebieski kolor jak w filmach, już na zawsze będzie mi się on bardziej podobał niż kolor prawdziwych oceanów, słyszę nazwy miast i imiona kobiet, wzrusza mnie smutna i

jednoczesna miłość do nich wszystkich, płyty dedykowane najpiękniejszej pannie z Maginy przez jej narzeczonego, chłopcu Paquito Puga w dniu jego Pierwszej Komunii, słyszę piski i szelesty podobne do tych, jakie rozlegają się w pustym kościele, i rozróżniam niezrozumiałe słowa w obcych językach, które moją babcię doprowadzają do łez ze śmiechu, patrzcie no, jak dziwnie gadają ci ludzie, a jak wyraźnie i dokładnie mówimy my, uczę się dostrzegać ironię w głosie babci Leonor oraz strach i czułość w głosie matki, która budzi mnie co rano, śpiewając mi romance i piosenki Conchy Piquer i czarnego Machina, podczas gdy myje podłogi i ścieli łóżka w przyległej sypialni, otwieram oczy, słucham jej głosu, który słyszałem już podczas ostatnich minut snu, wiem, że kiedy wejdzie do mojego pokoju, rozsunie zasłony i powie, potrząsając mną delikatnie, w kwietniu bardzo dobrze śpię, a w maju już nie, a z balkonu dociera światło żółte od pyłków i trzepotanie jaskółczych skrzydeł. Słyszę głosy dziewczynek na ulicy, nawoływanie przechodzących domokrażców, łacińskie słowa rozbrzmiewające we wklęsłym i zimnym półmroku kościoła, odkrywam, że głosy mogą też brzmieć w ciszy, leżę wyciągnięty na łóżku w ciemności i wyobrażam sobie, że słucham własnego głosu opowiadającego mi historię, którą usłyszałem od dziadka, albo że powtarza się straszliwa litania matki i córki nasłuchujących kroków mordercy albo Ciotki Żerochłopki, tej ogromnej kobiety ubranej w łachmany, krążącej po ciemnych zaułkach miasta w pierwsze letnie noce:

*Jam jest Ciotka Żerochłopka,
córka króla Baltazara,
temu, kto usłyszy, jak śpiewam,
dzień i noc Świętego Jana
żyć tylko dam.*

Zatykam uszy, tak bardzo się boję tej piosenki, ale nocna bezsenność pełna jest szumów wydających się słowami szeptanymi w obcym języku, chowam się pod kołdrą, wciskam głowę pod poduszkę, słyszę swoje tętno i oddech, wyobrażam sobie, że jestem tym śpiącym dzieckiem, które ukąsi wąż, że słyszę kroki kogoś, kto mnie szuka, i nie mogę otworzyć ust, żeby zawołać rodziców, w ulicznej ciszy trwa echo ostatnich piosenek, śpiewanych przez dziewczynki przed pójściem do domu, ach jak bardzo się boję tu przechodzić, bo jeśli słyszy mnie mumia? Kiedy wychodzimy z domu babci Leonor i prawie śpię w ramionach ojca, patrzę na mroczny kształt Casa de las Torres, na wielką zamkniętą bramę i jego puste okna, i myślę o duchu kobiety, którą pochowano żywcem, kiedy wspinamy się pod górę ulicą Pozo, w kierunku Altozano (zasłonięto mi usta wehnianym szalikiem, a kurtka i ręce ojca pachną tytoniem, wilgotną ziemią i zżętą trawą), słyszę zbliżające się kroki i uderzenia laski, które zmuszają mnie do zamknięcia oczu, tak jak wtedy, gdy przewiduję jakiś koszmar, bo wiem, że kiedy je otworzę, zobaczę na chodniku tego niewidomego mężczyznę w wielkim płaszczu i w czarnych okularach, który idzie, dotykając wyciągniętą ręką ścian domów. Potem Feliks prosi, żebym mu opowiedział jakąś straszną historię, gdy siedzimy na schodach jego domu, patrząc na brutalne zabawy innych dzieci, i opowiadam mu o zamurowanej kobiecie i o ślepcu, któremu strzelono w oczy dwoma pociskami z soli, i o dziecku, które śpi, nieświadome, że zbliża się do niego wąż. Zawsze chce, żebym opowiedział więcej, kiedy więc kończą mi się historie, które słyszałem od dziadka, wymyślam coraz to nowe perypetie, przypominając sobie filmy i ilustracje książkowe; odkryłem, że książki pełne są liter i cichych głosów, wiem to, bo dziadek otwiera od czasu do czasu wielki tom, który przechowuje w szafie zegara, i wtedy jest tak, jakby unosił wieko kufra wypełnionego po brzegi słowami. Książka ma nadpalone kartki, a dziadek wyjaśnia z dumą, że uratował ją z ogniska, do którego milicjanci wrzucili wszystkie książki i meble z majątku, w którym pracował, kiedy wybuchła wojna. „Też sobie wymyśliłeś” – mówi babcia Leonor – „mało brakowało i ciebie też wrzuciliby do ognia”. Kiedy jestem sam, biorę książkę i kładę ją na stole tak samo jak

dziadek, żeby przewracać strony, przesuwam wzdłuż linijek palcem wskazującym prawej dłoni, wyszukuję ilustracje, które robią na mnie większe wrażenie niż obrazy z filmów, stare samochody z zapalonymi światłami pędzące szosą na krawędzi przepaści, kobiety w futrach i kapeluszach z piórami, złe, z wykrzywionymi twarzami i orlimi nosami, trzymają rewolwery. Mówię cicho do Nadii, patrzę na wiszącą przed nami reprodukcję *Jeździec polskiego* i choć wiem, że to niemożliwe, odnoszę wrażenie, że już ją widziałem dawniej, niż mi się wydaje, na jednej ze stron książki z przypalonymi brzegami, czytanej przez dziadka Manuela, to samo wrażenie przeżywania przygody, marzenia, daleka i podróż w ciemności górską ścieżką, dziadek przechodzący przez góry Maginy w burzową noc, rozbrzmiewającą wilczym wyciem i parsaniem jankoni, Michał Strogow ścigany przez Tatarów w pierwszej książce, jaką mi kupili, kiedy nauczyłem się czytać, ojciec konno wracający z pola, kiedy zapalono już światła, i pojawiający się na rogu ulicy Fuente de las Risas. Zostawiam Feliksa, biegnę do niego, zeskakuje z siodła, podnosi mnie w górę, czuję szorstką brodę, kiedy mnie całuje, unosi mnie jeszcze trochę i sadza na jukach, boję się i kręci mi się w głowie, o mało nie spadam, jestem niezdarą i on na pewno wie o tym od dnia moich urodzin, przerażają mnie zwierzęta, nawet jaszczurki, ale ojciec mnie przytrzymuje i daje mi wodze do ręki, wtedy ja też jestem jeźdźcem i wyobrażam sobie, że galopuję jak w filmie, ścigany przez Indian, macham Feliksowi na pożegnanie, bardzo szybko, żeby nie spaść na ziemię.

Właśnie w tej chwili, kiedy mówię do Nadii, podczas gdy słowa cisną mi się na usta tak mimowolnie, bezustannie i tak nieuporządkowane jak obrazy ze snu, jawi mi się zagubione i nietknięte wspomnienie, właściwie nie wspomnienie, ale coś bardziej materialnego i wszechogarniającego, wrażenie, że jadę na koniu, siedząc za ojcem, obejmując go w pasie, przytulając się, bo mi tak kazał, nogi i pięty ściskają końskie boki, czuję się niesiony i chroniony jego siłą, zostawiając za sobą ostatnie kamieniste zbocza Maginy i zjeżdżając drogą pomiędzy jasnozielonymi polami pszenicy i stulizy; jadę z nim i wyobrażam sobie, że jedziemy naprzeciw przygodzie z książek, wiem, że mam osiem czy dziewięć lat i że niebawem zostawimy dom przy Fuente de las Risas i zamieszkamy z dziadkami na placu Świętego Wawrzyńca, widziałem ojca zamyślonego nocami nad kartką papieru, na której nieskończenie piętrzą się liczby, słyszałem, jak mówili o przeprowadzce, o ziemi i o tysiącach peset, i wiedziałem, że coś ma się nam przydarzyć, coś znacznie ważniejszego niż pojawienie się radia albo gazowej kuchenki. Schodzimy drogą w dół, ojciec zatrzymuje konia przy małym domku z zawalonym dachem, zeskakuje, wyciąga do mnie ręce i mówi, żebym skoczył, nie mam odwagi, widzę niezadowolenie malujące się na jego twarzy, pomaga mi zejść, przywiązuje konia do pnia suchej topoli. Dom jest w ruinie, ścieżka i rowy melioracyjne zarośnięte zielskiem, ciemnozielona woda w zbiorniku ledwie widoczna pod glonami i sitowiem. Za porzuconymi grządkami ogrodu rozciągają się gaje oliwne, schodzące aż do brzegu rzeki, i w popołudniowym słońcu drży czysty błękit Sierry. Ojciec zapala papierosa, obejmuje mnie prawym ramieniem i prowadzi przez cieniste ścieżki pod koronami figowców, które, poruszone lekkim wiatrem, roją się od rozkrzyczanego ptactwa. Teraz pamiętam, w jaki sposób kroczył po tej opuszczonej ziemi, skrywany entuzjazm, z jakim wyrwał chwasty i ściskał w dłoni grudy przylegające do korzeni, kucał, z papierosem w ustach, spoglądając na mnie z uśmiechem szczęścia, namiętności i niewinności, którego nigdy wcześniej nie widziałem na jego ustach ani w jego oczach; miał trzydzieści dwa albo trzydzieści trzy lata, gęste, prawie siwe włosy podkreślały młodość jego lekko brązowej twarzy. Może gdybym nie zobaczył w kufrze Ramira Portrecisty fotografii, które mu zrobił przed moim urodzeniem, nie potrafiłbym przypomnieć sobie teraz wyrazu jego twarzy ani zrozumieć, że tamtego dnia, chodząc po kupionej przez siebie ziemi i spulchniając ją własnymi rękoma, pozwalając jej przesypywać się pomiędzy palcami, dotykał samej istoty największego marzenia swego życia.

II

Jeździec w burzy

MOGĘ TERAZ BEZKARNIE WYMYŚLIĆ, powodowany czułością i tęsknotą, jedno z tych fałszywych, ale nie niemożliwych wspomnień, nie bardziej umownych niż prawdziwe, dopiero teraz zrozumiałem, że moje wspomnienia należą do mnie nie dlatego, że je wybrałem, albo dlatego, że przechowuję w nich załączek mego przyszłego życia, lecz dlatego, że bez żadnej przyczyny trwały, unosząc się na ciemnych wodach rzeki zapomnienia. Do tej chwili myślałem, że na przechowywanie wspomnień wpływa zarówno przypadek, jak i swego rodzaju świadomość biograficzna. Stopniowo, odkąd zobaczyłem niezliczone zdjęcia Ramira Portrecisty i zacząłem wchłaniać twarz, głos i wspomnienia Nadii, podobnie jak biały i pusty brystol zanurzony w kuwecie z wywoływaczem wypełnia się szarymi cieniami i blaskami świata, zacząłem też rozumieć, że w niemal wszystkich pospolitych wspomnieniach kryje się podszept kłamstwa, że są zaledwie dowolnie wybranymi resztkami tego, co przechowałem jako trofea czy relikwie – że niemal nic z tego, co się wydarzyło, nie było takie, jak myślałem, jakby ktoś w środku mnie, jakiś nieuczciwy archiwista, jakiś ukryty i cierpliwy opowiadacz, wytrwały łgarz, opowiadał mi moje życie.

Jeszcze mnie poraża bezmiar zapomnienia, ogrom tego, czego nie wiedziałem, nie o innych, żywych i martwych, lecz o mnie samym, o moim głosie i twarzy w odległej przeszłości, w ostatnich dniach pierwszej połowy mojego życia, kiedy tchórzliwie i bojaźliwie wierzyłem, że stoję na upragnionym progu przyszłości, która była fałszywa i też się skończyła. Teraz jednak ostrożnie udzielam sobie przywileju wymyślania wspomnień, jakie powinienem mieć, jakich nie potrafiłem zdobyć albo przechować, omamiony błędem, głupotą, brakiem doświadczenia, unicestwiający i szukający usprawiedliwień pragnieniem nieszczęścia, a nawet przyczyną wyboru literackiej wersji namiętności. Spytałem Nadię: Dlaczego nie spotkaliśmy się wtedy, kiedy nic nas jeszcze nie zniszczyło ani nie upodliło, kiedy jeszcze nie splamiło nas cierpienie? Jednak prawdę mówiąc, nie chcę zmieniać biegu czasu u źródła, jedynie zebrać kilka obrazów, które może nie są całkowicie fałszywe i być może przez ułamki sekund zatrzymały się w mej siatkówce i choć nie zdołały dotrzeć do świadomości, jednak trwają gdzieś we mnie, w najgłębszych ciemnych zakamarkach zapomnienia, oznajmiając mi, że to, co ja uważam za zmyślane, w rzeczywistości jest nietkniętą pamięcią, tak więc skoro wyobrażam sobie teraz poranek sprzed osiemnastu lat, kiedy to ujrzałem ją, gdy przechodziła wraz z ojcem przez przeszkłone drzwi baru Martos, pod światło, i kroczyła po świetlistej plamie skrzęcej się na posadzce i niemal wcale nie rozjaśniającej półmroku, w którym moi koledzy i ja słuchaliśmy piosenki Jima Morrisona albo Johna Lennona, albo Rolling Stonesów z szafy grającej, skoro nie potrafię dostrzec jej twarzy, lecz olśniewający kosmyk rudawych włosów, skoro przypisuję sobie zaciekawienie i zdumienie, jakie wtedy zawsze budzili w nas obcokrajowcy, być może działam jak jasnowidz przewidujący własną przeszłość i dlatego ogarnia mnie prawdziwe wzruszenie, z jakiego już dawno zostały odarte te wspomnienia, co do których nie mam pewności, że są prawdziwe.

Mogło się zdarzyć tak, że byłem tam w dniu ich przyjazdu, bo znaczną część swego życia spędzałem w Martosie, słuchając zagranicznych płyt, popijając piwo z konieczną powolnością, żeby trwało to jak najdłużej, paląc papierosy, z Martinem i Serrano, czasem z Feliksem, który cicho pogwizdywał jakąś dziwną melodię i wyglądał, jakby składał oficjalną

wizytę, opieraliśmy się o wilgotną ścianę, przymykając oczy, aby uczynić bardziej intensywnym niemal narkotyczny trans, w jaki wprawiało nas piwo, dym i muzyka, patrzyliśmy przez szyby na przechodzące kobiety, na podróżnych właśnie przybyłych autobusem z Madrytu (pojazd nazywano Gamonem, bo taki był powolny), na tych, którzy za chwilę mieli odjechać i wchodzili do Martosa, żeby kupić papierosy albo wypić kawę, podekscytowani, jak sobie wyobrażaliśmy, podróżą, nerwowi, rzucali okiem na zegarek i obserwowali kierowcę rozmawiającego z właścicielem w kącie baru, a gdy było mniej więcej za pięć wpół do czwartej i musieliśmy już wracać do szkoły, kierowca po raz ostatni zaciągał się papierosem, zacierał ręce i mówił głośno „jedziemy”, a ja myślałem, gdybym tylko mógł...

W owym czasie w Maginie jeszcze zwracał uwagę przyjazd obcych, nie dlatego, że wszyscy się znaliśmy, na północy miasta bowiem wyrosły pierwsze osiedla domków z małymi podwórkami, pojawiły się brukowane ulice, a potem bloki z garażami, kawiarniami na parterze i z windami, do których wchodziliśmy czasem, kiedy szliśmy do lekarza, a które nieodmiennie przyprawiły nas o klaustrofobię i tłumione przerażenie. Obcych rozpoznawało się bez wahania, mam na myśli nie tylko pojedynczych turystów w krótkich spodenkach i z aparatem fotograficznym na szyi, wykorzystywanych do portretowania osłów z wielkimi koszami przewieszonymi przez grzbiet i starych pałaców, które nam zdawały się nędzne i w których nie chcieliby mieszkać nawet Cyganie z ulicy Cotrina. Jeszcze przed kilkoma laty para turystów na ulicy prowokowała wrzawę dzieciaków i trzask otwieranych okien, ludzie chcieli się przyjrzeć tym postaciom nie tyle egzotycznym, ile dziwnym, kobietom o bladych twarzach, z tlenionymi włosami i spiczastymi okularami przeciwsłonecznymi, starszym mężczyznom z białawymi i włochatymi nogami wystawionymi na publiczny widok w krótkich spodenkach o jaskrawych kolorach, w kwiecistych rozpiętych na piersiach koszulach, które tubylcom zdawały się bardziej pasować do klaunów, pedałów albo idiotów zatrzymanych w rozwoju niż do osób przy zdrowych zmysłach.

Czasem w dzielnicy Świętego Wawrzyńca albo na Fuente de las Risas, gdzie jeszcze można było spotkać rozwrzeszczane bandy dzieciaków prowadzące zaciekle wojny na kamienie, para turystów umykała przed cichą i wrogą ciekawością, która niewątpliwie przekształcała się w prześladowanie. Ale wraz z upływem czasu miasto zaczęło się przyzwyczajać do przybyszów, częściowo dlatego, że pojawiali się coraz częściej, a częściowo dlatego, że egzotyka ich zachowania, strojów i samochodowych rejestracji rozmywała się w stopniowych zmianach wszystkich rzeczy, co tylko starszym wydawało się niepokojące albo nawet groźne. Byli turyści, tak samo jak wszędzie i o każdej porze pełno było samochodów, telewizorów, świateł drogowych, wielkich kurczaków, kuchenek gazowych, serwisów z duraleksu, piosenkarzy o długich włosach i kobiecych gestach, taki ponoć był syn-włóczęga inspektora Florencia Péreza, basenów z olimpijskimi trampolinami, koszul, które się nie gnioły, budynków o ośmiu, a nawet dziesięciu piętrach i automatów do sprzedaży papierosów i paczek z ziarnami słonecznika, co dla niejednego było oznaką, że żyjemy w świecie zautomatyzowanym, w którym całkiem niedługo roboty zastąpią ludzi.

Jednak obcych nadal odróżniało się z łatwością, choćby nie mieli blond włosów, nie nosili na szyi aparatów ani nie wkładali absurdalnie krótkich spodni. Nie trzeba było nawet słyszeć, jak wymawiają wszystkie „s” na końcu wyrazów; po prostu rozpoznawano ich po twarzach, bo można było mieć twarz „nie z Maginy”, tak samo jak można było mieć twarz człowieka chorego albo pijanego, szybko też przypisywano im wyimaginowane biografie i nieprzeliczone fortuny, być może z powodu niejasnego poczucia niższości, które skłaniało nas do myślenia, że poza naszą doliną i podwójną granicą Gwadalkiwiru i Gwadalimaru rozciąga się bezkresny i szczęśliwy świat, zakazany niemal dla nas wszystkich, chyba że szczęście

będzie towarzyszyć naszej zuchwałości albo zgodzimy się wykonywać podrzędne prace, nie zawsze gorsze czy gorzej płatne niż te tutaj. Mojemu ojcu chodziła po głowie sprzedaż ziemi i gajów oliwnych i wyjazd do Benidorm albo do Palma de Mallorca, gdzie – jak mu się zdawało – mógł dostać pracę jako ogrodnik w jakimś hotelu. Ja robiłbym za chłopca hotelowego, mówił, i w krótkim czasie, z moimi zdolnościami do języków, udoskonaliwszy pisanie na maszynie dziesięcioma palcami i bez patrzenia na papier, awansowałbym na *maître*, choć nie znał znaczenia tego słowa, wymawiał je z nabożną czcią, bo któryś z rynkowych bywalców powiedział mu, że być *maître* w dzisiejszych czasach znaczy więcej, niż być inżynierem czy lekarzem, i do tego nie trzeba tracić młodości i niszczyć wzroku studiami w stolicy. Opowiadał mi o ludziach, którzy od nadmiaru nauki zapadali na ciężką chorobę i kończyli, przyglądając się muchom latającym w wyłożonych białymi kafelkami celach domu wariatów. Wspominał przyjaciół i krewnych, którzy wyjechali do Madrytu, Sabadell albo Bilbao, kiedy on był młody, a teraz mieszkali w mieszkaniach z centralnym ogrzewaniem i łazienką, mieli opłacone ubezpieczenie i czasem wracali do Maginy własnymi samochodami. Z podziwem i tęsknotą mówił o swym kuzynie Rafaelu, który był jego najlepszym i chyba jedynym przyjacielem, zanim wkroczyli w wiek dorosły, i który teraz, dwadzieścia lat po swej ucieczce przed głodem i niewolniczą pracą w polu, był kierowcą autobusu w Madrycie.

Miał jednak gorzką świadomość tego, jak trudno odnieść sukces poza Maginą. Oprócz kuzyna Rafaela i kilku innych zwykle ludzie powracający podczas wakacji z próżności albo wstydu udawali, że zajmują pozycję, jakiej nigdy nie osiągnęli, i zadłużali się, żeby przywieźć prezenty dla rodziny i wynająć wielkie samochody, których mienili się właścicielami – tak naprawdę sukces odniósł tylko jeden człowiek, Rzeźnik, toreador, bardziej ze względu na swą sztukę niż odwagę, jak zauważał dziadek, chłopak, który w ciągu kilku lat przeszedł od mierzenia się z bykiem na wiejskim placu do defilowania po udanej korridzie na Las Ventas w Madrycie i którego ojciec podziwiał jeszcze bardziej, bo był synem rzeźnika mającego na rynku swój stragan naprzeciwko jego straganu, tak więc znał go od urodzenia i chełpił się tym, że zna kogoś sławnego, i dodawał, że od małego interesował się korridą. Teraz zdjęcie Rzeźnika pojawiała się na okładce „Dígame” – miał podłużną twarz o ponurym, zamyślnym wyrazie, jak słynny Manolete – i czasem wpadał do Maginy, na pasaż León, na ulicę Nową, na plac generała Orduña, prowadząc białego mercedesa cabrio, w którym z daleka widać było powiewającą na wietrze grzywę blond włosów, bez cienia wątpliwości należących do jakiejś nietutejszej kobiety, z którą można go było zobaczyć w południe na tarasie Monterrey, kawiarni z aluminiowym barem i ścianami obitymi niebieską tapiserią, otwartej niedawno w podcieniach, gdzie – jak się nam zdawało – mogli bywać tylko bogacze, obcy i blond kobiety, które paliły papierosy i siadały, zakładając nogę na nogę i odkrywając uda.

Szliśmy do szkoły i dostrzegając je z daleka w ukośnej plamie słońca, przedłużającej cień generała aż do kamiennych płyt podcieni, zrazu traciliśmy dech w piersiach, a zapowiedź nagich kobiecych nóg przyprawiała nas o gwałtowny atak poczucia krzywdy. Kobiety w wielkich, ciemnych okularach, w chustkach opasujących czoła niczym diadem, z ustami pomalowanymi na czerwono, fioletowo, różowo, z zegarkami wielkimi jak zegarki mężczyzn – nie mikroskopijne zegareczki zatopione w tłustych nadgarstkach kobiet, jakie znaleźliśmy – lecz z szerokim paskiem z czarnej skóry, wedle mody, która okazała się chwilowa, ale nam zdawała się oznaką egzotyki i śmiałości. Paliły bardzo długie papierosy z filtrem, trzymając je delikatnie swymi długimi upierścienionymi palcami o czerwonych, owalnych paznokciach, też bardzo długich, jak wszystko u nich – uda, gładkie farbowane włosy, ręce, papierosy, nawet uśmiechy, głośny śmiech zsynchronizowany z migotaniem lodu w szklankach i bransoletek na ich chudych, kruchych nadgarstkach, wystające kostki nóg, na których czasem

skrzył się cienki złoty łańcuszek, podbicie stopy dopasowujące się ściśle do lakierowanych obcasów.

Przy metalowych stolikach Monterrey, o krok od mężczyzn w ciemnych welwetowych ubraniach, którzy cierpliwie spoglądali w niebo, wyczekując deszczu, i na pomnik generała, i na zegar na wieży, zdawały się spowite luksusową ospałością i whisky, napitkiem, który w owym czasie znaleźliśmy tylko z filmów o Dzikim Zachodzie, a gdy przechodziliśmy obok nich, ze spuszczoneymi głowami, z zeszytami pod pachą, chłopcy o spojrzeniach przyćmionych pożądaniem i twarzach przydymionych miękkim zarostem, nigdy nie widzieliśmy ich oczu, ukrytych za przeciwsłonecznymi okularami, a tylko rysy ostre jak u sfinksa, usta zaciśnięte i zimne, obejmujące szkło kieliszka albo filtr papierosa, który nie tylko pachniał jasnym tytoniem i pieniędzmi, ale też mydłem kąpielowym i skórą nie zniszczoną pracą ani słońcem, wyłożoną rozleniwieniem na nadmorskich piaskach, na tych plażach, które widywaliśmy w filmach w technicolorze i których większość z nas nigdy nie odwiedziła; nawet morze cieszyło się wtedy na naszej suchej ziemi prestiżem nowego wynalazku.

Wiedzieliśmy, że nie były tutejsze, nie tylko dlatego, że paliły przy wszystkich i przesiadywały na tarasie Monterrey, ale też dlatego, że ich ciała zdawały się zrobione według innej skali, innej miary długości i wspaniałości, nieosiągalnej dla kobiet z Maginy, emanowało z nich zubożenie i tymczasowość, prowokacyjność i przygoda, jak w przypadku kobiet z filmów i z zagranicznych pism poświęconych modzie, kupowanych przez matki niektórych naszych kolegów. To, że ktoś z Maginy, Rzeźnik, zadawał się z nimi, że je pokazywał jak trofea ułożone na cielęcej skórze siedzeń białego mercedesa, zdawało nam się w jakiś niejasny sposób czymś w rodzaju seksualnego i klasowego zadośćuczynienia, tak więc nie patrzyliśmy na niego z zawiścią, ale z dumą, niemal z takim samym podekscytowaniem, z jakim słuchaliśmy letnim wieczorem huku wybuchów oznajmiających liczbę uszu odciętych przez niego podczas korridy. Ludzie zatrzymywali się na ulicy i klaskali w dłonie, a pewnego pamiętnego wieczora wystrzeliły cztery rakiety, a potem, po ciszy wypełnionej dymem i zapachem prochu, nagle zaskoczył wszystkich wielki grzmot, który wstrząsnął szybami w oknach: Rzeźnik w Maestranza odciął bykowi ogon i wyniesiono go na ramionach głównym wyjściem. W kościele Świętego Izydora proboszcz, don Estanislao, o pociągłej twarzy, kościsty jak stojąca na rynku figura Świętego Jana od Krzyża, wielki miłośnik korridy, przerwał mszę po usłyszeniu ostatniego sygnału i kiedy podziękował Bogu za sukces Rzeźnika, wierni, początkowo zbici z tropu, wzniesli niesłychaną owację, jak pisał Lorencito Quesada, korespondent „Singladury”, w felietonie, który trafił do rąk biskupa i kosztował entuzjastycznego kapłana karę, jaką nawet największe dewotki w Maginie uważały za przesadzoną.

Nie trzeba w ogóle pytać, myślano, od razu widać, że Jego Eminencja jest obcy i nie potrafi zrozumieć tego, co Lorencito Quesada nazwał żałośliwie *idiosynkrazją* naszego miasta, tak bardzo zaprzątniętego swym najwspanialszym toreadorem jak procesjami Wielkiego Tygodnia i rzemiosłem wyplatania z ostnicy i lepienia z gliny, niedawno upadłym w wyniku inwazji innych materiałów, kubków plastikowych i nietłukącego się szkła, Mágina – od XVI wieku tak bardzo cierpiąca na niedostatek sławnych ludzi i uznania w świecie, położona z dala od morza, od głównych dróg i ważnych linii kolejowych, izolowana pośród gajów oliwnych, jakby znajdowała się pośrodku oceanu, tak bezużytecznie piękna i tak wszystkim obojętna, że kiedy kręcono filmy na jej placach i w zaułkach, później w kinie pojawiała się pod inną nazwą. Nawet Rzeźnik nie mógł na dłużej uwolnić się od prześladowającego nas przekleństwa; po dwóch albo trzech sezonach sukcesów, podczas których nie było niedzieli bez odgłosów eksplozji oznajmiających liczbę odciętych przez niego uszu i nakładających się na bicie dzwonów, liczba jego korrid stopniowo topniała w takim samym tempie jak liczba wystrzałów i zaczęto mówić, że miał pecha do byków, że inni matadorzy, wspomagani przez nieuczciwych impresariów, kopali pod nim dołki, że wpadł w złe

towarzystwo i miał nielojalnych pełnomocników Ciągłe widywano go w białym mercedesie albo ubranego w jasny garnitur, z włosami lśniącymi od brylantyny, z długimi baczkami, rozpartego na krzesłach z błyszczącego aluminium w Monterrey, a blond kobiety paliły, siedząc obok niego, i trzymały w ręku długie szklanki ze złocistym płynem, ale w surowym wyrazie jego twarzy, wąskiej i zamyślanej, która coraz bardziej upodabniała się do oblicza Manolete, znać było teraz, opowiadano, wieczną gorycz, być może rozczarowanie albo zmęczenie sukcesem, aparatami fotografów, prześladowaniem ze strony kobiet, które już z daleka wyglądały na szczone lisice i chciały od niego tylko sławy i pieniędzy, i osłabiały go, mówił ojciec, odbierały mu siły, tak potrzebne, żeby mierzyć się z bykami. Poza Maginą, poza naszymi ulicami i zwyczajowymi zajęciami, poza braterstwem wynikającym z więzów krwi, świat był okrutną dżunglą, w której mogli przetrwać tylko łotry i obcy. Z dala od domu, odrzucony przez swoich, człowiek od razu ulegał deprawacji. Nocą, przy stole, dziadek Manuel patrzył na mnie zatroskany i mówił: „A wiesz ty, na czym polega podobieństwo porządnego chłopca do aktora?” Jak mogłem tego nie wiedzieć, skoro powtarzał mi to tysiące razy? Ale siedziałem cicho, bez przekonania, lekceważąc już ten głos, który niewiele lat wcześniej skrywał wszystkie możliwe cuda i tajemnice. „No to, żebyś nigdy nie zapomniał: porządny chłopiec w tym jest podobny do aktora, że niszczy go zła kompania”.

Pochlebstwa fałszywych przyjaciół, którzy trwają przy człowieku, dopóki ma w kieszeni pięć duros, zgiełk i jaskrawy blask barów, przyciąganie kobiet praktykujących na nieostrożnych mężczyznach wampiryzm, który doprowadza ich do szaleństwa i w końcu niszczy, tak jak Rzeźnika, słabość powodowana lenistwem i jedzeniem nie zdobytą ciężką pracą, nie wrywaniem dzień za dniem z nieprzyjaznej ziemi i zdradliwego klimatu, nałogi studzące krew, uporczywe pragnienie rzeczy nie przeznaczonych dla nas; opowiadali nam okropieństwa o latach głodu, jakby obwieszczali nam prorocstwo w jakiś niejasny sposób zagrażające nam, którzyśmy nie znali tych czasów i nie przeżyli roku czterdziestego piątego, jedyne, jaki zapamiętali z całego wieku, kiedy to nasiona nie wykiełkowały, a na gałęziach drzew oliwkowych nie pojawiły się grona żółtych kwiatów, kiedy matkom w połogu kwaśniało mleko i na skórze nawet najogromniejszych mężczyzn pojawiały się brunatne plamy i wzdymało im brzuchy od jedzenia gorzkiej trawy, i padali na ziemię jak rażeni gromem, z zasnutymi bielmem oczyma, umierając z głodu. Trzeba by wam czterdziestego piątego, mawiali, żebyście potrafili dziękować za to, co macie, biały chleb i kurczaki, a nie lebioda i wyka, daliśmy wam to, wyrzekając się naszej młodości i naszego życia, a wy teraz tym pogardzacie. Nie chcieli zrozumieć, że mało nas interesowało to, co nam dali, że nic z tego, co było ich światem, nie miało z nami nic wspólnego, ani ziemia, ani zwierzęta, ani piosenki, które lubili, ani sposób ubierania się czy strzyżenia włosów.

Kiedy strofowali nas w jadalni podczas kolacji, obojętnie gapiliśmy się w telewizor. Nie wkładają w to serca, mawiali, patrząc, jak z niechęcią albo z musu, poirytowani pracujemy w polu, jak czym prędzej kończymy jakieś zadanie wymagające cierpliwości i dokładności, żeby tylko jak najszybciej wrócić do Maginy, zrzucić stare łachy śmierdzące potem i poplamione gliną albo kurzem i umyć się zimną wodą, i włożyć niedzielne ubranie albo jeszcze gorzej – dżinsy, bo nadszedł czas, kiedy zaczęliśmy gardzić surowymi garniturami, jakie nasze matki zamawiały u krawca albo kupowały na raty w Systemie Metrycznym, i już nie chcieliśmy wiązać krawata nawet w Wielki Czwartek czy w Boże Ciało, i chodziliśmy, jak mawiali, jak łachmaniarze, w dżinsach i adidasach, z włosami niemal zasłaniającymi uszy, jak wrzaskliwe pedały z nowoczesnych zespołów pokazywanych w telewizji.

Oto, czego szukaliśmy, zmierzając grupami na plac generała Orduñi, z rękoma w kieszeniach, z podniesionymi kołnierzami kurtek, jak marynarze albo gangsterzy, moi koledzy i ja, Serrano, Martin, Feliks, wszystkiego, co tak napawało strachem naszych rodziców, strachem i swego rodzaju fizycznym obrzydzeniem, poszukiwaliśmy złego

towarzystwa i dymu, i angielskich piosenek rozbrzmiewających w Martosie, chcieliśmy zapuścić sobie włosy aż do ramion i palić marihuanę i haszysz, i LSD – wydawało nam się, że LSD też się pali – chcieliśmy pojechać autostopem na drugi koniec świata i jechać przez całą noc, z zamkniętymi oczyma słuchając Jima Morrisona, albo pewnego popołudnia wsiąść do Gamonia i już nigdy nie wrócić, albo wrócić po kilku latach tak odmienionymi, żeby nikt nas nie poznał, zamaskowani długimi włosami i brodą, w wojskowych butach i kurtkach, z wściekłym wyrazem twarzy, doświadczeniem i bólem Erica Burdona, w koszulkach takich jak ta Jima Morrisona z okładki płyty, która pewnego dnia pojawiła się w domu Martina, przyniesiona przez jego siostrę, jak nam powiedział, bo pożyczyła jej koleżanka, obca. I czuliśmy się uwięzieni w nigdy nie kończącym się przededniu wolności i nowego życia, zatrzymani na granicy, której ciemność tak bardzo nas nęciła i przerażała jak zapach i bliskość kobiet, niedostępnych i bliskich, siedzących z nami w tej samej szkolnej ławce, tak blisko, że owiewani byliśmy czystą wonią ich włosów i odrobinę cierpkim, delikatnym zapachem potu i kredy, który emanował z nich podczas ostatnich lekcji, kobiet tak niesamowicie dalekich, jakby należały do innego gatunku, który nie zauważał naszego istnienia, przynajmniej nie w takim samym stopniu jak starszych facetów, czekających na nie przed szkołą, zapraszających je w niedziele na dżin z tonikiem przy barze Martosa albo wchodzących z nimi w różowy półmrok dyskoteki w głębi podwórza, za której wyściełanymi drzwiami nigdy się nie znaleźliśmy, nie tylko z braku pieniędzy, ale też dlatego, że nie poznaliśmy nigdy żadnej dziewczyny, która chciałaby nam towarzyszyć.

Ciągle jednak byliśmy w przededniu, przynajmniej ja, brakowało mi tylko jednej klasy, żeby wyjechać z Maginy, jeśli dostanę stypendium, jeśli dostanę wysokie oceny, konieczne do jego otrzymania, i natychmiast odpędzałem strach i nostalgię, widziałem, jak idę o świcie chodnikiem w kierunku Martosa, który o tej porze jest zamknięty, niosę w prawej ręce walizkę z ubraniami, książki i maszynę do pisania, patrzę z lekceważeniem na te same ulice i domy, które widziałem przez tyle lat, codziennie zmierzając do szkoły salezjanów, a potem do liceum, gardzę tym wszystkim, niemal odczuwam litość dla tych, co zostają, dla mężczyzn ze spuszczoneymi głowami udających się na pole, z powrozem muła zarzuconym na plecy, dla sklepikarzy w szarych fartuchach podnoszących metalowe żaluzje albo rozkładających skrzynki z owocami na chodniku, tak jak mój ojciec na rynku. Wyjadę za niecały rok, obliczałem, w październiku, a kiedy wrócę, o ile wrócę, ja też będę obcy, będę renegatem, nomadą. I teraz odkrywam, po osiemnastu latach, pół życia później, że jestem po części tym nieznanym, w którego wtedy tak bardzo chciałem się zmienić, że być może skoro spotkałem się z Nadią, nie byłem tak bardzo niewierny samotnemu szaleństwu tamtego nastolatka, do którego obecnie nie jestem podobny.

PRZYJECHALI W POŁUDNIE na początku października, zaraz po zakończeniu świąt, z których zostało jeszcze wspomnienie hulanki w świetle lampionów, papierowych chorągiewek rozwieszonych na niektórych ulicach i plakatów korridy z imieniem Rzeźnika pośrodku, co zwróciło ich uwagę – szczególnie jej, bo te rzeczy jeszcze wydawały jej się egzotycznymi szklanymi drzwiami Consuelo, obok mrocznego garażu, przy którym w końcu zatrzymał się autobus po ośmiu godzinach podróży. Przyjechali zmęczeni, szczególnie on, zaspani, bo wyjechali z Madrytu o siódmej rano, nie czuli głodu, ale trochę ich mdliło z powodu ostatnich zakrętów drogi, która nadal była tak podła jak we wspomnieniach majora Galaza. Drugiego albo trzeciego dnia w Madrycie, gdzie spędzili dwa tygodnie w raczej smutnym i ciemnym hotelu przy ulicy Velazqueza, dostrzegła u ojca zachowania albo symptomy zbliżającej się starości, od której do tej pory zdawał się jej wolny; może częściowo dlatego, że jego staromodny styl ubierania się, będący niemal normą w dzielnicy uniwersyteckiej, w której niegdyś mieszkali, demaskował jego anachronizm w Hiszpanii, gdzie – zauważyła ze zdumieniem – ludzie poddają się modzie z jednomyślnością nie spotykaną w Ameryce. Po raz pierwszy zaskoczyła samą siebie, przeliczając, ile ojciec ma lat, nie żeby do tej pory uważała go za młodszego, ale dlatego, że widziała go poza czasem i niepodatnego na jego szkodliwe działanie, w pewnym bohaterskim i niezmiennym wieku, jaki dzieci przypisują rodzicom. Był mężczyzną wysokim, z siwymi i przeredzonymi na skroniach włosami, w okularach o grubych oprawkach, nosił kapelusz i muszkę, i ciemne garnitury, które podczas podróży zaczęły emanować opuszczeniem. Od śmierci żony zaczął swoim zdaniem dyskretnie pociągać z butelki, ale robił to gorliwie i ostentacyjnie w oczach swojej córki, która przez większość życia poświęcała mu całą i wyłączną uwagę i dostrzegła w jego zachowaniu, w spojrzeniu, a także w gestach, tajemnicze zaburzenia, których nawet on sam nie był świadom; widziała w nim sens świata i zagrożenia, jakie świat ze sobą niesie, rozciągłość czasu i tajemnicę udawania i bólu. Wyrosła u jego boku, wykształciły ją jego słowa, dały jej nierealny kraj i umowny język, i przeszłość, do której postanowiła należeć, choć do niej nie należała. W Stanach Zjednoczonych nikt nie wzięby go za Amerykanina, ale w Hiszpanii oszczędność gestów wyraźnie odróżniała go od byłych rodaków, tak więc ani w jednym, ani w drugim kraju jego postać nie mogła wtopić się w tłum. O ile dobrze pamiętała, nie był u siebie nawet w domu, wydawał się nie panować nad niczym i nad nikim, nawet nad przedmiotami w gabinecie, ani ona, ani matka nie potrafiły powiedzieć, czym się zajmował i z jakiego powodu nadał temu pokojowi taką nazwę. Skrupulatnie ostrzył ołówki żyłką, układał je na stole od największego do najmniejszego, czytał „New York Timesa” albo *Encyclopedia Britannica*, albo książki o odkryciach geograficznych i naukach przyrodniczych napisane po angielsku, nigdy nie oddawał się lekturze książek i gazet hiszpańskojęzycznych.

Pewnego poranka, na początku września, siedziała w kuchni domu w Queens i patrzyła na stygnące śniadanie, bo poprzedniej nocy on przyszedł bardzo późno i dość mocno pijany – nie pamięta, żeby wracał późno albo pił w taki sposób, kiedy żyła matka. Wyszedł z łazienki zawinięty w szlafrok i pachnący mydłem i kremem do golenia, lecz – mimo długiej kąpieli – także alkoholem wypacany przez noc. Zatrzymał się przy niej i delikatnie pogładził po twarzy, nie patrząc na nią, jakby prosił o wybaczenie, usiadł nad talerzem jajecznic i zimną

herbatą, wyjął okulary z kieszeni szlafroka i włożył je, ujął filiżankę w obie dłonie, podmuchał, jakby herbata jeszcze parowała, i odstawił na stół, nagle w swym za krótkim szlafroku wyglądał na przygniecionego starością, niemal nikczemnie, takie wrażenie odniosła córka, i odezwał się (zawsze mówił do niej po hiszpańsku): Co myślisz o tym, żebyśmy pojechali do Hiszpanii?

Jednak nie była to nagła decyzja, spowodowana poczuciem winy albo pragnieniem ucieczki czy powrotu; kilka miesięcy wcześniej, nic nie mówiąc jej ani rzecz jasna żonie, która leżała w szpitalu, napisał do hiszpańskiej ambasady, żeby poprosić o paszport, choć przez trzydzieści lat mówił, że nigdy go nie przyjmie. Może dostał go, zanim jeszcze zmarła żona, może bliskość jej śmierci skłoniła go do tych starań. To jednak należało do tej sfery, o którą córka nigdy nie chciała albo nie potrafiła pytać, do istoty samotności i zarazem poczucia współnictwa, które dla obojga było krepujące, gdyż wyłączało kobietę przez tyle lat żyjącą wraz z nimi i sprawiało, iż stawała się im obca, będąc żoną i matką, choć otaczała ich jak powietrze w upalne dni i z talentem do zaznaczania swej obecności zajmowała dom, w którym mieszkali we trójkę, tę jej zdolność w pełni odkryli, kiedy jej zabrakło i dom pogrążył się w przerażającej pustce, a oni oboje poczuli się niezręcznie w swych pokojach, jak goście, jak konspiratorzy udreżeni sukcesem i nikczemnością swego spisku. To, że nie byli winni jej chorobie i śmierci, nie zwalniało ich z odpowiedzialności za nieszczęście jej życia, wobec którego on zawsze zachowywał pełen szacunek chłód, co być może było jedyną uznaną przez niego postawą wobec świata, przedmiotów i istot ludzkich, z wyjątkiem córki. Choroba serca, która w końcu ją zabiła, wyglądała w ostatnich latach jak powolne i uporczywe samobójstwo. Któregoś dnia, już blisko końca, zawołała córkę i powiedziała: „On nie chciał, żebyś się urodziła. Chciał, żebym się wyskrobała”. Zmarła, odprowadzili ją na cmentarz, wzięli udział w katolickim pogrzebie, którego sobie zażyczyła podczas swych ostatnich dni – rozpaczliwie i z zalem podejrzewając, że nawet gdy umrze, nie zdobędą się na spełnienie jakiegoś jej życzenia – i od powrotu do domu, zniszczonego na zawsze jej nieobecnością, już nigdy więcej nie wymieniali jej imienia ani nie wspominali jej głośno. Podczas pierwszej nocy spędzanej samotnie po śmierci matki poszła do sypialni i zastała ojca palącego w łóżku. Usiadła przy nim i ostrożnie wyjęła papierosa spomiędzy jego palców, bo już niemal się wypalił i słupek popiołu za chwilę spadłby mu na piżamę. Posiedziała chwilę przy nim, słuchając jego oddechu, popatrując na niego, lecz nie mogąc napotkać jego wzroku, ścisnęła mu dłoń, popchnęła go, żeby się posunął, po czym wyciągnęła się obok niego i zgasiła światło, wspominając, że kiedy była małą dziewczynką, on kładł się obok niej, żeby odpędzać złe sny. Następnej nocy ponownie położyła się przy nim, nie zadawał jej pytań i niemal jej nie dotykał, leżała skulona pod kocem, z twarzą wciśniętą w poduszkę. Ale potem zaczął wracać późno, robiła mu kolację i zostawiała pod przykryciem na stole w kuchni, kładła się do łóżka z książką w ręku i często rzucała okiem na budzik, niepokojąc się bez powodu, nie wypytyując go, co robi, dokąd wychodzi teraz, kiedy przeszedł na emeryturę i nie pracuje już w bibliotece, on, który nigdy – z tego, co pamiętała – nie spóźnił się ani jednego wieczoru. Zasypiała przed jego przyjściem, ale kiedy klucz zgrzytał w zamku, otwierała oczy, nie zapalała światła, przesuwiała się na jedną stronę łóżka, żeby mu zrobić miejsce, starała się nie ruszać, nie wyczuwać zapachu alkoholu, a czasem też dusznego zapachu tanich perfum. Kiedy zaproponował jej wyjazd do Hiszpanii, od około miesiąca znowu spała sama w swoim pokoju.

Przylecieli z Nowego Jorku do Madrytu; milczenie zachowywane na temat kobiety, wobec której żadne z nich nigdy nie odczuwało nic, co byłoby zbliżone do miłości, niezauważalnie przeniosło się na wszystkie rzeczy. Spędzili piętnaście dni września w hotelu i ojciec prawie wcale nie pokazał jej miasta, o którym rozmawiali, odkąd wiek pozwalał jej na zrozumienie słów, ocenienie fotografii, interpretowanie map kontynentów i państw. Ograniczył się do

spędzenia kilku popołudni na milczących spacerach u jej boku po ulicy Velazqueza w kierunku Alcalá i parku Retiro, wskazując jej o zmierzchu z placu Niepodległości daleką perspektywę ulicy Gran Vía, wieżę Koła Miłośników Sztuk Pięknych, budynek Telefoniki, o którym jej opowiedział, że artylerzyści baterii frankistowskich używali go jako punktu odniesienia, karząc miasto od pierwszej jesieni wojny bardziej dla niej mitycznej, a zarazem bliższej, niż wojna w Wietnamie albo Korei. Słowo Madryt było obdarzone tego rodzaju dźwięcznością, jaką zyskują niektóre nazwy w dzieciństwie, i heroiczny pejzaż, i sens szczęścia, które wcielało się tajemniczo w postać ojca, i jednocześnie oddzielało go od zewnętrznej rzeczywistości. W ten sposób piękno miasta w owe wrześnieowe dni, jego zimne światło, błękit i zieleń jak z akwareli, fiolet zmierzchów, przeszywany pulsowaniem świetlistych szyldów, wzruszyły ją, lecz nie zaskoczyły, dostarczyły nie znanego jej wrażenia przynależności do tego miejsca, stwierdziła, że jest bardziej do niego przywiązana niż gdyby, tak jak ojciec, urodziła się na pierwszym piętrze domu w dzielnicy Salamanca, na ulicy, którą bez wątpienia przeszli niejeden raz, ale on nie chciał jej go pokazać; może w pobliżu białego kościoła zwieńczonego gotyckim ornamentem, gdzie zaskoczyła go pewnego niedzielnego poranka – był bez kapelusza, klęczał z szacunkiem w jednej z ostatnich ławek, kiedy zadzwonił dzwonek oznajmiający Podniesienie, znieruchomiał ze zdumienia, gdy odwrócił głowę i zobaczył ją, zdążyła za nim niezauważona. Zobaczywszy, że zatrzymuje się niepewnie przed wejściem do kościoła, zdejmując kapelusz i postępuje główną nawą kilka kroków, jakby obawiając się profanacji, zauważyła, że w ciągu kilku sekund ojciec stał się jej obcy, ten starszy mężczyzna w ciemnym ubraniu, ostrożnie stawiający kroki, z szerokimi, wyprostowanymi plecami, tak bardzo podobny do któregoś z innych mężczyzn zmierzających o tej porze do kościoła, prowadzących pod rękę żony w butach na wysokich obcasach i w jesiennych okryciach z futrzanymi kołnierzami. Była tak młoda i nie wiedziała o nim tylu rzeczy, że nie potrafiła sobie uświadomić, iż tego poranka ojciec upodobił się do mężczyzny, jakim mógłby być, gdyby w Maginie, podczas pierwszych nocnych godzin zamieszania mającego szybko przekształcić się w wojnę, nie zerwał na zawsze z przeznaczeniem, jakie było mu pisane w chwili urodzenia.

Widziała go w kościele samotnego, postarzałego, żalosego w swej udawanej pobożności, blade dłonie złożone na wysłużonym drewnie ławki, obrączka będąca biernym wspomnieniem kobiety, której nigdy nie kochał, usta poruszające się, jakby udawał, że się modli, i cała jego postać tak dziwna w półmroku, pośród tych ludzi, otyłych żołnierzy z fioletowymi szarfami i kobiet z przezroczytymi woalami, mężczyzn w prążkowanych garniturach, z cienkimi wąsikami i otępiałymi twarzami, a przy ołtarzu ksiądz, odwrócony plecami do kościelnych ławek, recytował po łacinie. Siedzieli w jednej z ostatnich ławek, ale kiedy weszła, kilka osób odwróciło się, aby się jej przyjrzeć i zganić ją, jej dżinsy, adidasy, długie i rozpuszczone włosy mieniające się złotem i miedzią w migotliwym blasku świateł. Stała obok ojca, z uczuciem, że go ochrania, on przez jakiś czas nie odwracał się, żeby na nią spojrzeć, a kiedy to zrobił, uśmiechnął się i usunął jej dłoń. Muzyka organowa i jednogłośny szepot ulgi wzmogły się, kiedy skończyła się msza, lecz ojciec, zamiast wyjść, usiadł w ławce i wpatrywał się w twarz każdej osoby zmierzającej w stronę wyjścia i kiedy wydawało się, że w kościele już nikogo nie ma, nadal się nie poruszał, białe, złożone ręce wsunął pomiędzy kolana, miał napięty i zgnębiony wyraz twarzy, jakby z każdą upływającą minutą z coraz większym smutkiem poddawał się starości. „Chodźmy”, powiedziała, lecz on, nie patrząc na nią, pokręcił głową, wykonał gest, którym zawsze prosił ją o cierpliwość. Siedział, podczas gdy zakrystianin przechodził bocznymi nawami, gasząc świece. Wtedy zauważyła, że ojciec nieco zeszywniał, że się trochę skurczył, że jego dłonie zacisnęły się lekko na kolanach, że wycofywał się do bardziej ukrytego kręgu swej samotności; nikt oprócz niej nie potrafiłby tego spostrzec, odkrywała jego uczucia tak samo, jak ponoć odczuwają je

bliźniacy, widziała, że ojciec się oddala, choć się do niej uśmiechał i ponownie uściśnął jej dłoń, patrzył na nią z wyrazem wierności i wdzięczności, jakich nikt poza nią nigdy nie mógł dojrzeć w jego oczach. Z zakrystii, po lewej stronie ołtarza, wychodziła powoli grupa osób: ksiądz, ubrany teraz w czarną i błyszczącą sutannę, kobieta z siwymi włosami i przekrzywioną głową siedząca na wózku inwalidzkim popychanym przez wąsatego mężczyznę o okrągłej twarzy, w czarnym garniturze, a przy niej siedł, jakby trzymając straż, młody żołnierz z czapką pod prawą pachą. Wychodzili z głębi kościoła w kierunku rozświetlonego atrium z uroczystą i smutną determinacją, a w miarę jak się zbliżali, światło dnia nadawało bielszego odcienia włosom kobiety na wózku, które wyglądały teraz jak bawełniana aureola, i sprawiało, że grymas na jej twarzy stawał się bardziej cierpki, szli z rytmiczną powolnością procesji, wyzywający, skupieni, jakby pozowali do rodzinnego zdjęcia, a indywidualność każdego z nich zaznaczała się w sposobie, w jaki kroczyli, nie rozłączając się – mężczyzna w czarnym garniturze, popychający wózek, który sunął z szelestem opon po posadzce, po prawej żołnierz, ceremonialny i surowy, z lewą ręką zgiętą pod kątem prostym i przylegającą do biodra i z czapką niesioną poziomo jak podarunek, po lewej ksiądz, uśmiechający się ze swego rodzaju nikczemnością sługi, ze spuszczoną głową, być może szepczący słowa pożegnania albo pocieszenia. Kobieta wydawała się całkowicie oddzielona od świata, nie tylko od kościoła, ale też od towarzystwa innych, od impulsu pchającego ją w stronę wyjścia, jak upośledzona, poruszała ustami w swego rodzaju modlitwie, ustami pomalowanymi na czerwono, jakby przyklejono jej uśmiech do twarzy i do blad różowego makijażu na policzkach. Ojciec nieznacznie odwrócił głowę, kiedy go mijali, nie mogła dojrzeć wyrazu jego oczu, ale wyczuła w powietrzu kościelną woń i zapach wody po goleniu, i pudru, i zobaczyła, że mężczyzna ubrany na czarno utkwiał w niej wzrok i być może pożałował jej, posyłając jej mętne i przelotne spojrzenie, jakie widywała wcześniej u samotnych nieznanym w średnim wieku, i potępiając ją bez możliwości odpuszczenia win. Kilka chwil później w kościele nie było już nikogo i zakrystianin klasnął w dłoń przy głównym ołtarzu, a dźwięk rozbrzmiał w niszy, i nakazał im gestem, żeby już sobie poszli, nie patrząc na nich, niczym pogrążony w pracy strażnik.

O nic go nie zapytała, zawisała u jego ramienia, kiedy wyszli z kościoła, wspominając dumę, w jaką wpadała, robiąc to samo, gdy miała dwanaście czy trzynaście lat, w niedzielne poranki, gdy panował bardziej przejmujący chłód, ale było podobne światło, kiedy towarzyszyli matce do drzwi kościoła i spacerowali, dopóki ona nie wyszła, w alejach drzew nabierających jesienią odcieni niebieskich i purpurowych, dochodzili aż do otwartych przestrzeni nadmorskich mokradeł, skąd patrzyli na niebieskawe zarysy Manhattanu po drugiej stronie szerokiej i leniwej East River, metaliczne refleksy iglic drapaczy chmur, pionowe formy miasta wznoszące się nad wodą jak jawiące się we mgle urojenia. Przytuliła policzek do jego ramienia, muskając gładkimi, rudawymi włosami jego twarz, potrzebowała tylko wymienić z nim kilka trywialnych słów po hiszpańsku, żeby czuć, iż nic jej nie zagraża, dopóki stanowi część jego duszy. Nie zależało jej na tym, żeby się dowiedzieć, jakie było jego życie przed przyjazdem do Ameryki; postrzegała go jako człowieka bez przeszłości, samotnego i wznoszącego się w próżni czasu poprzedzającego jej narodzenie, oddzielnego od swej pracy w uniwersyteckiej bibliotece, a nawet od symetrycznej, lecz odległej postaci matki, z którą rozmawiał przy posiłkach, nie patrząc jej w oczy, dobrze wychowany i nieobecny, z niemal niedostrzegalnym grymasem niesmaku w kąciu ust. Przynosił jej prezenty, zabawki z malowanej blachy, bajki z wydawnictwa Calleja, albumy z chromolitografiami o wyblakłych kolorach, książki z czarno-białymi fotografiami o kraju, który dla niej aż do szesnastego roku życia był tak bliski i niedostępny, tak odległy od jej codziennych doświadczeń jak kraina, po jakich podróżowali bohaterowie historii, które czytywał jej przed zaśnięciem. Jej wyobraźnia została wykształcona na hiszpańskich

wspomnieniach ojca; wspomnieniach dokładnych i częstych, ale też bezosobowych, z których wymazywał skrupulatnie wszelki ślad emocji i jakiejkolwiek odnośniki do swej biografii, jak gdyby pokazywał jej pejzaż pozbawiony ludzkiej obecności, stając obok niej, aby też popatrzeć. Nigdy jej o sobie nie opowiadał, nawet wtedy, gdy razem pojechali do Hiszpanii, ze wstydu albo nieśmiałości, których się pozbył dopiero osiemnaście lat później w pewnym domu starców w New Jersey, podczas ostatnich dni swego ostatniego życia, on, który tyle ich miał, prześlizgiwał się przez nie niemal z taką samą obojętnością, z jaką przenosił się z garnizonu do garnizonu i z miasta do miasta podczas swej młodości, kiedy jeszcze wierzył, że człowiekowi dane jest poznać tylko jedną biografię i że jego własna była określona aż do dnia śmierci: ślub, dzieci, regularne awanse, nuda, dyscyplina, emerytura, degrengolada, ostateczne unicestwienie, po którym zostanie z niego tylko kilka dyplomów i fotografii, coś w postarzanych twarzach jego dzieci.

W parku Retiro, tamtej niedzieli, w barze pod drzewami, tak blisko sadzawki, że do cienia, w którym siedzieli, docierała wilgotna bryza, zaprosił ją na kieliszek wermutu i małże, obserwował ją, niczego nie kosztując, z takim samym napięciem, z jakim przyglądał się jej, gdy pochylała głowę nad ilustrowanymi stronami hiszpańskiej książki, kiedy była dzieckiem i uczyła się czytać, i z wahaniem powtarzała każdą sylabę, przesuując palcem wskazującym po papierze. Smakował jej wermut, a ponieważ prawie nie piła alkoholu, trochę kręciło się jej w głowie, pomimo rozcieńczenia winą wodą z syfonu, a delikatny smak małży dawał jej poczucie szczęścia, od tej chwili zawsze kojarzyła go z Madrytem i leniwymi niedzielnymi porankami. Maczała kawałki chleba w letnim sosie, moczyła palce, odważała się później je oblizywać, wyobrażając sobie niesmak, z jakim patrzyłaby na nią matka, popijała kolejny łyk wermutu i wycierała usta papierową serwetką, i choć nie podnosiła wzroku, wiedziała, że ojciec na nią patrzy i uśmiecha się do niej. „Znałeś ich?”, zapytała, a ojciec, który włożył papierosa w lufkę i miał zamiar zapalić, odłożył zapalniczkę na stół i w roztargnieniu odparł, że nie; do tego samego kościoła prowadzano go, kiedy był w jej wieku, wyjaśnił i przerwał, żeby zapalić papierosa, wszedł do niego, bo przechodząc, natychmiast go rozpoznał, poczuł zapach świec i usłyszał dźwięk organów, i przez chwilę poczuł się tak, jakby miał siedemnaście lat i wyszedł, żeby w mundurze kadeta przejść się po ulicy Velazqueza. „Odniosłam wrażenie, że ich znasz” – powiedziała – „i że przestraszyłeś się trochę, że mogą cię rozpoznać”. Ojciec pociągnął łyk wermutu i uśmiechnął się, zanim odpowiedział, jak zawsze kiedy miał zamiar ją okłamać i oboje byli tego świadomi. „Jestem bardzo stary i od wielu lat nie mieszkam w Madrycie. Nie znam tu już nikogo”. Kłamięciem w dłonie przywołał kelnera i przez dość długi czas gromadził monety, żeby mu zapłacić; trochę go kosztowało zaakceptowanie i określenie wartości pieniędzy w ówczesnej Hiszpanii i napawało go obrzydzeniem dotykanie metalowego i uszlachetnionego profilu Franco, którego poznał w oficerskim kasynie w Ceucie i stwierdził, że sięga mu zaledwie do ramion.

„Chcę cię zabrać do Maginy”, powiedział takim tonem, jakby składał jakieś bezosobowe oświadczenie. „Jeśli ci się spodoba to miasto, możemy tam zostać przez całe lato”. Może musiał jej coś wynagrodzić, usprawiedliwić się przed sobą za to, że ją okłamał, za to, że już nie był albo że nigdy nie był bohaterem z jej dzieciństwa. „A co będziemy robić potem?”, zapytała. „Możemy wrócić do Ameryki, jeśli będziesz chciała”. „Chcę mieszkać w twoim kraju”. Pociągnął kolejny łyk wermutu i strząsnął popiół z papierosa gestem zamierzchłej elegancji, całkowicie dla niej obcej, przedwojennej, i nie słychać było smutku w jego głosie, gdy mówił: „To już nie jest mój kraj. Żadnego kraju nie mogę nazwać swoim”.

Oto, co zawsze chciał dać swojej córce: to, czego sam nie miał, wszystko, co utracił, nie wiedząc, jak wiele będzie go to kosztowało – przejrzystość powietrza w Madrycie, błękit gór Maginy, podmuch wiatru o woni małży, wpadający przez otwarte okno w pociągu, rozmowy kobiet na rynku i mężczyzn w barach, oczy ludzi, spojrzenia szczere, a nawet okrutne,

nieznajomych na ulicach, ubrania rozwieszane na balkonach, z których spływa muzyka programów radiowych, smak chleba i surowy blask oliwy, wszystkie rzeczy banalne i konieczne, które jemu już nigdy nie miały być przywrócone i za którymi ona tęskniła, nawet ich nie znając. Od przyjazdu do Madrytu umykał przed wyraźnym uczuciem rozczarowania i wrażeniem oszustwa; ledwie wysiadł z samolotu, wszystkie lata życia w Ameryce rozwiły się, jakby spędził tam zaledwie kilka tygodni; ale też stopniowo zaczynały mu się zacierać dawniejsze czasy i poczuł się ogołcony, jak turysta, któremu skradziono dokumenty i pieniądze, i cały bagaż, zawieszony w próżni, bez nadziei i tęsknoty, za jedyną prawdziwą rodaczkę i za jedyny stały punkt odniesienia mając tylko swą córkę.

Bał się, kiedy przyjechali do Maginy; bał się, że sprawi jej zawód albo że ją straci, albo że zostanie zdemaskowany przez jej przenikliwość. Wysiadł za nią z autobusu, patrząc, jak się porusza ze zmęczonym wdziękiem pośród innych pasażerów, wyższa i młodsza niż oni, nie tknięta w swym entuzjazmie wyrzutami sumienia ani bólem, w bardzo obcisłych dżinsach, z długimi włosami, z piegawatymi policzkami, niewątpliwym wyglądem obcokrajowca, podkreślanym jeszcze kształtem podbródka i karnacją. Pragnęła natychmiast odebrać bagaż i udać się do miasta, troszczyła się o niego, poprawiała mu muszkę i strzepywała popiół z marynarki, zadawała mu pytania, na które odpowiadał z dobroduszością, jakiej nigdy nie okazywał w stosunkach z nikim innym. Jej oczy i głos są hiszpańskie, myślał zawsze z dumą, błysk źrenic i madrycki akcent odziedziczony po nim, bardziej słyszalny teraz, kiedy ekscytowała ją perspektywa poznania miasta, pytała go, jak się czuje, czy jest zmęczony, czy pamięta widziane przez okno pejzaże i ulice, którymi autobus wjechał do miasta. Jakiś niechlujny jegomość, potulny jak alkoholik, popychający ręczny wózek, zaofiarował się zawieźć ich bagaże do znajdującego się bardzo blisko hotelu Consuelo, po tej samej stronie ulicy, o kilka kroków stamtąd. Wyszli za nim na ulicę i major Galaz przez kilka chwil czuł się zdezorientowany intensywnością światła i zaskoczeniem, iż znalazł się w mieście wspomnianym przez ostatnich trzydzieści sześć lat, którego teraz nie rozpoznawał: wysokie budynki, garaże, aleja, po której hałaśliwie gnały samochody. Czuł się, jakby pomylił miasta, nie tyle dlatego, że to miasto nie było podobne do Maginy, ile dlatego, że było dokładnie takie samo jak wszystkie inne miasta, przez które przejechał autobus od ich wyjazdu z Madrytu.

Objął córkę ramieniem, a ona objęła go w pasie. Nic nie pamiętam, powiedział, nie wiem nawet, gdzie jestem. O kilka kroków przed hotelem Consuelo otworzyły się drzwi baru i ze środka popłynęła muzyka, która natychmiast wydała jej się znajoma, refren piosenki Rolling Stonesów *Brown Sugar*; nigdy by się nie spodziewała usłyszeć takiej piosenki w Hiszpanii, przyzwyczajona od dziecka do kojarzenia kraju ojca z płytami z lat trzydziestych, których czasem słuchał w nieco wstydliwych przyływach nostalgii. Podobało jej się ich odbicie w szybach baru, w ostrym świetle południa, zauważyła, że smutny pijak, który wiózł ich bagaż, zerkał na nich z ukosa, zaintrygowany, nie dowierzając być może, że to ojciec i córka; w Maginie prawie nikt nie obejmował się na ulicy w owym czasie, jedynie nieliczne pary obcych, żarliwych kochanków, którzy skandalicznie się splatali w parkach jak pytony, grzmiał z ambony proboszcz integrysta i miłośnik korridy z kościoła Świętego Izydora. Czuła, że przytulając się do ojca, przed czymś go chroni. Troszczyła się o niego na długo przed śmiercią matki, czekała na niego wieczorami i przygotowywała mu kolację i czyste ubrania na następny dzień, podczas gdy matka popijała koktajle i paliła papierosy, siedząc przed telewizorem, albo przebywała zamknięta na klucz w swej sypialni, porządkowała książki i papiery w jego gabinecie, w niektóre popołudnia szła po niego do biblioteki uniwersyteckiej, gdzie pracował, i wracała z nim do domu, trzymając go pod rękę. Było w niej jakby solidne małżeńskie podporządkowanie, które umocniło się po śmierci matki; w Maginie, w hotelu Consuelo, kiedy zobaczyła, jak usiadł na łóżku, odłożył okulary i kapelusz na nocną szafkę i zaczął trzeć oczy otwartymi dłońmi, jakby chciał ukryć za nimi swą zmęczoną twarz, poczuła, że nigdy jeszcze nie był tak słaby, nawet wtedy, gdy zaskoczyła go

pochylonego i niezdarnego w ostatniej ławce kościoła w Madrycie. Podczas gdy rozpakowywała walizki i rozkładała ubrania w szafach i przybory toaletowe w łazience z taką rozważną uwagą i stanowczością, jakby mieli tam pozostać przez resztę życia, ojciec podszedł do okna i nie odsuwając zasłon, wpatrywał się w aleję, w ocienione drzewami chodniki, asfalt z niedawno namalowanymi pasami przejścia dla pieszych i w nie działające jeszcze światła drogowe, w budynek z czerwonej cegły naprzeciwko, z żaluzjami w zielonym, jakby higienicznym kolorze, który pewnie był *high school*, pomyślał, stwierdzając z przykrością, że nie pamięta hiszpańskiego słowa. W głębi, ponad tarasami i ostrymi kątami bloków mieszkalnych, dostrzegł szczyty wież i wydało mu się, iż słyszy pośród zgiełku ulicznego bicie zegara z placu generała Orduñi; czuł się, jakby jeszcze nie przyjechał naprawdę do Maginy, jakby zwątpienie albo ociężałość pchały go do wyrzeczenia się poszukiwań, kiedy był już o krok od kresu podróży; zaczynając każdy nowy etap, od chwili, kiedy zamknął drzwi domu w Queens i wraz z córką wsiadł do taksówki, która miała ich zawieźć na lotnisko Kennedy'ego, czuł się, jakby był o krok od ostatecznego powrotu, ale za każdym razem, przy każdym przyjeździe, przy każdym wyjeździe, nie odnajdował pełni, jaką sobie obiecywał, lecz kolejną zwłokę, wewnętrzną pustkę, niewzruszoną ani przez chwilę. Lotniska, stacje kolejowe, hotele, garaże, z których wyjeżdżały autobusy, miasta widziane na horyzoncie. Teraz był w pokoju, który mógł znajdować się w jakimkolwiek mieście, patrzył na aleję i rząd drzew, i budynek z czerwonej cegły, którego nie mógł skojarzyć z nazwą Mágina, widząc ponad dachami niebieskawą linię dalekich gór, szczyty niektórych wież, do których nie chciało mu się już iść.

Kiedy się odwrócił, kontrast jaskrawego światła z ulicy z łagodnym światłem w pokoju sprawił, że zobaczył córkę niemal w ciemności; zdziwiło go, że dziewczyna tam jest, kończy rozkładać ubrania w szafie i śpiewa po cichu angielską piosenkę. Nie mógł się przyzwyczaić do tego, że urosła i tak bardzo dojrzała podczas ostatnich lat i że w jej gestach i w wyrazie twarzy znać było swego rodzaju pogodną powagę, którą zawsze w sobie miała, ale która uwidoczniła się po śmierci matki. Patrząc na nią, odczuwał niedorzeczną mieszaninę dumy, niedowierzania i przerażenia. To nieprawdopodobne, że ta dziewczyna została spłodzona przez niego, ale takie były też wszystkie czyny w jego życiu, od tej nocy, kiedy to spokojnie zapiął mundur, włożył czapkę przed lustrem w swej sypialni w oficerskim pawilonie koszar piechoty w Maginie i powoli zszedł po schodach prowadzących na dziedziniec, słyszał komendy wykrzykiwane przez innych mężczyzn, którzy do tej chwili byli jego towarzyszami broni, a kilka minut później mieli stać się jego wrogami, ofiarami albo więźniami. Nie wybrał jednej ze stron w uniesieniu, nie zaślepiła go ani polityczna żarliwość, ani pragnienie bohaterstwa odziedziczone po przodkach albo zaszczepione podczas wojny w Afryce. Nie wiedział wtedy nawet, podczas pierwszych tygodni tamtego lipca, w jakim stopniu zagnieździła się w jego duszy rozpacz, jak tocząca go potajemnie choroba. Powiedział sobie jedynie przy goleniu, słuchając wydawanych na dziedzińcu komend i stukania obcasów, że nie może tolerować tego, że grupa zbuntowanych kapitanów i poruczników łamie dyscyplinę, nie słucha jego rozkazów. Tego, co się wydarzyło potem, nie przewidział, a także nie ponosił za to odpowiedzialności; strzały, pożary, tłumy, krew, trupy z rozprutymi brzuchami i rozrzuconymi nogami, porzucone w przydrożnych rowach i na nasypach w skwarne popołudnia, entuzjazm i nadzieja na zwycięstwo, której nigdy nie podzielał.

„O czym myślisz?” – córka, stojąc tuż przed nim, ujmowała go za brodę i skłaniała, by na nią spojrzął. Jasnobrażowy kolor jej oczu był bardzo podobny do koloru piegów na policzkach i do włosów, czarnych w półmroku, nabierających miedzianego połysku w promieniach słońca. „Jeśli chcesz, możemy się przejść. Chcę ci pokazać miasto, choć kto wie, może się zgubię”. Nic nie mówiąc, uśmiechnęła się do niego, przerzucając włosy na jedną stronę, i pocałowała go w policzek, nie musiała już stawać na czubkach palców, żeby to

zrobić. I tak dziwne, że ta dziewczyna, pięćdziesiąt lat młodsza od niego, jest jego córką i że żadne z nich nie ma żadnego innego trwałego związku. Major Galaz bez żalu wspominał kobietę pchaną w inwalidzkim wózku po kamiennej posadzce kościoła, mężczyznę w czerni i żołnierza trzymającego w ręku oficerską czapkę; bezwiednie skoncentrował się na trzech kapitańskich gwiazdkach na rękawie. Ileżyć może mieć jeden człowiek? – myślał. Ile niepowodzeń? Ile czasu? Był jednak przekonany, że gdyby w swym najdawniejszym życiu nie przyjechał do Maginy pewnego kwietniowego popołudnia, teraz nie istniałaby ta dziewczyna, której narodzin nie chciał i której obecność usprawiedliwiała go przed nim samym. Zjedli obiad w hotelowej restauracji, po czym późnym popołudniem wyszli na ulicę, córka trzymała go pod rękę, gotowi kroczyć po mieście niczym para ekscentrycznych turystów.

SIEDZIAŁEM PRZY OKNIE, pod koniec lekcji, patrząc na dziedziniec, na którym dziewczyny miały gimnastykę, z otwartą książką od literatury, bo mieliśmy lekcję z Praxisem, pragnąłem wyjść stamtąd jak najszybciej; wskazówki zegarka stały w miejscu, zapach kredy i potu w klasie, niech w końcu ten typ bez krawata się zamknie albo przynajmniej niech przestanie ciągle powtarzać *praxis* co drugie słowo i niech przestanie udawać, że nie jest nauczycielem, tylko jednym z nas; ależ chciałbym teraz powoli przejść pod drzewami rosnącymi przed wejściem do szkoły, z książkami w ręku, i spotkać się z Mariną, nie żeby na nią patrzeć, tylko kątem oka, nie żeby zamienić z nią kilka słów, które ledwie potrafię z siebie wykrztusić, i potem iść dalej samotnie do ogrodu ojca, ale żeby na nią czekać, jak inni czekają na swe narzeczone o szóstej w Martosie po puszczeniu kilku płyt i zamówieniu kawy albo lepiej cubalibre, słuchać *Riders on the Storm*, przymykając oczy, żeby widzieć tylko dym, i słuchać szumu deszczu i chlupotu końskich kopyt w kałużach, głosu Jima Morrisona; żeby patrzeć z głębi baru w stronę przeszklonego wejścia, które ona minie, zmierzając do domu albo dokądkolwiek indziej – kto to może wiedzieć? – ze sportową torbą, w adidasach, z włosami zebranymi w koński ogon; ale nie żeby podejść do okna i patrzeć, jak przechodzi, i umierać ze smutku, bo nie odważałem się nawet umierać z pożądania, lecz tylko po to, by wiedzieć, że przyjdzie, i czekać na jej przyjście, czując zapach mydła i wody kolońskiej z wiciokrzewu, patrzeć, jak wchodzi do Martosa, zbliża się do mnie i całuje szybko w usta z poufałością właściwą namiętności wzmocnionej przyzwyczajeniem, takiemu rodzajowi namiętności, jakiego metodycznie będę poszukiwał i tracił przez następną połowę mego życia; krótka spódniczka, białe adidas, opuszczone skarpetki w kolorze malwy, które tak bardzo mi się podobają, odsłaniające kostki, opalona skóra nóg, wilgotna zieleń jej dużych oczu w półmroku baru. Wszystko tak naturalne i tak niemożliwe, siedzę w ostatniej ławce w klasie, a ona tam na dole, na podwórku, teraz ją dostrzegłem, w niebieskich spodenkach i w białej koszulce, przebiega mnie dreszcz, kiedy ją odróżniam w szeregu dziewcząt biegnących w rytm gwizdka nauczycielki wf. i przysposobienia do życia w rodzinie, którą nazywają Meduzą i o której mówi się, że lubi kobiety, widzę jej piersi podskakujące pod koszulką, zostaną wywołany do odpowiedzi, żebym przeczytał zadanie z literatury, którego nie zrobiłem, a ja mam lekką erekcję, myślę o niej, widząc, jak biegnie po betonowym podwórku, wyobrażam sobie, że jestem w Martosie, a ona podchodzi i przytula się do mnie, podczas gdy z szafy grającej syczy się piosenka Rolling Stonesów *It's only rock'n Roll but I like it*, ale i tak bardziej podobają mi się Doorsi, nikt nie śpiewa tak jak Jim Morrison. Kto wyszepcze albo wykrzyczy, albo wypluje te słowa: *Riders on the Storm*, jeźdźcy galopujący w burzową noc, ja sam, uciekając z Maginy, jadąc na kłaczy mego ojca, nie w kierunku ogrodu, ale w kierunku innego kraju, jadąc samochodem nigdy nie kończącą się szosą, ta piosenka Lou Reeda, *Fly, fly away*, odejdziesz, leć daleko, albo ta druga, Jima Morrisona, jedź aż do kresu nocy, weź autostradę aż do kresu nocy, albo ta, którą tak lubi Serrano, odkąd jej wysłuchaliśmy po raz pierwszy z szafy grającej w Martosie, zawsze ją nastawia i przystawia ucho do głośnika, bo mówi, że bas go hipnotyzuje, najnowsza piosenka Lou Reeda, *Take a walk on the wild side*. Serrano i Martin proszą mnie, żebym przetłumaczył im słowa, a kiedy czegoś nie rozumiem, wymyślam, żeby nie myśleli, że mój angielski nie jest tak dobry, jak to sobie wyobrażają i jak ja bym sobie życzył, a i tak tłumaczenie w każdym przypadku niweczy tajemnicę, bo to, co nam mówią te głosy, niezupełnie zawiera się w słowach, tylko w nas

samych, w naszej rozpaczy i entuzjazmie, i dlatego, wielokrotnie, po solidnym napaleniu się i napiciu, najlepiej słuchać piosenki, która niemal nie ma słów, na przykład Jimmy'ego Hendriksa, wściekłego jazgotu gitary i odległego głosu, gubiącego się zawsze pośród podmuchów wichru, podniecającego nas rytmem, sprawiającego, że zamykamy oczy i zapominamy o nas samych i o mieście, w którym się urodziliśmy i do którego w jakiś cudowny sposób dociera ta muzyka, powstała tak daleko, po drugiej stronie oceanu, którego ja nie tylko nie przebyłem, ale nawet nie widziałem.

Mówię o kimś obcym, kim byłem i już nie jestem, o zjawie nieznanego, którego prawdziwa tożsamość byłaby żalosna albo godna politowania, gdybym się z nią zetknął, gdybym na przykład nie zgubił pisanych wtedy dzienników i mógł je teraz ponownie przeczytać, rumieniąc się ze wstydu, jak sądzę, z żalu i litości nad nim, nad sobą samym i nad jego cierpieniami i pragnieniami, nad jego absurdalną i skazaną na niespełnienie miłością i nad jego plemiennym pojmowaniem przyjaźni. Być może odnajdę to w muzyce, w ówczesnych piosenkach, których teraz ponownie słucham i wzruszają mnie tak samo, jakby czas nie upłynął i jeszcze można było tego kogoś wywyższyć albo poprawić, przyporządkować mu wiedzę, która dla nas nie była dostępna, ironię i szczęście, które niemal nigdy, wtedy i później, nie przestały być wyobrażane: jeźdźcy w burzy, my trzej, wyobrażamy sobie, że uciekamy, z naszymi marzeniami o San Francisco i wyspie Wight i naszymi nieprzejednanymi twarzami z Maginy, jeźdźcy w burzy, spacerujący w niedzielne popołudnia po placu generała Orduña i po ulicy Nowej, z wygłodniałą melancholią łypiący okiem na dziewczyny, wydający tych kilka monet kieszonkowego na grę w piłkarzyki w salonie gier Maciste, kupujący krótkie papierosy celtas w podcieniach, wchodzący do Martosa, żeby w otwór grającej szafy wsunąć nasze ostatnie pesety i zamknąć oczy, pić piwo i wyobrażać sobie, że palimy marihuanę, a nie papierosy z czarnego tytoniu. Feliks nie lubi przychodzić z nami do Martosa, zauważam, że oddala się ode mnie, podoba mu się łacina i muzyka klasyczna, a ja wolę angielski i muzykę pop, kiedy zbieramy się przy grającej szafie, jak wokół ognia, który nas ożywia, Feliks robi znudzoną minę i w roztargnieniu wystukuje nogą rytm, nie pije piwa, prawie nie pali, nie rozmawia o kobietach, myśli tylko o tym, jak dostać dobre oceny, żeby mu przyznali stypendium, bo jego ojciec ciągle leży unieruchomiony w łóżku i niedługo umrze, a matka pcha jego i braci do przodu, myjąc podłogi w domach bogatych ludzi. Feliks chodzi po ulicach, pogwizdując po cichu barokowe adaggio, niemal natychmiast żegna się z nami i idzie do biblioteki publicznej robić tłumaczenia z łaciny, wygląda na to, że żyje tylko po to, w domu zawsze ma włączone radio, ale nie słucha *Listy czterdziestu* ani *Do młodych*, lecz nigdy nie kończących się programów z muzyką poważną. Czasem wydaje mi się, że nie jest mi wiemy, naszej przeszłości na ulicy Fuente de las Risas, kiedy wymyślałem historie, żeby opowiadać je tylko jemu, ale być może, mówię do siebie z wyrzutami sumienia, prawda jest zupełnie inna – to ja nie jestem mu wierny, wolę spędzać czas z Martinem i Serrano, bo im podobają się te same piosenki i wstrętem napawają ich lekcje i życie w Maginie, i chcą sobie zapuścić włosy i chodzić w zniszczonych džinsach z hippisowskimi napisami, i palić marihuanę i haszysz.

Praxis mówi, że nie chce być typowym nauczycielem, który zadaje pytania i wymaga odpowiedzi z pamięci, że on poszukuje innego sposobu nauczania, innej *praxis*, powtarza nieugięcie, a często mówi także „po prostu właściwie”, jeśli wywołuje nas do odpowiedzi, to po to, żeby nawiązać dialog jak równy z równym, ale będzie pytał, jasne, że będzie pytał; otwiera zeszyt, w którym ma zapisane nasze nazwiska, aja kurczę się instynktownie w ostatniej ławce, jakbym chciał osłonić się przed strzałem, ale tym razem mam szczęście, poległ inny, siedzący w ławce przede mną Patricio Pavón Pacheco, który na klasówkach zawsze siada obok mnie, żeby odpisywać, nie ma pojęcia o literaturze ani o *praxis*, ani o historii, ani nawet o religii, i podrabia zwolnienia lekarskie, żeby iść palić i pić anyżówkę w

Martosie podczas lekcji gimnastyki, podczas lekcji rysunku posługuje się linijką i cyrklem jak pałeczkami i gra na wyimaginowanej perkusji, śpiewając po cichu *Get on your knees* zespołu Canarios albo te beznadziejne piosenki, które zaczynają się pojawiać, kiedy zbliża się lato. Ma długie i tłuste włosy, na lekcjach nigdy nie zdejmuje okularów przeciwsłonecznych w złotych oprawkach i z zielonymi szklami, nosi obcisłe koszule i dzwony, i pasy z wielkimi metalowymi klamrami, mówi, że w niedzielę poświęca się podrywaniu służących i pali mentolowe papierosy z jasnego tytoniu, zapalając je legionową zapalniczką. Patricio Pavón Pacheco jest dumny ze swego nazwiska, wpisuje inicjały w pacyfkę, nic go nie obchodzi szkoła, bo chce zostać legionistą i podrywać zagraniczne dziewczyny, mówi, że wakacje spędza, pracując jako kelner na Majorce, i że nie wystarczy mu zerznąć tyle Niemek, Szwedek i Holenderek, ile się da. Kiedyś w tajemnicy pokazał mi pod ławką małe zawiniątko, delikatnie odwinął aluminiową folię i powąchał je, po czym podał mi, zachęcając, bym też spróbował, i ten słodki, przejmujący zapach, który nie jest podobny do żadnego innego, przejmuje mnie strachem i ciekawością, hasz, mówi szeptem swym obleśnym głosem, dasz macha lasce i wariuje, zwłaszcza jeśli zmieszasz go z cubalibre i mentolowymi papierosami. Praxis na katedrze wypowiedział jego dwa nazwiska, patrząc na klasę, jakby nie wiedział, o kogo chodzi, „Pavón Pacheco”, a on, jakby już był w Legii i rozbrzmiały pierwsze takty hymnu, wstał, uniósł rękę i powiedział „Patricio”, ruszył, kołysząc się, pomiędzy rzędami ławek, znacznie wyższy niż w rzeczywistości dzięki niebywale wysokim podeszwowym modnych butów, z kciukami wetkniętymi za klamrę pasa, nie kłopotząc się zabieraniem ze sobą zeszytu, bo i tak nie napisał rozprawki o zapomnianym poecie z Maginy, który tak się spodobał Praxisowi. Stanął plecami do tablicy, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i na rozstawionych nogach, łypiąc kątem oka na nauczyciela, nie zdejmując okularów, jak piosenkarz na scenie, i w chwilę potem, kiedy otrzymał od Praxisa kazanie na temat tego, co nauczyciel nazywa autoodpowiedzialnością, wraca do ławki i zanim siada, uśmiecha się do mnie i zdaje mi się, że puszcza do mnie oko, bezczelny i szczęśliwy, z nieskrępowaną próżnością stręczyciela. Po Praxisie widać wyraźnie, że jest nowy, siada na czyjejs ławce, zamiast siedzieć przy nauczycielskim stole na katedrze, i mówi, że chce być naszym kolegą i że na koniec roku nie będziemy mieli zwykłych egzaminów, z czego Pavón Pacheco pochopnie wysnuł wniosek, że nauczyciel jest obibokiem, ćwokiem i leserem. Podczas gdy Praxis czyta na głos jakieś wiersze o wojnie, patrzę, jak Marina robi skłony na podwórku, i kręci mi się w głowie od patrzenia na jej kołyszące się pod koszulką piersi, wyobrażam sobie, że je pieszczę, ujmuję w dłonie, całuję sutki, które w moich snach miały ciemnozielony kolor, jak cienie na jej powiekach, i wstydę się tak samo jak po onanizowaniu się, wstyd i przede wszystkim przewlekły ból, jak u chronicznie chorego. Patrzę na plecy kolegów w ławkach przede mną, opuszczone ramiona, łokcie na książkach, wyobrażam sobie, że „uczą się” tak samo jak ja. Serrano odwraca się do mnie i daje mi znak, trąca łokciem Martina, śmiejemy się przez chwilę jak spiskowcy, a kiedy Praxis nieśmiało prosi o ciszę, ponownie wlepiają oczy w książkę, ja też patrzę na swoją i piszę w niej imię Marina. Niedługo skończę siedemnaście lat, a od czternastego roku życia jestem w niej zakochany, i choć jest moją koleżanką z klasy, rozmawiałem z nią zaledwie cztery albo pięć razy, prawie nigdy poza szkołą, rzecz jasna. Kiedy spotykamy się na ulicy, mówi mi „cześć” i jeśli mam trochę szczęścia, uśmiecha się do mnie, widać, że mnie nie zauważa, i niemal jestem za to wdzięczny, bo obojętność prawdopodobnie zmieniłaby się we wrogość, gdyby mnie zobaczyła tak, jak ja widzę siebie codziennie rano w kawałku lustra wiszącym w kuchni nad miednicą, w której myję się wodą przyniesioną przed świtem przez matkę ze studni i zagrzaną na kuchni, dokładnie tak samo robiła jej matka i babka, co za bieda!, nie mamy nawet łazienki. Chłapię się w wodzie z taką samą furią, z jaką myli się wujkowie, gdy byli dziećmi, czeszę się, starając się, żeby włosy zakryły mi uszy, patrzę na nos, który według babki przypomina rowerowe siodełko, robię przedziałek, zaczesuję grzywkę na oczy, to nic nie daje, zawsze będę miał twarz wieśniaka,

ogrodnika, chłopaka z Maginy, który mógłby być podobny do Jima Morrisona albo do Lou Reeda, z jego ciemnymi okularami, skórzanymi kurtkami, chudą twarzą, ale moja twarz jest jak bochen chleba, beznadziejna, nic nie pomoże jej ani grzywka, ani podniesiony kołnierz granatowej kurtki Gwardii Szturmowej, którą wydobyłem z dna szafy i wkładam czasem w wyrazie buntu przeciw rodzicom, a najgorsze, że jeszcze widać ślady po pryszczu, który wyskoczył mi na czubku nosa. To codzienna tortura, której później nie będę pamiętał, obrzydzenie na widok samego siebie, udręka, że się jest nagim i nie pożądanym, niekształtna broda, pryszcze na twarzy, zacięcia po gołeniu, koszule w pomarańczową kratę i swetry z warkoczami robione przez matkę, że już nie wspomnę o wstydzie z powodu majtek, kiedy robieramy się przed lekcją wf-u, białe płócienne majtki, sięgające mi do połowy uda, skrojone i uszyte przez matkę albo babkę, wielkie jak spodenki piłkarzy, nawet Martín i Serrano się ze mnie śmieją, bo oni noszą modne majtki, które w telewizji nazywa się *slip*, przylegające w pachwinach. Nie mówiąc już o upokorzeniu, jakie spotyka mnie z powodu nieumiejętności wykonania skoku przez kozła ani przez ten straszny przyrząd, który zwą skrzynią, ruszam biegiem, trzęsąc się ze strachu, i kiedy powinienem zmusić się do skoku, stoję jak wryty, jak przerażony muł, zapierając się nogami w ziemię, z rękoma zwieszonymi wzdłuż ciała, to bez sensu, nigdy się nie odważę. Nauczyciel gimnastyki, pan Matías, który uczy nas też kształtowania ducha narodowego, wydziera się na mnie i wyzywa od tchórzy, a nawet mnie popycha, ale nie mogę, nie potrafię, jestem tak niezręczny jak największe klasowe tłuszciochy, pluton niezguł, tak nazywa nas don Matías, i wtedy przypominam sobie, jak ojciec kazał mi jednym skokiem wsiąść na grzbiet klaczy, a ja spróbowałem i zawisłem w połowie, potem osunąłem się niechlubnie po zadzie, chcąc uczepić się grzywki, po czym odwróciłem się w jego stronę ze spuszczoną głową, żeby nie widział, że się zaczerwieniłem, żeby nie widzieć jego rozczarowania. „Ale ty masz mało ikry”, mawia, kiedy nie potrafię czegoś zrobić, kiedy jednym skokiem nie dosiadam klaczy albo nie mam dość siły, żeby podciągnąć jej popręgi, albo żeby zarzucić na plecy worek z warzywami. Bez wątplenia powtórzy mi to też tego wieczoru, kiedy przyjdę do ogrodu i będzie na mnie zły, bo się spóźnię. Zadzwoni dzwonek, dziewczyny znikną z podwórka, Marina też, będą się kąpać i wyjdą nagie i otulone wilgotnymi ręcznikami na korytarz szatni, z mokrymi włosami opadającymi na twarze, z błyszczącą skórą; tego nie potrafię sobie wyobrazić, nigdy nie widziałem nagiej kobiety, nawet na zdjęciach, włożą lekkie bluzy, dzinsy i adidasy i wyjdą na ulicę z torbami na ramieniu, żeby spotkać się Bóg jeden wie z jakimi starszymi i wyższymi ode mnie facetami, a jeśli będę miał szczęście, spotkam się z nią i ona powie mi „cześć”, a jeśli nie będę miał szczęścia, wyjdę szybko z książkami pod pachą i nawet nie poczekam na Martina i Serrano ani nie zatrzymam się, żeby posłuchać płyty w Martosie, bo czeka na mnie ojciec. Muszę czym prędzej wrócić do domu i zmienić ubranie, muszę włożyć stare buty i spodnie i jak najszybciej zejść drogą pomiędzy polami, żeby pomóc ojcu załadować warzywa na klacz, a potem zawieźć je na rynek, gdzie będzie je sprzedawał następnego dnia przed świtem, w białej marynarce i z tym nie znanym nam uśmiechem, bo rezerwuje go dla swych klientów, kobiet, które codziennie coś u niego kupują i żartują z nim, i mówią mu, to niemożliwe, jak ty młodo wyglądasz. I to prawda, myślę teraz, w korytarzu, kiedy jeszcze rozbrzmiewa dzwonek i otwierają się drzwi wszystkich klas i powietrze wypełnia się głosami i zapachem dziewcząt, na rynku zdaje się znacznie młodszy niż w domu albo w ogrodzie, czy to dlatego, że patrzy i śmieje się otwarcie, a w jego głosie słychać radosną nutę. Nie wiem jednak, kim jest ani jaki jest, i zacznę go rozumieć dopiero, kiedy miną lata, a wraz z nimi nienawiść, osłabnie konieczność buntowania się przeciwko niemu i zacznę odkrywać, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni.

Wyszedłszy z klasy, zgubiłem Martina i Serrano. Idę korytarzem, zerkając kątem oka na gołe nogi dziewcząt, tych najodważniejszych, które nie poddają się zimnemu wieczornemu

wiatrowi końca października; niemal wszystkie noszą teraz rajstopy albo kolanówki. Schodzę po schodach, unoszony strumieniem uczniów wysypujących się z klas, kiedy dzwoni dzwonek, chcę iść wolniej, aby dać jej czas na ubranie się i pojawienie z nie umalowaną twarzą i torbą na ramieniu, lecz inni popychają mnie i szybko docieram do holu, szukam kogoś, Martina i Serrano, którzy już pewnie czekają przed szkołą, na chodniku po stronie Consuelo. Zamiast wyjść, udaję zainteresowanie listą ocen wywieszoną na tablicy informacyjnej i dyskretnie spoglądam w stronę szatni dziewcząt; wychodzą niektóre koleżanki Mariny, z mokrymi włosami, w spódniczkach mini, białych skarpetkach i sportowych butach, ale ona nie, może już wyszła, i wtedy ogarnia mnie strach i zazdrość, czy wyszła jak najszybciej, żeby spotkać się z kimś, tym wysokim, starszym facetem, ubranym na czarno, z którym ją widziałem kilka razy? Muszę się spieszyć, jeśli natychmiast nie wyjdę, już jej nie zobaczę, nie ma jej na schodach ani w korytarzu, pod drzewami też nie, może poszła do Martosa, przechodzę przez ulicę, nie zwracając uwagi na światła, nie tylko z powodu pośpiechu, ale też z braku nawyku, bo założyli je bardzo niedawno. Zaglądam do restauracji hotelu Consuelo, przysuwając twarz do szyby, do której jest przyklejony plakat Rzeźnika z Maginy, ale Mariny nie ma przy barze. Omiatam wzrokiem starszego człowieka, który wydaje się obcokrajowcem, w okularach, z muszką, w ciemnym garniturze. Popołudniowy październikowy wiatr pachnie deszczem, przechodzę obok garaży Gamonia, skąd dobiega obrzydliwy, a zarazem podniecający smród benzyny i opon, wchodzę do Martosa i zaraz po pchnięciu szklanych drzwi serce podchodzi mi do gardła i kurczy mi się żołądek w przeczuciu nieszczęścia, na pewno tu jest, myślę, niemal potrafię wyczuć w powietrzu zapach jej perfum, ten sam, który wyczuwam, gdy wchodzę spóźniony na lekcje i jeszcze jej nie widzę. Jednak przy długim cynkowym barze nie ma nikogo, nawet moich przyjaciół, a światła szafy grającej mrugają w półmroku w głębi baru. Rozbrzmiewa piosenka *Proud Mary*, nie wersja Credence, ale Ike'a i Tiny Turner. W powietrzu wibrują ciężko perkusja i bas. Idę na koniec baru, gdzie znajdują się drzwi wychodzące na mały ogródek, gdzie jest wejście do dyskoteki – Acuario's – do której ciemnego pomieszczenia moi koledzy i ja nigdy nie weszliśmy, a na jednej ze stojących pod ścianą kanap widzę obejmującą się i całującą parę, korzystającą z samotności i półmroku, ciemne włosy, może Mariny, gołe nogi, pomimo październikowego chłodu. Nie zdając sobie z tego sprawy, przyglądam się kochankom, jak się całują, z uczuciem ulgi, bo okazuje się, że to nie jest Marina, i z zazdrością, bo ja nigdy nie całowałem ani nie obejmowałem kobiety, patrzę na jej masywne uda i na łapczywą, doświadczoną dłoń, która przebiega po nich od kolan i wsuwa się pod spódniczkę, a potem wspina się gwałtownie i ściska jej piersi. Dopiero zwróciwszy uwagę na sygnet i srebrną bransoletkę błyszczącą na nadgarstku, odkrywam, kto to jest, chociaż jego twarz skrywa się we włosach dziewczyny, rozpoznaję dzwony i buty na słoninie, i tłuste włosy oraz grzywkę Patricia Pavona Pacheco. Nie zdjął przeciwsłonecznych okularów i kiedy odsunął się od dziewczyny, wycierając sobie usta, na pewno nie było mu łatwo rozpoznać mnie przez ich zielonkawe szkła. Pozdrawia mnie swym małpim uśmiechem, zaprasza, żebym usiadł z nimi i zamówił coś do picia, miętowy likier z lodem, sugeruje, pokazując dwa kieliszki z przezroczyście zielonym płynem, którego nawet nie spróbowali, i robi bezwstydnym gest, wskazując na dziewczynę o pospolitej i bardzo mocno umalowanej twarzy, ma bardzo duże piersi i uśmiecha się do mnie w sposób, który wprawia mnie w zakłopotanie, jakby zapraszała mnie do czegoś i jednocześnie nabijała się ze mnie. Nie chodzi do liceum, na pewno, nie jest też obca, czy to przypadkiem nie służąca z opowieści Pavona Pacheco, który w przerwach pomiędzy lekcjami pokazuje mi tajemnicze opakowania kondomów, uczy mnie terminologii, jak twierdzi – nazw pozycji, zboczeń, chorób wenerycznych – i udziela mi porad dotyczących kobiet, jakie powinienem wybierać: służące biorą do buzi, kurwy mają serce, zakochanie się to przypadłość pedałów, wszystkie laski zza granicy przyjeżdżają do

Hiszpanii po jedno, problem w tym, że niemal żadna nie przyjeżdża do Maginy, wszystkie zostają na Majorce albo na Costa Brava, albo na Costa del Sol.

Muszę iść, odpowiadam, nie odważam się go zapytać, czy widział Marinę, bo przeczuwam, że by się ze mnie śmiał, kiedy spoglądam po raz ostatni, domniemana służąca pochyla się nad stołem, żeby wziąć kieliszek, i widzę rozchyloną bluzkę i zagłębienie pomiędzy jej białymi ściśniętymi piersiami. Prawie się rumienię, dobrze chociaż, że zielone okulary i półmrok nie pozwalają Pavonovi Pacheco odkryć mojego zmieszania, mówię im cześć i już mnie nie widzą, bo znowu się całują, wciskając sobie języki w usta, oblizując sobie nawzajem brody i wargi i oddychając bardzo głośno, jakby się dusili. Teraz z szafy grającej syczy się erotyczna piosenka, którą Pavón Pacheco kazał sobie przetłumaczyć i która według niego jest niezła do przytulania i macania, *Je t'aime, moi non plus*. Wychodzę na ulicę, myśląc o bliskości i zapachu Mariny, kiedy przypadkiem siada obok mnie na lekcjach, i nie potrafię sobie wyobrazić, jak mogą smakować jej pocałunki. Przechodzę przez park, w którym nie ma już żadnego ucznia. Zegar na odległym placu generała Orduñi wybija szóstą i zaczynają bić dzwony we wszystkich kościołach Maginy. Przyspieszam kroku, pewnie już jej nie zobaczę, *take a walk on the wild side*, myślę, wyobrażam sobie, że chodzę jak wilk po ulicach Nowego Jorku albo Paryża, że mieszkam sam i mam dwadzieścia lat, a nie szesnaście. Schodzę ulicą Świętego Jakuba aż do ulicy Nowej, gdzie ona może teraz z kimś spacerować, może zobaczę ją na ulicy Mesones, gdzie jest lodziarnia, w której widziałem ją kilka razy, ale lodziarnię już zamknięto, albo na placu, na który mogła pójść kupić papierosy w kiosku w podcieniach. Kupuję jednego celta, zapalam go i zaciągam się, oglądając przez chwilę plakaty w Ideal Cinema, z książkami i zeszytami pod pachą moja samotna i niespokojna postać odbija się w szybach Monterrey, w przygnębieniu zwracam oczy ku wieży z zegarem wskazującym już kwadrans po szóstej; jeszcze nie wiem, że w ten sposób będę żył przez większość mego przyszłego życia, chodząc samotnie po miastach, podobnych do Maginy, w smutku poszukując kogoś, przyjaciela albo kobiety, która zawsze będzie wyglądać mniej więcej tak samo, choć zmieniać się będą jej rysy albo kolor włosów czy oczu, naglony zegarami wskazującymi obowiązki i granice, zagubiony tak jak teraz, w ten październikowy wieczór, patrząc kątem oka na swoje odbicie w szybach barów albo sklepowych wystaw, wymyślając siebie samego jako postać z powieści albo z filmu, która nigdy w pełni nie wnika w historię.

Schodzę podcieniami w dół i gdy docieram do narożnika ulicy Gradass, kusi mnie, żeby zerknąć do salonu Madste, gdzie moi koledzy pewnie grają w bilard, ale zrobiło się już późno, zbyt późno. Przez całe życie będę nosił w swej świadomości nieustannie tykający zegar. Odrzucam możliwość spotkania ich i ruszam po stronie Rastro w kierunku Cava i dzielnicy Świętego Wawrzyńca, jeśli się pospieszę, dotrę do ogrodu ojca przed zmrokiem. Salony fryzjerskie, tawerny cuchnące sfermentowanym winem, z sztyldami w kształcie telewizorów, samochody zaparkowane pomiędzy akacjami, które zostaną ścięte za kilka lat, obszerne tereny zburzonych pałaców, gdzie stawia się magazyny o betonowych filarach i stalowych stropach, światła dopiero co zainstalowane na skrzyżowaniu Rastro i Szerokiej, przy których wielu ludzi zatrzymuje się nie po to, żeby przejść na drugą stronę, ale żeby popatrzeć, jak mruga zielony człowieczek i przekształca się w czerwonego człowieczka stojącego na rozstawionych nogach, szersze chodniki i ogrody przy Cava, schodzące w dół ku punktom widokowym z południowej strony miasta, wzdłuż murów, gdzie co wieczór spacerują pary zakochanych; zawsze chodziłem po mieście, nie patrząc na nie, nienawidząc go, tak dobrze je znałem, wyrzekałem się go, wierząc, że jest niezmiennie i statyczne, i nie zdawałem sobie sprawy, że zaczęło się zmieniać i że któregoś dnia, gdy wrócę, nie będę mógł go rozpoznać. Miałem właśnie skręcić w ulicę Pozo, kiedy mimowolnie spojrzałem na ogrody otaczające statwę podporucznika Rojasa i zobaczyłem mężczyznę i kobietę idących w moim kierunku pomiędzy krzewami róż i mirtu. W fioletowym już świetle wieczoru nagły ból pozwolił mi odróżnić Marinę z większą wyrazistością niż źrenice; jeszcze była ubrana w dres i adidasy,

ale zamiast torby przez ramię miała przewieszony sportowy plecak, zostawiła jednak rozpuszczone włosy i na ramiona zarzuciła kurtkę. Razem z nią szedł wysoki facet, którego nigdy nie widziałem. Szli, nie dotykając się, on w napięciu słuchał czegoś, co Marina mu wyjaśniała, gestykulowała i patrzyła na niego, jakby chciała się upewnić, że ją rozumie. Znałem te gesty, bo wielokrotnie obserwowałem je podczas lekcji. Na kilka sekund zamarłem w bezruchu na rogu ulicy, patrzyłem, jak się zbliżają, przekonany, że mnie nie widzą, zajęci rozmową, przerywaną od czasu do czasu śmiechem Mariny. Nie zauważyliby mnie nawet wtedy, gdybym nie ruszył się z miejsca, a oni przeszliby obok mnie, nawet gdyby ona na chwilę zwróciła ku mnie swe wielkie zielone oczy i powiedziała cześć. Odwróciłem się, jeszcze bardziej spuściłem głowę i ruszyłem w stronę domu po bruku ulicy Pozo, a kiedy ponownie usłyszałem śmiech Mariny, poczułem w przyływie zazdrości i upokorzenia, że śmieje się ze mnie, z mojej twarzy, z mojego nieszczęścia, z mojej miłości, z dzielnicy, w której mieszkam, i z życia, jakie wiodę.

W domu, w jadalni matka i babka Leonor szyły, prawie po ciemku, siedząc przy słabym świetle mżącym przez okno i słuchając w radiu *Gabinetu pani Francis*. Wszedłem bez słowa, struty niepowodzeniem, odłożyłem książki na stół i nie odpowiedziałem, kiedy matka powiedziała, żebym się pospieszył z przebieraniem, bo przyjdę do ogrodu za późno. Poszedłem na górę do swojego pokoju, nastawiłem na adapterze płytę Animalsów i słuchając jej, starając się powtarzać słowa, naśladowując akcent Erica Burdona, zdjąłem dżinsy i niebieską wojskową kurtkę, i adidasy i włożyłem ubranie do pracy w polu, jakbym z obowiązku wkładał nikczemny uniform, stare buty z kawałkami zaschniętej gliny, lniane spodnie śmierdzące gnojem, wielki szary sweter, który należał do ojca. Krzychałem bezgłośnie, poruszałem ustami i było tak, jakby głos Erica Burdona należał do mnie. Przed lustrem próbowałem zrobić podobnie dziką i straszną minę, zaczesalem włosy do tyłu, odsłaniając uszy, i zmoczyłem je wodą, żeby ojciec nie stwierdził, że są za długie. Zbiegłem po schodach i wyszedłem na plac Świętego Wawrzyńca, nie zatrzymując się w jadalni, bez słowa pożegnania. Myślałem, że za rok wyjadę, obiecałem sobie, że już nigdy nie wrócę, przysięgałem samemu sobie, że jeśli ojciec zapyta mnie, dlaczego przychodzę tak późno, nie odpowiem mu. Kiedy przyszedłem do ogrodu, zapadł już zmrok, ojciec skończył ładować warzywa na klacz i spojrzał na mnie bez słowa, kiedy powiedziałem, że musiałem zostać w szkole do wpół do siódmej. W domku przy ognisku z lętów karczochów wujek Pepe, wujek Rafael i porucznik Chamorro skręcali papierosy i podawali sobie z rąk do rąk butelkę wina, opowiadając historie z wojny i wspominając majora Galaza. „Widziałem go wczoraj” – mówił porucznik Chamorro – „przysięgam, że go widziałem”. Pomyślałem z pogardą, z urazą, niemal z nienawiścią, że są jak trupy, że w ten sposób spędzają większość swego życia, bezwolni, przywiązani do ziemi, przywołujący duchy.

OBUDZIŁ SIĘ BEZ ŻADNYCH OZNAK zmęczenia czy niewyspania, trochę przed świtem, kiedy za oknem widać było jeszcze ciemność nocy, i leżał w bezruchu, z otwartymi oczyma, czujny, bez żadnej przyczyny, nasłuchując oddechu córki śpiącej w przyległym pokoju. Był jednak przekonany, że coś go obudziło, nie przestrach we śnie, lecz jakieś rzeczywiste wydarzenie, poruszył się i chciał, niczym myśliwy, żeby ten dźwięk powtórzył się teraz, kiedy on był przygotowany i mógł określić jego naturę i pochodzenie. Budząc się, rozpoznał bowiem impuls z młodości, trwożną i niespodziewaną energię poranków w koszarach, a potem spokój, który tak bardzo lubił, kiedy był kadetem i otworzywszy oczy, stwierdził, że jeszcze nie nadszedł czas pobudki. To właśnie śnił, że trąbili pobudkę, że wrócił do wojskowego internatu albo do akademii i że jeśli natychmiast nie wyskoczy z łóżka, spotka go kara. Zapalił lampkę na nocnej szafce, włożył okulary i spojrzął na zegarek: była siódma rano. I dokładnie w chwili, kiedy sekundnik zbliżył się do dwunastki, usłyszał bardzo daleki i słaby dźwięk, który wzruszył go, jakby jeszcze trwał bezwstyd snu; trąbiono pobudkę w koszarach w Maginie i zachodni wiatr przynosił ledwie słyszalną melodię, jakby rozbrzmiewała w otchłani czasu. Spał przy otwartym oknie, bo przed snem wypił więcej, niż mogłaby zaakceptować córka, i nie chciał, by wyczuła alkohol, kiedy przyjdzie po niego; po ulicach nie jeździły jeszcze samochody i w ciszy poranka dźwięki miały przejmującą dreszczem wyrazistość, jak kolory pejzażu w świetle czystego listopadowego dnia. Ptaki śpiewały w pobliskim parku, słychać było pierwsze dzwony kościołów, zegar na placu generała Orduña wybił siódmą chwilę potem, kiedy ucichło już echo trąbki, major Galaz nieruchomo leżał w pościeli, wyobrażając sobie tumult na schodach koszar, zaspane, przestraszone twarze biegnących na zbiórkę żołnierzy, jeszcze niekompletnie ubranych, czapki z tyłu głowy, nie zapięte pasy, najmniej zwinni zostawali w tyle albo byli odpychani przez pozostałych, szorstkie krzyki kaprali i dyżurnych sierżantów.

Nie ogolone twarze, rozczochrane włosy, niedomyte ciała, wydzielające zapach nocy, koców i starych mundurów, znudzone spojrzenia, pełne strachu, melancholii, głodu. Zbiórka kończyła się stukotem butów i uderzeniem otwartą dłońią o biodro. On też wstawał o siódmej w swej sypialni w oficerskim pawilonie, nawet gdy nie miał służby. Wyskakiwał z łóżka, jakby męczyło go pozwalanie sobie na chwilę lenistwa, i robił trzydzieści szybkich i sprężystych pompek, ani razu nie dotykając brzuchem podłogi, po czym wstawał jednym skokiem, brał zimny prysznic, który ostatecznie wprowadzał go w brutalną jawę i dyscyplinę. O siódmej piętnaście ordynans przynosił mu kawę, gorącą i bez cukru, zwykle zastawał go stojącego nieruchomo przy otwartym oknie, czasami trzymał jeszcze brzytwę i powoli wycierał jej ostrze o ręcznik, jakby brzytwa była bronią, a słoneczne światło oznaką ataku wroga. Miał doskonałą pamięć do nazwisk i pamiętał nazwisko swego ostatniego ordynansa: Moreno, Rafael Moreno, chudy chłopak o długim i spiczastym nosie, z wielkimi uszami, powolność jego ruchów zdradzała charakterystyczną chłopską ospałość. Zostawiał serwis na sosnowym stole, gdzie zawsze leżał pistolet w kaburze i książka obłożona w gazetę, przed wyjściem niezręcznie stukał obcasami i stawał na baczność, bardzo mocno odchylając głowę do tyłu. „Jeszcze jakieś rozkazy, panie majorze?”, „Dziękuję, Moreno, proszę zaraz przynieść mi buty”. Czyste buty, błyszczące od tłuszczu, wypolerowane sprzączki, czapka przechylona trochę na lewo, w sposób wystudiowany przed lustrem. W łazience zobaczył siebie

rozczochanego, w piżamie, z szarosiwym zarostem, z bladą i trochę obwisłą skórą na szyi. Żeby się dobrze ogolić, włożył okulary, zwracał uwagę na to, żeby szum wody nie obudził córki. Niezmienny porządek przedmiotów, słów i godzin, każdego pojedynczego gestu, spojrzenie wyszukujące w lustrze jakiegoś śladu słabości albo snu, opuszki palców prześlizgujące się po skórze na brodzie, aby sprawdzić, czy nie wyczuje jakiejś szorstkości, najmniejszej niedokładności przy goleniu, książka obłożona, żeby nikt nie przeczytał jej tytułu, i przed wyjściem zamykana na klucz, uwaga zatrzymana przez kilka sekund na dolinie, gdzie wstawał świt, za oknem, na postaci bezimiennego jeźdźca, który gna przez noc i zdaje się młodnieć w blasku dnia. Jarzeniówka nad lustrem w łazience przydawała jego skórze nadmiernej bladości i podkreślała zmarszczki w kącikach ust i wory pod oczyma. Jego oddech śmierdzał alkoholem; para zamgliła lustro i przestał widzieć swoją twarz. Wydatna broda, zaciśnięte szczęki, proste spojrzenie, zacięte i puste jak wykrzykiwany rozkaz. Teraz byłby co najmniej generałem dywizji i w niedzielne poranki, po mszy, w galowym mundurze z generalską szarfą i piersią lśniącą od orderów z oddaniem popychałby wózek inwalidzki tej kobiety z siwymi włosami i otwartymi ustami, która nawet na niego nie spojrzała, gdy go mijiała. Jej głowa kołysała się, jakby już nie trzymały jej mięśnie szyi, miała różaniec zapleciony pomiędzy palcami. Co za ulga, obudzić się samemu w koszarach Maginy, w pokoju, w którym nie było nic poza stołem, małą półką i reprodukcją na ścianie i gdzie nie wchodził nikt poza nim i jego ordynansem, bo nie miał zwyczaju, w przeciwieństwie do innych oficerów, po ogłoszeniu ciszy nocnej zapraszać towarzystwa na pijaństwo i karty, i na grubiańskie rozmowy o kobietach. Nikt nie znał jego sekretu: tak bardzo nie czuł się powołany do służby wojskowej jak do czegokolwiek innego. Tak jakby urodził się bez jakiegoś wewnętrznego organu, który mają inni ludzie, ale którego brak jest niezauważalny i do pewnego stopnia może być skutecznie skrywany. W miejscu owego organu, swego rodzaju flaka rozdzielającego dumę, odwagę i honor, major Galaz od czasów dorastania wyobrażał sobie wypełnioną powietrzem pustkę, pustą przestrzeń, jakby zapieczętowany sejf, nic w sobie nie skrywający. Istnieją jednak ludzie żyjący tylko z jedną nerką i tchórze stający się bohaterami w przyływie paniki.

Aby nie zostać odkrytym, przez pierwszą połowę swego życia przestrzegał gorliwie nawet najmniej istotnych zasad wojskowej dyscypliny. W internacie, w akademii, w garnizonach na półwyspie i w Afryce, gdzie służył od dwudziestego roku życia, widział, jak inni dopuszczają się zaniedbań, na które on nigdy sobie nie pozwalał. Pił bardzo niewiele, palił pięć albo sześć papierosów dziennie i zawsze robił to w samotności, w swym pokoju, nie dlatego, że obawiał się wzbudzić u innych podejrzenia co do swej słabości, lecz dlatego, że tytoń działał na niego jak narkotyk i rozsądniej było zażywać go w samotności. Dowódca garnizonu, pułkownik Bilbao, kolega jego ojca, zawsze zachęcał go do znalezienia mieszkania w Maginie – nie mógł wечно mieszkać w pokoju w pawilonie oficerskim, wyglądającym raczej jak klasztorna cela; lepiej nie być ciągle samotnym, sprowadzić jak najprędzej żonę i dziecko, zwłaszcza że małżonka była brzemenna. Pułkownik Bilbao miał siwe kręcone włosy, szyję wyciągał do przodu, co nadawało mu wygląd przyczajonego ptaka, i twarz fioletową od koniaku, napuchniętą od bezsenności. Jego gabinet znajdował się w południowej wieży pod tarasem z reflektorami, światła w oknach wychodzących na dolinę i na dziedziniec koszar nie gasły przez całą noc. O piątej czy szóstej rano drzemał w swym rzeźbionym drewnianym fotelu, w rozchełstanej wojskowej bluzie i ze strużką śliny ściekającą z dolnej wargi, mięsistej i czerwonej, która w jego bladej twarzy wyglądała jak świeża rana. Jego ordynans stukał do drzwi pokoju majora Galaza i w imieniu pułkownika prosił go, by był tak dobry i udał się do jego gabinetu. „Galaz, gdyby nie pańska sympatia i gotowość odwiedzania mnie o tej porze już dawno palnąłbym sobie w łeb”. Pułkownik Bilbao tamtej lipcowej nocy, kiedy strzelił sobie w skroń, także zdawał się drzemać w fotelu, z rozpiętą bluzą i głową spuszczoną na piersi, ale strużka śliny tym razem była czerwona i gęsta, zaplamiła kartkę papieru z

emblematem garnizonu, na której pułkownik napisał tylko nazwę miasta i datę. Pułkownik Bilbao miał w Madrycie rozwiedzioną córkę, którą podejrzewał o działalność polityczną i libertynizm, oraz tępego syna, którego nienawidził, bo w wieku trzydziestu lat był zaledwie sierżantem bez przyszłości i powołania.

Pułkownik Bilbao znakomitą część bezsennych nocy trawił na pisaniu obraźliwych listów do swych dzieci i zawsze darł je na strzępy o poranku. Siedząc naprzeciwko niego, major Galaz pił kawę, sączył brandy i słuchał w milczeniu. „Galaz, wie pan, po co mamy dzieci? Żeby nasze błędy trwały dłużej niż my”.

Zgasił światło w łazience i po cichu zamknął drzwi, ubierał się z taką samą starannością, z jaką robił to, kiedy nosił mundur i przygotowywał się do uroczystej defilady. Czysta koszula, złożona przez jego córkę i przechowywana w szufladzie, kamizelka, marynarka, niewielki znaczek uniwersytetu w klapie, muszka, kapelusz. Poranki były już chłodne, ale odrzucił płaszcz jako niegodne ustępstwo wobec starości. Po omacku wszedł do pokoju córki: spała, leżąc na boku, przytulona do poduszki, z półotwartymi ustami i z włosami przykrywającymi twarz, białawą w świetle wschodzącego słońca. Przewróciła się na drugi bok, powiedziała coś na głos, niezrozumiałe słowa po angielsku, po czym uspokoiła się i wyciągnęła się bardziej na łóżku. Córko moja, mój błędzie, moja spadkobierczyni, nie chciana ani nie zasłużona, która będziesz oglądać świat, kiedy ja już umrę, i będziesz nosić moje nazwisko i pielęgnować mą pamięć, kiedy nikt już nie będzie o mnie pamiętał. Zostawił jej kartkę na nocnej szafce; miał zamiar wrócić przed dziewiątą. W tej chwili żołnierze na pewno się myją i ścielą łóżka, poganiani przez kaprali, i za kilka minut zabrzmi trąbka na zbiórkę, a potem rozlegnie się sygnał zmiany warty. W hotelowym barze wypił herbatę z mlekiem. Jego żołądek nie tolerował kawy, ale major tak bardzo lubił ją wachać, że zawsze starał się znaleźć w pobliżu pijących kawę. Chciał zamówić kieliszek wódki, ale bał się, że później córka wyczuje ją w jego oddechu. Nic by mu nie powiedziała, ale spojrzałaby na niego z wyrzutem, ten sposób patrzenia był jedną z nielicznych cech, jakie odziedziczyła po matce; miała też jej kształt brody, kolor włosów i oczu, ale szczęśliwie nie chłód spojrzenia. Żył przez osiemnaście lat z kobietą, w której spojrzeniu nie było nic, patrzył w źrenice tak bezosobowe jak szkło lustra, a teraz nawet nie musiał próbować jej zapomnieć, żeby nie czuć się odpowiedzialnym za jej nieszczęście, chorobę i śmierć. Trudno mu było nie zapomnieć, ale wspominać ją. W niektóre noce budził się z wrażeniem, że słyszy bicie jej serca, brzmiające metalicznie, odkąd wszczepiono jej prymitywne sztuczne zastawki, jak groźba albo szantaż. Potem bicie ustało w szpitalnej sali i było tak, jakby ktoś w ich domu wyłączył telewizor, lubiła bowiem oglądać telewizję. Ani on, ani córka nie włączyli nigdy telewizora, stał teraz bezgłośny i bezużyteczny jak anachroniczny mebel, ze swym wypukłym szarym ekranem odbijającym pokój, którego ona nie będzie już sprzątać z neurotycznym zapamiętaniem, i fotel, na którym już nie przesiaduje, w swej wysokiej, sztywnej fryzurze i przesadnym makijażu, z przezroczystym kieliszkiem w ręku.

Metaliczne uderzenia rozbrzmiewały w piersi chorej kobiety niczym odgłosy niemrawej maszyny podtrzymującej w niej trudny rytm życia: werbel i grająca w oddali trąbka, dźwięki przynosił zachodni wiatr, w którym czuć było zapach nadciągającego deszczu. Przed wejściem do koszar stoi już warta i podoficer na pewno wciąga flagę na maszt. Major wyszedł z hotelu i powoli ruszył aleją przed siebie, pod wiatr, przechodząc obok dworca autobusowego, gdzie podnoszono już metalowe żaluzje, i obok ogromnych wystaw salonów samochodowych, mijał skostniałych z zimna urzędników, uczniów spieszących do szkoły, rolników prowadzących za uzdy zwierzęta. W miejscu dawnej stacji był teraz park z wielką fontanną pośrodku; nocą widział jej światła ze swego pokoju. Zszedł aż do ulicy Nowej, zatrzymał się przy szpitalu Świętego Jakuba, zamierzając kontynuować spacer w kierunku placu generała Orduñi, ale wtedy zobaczył przed sobą szeroką aleję z dwoma rzędami

kasztanowców, schodziła na południe i wydawała się kończyć nad morzem. Białe domy po obu stronach były niższe niż korony drzew, a w głębi, po prawej, na wysokim i zamglonym tle gór Maginy widać było zbiornik wody w koszarach. „Nie zgubi się pan” – powiedziano mu kiedyś na stacji – „jak dojdzie pan do końca ulicy Nowej, zobaczy pan zbiornik wody”. Tamtego poranka, kilkadziesiąt lat wcześniej, miał na sobie szary lniany garnitur, który wraz z opalenizną z Ceuty nadawał mu wygląd Hindusa. Miał ze sobą lekką walizkę, w której przywiózł tylko mundur z niedawno wyszytą na rękawach ośmioramienną gwiazdą, lederwerki i pistolet, kilka książek obłożonych w gazetę, zmianę bielizny. Był zmęczony podróżą i nie miał ochoty docierać tak wcześnie do koszar i zaczynać wyczerpującej ceremonii przedstawień, pozdrowień i oddawania honorów, prawdopodobnego spotkania dawnych kompanów, toastów kiepskim sherry w kasynie oficerskim. Wydaje się niemożliwe, będą mówić z entuzjazmem, ze skrywaną zawiścią i urazą, trzydzieści dwa lata i już jest majorem. W Ceucie jego żona, kiedy się o tym dowiedziała, kupiła dwie butelki szampana i zalała się łzami, gdy wznosili toast, zakrztusiła się i poplamiała sobie ciężową sukienkę. Miał zamiar zacząć szukać odpowiedniego mieszkania; któż bowiem mógł wiedzieć, jakie będzie to zagubione miasto, do którego go wystano, Mágina, jakie niewygody musiałaby znosić żona i dziecko, gdyby od początku mu towarzyszyli. We wspomnieniach i w snach czasem mylił je obie: córkę i żonę, matkę hiszpańskich żołnierzy z amerykańską bibliotekarką, z którą ożenił się dwadzieścia lat później wyłącznie dlatego, że zaszła w ciążę po tym, jak jeden jedyny raz się z nią przespał. Miały ze sobą coś wspólnego: obie były katoliczkami, do żadnej z nich nie czuł nic, co przypominałoby miłość. Mogłyby nawet wymienić się wyrzutami, jakie mu czyniły, nawykami tkania w ciemnych sypialniach za zamkniętymi drzwiami, w mściwej ciszy. Wspominał siebie lekkiego i samotnego w kwietniowy poranek 1936 roku, w nieznanym mieście, nie potrzebował nikogo i nie tęsknił za nikim, nie musiał udawać i przytakiwać, spacerował po brukowanych ulicach, na których zielenił się perz w ukośnych promieniach słońca, złotego i ciepłego o jedenastej przed południem, później zasiadł w kawiarni w podcieniach na placu, na którym stała wieża i otoczony akacjami pomnik generała, którego poznał, bo służył pod jego rozkazami w Afryce. Posąg był nadzwyczaj wierny modelowi: zarówno na placu w Maginie, jak i w wąwozach Maroka generał Orduña spoglądał na południe z osłupieniem i butą kogoś, kto zwycięża bitwy przez przypadek i nigdy nie zdoła pojąć, kiedy ani z jakich przyczyn katastrofalny beład przemienia się w zwycięstwo.

Teraz ulica prowadząca do koszar nie nazywała się Czternastego Kwietnia, lecz Osiemnastego Lipca; ta obrzydliwa data w jakiś sposób upamiętniała też wydarzenia z jego życia. Gdyby nie był sam, nie odważyłby się pójść tą ulicą; nie umiałby wyjaśnić córce, że nie tęskni za swym żołnierskim życiem, że nie poszukuje martwej i być może też wstydlivej scenarii przeszłości, lecz wyjaśnienia tajemnicy swego wówczas trzydziestodwuletniego życia, nieugiętego poświęcenia się zadaniu, które nigdy go nie interesowało: podporządkował się decyzji innych i przystosował się, gdy tylko przestał być dzieckiem, do wojskowej dyscypliny bez wysiłku ani własnej woli, jak gdyby nie istniało dla niego inne możliwe przeznaczenie. Gdy przechodził na drugą stronę ulicy Nowej przy budynku szpitala, wiatr wiejący od zachodnich wzgórz pokrytych oliwnymi gajami niemal zerwał mu z głowy kapelusz. Stromizna zmuszała go do szybszego marszu i sprawiała, iż odnosił wrażenie, że to nie on sam kieruje swymi krokami, co go uspokajało. Zdawało się, że ulica i horyzont rozszerzają się, a kasztanowce są wyższe. Przy otwartych na oścież drzwiach kobiety zamiatały i szorowały sienie, kilku mężczyzn w beretach, kurtkach z kożuszkami i w welwetowych spodniach objuczało muły przywiązane do ogrodzenia, po czym ruszali w stronę pól, zarzuciwszy na ramię powróż, na którym ciągnęli zwierzę. Gdy schodził ulicą, docierał do niego ciepły zapach stajni, słyszał fragmenty seriali i radiowych piosenek zmieszanych z piskliwymi głosami kobiet poganiających dzieci do szkoły, bo zaczęło się

robić późno. Dzieci w niebieskich fartuchach, z torbami przewieszonymi przez ramię, z wilgotnymi i przylizanymi włosami wychodziły z domu i przyglądały mu się z zainteresowaniem i obawą, a niektóre kobiety patrzyły na niego otwarcie i wracały do zamiatania, dopiero gdy przeszedł. Teraz już pozbył się tego absurdu strachu przed rozpoznaniem, który towarzyszył mu przez kilka pierwszych dni. Któż mógł go rozpoznać po tylu latach? Kogo z tych, którzy przeżyli, mógł interesować jego powrót, skoro on sam był już kimś innym i nie odnosił nawet wrażenia, że wraca? Tak nieznajomy jak wtedy, gdy przybył tu po raz pierwszy, tak ogołocoony ze wszystkiego, tak spokojny, doszedł do końca ulicy, do nagiej równiny przed ziemnymi nasypami, skąd widział dolinę, pogrążoną jeszcze w jasnoniebieskiej mgle, w której niknęły jak kolosalne korzenie podnóża Sierry. Po prawej, naprzeciwko domów, wznosił się budynek koszar z ciemnego kamienia, z wieżami na narożnikach, z blankami i glifami z czerwonej cegły oraz z czerwono-żółtym herbem piechoty, z otwartą bramą pomiędzy budkami strażniczymi. Po lewej, w kierunku wschodnim, na zadrzewionych zboczach wzgórz ciągnęły się resztki ruin murów miejskich Maginy, dachy i białe fasady punktów widokowych, kościoły z południowych dzielnic. Oto było miasto, które znał, które odkrywał pewnego kwietniowego poranka, spacerując z rękoma w kieszeniach spodni nadających mu wygląd turysty albo Hindusa, walizkę zostawił wtedy na przechowanie w kawiarni na placu generała Orduñi i towarzyszyło mu skrywane poczucie szczęścia, będące dla niego tak wartościowe, bo do tamtej chwili wiedział tylko tyle, że ono istnieje, a miało trwać zaledwie kilka godzin. „Panie majorze, już się martwiliśmy, czekaliśmy na pana z samego rana, a pułkownik Bilbao powiedział nam, że pan nigdy się nie spóźnia”. Gdy tylko zobaczył młodego porucznika stojącego przed nim na bacność i patrzącego na niego sztywnym spojrzeniem spod daszka czapki, wiedział, że jest to człowiek niebezpieczny. To jednak wydarzyło się później, po siódmej, kiedy zachodziło słońce. Przesiedział dwie godziny przy stoliku w podcieniach, otoczony gwarem męskich głosów, rolnicy stali w grupach, palili i zdawali się oczekiwać czegoś, co nieustannie się odwlekało, pozwolił sobie wtedy – wszak nikt nie miał się dowiedzieć – na piwo i wermut, przekąsił coś spokojnie w gospodzie przy ulicy Mesones, ciesząc się każdą banalną, lecz pamiętną minutą, zerkając przez okno na przechodzące kobiety; potem wybrał na chybił trafił ulicę z kawiarniami i sklepikami bławatnymi i nagle znalazł się na placu, który wydał mu się nieograniczony, z pałacami z żółtego kamienia i schodami, i podwórkami z marmurowymi kolumnami, i z kościołem w głębi, nad którego wejściem widniał relief przedstawiający centaury, a na innych budynkach szlacheckie herby przytrzymywały postacie kobiet z obnażonymi piersiami. Jak w nadmorskich miastach błękit rozpościerał się u wylotu niektórych ulic prowadzących na południe. Od czasu do czasu, pomiędzy uderzeniami zegara, słyszał daleki dźwięk trąbki w koszarach i monotonne bicie w werbel. Jednak z niezrozumiałych powodów, wszak zawsze żył pod presją zegara i obowiązków, nie spieszył się i wrócił do centrum Maginy, zdając się na przypadek i zapuszczając w cieniste zaułki i małe place z akacjami albo topolami, gdzie słycać było tylko głosy i szcęknięcie sztuków o talerze we wnętrzach domów, stukot końskich kopyt i kroki samotne, tak jak jego własne. Gdy minął jakiś zaułek, zaskoczyła go wieża, po której bluszcz wspinał się aż do żelaznego krzyża wieńczącego fasadę pałacu oskrzydłonego surowymi średniowiecznymi wieżami z rzędem gargulców. Potem nie wiedział, w którym miejscu miasta znalazł antykwariat, gdzie kupił reprodukcję Rembrandta, i zawiesił ją tego samego wieczoru na ścianie pokoju w pawilonie oficerskim. Chodził rozkojarzony i zmęczony, z powodu tak długiego marszu, piwai wermutu przez jakiś czas nie mógł zorientować się, gdzie jest, i postanowił kogoś zapytać. Sklep znajdował się na parterze jednego z pałaców z kamienia pociemniałego od wilgoci i porostów, a na okratowanej wystawie leżał bardzo stary, wielki łuk, miedziany moździerz, pokryty siateczką drobnych pęknięć dzban z niebieskiej porcelany oraz reprodukcja mrocznego obrazu, bez ram, z postrzępionymi ze starości brzegami i zwijająca

się jak pergamin. Młody mężczyzna na białym koniu, przemierzający nocny pejzaż. Za jego plecami znajdował się porośnięty drzewami stok góry i zarys budowli wyglądającej jak opuszczony zamek, lecz jeździec był do niego zwrócony plecami, z lekceważeniem, niemal z wyniosłością, lewą rękę wspierał na biodrze, na jego twarzy malował się zadumany spokój i arogancja. Bez wątpienia był żołnierzem, wojownikiem; miał na głowie czapkę, która przypominała tatarską, łuk, sajdak pełen strzał i zakrzywioną szablę w pochwie. Major Galaz, który zwykle nie zwracał uwagi na malarstwo ani na starocie, przez chwilę przyglądał się obrazowi na wystawie, po czym wszedł do sklepu i zapłacił za reprodukcję jakąś minimalną kwotę; sam zdziwił się tym, co zrobił, gdyż nie miał zwyczaju robienia sobie prezentów. Jednak już zawsze miał ze sobą ten obraz i zawsze zawieszał go na ścianie wszystkich pokoi swego przyszłego życia i wygnania. Teraz też przywiózł go ze sobą w tekturowej tubie, po raz kolejny zawiesił go i schował do tego samego futerału w dniu ostatecznego powrotu do Ameryki, a kiedy jego córka, osiemnaście lat później, po pogrzebie, poszła do magazynu domu starców, żeby odebrać należące do niego rzeczy, znalazła jedynie kufer fotografii z Maginy, hiszpańską Biblię i tubę, w której było pół tuzina wojskowych dyplomów i reprodukcja obrazu jeźdźca zuchwale i jakby lunatycznie przemierzającego ciemność.

Nie chciał podchodzić do bramy koszar; słyszał już kroki ćwiczących na żwirze dziedzińca żołnierzy i wydających rozkazy podoficerów. W wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat jeszcze śnił z niepokojem, że słyszy sygnał pobudki i nie ma sił, żeby wstać, albo nie może znaleźć jakiejś części munduru, tak więc zostanie aresztowany, gdy tylko dyżurny sierżant zrobi przegląd. Robiło się późno, była prawie dziewiąta; kiedy wróci do hotelu, córka będzie już znużona oczekiwaniem. Postanowił skłamać, kiedy go zapyta, gdzie był. Wrócił pospiesznie tymi samymi ulicami, prawie się nie rozglądając, zdumiony własną obojętnością. W recepcji powiedziano mu, że córka je śniadanie w barze. Zobaczył ją przez szyby, była wykapana, miała mokre włosy i zaspaną twarz, wydała mu się daleka, rozmawiała z kimś przy barze. Miał zamiar pchnąć drzwi, ale ciekawość i zazdrość instynktownie kazały mu się zatrzymać; córka rozmawiała z mężczyzną, którego nie znał, niezbyt młodym, trzydziestoparoletnim, uśmiechała się do niego i z uwagą pochylała w jego stronę.

W CISZY BUNTOWAŁEM SIĘ PRZECIWKO NIM, spuszczałem głowę, starając się nie patrzeć im w oczy, nie widzieć ich twarzy stężących od mozolnej pracy i uporu, i świadomej decyzji nieprzyjmowania do wiadomości tego, czego nie rozumieli albo co wzbudzało w nich strach. Świat zmienił się wokół nich, mieli w domu telewizor, lodówkę i kuchenkę gazową, a nawet kran z bieżącą wodą na podwórku, na polu pracowały traktory, koparki i kosiarki, lecz dla nich jedyną nowością było zdumienie, bo niepokój, który ich dręczył, był zaledwie pochodną tego strachu, jaki zawsze odczuwali, przeżytego przerażenia, wyuczonego i odziedziczonego zwyczaju rozmawiania półszepem i półsłówkami i nieposiadania innych gwarancji przeżycia niż potulność i zamknięcie się w nierozrywalnych więzach krwi. W jakież sposób wszystko się zmieniło i jak szybko, jak w tych filmach, gdzie para biednych ludzi zaraz po ślubie ścina i z trudem zwozi pnie na dnie dzikiej doliny i zaczyna budować chatkę, a już po chwili chata jest gotowa i nastaje zima, z komina wydobywa się dym, a w środku, przy ogniu, kobieta karmi piersią bobasa o blond włoskach, i w mgnieniu oka ubogi wieśniak chodzi w surducie i białym kapeluszu, jedzie konnym powozem przez aleję drzew, które wyrosły w niecałe dwie minuty, a w następnym ujęciu dziecko, które przed chwilą ssało pierś, jest dorosłe i żegna się z matką, bo idzie na wojnę, wraca z niej po kilku latach, jego rodzice mają siwe włosy i przyjmują syna w drzwiach domu z kolumnami, przed którym nie stoi już powóz, lecz automobil, i już nie wiadomo, kto jest ojcem, a kto dzieckiem, czy to pogrzeb odbywa się na trawiastym cmentarzu kilka sekund przed zgłodnieniem muzyki i pojawieniem się na ekranie napisu „The End”. Wszak wszystko się zmieniało w tym tempie, już nie tylko w historiach podróżników przyjeżdżających z Madrytu i opowiadających cuda, ale w samej Maginie, i w rzeczywistości przytrafiało im się to, co działo się w filmach, tracili wątek, nie rozpoznawali postaci, nie potrafili wyobrazić sobie czasu upływającego pomiędzy poszczególnymi ujęciami ani połączyć niedawnej przeszłości z przyprawiającą o zawrót głowy terażniejszością. To, że osesek w dwie minuty stawał się dorosłym człowiekiem, całkowicie przeczyło poczuciu prawdopodobieństwa moich dziadków, lecz nie było to bardziej niepojęte na przykład od tego, że rymarz znany z tego, że wiecznie szył juki i uzdy w jednej z bram, jest teraz magnatem handlu wyrobami żelaznymi, albo że smutny człowiek sprzedający na raty maszyny Singera ma sieć sklepów ze sprzętem elektrotechnicznym i jeździ dodge’em dart. Wszystko było nieprawdopodobne: rodziny, w których folwarku pracował w młodości dziadek, teraz popadły w ruinę, a ich pałace burzono, by w ich miejscu wznosić mieszkalne bloki. Synowie nie słuchali ojców i uciekali z ziemi, by pracować na budowie, w warsztatach samochodowych albo ślusarskich; kobiety paliły papierosy w miejscach publicznych i nosiły spodnie, mężczyźni zapuszczali włosy i wyglądali jak kobiety, nie rozumiano piosenkarzy, zgorzenie stawało się powszedniością – opowiadano, że jeden z synów inspektora Florencia Péreza, który miał zostać księdzem, nagle porzucił seminarium i stał się komunistą i ateistą, a kiedy przyjechał do Maginy, miał włosy do ramion i brudną, kędzierzawą brodę oraz kochankę w spódniczce tak krótkiej, że widać jej było majtki. „Dwudziestopiętrowe domy!” – recytował dziadek Manuel. – „Taśmy magnetofonowe! Maszyny do zbierania oliwek!” Talerze z duraleksu, fornirowane meble, które wypchnęły do kurnika ciężkie stoły i kredensy, i wiklinowe krzesła będące siedliskiem pluskiew, lodówki chłodzące bez potrzeby uzupełniania lodu, butle gazowe, elektryczne żarówki... Lecz w gruncie rzeczy wszystko było fałszywe: mięso gigantycznych kurczaków smakowało jak

sieczka, jajka kur skazanych na bezsenność w nowoczesnych fermach miały blade żółtka i żadnych wartości odżywczych, mleko z butelki osłabiało dzieci, gaz był bardziej trujący niż dym nie dogaszonego żarownika i mógł wybuchnąć, niszcząc całe domy, blask telewizorów mógł człowieka oślepić, piosenkarze w telewizji tak naprawdę nie śpiewali, tylko poruszali ustami i kołysali biodrami, połowa wiadomości była kłamliwa, Amerykanie nie wylądowali na Księżycu; jeśli nadal będzie się pozwalało, żeby ziemia leżała odłogiem, ten udawany rozkwit minie, żeby ponownie nas rzucić w rok czterdziesty piąty, w najczarniejsze czasy głodu.

W blasku, jakby z technicoloru, jakiego nabrał świat, wyczuwali posępne trwanie wszystkich dawnych zagrożeń: dowierzaj tylko sobie samemu i swojej rodzinie, niczym się nie wykazuj, nie zapominaj, co się stało z tymi wszystkimi, co to wyrwali do przodu, czy to z powodu ambicji, czy nieroztropności, albo tylko mieli pecha i zostali uniesieni niczym falą powodziową, kiedy nadszedł czas zemsty: sąsiad albo jego syn, ten, co mieszkał w Madrycie i pisał do gazet, zginął w strzelaninie z policją, biedny wuj Rafael, który spędził dziesięć lat w wojsku i wrócił z suchotami, zżarty przez wszy i z okropnymi odmrożeniami, które po niemal trzydziestu latach jeszcze mu dokuczają, porucznik Chamorro, stale nękany przez policję, niczym złodziej przywykły do wilgoci i upokorzeń zaznawanych w psiarni. Kiedy w przerwach w pracy w polu porucznik Chamorro mówił o rewolucji społecznej i kolektywizacji ziemi, wuj Rafael z podziwem wsłuchiwał się w jego słowa, a ojciec zerkał na mnie ukradkiem; zauważałem, że coraz bardziej go to niepokoiło. Zimą, około dziesiątej rano, jadaliśmy kiełbasę i mięso z pomidorami, siedząc w domku, w ciepłe ognia, a latem chroniliśmy się w cieniu granatowca, ojciec kazał mi chodzić po pomidory, cebulę, paprykę i chili, które myłem w strumieniu lodowatej wody ze zbiornika, a potem kroił wszystko na małe kawałki i w glinianej misce doprawiał oliwą i solą, a mięsiste, chłodne pomidory i kromki chleba polane oliwą zostawiały na podniebieniu posmak raju i obfitości, współgrając świętym urzeczywistnieniem z anarchistycznymi wezwaniami porucznika Chamorro; ziemia była hojna i odpłacała się za uczciwą i staranną pracę, jedynie niektórzy chciwi ludzie przemieniali ją w piekło konieczności i zysku, kiedyś, w przyszłości, tak jak w pierwszych dniach ludzkości, jedynym godnym zajęciem stanie się praca rąk i rozumu, a pieniądze i wyzysk człowieka przez człowieka popadną w zapomnienie. Ojciec, tak samo obojętny na zmęczenie i senność jak na blask tych prorocत्व, wstawał, wycierał nóż w spodnie, klaskał w dłonie. „Dobra, do roboty, bo czas ucieka, a wy ciągle gędzicie o głupotach”. Porucznik Chamorro, stary i dostoyny, w brudnym berecie i w okularach, kręcił głową, zamykając chlebak, i odpowiadał słowami zasłyszczanymi na mityngach w swej młodości. „Protestuję z całą stanowczością. Najgorszym wrogiem wolności i sprawiedliwości nie jest dyktatura Franco, lecz ignorancja biedoty”. Porucznik Chamorro nauczył się czytać i pisać podczas służby wojskowej w koszarach Maginy, gdzie dosłużył się stopnia kaprała pisarza, na krótko przed wybuchem wojny. Zaciągnął się do milicji zwalczającej w górach rebeliantów z Granady i ku własnemu zaskoczeniu odkrył, że ma smykałkę do strategii i dowodzenia. Z inicjatywy majora Galaza został wysłany do Ludowej Szkoły Wojennej w Barcelonie, którą opuścił w stopniu porucznika artylerii. Został schwytany podczas odwrotu z Katalonii, spędził kilka lat w więzieniu i kiedy w końcu go zwolniono, wrócił do Maginy, aby znowu pracować w polu za dniówkę. Lecz zawsze czytał każdą książkę, jaka wpadła mu w ręce, z taką samą żarliwością, z jaką przeczytał bez mała wszystkie książki z koszarowej biblioteki, miał maszynę do pisania, na której powoli i cierpliwie spisywał wspomnienia swego życia oraz rozwlekłe traktaty ekonomiczne, których strony przezornie spalał w miarę pisania. W niektóre wieczory i niemal w każdą niedzielę przychodził do naszego ogrodu razem z wujkiem Pepe i wujkiem Rafaelem, żeby pomagać ojcu. Jeśli przez kilka dni z rzędu się nie pojawiał, znaczyło to, że go aresztowali i siedzi w psiarni, nie dlatego, że coś knuł, bo jak twierdził,

brakowało mu sił i entuzjazmu i nużyła go bezowocność dyskusji, zła wentylacja i nadmiar dymu na tajnych zebraniach, lecz z przyzwyczajenia, bo generał Franco miał pojawić się w pobliżu Maginy, zmierzając w kierunku swych terenów łowieckich, albo dlatego, że zapowiadano w mieście wizytę jakiegoś ministra lub arcybiskupa. Wtedy to podkomisarz Florencio Pérez, kolega z dzieciństwa, udawał się do jego domu ze skruszonym i pełnym żalu wyrazem twarzy i mówił, siedząc przy stole z żarownikiem, być może jedząc coś słodkiego i popijając kieliszek wódki, ofiarowany przez żonę porucznika Chamorro jako godnemu szacunku gościowi: „Chamorro, nie mam wyjścia, muszę spełnić swój smutny obowiązek”.

„Trzy nogi jednego stołka” mawiali o sobie wujek Pepe, wujek Rafael i porucznik Chamorro, zmierzając do ogrodu ojca, wujek Pepe i wujek Rafael byli braćmi wcale do siebie niepodobnymi, jechali na wielkim i złośliwym osle, który gdy tylko trochę się przestraszył, szczyrzył zęby i kładł uszy po sobie, co znaczyło, że ma zamiar kogoś ugryźć, porucznik Chamorro siedział na drobnutkiej oślicy, uskarżającej się na podejściach jak istota ludzka pod ciężarem swego pana, wlokącego po ziemi stopy obute w łapcie z samochodowych opon. Wuj Rafael był wąty i drobny, nie miał w życiu szczęścia, ciągle się skarżył, nic mu nie wychodziło, kupował osła i oszukiwano go, szedł do wojska i wypuszczali go po siedmiu latach, poszedł na wojnę i brał udział w najkrwawszych bitwach, w ofensywie w Teru el odmroził sobie nogi i o mało nie musieli mu ich amputować, tak jak temu kulawemu co sprzedawał słonecznik i wypożyczał powieści i komiksy na placu generała Orduñi. Wuj Rafael nosił stare marynarki i swetry z postrzępionymi rękawami i choć był schludny, wyglądał tak, jakby się nie golił przez kilka dni, ciężko pracował bez żadnych rezultatów, jego jedyny syn wyjechał do Madrytu, zostawiając go samego. Wuj Rafael mówił mało i bardzo cicho, jakby przepraszając. Wuj Pepe był wysoki, dziarski i smukły jak topola zimową porą, przychodził do ogrodu w garniturze z kamizelką z welwetu, w pilśniowym kapeluszu i w trzewikach nigdy nie uwalanych błotem ani pyłem, wygłaszał uczone tyrady i tak bardzo skupiał się na szczegółach wykonywanych przez siebie zadań, że w końcu okazywał się całkiem nieprzydatny, nigdy nie wyglądał na zmęczonego, zirytowanego albo zniechęconego, z zapałem poklepywał wujka Rafaela po plecach, no dobra, bracie, nie łam się, nie jest aż tak źle, wszystko go zdumiewało, pokazywał mi palcem wskazującym pierwsze pączki na jeszcze nagich gałęziach figowca albo mikroskopijne kielki pszenicy wysuwające się z ziemi, patrz, bratanku, wydaje się, że jest martwa, ale nasiona poruszają się pod ziemią jak dżdżownice, poświęcał godziny na skręcanie papierosów albo wycinanie kawałka wyprawionej owczej skóry, żeby później wkleić ją wewnątrz buta tak, by nie obcierała mu dużego palca, swoim opowiadaniem wszystkich nas wykańczał, wątek najkrótszej historii gubił mu się pośród rozlicznych dygresji i szczegółów, a kiedy zabierał się do opowiadania o nocy swego powrotu z wojny, opowieść trwała tyle, ile rzeczywiste wydarzenia: wuj Pepe wrócił z wojny, tak jak się wraca z pola – bo zaskoczył go deszcz. Wcielili go niemal na samym końcu, do kawalerii, przeszkolono go na miejscu, dano karabin, muła, i wysłano na front. Muła jeszcze pamiętał: był wysoki, opowiadał, ciemny kasztan, bardzo piękny, z dobrotliwym pyskiem, jechałem na nim, robiło się ciemno, słyszałem armatnie wystrzały, widziałem w rowach trupy mułów i koni z porozpruwanymi brzuchami i robakami we flakach, i myślałem, ależ by mi się przydał taki muł w Maginie, tak bardzo był zajęty własnymi myślami, że został w tyle, a kiedy oprzytomniał, było już ciemno i zaczęło padać, pomyślał sobie, że może się przeziębic, zatrzymał muła, zrobił lekki zwrot, nie kryjąc się ani nie bojąc, że go aresztują albo rozstrzelają za dezercję, i ruszył w kierunku Maginy; przyjechał po dwóch dniach, przywiązał muła do ogrodzenia domu, a kiedy wyszła jego żona i zapytała, skąd wraca, całkiem naturalnie odparł: „A skąd mam wracać? Z wojny”. „Dlatego przegraliśmy” – mawiał porucznik Chamorro – „przez ten bałagan panujący po naszej stronie”. Nudziło mnie ich gadanie, jak najszybciej kończyłem obiad i szedłem zapalić sobie z dala od nich i w tajemnicy

przed ojcem. Porucznik Chamorro nie palił, nie pił i nigdy nie wchodził do tawern, będących przybytkami otwartymi przez kapitalistów chcących utopić w winie gniew biedaków. „I co pan ma z tych wszystkich słów i tych wszystkich kar?” Ojciec go prowokował, stając przed nim, silniejszy i młodszy, ze skrywaną dumą, którą doskonale znałem, dumą z tego, że sam bez niczyjej pomocy kupił ziemię i po kilku latach przemienił nieużytki w jeden z najbardziej żyznych ogrodów Maginy. Kiedy po raz pierwszy mnie tam przyprowadził, był to spłacheć jałowej ziemi, z kanałami nawadniającymi zarośniętymi suchym zielskiem, z domkiem i zagrodą w ruinie, ze zbiornikiem zarośniętym glonami i niemal niewidocznym pośród zarośli i sitowia. Przez lata poświęcił wszystko, sprzedał dom na Fuente de las Risas, tonął w długach u lichwiarzy, pracował od świtu aż do późnego wieczora i nawet musiał upokorzyć się przed dziadkiem Manuelem, żeby ten pozwolił nam zamieszkać bezterminowo w domu na placu Świętego Wawrzyńca. Teraz ziemia nikła pod zielenią niby w dżungli i woda bezustannie ciekła ze zbiornika, i co wieczór, czy to zimą, czy też w lecie, nieśliśmy na rynek spory ładunek warzyw, hodowaliśmy świnie i krowy i niebawem może mieliśmy kupić koparkę i landrovera. Ojciec był więc właścicielem, a porucznik Chamorro, ze swymi ceremonialnymi gestami i kazaniami, był wyrobnikiem pracującym na godziny. Podziwiał go za to, że tyle wie i że przeczytał tyle książek, ale nie chciał pozwolić, żeby w mojej obecności porucznik dominował. „Otóż w moim wieku mam lepsze zdrowie niż wy wszyscy, bo nie używam tych trucizn, którymi wy się zabijacie. A przede wszystkim mogę chodzić z podniesioną głową i nie oszukałem ani nie wykorzystałem nikogo przez całe moje życie, nie skrywam swoich poglądów, nawet jeśli mnie wsadzają za nie do więzienia, i umrę, nie doczekawszy wprowadzenia w tym niewdzięcznym kraju publicznego nauczania i sprawiedliwości społecznej. Powiedziałem”. „Co za mowa” – wyszeptał wuj Rafael. – „Chamorro, zawsze potrafiłeś pięknie mówić”; wuj Pepe zrobił gest, jakby chciał przygarnąć porucznika Chamorro do piersi, lecz ten go odepchnął i odwrócił głowę, a mnie się zdało, że otarł łzę pod szklami okularów. Był mężczyzną drobnym, ale krzepkim jak na swój wiek, miał płaską twarz, raźnie i wydajnie pracował w polu. „Ty się ucz” – mówił mi. – „Czytaj wszystkie książki, jakie ci wpadną w ręce, ucz się języków, zostań inżynierem, lekarzem albo nauczycielem, ale rozwijając się dzięki własnemu wysiłkowi i wyrzeczeniom rodziców, nie odwracaj się plecami do tych, którzy nie mieli takich możliwości jak ty. Twój ojciec jest trochę dziwny i wydaje się śmiertelnie poważny, ale chociaż ci tego nie mówi, puszy się jak paw, kiedy przynosisz dobre oceny. Mówi, że piszesz na maszynie dziesięcioma palcami, że rozumiesz po obcemu i że potrafisz czytać, nie patrząc na kartkę, jak spikerzy w telewizji. Ucz się dużo, ale ucz się też okopywać i podlewać, i zbierać oliwki, i doić krowy. Wiedza nie zajmuje miejsca, wszystko, co mamy, pochodzi z ziemi i z pracy, a nikt nie potrafi przewidzieć, co przyniesie dzień jutrzejszy”.

Szczerze wierzyłem w to wszystko: że wiedza nie zajmuje miejsca, że na świecie żyć to nie wianki wić, że kto pyta nie błądzi, że oszczędnością i pracą ludzie się bogacą. Pracowałem razem z nimi, od świtu, w niedziele i w wakacje, z mieszaniną mimowolnej czułości i bezbrzeżnej pogardy postrzegałem ich jako nieokrzesanych, nudnych, niewykształconych, ale też wiernych i godnych dzięki instynktowi, jaki tylko oni posiadali i który należał do nich w taki sam sposób jak ciemna karnacja albo szorstkość i zręczność dłoni. Kiedy moi szkolni koledzy przed Bożym Narodzeniem albo pod koniec maja z nerwową niecierpliwością wypatrywali końca lekcji, ja ze smutkiem przeliczałem mające nadejść dni, myśląc, że nie będę widywał Mariny, że będę musiał wstawać o świcie i spędzać czas w gajach oliwnych albo w polu, sprzątać stajnię, sypać paszę krowom i świniom, wykopywać ziemniaki albo wyrywać cebulę, albo kopać ziemię, albo pełzać po niej, żeby zbierać oliwki. Początkowo bolały mnie wszystkie kości i zdierałem sobie skórę z rąk, ale potem twarz mi brązowiła, a na ramionach Rzeźbiły się mięśnie i dostrzegałem w swym

ciele nieznaną energią, a dłonie nabierały twardości podobnej do twardości trzonka motyki. I wieczorami, kiedy wracałem wyczerpany i szybko obmywałem sobie w kuchni twarz zimną wodą, kiedy się przebierałem i ruszałem na poszukiwanie swych przyjaciół albo po to, by włóczyć się po ulicy, przy której mieszkała Marina, czułem się jednocześnie silny i odmienny od innych, starszy od nich, przepełniony siłą fizyczną wynikającą z zawziętości i goryczy, których oni nie mogli poznać. Lekcje, egzaminy zdawały mi się dziecięcymi obowiązkami; nie uczyłem się tak jak inni, po to, żeby ojciec kupił mi rower albo zabrał na wakacje nad morze, ale żeby zapracować na przyszłość bez uwiązania do ziemi, żeby jak najszybciej wyjechać z Maginy i nie cierpieć głodu. Wszyscy moi koledzy już wybrali swe przyszłe życie i nawet renegat Pavón Pacheco pewien był swej przyszłości jako stręczyciel i legionista. Martin chciał zostać naukowcem; Serrano, który do piętnastego roku życia marzył o wstąpieniu w szeregi mafii w charakterze rewolwerowca, teraz chciał zostać poetą albo rockowym gitarzystą; Feliks przygotowywał się do studiów klasycznych i językowych, żeby zostać nauczycielem. Ja nie wiedziałem, kim chciałbym stać się nazajutrz, jak z namaszczeniem powiadali moi rodziciele; nie chciałem być czymś, lecz kimś, postacią samotną i jakby powieściową, wymyśloną w dzieciństwie, stworzoną w sposób nieodpowiedzialny na wzór bohaterów filmowych, awanturników z powieści i komiksów, nieznanomych przechadzających się po placu Świętego Wawrzyńca, którym się przyglądałem, jakby wyobrażali mój przyszły wygląd, tożsamość i fizjonomię skrywaną i zmienną, jakiej pragnąłem dla siebie i do której w ostatnim czasie dodałem długie włosy i brodę, i podróże nie po środkowej Afryce ani po południowych morzach w poszukiwaniu bezludnych wysp, lecz po szosach Europy i Stanów Zjednoczonych. Czasem chciałem być taki jak właściciel Martosa, który dostawał zza granicy płyty niemożliwe do usłyszenia w radiu albo do kupienia w sklepach Maginy – był, jak powiadano, marynarzem na statku handlowym, mieszkał w Amsterdamie, zajmował się przemytem przez granice i w portach krajów tropikalnych, a teraz, po upływie trzydziestu lat, zostawił wszystko, zmęczony przygodami, prowadził bar i własną dyskotekę, jak dawny rozbójnik, który poddał się nostalgii i prawu. Wedle swego widzimisię chciałem zmieniać nazwiska, miasta, kraje i języki, i podczas gdy spacerowałem samotnie po ulicach Maginy albo milcząc, pracowałem w polu obok ojca, niezmordowanie wymyślałem przeszłość i przyszłość, nieraz całymi tygodniami poświęcałem się obmyśleniu szczegółów jednego życia, na przykład w Paryżu, miałem dziewiętnaście lat i skandynawską narzeczoną, rozładowywałem owoce na rynku i pisałem sztuki dla teatru absurdu, mieszkając na mansardzie, albo w San Francisco grałem na perkusji w zespole rockowym, mieszkając z Mariną, która zostawiła nieszczęśliwe małżeństwo w Hiszpanii i wsiadła do międzykontynentalnego samolotu powodowana tęsknotą za mną, szukała mnie pomiędzy hippisami i cierpiała głód, aż w końcu spotkała mnie gdzieś przez przypadek i ledwie mnie rozpoznała, bo miałem długie włosy i brodę, taką jak perkusista z Credence... Jednak w pewnym momencie każde nowe życie zaczynało mnie nużyć, czułem się znudzony bohemą i seksem, co spotykało się często w powieściach, dostrzegałem na horyzoncie smutną starość i nie wychodząc z ogrodu ojca albo z pokoju na placu Świętego Wawrzyńca, całkowicie odmieniałem swe życie: miałem teraz dwadzieścia siedem lat, byłem korespondentem w Rzymie, popijałem dzin pod parasolem jednego z barów na Via Veneto, płynnie i od niechcienia biorąc udział w rozmowie prowadzonej w różnych językach, zmęczony kosmopolitycznymi kobietami i jednonocnymi przygodami. Zdarzały się okresy, kiedy wyrzekałem się rocka i ulic miast i zostawałem dowódcą oddziału partyzanckiego w górach Maginy, gdzie z powodzeniem kierowałem zamachem na generała Franco, inspirując się z plagiatorską łąpczywością opowieściami snutymi przez porucznika Chamorro, a potem wjeżdżałem do miasta ulicą Nową, w odkrytym jeepie na czele kolumny brodaczy z czerwonymi gwiazdami na beretach i pośród czerwonych flag falujących pośród tłumów, na

wieżach kościołów, na balkonie komisariatu, na piedestale ponownie obalonego pomnika generała Orduñi.

Osłepniesz od tego ciągłego czytania, skończysz, łapiąc muchy czapką, jak mogą ci się pomieścić w głowie te wszystkie słowa? Ogłuchniesz od tej muzyki, o czym myślisz? Nic nie widzisz, chodzisz jak oczadziały, od razu widać, że pisanie na maszynie lepiej ci idzie niż zbieranie oliwek. Byłem chory na głosy i słowa, ciche słowa z książek i głosy z piosenek i zagranicznych stacji radiowych, jakie łapałem po północy, czasem z dumą i radością wychwytyjąc całe zdanie po francusku czy angielsku, rozpoznając nazwy, wyobrażając sobie, że to ja mówię w zalanym światłem studiu na ostatnim piętrze jakiegoś drapacza chmur, naśladowałem dźwięki i akcenty, zachwycając się swą przemianą w kogoś innego, lecz głosy, które teraz najbardziej mnie poruszały, nie rozbrzmiewały z zagranicznych stacji ani nie należały do moich rodziców, były to głosy nieustannie rozbrzmiewające w moim wnętrzu, mieszające się jak dźwięki w radiu, którego potencjometrem ktoś kręci, szukając na chybił trafił. Nie chciałem być kimś tuzinkowym, nie chciałem skończyć studiów, mieć narzeczonej, a później żony i dwójki albo trójki dzieci, i biura lub klasy, i domu z kolorowym telewizorem, kuchenką elektryczną i łazienką, nienawidziłem tej możliwości tak zawzięcie jak perspektywy pozostania w Maginie i pracowania w polu, nie chciałem być związany z czymkolwiek ani z kimkolwiek, chciałem pozbyć się korzeni i przeżywać swe dorosłe życie, jak samotnie przeżywałem wymaginowane wydarzenia, pracując w polu. Teraz rodzice, dziadkowie i wujkowie stali się cieniami, mamroczącymi przestrogi i wspomnienia wypływałe od nudnego powtarzania. Godziny ich milczenia i gesty wyrażające ból były mi tak obojętne jak głośny śmiech i rozpalone twarze podczas przyjęć, a kiedy nadchodził ostatni dzień zbioru oliwek i w polu stały wielkie gąsiory czerwonego wina i kosze z paprykowym ciastem, i kobiety zaśmiewały się, podśpiewując sprośne piosenki, albo kiedy było świniobicie, albo urodziny babki Leonor i bramy oraz zagroda na placu Świętego Wawrzyńca wypełniały się nieprzeliczonymi wujkami i kuzynami, ja stałem z boku z butelką piwa w dłoni, upijając się z wolna i niepostrzeżenie, umykałem potem do mego pokoju na ostatnim piętrze, żeby posłuchać piosenki po angielsku i zapalić papierosa i żeby wyobrażać sobie, że wracam do miasta po wielu latach, brodaty i tajemniczy, o świcie, z tobołkiem na ramieniu, ponury i sławny, pojednany z nimi na odległość, w towarzystwie zagranicznej kochanki o blond włosach i bardzo długich nogach, siejących zgorszenie i budzących zazdrość w okolicy.

Jadłem w milczeniu, natychmiast wstawałem od stołu, szedłem do swego pokoju jak do najbardziej niedostępnego mieszkania na szczycie wieżowca. Jeśli ojciec chciał mnie zatrzymać, matka wtrącała się po cichu: „Zostaw go, przecież musi się uczyć”. „Nie wiem, jak on może się uczyć w pokoju pełnym dymu i przy tak głośnej muzyce”. Zostawali, siedząc przed telewizorem w pokoju, w którym zegar ścienny nakręcany zwykle po zmroku przez dziadka, od lat już stał, skupieni na niebieskiej poświacie ekranu, wpatrywali się z nieodmiennym zdumieniem w nieprzerwany i złudny ciąg reklam, filmów i wiadomości. Mawiali, że nie było dobre przegrzewanie urządzenia i że jego światło może zaszkodzić oczom. Ojciec drzemał w fotelu, wykończony nieludzkim porannym wstawaniem, babcia Leonor ciągle zadawała pytania o treść filmu albo o skomplikowaną tożsamość bohaterów, matka była zawsze zajęta szyciem albo wyszywaniem, dziadek Manuel trwał pogrążony w drzemce z malującą się na twarzy surowością i poczuciem krzywdy, uwydatniającymi się w miarę postępowania starości. Babcia Leonor, kiedy wstawałem od stołu, zawsze prosiła, żebym trochę przy niej posiedział, brała mnie za rękę, żebym usiadł u jej boku. Już ze mną nie rozmawiasz, mawiała, już nie pamiętasz, jak byłeś mały i prosiłeś, żebym ci czytała komiksy, a jak miałam ci czytać, skoro ledwie umiem składać litery, musiałam wszystko wymyślać. Jednak męczyła mnie ta czułość, bo wyczuwałem w niej pułapkę mającą przywrócić mi dziecinną potulność, i nie zatrzymywałem się już, aby wysłuchać opowieści

dziadka o kobiecie zamurowanej w Casa de las Torres albo o odwadze batalionu Gwardii Szturmowej, który w całości poległ na zboczu Perdices. Uwalniałem się od nich, wbiegałem po dwa stopnie po schodach, nie patrząc nawet na pokoje, po których krążyłem jako dziecko w poszukiwaniu pudełek ze zdjęciami i tajemniczych przedmiotów w szafach, nie wspominając strachu, jaki mnie ogarniał, gdy szedłem spać i gaszono światło, a jeden z wujów śpiewał z dołu: *Ach mamusiu, mamusiu, mamusiu, kto to może być, to nic córeczko, córeczko, córeczko, już sobie poszedł*. Zamykałem się w pokoju, który miał dwa balkony, jeden wychodził na plac Świętego Wawrzyńca, a drugi na ulicę Pozo i na horyzont doliny Gwadalkiwiru i Sierry, tam niemal potrafiłem odczuć podekscytowanie tym, że jestem sam. Nastawiałem płytę bardzo głośno, wyciągałem się na łóżku z powieścią i zapalonym papierosem, pewien, że nikt nie przyjdzie, żeby przyłapać mnie na paleniu, i już znajdowałem się na mej paryskiej mansardzie albo w hotelu na meksykańskiej granicy, o którym mówił Eric Burdon w jednej z piosenek; wysokie żelazne łóżko z prętami lodowatymi w zimowe noce, żarownik, kufer i półka z książkami, z zeszytami o niebieskich okładkach i moje dzienniki monotonnej i rozjątrzonej rozpacz. Wychylałem się przez balkon i pragnienie wyjazdu stawało się tak dojmujące, że nagle wszystko jawiło mi się przed oczyma, jakbym to wspominał. Plac już bez drzew, z kilkoma zaparkowanymi samochodami, żółte światła latarni na rogu Casa de las Torres, ubita ziemia, na której tyle razy grywałem w kulki albo poszukiwałem mikroskopijnych owadów pośród żdźbeł perzu. Niektóre domy już były opuszczone i nie widziało się par narzeczonych, rozmawiających ze sobą w drzwiach i tulących się do siebie w półmroku sieni. Paliłem na balkonie i widziałem swój cień padający na plac jak postać nielojalnego i pozbawionego korzeni bohatera, w jakiego chciałem się przekształcić. W burzowe noce, kiedy wiatr i deszcz wstrząsały wszystkimi szybami i lufcikami domu, wyobrażałem sobie, że mieszkam w latarni morskiej, i lubiłem wspominać – skulony i rozgrzany pod kocami i leżącą na kapie owczą skórą – zimową noc, w którą, jak mi opowiadano, się urodziłem. Przybywałem do hotelu w pewnym nadgranicznym mieście i nikt nie był w stanie odgadnąć mego nazwiska ani pochodzenia. Nie słyszałem odgłosów ulicznego mchu ani policyjnych syren, jak w piosence Erica Burdona, lecz gulgotanie indyków w sąsiedztwie i stukanie kołatek w drzwi na placu, a domy nie były omiotane reflektorami samochodów śmigających po pobliskiej autostradzie, zamykałem oczy i pozwalałem oszołomić się tytoniowi i ściszywszy adapter, mogłem dosłyszeć odgłosy burzy i stukot kopyt, podczas gdy z nicości wyłaniał się głos Jima Morrisona śpiewającego jakby przepowiednię i litanię *Riders on the Storm*.

NAZWISKO ZAPISANE na brystolu, na pierwszej stronie formularza, ukryte pomiędzy dziesiątkami imion i nazwisk, imion rodziców i liczb oznaczających wiek, w jednej z paczek fiszek przewiązanych gumką, które co tydzień przynosił na komisariat chłopiec hotelowy z Consuelo i które skończyłyby w piecu albo na półkach w piwnicy po przenikliwym, choć pobieżnym przejrzeniu, gdyby podkomisarz Florencio Pérez nie uparł się ich przebadać, mimo że zrobili to już jego podkomendni. Mówił „podkomendni”, aby nazwać ich w jakiś sposób, bo w rzeczywistości nieustannie się ich obawiał, wyśmiewany przez nich; taka jest prawda, myślał, kiedy w gniewie używał niegodnych słów, zamknięty w swym gabinecie, osaczony, przygotowując skręty drżącymi rękoma przy oknie balkonu wychodzącego na plac generała Orduñi i wymyślając jedenastozgłoskowce, których już nie zapisywał, wynajdywał sobie za to monotonne i absorbujące zajęcia, jak to bezużyteczne przeglądanie hotelowych fiszek, gdy już zostały przebadane przez przydzielonych mu obu inspektorów, „tajniaków”, jak mawiano o nich w Maginie, choć nie było nikogo, kto by ich nie znał albo kto widząc ich po raz pierwszy, nie rozpoznałby w nich policjantów, nowoczesnych funkcjonariuszy, tak, z nowej fali, jak duchowni, myślał o nich podkomisarz z irytacją i pogardą, nie mieli nastroszonych wąsów, za to surowe spojrzenie i źle wyprasowane garnitury, jakby nosili żałobę; obaj mieli wąsy, rzecz jasna, lecz były to wąsy bujne, opadające aż do kącików ust, jak wąsy telewizyjnego prezentera, z odpychającą i niehigieniczną proliferacją włosów, stanowiącą dla podkomisarza najbardziej żalosalną oznakę nowych czasów. Nosili jednakowe szerokie bokobrody i okulary przeciwsłoneczne z zielonymi szklami w kształcie gruszki, krawaty z szerokimi węzłami, koszule ze spiczastymi i monstrualnie wydłużonymi kołnierzami, marynarki dwurzędowe ze złotymi guzikami i spodnie dzwony, a zamiast popijać odwieczną kawę z mlekiem lub z koniakiem, jak robili to policjanci z Maginy w bezsenne noce i lodowate poranki, odkąd świat światem albo odkąd pamiętał podkomisarz, oni z arogancją toreadorów przechodzili na drugą stronę placu generała Orduñi i wsparłszy się na aluminiowym blacie baru Monterrey, wypijali kufle piwa i zjadali krewetki z rusztu albo cubalibre z rumem, grali w chińczyka o zaproszone kobiety i zadawali się z pięknościami o blond włosach, palącymi przy stolikach w podcieniach, i z najgorszymi synami najlepszych rodzin z miasta, pośród których widywano także, co komisarz stwierdzał z wielkim bólem, łącząc zamiłowanie do korridy z lokalnym patriotyzmem i troską o wykolejoną młodzież, Rzeźnika z Maginy, który podczas ostatnich październikowych występów zaprezentował się raczej mizernie i spędzał zimę, próżnując w barach, zostawiając swego mercedesa w miejscach, gdzie był zakaz parkowania, a policja municypalna nigdy nie odważyła się wlepić mu mandatu.

Jego, podkomisarza Florencio Péreza, inspektorzy nazywali pobłaźliwie „dziadkiem”, klepali go po plecach, wedle nowej mody na spontaniczność, interesowali się czule zbliżającą się datą jego przejścia na emeryturę: trzeba zrobić miejsce młodemu pokoleniu! Palili winstony z przemytu i spisywali raporty pełne skrótów i błędów ortograficznych, których podkomisarz już nawet nie podkreślał na czerwono. Przy stoliku z żarownikiem u porucznika Chamorro, siedząc przy kieliszku anyżówki i talerzyku ciastek, podkomisarz Florencio Pérez, były żołnierz, były jeniec, były sekretarz Akcji Katolickiej w Maginie, dawał upust swej goryczy: „Chamorro, nie słuchają mnie, nie mają dla mnie szacunku, nie szanują mych siwych włosów. A przecież to ja zawsze byłem forpocztą postępów kryminalistyki. Przecież z

przykładnym oddaniem poświęciłem całe swe życie w służbie Systemowi. A teraz odsuwają mnie jak stary mebel” (a wypowiedziawszy to ostatnie zdanie, spostrzegł z satysfakcją, iż wyszedł mu wers aleksandryjski – znany czy zapomniany, człowiek jest poetą od urodzenia, ma to we krwi).

Przychodził więc o poranku po wypiciu pierwszej kawy z mlekiem w Royal, na początku ulicy Mesones, kaszląc uroczyście jak gruźlik z powodu pierwszego skręta i przechodząc obok kolejki wieśniaków przybyłych pierwszymi autobusami, żeby wyrobić sobie dowód osobisty, cieszył się odzyskaną dumą, gdy patrzył, jak się rozsuwali, nabożnie szepcząc między sobą, robiąc mu przejście przed drzwiami komisariatu, niektórzy mężczyźni nawet zdejmowali berety albo archaiczne kapelusze, jakie wkładali na podróż do stolicy prowincji, a kobiety nadal nosiły czarne chusty i żałobne spódnice, nie potrafili się podpisać; śmierdzieli wsią, potem, biedą, jak rozwydrzony tłum wypełniający plac przed wieloma laty, lecz byli potulni i zbliżali się do okienek z takim skupieniem, jakby podchodzili do konfesjonału, a kiedy on, aby zrobić cokolwiek i zawsze za plecami inspektorów, zgadzał się wypełnić któremuś z nich podanie o dowód i z suchą uprzejmością wskazywał narożnik formularza, gdzie powinni złożyć swój z trudem wykaligrafowany podpis, widział, jak zdumiewali się tym, co on sam nazywał łatwością nawiązywania kontaktu z podwładnymi, i czuł przypływ skromnego ewangelicznego szczęścia, błogosławieni niech będą potulni, myślał, błogosławieni ludzie o czystym sercu. Przechodził też jednak obok straży i policjanci w szarych mundurach patrzyli w drugą stronę, żeby tylko nie oddawać mu honorów, a co do inspektorów, to wolał ich nie widzieć, szedł korytarzem, węsząc zapach ich wody kolońskiej Macho Dandys, jak strachliwe zwierzę usiłujące wyczuć swych prześladowców, obawiał się spotkania z którymś z nich i tego, że ten nie odda mu honorów z należnym szacunkiem. Często z samego rana miał szczęście, bo inspektorzy nie przychodzili tak jak on, kiedy zegar na placu wybijał ósmą, bo wedle tego, co mówili, spędzali noce na zbieraniu poufnych informacji w lokalach rozrywkowych, gdzie chronili się miejscy złoczyńcy, oraz na obserwowaniu prywatnych mieszkań, co do których istniały uzasadnione podejrzenia, iż odbywają się w nich tajne zebrania elementów wywrotowych z okolicy, pośród nich był porucznik Chamorro, o którym wiedział zarówno podkomisarz, jak i wszyscy w mieście, że punktualnie o jedenastej kładzie się do łóżka po podrzuceniu swej małej oślicy obfitej wiązki słomy zmieszanej z porządną porcją zboża, po wypiciu wielkiej szklanki wody dla oczyszczenia organizmu i półgodzinnej lekturze książki pouczającej i pożytecznej.

Miał na stole, a raczej na staroświeckim dębowym biurku, bo stanowczo odmawiał wstępu do swego gabinetu meblom z metalu, paczki z fiskkami z ostatnich miesięcy, uporządkowane według hoteli i zajazdów. Było prawdą, że w Maginie rozwijała się turystyka, choć ruch ustawał wraz z końcem lata i po zakończeniu świąt Świętego Michała. W artykule opublikowanym w „Singladurze” opisał to ze swadą Lorencito Quesada: turystyka była nową manną dwudziestego wieku dla tych od niepamiętnych czasów zacofanych ziem. Włączył swój elektryczny grzejnik, rozgrzewający mu stopy w tej lodówce, do której nigdy nie docierało słońce z powodu wilgotnego cienia rzucanego przez wieżę, choć nowoczesne urządzenie nie mogło się równać z żarownikiem na chrust. Odmówił Ojciec nasz przed krucyfiksem zawieszonym pomiędzy obrazami Caudilla i José Antonia, po czym, rzuciwszy okiem na plac, podcienie i na pomnik nieugiętego generała – „...nieśmiertelny brąz twych trwałych czynów...” – zatarł dłonie, jak zawsze gdy czekało go przyjemne zadanie, i postanowił poświęcić najspokojniejsze godziny poranka przejrzaniu fiskek z danymi podróżnych. Ściągnął gumki z paczek, położył kupkę kartoników po lewej stronie, obok przycisku do papieru w kształcie bazyliki z Montserrat, ułożył je równiutko jak karty, tak by nie wystawał żaden narożnik, zapominał o wszystkim, nawet o upływie czasu i o przejmujących dreszczem uderzeniach zegara na wieży, nie słyszał coraz większego zgiełku

ruchu ulicznego paralizującego plac, ślinił kciuk prawej ręki, w skupieniu analizował pierwszą fiszkę, jakby chcąc się przekonać, że nie jest sfałszowana, i w miarę czytania nazwisk i dat przyjazdu i wyjazdu, i miejsc zamieszkania, wyobraźnia niosła go do miast i krajów, z których pochodzili podróżni, i myślał czasem z odrobioną spóźnionego żalu, że nigdy nigdzie nie był, choć tak naprawdę nie interesowało go to, gdzież można by lepiej żyć niż w Maginie, andaluzyjskiej Salamance, jak zawsze pisywał Lorencito Quesada, zachwycając się czarem jej ulic, szlachetnością pałaców, rozmachem uroczystości Wielkiego Tygodnia, do których nie umywały się nawet te z Sewilli, co wynikało z czystej pobożności i surowej prostoty mieszkańców, majestatu kościołów, szpitala Świętego Jakuba, cenionego przez wszystkich jako drugi Escorial. I po godzinie czy dwóch, zmęczony już czytaniem nazwisk nieznamytnych, przeglądał fiszki z mniejszą uwagą – była tam jedna oddzielona od pozostałych z adnotacją „uwaga!”: odnosiła się do nauczyciela, który przyjechał na początku roku szkolnego i o którym posiadano wiarygodne informacje, iż oddawał się działaniom wywrotowym na madryckim uniwersytecie – kiedy nagle spostrzegł to nazwisko i poprawił okulary na nosie, aby zyskać pewność, iż dobrze je odczytał. Początkowo zostawił fiszkę przed sobą, nie patrząc na nią ponownie, oddzieloną, tak oderwaną od innych, jak postać człowieka górującego nad tłumem. Ponownie odczytał pierwsze nazwisko, Galaz, napisane długopisem nad rzędem kropek, wielkimi literami, niczym aroganckie potwierdzenie, i upewnił się, iż nie może tu chodzić o zbieg okoliczności, bo imię i drugie nazwisko były tymi, które on przechowywał w pamięci, po czym jego oczy zatrzymały się na podpisie i stwierdził, że nie zmienił się zbyt podczas ostatnich trzydziestu siedmiu lat: był taki sam jak u dołu napisanego na maszynie rozkazu uwolnienia zatrzymanego Florencia Péreza, który to dokument przechowywał zawsze w szufladzie nocnej szafki jako pamiątkę po czasach, kiedy o mały włos go nie rozstrzelano. Wiek się zgadzał i miejsce urodzenia, Madryt, lecz w rubryce zawodu wpisał bibliotekarz, a obecne zameldowanie miał w mieście Stanów Zjednoczonych zwanym Jamaica, Queens – jakie to dziwne, zawsze myślał, że Jamajka to kraj na Karaibach, któż to jednak mógł wiedzieć, skoro mapa świata nieustannie się zmieniała, tak jak wszystko, teraz państwa zmieniały nazwy z taką łatwością jak nowoczesne zespoły muzyczne, takie jak ten, w którym śpiewał jego młodszy syn, który przysparzał mu najwięcej zgrzyot i którego w głębi duszy najbardziej kochał, syn marnotrawny.

Lepiej jednak było nie kontynuować tych rozmyślań, wszak natychmiast dopadała go udreka i nie potrafił już się od niej uwolnić, była jak ból głowy nieustający przez cały dzień, jak obsesja wyszukiwania niemożliwych rymów, która dręczyła go w latach młodości. Podszedł do balkonu z fiszką w rękę, zapominając o ponownym zapaleniu papierosa, który zgasł mu w ustach, usłyszał kroki w pobliżu i z instynktowną przezornością ukrył karteczkę w kieszeni munduru, ze strachu, że zobaczy ją któryś z inspektorów, z powodu tego samego strachu, który kazał mu trzymać pod kluczem swe wiersze. Przyjrzał się ludziom przechodzącym przez plac, jakby w jednej chwili miał się na nim pojawić major Galaz, wysoki, stary, ubrany po cywilnemu, ale znajomy, pewny siebie, w towarzystwie swej szesnastoletniej córki, tak spokojny i odległy jak wtedy, kiedy zajmował gabinet, w którym teraz urzędował podkomisarz. Tak więc nie umarł jak tylu innych, nie był też duchem coraz rzadziej wspominanym; był w Maginie, co najmniej kilka razy przeszedł pod tymi balkonami, wmieszany w tłum przechodniów, może minęli się na ulicy Nowej, choć major z pewnością go nie pamiętał, podkomisarz Florencio Pérez rozmawiał z nim tylko raz, zaraz po wyjściu z więzienia, kiedy jego przyjaciel Chamorro powiedział mu, że powinien pójść podziękować. Jednak skoro tu przyjechał, na pewno ciągle przebywał w Maginie, w hotelu Consuelo, choć może już wyjechał, wyciągnął fiszkę i poszukał na niej daty wyjazdu, ale rubryka pozostała pusta; musiał zadzwonić do Consuelo, ale powinien to zrobić incognito, któż wie, co by pomyśleli o tym gościu, gdyby się dowiedzieli, że interesuje się nim policja. Usiadł za biurkiem, wstał, by zamknąć drzwi na klucz, pożałował, że to zrobił, i ponownie je otworzył,

na wypadek gdyby inspektorzy przyszli do niego i coś sobie pomyśleli, zastawszy zamknięte drzwi, cóż za tchórzostwo i co za nerwy, wydawało się to wręcz niemożliwe – komendant policji w Maginie gnębiony strachem przed swymi podwładnymi, i tak przez całe życie, istniały rzeczy, które w miarę upływu czasu nie szły ku lepszemu, pogarszały się, jak słabość charakteru. Podniósł słuchawkę telefonu, odłożył ją na widełki, nagle zrobiło mu się gorąco i wyłączył grzejnik, niezgrabnie skręcił papierosa, ponownie spojrzął na nazwisko i podpis, i na datę przyjazdu, niemal dwa miesiące temu, najbardziej prawdopodobne było to, że major z córką już wyjechali, a w gruncie rzeczy, co go to obchodziło, po tylu latach – na pewno nie przyjechał, żeby spiskować, tak więc nie dopuści się zaniedbania, nie każąc ich śledzić, i nikt też nie będzie mógł powiedzieć, że osłania wroga państwa, jeśli odłączy tę fiszkę od innych, podrze ją na najdrobniejsze kawałeczki i wyrzuci do kosza.

Odszukał w książce telefonicznej numer Consuelo, a kiedy go wykręcił i wsłuchiwał się w sygnał w słuchawce, wyjął z kieszeni chusteczkę i zasłonił nią usta, niczym porywacze w filmach, aby nie można było rozpoznać jego głosu – gdyby ktoś wszedł, natychmiast by się rozłączył i powiedział, że jest przeziębiony – odważne przedstawienie, w jego wieku, we własnym gabinecie naśladować filmowych przestępców. Ktoś odebrał, ale podkomisarz mówił tak cicho, że osoba po drugiej stronie pewnie pomyślała, że to jakiś żart lub pomyłka, i już miała zamiar się rozłączyć. Powiedział, po odkaszlnięciu i schowaniu chusteczki, że jest przyjacielem pana Galaza. Początkowo recepcjonista nie potrafił sobie przypomnieć tego nazwiska. Powiedział, że poszuka w spisie. Podkomisarz Florencio Pérez ze słuchawką zroszoną potem dłoni niespokojnie zerkał w kierunku drzwi gabinetu. W końcu głos ponownie się odezwał: pan Galaz z córką opuścili hotel przed około miesiącem i nie zostawili informacji, dokąd się przenoszą. Odłożył słuchawkę z uczuciem ulgi i bezkarności, które po kilku minutach, ku jego zaskoczeniu, przekształciło się w uczucie zawodu, apatii, znużenia. Kawałeczki lizski w koszu na śmieci kłuły go w oczy niby oskarżenie. Z niechęcią podarł kilka formularzy i wrzucił je do kosza. Bez wątplenia dopadła go nieodwracalna starość; żalem wspominał już nawet najgorsze miesiące swej młodości, niespokojne dni prześladowań i gróźb, podczas których tłumy zbierały się pod kościołami, by kamienować wiernych, kiedy wybuchł Ruch, kiedy wydawało się pewne, że garnizon z Maginy się do niego przyłączy, kiedy nagle podczas kilku godzin pewnej bezsennej nocy wszystko się poplątało i musiał zacząć się ukrywać, nie popełniwszy innego przestępstwa jak odważne proklamowanie swych idei i wiary, jak napisał później w pamiętnikach, tych, które tak bezskutecznie usiłował opublikować po jego śmierci niez mordowany Lorencito Quesada. Cóż robił przez te wszystkie lata ów mężczyzna, po jakich niewyobrażalnych drogach wygnania w końcu dotarł do swego przeznaczenia bibliotekarza i mieszkania w Stanach Zjednoczonych; dlaczego teraz wrócił? Dlaczego zajęło mu to tak dużo czasu?

Pamiętał jego postawę i energiczne gesty wojskowego, ale nie twarz; pomyślał, że wymyśli jakiś pretekst i uda się z wizytą do Ramira Portrecisty, który bez wątplenia przechowywał w swym archiwum jakąś fotografię majora Galaza. Jednak czuł niechęć do odwiedzin w studio Ramira, a także miał wyrzuty sumienia, bo kiedy wydał za męża swą córkę, zamówił zdjęcia z uroczystości u konkurencji, ponieważ robili kolorowe. Poza tym, od kiedy czarno-białe zdjęcia przestały być obowiązkowe w dowodach osobistych i zainstalowano maszynę do zdjęć w narożniku placu, studio Ramira utraciło swych najpewniejszych klientów i podkomisarz przy każdym spotkaniu z fotografem odczuwał dręczącą mieszaninę poczucia winy i współczucia, podobne uczucie budzili w nim też sprzedawcy z rynku, u których nikt już nie kupował. On kupował, rzecz jasna, w sobotnie poranki, a kiedy wracał do domu i żona sprawdzała zwiędnięte warzywa i nadpsute mięso, przyniesione w koszu, wyzywała go od nieudaczników i mawiała, że gdyby miał to, co mają

mężczyźni, i potrafił zrobić użytek ze swej władzy, wróciłby na rynek i zażądał zwrotu pieniędzy.

Nie poszedł do studia Ramira Portrecisty; pękało mu serce na widok samej wystawy, gdzie jeszcze wisiało kilka zakurzonych zdjęć rekrutów i staroświeckich par nowożeńców oraz wielki portret Rzeźnika z Maginy, zrobiony w dniu jego pierwszej walki – opublikowano go w „Dígame”, i jeszcze można było zobaczyć pozółkły wycinek z gazety w niektórych barach w mieście. Teraz ludzie portretowali się w nowym zakładzie w podcieniach, gdzie wisiał kolorowy neon „Fotoimagen 2000”, a wystawa była tak wielka jak w sklepach z urządzeniami elektrycznymi i wyłożona błyszczącymi, zuchwałymi, kolorowymi fotografiami, wykonanymi czasem pod tak dziwnym kątem, że podkomisarzowi kręciło się w głowie od samego patrzenia: pary nowożeńców zdawały się spowite różową mgłą albo uśmiechały się z wnętrza telewizora, albo szybowwały z rozpostartymi ramionami nad pękatą wieżą kościoła Zbawiciela, pośród chmur, jak na okładce płyty z nowoczesną muzyką. „Nic nie rozumiem”, myślał i powiedział to tego samego wieczora porucznikowi Chamorro. „Nie rozumiem poezji, jaką teraz pisują, o ile w ogóle można nazywać poezją coś, co nie przestrzega świętych norm metrum i rymu, nie rozumiem obrazów, które teraz malują, ani piosenek, które śpiewają, ani słów wypowiedzianych w barach, a skoro już mowa o rozumieniu, to nie rozumiem też języka współczesnych raportów policyjnych. Same skróty, Chamorro. Nie moglibyście uprościć trochę nazw waszych organizacji politycznych? Wydaje mi się, że nawet wy sami ich nie rozumiecie, i choć nie wypada mi tego mówić, powiem, że nam też wprowadzacie zamieszanie. A przecież w końcu wszystkim wam chodzi o to samo, to znaczy o obalenie ustroju...” Podkomisarz Florencio Pérez, kiedy szedł w odwiedziny do swego przyjaciela, nie musząc go aresztować, robił to w tajemnicy, najpierw krążył po dzielnicy Świętego Wawrzyńca, upewniając się, że zapadł już zmrok i że nikt go nie widzi. „Nie wkurzaj mnie, Florencio. Wiesz, że raz na zawsze wyparłem się kłamstw polityki i niewolnictwa religii”. Podkomisarz sięgnął po ciasteczko, popił łyk anyżówki i zaczął mówić ze słodką, mączną kulą w ustach, rozsiewając dookoła drobiny śliny i cukru. „Nie porównuj tych dwóch rzeczy, Chamorro, i przestań o tym gadać, bo się zdenerwuję!” „A ty nie gadaj z pełnymi ustami, bo mnie wyprowadzasz z równowagi! To nieprawdopodobne przy twoim wykształceniu i dobrym wychowaniu, nikt nie może się do ciebie zbliżyć, kiedy jesz”. Żona Chamorro wyszła z kuchni, żeby ich pogodzić. Zawsze to robiła, gdy słyszała, że zaczynają podnosić głosy. „Florencio, jeszcze jeden kieliszek i ciasteczko, bo kiepsko dziś wyglądasz”. „I przynieś mu popielniczkę” – rzucił wspaniałomyślnie Chamorro – „nie może już wytrzymać, chce sobie zapalić, a wstydzi się mnie poprosić o pozwolenie”. Chamorro pił chłodną wodę; nie smakowała mu kranówka, więc przynosił wodę w dzbanach ze studni Alameda, umieszczając naczynia w niewielkim koszu na grzbiecie wiecznie żalącej się oślicy. Podkomisarz Pérez czym prędzej wyjął papierosnicę oraz pudełeczko bibulek i sprawnie skrzył papierosa. Pomyślał, że jego przyjaciela cechują dziwactwa świętego i surowość, do jakiej on sam nie był zdolny. Przysiągł jednak sobie, że nic mu nie powie o swym porannym odkryciu – a kiedy zamyka usta, nawet największe tortury nie mogą zmusić go do przerywania milczenia, jest niczym chrześcijański męczennicy w lochach za czasów Nerona, jak jeńcy w kazamatach. Wszelako anyżówka i ciastka, gorący żarownik pod stołem, gościnność tego domu nieodmiennie budziły pokusę zwierzenia się. „Nie wiem, co ze mną będzie, Chamorro”, odezwał się, wypuściwszy obłok dymu, wypełniający cały pokój. „A co ma być, stary” – porucznik Chamorro kaszlał i wachlował się rękoma, rozpędzając dym przed twarzą – „jesteś przecież bogobojny”. „Jestem pizdą, z przeproszeniem twojej żony, bo na pewno mnie usłyszała. Tak się składa, że nie mam charakteru, autorytetu ani nic. Mój młodszy syn wydawał się taki dobry i miał mnie uszczęśliwić, wstępując w służbę bożą, a proszę, co się z nim porobiło, nie wiadomo, gdzie się wałęsa z tymi włosami i z brodą dzikusa, ćpa i jest

obibokiem, niby śpiewa, a właściwie wrzeszczy jak ten poganin w dżungli. Córka, kiedy idę ją odwiedzić, wysyła mnie po zapalki albo po wino, sadzam sobie wnuka na kolanach, żeby się z nim pobawić, a ten śmieje się ze mnie albo nudzi się i mówi, żebym pozwolił mu w spokoju oglądać bajki. Mój starszy syn, odkąd awansował na podkomisarza i dostał przydział w Madrycie, patrzy na mnie z góry. A o żonie w ogóle nie ma co gadać, Chamorro. Proszę ją, żeby mi towarzyszyła w nowennie do Matki Boskiej, a ona odpowiada, że już dość się namodliła i że kościelna wilgoć źle jej robi na reumatyzm”. Lubił słuchać samego siebie, z jednakową starannością oddawać się zarówno dbałości o słowa, jak i samobiczowaniu. Porucznik Chamorro otarł okruszki ciastka z brody i nalał jeszcze trochę anyżówki do kieliszka, odsuwając od siebie butelkę jak najdalej, jak gdyby bał się zarażenia. „A czego mi w życiu brakowało?” – ciągnął podkomisarz. – „Miałem wszystkiego dość, żyłem skromnie, ale bez wyrzeczeń, przy niedostatku tych czasów, miałem szczęście, nawet wygrałem wojnę. Wyobraź sobie, co by było, gdyby wygrali twoi zamiast moich. Ty byłbyś teraz generałem albo gubernatorem, kimś bardzo ważnym. A ja, kim ja jestem?” „Starą dewotą, Florencio, okropną starą dewotą”. „Katolikiem, Chamorro, rzymskim, apostołskim katolikiem, jako prawdziwy Hiszpan”. Porucznik Chamorro zastukał knykциями w stół: „No to już zaczynamy, stary. A ja, ponieważ nie chodzę na mszę, więc kim jestem? Może Turkiem?”

Nic mu nie powie, przysięgł to samemu sobie, miał zamknięte usta, jakby nakazywała mu to tajemnica spowiedzi. Spojrzał na zegarek, dochodziła dziesiąta. Najpóźniej o dziesiątej trzydzieści powinien wrócić do domu. Było jednak zimno na dworze i wiał porywisty wiatr, a przy podgrzewanym żarownikiem stole porucznika Chamorro było tak przyjemnie, że, gdy go podgarniano szufelką, spowijał cały pokój ciepłem tak słodkim jak ciepło koców, poza tym doskonałe ciastka i anyżówka rozpuszczająca je w ustach, pomagająca im się rozplwać i zsuwać do żołądka. Jeśli jednak nie powie tego swemu przyjacielowi Chamorro, który znał majora Galaza, służył pod jego rozkazami i wstawił się u niego, aby zwolniono z więzienia pewnego młodego i pobożnego policjanta, nieszkodliwego, schwytanego przez pomyłkę wraz ze zgrają spiskowców z Falangi, to komu innemu mógłby powiedzieć? Spoważniał tak bardzo, że trochę wydłużyła mu się twarz, spojrzał w kierunku kuchni, gdzie żona Chamorro zmywała naczynia, dał mu znak, aby zamknął drzwi, i trochę się do niego zbliżył. „Chamorro, przysięgnij mi, że tego, co ci powiem, nie powtórzysz nikomu”. „Ja nie przysięgam, bo nie wierzę w Boga”. Podkomisarz gestykulował niecierpliwie i o mało nie powiedział swemu przyjacielowi, że choć nie wierzy, to jeszcze może uratować swoją duszę, i że on modli się co wieczór za jego powrót na święte łono Kościoła, chociażby na łożu śmierci, jak uczyniło tylu ateistów, jak don Mercurio, lekarz i mason, lecz powstrzymał się, bo robiło się późno i nie mógł się doczekać złamania własnej przysięgi. „No to przysięgnij mi na swój honor, Chamorro”. „Przysięgam”. Podkomisarz skręcił jeszcze jednego papierosa. Starał się wypuszczać mało dymu, ale nie wychodziło mu to, jego żona miała rację, kopał bardziej niż ktokolwiek inny, oczadzał cały dom jak lokomotywa. Zaczął mówić tajemniczym tonem: „Przyjechał do Maginy ktoś, kogo ty i ja znamy i kogo nie było tu od wielu lat. Odkryłem to. I nie pytaj mnie kto to taki, bo nie wiem, czy mogę ci powiedzieć”. Porucznik Chamorro machnięciem ręki odgarnął dym, jakby to była zasłona, i wybuchnął śmiechem. „Major Galaz. Ten sam, co ci uratował życie, kiedy ci twoi zmajstrowali to, co zmajstrowali. A ty się nam odwdzięczyłeś, przechodząc na drugą stronę frontu i walcząc przeciwko nam”. Nie mógł w to uwierzyć, nawet jego najlepszy przyjaciel go oszukiwał, nawet człowiek na indeksie wiedział więcej niż szef policji. Usiłował dać do zrozumienia, że wyjawiał tylko część sekretu: „Nie było łatwo, ale jesteśmy na jego tropie. Zdaje się, że wyjechawszy stąd, ruszył na południe...” Porucznik Chamorro wstał i poszedł otworzyć okno, jakby skończyli już rozmawiać; szaroniebieski dym drżał w powietrzu i szybko wypływał z pokoju, ginąc w mroku, wypierany przez zimne powietrze. „Nie męcz się, Florencio, ani nie wymyślaj. Nie

musicie go szukać, bo on się nie ukrywa. A poza tym nie wyjechał z Maginy. Mieszka w domu w kolonii Carmen”.

JAK TO MOŻLIWE, że nawet teraz, kiedy ona mi to opowiada, niczego nie pamiętam, że nie został mi w pamięci żaden ślad tego, co z pewnością widziałem i zapomniałem; opuszczony ogród, w którym koty wygrzewały się w słońcu w zimowe przedpołudnia, skacząc pomiędzy suchymi liśćmi pokrywającymi żwir lub nieruchomiejąc jak egipskie posążki na szczycie murku, który tylekroć mijałem, kiedy odważałem się zbliżyć do tego osiedla, gdzie – jak sądziłem – mieszkali jedynie milionerzy, aby krążyć wokół domu Mariny, znajdującego się tak blisko. Było to osiedle domków jednorodzinnych, kolonia Carmen, na północny zachód od miasta, przy madryckiej szosie, na końcu nieużytków, gdzie przez wiele lat samotnie stała szkoła salezjanów i gdzie później wybudowano mieszkalne bloki. Wyobrażałem sobie, nie wiadomo dlaczego, że tam mieszkali bogacze, lekarze, jak ojciec Mariny, adwokaci, inżynierowie, w domach skrywanych za pobielonymi wapnem murami albo płotami o żelaznych prętach, domy otoczone cyprysami i mirtowymi żywopłotami, z elektrycznymi dzwonekami i łazienkami, i złotymi wizytówkami na drzwiach. To, że ci niewidoczni ludzie mieszkali tak daleko od mojego osiedla, po drugiej stronie miasta, było bez wątpienia dowodem na to, że pieniądze dawały im przywilej mieszkania na uboczu – w letnie wieczory słychać było odgłosy kosiarek i pomp do podlewania trawników, a gdy przechodziło się tamtędy, w nos uderzał zapach jaśminów i maciejki, i mokrej trawy, człowiek wzdrygał się, słysząc ujadanie psów; śmiechy i głosy, spokojne rozmowy osób siedzących na metalowych krzesłach pomalowanych na biało, zapach chloru i chlapanie się ciał w basenach, których nie można było dostrzec z ulicy.

Nadia śmieje się i mówi, że przesadzam; w całej kolonii były co najwyżej trzy baseny. Były tam niewielkie domy, prawie wszystkie jednopiętrowe, ze skromnymi ogrodami zniszczonymi kurzem i spalinami z szosy. Powiększała je moja wyobraźnia pobudzona dziwnością tego miejsca, w którym widziałem siebie je dynie jako ukradkowego poszukiwacza, a także – teraz mi się tak wydaje – jakiś niejasny przejaw buntu klasowego. Tak więc nie widziałem tego, co miałem przed oczyma, ale musiałem ją zobaczyć, na pewno ją widziałem, ale nawet nie zwróciłem uwagi, zaślepiony obsesją miłości, milcząco poszukującej swej pełni w niemożności i niepowodzeniu, tak jak tylokrotnie wcześniej i później w życiu; nie jest prawdą, że skoro człowiek na jawie chodzi i mówi, musi też widzieć, nie jest prawdą pewność świadomych wspomnień. Minałem się z nią i jej ojcem, wiem to, bo mnie widziała, bo nie szła z zawiązanymi oczyma, mówi, że widziała, jak się wałęsałem samotnie po ulicach z niskimi murkami i akacjami po obu stronach, w dżinsach i niebieskiej kurtce, z kręconą, czarną grzywką opadającą na czoło, jej uwagę zwrócił sztuczny sposób palenia – papieros zwieszający się z kącika ust, okrągła twarz siedemnastolatka i niespokojne spojrzenie spode łba, dlatego właśnie, kiedy ujrzała mnie ponownie, nie potrzebowała nawet pięciu minut, aby mnie sobie przypomnieć.

Ona w tym czasie, w odróżnieniu ode mnie, przyglądała się wszystkiemu z napiętą uwagą i olśnieniem, mieszkała w mieście, które wyobrażała sobie od dzieciństwa, po raz pierwszy w życiu przeleciała samolotem nad Atlantykiem i wszystko, co widziała od chwili lądowania po tej stronie oceanu, było dla niej swego rodzaju spokojnym cudem, żyła w nieprzerwanej ospałości, przeżywała wakacje zdające się nie mieć końca, w terażniejszości przeciągającej się z dnia na dzień bez wymagań ani zagrożeń, z dala od Ameryki, od domu, w którym

umierała jej matka wyposażona w sztuczną zastawkę serca, łomoczącą jak bęben za ścianą w ciszy bezsennych nocy. Widziała ze swego okna światła Manhattanu, dokąd w dzieciństwie wożono ją bardzo rzadko, tak rzadko, że poznała miasto znacznie później i nigdy nie przestała czuć się w nim obco, tak samo jak w każdym innym miejscu – to jest nam wspólne, wieczna mieszanina skrępowania i swobody, gotowość osiedlenia się gdzieś na pół godziny albo dziesięć dni, jakbyśmy mieli tam zostać na całe życie albo na wiele lat, nie tracąc poczucia prowizoryczności ani chęci kontynuowania życia nomadów, wrażenia przerwy w podróży, w życiu, i przechodzenia z języka na język. Od dziecka wiedziała, że do matki i jej koleżanek ma mówić w taki sposób, a do ojca w inny, nie chodzi o to, że czasem mówiła po angielsku, a czasem po hiszpańsku. Odkąd poszła do szkoły, zaczęła bawić się z innymi dziewczynkami i odwiedzać ich domy, wiedziała, że nie jest taka jak one, i dopiero znacznie później z wielkim wysiłkiem odkryła, że istota jej odmienności tkwiła w ojcu, i to ją peszyło, a zarazem sprawiało, że czuła się z niego dumna; ojciec nie miał blond włosów i rumianej twarzy, nie pokrzykiwał gardłowym głosem, nie brał matki za rękę ani nie podejmował gości, śmiejąc się głośno, do rozpuku. Ojciec nie przyjaźnił się z nikim z sąsiedztwa ani nie podawał sąsiadom koktajli w ogrodzie, nie wkładał krótkich spodenek w letnie popołudnia, aby podlać trawnik albo rozpalić grill. Wyglądał raczej jak dziadkowie innych dziewczynek, którzy mówili po angielsku z bardzo wyraźnym, obcym akcentem, lecz to wydawało jej się czymś pozytywnym, być może dlatego, że wtedy niezbyt dobrze odróżniała jeszcze młodość od starości, a w każdym razie wołała tę drugą. Ojciec nie jeździł do pracy samochodem, tylko chodził pieszo, nawet nie potrafił prowadzić, i to też odróżniało go od innych ojców, a kilka razy, kiedy miała osiem czy dziewięć lat, zabrał ją na Manhattan, do bloków z ciemnymi klatkami schodowymi, do domów z czerwonej cegły, gdzie zobaczyła mężczyzn takich jak on, byli podobni nie tylko dlatego, że mówili po hiszpańsku, lecz dlatego, że ubierali się podobnie i mieli podobny wyraz twarzy, i puszczały płyty, które znała na pamięć, bo słuchała ich w swoim domu. Jeszcze dzisiaj nie potrafi słuchać niektórych pasodoble: *W świecie* albo *Westchnienia Hiszpanii*, bo łzy napływają jej do oczu i głos więźnie w krtani – śmieje się sama z siebie, jest przekonana, że mnie to bawi, ale nic na to nie potrafi poradzić i nie ma zamiaru tego zmieniać, słucha dźwięków orkiestry i szorstkiego głosu Conchy Piquer i nie musi wspominać podróży na Manhattan i dłoni ściśniętej w gorącej, wielkiej dłoni ojca, żeby ogarnęła ją przytłaczająca nostalgia oraz poczucie szczęścia i opuszczenia; te mieszkania ze starymi meblami, miedzianymi talerzami i hiszpańskimi fotografiami na ścianach, adaptery, z których rozbrzmiewały republikańskie hymny i piosenki Miguela de Molina, mężczyźni i kobiety – siedzieli ceremonialnie w fotelach, odstawiali na podłogę albo na stoliki filiżanki herbaty i kieliszki sherry, wstawali, aby tańczyć, obejmując się w pasie z delikatnością, jaką widziała tylko tam, nigdy podczas *parties* wydawanych z rzadka przez jej matkę, która brała ją czasem na środek i uczyła kroków, podczas gdy ojciec, który nigdy nie tańczył, przyglądał się jej, uśmiechając się lekko z rogu pokoju, ze szklanką w dłoni, śledził ją wzrokiem, przytakując czymś słowem.

Przeczuwała z przedwczesną dumą i bez konieczności wyjaśniania, że ci mężczyźni i kobiety, których odwiedzała z ojcem, nie byli tacy jak inni, że ich mieszkania miały w sobie coś z odizolowanych, a także niepewnych wysp pośród przytłaczającej codziennej rzeczywistości, która jej wydawała się też wroga, choć była jedyną, jaką znała. Wracali ostatnim pociągiem, kiedy matka już spała, nie sprzątnąwszy szklanki i pojemnika z roztopionym lodem, stojących na niskim stoliku przed fotelem, ani nie wyłączywszy telewizora. Po cichu wkładała piżamę, rozczesywała włosy, myła zęby. Ojciec, wsparty na łokciu w drzwiach łazienki, miał na ustach taki sam delikatny uśmiech, jaki błyszczał w jego oczach podczas przyjęcia: uśmiech ledwie wykrzywający usta, być może tylko dla niej. Całowała go, życzyła mu dobrej nocy, kładła się do łóżka, nie gasząc światła, i czekała z zamkniętymi oczyma, aż wejdzie, prosiła go o to w milczeniu. Stukał cicho do drzwi i kiedy

zbliżał się do łóżka, niósł w dłoniach hiszpańską książkę. Zasypiając, słuchała jego głosu i wydawało jej się, że staje się coraz słabsza, że przygasa światło, aż w końcu spowijała ją szumiąca cisza i ciemność bez strachu. Już spała, ale jeszcze czuła, jak ją przykrywa, a potem pocałunek na czole i dłoń we włosach i w końcu oddalające się kroki i cichutki trzask delikatnie zamykanych drzwi. Śniła obrazy z bajek, które jej czytał, czasem o człowieku na koniu i o lesie, o zamku wyłaniającym się z mroku obrazu wiszącego na ścianie jego gabinetu.

Wyobrażam ją sobie stopniowo przyzwyczajającą się do ulic i zimy w Maginie, początkowo prowadził ją ojciec, potem udawała się na samotne spacery, które któregoś dnia zawiodły ją do dzielnicy Świętego Wawrzyńca, na ulicę Pozo, gdzie przypatrywały jej się sąsiadki, może moja matka albo babcia Leonor, kiedy zamiatała ulicę przed wejściem i zraszała kamienie wodą mijała mnie, wracając później przez plac generała Orduñi i ulicą Trójcy Świętej do Nowej Wieży, gdzie nocą zapalano światła fontanny, spacerowała po ulicy przed szkołą, kiedy dzwonił dzwonek, otwierały się drzwi i moi koledzy i ja przechodziliśmy przez ulicę Ramón y Cajal, żeby słuchać płyt i pić piwo w Martosie. Mogę ją odróżnić spośród koleżanek wychodzących z torbami gimnastycznymi na ramionach albo z zeszytami i książkami przytulonymi do piersi, nie tylko z powodu rysów twarzy i koloru włosów, lecz dlatego, że chodzi w inny sposób, nie kołysząc się jak one, bo nie niesie torby, nie jest też umalowana i wydaje się znacznie młodsza niż dziewczęta w jej wieku. Lecz może jej sobie nie wyobrażam, może moja pamięć jest bardziej przenikliwa niż ja i przypominam ją sobie, nie dokładnie ją, ale jedną z obcych dziewcząt pojawiających się od czasu do czasu w Maginie, spowitych taką samą nieosiągalną wolnością i obietnicami, jakie urzekały mnie, gdy słuchałem angielskich piosenek z grającej szafy w Martosie. Marina i jej koleżanki chodzą w butach na obcasach, używają tuszu do rzęs i kremów do twarzy, cieni do powiek, depilują sobie brwi, w każde piątkowe popołudnie idą do fryzjera; ona wtedy chodziła tak samo jak teraz, z obojętną naturalnością, zatrzymuje się, aby na coś popatrzeć, i w tej samej chwili zapomina, w którą stronę idzie, nosi buty kowbojskie albo sportowe i trochę za dużą kurtkę. Przechodzi obok drzwi szkoły, może mnie zauważa i przypomina sobie moją twarz, myśli, że robi się późno i że czas już wracać do domu, by przygotować kolację dla ojca; niebawem zapadnie zmrok i zaczęło mżyć. Wpada na kogoś, odwraca się, żeby przeprosić, i odzywa się po angielsku, jest to mężczyzna, którego już wcześniej widziała, lecz teraz sobie tego nie przypomina, mężczyzna trzydziestokilkuletni, w welwetowej marynarce, z krawatem, w okularach, z czarną nauczycielską teczką. A ja, który jej nie widziałem, a nawet nie wiem, że ona istnieje, w tej samej chwili wrzucam monetę do grającej szafy w Martosie i za chwilę zasiadę obok mych kolegów z piwem w rękę, żeby posłuchać piosenki Jimmy'ego Hendriksa – Martin zaczyna rytmicznie kołysać głową i sprawdza coś w notatkach z chemii, Serrano zaciąga się papierosem, przewracając oczyma, i pozwala, by dym powoli wypływał z jego ust, tak ponoć robią palacze haszysz, Feliks jest jakby w innym świecie, znudzony tą muzyką, której nie potrafi polubić. Odczuwam teraz zazdrość, wyobrażając sobie to spotkanie, i chciałbym, żeby nie wpadła na tego mężczyznę albo żeby go nie przeprosiła i nie rozpoznała; widzieliśmy się w Consuelo, mówi on, uśmiechając się, na początku października, oboje dopiero co przyjechali do miasta i zamieszkali w tamtym hotelu, powiedziałaś mi, że czekasz na swojego ojca, boisz się, że zabłądził, bo wyszedł, zanim się zbudziłaś, i zostawił kartkę, że wróci o dziewiątej, a już była dziesiąta; siedzieli w barze i pili kawę z mlekiem, jestem trochę zdenerwowany powiedział, wskazując przez szyby budynek szkoły po drugiej stronie ulicy, gdzie miał nazajutrz po raz pierwszy iść do pracy i chociaż pracował już od kilku lat, zawsze trudno mu było zaczynać nowy rok w nieznanym mieście, z nieznanymi uczniami, z nauczycielami być może niezbyt przyjaznymi, zawsze działało się to samo, przyjeżdżał do jakiejś szkoły i nie panował nad językiem, wyrażając swe opinie, i koledzy odwracali się od

niego. Dlatego bardzo się ucieszył, widząc ją, bo przez te dwa miesiące często ją wspominał, zadając sobie pytanie, czy już się przyzwyczaiła do miasta i kraju, przyjechawszy z tak daleka, ze Stanów Zjednoczonych, ze stolicy imperium, powiedział, zaśmiewając się, powtarzając żart wypowiedziany już z pewną ostrożnością przy pierwszym spotkaniu. Spojrzał na zegarek, spieszył się, ale miał jeszcze czas, aby zaprosić ją na kawę, ona wzruszyła ramionami i zgodziła się, trochę oszałamiała ją szybkość wypowiedzianych przez niego słów, ale od długiego czasu rozmawiała tylko z ojcem i z kobietami w sklepach, a ojciec ostatnio też niewiele mówił, wołał spacerować samotnie i wracał, kiedy leżała już w łóżku, lecz nie spała, od dziecka nie potrafiła zasnąć, zanim nie wrócił do domu, leżała rozbudzona przy zgaszonym świetle i wpatrywała się w świecące wskazówki budzika, kiedy słyszała, że otwiera się furтка, a po chwili drzwi domu, wsłuchiwała się w odgłos jego kroków, zauważając, że nie zapala światła i wpada na meble, i długo siedzi w łazience, po czym ciężko opada na łóżko.

Przeszli przez ulicę, a ona przypadkiem zaproponowała wejście do baru Martos, lecz mężczyzna odparł, że nie, że w tym barze zawsze jest bardzo głośno, a poza tym zwykle przesiadują tam jego uczniowie. Poszli do Consuelo, w ten sposób powtórzyli swe pierwsze spotkanie, powiedział, śmiejąc się, ponury skurwysyn, przykładowy wojownik, bohater *praxis* edukacyjnego i równych szans życiowego startu, nauczyciel, który pozwalał nam palić na egzaminach i zaglądać do książek i notatek; z palcami wydzielającymi woń kredy i paczkami ducados, popisywał się przed nią swą sztuką krasomówczą, kątem oka spoglądał na jej uda, biodra, piersi bez stanika, zniżał głos, aby wyznać jej, że jest represjonowanym politykiem, że bojkotowano go na uniwersytecie i dlatego musi zarabiać na życie w prowincjonalnych szkołach, nie wspominając o latach spędzonych na wygnaniu, od sześćdziesiątego trzeciego do sześćdziesiątego dziewiątego. „Mój ojciec spędził na wygnaniu ponad trzydzieści lat”, odparła; natychmiast pożałowała, że wyznała to komuś obcemu, i poczuła się źle, niepewnie, jakby odrobinę niewierna, zapragnęła natychmiast sobie pójść. Lecz uśmiech mężczyzny, który nazywał się José Manuel, przyjaciele zwali go Manu, stał się jaśniejszy, gdy słuchał tych jej słów, których ona, teraz zaciskająca zęby, nerwowo zerkająca na zegarek, wołałaby nie wypowiedzieć, i pochylił się bardziej do przodu na wysokim taborecie, wsparty łokciami na barze, niemal dotykał jej kolan, dłoni, wydychał jej w twarz dym, kiedy zapalił kolejnego papierosa. Rzucił okiem na lewo i prawo, pochyłał się ku niej, zniżając głos, lecz bar był praktycznie pusty i słabo oświetlony – musi mu opowiedzieć, musi przedstawić go swemu ojcu, prawdopodobnie czują się samotni w Hiszpanii, zdezorientowani, odizolowani od walki, która tu nadal się toczy, choć wielu na wygnaniu myśli, że nie, że cały kraj zidiociał od telewizji, korridy, postępu i Kościoła; nawet wysocy przedstawiciele Kościoła przechodzą na pozycje demokratyczne, on ma dane na ten temat, a nawet niektórzy wojskowi i przedsiębiorcy niemonopolistyczni, tak więc bardzo szybko nastąpi nieodwracalna zmiana układu sił.

Uśmiechała się, podenerwowana, z grzeczności nie odważając się ponownie spojrzeć na zegarek, nic nie pojmowała, żadnego z tych słów, tak odległych od jej archaicznego hiszpańskiego, ale dostrzegała jego spojrzenia, wędrujące do jej obciśniętych dżinsami pachwin lub zatrzymujące się w nieokreślonym punkcie przestrzeni, aby ostrożnie ześliznąć się na jej piersi. Wydawał się przystojny, miał już odrobinę szpakowate, dość długie czarne włosy, ciemne, lśniące oczy, wielkie dłonie z opuszkami palców poplamionymi nikotyną i kredą, ale jej nie pociągał, jeszcze nie, powiedziała mi, peszył ją, bo nigdy wcześniej nie znalazła się sam na sam z mężczyzną w tym wieku i dlatego, że ojcu by się nie spodobał, gdyby go zobaczył, nie lubił ludzi mówiących zbyt wylewnie i śmiejących się głośno. Wyobrażała sobie ojca samego, czekał na nią, siedział w fotelu w jadalni, przy zgaszonym świetle, chociaż padało i już zapadał zmierzch, też rzucił okiem na zegarek i na obraz jeźdźca

zawieszony na ścianie, pomyślała, że powinna już sobie pójść, ale nie ruszyła się z miejsca, oszołomiona słowami Praxisa i jego gestykulacją, jak gestami hipnotyzera, tak siebie teraz wspomina, milczącą, zafascynowaną, wsłuchaną, i choć natrzęsa się ze swej ówczesnej łatwowierności, nie uchyla się całkowicie przed bólem, dlatego nie pojawiłeś się właśnie w tamtej chwili, dlatego zwlekałam tyle czasu z powiedzeniem mu, że muszę już iść, i nie odmówiłam, kiedy zaproponował, że odwiezie mnie do domu samochodem, szarą osiemset pięćdziesiątką, to pamiętam dokładnie, starą i poobijaną, z madrycką rejestracją, z europejskimi nalepkami campingowymi na tylnej szybie, zawsze stojącą przed szkołą. Wyszli na ulicę, chroniąc się przed deszczem pod okapami domów, ona z zapiętym pod szyję zamkiem kurtki i z podniesionym kołnierzem stała przy samochodzie, czekając, aż Praxis otworzy drzwi, powtarzała, że nie musi się o nią martwić, bo mieszka bardzo blisko, nie chciała, by ojciec zobaczył, jak wysiada z samochodu nieznanego człowieka, lecz nie mogła nic zrobić, tak samo jak wtedy, gdy siedziała na barowym stołku, mijały minuty, a ona nie mogła zdecydować się, żeby odejść. Wspominała z zadowoleniem władzę, która do tamtej chwili wydawała jej się śmieszna: pociągania mężczyzn, zauważania z przenikliwością, jakiej oni nie mieli, niepewność podsycającą ich pożądanie, ukradkowe spojrzenia, to ich swego rodzaju wrodzone tchórzostwo przydające im wstydlivości albo popychające wprost do bezczelności. Wnętrze samochodu przesycone było dymem, a po prawej stronie kierownicy znajdowała się na wpół otwarta popielniczka wypełniona niedopałkami. José Manuel, Manu, Praxis, usprawiedliwiał się z powodu brudu, włączył silnik, zirytowany stwierdził, że wycieraczki niemal nie działają, ruszył aleją Ramóna y Cajal, opowiadając jej o miesiącu spędzonym przed czterema czy pięcioma laty w Paryżu, o którym nic nie wiedziała, prosił ją o opowiedzenie szczegółów na temat demonstracji i zamieszek rasowych, i marszy protestacyjnych przeciw wojnie w Wietnamie na amerykańskich uniwersytetach, choć wyglądało na to, że o tym wszystkim wie znacznie więcej od niej, przytłaczał ją, wiedział wszystko, wszędzie był, przeżył jakieś tajemnicze przygody w krajach Europy Wschodniej, potajemnie wrócił do Hiszpanii i przez całe miesiące i lata funkcjonował dzięki fałszywym dokumentom. Był rozkojarzony, prowadził gwałtownie i niezręcznie, odwracając się, aby na nią patrzeć, nie zwracając uwagi na niezbyt intensywny w zimowy wieczór ruch uliczny, muskał dłonią jej udo, kiedy zmieniał biegi, a gdy pokazała mu, by skręcił w prawo do kolonii, było już za późno, jechali bardzo szybko wzdłuż muru szpitala Świętego Jakuba i samochód zatrzymał się dopiero na pasach, bo zapaliło się czerwone światło. „Zawsze to samo, przepraszam, zaczynam rozmawiać i zapominam, że prowadzę”. Światła na fasadzie i wieżach szpitala w deszczu miały pomarańczowy i smutny odcień, dla mnie były światłem rozbłyskującym w niedzielne noce na tym krańcu Maginy, u wylotu ulicy Nowej, w tym opuszczonym i bardzo nieprzyjaznym terenie, gdzie zawracały podczas spacerów nobliwe i znudzone małżeństwa, pary narzeczonych i grupki dziewcząt, aby zmierzać w kierunku placu generała Orduñi, by nie kontynuować spaceru w stronę ciemnej drogi prowadzącej do stolicy prowincji; nie zawracały tylko pary poszukujące mroku poza basenem i stacją benzynową, których białe światła zdawały się odgradzać miasto od nieznanego. Poprosiła, żeby ją wysadził właśnie tam, nawet odszukała klamkę i chciała otworzyć drzwi i wysiąść, już nie padało i pieszo po kilku minutach doszłaby do domu, lecz nie wysiadła, wystarczyło jedno słowo, jeden gest, jeden z tych nierozmyślnych i zwyczajnych gestów, które kończą albo ratują ludzkie życie. Wtedy jednak była już stracona, tak mi powiedziała, spoglądała na ulicę przez szybę samochodu z takim samym poczuciem nierealności, z jakim patrzyłby porwany zakładnik, więzień z twarzą przyklejoną do metalowej siatki więziennej furgonetki. Pomarańczowe światła, żółte lampy na narożnikach ulic, pary zakochanych pod parasolami, wieśniacy wracający z pola i ciągnący za uzdy swe zwierzęta. Wielkie dłonie Praxisa gwałtownie zacisnęły się na kierownicy, kiedy nagle skręcił w prawo. „Pokaż mi, gdzie to jest, podwiozę cię pod sam dom”. Wycieraczki utworzyły podwójne półkola na brudnych

szybach i teraz widziała przed sobą szosę i ostatnie budynki, obawiała się nie tego, że samochód dalej będzie jechał prosto po minięciu stacji benzynowej, ale tego, że pragnie, aby tak było, siedząc w ciemności obok nieznanego, który mówi do niej, nie patrząc na nią, i prawą ręką pociera jej udo, zadawała sobie pytanie o to, która może być godzina, odnosiła wrażenie, że minęło wiele czasu od ich wyjścia z Consuelo i że nieuchronnie zmierza w stronę doświadczenia, w którym nie mogła liczyć na osłonę woli zakorzenionej w postaci i wiedzy ojca. To jednak najbardziej ją pociągało; nie ten trzydziestokilkuletni mężczyzna, dyskretnie próbujący jej dotykać i natychmiast odsuwający się, jakby lekko kopnął go prąd, lecz świadomość ryzyka i poczucie samodzielności, zdania na samą siebie. Wskazała jedną z ostatnich przecznic, właśnie tu – powiedziała – po prawej, i Praxis natychmiast zareagował, teraz jechali w kierunku madryckiej szosy i kolonii Carmen, a zobaczywszy w oddali białe ściany domów i wysokie drzewa, poczuła ulgę, w której było trochę zawodu, strach w jednej chwili wydał się jej dziecinny, a czas wrócił do swojego rytmu, nie była północ, nie uciekł ani niczego po drodze nie zgubił, była dopiero ósma, godzina jej powrotu do domu, a ojca prawdopodobnie jeszcze nie było albo i tak nie zwróci uwagi na jej spóźnienie, pogrążony w lekturze książki lub gazety, podniesie wzrok, kiedy ona wejdzie, aby spojrzeć na nią ponad szklami okularów, w jadalni ze starymi, wynajętymi meblami, pośród których poruszała się ze spokojem zadowolonej gospodyni, niemal właścicielki, czego nigdy nie doświadczyła w swym domu w Ameryce.

Jednak światło było zapalone, a zasłony rozsunięte, i jasna plama rozprzestrzeniła się po niewielkim ogródku zasypanym aż do sztachet ogrodzenia suchymi liśćmi po pierwszych zimowych burzach. Przez okno jadalni zobaczyła, że ojciec stoi, i zapragnęła, by Praxis nie wyszedł z samochodu, choć teraz nie obawiała się go ani jej nie pociągał. Żadnemu z nich nie przyszły do głowy jakieś słowa pożegnania. Zgasił silnik i w krępującej ciszy, podczas której nie wiedzieli, co powiedzieć, wsłuchiwali się w potężny szum zimowego wiatru buszującego w gałęziach drzew. Odwróciwszy się do niej bokiem, zapalił papierosa i płomień zapalniczki oświetlił mu twarz, która już nie wydawała się młoda – twarz człowieka, który przeżył swoje i ma znamiona odległych doświadczeń dojrzałego mężczyzny. Pomyślała, że ją pocałuje i że być może ona ulegnie; wspomniała inne podobne pożegnania, przy drewnianej, pomalowanej na biało furcie jej domu w Queens, kolegów z *high school*, którzy odwozili ją z prywatek samochodami swych ojców i usiłując ją pocałować łapczywie i niezgrabnie, zostawiali jej w ustach cierpki smak piwa i tytoniu. „No tak” – powiedziała, uśmiechając się z przesadną angielską rezerwą i wyciągając do niego rękę w ciasnej przestrzeni samochodu, jakby wyszła do sieni, aby się z nim pożegnać – „teraz muszę już iść”. Czy grzeczniej byłoby zaprosić go do środka, aby mógł podziękować i odmówić? Podejrzewała jednak, że gdyby go zaprosiła, chętnie by się zgodził, a nie potrafiła wyobrazić sobie jego spotkania z ojcem, który będzie mierzył go wzrokiem i stopniowo uprzedzał się do niego z powodu jego niechlujstwa i gadatliwości. Niejasno przystali na to, że jeszcze się spotkają; on wyciągnął do niej rękę i zaledwie przez kilka sekund ścisnął jej dłoń, nie zapuścił silnika ani nie zapalił światła, dopóki nie znikła po drugiej stronie furki. Wiedząc, że jest obserwowana, przeszła przez ulicę bardziej wyprostowana, świadoma swej sylwetki i kroku, rytmu, w jakim kołysała biodrami, czuła się tak skrępowana, jakby miała buty na wysokim obcasie. Gdy pchnęła furtkę, pomyślała, żeby odwrócić się w stronę samochodu, który jeszcze nie ruszył z miejsca, aby pomachać Praxisowi, lecz wtedy z ulgą usłyszała warkot silnika i zobaczyła cień własny i sztachet ogrodzenia kładący się w światłach samochodu na żwirze w ogrodzie. Po chwili znowu zapadła ciemność, pachnąca wilgotną ziemią i butwiejącymi liśćmi, otworzyła drzwi domu i wytarła buty w wycieraczkę z napisem „Witajcie”. Wieszając kurtkę na wieszaku w sieni, stwierdziła, że płaszcz i kapelusz ojca są wilgotne; bez wątplenia on też dopiero wrócił i jeszcze nie zdążył zaniepokoić się jej spóźnieniem. Postanowiła nie kłamać, gdyby ją zapytał.

Siedział w fotelu przy niskiej ławie, gdzie stała zapalona lampa i dwie koniakówki, plecami do okna, z książką na kolanach i małym grzejnikiem przy nogach, nie wydawał się tym samym człowiekiem, którego ciemną sylwetkę zobaczyła kilka minut wcześniej w oknie. Nie była jej już jednak obca łatwość, z jaką mężczyźni udają, i zdała sobie sprawę, że ta poza była fałszywa – czekał na nią, stojąc przy oknie, zobaczył samochód i usiłował dojrzeć twarz kierowcy, usłyszawszy skrzypienie furtki, szybko usiadł w fotelu i udawał, iż jest tak pochłonięty lekturą, że nawet nie spostrzegł jej wejścia. Światło lampy podkreślało jego ostry profil i kanciaste, jakby wysuszone rysy, krzaczaste brwi, podwójną, pionową zmarszczkę po obu stronach ust. W półmroku pomieszczenia noc, przez którą zdążał jeździec na obrazie, wydawała się jeszcze ciemniejsza. Ojciec podniósł oczy znad książki, spojrzał nad okularami, i jak zwykle gdy wracała do domu, zdjął je, z uśmiechem czekając na pocałunek. Siedząc przy nim, na poręczy fotela, dotknęła jego twarzy zimnymi palcami i powiedziała, że zaraz przygotowuje mu coś do jedzenia. Spytała, co czyta; zauważyła, że gdy się zbliżyła, ojciec odwrócił książkę grzbietem do góry i odsunął ją na róg stołu. Niby dla żartu przytrzymał jej dłoń; to nie jest coś, co by mogło ją zainteresować. Śmiejąc się, jak wtedy, gdy była mała i udawali, że się mocują, wyciągnęła wolną rękę, zręcznie złapała książkę i uciekła w najdalszy kąt pokoju. Nie chodziło jednak o książkę; były tam dwie naklejone na brystol i obłożone bibułą fotografie, obie podpisane w dolnym prawym rogu pochyłym pismem, złotym atramentem, Ramiro Portrecista, przeczytała. Ojciec natychmiast spoważniał, poprosił, by je zwróciła. Zapaliła światło, by lepiej widzieć zdjęcia, i odwinęła bibułę z pierwszego: młody żołnierz, ujęty z boku w perspektywicznym skrócie, z czapką trochę na bakier i z ośmioramienną gwiazdą na daszku, lekko się uśmiechał pod bardzo cienkim wąsem. Na drugiej fotografii, z pewnością nie będącej statycznym portretem, ten sam żołnierz patrzył w górę ze środka schodów, stał na baczność z prawą dłonią przytkniętą do skroni. Nie rozpoznała od razu swego ojca, bo po raz pierwszy widziała jego zdjęcia z młodości.

ZADZWONIŁ DZWONEK, pomyślał, że to córka, zdziwiło go to jednak, bo nigdy nie zapomniała kluczy, tak samo jak nigdy nie zapomniała zebrać przed pójściem do łóżka brudnych ubrań z podłogi łazienki czy brudnych kieliszków i popielniczek, miała naturalne wycucie porządku, spowijające ją w domu niczym zapach perfum, sprzątała bez wysiłku, bez specjalnych przemyśleń, tak jak inne osoby samą swą obecnością powodują bałagan. Wchodził do jej pokoju, kiedy jej nie było, nie z powodu niejasnej, policyjnej ciekawości, jaką przejawiają ojcowie w stosunku do swych dorastających córek, lecz żeby w samotności i bez wstydu w okazywaniu czułości cieszyć się tym, że ona istnieje. Oglądał jej ubrania w szafie, książki ustawione na półce, płyty, którymi skrycie gardził, pary tenisówek i butów, bieliznę i koszule, swetry ułożone w szufladach, lubił czysty kobiecy zapach i porządek, w którym zdawały się chronić wszystkie rzeczy, każdy szczegół potwierdzał jego miłość do córki i wdzięczność fortunie za to, że pozwoliła mu ją spłodzić, oglądać jej dorastanie i naukę, za to, że mógł jej wpoić, być może mimowolnie, spokojną pewność siebie objawiającą się w rozłożeniu przedmiotów należących do niej tak niewątpliwie jak rysy twarzy i sposób patrzenia.

Dzwonek zadzwonił ponownie, być może wróciła i zatrzymawszy się przed furtką, zdała sobie sprawę, iż wychodząc, zapomniała kluczy. Wstał z fotela, pomyślał, że zaraz po wejściu zobaczy przepełnioną popielniczkę i butelkę koniaku na stole i milcząco potępi ten nieporządek. On sam dawniej też był taki, choć podchodził do tego w sposób bardziej obsesyjny niż ona, maniakalnie przestrzegał starannego ułożenia wszystkich rzeczy, wypolerowanych powierzchni, zapiętych mundurów bez żadnej zmarszczki, lśniących koaliczynek, wygłancowanych butów, pustych pokojów, stołów bez śladu popiołu, papierów posegregowanych w szufladach, szeregów żołnierzy taksowanych oczyma, jakby mierzonych miarką agronoma. Z daleka, z tarasu, z którego z niechęcią wychylał się pułkownik Bilbao, szyk wydawał się swego rodzaju cudem geometrii, prostokąt wypełniony głowami i ramionami, jednoczesne opuszczenie ramion kierujących się do kolb karabinów oraz stopy łączące się na żwirze; jednak z bliska było widać twarze, rysy znamionujące głupotę i biedę, przepocone i wyświechtane mundury, zaropiałe oczy z zastygłą w spojrzeniu żądzą ucieczki, z której najwyraźniej jedynie on zdawał sobie sprawę. Jednak też o niej zapomniał albo przymykał oczy, aby nie widzieć, że porządek w garnizonie i zwarte szeregi żołnierzy były wynikiem sprawnego funkcjonowania maszynierii posłuszeństwa i nędzy, tak samo jak w biurze, fabryce czy w polu przy żniwach. Przyzwyczyił się do niewiedzy, do niezauważania tego, co znajduje się za pewną określoną granicą, do niewyobrażania sobie, że istnieje inny świat o krok od koszar, gdzie ludzie nie noszą mundurów ani nie chodzą po linii prostej, równając krok. Od dziecka znał tylko jeden sposób na życie i nie przychodziło mu do głowy, iż mógł istnieć inny, że mógł nie zostać żołnierzem. Nie kochał armii, ale nie kochał też swej pierwszej narzeczonej, kiedy się z nią żenił, a nie przeszkodziło mu to być wzorowym oficerem ani wiernym mężem. Świat zewnętrzny peszył go. Większość żołnierzy wydawała mu się niekompetentna i głupia, lecz potrafił rozróżnić stopnie ich mierności i głupoty – przynajmniej ich rozumiał, podczas gdy cywilów nie potrafił pojąć, tak jakby żyli w innym kraju albo mieli zwyczaje, które należało studiować, nie żeby je naśladować, ale by wyedukować normy ich postępowania. Przez lata odczuwał to samo w stosunku do

Amerykanów i to nie dlatego, że wiele go kosztowało przestawienie się na język angielski, lecz dlatego, że nie potrafił przewidzieć ich reakcji ani domyślić się, co też chodzi im po głowie, gdy spoglądają mu w oczy. Uspokajał go albo usprawiedliwiał pozorny porządek – przedmiot nie leżący na swoim miejscu wstrząsał nim jak chrobot komików w drewnie albo pierwsze pęknięcie zwiastujące zawalenie się domu, i dlatego właśnie, kiedy dokonywał przeglądu oddziału albo szyku, niższych stopniem oficerów stojących w postawie zasadniczej paraliżował strach, bo nie umykało mu żadne niedociągnięcie i przeglądał wszystko, jakby za pomocą lupy lub mikroskopu, kurz pod łózkami, czystość kuchni, blask i sprawność broni. Ponieważ nigdy nie zapowiadał swych inspekcji, oficerowie i podoficerowie pododdziałów z koszar Maginy pozbyli się od jego przyjazdu niedbałej rutyny, w jakiej żyli przez ostatnich kilka lat za przyzwoleniem pogrążonego w alkoholowej mizantropii pułkownika Bilbao; w żołnierskiej jadalni nie walały się już po podłodze papiery i resztki jedzenia, areszt został zdezynfekowany i pobielony, kelnerzy w sali oficerskiej znowu zaczęli nosić białe mundury i rękawiczki, na sienniki służby wartowniczej powróciły czyste prześcieradła i odpoczywający wartownicy przestali się uskarżać na stajenny smród koców i pluskwy. Nie był jednak, jak podejrzewali niektórzy jego wrogowie, wojskowym filantropem lub jednym z tych rozpolitykowanych oficerów, którzy otwarcie sympatyzowali z prostymi żołnierzami – dbał o ludzi i o koszarę tak samo, jak dbałby o wzorowe utrzymanie samochodu, gdyby los uczynił go szoferem, z taką samą obojętnością i dokładnością, z jaką wykonywał wszystkie swe życiowe obowiązki, i nigdy nie przyszło mu do głowy, aby w jakikolwiek sposób spoufalić się z żołnierzami, nie z powodu pogardy, lecz z szacunku dla hierarchii, tak samo jak nigdy nie pozwoliłby sobie na brak respektu wobec przełożonych. Przekraczał próg koszar i dyżurny w postawie zasadniczej – wyrzuciwszy papierosa i obciągnąwszy mundur po usłyszeniu jego szybkich kroków – obwieszczał krzykiem jego przybycie, a z wnętrza dobiegał jednogłośny stukot butów i odgłos uderzeń otwartymi dłońmi o uda, pojawiał się kapitan albo najwyższy rangą podoficer i stawał przed nim na baczność z rozmachem do owego czasu zapomnianym w koszarach. Zwlekał z wydaniem komendy spocznij, spokojnie odpowiadał na salut, widział niepokój albo strach kapitana czy dyżurnego sierżanta i zostawiał go w postawie zasadniczej niemal przez całą minutę, patrząc mu w oczy, zadowolony z nagłego ustania ruchu spowodowanego jego przybyciem, a potem nakazywał pokazanie sobie wszystkiego – od broni aż do porządku i czystości w magazynie żywności i ksiąg w kancelarii – nie w sposób groźny, lecz raczej nieprzenikniony, co zbijało z tropu jego podwładnych bardziej niż krzyk lub zapowiedź osadzenia w areszcie, zdawał się odległy, lecz nie wyniosły, postawą z góry wykluczał możliwość pójścia na układy lub oczekiwanie pobraźliwości. W kantine szeptano o jego twardości i dumie – godnym pogardy wpływom politycznym przypisywano błyskawiczność jego kariery. Nie bratał się z nikim, nie brał udziału w zwyczajowym szemraniu na temat spodziewanego puczu wojskowego, nie odwiedzał kasyna ani domu publicznego, nie można go było posądzić o kochankę, nie przychodził do kantyny, aby wypić kieliszek po służbie – zdawało się nawet, że nigdy nigdzie nie wychodził, że nie miał życia poza koszarami ani żadnych zainteresowań, poza neurotycznym wypełnianiem rozkazów i lekturą encyklopedii strategii wojskowej, której tomy, równo stojące rzędem w koszarowej bibliotece, nie były otwierane przez ostatnich dwadzieścia lat. Biegle posługiwał się językami obcymi, spędził dwa lata w akademii wojskowej w Anglii, tej samej, w której w młodości podczas wygnania kształcił się król Alfons XII, co wyjaśnił pułkownik Bilbao, z dumą wznosząc toast na cześć nowo przybyłego. Pomijając dzień jego przyjazdu, nikt go nie widział po cywilnemu. Był żonaty, miał dziecko, spodziewał się drugiego, mijały jednak tygodnie i żona do niego nie przyjeżdżała. Pułkownik Bilbao, tak bardzo lekceważący wszystkich, zawsze zamknięty w swym gabinecie w wieży, kazał go wzywać o różnych porach dnia i nocy i rozmawiali całymi godzinami. Pośród oficerów jego jedynym obrońcą był porucznik Mestalla: młody, nerwowy, entuzjastyczny,

fanatyczny, poświęcający się gimnastyce, marszom, ćwiczeniom w strzelaniu, kąpielom w lodowatej wodzie. Nuda tego trzeciorzędnego garnizonu, frustracja i alkohol nie miały czasu, by go zniszczyć. Z zimną brutalnością karał niezręcznych lub tchórzliwych żołnierzy, upokarzał ich, jeśli nie potrafili skoczyć przez kozła albo nie udawało się im wspiąć po linie, bardzo chciał być podobny do majora Galaza, pragnął ocalić ojczyznę, walczyć na wojnie, aby szybko wspiąć się po szczeblach kariery albo otrzymać pośmiertne wyróżnienie. „Panie majorze, proszę wybaczyć moją zuchwałość, ale muszę panu powiedzieć, że przed pańskim przyjazdem te koszary wyglądały raczej jak sanatorium dla starych reumatyków”. Był strasznie młody, stawał nieruchomo przed szeregiem żołnierzy ze swą pyszałkowatą pogardą wobec tego, co nazywał cywilnym życiem, z drżeniem zaciśniętych szczęk. Nawet nie mrugnął, kiedy major Galaz spokojnie wyjął z kabury pistolet i wymierzył w jego pierś, ale szczęki drżały mu, jakby zaciśnął je na krtani ofiary. Wystrzelił do niego, jakby strzelał w lustro odbijające jego zdeformowany obraz; zrobił to za ledwie na godzinę przed wykonaniem tej fotografii, której jego córka nie powinna zobaczyć, jednej z dwóch, jakie mu przyniósł, naklejone na brystol ze złoconymi brzegami, mężczyzna w niebieskim nieprzemakalnym płaszczu, w szaliku i berecie, który przedstawił się jako Ramiro i oznajmił, że znał go przed wojną, stał przed nim bez ruchu, nie odważając się wejść; dzwonek zadzwonił po raz drugi albo trzeci i major Galaz, wychyliwszy się przez okno salonu, zobaczył, że dzwoni jakiś nieznajomy mężczyzna, a nie jego córka.

Może inkasent albo domokrażca, w ceratowym berecie pasującym do płaszcza i ze sflaczałą czarną torbą pod pachą, rodzajem teczki, w jakiej nosi się skromne rachunki albo dokumenty. Czekał, chroniąc się pod parasolem, choć ledwie mżyło, z uległością i cierpliwością, jak inkasent, którego opuściło szczęście. Zaplątał się niezręcznie w parasol, teczkę i beret, kiedy chciał go zdjąć, podać rękę majorowi i poszukać czegoś w kieszeniach, wszystko naraz, źle zamknięty parasol upadł na ziemię, a dłoń unosząca się do beretu zatrzymała się i chciała powstrzymać teczkę, która też leciała na ziemię, wysliznąwszy się spod łokcia. Wyjął drugą rękę z kieszeni, ale wtedy też nie mógł ucisnąć dłoni majora Galaza, bo trzymał coś w palcach, niewielką wizytówkę. Jego okrągła twarz, z wielkim podwójnym podbródkiem okrywanym szczelnie przez szalik, przywodziła na myśl opuszczone dziecko, choć bez wątplenia nie był wiele młodszy od majora Galaza, miał jednak twarz o kobiecej delikatności, zdradzającą roztrzęsienie, praktycznie pozbawioną owłosienia, była to jedna z tych twarzy jak księżyc w pełni, które miast dojrzeć, miękkną i wiotczeją wraz z upływem lat. Niczym zrozpaczony podróżnik, któremu nie udało się wrzucić bagażu do jadącego już pociągu, zdjął beret, ścisnął go i wsunął do kieszeni, zostawił parasol na ziemi, wręczył teczkę majorowi Galazowi, jakby usiłował metodycznie przeciwdziałać katastrofie, ponownie szukał wizytówki – odnalazł ją, zmoczoną, pomiędzy fałdami beretu w kieszeni, wymamrotał swe nazwisko, spróbował się uśmiechnąć, sapiąc przy tym, jakby w ostatniej chwili wskoczył do pociągu.

„To oczywiste, że mnie pan nie pamięta, po tylu latach, a do tego wcale dużo nie rozmawialiśmy, to znaczy dłużej to chyba rozmawialiśmy tylko jeden raz, kiedy przyszedł pan do mojego studia zrobić sobie to zdjęcie w mundurze, no dobrze, to nie było też moje studiu, wtedy pracowałem dla don Otta Zennera, niech spoczywa w pokoju, mojego mistrza, ale pamiętam dokładnie, że ten pański portret zrobiłem ja, zaraz po pańskim przyjeździe do Maginy, zapytałem pana, czy ma to być portret służbowy czy rodzinny, a pan odparł, że jedno i drugie, że wysłał go pan z dedykacją dla żony, a kiedy ujrzałem pana kilka dni temu na placu generała Orduñi, pańska twarz wydała mi się znajoma i zaraz sobie przypomniałem, może to z powodu mojej pracy mam bardzo dobrą pamięć do twarzy, a pańska nie zmieniła się zbyt, tylko naturalne zmiany, upływ czasu, i zaraz powiedziałem do siebie, Ramiro, czy nie byłoby miłym gestem zanieśenie panu majorowi Galazowi tego zdjęcia, i wtedy

przypomniałem sobie o drugim, jest znacznie gorsze, to w końcu fotografia sytuacyjna, kupiłem sobie wtedy za zaoszczędzone pieniądze przenośny aparat i nowoczesny flesz, bez wiedzy don Otta, który mawiał, że taki sposób robienia zdjęć jest obrażą dla naszej wzniosłej sztuki, i chodziłem po ulicy, fotografując ludzi, jak zagraniczni reporterzy, i tamtej nocy, kiedy wybuchł Ruch, wyszedłem na miasto z aparatem i powiedziałem sobie, Ramiro, to będzie historyczna noc. Mówiono, że ci z małych koszar Guardii Civil zbuntowali się i że wy, żołnierze, mieliście wyjść, aby zająć ratusz. Plac był pełen ludzi i widać było flagi i broń, ogłoszono strajk powszechny, i don Otto nakazał mi zamknąć drzwi i okna, bo bolszewicy mogą zaatakować w każdej chwili, nie posłuchałem, zostawiłem go w laboratorium, słuchającego niemieckich marszów z płyt gramofonowych, i czmychnąłem tylnymi drzwiami. Było bardzo gorąco, zapadła już noc, a kamienie jeszcze prażyły, poszedłem w stronę koszar, aby zobaczyć, co się dzieje, i wtedy zobaczyłem tłum ludzi pędzących z tamtej strony, powiedziano mi, że żołnierze już wyjechali kolumną samochodów i ciężarówek, zdaje się, że jadą do ratusza, okna balkonowe we wszystkich domach były otwarte i zapalone światła, słychać było bardzo głośno nastawione radia, tak więc zamiast do koszar poszedłem na plac Świętej Marii, udało mi się wejść do ratusza, bo obszedłem tłum, wszyscy coś wykrzykiwali, a z radia dobiegała głośna muzyka, wielki zamęt, lecz ucichliśmy wszyscy, usłyszawszy silniki waszych ciężarówek, wychyliłem się przez jedno z okien na parterze, w biurze pełnym porzrzucanych po podłodze papierów, widziałem przyjazd ciężarówek, stanęły rzędem na placu przed kościołem Świętej Marii i zaczęli z nich wychodzić żołnierze. Umierałem ze strachu, ale nie przestawałem robić zdjęć, pomyślałem, że jeśli zginę tej nocy, może jakimś cudem zachowa się film i będzie się mnie pamiętać jako bohatera, a potem wyszedłem na taras i spojrzałem na schody, gdzie stał burmistrz, i zobaczyłem, jak pan wchodzi, sam, z pistoletem u pasa, bez pośpiechu, ale bardzo energicznie, nie patrząc na nikogo, a burmistrz drżał ze strachu, przypuszczał, że ma pan zamiar go aresztować albo zabić, wtedy pan zatrzymał się na drugim albo trzecim stopniu, stanął na baczność, a ja błysnąłem fleszem, nie słyszałem, co pan powiedział, ale tutaj ma pan zdjęcie, odbitkę, negatyw tego drugiego też, kiedy tylko pana zobaczyłem, powiedziałem do siebie, Ramiro, może to jest impertynencja z twojej strony, ale na pewno panu majorowi Galazowi będzie miło mieć te pamiątki”.

Mówił, nie podnosząc oczu, gruby, nieśmiały, zatopiony w fotelu, nie zdjął płaszcza ani ceratowej peleryny, ani szalika tak owiniętego, aby osłaniał szyję i piersi przed jakimkolwiek niebezpieczeństwem przeziębienia, miał złączone kolana i plastikową teczkę na podołku. Krygował się przed wejściem, nie chciał przeszkadzać, przyszedł tylko po to, żeby wręczyć te fotografie, lecz major upierał się, nie ze względu na rzeczywiste zainteresowanie, ale przez grzeczność, i Ramiro Portrecista znowu się usprawiedliwił w korytarzu i rozpląnął w podziękowaniach, kiedy major pomógł mu wyplątać się z nieprzemakalnego płaszcza, było dla niego zaszczytem goszczenie w tym domu, nie chciał jednak przeszkadzać, usiadł tylko na małą chwilę, początkowo usiadł na skraju fotela, przyciskał obiema rękami teczkę do piersi, chcąc ją otworzyć, nie wydawało mu się właściwe wypicie kieliszka koniaku, ale zbyt stanowcza odmowa świadczy o złym wychowaniu, tak więc wypił trochę koniaku, umiarkowanie, ledwie umoczył usta, i stopniowo zaczął zatapiać się w fotelu i popijać większymi łykami, choć protestował, kiedy major chciał mu dolać, picie mu nie służyło, alkohol szybko uderzał mu do głowy i zanadto rozwiązywał język, ale zaczął czuć się mniej skrępowany, przestał obawiać się przeciągów dzięki koniakowi rozgrzewającemu żołądek i rumieniącemu twarz oraz elektrycznemu grzejnikowi stojącemu blisko nóg. Nie miał zwyczaju pić i wspominał z poczuciem winy dzikie samotne pijaństwa i niemiecką wódkę don Otta Zennera, nie miał też zwyczaju gawędzenia, a jednak tego wieczora niemal odruchowo zaspokoił dawne pragnienie rozmowy, i choć major nie mówił więcej niż głuchoniemy Matías, to uśmiechał się w sposób zachęcający fotografa do kontynuowania, od

czasu do czasu nalewał mu koniaku, wsłuchując się w jego słowa z rękoma splecionymi na kolanach, co Ramirovi przywodziło na myśl rycerza, którego nigdy nie widział, uniesiona głowa, wysokie czoło, jasne oczy o uważnym spojrzeniu, ocienione brwiami, ten męski wygląd, jakiego przydawały mu dwie pionowe zmarszczki po obu stronach ust, sportowa marynarka, muszka, ciężkie, eleganckie buty; ocenił, że major jest trochę starszy od niego, lecz starość nie złamała go ani nie zniekształciła jego rysów, bo bardziej niż skórą czy mięśniami były one określone kośćmi, wymodelowane i twarde niczym krzemień, trwały i niezniszczalny. Zmarszczki na czole stały się wyraźniejsze, gdy spoglądał na fotografię, lecz nie uśmiechnął się automatycznie z satysfakcją jak człowiek przyglądający się własnej twarzy. Najpierw obejrzał zdjęcie zrobione w studiu, przesunął szeroką bladą dłoń po brodzie. Nie przypominał sobie momentu robienia tego zdjęcia, ale przypominał sobie powód: żona poprosiła go o fotografię w nowym mundurze, z gwiazdą majora na czapce i rękawie, a on być może wysłał ją jej z dedykacją na marginesie, a potem dowiedział się z jednego z jej listów, że oprawiła ją, postawiła na pianinie w salonie i pokazywała dziecku, żeby nie zapomniało twarzy ojca i całowało ją niczym święty obrazek. Jak długo ją zachowała, co z nią zrobiła, gdy jej powiedziano, że zdradził i zniszczył swą karierę, że stanął po drugiej stronie nie tylko granic ustalonych przez wojnę, lecz też tych, które stanowczo wytyczają godność i honor, wierność i rodzina, religia i ojczyzna, wszystkie zasady, jakich przestrzegał bez żarliwości, choć z pełnym oddaniem i poświęceniem, aż do owej lipcowej nocy, kiedy zostało zrobione to drugie zdjęcie, już przemieniony w dezertera i odszczepieńca, w renegata, dla którego nie mogło być odpuszczenia ani przebaczenia. Wyobrażał sobie szloch, krzyki, spoconą i opuchniętą kobietę, która odsuwa jego zdjęcie od pozostałych stojących na pianinie fotografii i ciska je na podłogę, depta je, aż pokruszyło się szkło, skaleczyła się spiczastym odłamkiem, gdy schyliła się, by je pozbierać i ponownie spojrzeć na niezmienny uśmiech, a potem podrzeć zdjęcie albo spalić w kuchennym piecu, być może zemdłała, ofiara jego politycznej zdrady i uczuciowej niewierności, zwała się ciężko na podłogę z brzuchem niemal gotowym do wydania na świat syna, którego już nie poznał, teraz trzydziestosześcioletniego oficera kroczącego obok wózka inwalidzkiego główną nawą pewnego kościoła w Madrycie.

Włożył okulary, aby dokładniej się przyjrzeć swej twarzy z młodości. Słuchał Ramira Portrecisty, patrzył na niego, w ogóle nie zwracając na niego uwagi, nie był tak do końca przekonany, że słowa Ramira odnoszą się do niego. Nie kojarzył tej twarzy z żadnym wspomnieniem, nie wydawała mu się podobna do tej, jaką widywał codziennie rano w lustrze, i to nie tylko dlatego, że należała do znacznie młodszego mężczyzny, ale też dlatego, że uważał ją za tak odległą jak syna, którego zachowania nie potrafiłby wyjaśnić. Koalicyjka, bluza wojskowa z odznaczeniami za wojnę w Afryce, cienki wąsik, na głowie przekrzywiona czapka, uśmiech tak wyraźny jak emblematy piechoty wyszyte obok najwyższego guzika zaciskającego kołnierz na szyi. Jednak nawet wtedy nie był tym mężczyzną z fotografii, tym, którego widzieli, podziwiali albo bali się inni, który był powiernikiem pułkownika Bilbao i któremu porucznik Mestalla przynosił nowinki, a już na pewno nie był bohaterem, którego kilku zwyciężonych ciągle wspominało w Maginie w wiele lat po wojnie, wytrwały i nie wymazany z pamięci, odkrywał z zaskoczeniem, niemal z obrzydzeniem, że tamten mężczyzna zmartwychwstał i został wydobyty na nowo z plastikowej teczki przez tego biednego człowieka, rozpalonego koniakiem i ogrzewaniem, który nie przestawał mówić i wsuwać miękką spoconą dłoń pod wełniany szalik. „Ależ dumny musi być z pana pański ojciec, Galaz”; pułkownik Bilbao o czwartej nad ranem chodził w tę i z powrotem po swym przestronnym gabinecie ozdobionym flagami i półkami z bronią, w rozpiętej bluzie, z rękoma splecionymi na plecach i siwą głową spuszczoną na piersi, obcasami wojskowych butów uderzał w wypastowane deski podłogi. „Przede wszystkim pański ojciec, ale teść generał

także, i pańska małżonka, ta przepiękna dziewczyna. Znam ją od dziecka. Kiedy się dowiedziałem, że się z panem zaręczyła, ucieszyłem się, zupełnie jakby była moją córką”. Pułkownik Bilbao zatrzymał się i oparł na rzeźbionym oparciu fotela, spojrzał na majora Galaza przez zasłonę siwych włosów. „Coś panu powiem, Galaz, i proszę, by pan tego nigdy nikomu nie powtarzał, albo lepiej jeszcze, niech pan natychmiast o tym zapomni, bo to największa zgryzota mego życia. Moja córka jest ładnicą, a syn nieudacznikiem, sierżantem, który o własnych siłach może stać się co najwyżej podporucznikiem, o ile zdoła zejść tak wysoko. Wstyd mi za nich, Galaz. Patrzę na pana i chciałbym, żeby to pan był moim synem. Zawsze tak myślałem, odkąd był pan kadetem i pański ojciec opowiadał mi o pańskich znakomitych ocenach i przykładowym zachowaniu... Może pan odejść, Galaz, zabieram panu godziny snu, a pan jest młody i musi się wysypiać”. On ze swej strony nie pozwalał sobie na żadną poufałość z pułkownikiem, choć ten go zachęcał; wstał, stanął na baczność przy drzwiach, spytał: „Czy pan pułkownik ma jeszcze jakieś rozkazy?” i wrócił do sypialni gankiem okalającym dziedziniec, opierając się pokusie zapalenia papierosa, oddał o kilka minut przyjemność palenia aż do chwili, kiedy znajdzie się sam, wyciągnięty na swym wąskim żołnierskim łóżku, plecami do okna, przez które widać spowitą granatem dolinę Gwadalkiwiru, będzie patrzył w półmroku na reprodukcję przedstawiającą jeźdźca, z którym jakoś się zżył w ciągu kilku tygodni; o tym młodym człowieku także nikt niczego nie wiedział, a wyraz jego twarzy był tak tajemniczy jak jego tożsamość oraz miejsca, w których znajdował się obraz, zanim trafił na wystawę antykwariatu, w którym go kupił.

Zapomniał o obecności Ramira Portrecisty; usłyszał jego suche kasznięcie, powściągliwe, niczym eleganckiej damy, która przyszła z wizytą, podniósł wzrok znad fotografii i spojrzał nad okularami, marszcząc brwi, lecz nie napotkał jego oczu, Ramiro bowiem wpatrywał się w swe dłonie, grube, splecione na pustej teczce; od kiedy przestał być żołnierzem, nie dostrzegł u żadnego mężczyzny tej uniżoności, która teraz go drażniła, a może wtedy także, choć nie pozwalał sobie na szczere przyznanie się do tego. „Zdaje mi się, że w Maginie nikt nie wie o pańskim powrocie” – powiedział Ramiro, nie podnosząc wzroku. – „Nikt już o niczym nie pamięta, ale ja owszem, może z racji mojej pracy, spędzam całe dni na przeglądaniu i układaniu starych zdjęć, bo pewien dziennikarz, Lorencito Quesada, pan go nie zna, obiecał mi wystawę moich prac pod patronatem urzędu miasta, a potem ma zostać wydana książka: *Ludzie i nazwiska Maginy, wczoraj i dziś*, czy coś w tym rodzaju. Cóż, Lorencito nie jest prawdziwym dziennikarzem, pracuje jako subiekt w Systemie Metrycznym, ale dużo pisze do «Singladury», choć skarży się, że mu nie płacą, robi to z powołania i ma wielu przyjaciół w ratuszu, a nawet w policji, jest bliskim przyjacielem podkomisarza Florencia Péreza, i ja do niego mówię, ależ stary, Quesada, bo nie lubi, kiedy nazywa się go Lorencito, kogo mogą interesować te zatechłe zdjęcia, a on mówi, że to skarb, dokument historyczny. A tak naprawdę to «skarbnica» goryczy, niech pan sobie wyobrazi, otwieram pudełko, zaczynam przeglądać zdjęcia i myślę sobie: ten już umarł i ten też, i tamten, a większości nazwisk nie pamiętam nawet ja, choć to jeszcze nie jest najgorsze, najgorzej to wyjść na ulicę, przyglądać się twarzom ludzi i myśleć: temu zrobiłem zdjęcie, gdy był dzieckiem, ta gruba z pryszczami miała wspaniałą figurę, kiedy przyszła do mego studia trzydzieści lat temu, ten zgarbiony starzec z laską robił sobie zdjęcia, żeby je ofiarowywać kochankom. Przykro, mówię panu, a najgorzej, że wszyscy wydają się tego nie zauważać, nie wiedzą, że się starzeją, że tyją, że wypadają im włosy, że umrą. Pan, rzecz jasna, jest przypadkiem wyjątkowym, jeśli pan pozwoli, dlatego z łatwością rozpoznałem pana na placu generała Orduña kilka dni temu, kiedy patrzył pan na plakaty Ideal Cinema, zobaczyłem pana z profilu i pomyślałem: Ramiro, ten człowiek to major Galaz, nie zmienił się przez tyle lat, chociaż ma mniej włosów, za przeproszeniem, i to niemal całkiem siwych, a ja wiem, co mówię, spędziłem życie na oglądaniu ludzkich twarzy”. Podziękował za następny kieliszek koniaku, teraz na pewno już

wyjdzie, oczywiście wróci, jeśli pan major nie ma nic przeciwko temu, i nikomu nie powie, że go widział, między innymi dlatego, że rozmawiać, to znaczy tak naprawdę, to już z nikim nie rozmawia, mówi tylko do swojego pomocnika Matíasa, który jest głuchoniemy z powodu pewnej eksplozji, może pan major sobie przypomina, przezywano go Zmartwychwstańcem, i nie zwolnił go z litości, bo choć był już niepotrzebny – do studia przychodziło bardzo niewielu klientów – co by biedak zrobił, gdyby zamknęli studio, żebrałby albo pomagał roznosić warzywa na rynku.

Pomógł mu włożyć płaszcz, wręczył parasol, o którym Ramiro zapomniał, odprowadził do drzwi, bez niechęci słuchając jego słów, przy furtce uściśnął jego pulchną i delikatną dłoń, zapraszając go ponownie, a Ramiro Portrecista rozplątywał się w staroświeckich podziękowaniach i monotonnych przeprosinach, jeżeli będzie czegoś potrzebował, musi tylko mu o tym powiedzieć, archiwum jest do jego dyspozycji, a gdyby jego córce przyszło do głowy zrobić sobie portret, on z największą przyjemnością go wykona, widział ją z ojcem na ulicy, jest bardzo piękną dziewczyną, portret prawdziwy, jak dawniej, czarno-biały i z rzeźbiącymi półcieniami, jak te robione w najlepszych latach przez don Otta Zennera, jak nieśmiertelne portrety Nadara. Wracał wielokrotnie podczas całej zimy, w płaszczu i z parasolem, w ceratowym berecie, z szalikiem skrzyżowanym na piersiach i ściśle przylegającym pod szyją, co miało pomóc uniknąć tego, co sam nazywał przeziębieniem klimatycznym z Maginy, z pustą teczką inkasenta; zawsze obwieszczał, że zostanie co najwyżej pół godziny i że wypije tylko jeden kieliszek koniaku, a za każdym razem wychodził późnym wieczorem po wypiciu, łyk za łykiem, połowy butelki, a pewnego razu przyniósł w teczce fotografię martwej kobiety, zamurowanej w podziemiach przed ponad wiekiem, wypił więcej niż zwykle i powierzył majorowi Galazowi największą tajemnicę swego życia – być może ze wstydu nie przychodził potem przez kilka tygodni, a pewnego ciepłego i przepojonego wonią wiosny majowego popołudnia wrócił niesamowitym pojazdem do rozwożenia paszy, a z jajowatej kabiny wykaraskał się rumiany i niemal doskonale okrągły mężczyzna o dobrodusznym uśmiechu, wykonujący swymi herkulesowymi dłońmi nieznaczące, szybkie ruchy. Matías, Zmartwychwstaniec, były pomocnik Ramira Portrecisty, który zamknął studio, gdy tylko zdołał go gdzieś umieścić, i wydał połowę oszczędności na ten pojazd, otworzył tylne drzwiczki, z wielkim wysiłkiem wy dobył ogromny kufer i przytaszczył go na plecach do domu majora Galaza. „Wyjeżdżam z Maginy, mój przyjacielu, na zawsze wyjeżdżam z tego niewdzięcznego miasta”, oznajmił Ramiro Portrecista, rozsiadając się w fotelu i zaplatając dłonie na wypchanych kolanach staromodnych wiosenno-jesiennych spodni. „Chciałem spalić moje archiwum, bo nie będzie wystawy ani żadnej książki, od razu wiedziałem, że ten Lorencito tylko dużo gada, prostak, narwaniec, ale pomyślałem sobie: Ramiro, jedynym wrażliwym człowiekiem w tym mieście jest major Galaz, dlaczego nie oddać mu skromnego dzieła twojego życia...”

TO PAVÓN PACHECO przyniósł do klasy plotkę, że Praxis kręci z jakąś obcą, rudawą, żadna rewelacja, mówił z pogardą eksperta, wykrzywiając usta w uśmiechu, zaskoczył ich pewnej wtorkowej nocy w jednej z tych nędznych, wiejskich dyskotek, do których chodziły prostytutki o czerwonych i pomarszczonych od słońca szyjach, cwane pielęgniarzki, puszczałskie służące i niewierni mężowie pijący whisky i palący papierosy z jasnego amerykańskiego tytoniu, tworzyli żalosne widowisko, tańcząc na parkiecie, bo nie byli już tak młodzi, jak by chcieli, i należeli do pokolenia pasodoble i burdeli z żarownikiem i miednicą. I tam właśnie był Praxis, oznajmił nam Pavón Pacheco, szkoda, że go nie widzieliście, z tą jego uduchowioną twarzą jak podczas recytowania wierszy, klejącego się do rudej na kanapie z granatowego skaju, tak się na nią gapił, że ledwie mu odpowiedział na pozdrowienie, albo udawał głupiego, chowali się w najciemniejszym kącie dyskoteki, we wtorek wieczorem, kiedy nie ma prawie nikogo, tylko byli robotnicy i byli sprzedawcy wzbogaceni na boomie budowlanym, handlu samochodami albo sprzętem gospodarstwa domowego. Rzecz jasna Praxis starał się ukryć i Pavona Pacheco nie dziwiło to ani trochę, bo laska była nieletnia, na pewno, on nie dałby jej więcej niż siedemnaście lat, zero cycków, pryszczki, tylko taki cieniaś jak Praxis mógł poderwać kogoś w tym stylu. My jednak nie za bardzo mu wierzyliśmy, częściowo dlatego, że byliśmy przyzwyczajeni do tego, by nie wierzyć w jego łgarstwa o wyczynach erotycznych i orgiach z maryską albo aspiryną rozpuszczoną w coca-coli, a przede wszystkim dlatego, że niemal nigdy, przez cały rok szkolny, nie widzieliśmy Praxisa z żadną kobietą, nie licząc pewnego poniedziałku, kiedy to przyszedł do szkoły w towarzystwie jakiejś pani o kruczoczarnych, krótkich włosach i w okularach w złotych, okrągłych oprawkach, wyglądającej zupełnie jak modelowa nauczycielka, w miarę młoda, z tych, co to wkładają spodnie i palą papierosy, w odróżnieniu od typu perszerona z Sekcji Kobięcej. „Miała za niego wyjść” – zawyrokował Pavón Pacheco – „ale przyłapała go w łóżku z rudą i posłała na drzewo. Źle je wychowasz i potem, proszę, pluja ci w twarz”.

Początkowo Nadia nie może sobie przypomnieć tej dyskoteki, mówi, że chodzili do wielu podobnych do siebie miejsc, jeździli jego samochodem, w którym czasem znajdowały się paczki materiałów propagandowych, w bagażniku albo pod siedzeniami, on musiał je przejmować albo odbierać w najprzedziwniejszych miejscach. Tak się wszystko zaczęło, opowiada, od pliku ulotek czy gazetek ukrytych w pudełku po herbatnikach. W pewien sobotni, słoneczny i chłodny, grudniowy poranek wyszła z domu, aby pójść na rynek, i kiedy zmierzała w kierunku ulicy Nowej ulicą Świętego Jakuba, pojawił się w swoim samochodzie, opuścił brudną szybę, zapytał, dokąd idzie, i ofiarował się ją podrzucić, z szerokim uśmiechem, tak samo jak poprzednio, też był bardzo podenerwowany, palił bez ustanku i niecierpliwiał się na światłach, nie rzucał jednak okiem na jej piersi i uda, a gdy dojechali do rynku i wysiedli z samochodu, ukradkiem rozejrzał się dookoła i sprawdził, czy zamknął dobrze wszystkie drzwi, wyjaśnił, że samochód jest stary, ale jedyny w swoim rodzaju, bo po tak wielu podróżach po europejskich drogach przywiązał się do niego. W sobotnie poranki, w dzień wielkich interesów, rynek w Maginie był tłoczny i hałaśliwy niczym arabski bazar, stały tam drewniane budy hurtowników owoców i smaźalnie racuchów, i bary w okolicznych zaułkach, i stanowiska obwoźnych sprzedawców warzyw, przypraw, doniczek, plastikowych kubków, obrusów z syntetycznych materiałów i zastaw stołowych z duraleksu, a w tamtym

czasie również burczybasów i figurek betlejemskich, a kiedy wchodziło się do wielkiego budynku o stalowych filarach i belkach stropowych, z marmurowymi stoiskami, światło ulicy zmieniało się w półmrok, a docierające z zewnątrz krzyki przechodziły w głośny pomruk, wzmagany przez echo pod sklepieniem. „Tyle gadacie o dziełach Primo de Rivery i Franco” – mawiał podczas pracy w polu porucznik Chamorro – „a przecież ten pawilon handlowy zbudowała dla was Republika”.

Bardzo mocno pachniało rybami, świeżymi warzywami, pieprzem, wędlinami, gorącymi racuchami, a około południa mieszanina zapachów nabierała delikatnej lepkości zgnilizny. Torował jej drogę w ścisku, trzymając pod rękę, jakby prowadził ją przez zaułki arabskiej dzielnicy – pamiętała białe światło, blade kolory, powierzchnie z linoleum i plastiku z amerykańskich supermarketów i dostrzegała tu podniecenie zmysłów, które oszałamiało ją, doprowadzając niemal do ekstazy: czerwień mięsa na ladach, ciemna, wilgotna zieleń pęków cebuli i cykorii, intensywna biel kalafiorów, blask bijący od rybich łusek, krew płynąca z dopiero co uciętej jednym uderzeniem topora głowy jagnięcia, złote i gęste światło w strużce oliwy wlewanej przez lejek do butelki, zapach octu i tymianku wydobywający się ze słoja z oliwkami, a przede wszystkim oszałamiająca jednocześnie kolorów i zapachów, piskliwych albo basowych krzyków przekupek sprzedających ryby i jajka, zachwalań obnośnych handlarzy, trzepotania gołębi zagubionych pomiędzy belkami sklepienia, pod świetlikami matowymi od brudu. Opowiada mi o tym, ja także mam podobne wspomnienie i chciałbym umieścić również ją w galerii osób z tamtych czasów, jakbym fałszował grupowe zdjęcie, aby dodać jej twarz, bo teraz wiem, że tego dnia, kiedy Praxis zawiózł ją na rynek, ja tam byłem i mogłem ją widzieć i zapomnieć. Byłem tam w białej marynarce ojca, stałem za ladą stoiska z warzywami, otumaniony głosami kobiet, ważyłem ziemniaki albo cebulę, albo kalafiory i nie udawało mi się skasować dokładnej kwoty za każdy produkt ani wydać reszty tak szybko, jak robił to ojciec. Na pewno połowa ci nie zapłaciła, mówił, widzą tę twoją gapowatą twarz i nabierają cię – ojciec był chory, miał bóle kręgosłupa i nie mógł się poruszać na łóżku, tak rzadko można go było zobaczyć w pozycji półleżącej, że przypominałem sobie czas, kiedy mieszkaliśmy w pokoju belki i jego kuzyn Rafael, siedząc u wezglowia, wycinał mi zwierzątka z pudełek po lekarstwach. Nie chcę jednak, by Nadia przestała opowiadać, proszę, aby kontynuowała, niech opowie, co się wydarzyło podczas tego spotkania z Praxisem – dzieje się ze mną to samo co z nią, kiedy pyta mnie o kobiety, z którymi byłem, a ja początkowo ociągam się z odpowiedzią – jestem zazdrosny, ale jednak chcę wiedzieć. Poprosił ją, aby nie nazywała go José Manuel, tylko Manu, ale jej brzmiało to jakoś dziwnie i zbyt poufale, pokazywała różne rzeczy, a on podawał nazwy po hiszpańsku i pomagał jej o nie prosić, mówi, że zdawało się jej, iż zobaczyła twarz, która wydała się jej znajoma, i przypomniała sobie, że widziała kilka razy na ulicy obok Consuelo albo w samej kolonii Carmen, blisko swego domu, chłopaka mniej więcej w jej wieku, który zawsze nosił granatową kurtkę, dzinsy, golf, palił, nie wyjmując papierosa z ust, i zatapiał dłonie w kieszeniach spodni, miał też czarną, pofalowaną grzywkę. Jak to się zdarza wszystkim spacerującym samotnie po nieznanym mieście, intensywnie wpatrywała się w twarze przechodniów, a kiedy spotykała ich ponownie, usilnie starała się sobie przypomnieć, gdzie wcześniej ich widziała. Mówi, że wydało jej się dziwne zobaczyć mnie nagle za ladą, ubranego w białą marynarkę sprzedawcy, lecz z takim samym pochmurnym wyrazem twarzy człowieka opuszczonego, jaki miałem wtedy, kiedy krążyłem po kolonii Carmen w poszukiwaniu Mariny, zrozpaczony, że jej nie widzę, gotowy do ukrycia się na wypadek, gdybym ją nagle zobaczył, zaczerwieniony, zawstydzony, śmieszny. Mówi, że Praxis mnie pozdrowił, przypuszczam, że solidaryzował się ze mną, bo znał powód, dla którego nie mogłem chodzić do szkoły przez ostatni tydzień, potem zapytała go, kim jestem, znakomitym uczniem, z rolniczej rodziny, jego ojciec jest chory i on nie może ostatnio chodzić do szkoły,

ale udało mi się przekonać radę, żeby przełożyła mu egzaminy. Zapadał zmrok w ogrodzie, skończyliśmy zbierać i myć warzywa, ociekające zimną wodą worki i kosze stały rzędem przy zbiorniku, a wujek Pepe i wujek Rafael skręcali papierosy. Miałem zaczerwienione i lodowate ręce po obieraniu z gliny świeżo wykopanych z ziemi ziemniaków i cebul. Ojciec powiedział, żebym objuczył koszami klacz i podprowadził ją do zbiornika, żeby załadować warzywa, złapał wielki wór kalafiorów i unosił go ze zwykłą dla siebie werwą, aby wrzucić go na grzbiet klaczy, kiedy nagle zgiął się wpół, skulił i zaczął wrzeszczeć nieładnie jak zranione zwierzę, nigdy nie słyszałem takiego krzyku. Miał spurpurowiałą twarz i zagryzał usta, wujek Pepe i wujek Rafael odrzucili papierosy i podbiegli do ojca, a ja stałem nieruchomo, umierając z przerażenia, sparaliżowany strachem, widziałem, jak ojciec pada pod ciężarem worka w glinę tuż obok kopyt klaczy, zwijając się z bólu. Wyszedłem na drogę i udało mi się zatrzymać landrovera wracającego do oliwnych gajów po ładunek oliwek i szofer zawiózł ojca do Maginy. Nie przestawał krzyczeć, z zamkniętymi oczyma i wyszczerzonymi zębami, gładziłem go po stępszałej i brudnej od gliny twarzy, a on ścisnął aż do bólu moją rękę i ciągle krzyczał, i wił się. Myślałem, że umrze, że ból powalił go tak gwałtownie jak grom, a wyobraźnia jak zwykle wyrwała mnie z teraźniejszości i rzuciła w przyszłość: już widziałem siebie na jego pogrzebie, z czarną opaską na rękawie garnituru, skazanego na pracę w polu, aby samodzielnie utrzymywać rodzinę, i bardziej mnie interesowało to ślepe przeznaczenie niż cierpienie i śmierć ojca. „Ma wysłuchane kręgi”, powiedział doktor Medina tej nocy, po tym, jak praktykant zrobił ojcu zastrzyk, po którym zasnął, lecz jego krzyki ciągle rozbrzmiewały niczym echo w całym domu, w mojej wyobraźni. Jeszcze je słyszę, kiedy zamykam oczy i nie potrafię wytrzymać takiego bólu, takiego wstydu i takiego poczucia winy. Doktor Medina mówił głośno, stojąc przy łóżku, pewien, że ojciec się nie obudzi, matka załamywała ręce i miała oczy spuchnięte od płaczu. „Ten człowiek od dziecka pracuje jak wół. Jest bardzo silny, ale nie ma szans wytrzymać, na zużycie kręgow nie ma rady. Wyleczyć go może tylko porzucenie pracy w polu albo przynajmniej niepodnoszenie ciężarów, a przede wszystkim niech nie chodzi pracować sam. Atak może się powtórzyć jutro albo za pięć lat, ale wróci na pewno. A jeśli będzie wtedy sam, proszę sobie wyobrazić, co z nim będzie”.

Już nie mogłem wyjechać z Maginy, już nie miałem zostać korespondentem ani tłumaczem, ani partyzantem w Boliwii, ani rockowym perkusistą, ani pisarzem powieści eksperymentalnych albo dramatów teatru absurdu. Tak naprawdę nie mogłem już nawet wychodzić wieczorami do Martosa czy na bilard do salonu Maciste, nie widywałem też w szkole Mariny. Rano, bardzo wcześnie, matka mnie budziła, szybko zjadałem coś w kuchni przy ogniu i szedłem na rynek, drżąc z zimna na pustych ulicach, z białą marynarką sprzedawcy pod pachą. W południe, kiedy wracałem do domu, wchodziłem do pokoju ojca, aby pokazać mu utarg: kilka banknotów stupezetowych, trochę monet, nawet nie połowę tego, co on zwykle zarabiał, „Kobietom trzeba kłamać w żywe oczy, trzeba z nimi żartować i zachęcać je do kupowania, a przede wszystkim trzeba bardzo uważać, bo jeśli mogą, oszukają cię”. Ja jednak umierałem z nudów i wstydu, stałem cicho za ladą, a stragan ojca, który zawsze otoczony był klientkami, kiedy on tam sprzedawał, teraz niemal przez cały czas stał pusty, a kobiety albo szły do innych sprzedawców, albo kupowały bardzo niewiele. Największy wstyd ogarniał mnie na myśl, że zobaczy mnie Marina, pewnej soboty, kiedy nie będzie lekcji i pójdzie z matką na zakupy, jej matka farbowała włosy na blond, ubierała się w jasne kolory i roztaczała aurę późnej młodości, jaką utraciły już będące w tym samym wieku kobiety z mojej rodziny i dzielnicy. Wydawało mi się, że widzę ją z daleka, i nachodziła mnie ochota, by schować się pod ladą. Po południu, mniej więcej piętnaście po trzeciej, kiedy moi koledzy już pewnie słuchali płyt w Martosie, ja kończyłem obiad, wkładałem robocze ubranie, przygotowywałem klacz i ruszałem do ogrodu, a jadąc drogą w dół wzgórza, nuciłem słowa piosenek: *Riders on the storm, Hotel Hell, The house of the rising sun, Brown sugar,*

nie podróżowałem jednak w tempie stu kilometrów na godzinę przez pustynię w stronę San Francisco, ale jechałem na oklep na starej szkapie ścieżką pomiędzy ogrodami i polami Maginy, a na końcu ścieżki stała szopa, przy której czekał już wujek Pepe, wujek Rafael i czasami porucznik Chamorro, i aż do zmroku trzeba było pracować bez wytchnienia, aby następnego dnia można było otworzyć stragan na rynku i by mogła trwać moja męka, przekonanie, że bezlitosny przypadek odbiera mi życie, jakiego pragnąłem i na jakie zasługiwałem, życie, którym inni cieszyli się naturalnie, co odsuwało ich ode mnie, czyniło ich szczęśliwsiymi niż ja, obdarzonymi nieosiągalnym dla mnie przywilejem.

Nie przestawaj opowiadać, mówię do Nadii, dlaczego stale skłaniasz mnie do mówienia o sobie; na kilka minut nasze drogi się spotykają, po czym znowu ona się oddala, nadal nico sobie nie wiemy, nie wydarza się nic, co spowoduje nasze spotkanie, jesteśmy tak blisko, niemal się o siebie ocieramy, a oddziela nas od siebie przestrzeń i otchłań; podrostek w białej marynarce za ladą straganu z zieleniną i dziewczyna z długimi, rudawymi włosami z siatką pełną zakupów, w towarzystwie mężczyzny dwa razy od niej starszego, który odkrywa przed nią piękno hiszpańskich słów, a przy wyjściu z rynku wyjmując jej torbę z ręki i wkłada do bagażnika samochodu, gdzie znajduje się kartonowe pudełko zawinięte w gazety i przewiązane sznurkiem. Nadia zauważa, że Praxis jest bardzo podejrzliwy, i przypuszcza, że w jego ostrożne manewry wkradła się odrobina teatralności, która nakazuje mu mówić zawsze ściszym głosem i opowiadać jej o podróżach i konspiracyjnych doświadczeniach, zostawiając bez wyjaśnienia niektóre szczegóły, tak że dbałość, by nie powiedzieć za wiele, przeradza się w sugerowanie istnienia większych tajemnic, zbyt poważnych, aby można je było wyjawiać. W tej samej chwili, w pełnym świetle grudniowego poranka, przy rynku w Maginie, wydarza się coś, co ją jeszcze bardziej niepokoi, bo nie wie, o co chodzi: Praxis, José Manuel (jeszcze nie zdecydowała się nazywać go Manu i nigdy się nie zdecyduje), sprawdził supły sznurka na paczce, rzucił okiem w lewo i w prawo, zanim zamknął bagażnik na klucz, wsiadł do samochodu z naturalnością zbyt płynną, by mogła nie być fałszywa, a z zapaleniem silnika zaczekał, aż ona wsiądzie. Pali, bębni palcami po kierownicy, czekając, aż przejdzie przez ulicę osioł wręcz nieprawdopodobnie obładowany klatkami z kurczakami, uśmiecha się i nie odpowiada, kiedy go pyta, czy się czymś martwi, czy dzieje się coś złego. Teraz spostrzega, że nie ogolił się tego ranka i że mankiety koszuli i kołnierzyk ma przybrudzone – nie spał, może nawet się nie położył. Przejeżdżają przez Corredera, przez plac generała Orduña, ulicę Mesones, ulicę Nową, ale Praxis zamiast skręcić w prawo przy szpitalu Świętego Jakuba, aby zawieźć ją do kolonii, jedzie prosto, za miasto, i Nadia przez chwilę odczuwa ten sam niepokój co tamtego wieczoru. Ale teraz jest dzień i nie boi się tego mężczyzny, bardzo wiele o nim myślała od poprzedniego spotkania, choć nieszczególnie za nim tęskniła, odkryła, że zaczyna nudzić się w Maginie i że czasem irytuje ją zamyślenie i lakoniczność ojca, który teraz rozmawia niemal wyłącznie z tym mężczyzną w granatowym płaszczu i ceratowym berecie, odwiedzającym go dwa albo trzy razy w tygodniu; ostatnimi czasami podczas spacerów, choć tego nie planowała, coraz częściej zmierzała w kierunku szkoły i parku z oświetloną fontanną – nawet pewnego popołudnia, około szóstej, weszła do Consuelo i wypila coca-colę na stołku przy barze, tuż przy szybie. Zadzwonił przenikliwy dzwonek i na ulicę zaczęły wysypywać się grupki uczniów z książkami, zeszytami i torbami ze strojami gimnastycznymi, a potem nauczyciele, którzy żegnali się przed wejściem i zmęczonym krokiem odchodzili każdy w swoją stronę, ale jego nie widziała, może nie miał lekcji tego popołudnia, gasły światła w oknach szkoły, woźny zamknął drzwi i oddalił się, chowając w kieszeni płaszcz wielki pęk kluczy. Kilka razy wydawało jej się, że widzi jego samochód, ale nie była pewna, bo był to model i kolor bardzo często spotykany w mieście, a tego poranka, kiedy przypadkiem go spotkała, wzruszyła się znacznie bardziej, niż mogła się spodziewać, odkryła, że nie pamięta jego twarzy ani tembru głosu, jednak cieszyła się, widząc

znowu jego duże, nerwowe dłonie na kierownicy i wyczuwając zapach welwetu, czarnego tytoniu i tapicerki samochodu. Była raczej obojętna, rzecz jasna, tak jak tamtego dnia, ale tego poranka z większą swobodą wsiadła do samochodu i nie myślała, że musi jak najszybciej wracać do domu, aby przygotować obiad. Zostawili za sobą ostatnie bloki mieszkalne, basen, mury szkoły jezuitów, stację benzynową; Praxis gwałtownie zmniejszył prędkość i skręcił w boczną drogę, zatrzymał samochód pomiędzy drzewami. Wyłączył silnik, odwrócił się w jej stronę, wsparty na kierownicy, była pewna, że coś jej powie, że powierzy jakąś tajemnicę, że zdradzi powód, dla którego nie ogolił się ani nie zmienił ubrania tego ranka. Zapalił papierosa, zauważyła, że drżą mu ręce.

„Muszę cię prosić o przysługę. Nie powinienem tego robić, ale spędziłem noc, krążąc po okolicy i szukając jakiejś alternatywy, i nie znalazłem jej. Tylko ciebie mogę poprosić o tę przysługę. Zobaczysz, trochę trudno to wyjaśnić, ale wydaje mi się, że jestem w niebezpieczeństwie. Nie będzie łatwo ci to zrozumieć, w końcu nigdy nie żyłaś w Hiszpanii, a w twoim kraju, jak mówił Churchill, jeśli ktoś dzwoni do drzwi o piątej rano, to na pewno mleczarz. Stwierdzenie bardzo dyskusyjne, ale cóż... Prawda jest taka, że dziś w nocy, kiedy wracałem do domu, trochę później, bo musiałem odebrać coś w pewnej wiosce, zobaczyłem przed drzwiami jednego z dwóch tajniaków, którzy są w Maginie. W innym przypadku zachowałbym się naturalnie: jestem w kartotece, oni mnie znają, czasem za mną łążą, i już, czasem nawet przy odrobinie pecha mogą zrobić mi rewizję i zamknąć na parę dni. Wczoraj jednak było trochę inaczej. Dokumenty, które mam w samochodzie, w tym kartonowym pudełku, są niezwykle ważne. Ze względów bezpieczeństwa nie mogę zwrócić ich tym, którzy mi je przekazali, ani ryzykować, że przejmie je policja. Wyobraź więc sobie, jaką miałem noc, schowałem się w tym miejscu i nie zmrużyłem oka ani na chwilę, skulony na tylnym siedzeniu, w tym przeraźliwym zimnie. Myślałem o tym, żeby spalić te papiery, ale to by była katastrofa. Moja prośba jest bardzo prosta i nie prosiłbym cię o to, gdybym nie miał pewności, że nie podejmiesz żadnego ryzyka. W Maginie nikt cię nie zna i nie wydaje mi się, by wiele osób było w stanie przypomnieć sobie, że widziało nas razem. Przechowaj mi to pudełko przez kilka dni. Pamiętam, że mi mówiłaś, że za waszym domem jest sucha cysterna. Tam je schowaj, tak żeby go nie widział twój ojciec. Kiedy minie niebezpieczeństwo, dam ci znać. Zgoda? Albo jak wy mawiacie: OK?”

Zaśmiała się wymuszonym śmiechem, afektowanym, pedagogicznym, jak wtedy, gdy nam wyjaśniał ideologiczne pułapki burżuazyjnej literatury, piśmiennictwo jako *praxis*, mawiał, a Pavón Pacheco dodawał kresczkę do rzędu innych, w ten sposób zaznaczał, ile razy nauczyciel powtórzył to słowo. Nadia się zgodziła, podekscytowana świadomością niebezpieczeństwa, bliskością mężczyzny, który palił u jej boku i uśmiechał się, i ryzykował życie, i tak bardzo jej ufał, że powierzył tajemnicę, składając swój los w jej ręce, łącząc jej życie ze swoim przeznaczeniem konspiratora i prześladowanego, zrobił to nie w ciemnym pokoju, w środku nocy, tylko w jasnym świetle dnia, w przejrzysty zimowy poranek. Wyobraziła sobie, że ją zatrzymano i że niczego nie zdradziła, że wysyłają w podróż z walizką pełną ważnych dokumentów, że odwiedza go w więzieniu, a on ma rozcięty łuk brwiowy, kilkudniowy zarost i cały jest w siniakach. Wrócili do miasta i już zupełnie inaczej postrzegła ulice i twarze przechodniów, wyczuwała niebezpieczeństwo w codziennym spokoju zwykłego życia, w samochodach, które widziała we wstecznym lusterku, w twarzach kierowców, którzy zatrzymywali się obok nich na światłach i rzucali na nią okiem zza szyb. Niedaleko kolonii, pośród nieużytków, pod osłoną jakiegoś na wpół zburzonego muru wysiedli z samochodu i Praxis schował pudełko w wielkiej plastikowej torbie, powiedział jej, żeby się nie martwiła, żeby nie próbowała się z nim skontaktować ani żeby się nie zbliżała do szkoły. Zaskoczyło ją to, że pudełko jest tak lekkie; wyciągnęła z tylnego siedzenia siatkę z zakupami i mając obie ręce zajęte, stanęła przed nim, uśmiechając się, nie wiedząc, co powiedzieć, wyobrażając sobie, że musi teraz nastąpić zdawkowe pożegnanie. Jednym

ruchem zamknął bagażnik, a potem drzwi, rozejrzał się dookoła, miał włosy potargane wiatrem, wydawał się wysoki i niemal bohaterski na gołej równinie przeciętej wykopem, rzucił okiem na zegarek, zdawało się, iż natychmiast zasiądzie za kierownicą, ale postąpił kilka kroków w jej kierunku, zatrzymał się, położył dłonie na jej ramionach, z wyraźną ulgą, a także z dumą, przyciągnął ją do siebie, położył prawą dłoń na jej karku, przesuwając opuszkami palców po miejscu, gdzie zaczynają się włosy, a ona nie protestowała ani nie poddawała się, czuła jego oddech, bliski i ciepły w zimnym grudniowym powietrzu, przechylił głowę i nieudolnie pocałował ją w usta, łapczywie i pospiesznie, poruszając językiem pomiędzy jej rozchylonymi wargami, po czym się odsunął, patrząc na nią, jakby żałował, że to zrobił, jakby zaskoczyło go to, że nie został odepchnięty albo że otrzymał pocałunek szybszy i mądrzejszy niż jego, wszedł do samochodu, zapalił silnik i zawrócił, aby odjechać w przeciwnym kierunku, wysunąwszy lewą rękę przez okno w geście pożegnania.

Leżę wyciągnięty obok niej, boli mnie to, że ją pocałował, jakbym to widział, słucham jej z zamkniętymi oczyma, widzę, jak idzie tyłem do mnie cichymi ulicami kolonii Carmen, ma gładko zaczesane włosy, długie, tak że spadają jej na ramiona okryte czarną skórzaną kurtką, trzyma siatki w obu rękach, ściskając ich ucha, aż bolą ją palce, nie odwraca się za siebie, w moją stronę, czuje jeszcze w ustach język Praxisa, jej mina wyraża spokój i ostrożność, być może jest taka sama, jaką ja zobaczę wiele lat później. Stawia siatki na ziemi, wyjmuje klucze i otwiera furtkę, serce bije jej szybko, boi się, że ojciec zapyta ją o to pudełko i nie potrafi na poczekaniu wymyślić żadnego kłamstwa, stąpa po ogrodowym żwirze obcasami swych kowbojskich butów, suche liście są roznoszone przez uciekające bezpańskie koty, które wygrzewały się w słońcu. Nie widzi ojca w oknie jadalni, pragnie, by go nie było w domu, ale nie chce ryzykować, zostawia siatkę z zakupami na stopniach schodów przed wejściem i z drugą siatką w dłoni obchodzi dom dookoła, trzymając się bardzo blisko ściany. Otwiera klapę cysterny, skrzypiącą niemilosiernie, wzdryga się, słysząc hałas za plecami, to zdziczały kot, który, gdy się odwróciła, fuknął i rzucił się do ucieczki, Nadia ukrywa siatkę, tak by nie było nic widać z zewnątrz, zamyka klapę, zabezpiecza łańcuchem, wraca do drzwi wejściowych, wchodzi do domu i przechodząc przez korytarz, woła ojca po angielsku, *daddy*, zauważając, że jest to określenie zbyt dziecięce, i nie wie jeszcze, że już nigdy go nie użyje. Ale ojciec nie odpowiada, jego płaszcz nie ma na wieszaku, patrzy na reprodukcję przedstawiającą jeźdźca i po raz pierwszy zdaje sobie sprawę z tego, że on też ma wyraz twarzy człowieka, który skrywa jakąś tajemnicę, i kiedy ojciec przychodzi godzinę później, prawie kończy przygotowywać obiad i nalewa mu kieliszek wytrawnego martini.

Jednak od tego momentu niezmiennie czynności w ich wspólnym życiu – czułość, z jaką całują się w policzek na przywitanie albo pożegnanie, sposób, w jaki na siebie patrzą podczas rozmowy, staranność, z jaką przygotowuje dla niego koktajle albo podaje mu jedzenie, albo zabiera z ławy, spod niskiej lampy, popielniczkę pełną niedopałków – mają coś z udawania, odrobinę niewierności i zatajenia, oboje to wyczuwają, ale żadne z nich nie powie na ten temat ani słowa, dopiero po wielu latach. W domu jest telefon, którego sygnał rozbrzmiewa tylko wtedy, gdy ktoś dzwoni przez pomyłkę, Nadia, która dotychczas nie zauważała aparatu, teraz spogląda nań, jakby przewidując nieuchronność nagłego dzwonka. Myśli o pudełku ukrytym w cysternie i przypomina sobie morderców z powieści kryminalnych, którzy żyją dręczeni niepokojem, że zostanie wykopane ciało ich ofiary. Nocami nie może spać, nawet po powrocie ojca do domu, przewraca się z boku na bok w ciemności, dusi ją pościel, zapala światło, bez przekonania otwiera książkę i natychmiast ją zamyka, kusi ją, by potajemnie wyjść na tyły domu i z latarką w dłoni przejrzeć zawartość pudełka, którą wyobraża sobie jako przerażającą i cudowną, strzeżoną straszliwym przekleństwem, niczym skarby z bajek wydawnictwa Calleja, które ojciec czytywał jej w Ameryce. Czasem czuje w ustach surowy smak męczyzny, odmienny od tego, jaki zostawiali chłopcy, którzy czasem ją całowali,

znacznie silniejszy, ma intensywność pragnienia i niebezpieczeństwa, pełnię, która wyklucza grę i potwierdza pożądanie. Pewnego poranka nie potrafi przewyciężyć pokusy podejścia pod szkołę i przed cichym budynkiem o zamkniętych drzwiach zdaje sobie sprawę, że zaczęła się przerwa świąteczna. Nocami zapalają się na ulicy Nowej świetlne dekoracje, a na placu generała Orduñi stanęła choinka, oświetlona i ozdobiona wielkimi bombkami o metalicznych kolorach, z balkonów komisariatu zwiesza się zaś wielki neon błyszczący przerywanym światłem w kolorach narodowej flagi. We mgle lodowatego zmierzchu wracają do domów grupy zbieraczy oliwek, land-rovery i traktory z kołami pokrytymi gliną, rzędy mułów objuczonych worami oliwek i kijami z wrzośca. W mieście pod koniec grudnia dominuje zapach szorstkiego płótna worków, grubej wilgotnej odzieży, oliwek rozgniatanych wielkimi stożkowatymi kamieniami młynów oliwnych, otwartych aż do północy, z reflektorami oświetlającymi góry oliwek pośród zgiełku szorstkich głosów mężczyzn, parskania juczych zwierząt i warkotu silników land-roverów. Wałęsając się po ostatnich ulicach miasta, mijają grupy zbieraczy oliwek, wracających z pracy w starych i ubłoconych ubraniach, ze zmęczonymi twarzami, może widzi pomiędzy nimi również moją twarz i przychodzi jej na myśl dzień, kiedy to poszła na rynek z Praxisem. Wracam do domu z brygadą ojca, z wujkiem Rafaellem, z wujkiem Pepe i porucznikiem Chamorro, zbyt wyczerpany, by nucić piosenki po angielsku, a nawet żeby wyobrazić sobie przyszłe życie, kiedy wchodzi do kuchni, gdzie na ogniu kipi garnek z kolacją, matka i babcia Leonor mówią mi, że ojciec już czuje się lepiej i że ten nieodpowiedzialny człowiek sam poszedł do ogrodu. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wróci do pracy, nawet nie zażył dziś pastylek przepisanych przez doktora Medinę, wydaje się, że długo nie wraca, i bardzo się niepokoją, no bo jeśli dostał ataku i leży na ziemi jak zwierzę, to co? Spieszę się, mam ochotę pójść po moich przyjaciół i włączyć się po ulicy Nowej i kolonii Carmen w nadziei ujrzenia Mariny, pospiesznie oplukuję się zimną wodą, cera mi pociemniała i teraz wyglądam na starszego, bo od kilku dni się nie golę, ręce mam stwardniałe od kija, którym przez cały dzień okładałem gałęzie drzew oliwnych, i nieznośnie boli mnie krzyż i ramiona, ale nie chcę się zatrzymać i odpoczywać. Gdyby to ode mnie zależało, nawet nie zjadłbym kolacji, wbiegam do swojego pokoju, przeskakując po dwa stopnie, wkładam czyste ubranie i słucham płyty na cały regulator, dziki głos Jima Morrisona, *Break on through to the other side*, i muzyka mnie ożywia, odrywa mnie od zmęczenia i od rzeczywistości, jakbym słuchając jej, rzucił się w nurty wzburzonej rzeki. Wtedy słyszę kołatkę, wstrząsa mną strach, że ten dobiegający z placu Świętego Wawrzyńca dźwięk klaksonu wydaje samochód, który przywiózł ojca, wychylam się na schody i z ulgą słyszę jego głos, tak samo mocny i wyraźny jak wtedy, kiedy jeszcze nie powalił go ból. Znowu jestem banitą i włączę ją bez korzeni, nie związany z nikim, jem w milczeniu, gapiąc się w telewizor, nie zwracając uwagi na dziadka Manuela, który utyskuje na liche tegoroczne zbiory oliwek i tymi samymi słowami co każdego roku wspomina dawne zbiory o mitycznej obfitości, rok wielkich zbiorów, mawia, kiedy gałęzie drzew łamały się od nadmiaru owoców i oliwki rodziły aż do Wielkiego Tygodnia, urodzajne lata przed wojną, kiedy padały prawdziwe deszcze, nie tak jak teraz, kiedy ciągle loty na Księżyc i dziurawienie nieba zniszczyły mechanizm pór roku. Wiecznie to samo rozpaczliwe powtarzanie tej samej błagi i tych samych wspomnień, jakby żyli zaprzężeni do kolistej pamięci, w której czas nie płynie naprzód i w którą ja też zostanę wprzęgnięty, o ile wcześniej stąd nie ucieknę. Wstaję od stołu, nie czekając na deser, ojciec patrzy na mnie z naganą, mówi, że jutro z samego rana mam iść się ostrzyć i żeby nie wrócił późno, bo trzeba wcześnie wstać. Nic nie odpowiadam, wychodzę i zatrzaskuję drzwi, słyszę, jak woła za mną, ale nie chce mi się wracać, idę ulicą Pozo, jakbym kroczył ospale i nierozważnie po ulicach Nowego Jorku, naśladować po cichu akcent Lou Reeda, *Take a walk on the wild side*, choć po prawdzie nie rozumiem nawet połowy z tego, co mówi, może przechodzę obok Nadii i nie widzę jej, nie

wiem, że ona też kogoś szuka i że nie podejrzewając tego, pragnie nieszczęścia, tak samo uparczywie jak ja.

Zimowe noce pod koniec roku, wystawy na ulicy Nowej i Królewskiej oświetlone aż do późnej nocy, kołеды dobiegające z głośników na placu generała Orduńi, akacje przyozdobione migoczącymi światełkami, gwiazda betlejemska na wieży zegarowej, grupy kobiet przemykające szybko z paczkami zawiniętymi w kolorowy papier, światła odbijające się w mokrym asfalcie i na kocich łbach, zimna ciemność, jakby zamieszkująca w bocznych uliczkach, gdzie nie było sklepów z zabawkami ani rzędów świateł, lecz zamknięte drzwi i mroczne bary, w których upijali się ci sami co zwykle pijacy, ci od białego wina i bimbru z beczki, jak zawsze mieli przekrzywione berety i koszule wyciągnięte ze spodni. Szukałem przyjaciół, poszedłem do salonu Maciste, potem do Martosa, ale może poszli do kina i tego wieczoru już ich nie zobaczę. Chodziłem po ulicy Nowej pośród ciżby i melodii kołedy, nienawidząc twarzy i miasta, w którym byłem zamknięty, jak przestępca na więziennym dziedzińcu, kierowałem się w niewiadomą stronę, z nieznośnym wstrętem do twarzy przepelnionych szczęściem tak obrzydliwym jak łyżka syropu albo oleju rycynowego, wypatrywałem Mariny, która być może wyjechała na święta do innego miasta, oddalałem się od ostatnich świateł ulicy Nowej, aby pójść w górę aleją Ramón y Cajal, zapuścić się w kolonię Carmen i odważyć się podejść do jej domu, gdzie nie było zapalonych świateł ani nie szczekały psy. Pamiętam tę samą zimę w tym samym mieście i jest tak, jakby jedna część naszego życia, Nadii i mojego, składała się z tego samego podwojonego smutku, i każde z nas ma i opowiada wspomnienia drugiego, mówi o poszukiwaniu kogoś, kto się pojawia i znika niczym urojenie, o samotności pośród tłumu, o ucieczce w stronę źle oświetlonych ulic i opuszczonych przedmieść, gdzie osiągał swą nieznośną pełnię przesadny smutek wieku dorastania.

Podobnie jak Marina, Praxis wrócił do Maginy, kiedy znowu rozpoczęły się lekcje w szkole. Nadia leżała wyciągnięta na łóżku w swoim pokoju, nie miała ochoty, by czytać albo słuchać muzyki. W jadalni zadzwonił telefon, natychmiast uniosła się i podparła na łokciu, ojciec ją zawołał. Do ciebie, powiedział, wyciągając w jej kierunku słuchawkę. Odłożył na stół czytana gazetę i zniknął tak dyskretnie, że tego nie zauważyła, aż do chwili, kiedy usłyszała dźwięk zamykanych drzwi w korytarzu. Jeszcze nie wrócił, kiedy wychodziła z domu z wielką plastikową torbą w dłoni, powtarzając w myślach, że musi się uspokoić, a także nazwę ulicy, numer domu, literę oznaczającą mieszkanie, w którym on już na nią czekał. Zadzwoniła do drzwi, usłyszała kroki, na pewno ją widział, pomniejszoną i zniekształconą, przez wizjer, być może był bardziej podenerwowany niż ona, bardziej niepewny, musiał udawać, że ma zbyt duże doświadczenie, aby można go było zranić. Nie chcę, aby Nadia dalej mi opowiadała, nawet nie chcę sobie wyobrazić tego, co jest oczywiste, co wydarzyło się tego popołudnia i powtarzało się wielokrotnie aż do połowy lipca, nie tylko drżenia przy pierwszych uściskach i niecierpliwości rąk i języków po drodze do sypialni, ale także mętnej i przygnębiającej konspiracji, nie będącej tylko konspiracją polityczną, ani piosenek, które jej puszczał (jakie – z łatwością można się domyślić), ani wszystkich marzeń zrujnowanych nadmiarem słów i kłamstw. Patrzę na nią – naga i przyzywającą mnie w półmroku zmierzchu albo bezsennego świtu – i nie mogę znieść oczywistości tego, że inni mężczyźni z nią byli, a ona uśmiechała się do nich, wyciągając do nich ręce, rozchylając uda, tak samo jak teraz przyjmuje mnie. Do tej chwili nie wiedziałem, że miłość chce objąć w posiadanie również czasy, kiedy jeszcze nawet nie istniała, i że można być tak zazdrosnym o przeszłość.

JEDEN CZYN, POWIEDZIAŁ, ściskając jej dłoń na swej zmarniałej i zapadniętej piersi pokrytej białym meszkiem, unoszonej ciężkim oddechem, leżał z głową zwróconą w stronę córki, ułożoną na wezglówiu, które ona sama przed chwilą uniosła, podkreślając korbką, powalony, niedostępny, spokojny, już niemal w agonii, mówił teraz to, co powinien albo chciał jej powiedzieć siedemnaście lat wcześniej, to, co w owym czasie wolał zataić, nie dlatego, że taką podjął decyzję, lecz dlatego, że ze wszystkich swych zwyczajów najbardziej zakorzenione miał milczenie; czasem słowa również są czynami, brutalne decyzje, niemożliwe gesty, a on mógł sprowadzić większą część swego życia nie do tego, co zrobił, ale do tego, co zataił i czego nie zrobił. Teraz, tak bardzo poniewczasie, tak bardzo późno, że mówienie na głos było tym samym co wyobrażanie sobie słów albo śnienie ich, zagłębiał się w długiej i niejasnej wypowiedzi przerywanej czasem atakami duszności, zmaczonej majaczeniem, niczym manuskrypt częściowo nieczytelny z powodu zawilej kaligrafii i plam, które w niektórych miejscach rozmazały atrament, i całe jego poprzednie życie i wszystkie postacie, którymi był, zlewały się w jego opowiadaniu w postać już pośmiertną, taką, jaką będzie, wkraczając w śmierć. On, przykładny następca okrytej chwałą dynastii hiszpańskich żołnierzy; młody oficer szybko awansowany do stopnia kapitana podczas ostatnich wydarzeń wojny w Afryce, dyplomowany w akademii w Sandhurst, zięć generała ze szlacheckim tytułem i mąż najbardziej atrakcyjnej i najbardziej dystygowanej córki żołnierza w Ceucie; surowy major w wieku trzydziestu dwóch lat, który prawie nie pił i nigdy nie palił w miejscach publicznych, a czas poza służbą poświęcał lekturze traktatów naukowych w koszarowej bibliotece; on, zdrajca swoich, bohater dzienników republikańskich z Maginy podczas pierwszych miesięcy wojny domowej; uchodźca w Oranie, potem w Meksyku, a w końcu w Stanach Zjednoczonych; bibliotekarz skromnego uniwersytetu w Nowym Jorku; mężczyzna zalecający się bez przekonania do koleżanki z pracy, już odrobinę zwiędłej, choć dziesięć lat młodszej od niego, przybitej rozwodem i długą abstynencją seksualną, katoliczki, która oddała mu się w zawstydzeniu pewnej nocy, zaszła w ciążę w wieku niemal czterdziestu lat, a potem gryzła chusteczkę i ocierała nią łzy w kawiarni, gdzie mu to wyznała i gdzie początkowo popołudniami, po pracy, wpadali na kieliszek alkoholu; on, mąż i ojciec już tak dojrzały, że jego jedyna córka zdawała się wnuczką; on, schludny i jeszcze silny emeryt, który przez niecały rok wynajmował dom na przedmieściach Maginy – jego imię nie zmieniało się, to, które nadano mu na początku, aby określić jego przeznaczenie, zaczęło zawierać mnogość tożsamości prawie nie mających ze sobą nic wspólnego. Życie każdego człowieka może być tak długie, powiedział Nadii, że mogą się w nim pomieścić całe biografie, a jednak teraz, na końcu, był tylko niechlujnym starcem leżącym w szpitalnym łóżku, z desperacją łapiącym powietrze otwartymi ustami i mówiącym szeptem, któremu zdawało się, że mówi, kiedy już rwała się nić słów, podobnie jak wtedy, gdy rozleniwiony albo drzemiący człowiek śni, że wstaje, wychodzi z domu i zdąża do pracy.

Córka, przytrzymywana przez niego, chętna, by go słuchać, pochylała się nad nim, jednak nie zawsze udawało się jej zrozumieć monotonne mamrotanie wydobywające się z jego ust, hiszpańskie słowa wypowiedane w tym szpitalu pośród odległych pokrzykiwań chorych i echa angielskich słów powtarzanych przez głośniki. Jeden czyn, powiedział albo śnił, że mówi, jeden jedyny prawdziwy czyn, nawet najmniejszy, nikomu nie znany, może wpłynąć

na obroty kuli ziemskiej i zatrzymać słońce, i spowodować, że runą mury Jerycha – milkł, zmęczony mówieniem, a słowa stale wypływały z głębi jego delirium, w końcu wytrwał, posłuszne jego woli; nie wielki gest, nie mocne słowo, które odbije się echem pod sklepieniem, ale coś znacznie prostszego, tak prostego jak skład chemiczny wody lub pion wyznaczany przez spadający przedmiot, jak geometria czworoboku formującego się nagle i doskonale po jednym słowie komendy wykrzyczanym do batalionu; mężczyzna, który był posłuszny przez wiele lat i w ciągu mniej niż dziesięciu sekund postanowił już nie być posłusznym, i nie tylko podjął taką decyzję, ale też ją wypełnił, w niepewności i strachu, lecz zarazem z niezbitym przekonaniem, albo stał naprzeciwko kobiety i wyciągał rękę, a ona pozostawała w bezruchu, jakby sparaliżowana, i ścisnął jej dłoń, tak jak ja teraz ściskam twoją, oto największa tajemnica, jedyna, a on odkrył ją dopiero w Maginie i już na zawsze przestał być tym, kim był do tamtej chwili; tajemnica czynów, nie tych śnionych, upragnionych albo wyobrażanych, przewidzianych regulaminem, szczegółowo opisanych w podręcznikach *savoir-vivre*'u, lecz tych pojawiających się nagle w rzeczywistości niby płomień pożaru, niesamowitych, niespodziewanych, tych, które na zawsze zmieniają materialność przedmiotów. Pociła mu się ręka i pozwolił, by Nadia wysunęła swoją, wyciągnął otwartą dłoń i przybliżył do twarzy, jakby osłaniał się przed słońcem wpadającym przez okno, dłoń otwartą i usmarowaną czerwonym błotem przed dziesięcioma tysiącami lat, która pokryła plamami ścianę jaskini, oto czyn pozostający na zawsze, spazm miłości albo obojętności lub nienawiści płodzącej istotę ludzką, tak samo jak ja spłodziłem ciebie, powiedział, i przez chwilę uśmiechał się do niej zwrócony w jej stronę swą niezniszczalną i surową twarzą sprzed dwudziestu lat; czyny nie słowa, nie żalosne pragnienia ani marzenia, ani książki, ani filmy, zatapianie szczęk mrówki w okruchu chleba, praca kogoś, kto wydziera owoc ziemi, pełna przerażenia odwaga wyskakującego z okopów człowieka, który nie wie, że jest bohaterem, odwaga niepowtarzania nigdy więcej gestów, które zdawały się niezmiennie i wieczne. To jest dla mnie ważne, to i nic więcej, to właśnie chciałem ci powiedzieć, a i to nie ma już znaczenia, ale mnie jest wszystko jedno, ty nie możesz mnie zrozumieć ani nikt, kto nie umrze za kilka dni, choć może ty tak, ty zawsze czułaś to co ja i w tym samym momencie co ja. Jedyną decyzją, jaką podjąłem w ciągu całego mojego życia, podjąłem i wypełniłem do końca, jedynym prawdziwym czynem, który całkowicie i na zawsze zmienił moje życie, było strzelenie do fanatycznego porucznika, który nie posłuchał mojego rozkazu, zabicie go bez wahania i żalu, gdy patrzył mi w oczy i stał tak blisko, że słyszałem, jak zgrzyta zaciśniętymi zębami, i widziałem drżenie jego szczęk.

Wszystko załamało się jednej nocy, w jednej minucie; granica zarysowana w czasie, rysa, początkowo cieńsza od włosa na powierzchni kryształu, albo niedostrzegalna szczelina w ścianie wieży, skaza na hermetycznej twierdzy jego dyscypliny i na nigdy nie łagodzonej prężności sposobu życia, jakie wiódł, przestrzegając dzień za dniem tak szczegółowego katalogu bezsensownych gestów, że dostarczały mu kojącego wrażenia, iż bez reszty oddaje się działaniom, tak że nie ma miejsca na lenistwo albo wątpliwości, poświęca się sprawom odległym od nieszczęść lub niepewności prawdziwego życia, które toczyło się po drugiej stronie koszarowego muru, gdzie ludzie nie chodzili równym krokiem, nie nosili mundurów ani nie zajmowali określonego miejsca w hierarchii, tak szczegółowo określonej jak kasty w Indiach. Było w nim przynajmniej dwóch ludzi, jeden był – jak sam lubił wyobrażać sobie samego siebie – perfekcyjnym automatem, cudownie skończoną kopią istoty ludzkiej, z imitacją oczu błyszczących i zdających się widzieć, z włosami i skórą, swego rodzaju dubler albo ordynans wierniejszy jeszcze niż szeregowy Rafael Moreno, wzór szlachetnego żołnierza, jak mawiał pułkownik Bilbao, postać stworzona z tajemniczej materii, skrywająca w sobie subtelne mechanizmy, substytuty płuc, serca, jelit, odwzorowania stanów duszy i uczuć oraz zachowań, które być może u innych były autentyczne, odwaga, posłuszeństwo,

dobroć, duma, miłość do ojczyzny, rodziny i do dzieci, szacunek dla przełożonych, szczerłość wobec równych sobie, prawość i autorytet dla podwładnych, nieufność wobec wszystkiego, co pochodziło z zewnątrz, z zagmatwanego i rzeczywistego świata, z życia cywili. Wstawał rano i dubler pojawiał się, zanim ordynans otworzył drzwi i poprosił o pozwolenie wejścia z filiżanką kawy – nabierał kształtów w lustrze w łazience, wywoływany, niczym twarz na negatywie, za pomocą mydła i brzytwy, które stopniowo wydobywały jego rysy z pokrytego pianką owalu tej drugiej twarzy, której nikt nie widział. Pozostawały jednak strefy niepewne, grymas słabości lub apatii na ustach, zbyt przenikliwy błysk dopiero co rozbudzonych oczu, a trzeba było wytropić to i sprawdzić doskonałość przed wyjściem, jak aktor japoński sprawdza nieskończone szczegóły makijażu, peruki i stroju; kiedy punktualnie o ósmej major Galaz przekraczał próg i schodził po schodach na dziedziniec, stukając podkutymi obcasami oficerek na kamiennych płytach, dubler władał już w sposób absolutny jego tożsamością i nikt, nawet sam major Galaz, nie mógł go zdemaskować, żołnierze na służbie stawali przed nim na baczność, a niżsi rangą pospiesznie odrzucali papierosy, poprawiali koalicyjki i ze strachem sprawdzali blask oficerek.

Jedynie ojciec nigdy mi nie ufał, powiedział Nadii – a więc on też miał ojca, do którego być może był podobny pod koniec życia, i niewyobrażalne dzieciństwo na początku wieku. Mój ojciec, twój dziadek, powiedział, nie ufał mi, bo byłem zamkniętym w sobie dzieckiem i nie cieszyłem się dobrym zdrowiem, nie lubiłem jeździć konno i nudziłem się na defiladach, a salwy armatnie doprowadzały mnie do płaczu. Nie ufał mi, kiedy wstąpiłem do szkoły wojskowej i dostałem najwyższe noty nie tylko z historii, geografii i matematyki, ale też z gimnastyki. Przytulił mnie na koniec roku, kiedy schodziłem z podium z dyplomem i medalami za dobre zachowanie przypiętymi do munduru kadeta, lecz dostrzegałem w jego oczach, czasem wilgotnych od ojcowskiej dumy, błyszczących uczuciem, hamowanym z powodu czegoś, co nazywał – pamiętam to dokładnie – obozową powściągliwością, że wyczuwał coś ukrytego pod moim nienagannym zachowaniem, wstydliwą skłonność, która kiedyś wyjdzie na jaw, wcześniej czy później, kiedy on będzie najmniej na to przygotowany, tak jak wartownik, który czuwa przez całą noc, a o świcie przymyka oczy i już jest stracony. Wpatrywał się we mnie intensywnie, choć go nie widziałem, wiedziałem, że patrzy na mnie pytająco, patrzył tak na mnie z trybuny honorowej w akademii podczas defilady i ponad butelkami i kieliszkami w jadalni naszego domu, a kiedy sam wręczył mi dyplom na promocji i stanęliśmy przed sobą na baczność, zanim uścisnęliśmy sobie dłonie z takim samym wigorem, z jakim potem uścisnął dłoń wszystkim pozostałym kadetom, przeszywał mnie wzrokiem z większą natarczywością niż kiedykolwiek wcześniej, z przerażeniem, jakby w miarę jak przebywałem krok po kroku wszystkie etapy edukacji, aby przekształcić się w człowieka, jakiego on sobie zaplanował i wymagał, wzrastało zagrożenie niechybną katastrofą; nie potrafił sobie wyobrazić, jaka by to miała być katastrofa, bo był całkowicie pozbawiony wyobraźni i zastępował ją gorączkową skłonnością do wyczekiwania, nie był zdolny uwierzyć, że nie istnieje żaden powód usprawiedliwiający jego obawy, ale już sam brak takiego powodu był złą wróżbą, tym bardziej że nie znając jego pochodzenia, nie mógł przedsięwziąć żadnych kroków, znaleźć antidotum na zbliżające się nieszczęście. Trwożył go mój brak niesubordynacji, absolutna czystość moich czynów, słów, nawet munduru, co mogło być tylko, na pewno tak myślał, zewnętrzną powłoką, skrywającą jakąś perwersję, aberrację tak ciemną, że ja sam, jego syn, pierworodny generała Galaza, poświęcałem wszystkie swe zdolności i całą przebiegłość swojej duszy na jej ukrycie. „Nie upijasz się nigdy ze swoimi kolegami? Nie chodzisz na kobiety...? Na pewno tak, nie kłam, ja też jestem mężczyzną i byłem młody tak jak ty. Jedyne, o co cię proszę, to żebyś stosował higieniczne środki zapobiegawcze... Nie jesteś zboczony? Musisz sobie znaleźć narzeczoną, nie mówię, żebyś to zrobił już teraz, bo jeszcze jesteś bardzo młody, ale zacznij już o tym myśleć, przyglądaj się,

bez pośpiechu, bardzo ostrożnie, nie brak tu dziewcząt, a kiedy już jakąś sobie wybierzesz, musisz ją szanować, ale to nie oznacza, że od czasu do czasu nie będziesz mógł sobie pozwolić na trochę swobody, takie jest prawo życia, funkcje organizmu, konieczne, niezbędne dla zdrowia, rozumiesz mnie, dla normalnie zbudowanego mężczyzny, choć wszyscy wiemy, że istnieją zboczenia, w wojsku też, jak w każdym innym miejscu, niestety, ale nie o to mi chodzi, trochę rozrywki, wyjść na miasto w sobotę z kolegami. Porządna hulanka od czasu do czasu nikomu nie szkodzi, ale ty jesteś jak sygnał capstrzyku, ani jednego spóźnienia w twojej karcie służby, ani jednej plamy, synu...”

Mimowolnie naśladował surowy ton ojca, słyszał samego siebie i zdawało mu się, że głos tamtego mężczyzny, zmarłego przed półwieczem, wniknął w jego własny, zniekształcając go tak bardzo, że córka go nie rozpoznawała, tak samo jak zapomniana twarz ojca stopniowo wracała teraz do jego pamięci i pokazywała mu się w lustrach, w tym, które Nadia przed nim stawiała, kiedy kończyła go golić, tym samym, które przystawia do jego ust, kiedy jego oddech nie pokryje go już parą. Szczęśliwie jednak generał Galaz nie żył wystarczająco długo, by doczekać spełnienia swych najczarniejszych przewidywań, katastrofy i hańby, która zniszczyła karierę wojskową jego syna i na zawsze splamiła jego imię, a wraz z nim chwałę przodków, kapitanów, pułkowników i brygadierów Galazów, których fotografiami i olejnymi portretami obwieszono były ściany domu. Generał dokonał żywota, tak jak żył, drząc przed najgorszym i zarazem pyszniąc się dumnie, kilka dni po tym, jak jego syn awansował na majora, kiedy już dał mu męskiego potomka, zapewniając kontynuację rodu, i brakowało zaledwie kilku miesięcy do przyjścia na świat następnego, teraz nie miało znaczenia, czy będzie to córka. To coś rosnące w jej brzuchu, myślał czasem major Galaz w Maginie, podczas gdy zarządzał zbiórkę albo czytał w swoim pokoju, wyciągnięty na łóżku, poddając się rozleniwieniu, to nie nazwane stworzenie, bez płci, jeszcze nie obdarzone ludzkimi rysami, z błonami, z siateczką sinych żył pod miękką, przezroczystą czaszką, o nieokreślonym kształcie morskiego zwierzęcia, pulsujące w czerni i rozrastające się w jamie jej ciała, niczym ośmiornica albo ryba o wielkich bezmyślnych oczach, to dziwaczne i przerażające stworzenie, które jednakowoż zostało stworzone przez niego podczas obrzydliwej małżeńskiej nocy, której nawet nie potrafił sobie przypomnieć, podczas stosunku tak bardzo wyzbytego uczuci i sensu jak parzenie się zwierząt niższych gatunków, krew z jego krwi, mawiano nabożnie, krew i życie, które bez niego nie zaistniałoby i których nie mógł się wyprzeć. Przed świtem, w koszarach Maginy, u zarania swej hańby i bohaterstwa, major Galaz zbudził się przerażony, bo śnił, że stworzenie podobne do ośmiornicy patrzyło na niego, a przebudzenie wcale go nie ukoilo: stworzenie istniało, choć on nie chciał o nim pamiętać, choć nakazał swemu dublerowi pisanie listów i wysyłanie fotografii z dedykacjami i interesowanie się czule zdrowiem swej małżonki i okłamywanie jej, że cały czas poszukuje odpowiedniego mieszkania w mieście, choć może rozsądniej byłoby poczekać, aż miną lipcowe upały, Magina w lecie była jak piec i nie miała nawet wojskowego szpitala. Jeszcze nie wstał, okno wychodzące na dolinę Gwadalkiwiru było otwarte, lecz nie wpadał przez nie nawet najlżejszy podmuch porannej bryzy, przez całą noc nie poruszyło się zastygłe i gorące powietrze, a światło księżyca nad nie uprawianymi polami i gajami oliwnymi przydawało upałowi wapiennej konsystencji. Pozostał w łóżku, nagi, wbrew swym zasadom, z otwartymi oczyma utkwionymi w bardzo wysoki sufit, gdzie *zaczynała* się pojawiać pierwsza jasność o nieokreślonym pochodzeniu, myślał o stworzeniu, które nie tylko nawiedziło go we śnie, lecz także istniało w rzeczywistości, przypominał sobie opuchnięte i spocone ciało w tej samej chwili przewracające się z boku na bok w wielkim małżeńskim łożu, z którego on zbiegł z ulgą przed trzema miesiącami – dłoń przyłożona do brzucha mogła już pewnie wyczuć ruchy stworzenia, gwałtowne skoki, falowanie gada – w stetoskopie na pewno słyhać było wyraźne bicie serca, bardzo szybkie, nierówne, niczym galop lub nerwowe uderzanie palcami o blachę,

jak drobne kroki, jakby to coś zbliżało się do niego z oddali, w dzień i w nocy, niezmordowanie, tak jak ten jeździec z reprodukcji, z miasta, w którym jego żona czuła, jak ono rośnie, i oczekiwała przewidywalnej i błogosławionej jatki jego nadejścia, ugięte kolana i rozchylone uda na kozetce, zakrwawione rękawice na dłoniach lekarza, odkryte przedramiona jak u rzeźnika, czerwone i brudne stworzenie wysuwające się pośród krwi i ekskrementów, a potem uniesione za nogi w świetle lampy wyolbrzymiającej blask potu i obfitą ciemną czerwień krwotoku. Jednym skokiem stanął na nogi, położył się na brzuchu na podłodze, podparł sztywno na dłoniach i czubkach palców u nóg i zaczął liczyć na głos pompki, nigdy nie dotykał brzuchem podłogi. A potem poklepywanie członków jej rodziny, gratulacje lekarza, jeszcze ze spoconym czołem i z trzema gwiazdkami kapitana wyszytymi na białym fartuchu, gratulacje w koszarach, toast za nowo narodzonego w kasynie oficerskim, cygaro ofiarowane każdemu, kto miał ochotę zapalić, nawet kelnerom, choć ci przed poczęstowaniem się zapytaliby o pozwolenie. „Za pozwoleniem, panie majorze, ale to taka okazja”. On, jego dubler, ściska dłonie i pozwala poklepywać się po plecach, myśli, patrząc na te twarze, że kiedyś twarz jego dziecka będzie podobna do nich, że czeka na nie takie samo życie i taki sam rozkład, że to właśnie on sam, nikt inny, jego ojciec, będzie współodpowiedzialny i winny jego egzystencji i nieuniknionej głupoty albo nieszczęścia.

Wszystko jednak było tak odległe, tak łatwo było pograć się w myślach, leżąc na łóżku w pokoju zamkniętym na klucz, podczas przychylniej nocy za otwartym oknem, nad doliną, biało-niebieską w świetle księżyca, wszystko było tak nieskończenie odległe od niego jak lśniąca ciała niebieskie i malutkie światełka drżące na stokach Sierry, i reflektory samotnego samochodu skrzące się przerywanymi rozbłyskami na pustych drogach pośród oliwnych gajów, jak gwizdy nocnych pociągów przemyskających nad brzegiem rzeki i z trudem wspinających się na wzgórze Maginy. Czy to ten drugi, automat, którego cień wykorzystywał niczym ubranie sprawiające, iż stawał się niewidzialny, zejdzie na koszarowy dziedziniec kilka minut po ósmej, aby przyjąć meldunek od kapitanów i dokonać przeglądu ustawionych w szyku kompanii, potem odwróci się powoli i zbliży do miejsca, gdzie czekał pułkownik Bilbao, wypręży się przed nim na baczność i powie: „Panie pułkowniku, nic nowego w batalionie”. Nic nie mogło się zmienić tego poranka ani żadnego innego, tak myślałem, powiedział Nadii, i nawet nie musiał tak myśleć, aby mieć pewność, że wszystko się powtórzy, tak samo jak nikt nie musi myśleć, że słońce nie zatrzyma się w połowie nieba albo że budynki, obok których przechodzi, nagle się nie zawalą. Punktualnie o siódmej piętnaście ordynans przyniósł mu gorącą kawę i świeżo wypastowane buty, dokładnie w chwili, kiedy on kończył się golić, o siódmej trzydzięci zakończył przeglądać i podpisał wyczerpujące zestawienie mundurów i broni wręczonej poprzedniego popołudnia kapralowi Chamorro, o ósmej trzydzięci, po zbiórce na śniadanie wypił drugą kawę w kantynie i udał, że nie zauważył ciszy, która zapadła, kiedy się pojawił, ani tchórzliwej wrogości malującej się na tych samych twarzach co zwykle. O dziewiątej otworzył energicznie drzwi do kancelarii batalionu i przeszedł do swego gabinetu, nie patrząc na podoficerów administracji i na pisarzy stojących na baczność przy stołach zawalonych papierami, o dziewiątej pięć, stojąc przed swym biurkiem, zdjął oficjalny portret, z którego zdawała się spoglądać na niego smutna i nalana twarz prezydenta Republiki, otworzył zamkniętą na klucz szufladę i spróbował podjąć na nowo napisany do połowy list, który odłożył poprzedniego popołudnia, lecz automat odmawiał posłuszeństwa tego poranka, a pióro ślizgało się w mokrej od potu dłoni.

Nic się nie wydarzy, myślał, jedynie upał i nuda sobotniego poranka, stukot maszyn do pisania za matowym szklanym przepierzeniem oddzielającym jego gabinet od wspólnego biura, papiery, przepustki, które powinien podpisać, dźwięk trąbki o określonych godzinach, krzyki podoficerów niechętnie prowadzących ćwiczenia, odgłos równych kroków na żwirze dziedzińca i karabinów uderzających o ziemię albo ramiona żołnierzy. Surowo zabraniał

sobie myślenia o możliwych oznakach zmian albo nieporządku, jakie dostrzegał ostatnimi czasy: spotkania o późnych porach w kasynie oficerskim, wizyty cywilów zawsze uzbrojonych w pistolety ukryte pod letnimi marynarkami, wchodzących do koszar tylnym wejściem, rozmowy w jadalni przerywane jego pojawieniem, plotki o możliwym wybuchu strajku generalnego, o paleniu zbiorów i tumultach w folwarkach w dolinie, polityka, mawiał z lekceważeniem, kiedy ktoś odważał się zapytać go o opinię, bujdy wymyślane przez ludzi leniwych, nie potrafiących się podporządkować wojskowej neutralności, odpowiedział dwie czy trzy noce wcześniej pułkownikowi Bilbao, który o trzeciej nad ranem kazał go wezwać, aby spytać nie wprost, jaka byłaby jego postawa w przypadku ewentualnej interwencji wojskowej. Pułkownik też się zmienił, już nie kręcił się po swym gabinecie w rozchełstany mundurze z rękoma splecionymi na plecach i głową zwieszoną na piersi, już nie patrzył na niego z oddaniem sfrustrowanego ojca, co sprawiało, że czuł się jak oszust. Na ogólnej porannej zbiórce, kiedy stawał przed nim na baczność, aby złożyć meldunek, pułkownik Bilbao unikał jego spojrzenia i bez przekonania odpowiadał na jego salutowanie, po czym natychmiast wracał do swego gabinetu i zamykał się w nim, a zdarzało się, że ordynans nie dopuszczał do pułkownika majora Galaza, mówiąc, że pułkownik rozmawia przez telefon albo że ma bardzo ważnego gościa.

Ponownie schował list do szuflady, nie wiedząc jeszcze, że był on ostatni i że nigdy go nie skończy, ospały z gorąca, z powodu dymu, szumu wentylatora, wspominał sen, w którym widział to stworzenie. Zdecydował się zejść niespodziewanie do kuchni, aby sprawdzić czystość i porządek w magazynie. Nie mógł przerwać zwyczajowego łańcucha bezsensownych działań, nie mógł pozwolić, by zawładnęło nim rozleniwienie, by dubler albo automat zmniejszył czujność, unieruchomiony rozprężeniem i ogólnym popłochem. Zamazana postać pojawiła się po drugiej stronie szklanych drzwi; był to kapral Chamorro, niewysoki, krótkowidz, z papierową teczką pod pachą, w okrągłych okularach w tanich oprawkach, zdyscyplinowany i nieokrzesany, z chłopską topornością w gestach i sposobie noszenia munduru. Nie można mu ufać, powiedział o nim porucznik Mestalla, znaleziono w jego szafce książki propagandy anarchistycznej, ale pisał na maszynie szybciej niż ktokolwiek inny i nie popełniał błędów ortograficznych, w odróżnieniu od znakomitej większości nie tylko kancelistów, ale też oficerów. Major Galaz z jakichś przyczyn czuł do niego sympatię, ale nigdy nie dał tego po sobie poznać, gdyż nie był w stanie traktować serdecznie niższego stopniem, podobnie jak nie chciał pozwolić służącym na spoufalanie się. Kapral Chamorro przedstawił mu szczegółowe i z pewnością wymyślane zestawienie żołnierzy obecnych w koszarach oraz racji żywnościowych, a on udał, że je przegląda, i złożył podpis. Był to kolejny z jego wydumanych obowiązków i zajmował miejsce drugorzędne, lecz nie zasługujące na pogardę, w utrzymaniu równowagi w świecie, nazwiska przepisywane raz za razem według porządku alfabetycznego, dokładne ilości, choć fikcyjne, mięsa, warzyw i oliwy, cena każdego wiktuału, dokładna co do centyma, i suma, iluzoryczna i perfekcyjna jak pozory dyscypliny i odwagi szeregu żołnierzy w postawie zasadniczej. Jednak tego poranka kapral Chamorro nie wyszedł natychmiast po schowaniu papierów w teczkę. Stał przed majorem, a ten to zauważył i wolał udać, że nie zdaje sobie z tego sprawy, a ponieważ kapral nie chciał wyjść i nerwowo miał czapkę w dłoniach, major spojrzał na niego zimno i powiedział: „Dziękuję, Chamorro”, obojętnym i zarazem władczym tonem, bezwzględnie nakazującym kapralowi odejść – w ten sposób dobrze wychowane osoby nakazują służącym opuszczenie pokoju, jakby rozkaz mógł sprawić, że służący stanie się niewidzialny i już go nie będzie. Lecz kapral Chamorro nadal stał bez ruchu. Kołnierzyk jego koszuli był brudny, a on sam śmierdział potem i biedą. „Panie majorze” – odezwał się – „za pozwoleniem pana majora, mam panu coś do powiedzenia, może pomyśli pan, że mieszam się w nie swoje sprawy, jeśli więc postanowi mnie pan aresztować albo wysłać do stajni, takie będzie pańskie

prawo, ale proszę mnie najpierw wysłuchać, pan major zawsze chodzi zaprzątnięty swoimi sprawami i, za przeproszeniem, zdaje mi się, że nie widzi wielu rzeczy, ale człowiek, choć nie chce, słyszy to, czego nie powinien albo czego inni nie chcą, żeby słyshał, i ja słyshałem, jak o panu rozmawiali kapitan Monasterio i porucznik Mestalla, w bibliotece, co już samo w sobie jest dziwne, choć nie należałoby tego mówić, myśleli, że są sami, ale ja ich słyshałem, wczoraj wieczorem, mówili coś o szyfrogramie z Melilli i powiedzieli, że jedynym, którego nie są pewni, kiedy nadejdzie godzina prawdy, jest pan, i że jeśli będzie trzeba, i tak doprowadzą wszystko do końca. I w nocy nie wyobraża sobie pan, jak się upili w kasynie oficerskim, choć nie powinno się o tym mówić, panie majorze, słuchali, co mówili w radiu o wojsku w Afryce, i wznosili toasty, może hałas docierał do pańskiej sypialni, jeden kelner, mój przyjaciel, powiedział mi, że kapitan Monasterio wyciągnął pistolet i namawiał wszystkich, żeby pana aresztować, kiedy pan śpi. Zabijemy psa i po wściekłości, tak powiedział, panie majorze”.

Nic nie odpowiedział, nie zmienił wyrazu twarzy ani nie zadał żadnego pytania. Zmieszany ciszą, przygnieciony upałem, kapral Chamorro odważył się wytrzeć czoło brudną chustką i dalej stał przed nim na baczność, wlepiając wzrok w czubki łapci, z papierową teczką pod pachą i przeupoconą czapką w dłoniach. Na pewno wyobrażał go sobie jako człowieka twardego albo zrezygnowanego, gotowego poddać się lub popełnić samobójstwo, albo jako potajemnego zwolennika konspiratorów. Po krótkiej chwili ciszy, podczas której dobiegał do nich stukot maszyn do pisania i szum śmigieł wentylatorów, major powiedział: „Dziękuję, Chamorro”, i kapral wyszedł z gabinetu tak zmieszany, że zapomniał o formule odejścia. Godzinę później podwładny zobaczył go, jak przechodzi spokojnie pomiędzy stolikami w kancelarii, i pomyślał, że kiedy będzie go mijał, spojrzy na niego, lecz major Galaz wyszedł, jakby nic nie zobaczył ani nic nie usłyszał, z głową podniesioną, ze spojrzeniem zimnym i dumnym jak zwykle, w nienagannym letnim mundurze, z pistoletem u pasa i lśnącymi oficerkami, zostawiając za sobą zapach miękkiej wypastowanej skóry i wody po goleniu. Zrobi coś, pomyślał kapral Chamorro, przekonany, że ten energiczny i znamionujący skuteczność działań wygląd oznacza determinację, powie pułkownikowi to, co ja mu powiedziałem, i za kilka godzin kapitan Monasterio i porucznik Mestalla zostaną aresztowani. Kiedy jednak zabrzmiał sygnał na zbiórkę i żołnierze zbrali się na dziedzińcu, jeszcze nic się nie wydarzyło, i kapral Chamorro ledwie raz zobaczył majora Galaza, i to z daleka – tego popołudnia dowiedział się z przerażeniem, że odwołano wszystkie przepustki, a jego kolega Rafael Moreno powiedział, że nie widział majora, a drzwi do jego pokoju są zamknięte na klucz.

Otworzyły się o dziesiątej trzydzięci wieczorem. Sześć godzin, jakie spędził zamknięty w pokoju, wydawało się później majorowi Galazowi czasem tak długim jak trzydzięci dwa lata jego dotychczasowego życia. Przymknął żaluzje i w półmroku, złotym i dusznym jak pszeniczny pył, pozwolił się przytłoczyć ciszy lipcowego popołudnia, ciężkiemu i zwodniczemu spokojowi sjesty, niskiemu pragnieniu pogrążenia się w przeupoconym śnie. Nic nie zrobię, powiedział na głos, nic się nie wydarzy. Nauczył się tego popołudnia, że suma zwyczajów człowieka ma miążdżącą twardość lodowca. Nie odczuwał strachu, lecz bezprzedmiotową wściekłość, która zwracała się przeciw niemu samemu, przemieniona w żal. Palił, wsparty na stole, na którym leżała książka i pistolet w kaburze, a naprzeciw niego wisiała reprodukcja *Jeźdźca polskiego*, młoda i spokojna twarz, zimny uśmiech, lewa ręka wsparta na biodrze niczym we frywolnym ćwiczeniu wołyżerki. Jeden czyn, tylko jeden, palce rozpinają kaburę, ręka wyciąga się nad stołem i obejmuje kolbę, unosi lekko pistolet i przykłada lufę do skroni, palec wskazujący szuka spustu i naciska go powoli, aż rozlega się huk wystrzału pod wysokim sufitem pokoju. Wspomniał wizerunki bohaterskich i zniszczonych żołnierzy, oficerów zamkniętych w pokojach, którym stwarzano możliwość

zadania sobie honorowej śmierci. Wspomnił czarną kaburę ojca, straszniejszą, kiedy była pusta, być może zapomniana na kredensie. Ostatni czyn godny żołnierza, kiedy stracił już wszystko i nie zostaje mu już żadna nadzieja na ocalenie honoru: oficerowie skazani na śmierć i pozbawieni swych insygniów w plugawych ceremoniach, nie pozwalający, by zawiązano im oczy, żądający prawa dowodzenia własnym plutonem egzekucyjnym. Major Galaz wyobraził sobie siebie stojącego sztywno przed rzędem wycelowanych karabinów albo zamkniętego w tym samym pokoju i wsadzającego sobie do ust lufę pistoletu, nie przyłożyłby jej sobie do skroni, jak w książkach, bo strzał w skroń stwarza możliwość przeżycia albo żalosnej i nędznej agonii. Samobójcy są głupi, powiedział mu lekarz z Maginy, doktor Medina, większość samobójców umiera przez przypadek albo z głupoty, nikczemnie, jak wykrwawiające się zwierzęta.

Słowa, powiedział Nadii z pogardą pół wieku później, kiedy w końcu miał stanąć w obliczu śmierci i z ironią albo niemal litością wspominał młodego oficera, o którym nie mógł już powiedzieć z całą pewnością, że nim był, literatura i tchórzostwo, pokusa tak wszechogarniająca jak lipcowy upał, by poddać się i pogodzić ze wszystkim, by pozostać w wygodnym ukryciu nierealnego życia, podczas gdy automat albo dubler będzie wypełniał swe nikczemne powołanie posłuszeństwa, a wydarzenia zewnętrzne będą dalej następowały po sobie z taką nieuchronnością, z jaką posuwa się lodowiec albo rozwija się rak, albo wzrasta i nabiera cech ludzkich stworzenie we wnętrzu macicy, tak samo jak oślepiające lipcowe popołudnie zmierza ku wieczorowi i góry Maginy, powiększone w południe rozedrganym powietrzem, stanowiące pas całkowicie rozcieńczonego granatu na białym upalnym niebie, nabierają ponownie ostrych zarysów. Zdał sobie sprawę, że był jak paralytyk, powiedział, że iluzoryczne zawieszenie broni, na które sobie pozwolił, zamykając się na klucz w pokoju, nie zatrzymało czasu ani czynów innych ludzi, i po raz pierwszy w życiu zaniepokoiła go oczywistość tego, że potrafi narzucać swą wolę tylko w pustce. Paralytyk, powtórzył, tak samo niezdolny do jakiegokolwiek ruchu jak w tej chwili, nasłuchiwał kroków w korytarzu, trasku broni, fragmentów audycji radiowych przemieszanych z zakłóceniami i urywanymi melodiami marszów, triumfalnych wrzasków, silników ciężarówek uruchamianych w hangarach, krzyków na dziedzińcu, a on nieruchomy, tak samo jak teraz, siedział przy stole z pistoletem i książką przed sobą, słyszał przesuającą się wskazówkę zegarka na ręku, dzwony bijące o dziedziętej na placu generała Orduńi, zbliżające się kroki i stukanie do drzwi pokoju, a on spokojnie spoglądał w półmroku na twarz jeźdźca, był obserwowany przez niego, już niejako współnik, lecz z lekką kpina, setki albo tysiące ludzi w koszarach i na ulicach Maginy, poruszających się niczym ruchliwe owady albo tryby w spiesznie pracującej maszynierii rzeczywistości, a jedynie on był nieruchomy, jak sparaliżowany, przytłoczony nie śmiertelnym niebezpieczeństwem ani gniewem na konspiratorów, lecz tym, że nagle okazał się nie być tym, kim myślał, że jest, kim tylekroć był w wyobraźni, kimś wyprostowanym w ślepym i nieustannym wysiłku woli, obdarzonym przywilejem rozkazywania i rządzenia, kto za broń ma jedynie niski i zimny ton głosu oraz intensywność spojrzenia.

Było już ciemno, kiedy wstał, nie wierząc do końca w to, co robi, popychany inercją, w której nie było nic ze stanowczości ani dumy. Rozebrał się, zamknął oczy pod strumieniem letniej wody z prysznicy, wytarł się tak dokładnie, jakby od tej czynności zależało usprawiedliwienie jego istnienia. Naostrzył brzytwę, po goleniu obejrzał twarz, aby mieć pewność, że nie został na niej ani jeden włos, lecz w ogóle nie myślał o tym, co będzie robił potem, jak człowiek, który posuwa się po gzymsie i wie, że gdy otworzy oczy, spadnie w przepaść. Włożył czysty mundur, wyczyścił buty, koalicijkę, metalowe klamry, starannie załadował pistolet i przypiął go do pasa, przed lustrem nałożył czapkę, wyszedł na pusty korytarz, a potem na zewnętrzną galeryjkę okrążającą dziedziniec. We wszystkich oknach jaśniało elektryczne światło. Żołnierze grupowali się bezładnie w kompanie, w stalowych

hełmach i pełnym rynsztunku, a kaprale i podoficerowie wściekle wykrzykiwali rozkazy. Gdzieś bez ustanku rozbrzmiewało bicie werbla i słychać było płytę ze starymi marszami ryczącą na cały regulator. W przekrzywionym hełmie i z karabinem w ręku kapral Chamorro zobaczył z daleka majora Galaza, który samotnie zmierzał do wieży, gdzie w gabinecie pułkownika Bilbao paliło się światło. Szedł spokojny, powoli poruszał rękoma, patrzył przed siebie, jakby nie widział tego, co się działo na dziedzińcu, nie słyszał krzyków ani wrzawy tłumu, ani warkotu ciężarówek grzejących silniki w hangarach. W ostrym żółtym świetle reflektorów samotna sylwetka majora Galaza miała raczej żałosny wygląd znamionujący słabość i zawziętość. Czuł, że każdy krok był bohaterski, miał wrażenie, że idzie jak ogłuszony albo uspiony i że w rzeczywistości się nie porusza. W pomieszczeniu przed gabinetem ordynans, pochylony nad odbiornikiem radiowym, z którego dobiegał piskliwy głos niewątpliwie należący do wojskowego, stanął na baczność przed drzwiami i powiedział, że pułkownik nie może go przyjąć. Nie zrobił żadnego gestu, by go odsunąć, tylko na niego spojrzał, i ordynans ustąpił, a drzwi otworzyły się, choć nie był świadomy tego, że je pchnął. Na stole w gabinecie stała opróżniona do połowy butelka koniaku i wielki czarny telefon, który dzwonił, kiedy wszedł major. Wydawało się jednak, że pułkownik nie słyszy przenikliwego i powtarzającego się co kilka sekund dzwonka albo że słyszy lub widzi coś innego. Miał rozpiętą bluzę munduru i pod pachami pojawiły mu się ciemne plamy, na czoło opadały mu siwe, posklejane, wilgotne włosy, śmierział koniakiem i potem. Przez chwilę wydawało się, że telefon zamilkł – zadzwonił jednak ponownie z monotonną przenikliwością, niemal z furią i desperacją. Niemniej pułkownik go nie widział, nie widział też majora Galaza. Wpatrywał się tępo w butelkę koniaku i nalewał alkohol do matowej szklanki, płyn przelewał się i plamił porozkładane na stole papiery, a potem kłapy bluzy, kiedy fioletowa dłoń niepewnie unosiła szklankę do ust. „Panie pułkowniku” – powiedział. – „Panie pułkowniku”, takim tonem, jakim mówiłby do osoby drzemiącej. Telefon przestał dzwonić. Pułkownik Bilbao spojrzał na niego, zaskoczony ciszą, po czym jego wzrok przesunął się tak powoli, jakby włókł się po leżących na stole papierach, aż natrafił na szklankę i butelkę, a dopiero potem na twarz majora Galaza. Przez chwilę prawie się do niego uśmiechał, jak dawniej, z zawstydzonym oddaniem zapijaczonego i nieudacznego ojca, potem ponownie zwiesił głowę na piersi, a dłoń wysunęła się w poszukiwaniu pustej szklanki i przewróciła ją. „Kieliszeczek, Galaz?” – spytał, nie mogąc znaleźć swojego, macając ręką jak ślepiec. – „Proszę ich zostawić, niech się nawzajem pozabijają, niech nie zostanie ani jeden”. Telefon znowu zaczął dzwonić, z niezmordowaną wściekłością. Z dziedzińca dochodziło bicie w bębny. Pułkownik Bilbao jednym ruchem zrzucił telefon na podłogę, usłyszeli daleki metaliczny głos, a następnie przerywany sygnał. Kiedy major Galaz wyszedł z gabinetu, w przedsionku nie było już nikogo. Wyrwał z gniazdka wtyczkę radia, które ordynans, wychodząc, zostawił włączone. Nikogo nie było w oświetlonych korytarzach ani w kancelarii, tylko on na marmurowych schodach, którymi zszedł na dziedziniec, słuchając stukotu swych obcasów jak wystrzałów karabinowych. Teraz warkot werbla i równy krok żołnierzy przechodzących, aby ustawić się przed łukiem wejściowej bramy, zagłuszały rozkazy i zwyczajowe obelgi oficerów. Czuł, że zbliża się do ruchomego muru. Kapitan wydał komendę baczność i batalion się zatrzymał. Porucznik Mestalla, z szablą na ramieniu, stał na czele kompanii, której dowódca poszedł na zwolnienie lekarskie kilka dni wcześniej, a kapitan Monasterio dowodził formowaniem szyku. Teraz słychać było na żwirze tylko kroki majora Galaza. Setki żołnierzy oświetlonych reflektorami i bardzo do siebie podobnych spoglądało, jak się zbliża, „Kapitanie Monasterio!”, powiedział głośnym i czystym głosem, tak jak zawsze, nikt nigdy nie słyszał, by krzyczał. Kapitan Monasterio powoli odwrócił się w jego stronę, on zbliżał się, powoli poruszając rękoma, z twarzą ocienioną daszkiem czapki, obcasy metodycznie wybijały rytm na żwirze. „Panie majorze, w batalionie nic nowego”, kapitan Monasterio zasalutował, gruby i spocony z tchórzliwym i pełnym nienawiści

wzrokiem utkwionym w jeden punkt, podobnie jak wzrok innych oficerów i podoficerów z pierwszego szeregu major Galaz, sam naprzeciwko nich wszystkich, za jedyną obronę mając swą wyniosłość i pistolet, przypomniał sobie uczucie, jakie towarzyszy żołnierzom wyskakującym z okopów, kiedy dookoła słychać świst przeszywających powietrze pocisków. „Kapitanie Monasterio” – powiedział – „proszę dać komendę w prawo zwrot, spocznij, a potem rozejść się”. Kapitan Monasterio opuścił rękę i zwrócił się w kierunku pozostałych oficerów, jakby rozpaczliwie prosił o pomoc. Nieruchome i zwarte szeregi żołnierzy miały gęstość muru, od którego odbija się głos. Porucznik Mestalla wyszedł z szyku i podszedł kilka kroków, aż zrównał się z kapitanem Monasterio. Był zbyt młody i zbyt pyszny i już nie będzie miał czasu, by się zestarzeć i czegoś nauczyć. Jego fanatyczny podziw dla majora Galaza zmienił się w nienawiść tak szybko, jak prędko zmieniają się uczucia w okresie dorastania, choć nie zmienia się szaleństwo ich intensywności. „Nikt nie będzie nakazywał rozejścia się”, oznajmił, a wysiłek, jaki włożył w to wyzwanie i krzyk, sprawił, że załamał mu się głos. „Proszę przyjąć postawę zasadniczą, poruczniku” – major Galaz mówił tak cicho, że jedynie porucznik Mestalla i kapitan Monasterio go słyszeli. Porucznik Mestalla trochę bardziej rozstawił nogi i skrzyżował ramiona na piersiach. „Nie słucham zdrajców”. Odpinając kaburę, major Galaz nie przestawał patrzeć mu w oczy. Chłopak zaciskał zęby i lekki nerwowy spazm poruszył jego żuchwą. Major Galaz wyjął pistolet, odbezpieczył go, widział kamienne twarze i nieruchome spojrzenia utkwione w siebie. Powtórzył cicho, by porucznik Mestalla stanął na baczność, lecz tamten pozostał w poprzedniej wyzywającej pozycji i ani razu nie spojrzął na lufę pistoletu kierującą się w jego stronę. Przez kilka sekund stał wyprostowany po tym, jak major do niego strzelił, strzał wstrząsnął całą kolumną, wprawiając ją w ruch zbliżony do falowania wody, kiedy rzuci się w nią kamień. Mestalla usiadł na ziemi, obejmując brzuch i patrząc na majora Galaza raczej ze zdziwieniem niż z przerażeniem, nikt się nie poruszył ani nie podszedł do niego podczas długich minut jego agonii. W dwie godziny później wojsko wyjechało ciężarówkami z koszar, torując sobie drogę w grupach ludzi, wozy wjechały aleją 14 Kwietnia, minęły ulicę Nową i plac generała Orduña, gdzie warkot silników wojskowych ciężarówek sprawił, że rozkrzyczany tłum uzbrojony w kosy, pałki, szubieniczne pętle i czerwone flagi pogrążył się w ciszy pełnej wyczekiwania i może strachu i ustępował przed światłami reflektorów. Ciężarówki zatrzymały się na placu Świętej Marii, przed fasadą ratusza, gdzie na balkonach stali ludzie i jaśniały zapalone wszystkie światła. Patrząc zimno w oczy kapitanowi Monasterio, major Galaz rozkazał mu zarządzić zbiórkę. Następnie dokonywał przeglądu nieruchomych i pełnych napięcia szeregów stojących na baczność żołnierzy tak powoli, jakby czas i rzeczywistość nie miały znaczenia. Odwrócił się do nich plecami, czubkami palców poprawił kąt nachylenia czapki i zapiął kaburę pistoletu, a kiedy sam, wyprostowany, wchodził po schodach ratusza, dziwiła go cisza i zdawało mu się, że poprzedza ona wystrzał, po którym kula trafi go w kręgosłup. Był pewien, że umrze, powiedział Nadii, niemal na to czekał, ze skrywanym pragnieniem, bez strachu. Około szóstej rano, po pijackiej, nieprzespanej nocy, jeszcze sam w koszarach, pułkownik Bilbao, który zaczął pisać list, być może do jednego ze swych dzieci, zapiął bluzę, poprawił koalicijkę i strzelił sobie w otwarte usta.

ROZBRZMIEWA PIOSENKA i nie wiem, skąd dobiega, ani jaki jest jej tytuł, płaczliwy głos, znajomy, choć nie wiem też, do kogo należy ani od jak dawna go nie słyszałem. Znalazłem melodię, kręcąc na chybił trafił potencjometrem radia, kiedy prowadziłem nocą samochód, i natychmiast rozpoznałem rytm basu i zacząłem powtarzać słowa; piosenka zaczęła dobiegać z szafy grającej w barze w Maginie albo w pokoju przyszłego domu Nadii, w wielości miejsc i czasów, które za sprawą muzyki stają się jednocześnie, i w ciągu kilku sekund, jakich potrzebowałem, aby przypomnieć sobie nazwisko piosenkarza i tytuł utworu, przeżywam pewien lipcowy wieczór pozbawiony jeszcze dokładnej daty, ale nie entuzjazmu i poczucia zagubienia, udreki przyszłego lata, bólu bez wytchnienia stworzonego z materii szczęścia, zapachu wiciokrzewu i zielonych oczu o rzęsach podkreślonych tuszem, nagich opalonych nóg o szczupłych kostkach, ciała pieszczonego w snach, wypatrywanego z daleka na ulicach miasta albo na dziedzińcu szkoły, błyskawicznie i pożądliwie, jakby niechcący dotykanego w szkolnej ławce albo w ścisku podczas wychodzenia z klasy, wychwytywania szczegółów powodujących później bezsenność: przezroczystość bluzki, przez którą widać ramiączka stanika, pochylona głowa i rozsypujące się kruczoczarne włosy, bluzka, pod którą pulsuje białe, ciepłe i jędrne ciało. Otis Redding, przypominam sobie, a piosenka nosi tytuł *My girl*, gwizdzę ją w pewne popołudnie pod koniec maja albo na początku czerwca, o zmierzchu, stojąc u wylotu ulicy Nowej i patrząc na czerwonawy zachód słońca odbijający się w *azulejos* na kopułach szpitala Świętego Jakuba. Zostawiłem moich przyjaciół przy grze w bilard w mrocznych pomieszczeniach salonu Maciste i wyszedłem na ulicę Gradass, a potem na plac generała Orduñi, gnany przeczuciem, że zobaczę Marinę, a oni już nawet się nie dziwią, przyzwyczajeni do mych dziwactw, znudzeni moim milczeniem – Martin mówi, że mam twarz melodramatycznego piosenkarza, a Feliks, że wyglądam, jakbym już stąd wyjechał, ale nie potrafię tego uniknąć, a szczególnie teraz, kiedy skończyły się lekcje i mogę zobaczyć Marinę w szkole tylko podczas egzaminów. Staram się siadać blisko niej, czasem w tej samej ławce, a czasem zaraz za nią, widzę jej opalone uda, opięte wąską spódniczką mini, i rozchyloną bluzkę, pozwalam jej odpisywać albo podpowiadam jej po cichu, a któregoś poranka, w poprzedni piątek, zamknęliśmy się nawet w pustej klasie, żeby przygotować się do egzaminu z angielskiego. Szokowała ją moja amerykańska wymowa, której nauczyłem się z piosenek, wpatrywała się ze śmiechem w moje usta i apetycznie wykrzywiła swoje, a od patrzenia na nią i od lekko kwaśnego zapachu jej perfum, od widoku jej umalowanych ust i pojawiającego się między nimi języka zacząłem czuć podniecenie podobne do nudności, pustkę w żołądku i słabość w kolanach. Ze strachu, że dostrzeże wyraźny dowód tego, co się ze mną dzieło, skrzyżowałem nogi i przysunąłem się trochę bardziej do stołu, ale to było jeszcze gorsze, bo dotknąłem nogami jej nóg, i zamiast odsunąć się od siebie, zostaliśmy tak, i wtedy, wyraźniej jeszcze niż perfumy i zapach szamponu i mydła kąpielowego, wyczułem inny zapach, którego nie potrafiłem zidentyfikować ani nazwać, choć miałem do dyspozycji serię grubiańskich słów dostarczonych przez Pavona Pacheco, i pomyślałem z tajoną pożądlivością i wstydem, na co natrafiłyby moje dłonie, gdyby przesunęły się w górę ud i wsunęły pod napiętą gumkę majtek, a Marina – która do tej pory była zaledwie nierealną zjawą utworzoną z zachwyty, wyobrażeń towarzyszących praktykom Onana i literatury, jak niemal wszystkie kobiety, jakie później kochałem, poza jedną, ostatnią, zmieniła się ku memu zaskoczeniu w kobietę prawdziwą i cielesną, z piersiami, które można pieścić i ścisnąć, z

majtkami, być może wilgotnymi, z wydzielinami i zapachami nie powstałymi z perfum o złotym kolorze i poetyckiej nazwie, ale z samego ciała, które było tak materialne jak moje i mogło być dotykane, całowane i gryzione, gdybym nie przestał się do niej przysuwać i dotknął ustami jej ust, i zrzucił książki i notatki na podłogę, aby ją do siebie przyciągnąć, aby zanurzyć twarz w jej piersiach i rękę pomiędzy udami i zagubić się w spojrzeniu jej wielkich zielonych oczu, o zieleni dzikiej i soczystej, jak ocieniona sadzawka w letnie popołudnie, przezroczysta zieleń błyszcząca przez kontrast z opalenizną skóry, tę delikatną opalenizną przywołującą na myśl basen i pieniądze, czarne włosy i ciemnozielone cienie makijażu na powiekach. Była to tylko chwila, czas niepostrzeżenie mijający pomiędzy dwoma uderzeniami zegara albo dwoma dzwonekami telefonu, zawrót głowy poprzedzający skok, który jednak nie następuje, a kiedy to się skończyło, wszystko znowu stało się niemożliwe, a ja znowu zostałem przygnieciony tchórzostwem i nieszczęściem. Uśmiech jeszcze gościł na twarzy Mariny, lecz zmienił się wyraz jej oczu, i znowu patrzyła na mnie, jakby mnie nie widziała, tak jak kobieta siedemnastoletnia widzi chłopaka w swoim wieku, z naturalną aseksualnością i być może współczuciem, już odsunęła nogi od moich pod stołem, mówiła przez nos jak córka lekarza mieszkająca w willi, gdy niedbale wymawiała angielskie słowa, pytając mnie, co będę robił, gdy skończę szkołę, dokąd pojedę na wakacje, na jakie studia się zdecydowałem. Wydało mi się, że w jej głosie pobrzmiewa nostalgiczny ton, kiedy mówiła o przyszłości, w której na pewno się nie zobaczymy, i pomyślałem, że powiem jej, że będę za nią tęsknił, że nie mogę znieść myśli o tym, że nie będę jej spotykał codziennie rano w szkole, lecz słowa, jakie sobie wyobrażałem, nigdy nie padły z moich ust. Kiedy zadzwonił dzwonek oznajmiający rozpoczęcie egzaminu z angielskiego, wyszedłem z nią w milczeniu i wmawiałem sobie, że odważę się zaprosić ją na piwo do Martosa, ale się nie odważyłem, a wydawało się to takie łatwe, zrezygnowałem nie ze strachu ani dlatego, że na pewno by mi odmówiła, lecz dlatego, że nie byłem zdolny uznać za możliwe tego, czego rozpaczliwie pragnąłem.

A teraz wychodzę jak lunatyk z salonu Maciste, słuchając wyraźnych uderzeń bil i wojowniczego pisku piłkarzyków, zapach akacji i wody na placu generała Orduña zlewają mi się ze wspomnieniem spojrzenia Mariny i głosem Otisa Reddinga, który dobiega do mnie z otwartego okna na jakimś balkonie albo z samochodowego radia, aby dać mi niepoważną pewność, że za chwilę ją ujrzę i że nie dostąpiłbym tego szczęścia, gdybym jeszcze kilka chwil został z przyjaciółmi. Przyglądam się sobie w wystawie nowego sklepu fotograficznego w podcieniach, stwierdzam z satysfakcją, że grzywka spada mi na oczy i że włosy zasłaniają uszy, widzę siebie szczupłego i sprawnego w dżinsach, adidasach i czarnej bluzie, z daleka w szybie wystawy jestem trochę podobny do Lou Reeda, chociaż powinienem mieć jeszcze bardziej pociągłą twarz i czarne okulary. Nie pamiętam, dlaczego miałem tego dnia więcej pieniędzy niż zwykle – kupuję kilka papierosów z jasnego tytoniu w sklepie tego człowieka bez nóg, który był na wojnie z wujkiem Rafaellem, wącham jednego z nich, przesuwając go powoli pod nosem, delikatna bibułka, przenikliwy i delikatny zapach amerykańskiego tytoniu przyprawia o zawrót głowy. Jak powiedział Pavón Pacheco: luksusowe życie jest drogie, jest jeszcze jedno, tańsze, ale ono nie jest życiem. Wsuwam papierosa do ust, znowu oglądam się w wystawie, rozglądam się w obawie, że zobaczy mnie jakiś znajomy ojca, idę ulicą Nową, jeszcze nie zapalając winstona, bo jest to bardzo droga przyjemność i trzeba ją sobie dozować, przeczuwam podekscytowany, że każdy krok zbliża mnie do niej. Zobaczę ją za kilka minut, będzie szła sama i powie mi, że wyszła, żeby mnie poszukać, że przez cały weekend czekała na mój telefon, zaproponuję jej z obojętnością dorosłych facetów, żeby poszła ze mną wypić piwo i posłuchać jakiejś płyty, a kiedy zabrzmi *Take a walk on the wild side* z szafy grającej w Martosie, będę jej po cichu tłumaczył słowa i pochylę się tak bardzo ku jej twarzy, że nie zdając sobie z tego sprawy, będzie mnie już całować. Wyobraźnia

prześciga mnie, ja jeszcze idę ulicą Mesones, gdzie dopiero co otworzyli lodziarnię Los Valencianos, a wyobcowana i niecierpliwa część mojej duszy widzi już furtkę do ogrodu Mariny, widzę ją, dopracowując szczegóły mego najbardziej wypieszczonego kłamstwa, tego, które opowiadam tylko sobie: umówiliśmy się przez telefon, spokojnie wykręciłem jej numer w jakiejś budce na mieście, dotarłem do kolonii Carmen, gwizdząc leniwie *My girl*, i gdy tylko zadzwoniłem do drzwi, ona wyszła do ogrodu w bardzo krótkiej spódniczce, z ciemnozielonymi cieniami na powiekach, w sposób zdradzający niecierpliwość, by wyjść ze spojrzeniem pełnym obietnic, właściwym kobietom spieszącym na randkę. Tyle niepotrzebnego pożądania, do tylu kobiet, przez tyle lat, tyle wyobrażeń i jałowej żarliwości skazanych na pozostanie w sferze wyobraźni, podsycanych i zatrutowanych przez nią, obalonych rozczarowaniem, bólem i ośmieszeniem, utrwalonych w piosenkach, które przywracają je nietknięte na chybił trafił, na pokratkowanych stronach pamiętników, utracone decyzje, które nigdy nie przerodziły się w czyny i trwają niby duchy woli o wiele dłużej, niż potrzebowały, aby wygasnąć, uczucia, które je podyktowały.

Jest jednak coś w tym niedzielnym zmierzchu, co wcześniej nie istniało, wrażenie pośpiechu i wyrzeczenia, które nasilało się w miarę zbliżania się końca roku szkolnego. Konsystencja przedmiotów stała się lżejsza, kolory żywsze w letnim świetle, a zapachy bardziej intensywne. Czas płynie z nieznaną wcześniej lekkością, dni zdają się coraz krótsze, nawet piosenki – moneta wrzucona do otworu szafy grającej i w mniej niż trzy minuty kończy się piosenka, a wraz z nią podniecenie wyobrażanej czułości, wściekła pełnia gitar i perkusji, tyle potwierdzeń i ucieczek, i poszukiwań zbyt żarliwych, by znalezienie kogoś lub czegoś mogło je przerwać. I w tej zatrzymanej nagłości, w powtarzalności krążenia po mieście, piosenkach, egzaminach, przelotnych spotkaniach z Mariną, dniach odkreślanych w kalendarzu, uświadamialiśmy sobie powoli i po raz pierwszy, że nasze dotychczasowe niezmiennie życie niebawem ma ulec zmianie i że czekają na nas decydujące daty i nieodwracalne kroki. Ten niedzielny wieczór, z otwartymi lodziarniami i dziewczynami ubranymi w jasnokolorowe stroje, z pocztówkowym błękitem nieba Maginy ponad bielonymi wapnem domami i wieżami pożąconymi słońcem, był naznaczony niesamowitym odkryciem, że niektóre rzeczy wydarzają się po raz ostatni – w następnym tygodniu odbędzie się ostatni egzamin, a kiedy skończy się lato i przeminą ciepłe dni październikowego święta, nigdy więcej nie wrócimy do szkoły. Będziemy prowadzić inne życie w odległych miastach, a czas opuści swój wieczny kolisty tor, rotacji szkolnych lat, żniw, pracy na roli, nawet pejzaży w żółci, ochrze, zieleni, w niebieskawym poblasku, które widywaliśmy następujące po sobie w dolinie Gwadalkiwiru od czasów, kiedy jeszcze nie potrafiliśmy zapamiętywać i używać rozumu. Od tej chwili czas stał się prostą biegnącą w przyszłość i w pustkę, tak jak w piosenkach w rytmie bluesa i prędkości podróży po szosie, co tak bardzo lubiliśmy, czułem, że być może po raz ostatni odbywam swój zwyczajowy spacer do szpitala Świętego Jakuba i do kolonii Carmen w poszukiwaniu Mariny – myślałem o tak bliskiej przyszłości, o moim życiu w Madrycie, patrzyłem z wylotu ulicy Nowej na szosę bez tajemnic, gdzie kończyło się miasto, i wracał do mnie strach i podekscytowanie, jakie odczuwałem, kiedy byliśmy dziećmi i razem z Feliksem patrzyliśmy z trawników na ulicy Fuente de las Risas na szczyty gór Maginy, wiedząc, że poza tymi niebieskimi górami, które kiedyś przeszedł pieszo, umierając z głodu i zmęczenia, dziadek Manuel, i przez które spokojnie wrócił z wojny wujek Pepe na grzbiecie muła, były inne równiny, inne miasta, znacznie większe niż nasze, a potem rzeki, których nazwy były nam obce, i znacznie wyższe góry, i morza o tak ciemnym błękitcie jak te z planisfer. Szedłem po Marinę tego wieczoru i już widziałem siebie samego zagubionego w Madrycie i było tak jak wtedy, gdy nocą człowiek zamyka oczy i śni, że wznosi się do lotu i widzi w ciemności światła domów, drżące jak płomień świecy, latarnie zapalone na rogatkach

miast bez nazwy, lesiste archipelagi oświetlone blaskiem księżyca dającym metaliczne refleksy.

Była niedziela, miałem pieniądze w kieszeni, wyobrażałem sobie, że jestem samotny i zuchwały. W barze, do którego czasem chodziliśmy, bo w jego szafie grającej były dwie czy trzy dobre piosenki, zamówiłem cubalibre i słuchałem piosenki Janis Joplin *Summertime*. Siedząc w głębi baru, tuż przy oknie, widziałem domy kolonii, ulicę, którą Marina codziennie zmierzała do szkoły. Był to smutny lokal, dość brudny, jeden z tych barów, których istnienie trudno wyjaśnić, bo nikt do nich nie zagląda, a które trwają otwarte w mało uczęszczanej części miasta. Lubiłem tam jednak słuchać Janis Joplin, która w tamtejszej szafie grającej była wyjątkiem, jej wściekły i chrapliwy głos pomiędzy płytami Manola Escobara, Formula V albo Porriny de Badajoz, była nawet jedna znacznie starsza płyta, *Jestem górnikiem* Antonia Moliny, którego słuchanie powodowało ból i swego rodzaju niewyjaśnione poczucie szczęścia, jak piosenki Josélita, co za wstyd i co za wściekłość. Najbardziej lubiłem być sam, wiedzieć, że nikt mnie nie zna na tym odległym osiedlu, i kreować dla siebie – za pomocą cubalibre, amerykańskich papierosów i muzyki – tajemniczą, dowolną przyszłą tożsamość: ktoś pije i pali, opierając się o cynkowy kontuar, spogląda przez okno z neutralną ciekawością obcokrajowca, potem przechodzi przez bar w kierunku oświetlonej maszyny w kolorze różowo-pomarańczowym i ponownie wybiera angielską piosenkę, nie wyjmując z ust papierosa. Byłem wdzięczny Janis Joplin za ten krzyk wytchnienia i współnictwa, krzyk wściekłości, przybyły pośmiertnie do Maginy i do tego baru, do własnego życia, kto wie dzięki jakim zbiegom okoliczności, przybyły z innego świata, gdzie już dawno nie słuchano tych piosenek, bo nie zdawałem sobie jeszcze wtedy sprawy, że większość słuchanych przeze mnie głosów z płyt należała do zmarłych i że ci, którzy przynosili mi obietnicę wolności, zgasli kilka lat wcześniej. Jimmy Hendrix, Janis Joplin, Jim Morrison, Otis Redding nie żyli już, kiedy nas ożywiały ich płyty. O Ericu Burdonie i Lou Reedzie powiedziano nam, że umarli za życia, zniszczeni przez heroinę i alkohol, piosenki Beatlesów, które najbardziej się nam podobały, należały do odległej przeszłości, zaistniały, kiedy my słuchaliśmy tylko powieści Guillerma Sautiera Casaseca i tych piosenek Antonia Moliny, które zdradziecko zalewały mnie nieznośną słodyczą. Mieliśmy wyruszyć w świat spóźnieni, ale o tym nie wiedzieliśmy, przygotowywaliśmy się starannie do przyjęcia, które już dawno dobiegło końca. Przymykałem oczy, wdychałem dym z jasnego tytoniu i rozkoszowałem się działaniem alkoholu oraz wizją odległego lata przywoływaną głosem Janis Joplin, rozwianą jej katastrofą, jej śmierć roztaczała przede mną ognisty raj ucieczki i podróży, długich włosów, gitar i seksu – w Madrycie, w Nowym Jorku, w San Francisco, w barze, gdzie będę się opierał łokciami o kontuar i słuchał Janis Joplin, pojawi się Marina, a doświadczenie i zuchwałość powodowana alkoholem popchną mnie w jej stronę, nie w stronę nieśmiałego i nudnego narzeczeństwa, nie w stronę małżeństwa, stabilności i dzieci, lecz w stronę zaspokojenia dzikiego i wyzwolonego pożądania. Chcemy świata i chcemy go już teraz, mówiła jedna z piosenek Jima Morrisona, zaskakująca mnie niczym zapowiedź apokalipsy.

Dopiłem cubalibre. Zapytałem, ile kosztuje, przeliczyłem pieniądze i zamówiłem następne. Puściłem *Summertime* po raz trzeci i kiedy wracałem do swojego miejsca przy barze, zobaczyłem Marinę po drugiej stronie ulicy. Tak wiele o niej myślałem, tak bardzo nie potrafiłem przywołać w pamięci jej twarzy, że gdy ją zobaczyłem, nie od razu ją rozpoznałem; kiedy spinała włosy, zmieniały się jej rysy, kości policzkowe zdawały się szersze, a oczy większe, była inna i taka sama zarazem, i ta zmiana, tak samo jak wtedy, gdy wkładała spodnie po kilku dniach chodzenia w spódniczce, przydawała miłosnemu rozpoznaniu uroku niespodzianki, podniecającego przecucia, że każda kobieta ma wiele twarzy, następujące po sobie profile i spojrzenia, które człowiek chciał rozpoznać i przechować, aby monotonia nigdy nie przytłumiła jego łakomej uwagi. Jeszcze z daleka

spozstrzegłem, że była mocno umalowana, że na kogoś czekała, że zdawała się starsza niż w szkole. Widziałem ją stojącą spokojnie na ulicy, z torebką na ramieniu, tak niedostępną i niespodziewaną jak wytwór wyobraźni powodowany moim pożądaniem, miała wysoko uniesione piersi, obciśnięte spódniczką biodra i nagie uda w ten jeszcze jasny lipcowy wieczór, i tak bardzo mi się spodobała, że stanąłem jak sparaliżowany, tak samo jak tamtego poranka, kiedy stałem przed nią jak idiota w pustej klasie, recytując angielskie czasowniki nieregularne, wyczuwając zapach jej ciała, i nie miałem odwagi wytrzymać jej spojrzenia ani przysunąć trochę bardziej kolan. Postać tak pracowicie zbudowana przeze mnie za pomocą alkoholu i muzyki rozplynęła się tak szybko, jak płonie słomiana kukła; znowu byłem sobą, nikim, *to ja ścigam cię nocami*, śpiewał Martin, natrzęsając się ze mnie, kiedy przyłapywał mnie na szwendaniu się po kolonii Carmen, cytując jakąś sentymentalną i nudną piosenkę. Patrzyła w moją stronę, ale mnie nie widziała, może przeglądała się w szybie baru. Pociągnąłem łyk cubalibre, omdlały i prawie pijany, niewidoczny, szpiegowałem Marinę z mrocznego baru, gdzie już panowała noc, przypominałem sobie teraz głos Otisa Reddinga, słodycz i dobitność trąbek, jakby obwieszczających przybycie kobiety lub koniec randki, *My girl*.

Bardzo szybko ktoś do niej dołączył; ten sam wysoki facet co zwykle, zaledwie trzy albo cztery lata starszy ode mnie, ale spokojnie pozostający w pewnej upokarzającej odległości od mego wieku dorastania, trądziku i niewybaczalnej nieśmiałości, miał ostre rysy, jakby wykute ze stali, nie tak jak ja, którego twarz i ciało były jeszcze niewykończone, jak mawiała babcia Leonor; widziałem, jak się pocałowali, nie w usta, co za ulga, ale w policzek, dwa pocałunki, jak żegnali się rozjeżdżający się na wakacje studenci, na pewno ten facet studiował w Granadzie albo w Madrycie, może już skończył studia i miał nawet samochód albo warczący motor i woził Marinę, która obejmowała go w pasie, wtulała się w niego brzuchem i piersiami, a jej długie czarne włosy falowały na wietrze. Przynajmniej nie wzięli się za rękę. Widziałem, jak się oddalają ulicą Ramón y Cajal, i nie podejmując świadomej decyzji, zapłaciłem za cubalibre i ruszyłem za nimi. Teraz byłem szpiegiem z piosenki Jima Morrisona albo sentymentalnym, lecz bezwzględnym rewolwerowcem, ścigającym po zatłoczonych zaułkach i nocnych klubach kobietę pozbawioną skrupułów, przyprawiającą mu rogi z najgorszym wrogiem. Szedłem chodnikiem po drugiej stronie ulicy, blisko murów, nie tylko przez przezorność, lecz dlatego, że nie byłem przyzwyczajony do jasnego amerykańskiego tytoniu i cubalibre, trzymałem się z dala od nich, ale nie na tyle, by mnie nie zauważyli, gdyby się odwrócili, choć i tak było mi wszystko jedno, byłem trochę pijany i byłem niewidzialny, szeptałem, naśladując głos Jima Morrisona, jestem szpiegiem na miłosnych łowach, znam sen, który śnisz w tej chwili, znam twój najgłębszy i najbardziej tajony strach, wiem, jakich słów chcesz słuchać, wiem wszystko. Stopniowo poddawałem się smutkowi niedzielnych wieczorów, znacznie bardziej dojmującemu w tej części miasta o szerokich pustych alejach, pośród zamkniętych warsztatów, bloków mieszkalnych i wystaw salonów samochodowych, smutek narosły od czasów nie kończących się niedziel z dzieciństwa, stworzonych ze znużenia i pustki, ze strachu przed pierwszymi poniedziałkowymi lekcjami, zwiększający się z minuty na minutę wraz z gasnącym światłem i nadchodzącą nocą. Zapalały się już pierwsze latarnie nad aleją i migotały bursztynowe światła drogowe, a kiedy Marina i idący obok niej intruz weszli do parku Vandelvira w resztkach słonecznego blasku, strużki wody w fontannie mieniły się światłem i docierała do mnie wilgotna bryza; straciłem ich z oczu pomiędzy żywopłotami i drzewami, bałem się, że całują się na jakiejś ławce albo że wyszli z parku nie zauważeni przeze mnie, ale nie, dostrzegłem ich bardzo blisko, siedzieli na placyku przed fontanną, tyłem do mnie, facet jedną ręką obejmował ramiona Mariny, jego dłoń gładziła jej kark, niedbale, jakby od niechcenia, podczas gdy ona, stojąc bokiem, coś mu opowiadała i śmiała się; był skurwysynem, rzecz jasna, hipokrytą, była mu na rękę jej niewinność i młody wiek, bo chciał

ją wykorzystać, na pewno wkrótce zacznę krzyczeć, rozczochrana, a wtedy do akcji wkroczę ja, uderzę go w twarz, kopnę w krocze, walcząc nieczysto, rzuci mi w twarz piasek, przybiegnie mu na pomoc grupa jego koleżków, którzy przechadzali się nieopodal, żeby obić mnie łańcuchami ze swych motorów, będę się bronił jak tygrys, gryzł, walił, drapał, w końcu nieprzytomny padnę na ziemię, a kiedy się ocknę, Marina będzie ocierać mi opuchniętą twarz zmoczoną chusteczką i będzie się przytulać do mnie, a jej zielone oczy będą lśnić czułością i łzami skruchy i wdzięczności. Po kilku minutach Marina wstała i podeszła do fontanny, kołysząc się mocno, niemal tańcząc, czy aby nie jest dziwką, wyszeptalem do siebie z żalem i wstydzając się swych podejrzeń, odwróciła się do niego i za chwilę mnie zauważyła. Ukryty, śmieszny, wyzbyty godności, skulony za pnem drzewa, zobaczyłem jej postać zarysowaną na tle niebieskich, zielonych i żółtych strużek wody, oświetlających jej twarz zmiennymi odcieniami, zobaczyłem, że ponownie zbliża się do niego, kołysząc się na bardzo wysokich obcasach, drewniakach na koturnie, jakie w owym czasie nosiły kobiety, wyciągnęła przed siebie ręce, jakby śpiewała jakąś piosenkę. Z bólem i ironią, słyszałem jej śmiech pośród szumu wody, widziałem blask jej umalowanych policzków i domyślałem się wyrazu oczu, myśląc, że nigdy żadna kobieta tak na mnie nie patrzyła, że to spojrzenie należy się mnie i zostało mi skradzione przez innego.

Wstał z ławki i objął ją. Poszli, obejmując się w pasie, jej głowa spoczywała na jego ramieniu. Luźne kosmyki włosów laskotały go po twarzy, wyobraziłem to sobie tak dokładnie, jakbym to czuł, wdychałem zapach jej perfum, jakbym to ja ją obejmował. Postanowiłem, że nigdy więcej nie będę na nią patrzył; kiedy przyjdzie jutro na egzamin z literatury z Praxisem, usiądę daleko od niej, a jeśli mnie poprosi, żebym usiadł obok niej, odpowiem krótko „nie”. W tej chwili się odwrócę, poszukam przyjaciół, będę z nimi pił, aż stracę przytomność i pamięć, wrócę do domu, zataczając się, pozbawiony złudzeń, cyniczny, nie oczekując niczego od miłości ani od nikogo, gotowy odejść, nie mówiąc nikomu dokąd. Wyszli z parku, zapadła już noc; bardzo powoli przeszli chodnikiem obok szkoły, pocałowali się, czekając, aż zapali się zielone światło, a ja zrozumiałem, pozostając jeszcze w ukryciu, nikt nie wie, jak wchodzić do Martosa, odczekałem kilka minut po drugiej stronie ulicy, kręcąc się przy płocie szkoły i paląc przedostatniego amerykańskiego papierosa. Przeszedłem ulicę, jakbym zamierzał dokonać jakiegoś strasznego albo heroicznego czynu mającego zmienić moje życie; byłem mniej pijany alkoholem niż słowami. Właściciel za barem pozdrowił mnie jak stałego klienta; zrobię tak jak on, zaciągnę się na statek i będę szukał zapomnienia w dżinie i portowych dziwkach. Nie popatrzyłem w głąb baru, w kierunku ustronnego miejsca, gdzie stała szafa grająca i skąd dobiegała teraz ohydna sentymentalna piosenka, nie wiem czy Nina Bravo czy Mari Trini; na pewno ten facet włączył ją dla niej, na pewno to była muzyka – żeby nazwać to coś w jakiś sposób – którą oboje uwielbiali. Marina mawiała, że najgorsze w angielskich piosenkach jest to, że nie można ich zrozumieć. Durna, pomyślałem teraz, jakby trzeba było je rozumieć. Zdecydowany na wszystko, zamówiłem następne cubalibre. W barze było tej nocy tłoczno, pary zakochanych jadły przekąski i popijały wermut, trzymając się za ręce, hałaśliwe grupki spowite dymem i podekscytowanym śmiechem, ale w głębi, obok szafy grającej siedziało tylko tych dwoje, facet z obmierzłą twarzą starego wyjadacza, Marina tak umalowana, że policzki błyszczały jej tłuszczem, ze skrzyżowanymi nogami, trzymała papierosa koniuszkami palców i popijała ze szklanki pełnej lodu; przez moment patrzyłem na nią bez miłości, na kilka sekund przestałem ją kochać. Patrzyła w moją stronę, ale mnie nie widziała. Facet wstał, podszedł do maszyny, był bardzo wysoki, miał szerokie ramiona i dłonie oparte na biodrach, pierdolony alfons.

Pochylił się nad świetlistym pulpitem, gdzie wypisano tytuły piosenek, i wrzucił monetę, zaraz się zobaczy, co wybrał, powiedziałem do siebie; wrócił do Mariny, a ta, wyciągnawszy rękę z pomalowanymi paznokciami, przyciągnęła go do siebie i wtedy zabrzmiała straszliwa piosenka Demisa Roussosa, piosenka świdrująca człowiekowi w uszach, *We shall dance*, ale jej musiała się bardzo podobać, bo kołysała ramionami w takt melodii i pochylała głowę, jakby należała do potulnego chóru, głupekowatego i szczęśliwego, tego, który akompaniował na płycie temu grubasowi z ogromnym brzuchem w kwiecistej tunice. Już niemal nie odczuwałem zazdrości, ale złość, na nią i na faceta, i na Demisa Roussosa, a przede wszystkim na siebie samego za to, że jestem zakochany w kobiecie, której podobają się takie piosenki i tego rodzaju odstręczający podrywacze, za to, że ją śledziłem i upijałem się sam przy barze w Martosie, zamiast wałęsać się z kumplami. Mieli rację, nabijając się ze mnie i unikając mych smętnych zwierzeń i rozmyślnej rozpaczy.

Nie wyszedłem jednak, nic nie robiłem, tylko piłem i katowałem siebie tą muzyką i tępym śmiechem rozbrzmiewającym wokół w alkoholowych oparach, zapaliłem ostatniego papierosa i patrzyłem kątem oka poprzez obłoki dymu na obie postacie obejmujące się w najciemniejszym kącie Martosa; nagle poderwałem się – wychodzili, Marina wstała i wygładzała spódniczkę, przejdą obok mnie i nie będę mógł udać, że ich nie widzę, zaczerwienię się, na pewno zarumienię się z upokorzenia i ze wstydu, nie było już czasu, żeby uciec. Ale nie wyszli, facet otworzył przeszkłone drzwi prowadzące do ogródka i do dyskoteki Acuario's, przepuścił ją przodem, kogo chciał oszukać tą galanterią, i ze środka dobiegł dźwięk perkusji i basu. Było późno, po dziesiątej, ja tam nie wejść, nie miałem dość pieniędzy, żeby zapłacić za wstęp, nie byłem nawet pewien, czy się utrzymam na nogach, kiedy wstanę ze stołka i stracę oparcie baru. Widzę siebie, jak wchodzę do małego ogródka z roślinami podświetlonymi od dołu jarzeniówkami i po raz pierwszy w życiu popycham obite drzwi dyskoteki z takim drzeniem, z jakim przekraczałem próg domu publicznego. Na początku nic nie widziałem, nikt nie poprosił, żebym zapłacił za wejście, spowił mnie gęsty rytm pulsujący w czerwonej ciemności, niczym serce pośród miękkich tkanek, a kiedy rozległy się trąbki, rozpoznałem piosenkę: *My girl*, ale nie śpiewał jej Otis Redding, lecz Rolling Stones. Zobaczyłem kanapy obite ciemnoczerwoną tapicerką, lustra, wirujące światła przyprawiające mnie o mdłości, białe koszule fosforyzujące w ciemności, powolne ciała w uściskach, stojące, niemal nieruchome. Zrobiłem kilka kroków, nie widząc falistej podłogi, po której stąpałem, przez mniej niż sekundę widziałem Marinę w zielonym, a zaraz potem czerwonym świetle, zarys jej ciała zlewał się z sylwetką faceta, ramiona oplecione wokół jego szyi, biodra bardzo powoli ocierające się o niego, głowa odrzucona do tyłu i zamknięte oczy. Zawołał mnie jakiś głos: „Ależ niespodzianka, mój ty Boże, przecież to nasz przyjaciel poliglota! Jak to możliwe, że nie uczysz się do jutrzejszego egzaminu?” W swego rodzaju klatce, ledwo oświetlony światłem sączącym się spod stołu, Pavón Pacheco rozpierał się wygodnie z pewnością siebie gangstera, rozwalony jak na tronie i oparty o obitą tapiserią ścianę, obejmował ramionami dwie kobiety o wielkich piersiach i pociągłych twarzach, w trudnym do określenia wieku, roztaczały urok zarazem ułomnego dorastania i zdeprawowanej dojrzałości, wrażenie to było spowodowane z pewnością niewystarczającym światłem, przesadnym makijażem i pustym, ale intensywnym blaskiem oczu. Był z nimi ktoś jeszcze, jakiś mężczyzna, ale częściowo schowany w cieniu, widać było jedynie jego ręce z zadziwiającą wprawą operujące pudełkiem tytoniu i bibułką do skrętów. „Siadaj z nami, poligloto, przedstawię ci moich przyjaciół”. Nie widziałem dobrze twarzy, zdeformowanych żółtym światłem bijącym od podłogi. Nie udało mi się usłyszeć imion, spostrzegłem tylko, że jedna z kobiet nie nosiła stanika i że mężczyzna robiący skręta miał wytatuowane węże na swych żyłastych i białych przedramionach. „Legionista” – powiedział Pavón Pacheco z dumą, przedstawiając mi go – „kolega legionista świeżo przybyły z Melilli”. Obie kobiety

patrzyły na mnie i śmiały się do siebie, zasłaniając usta, poklepywały i lekko gryzły Pavona Pacheco, który sięgał jednocześnie do obu dekolców. Jedna z nich powiedziała, „Ależ on ma twarz dziecka”, i minęło trochę czasu, zanim zdałem sobie sprawę, że mówią o mnie i że się zaczerwieniłem, ale już prawie nie pamiętam, co zdarzyło się potem. Roberta Flack zaczęła śpiewać *Killing me softly with his song*, a ja już otwarcie przyglądałem się Marinie i facetowi, który się do niej przytulał, wtulał twarz w jej szyję i miętosił jej pośladki obiema dłońmi, i czułem, że umieram, nie łagodnie, ale z pewną bardzo powolną brutalnością. Obie kobiety śmiały się, szeroko otwierając umalowane usta i klepiąc się po kolanach, podczas gdy palce niez mordowanego Pavona Pacheco myszkowały pod ich spódnicami i dekolcami. Miałem w ręku szklankę z cubalibre, choć nie pamiętałem, bym ją zamówił, a w każdym razie nie mógłbym za nią zapłacić. Legionista o wytatuowanych przedramionach częstował mnie topornie skręconym papierosem o jednym końcu znacznie szerszym niż drugi, który bardzo źle się palił i wydzielał żywiczny zapach. Pavón Pacheco wyjął mi go z ust, mówiąc, „Nie tak, człowieku, palisz jak celtasy”, i uczył mnie, jak powinienem palić, głęboko wciągając dym, tak jak Chińczycy palący w filmach opiumowe fajki, przez dłuższą chwilę przytrzymywali dym w płucach, wydychali go bardzo powoli, z zamkniętymi oczyma, przytrzymując go we wnętrzu stulonej dłoni. Ja jednak już nie mogłem się na niczym skoncentrować, czułem gęstą mieszaninę muzyki, słodkiego dymu, głośnego śmiechu i alkoholu, zapachów i mroku, umierałem ze śmiechu, nie mogąc sobie przypomnieć, dlaczego się śmieję, i widziałem, jak powiększają się przed moimi oczyma usta tych dwóch kobiet, pokazujących zniszczone nieliczne zęby, i dostrzegałem w drżącej bieli ich piersi delikatne niebieskie żyły. Miałem w ustach nieprzyjemny smak tytoniu i dżinu, a za każdym razem, kiedy zaciągałem się skrętem, czułem drapanie w gardle. Krztusiłem się, mówiłem szybko po angielsku i obie kobiety się śmiały, a słowa, które wypowiadałem, szybko gdzieś umykały. Nagle spostrzegłem, że pocą mi się dłonie, że na czole mam krople lodowatego potu. Grali jakąś szybką muzykę, która uderzała mi w skronie niczym zawzięty bokser. Pavón Pacheco, legionista i jedna z kobiet wyskoczyli na parkiet i tańczyli jak opętani. Już nie słyszałem Robertę Flack ani nie widziałem Mariny, a druga kobieta mówiła coś do mnie, ale jej słowa umykały mi na ułamek sekundy przed tym, nim zdołałem je zrozumieć. Miała bardzo grube szkła okularów, jak denka od butelek, okropne okulary, a ja ich do tej chwili nie zauważyłem, a może dopiero co je włożyła. Mówiła, że też bardzo lubi czytać książki, ale że nie ma czasu, przy takim życiu. Jakim życiu? – zapytałem, ale wydawało mi się, że umrę, jeśli nie wyjdę na świeże powietrze, zwymiotuję, w jednej chwili, na stół z kieliszkami, na błyszczącą wykładzinę, na której lśniły czerwone i żółte punkciki światła. Musiałem wstać, brakowało mi sił, ale już stałem na nogach, ruszyłem przed siebie, zataczając się i nie widząc, gdzie stawiam kroki pośród ciał poruszających się w rytm muzyki, jak kłębowiska dżdżownic pojawiających się w polu w grudkach gnoju. Umierałem z obrzydzenia, wyobrażałem sobie cokolwiek i od razu to widziałem, przez moment ujrzałem Marinę wijącą się w męskich ramionach, przeszedłem przez oświetlony ogródek i wszedłem w kwadrat murów wysokich jak studnia, a potem dłoń przesunęła mi się wzdłuż kontuaru Martosa i nacisnęła klamkę drzwi, znalazłem się sam, zagubiony w zimnym powietrzu nocy, nie wiedząc, gdzie jestem ani dokąd mógłbym się skierować, stałem na środku ulicy, na rozstawionych nogach, widząc przed sobą swój wydłużony cień i słuchając w ostatnim przeblasku świadomości dwunastu uderzeń zegara na placu generała Orduñi. Znowu je usłyszałem, policzyłem i było ich dokładnie pięć. Drżałem z zimna i nie znajdowałem się już przed drzwiami Martosa, ale w miejscu, którego przez dłuższą chwilę nie mogłem rozpoznać, siedziałem na gładkim i lodowatym kamieniu, wspierając głowę na szorstkim drewnie jakichś drzwi. Latarnie na narożniku ulicy, szelest liści poruszanych niewyczuwalnym wiatrem, dom z dwoma bardzo wysokimi wieżami i rzędem gargulców. Siedziałem na placu Świętego Wawrzyńca, wsparty plecami o drzwi własnego domu, wybiła piąta rano, a ja nie wiedziałem, w jaki sposób udało mi się tu dotrzeć

ani od jak dawna siedziałem na schodach, szcękając z zimna zębami. Zatarło mi się w pamięci ostatnich pięć godzin, ostatnią rzeczą, jaką pamiętałem, był zegar wybijający północ i strach, że ojciec nie położył się i czeka na mnie w domu. Usłyszałem kroki, klucz w zamku, skrzypienie zawiasów. W żółtym świetle mój cień padł na ubitą ziemię placu. Ojciec, siwowłosa i bardzo wysoki, stanął przede mną z marynarką sprzedawcy pod pachą, właśnie wstał, aby pójść na rynek, i patrzył na mnie z niedowierzaniem i pogardą, jakby nie mógł znieść zdumienia, w jakie wprawiał go odczuwany wstyd.

NADIA WYBUCHA ŚMIECHEM, początkowo zmieszana, zadowolona z pochlebstwa, jakim jest jego zazdrość o przeszłość, tak bardzo podobna do jej zazdrości, przewraca kasztanowymi oczyma i lekko dotyka ust opuszkami palców. Chce sobie przypomnieć jakieś szczegóły albo znaleźć słowa, które będą tak dokładne jak jasny tembr jej głosu, i uśmiecha się w milczeniu, zaciska usta, odrobinę wysuwa brodę, przełyka ślinę. On już zna te gesty i wie, że poprzedzają spokojny monolog, patrząc z bliska na jej zamyśloną, pociągłą twarz ukrytą w gęstej grzywie włosów sięgających nagich ramion, pyta siebie, jaka była, kiedy miała siedemnaście lat, długie proste włosy z przedziałkiem pośrodku, odkryte czoło, w czym była podobna do tej kobiety amerykańska dziewczyna, która przyjechała do Maginy, gotowa odkrywać swój utracony kraj i tajemniczą biografię ojca, a stwierdziła po kilku miesiącach, że ich intymny związek, polegający na wzajemnej lojalności, poważnie ucierpiał podczas podróży z Ameryki i że tak bardzo niemożliwe było jego odbudowanie jak cofnięcie się w czasie aż do nie zauważonego przez nią momentu – on jednak go zauważył, bo przez lata na niego czekał – w którym rozdzieliły się ich życia, nie dlatego, że ktoś się pojawił, mężczyzna, który wydarł mu córkę, ale dlatego, że pojawiły się w niej pierwsze cechy przyszłej kobiety, w jaką bezwiednie już zaczęła się przekształcać, kobiety, która pozostanie młoda i samodzielna na świecie, kiedy on, jej ojciec, będzie zmierzał w stronę śmierci i zatraci się w niej, zupełnie tak, jak gdyby nigdy nie istniał.

Nadia nie potrafiła jednak wyobrazić sobie wtedy rozpaczliwej intensywności miłości swego ojca. Odkryła ją wiele lat później, w pewnym domu starców w New Jersey, podczas wszystkich dni spokojnego oczekiwania na śmierć, kiedy w końcu opowiedział jej swe kolejne życia, które przeminęły przed jej urodzeniem, i znowu spojrzeli na siebie tak, jak nie patrzyli od tamtej zimy, jedynej spędzonej razem w Maginie. Wysoki i energiczny mężczyzna, prowadzący ją pod rękę na lotniskach, a potem w holach hoteli i na skąpanych w świetle ulicach Madrytu, wydawał jej się teraz raczej nudnym i samolubnym emerytem spędzającym popołudnia w fotelu, w starej marynarce, w okularach do czytania i z kieliszkiem w zasięgu ręki, zniechęcony prowadził ciche rozmowy z innym przedwcześnie postarzałym mężczyzną, grubym fotografem, który do kwietnia nie zdejmował płaszcza i szalika ze strachu przed przeciągami. Krępowało ją zatrzymane na niej jasne i pytające spojrzenie oczu ojca, skrytych w cieniu krzaczastych brwi. Przygotowywała mu jedzenie wcześniej, żeby móc wyjść jak najszybciej, szybko zmywała naczynia i pobieżnie sprzątała kuchnię i jadalnię, czasem zapomniała opróżnić popielniczkę, i pospiesznie wychodziła z domu, nie zapominając najpierw umalować sobie oczu i ust, a ojciec, siedząc w fotelu, z okularami na orlim nosie i z książką albo kieliszkiem w ręku, patrzył w milczeniu, jak wychodzi, albo mówił jej do widzenia z żalem zbyt słabo skrywanym pod zwyczajowym uśmiechem, który łączył ich ze sobą bez potrzeby używania słów, aż do pewnej nocy z poprzedniej zimy, kiedy wróciła trochę później niż zwykle i nie opowiedziała mu, gdzie była, a on nie zadał żadnego pytania i zobaczył, rzuciwszy tylko na nią okiem, że wszystko, czego się obawiał i na co czekał, od kiedy dojrzała, zaczynało się spełniać. Kiedyś pójdzie sobie na zawsze, tak jak teraz wychodzi codziennie wieczorem, dorosła, obca, umalowana, odmieniona nie kształtem bioder i piersi, lecz tajemnicą, dla niego niedostępną i pogrążającą go stopniowo w przerażającej i płaczliwej niemocy starości.

O drugiej trzydziści już była na ulicy, czasem nawet nie jadła obiadu, żeby o kilka minut przedłużyć czas spotkania, szła w kierunku szkoły, w nadziei, że zobaczy go po drugiej stronie ulicy albo w jakimś barze, dokąd poszedł wypić piwo z kolegami z pracy, ale jeśli widziała go na ulicy, nie zbliżała się, nawet nie mówiła mu cześć. Były to zasady bezpieczeństwa albo zabezpieczenie nieudacznego cudzołożnika, ale jej, przede wszystkim na początku, nie przeszkadzało przestrzeganie tej zasady, lubiła widzieć go pośród innych ludzi, jedynego i w tajemnicy należącego do niej, był wyższy niż inni, miał kręcone siwawe włosy i wielkie ręce, którymi gestykulował w ferworze trywialnej rozmowy; pewnego popołudnia poszła nawet w kierunku przeciwnym niż wychodzący ze szkoły uczniowie i zobaczyła, jak się zbliża, rozmawiając z kimś, a on prawie się zaczerwienił, gdy ją zobaczył. Podobało jej się to, że dzielili ze sobą tajemniczą przygodę, niczym konspirację polityczną, hermetyczną intymność, dzieloną za zamkniętymi drzwiami mieszkania, które wynajął w nowym budynku na północy miasta, na brzydkiej i anonimowej ulicy, której jeszcze nie wyasfaltowano i gdzie trudno było spotkać kogoś znajomego. Miała klucz, chowała go nocami pod materacem albo w nowej kosmetyczce, dobrze go ukrywała i ścisnęła w dłoni, kiedy wjeżdżała windą i przechodziła korytarzem pachnącym świeżą farbą i drewnem, a jeśli on jeszcze nie przyszedł, czekała na niego, wyciągnięta na kanapie, paliła jego papierosy z czarnego tytoniu, z niecierpliwością wsłuchując się w szum windy i kroki sąsiadów, gasiła papierosa i wstawiała, kiedy zgrzytał klucz w zamku, aby zobaczyć go w progu, kiedy otworzą się drzwi, jego kręcone szpakowate włosy, welwetową marynarkę, zmęczenie, z jakim odstawiał na podłogę czarną teczkę, nieodmienne zaskoczenie i pożądlivość, z jaką na nią patrzył i obejmował w pasie rękoma, które później na jej twarzy i w ustach miały zapach kredy i nikotyny, swego rodzaju delikatną i absolutną pewność upodobania. W Ameryce, rok przed podróżą, była z chłopcami w jej wieku, którzy ją całowali i dotykali, i kładli się na niej na tylnym siedzeniu samochodu, jakby nie mieli czasu ani możliwości zobaczenia jej, jakby było im obojętne, czy to ją pieszczą w nerwowym pośpiechu czy jakąkolwiek inną dziewczynę; a jej przytrafiało się niemal zawsze to samo, popychała ją jakaś nieokreślona ciekawość, jakby oddzielona od jej ciała, natychmiast wymazywana szybkością chłopięcych poczynań i rozczarowaniem. Obejmując ją, wymawiał jej imię i patrzył jej w oczy. „Nie powinnaś przychodzić o tej porze, na pewno ktoś cię widział”; ale już był powalony i zwyciężony pożądaniem, bo nigdy nie sądził, że może mu się oddać bezwarunkowo i bez ograniczeń ciało takie jak to, które chciwie odkrywał, zrywając z niego ubranie, tę lśniąca nagość, która zbliżyła się do niego podczas pierwszej nocy i wyłaniała się za każdym razem, nietknięta i czysta, z opadających na ziemię dżinsów i majtek, z bluzy i czerwonych wełnianych skarpetek. Kątem oka rzucał na zegarek na szafce nocnej, najpóźniej piętnaście po trzeciej musiał wstać, brał szybki prysznic, ubierał się przygnębiony, podczas gdy ona zostawała w łóżku, nieruchoma i wyczerpana, przytulona do poduszki, o trzeciej dwadzieścia pięć ponownie wychodził w swej marynarce z czarnego welwetu i z teczką, a często, kiedy wracał z zajęć, o szóstej, ona spała, naga w pościeli, albo próbowała czytać jedną z jego kieszonkowych książek i starała się polubić hiszpańskie i francuskie piosenki, które podobały się jemu, rozleniwiona, uśmiechnięta. Zawsze pokazuje zęby w uśmiechu, białe i zdrowe pomiędzy czerwonymi wargami, przewraca błyszczącymi oczami, a po obu stronach ust tworzą się jej dołeczki. Wygląda zdrowo i trzpiotowato, gotowa do miłości, z otwartością na pewno nie znaną mu do tej pory i nie zawsze uspokajającą. W późne popołudnia i przedwczesne wieczory pod koniec zimy nauczył ją powściągliwości, choć jest możliwe, że sam się jej uczył, wymyślając ją dla niej; opuszczone żaluzje, bo w mieszkaniu nie było zasłon, lampa na podłodze, blisko łóżka, piosenka Jacques’a Brela z płyty i głos szepczący do ucha Nadii słowa, z nienagannym akcentem, jak sobie wyobrażała, tłumaczył je później, wsuwając jej do ust zapalonego papierosa i całując jej ramiona, szyję, piegowate policzki, *ne me quitte pas*, i bardzo powoli wznawiał pieszczoty, jakby roztaczał przed nią całą wiedzę wynikającą z doświadczenia i podziwu, ostrożny, oddany, recytował

francuskie piosenki i wiersze Nerudy, w przyływach szaleństwa, co popychało ją do gwałtownego i przejmującego dreszczem odkrywania samej siebie i prowadziło do pełnego smutku nawiasu, na koniec, oparty o poduszkę, znowu palił, świadomie pozwalając jej dostrzec w swych słowach cień niemożliwości i oddzielenia, przeszłość pełną nieszczęść i niebezpieczeństw, niezapomnianych kobiet, napotkanych i utraconych podczas jednej nocy. Kiedy ona patrzyła na zegarek i zaczynała się ubierać, nastawiał piosenkę Joana Manuela Serrata: „Wstaniesz powoli, trochę przed dziesiątą...”

„To było jak film”, mówi Nadia, śmiejąc się nie z niego, ale z samej siebie, „jak jeden z tych francuskich filmów, które tak lubił, a których ja nie widziałam”. Wraz z upływem lat stawała się coraz ostrożniejsza i mądrzejsza, już nie ufała tak jak dawniej w swą odporność na ból, ale zabezpieczała się ironią i nie utraciła ani jednego gestu z tamtych czasów: zwyczaju siadania na łóżku i obejmowania poduszki, sposobu mówienia, jakby zagłębiała się w siebie, dotykania ust opuszkami palców, kiedy nie znajduje odpowiedniego słowa albo zwrotu, jej przyjemna ospałość, absolutny brak poczucia czasu, nagły śmiech rozjaśniający oczy zanim wybuchnie na głos. Zdaje sobie sprawę z tego, że Manuel od kilku chwil nic nie mówi i przestaje się śmiać z opowiadań o tym innym, ujmując jego twarz w dłonie, przytula się do niego gorącym brzuchem i udami. „Przypominasz mi ojca” – mówi – „on też był zazdrosny i milczał, wolał nie wiedzieć, tak samo jak ty, zazdrość i obawa, że stanie mi się coś złego, był Hiszpanem starej daty i chciał dbać o czystość swej córki, choć nie określiliby tego w taki sposób, nazwałby to młodością albo niewinnością, był przekonany, że sama nie potrafiłabym się bronić, a z tobą dzieje się mniej więcej to samo, wydaje ci się, że zostałam uwiedziona i wykorzystana przez podrywacza dwadzieścia lat starszego ode mnie. Opowiedam ci o tym, a ty chcesz mnie uratować, wskoczyć do wehikułu czasu jak średniowieczny rycerz na rumaka i wyzwolić mnie w ostatniej chwili, kiedy miałam już zostać żelzona. Ale nikt mnie nie wykorzystał, przynajmniej nie José Manuel czy też Praxis, jak ty go nazywasz, a jeśli istniało jakieś kłamstwo, to zostało wymyślone przeze mnie i sama je sobie opowiedziałam, i wierzyłam w nie, bo tak chciałam, dlatego, że miałam ochotę, i dlatego, że mnie to podniecało. Jak on mógł mnie oszukać, skoro był przezroczystry, choć myślał inaczej, chociaż czuł się winny tego, że ukrył przede mną prawdę i że był niewierny wobec swej towarzyszki i wobec swych zasad. W każdy weekend jechał do Madrytu i nie mówił mi, że był tam z inną kobietą, jakbym ja nie zdawała sobie z tego sprawy, wystarczyło tylko na niego spojrzeć, zobaczyć jego twarz w poniedziałek. Ale było mi wszystko jedno, przynajmniej na początku, chciałam go mieć i miałam, byłam przekonana, że gdy porównywał mnie z tą drugą, porównanie wychodziło na moją korzyść, i nie obchodziło mnie, że to próżność, a nie miłość skłania go do bycia ze mną. I tak czekałam na niego w jego mieszkaniu, otwierałam drzwi swoim kluczem, patrzyłam na jego papiery i książki, miał ich całe setki, poukładane w sterty na podłodze, oparte o ściany, ale ja nie znałam prawie żadnej z nich ani nazwisk autorów, poza dwoma albo trzema, przytłaczały mnie, czułam się trochę głupia, jakbym nie przeczytała w życiu żadnej książki albo przynajmniej żadnej z tych, które były dla niego «nieodzowne». Używał tego słowa również w odniesieniu do filmów i płyt, które mu się podobały. Przeglądałam szuflady, choć mi zabronił, ale już wiesz, jaka jestem ciekawska, znalazłam nawet oprawione zdjęcie jego żony, które ukrył na dnie szafy, może stawiał je na nocnej szafce, kiedy wychodziłam, nalana twarz, trochę zwiędła, znasz takie, krótkie włosy i okrągłe okulary, nie żona, tylko towarzyszka. Kiedy w końcu odważył się o niej mówić, używał tego słowa z szacunkiem, jakby próbując wyperswadować mi obrażanie jej. Nie jesteśmy po ślubie, ale właśnie dlatego nasz związek jest bardziej szczerzy i silniejszy, właśnie to mi powiedział, kiedy spotkaliśmy się po raz ostatni. Jednak bardzo mi się podobał, choć nie z powodów, które on miał na myśli, lubiłam, kiedy niespodziewanie dzwonił do mnie o północy i zabierał na kieliszek poza Maginę, do jakiegoś przydrożnego baru, albo na kolację z

grupą swych towarzyszy w jakiejś wiosce, czasem przy świecach, mówił im, że jestem córką żołnierza republikańskiego na wygnaniu, a ja czułam się dumna nie tylko ze względu na ojca, który na pewno czekał na mnie w domu, nie mogąc zasnąć, ale też ze względu na niego, i myślałam, że dla tych ludzi jestem krajanką, a nie obcą, bo ja też im pomagałam, choć niemal nigdy mi na to nie pozwalał, żeby mnie nie narażać, stawał się bardzo poważny i mówił, im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. Ale był kiepskim aktorem, jak większość mężczyzn, i stopniowo zaczął mnie irytować, nie dlatego, że mnie okłamywał, ale dlatego, że robił to tak źle. Kiedy nagle dopadało go poczucie odpowiedzialności albo winy, wymyślał sobie zebrania, żeby nie być ze mną, telefonował do mnie i w bardzo tajemniczy sposób oznajmiał, że jesteśmy w niebezpieczeństwie i mam nie iść do jego mieszkania, a kiedy wrócił po feriach Wielkiego Tygodnia, przez kilka dni był bardzo poważny, przytulał mnie desperacko, po czym odpychał z takim wstydem, jaki nachodzi was, mężczyzn, kiedy nie potraficie zaakceptować własnej próżności. Pytałam go, o czym myśli, a on, odwrócony do mnie plecami, odpowiadał, że o niczym, a następnego dnia już wydawał się taki sam jak wcześniej i zabierał mnie samochodem za miasto na kolację w gospodzie nad rzeką, ale w połowie rozmowy robił tę swoją poważną minę, jakby był przytłoczony kłopotami, których ja nie potrafię zrozumieć. Może wyobrażał sobie, że gra w jednym z tych szwedzkich albo francuskich filmów, w których mijają całe minuty, zanim ktokolwiek się odezwie, a ja miałam ochotę dać mu w twarz i zażądać, żeby w końcu zdecydował się powiedzieć mi to, czego nie miał odwagi wyznać. Ale nie, udawałam, że z niczego sobie nie zdaję sprawy, a on przez całą noc miał wyraz twarzy ofiary albo dręczonego wyrzutami sumienia łotra, i wtedy zrozumiałam, że nie rozstał się ze mną tylko dlatego, że wolał poczekać do końca roku, żeby wszystko mogło się skończyć bez bezpośredniego zerwania. Nie chciał mnie zranić, oczywiście. Nigdy nie chciał tego zrobić. Jakby wystarczyło jedno kłamstwo, aby złagodzić horror zostawienia kogoś”.

I właśnie wtedy zaczęła naprawę go potrzebować, z żarłocznością i pożądaniem, i miała wystarczającą świadomość, by mierzyć uniesienie, w jakim żyła, zapal wzmacniony niezaspokojeniem, a potem cierpieniem, przytłaczającą niemożność niemyślenia o nim albo wypełniania zwyczajowych powinności i codziennych obowiązków: sprzątania domu i swego pokoju, robienia zakupów, gotowania posiłków, coraz trudniejszych rozmów z ojcem zmieniającym się w bolesny dla niej sposób w osobę bierną, jeśli nie w potencjalnego oskarżyciela. Teraz to ona przychodziła po północy i nie zapalała światła, przechodząc przez jadalnię do swego pokoju, a on leżał, nie śpiąc, czekając na nią, i nie zadawał pytań następnego dnia. Leżąc w łóżku za zamkniętymi drzwiami, któregoś popołudnia, kiedy José Manuel zawiadomił ją telefonicznie, żeby nie szła do jego mieszkania, słyszała ojca rozmawiającego z tym grubym fotografem, który teraz nosił zamiast granatowego płaszcza i ceratowego beretu okropny jesienno-wiosenny garnitur, i kierowała przeciwko nim część niecierpliwości i złości, spowodowanej odwołaniem randki. Wyobrażała sobie, jak mówi chłodno do Praxisa, natrzęsając się z jego tchórzostwa, prowokując pożądanie, którego nie miała zaspokoić, widząc w jego oczach charakterystyczną dla mężczyzn niezdolność do zaakceptowania odrzucenia. Znajdowała gorzkie zadowolenie w przypominaniu sobie dowodów jego próżności, słowotok, przyjemność, z jaką słuchał samego siebie, kiedy zdawało mu się, że ją oczarowuje, jego słowne maniery: *praxis*, po prostu, właściwie, nieodzowny, niepokój, a nawet strach, który go ogarniał, kiedy przejmowała w miłości nie znoszącą sprzeciwu inicjatywę. Zadzwoił telefon, zerwała się na równe nogi tak szybko jak wtedy, gdy zadzwonił po raz pierwszy. Ale również teraz nie spieszyła się, by odebrać; przejrzała się w lustrze, czekając, aż ojciec zapuka do drzwi, zwlekała trochę z odpowiedzią, jakby spała. W jadalni uśmiechnęła się do Ramira Portrecisty i pozdrowiła go, zanim podeszła do aparatu. Fotograf poderwał się, by wstać, i z kolan spadła mu bardzo duża książka,

wyglądająca na Biblię, i stare zdjęcie jakiejś kobiety. „...Iw ten sposób odkryłem, że słowa tego listu zostały przepisane z *Pieśni nad Pieśniami*”, usłyszała, jak opowiada ojcu, podczas gdy ona zgadzała się na spotkanie tej samej nocy, nie w mieszkaniu, lecz w obrzydliwym barze na Miradores, na tyłach kościoła Zbawiciela, w lokalu z plakatami Rzeźnika, beczkami wina i półkami ze żłobionymi butelkami, gdzie z oblepionego brudem radia sączyły się niewyraźnie programy na temat flamenco, które wydawały się nagrane dziesięć albo piętnaście lat wcześniej. Nie było szyldu nad wejściem, ale bar miał okropną nazwę, Nadia nie potrafi sobie przypomnieć, to było przezwisko właściciela, makabryczne przezwisko, oblizuje usta, Maurobójca, mówi, ale wie, że nie, i to Manuel sobie przypomina, Małpokat, i oboje wybuchają śmiechem. On też tam poszedł kilka razy z przyjaciółmi, kiedy udało im się zebrać pieniądze wystarczające za ledwie na butelkę podłego białego wina, zwracali uwagę na siedzących – pośród robotników o czerwonych twarzach i sinych pijaków z przyznanymi włosami było kilku brodaczy z książkami pod pachą, siadali blisko siebie przy stolikach w głębi, za brudną kotarą.

Kiedy ją odsunęła, ze wstętem i z kleistym dotykiem brudu na palcach, Praxisa jeszcze nie było. Kiedy znalazła się tam po raz pierwszy, w zimową noc, gdy wiatr chłostał ciemne drzewa na punktach widokowych, bar wydał jej się miejscem przytłaczającym, ale także ciepłym i dającym schronienie, niemal rodem z powieści, widziała zaszpecone twarze ludzi łypiących na nią ciekawie, którzy przywodzili jej na myśl partyzantów w beretach, o krzaczastych brwiach i miedziano-oliwkowej skórze, którzy pomagali Garry’emu Cooperowi w *Komu bije dzwon*. Tym razem bar wydał jej się obrzydliwy i żenujący i zdenerwowała się na niego za to, że go wybrał, a następnie na siebie za to, że się na to zgodziła. W radiu Juanito Valderrama śpiewał *El emigrante*. Wokół śmierdziało dymem skrętów i celtasów, przepoconymi ubraniami i drewnem nasiąkniętym skwaśniałym winem. Jak na nią patrzyli? – zastanawia się Manuel, kiedy zobaczyli ją samą, obcą, tak młodą dziewczynę w miejscu, do którego nigdy nie wchodziły kobiety, gdzie twarze i głosy, a nawet dźwięk radia i światło nagich żarówek cechowała zjętcała mętność, anachronizm dawnej biedy, której być może Nadia nie potrafiła dostrzegać tak wyraźnie jak my i która typom wracającymi na wakacje z uniwersytetu, tymczasowym dezserterom z Monterrey i z barów tylko dla członków klubu z ulicy Nowej, do jakich chadzali ich ojcowie, wydawała się proletariacka i egzotyczna. Weszła, za ledwie rzucając okiem w stronę baru, przestraszona, ale stanowcza, a odprowadzające ją spojrzenia pijaków, podczas gdy przechodziła do części zarezerwowanej, miały tę samą lepłą konsystencję co zasłona i drewno stołu, przy którym usiadła, opierając plecy o wilgotne wapno ściany, naprzeciwko drzwi, jakby oczekiwała przybycia wroga. Praxis się spóźnił, usprawiedliwił się, marynarka pod pachą, czarna teczka w dłoni, wypchana książkami i pracami egzaminacyjnymi, zaczęły się już egzaminy końcowe i spędzał nocę na poprawianiu testów, chociaż nie wierzył w ten system, twierdził, że jest sztywny, a przede wszystkim niesprawiedliwy, ale kto miał zmienić rutynę nauczycieli i uczniów, rzecz jasna, przyzwyczajonych do przepisywania notatek i powtarzania z pamięci nazwisk i dat? W następny poniedziałek miał egzamin z ostatnią klasą i zdecydował się pozwolić im korzystać z książek i zachęcał do wyrażania własnych opinii. Wymachiwał rękoma przed Nadią, gestykułował z szybkością prestidigitatora, pochylony do przodu, z łokciami wspartymi na stole, jakby znajdował się w klasie. Nie przestał mówić, nawet gdy zdał sobie sprawę z jej obojętnego milczenia, zbity z tropu jej spojrzeniem, które go przewiercało. Zapalił papierosa, klasnął w dłonie, zawołał szynkarza po imieniu, uśmiechnął się do niej tchórzliwie, gdy spytał, czego się napije. Niczego. On zamówił pół kwarty lokalnego wina. Zrobił poważną minę i w końcu spojrzał jej otwarcie w oczy. Świadomość tego, co za chwilę usłyszy, nie uczyniła tego mniej bolesnym, ale znacznie bardziej upokarzającym, brała bowiem udział w kiepskim przedstawieniu, w jakim nie było ani jednego słowa, które nie zostałoby wcześniej

powtórzone po wielokroć przez tego samego mężczyznę i przez innych, w dowolnym języku i w dowolnym miejscu, padły słowa męskiego tchórzostwa, o szczerości kłamliwej i pokrętej, nacechowane niepożądanym współczuciem, pełne skruchy, zamiaru pocieszenia oraz zapewnień o przyszłej przyjaźni, pomimo wszystko. Oto, co wychwytywała, słuchając go, nie zdania, lecz słowa, pojedyncze i niegodziwe, kłujące boleśnie jak igły, delikatne, jadowne, pospolite, a poza nimi bezinteresowność rzeczywistości i ból przytłaczający jak sztaba ołowiu, trywializujący to, co go spowodowało, a także mężczyznę, który teraz zdawał się dobrze wychowany i obcy, gestykulował albo żłobił paznokciem nierówną powierzchnię stołu, mówił do niej z ubolewaniem i odrobinę po ojcowsku, podczas gdy zza kotary dobiegały flegmatyczne głosy pijaków i piosenki flamenco, a na zewnątrz trwał statyczny zmierzch początku lata i w ciepłym, lekko niebieskim powietrzu, ponad murami i brązową kopułą kościoła Zbawiciela, krzyżowały się błyskawiczne loty jerzyków. Nie chciała więcej oglądać tej twarzy naznaczonej chęcią usprawiedliwienia i pokuty, kłamstwem i poczuciem winy, nie chciała słuchać słów, których nie przestawał wypowiadać, ze spuszczoną głową i uciekającymi oczyma, jakby się spowiadał, nigdy więcej, niezatarte wspomnienie, obowiązek, uniesienie, szczerość, logika, towarzysza, po prostu, właściwie, życie przed nami. Odkryła, że ani świadomość, ani pogarda nie uśmierzały bólu, który stawał się nie do zniesienia, choć skrywało go poczucie godności. Wyszli z baru i nie pozwoliła, by odwiózł ją do domu samochodem. Stali naprzeciwko siebie, jak w tamten grudniowy dzień, kiedy zgodziła się przechować jego pakunek, pogładził ją po twarzy ze swego rodzaju bojaźliwą gwałtownością i powtórzył refren piosenki, której wielokrotnie razem słuchali: *On n'oublie rien de rien, on n'oublie rien du tout*. „Odpierdol się”, powiedziała Nadia, odsuwając się, obrażona i ponura, co na chwilę przywróciło jej dumę, a kiedy spojrzała na niego ponownie, ujrzała w jego oczach i na twarzy wyraz osłupienia i żalu nad samym sobą, jakby ją błagał, jakby to on został porzucony, jakby to on nie potrafił znieść bólu.

Nigdy więcej go nie widziała. Zobaczyła osiemset pięćdziesiątkę z madrycką rejestracją jadącą powoli i oddalającą przez plac Świętej Marii, szła z oczyma utkwionymi w kamieniach i z kciukami zatkniętymi za pasek dżinsów. Nie zatrzymując się ani nie odczuwając zmęczenia, przeszła przez całe miasto aż do kolonii Carmen, nic nie widząc ani o niczym nie myśląc, przeklinając pod nosem po hiszpańsku i angielsku, przekleństwa wypływały z jej ust z taką samą bezwonną płynnością, z jaką przesuwają się przed nią czubki jej białych adidasów, rytmicznie, obojętnie, hipnotycznie, niosąc ją po ulicach i wybrukowanych placach, których nie widziała, wzdłuż oświetlonych wystaw i ciemnych bram, pośród rozproszonego szmeru ludzkich kroków i samochodowych silników, piosenek słyszanych, gdy mijała bary, poprzez zasłonę śmiechów i głosów. Wspomina siebie, gdy szła w pachnącą czerwcową noc, leżała w pokoju, z twarzą w poduszce i z rękoma zwieszającymi się po obu stronach łóżka, wychodziła do jadalni po papierosy, kiedy wydawało się jej, że ojciec już śpi, nienawidziła go za jego angielską poprawność, za pozory chłodu, przeglądała się o świcie w lustrze, mając wzrok wyostrojony bezsennością i oczy obwiedzione czerwonymi obwódkami, z bólem tak dokuczliwym jak ból zęba, brzydka i blada, postarzała o wiele lat podczas jednej tylko nocy, buntowała się, nie zgadzała, była zdecydowana nie dopuścić do niegodziwości i nie pozostawić kłamstwa bez kary. Ożyła następnego dnia. Pamięta, że było to puste i ciche sobotnie popołudnie, ojca nie było w domu. Wzięła długą ciepłą kąpiel, zanurzyła dłoń w wodzie i przesunęła ją w górę ud, a kiedy je ścisnęła, aż zabolęły pachwiny, to było tak, jakby jego dłoń jej dotykała. Uczesała się, włożyła majtki i stanik, które jemu się podobały, i umalowała się w zamyśleniu, zanim się ubrała, delikatne cienie na oczach i trochę szminki na ustach. Wybrała spódniczkę i bluzkę w żywych kolorach, niskie obcasy. Nie chciała go ponownie uwieść, ale sprowokować. W ciągu kilku godzin przeszła różne okresy swego przyszłego życia, powodowana przecuciem własnej świadomości, jaką będzie miała

siedemnaście lat później. Nie zabrała torebki; klucz od mieszkania ranił jej dłoń. Zadzwoiła do drzwi, zanim otworzyła, a kiedy je pchnęła, nie odrzuciła jeszcze całkowicie możliwości spotkania się z nim. Zawołała go, nie zapalając światła w małym przedpokoju; brzmienie jej własnego głosu uświadomiło jej, że go nie ma i że na pewno nie przyjdzie. Przeszła przez korytarz bez obrazów ani lamp, jadalnia, sypialnia z zaciągniętymi żaluzjami, z adapterem i popielniczką przepelnioną niedopałkami stojącą na stosie książek na nocnym stoliku. W łazience wchłonęła zapach ręcznika i otwartego flakonu wody po goleniu. Wszystko wyglądało jak ostatnim razem, pięć czy sześć popołudni wcześniej, ale w nieruchomości przedmiotów dostrzegała zmianę bardziej znaczącą, bo niewidzialną. Nie zmieniając swego zewnętrznego wyglądu, miejsce albo twarz mogą stać się nieznajome lubwrogie. Przemierzała pomieszczenia niby znieczulona, z suchymi oczyma i sercem skaczącym za każdym razem, gdy słyszała zgrzyt windy albo kroki, albo warkot lodówki w kuchni. Poszukała w szafie zdjęcia krótkowłosej kobiety w okrągłych okularach, ale już go nie było. Welwetowa marynarka kołysała się lekko na wieszaku, przeszukała kieszenie i znalazła bilet madryckiego metra, obsadkę ołówka i prawie pustą paczkę ducados. Zapaliła papierosa i aby powstrzymać mdłości, położyła się na łóżku, podsuwając pod głowę poduszkę intensywnie pachnącą nim. Myślała i powtarzała po cichu: nic nie czuję, nie ma mnie tu, nie przyszłam, żeby na niego czekać. Zdjęła buty, szeroka spódniczka zebrała się pomiędzy jej udami. Widziała, jak się zbliża, rozczochrany, nagi, triumfujący w swej tak szybko odzyskanej męskości, próżny, zachwycony nią, klękał na łóżku, unosił się, podczas gdy cicho rozbrzmiewała bardzo wolna piosenka, a w rogu pokoju paliła się świeca i nadawała spoconemu ciału drżącego poblasku oliwy; teraz stopiony воск pokrywał dno butelki, płytę Jacques'a Brela pokrywała cienka warstwa kurzu, a obraźliwy ślad potu trwał w pościeli, której Praxis nie zmienił.

Nie spała od dwóch nocy. Zamknęła oczy, przysunęła twarz do ściany, podkurczyła nogi, zaciśnięte dłonie przycisnęła do piersi, chłonęła odgłosy dochodzące z ulicy, dobiegające ze spokojnej dali pierwszych letnich wieczorów, nie chciała płakać, bezlitośnie upierała się przy bezruchu i czekaniu, minuta za minutą, przyłoczona nieuzasadnioną i rozrzedzoną powolnością czasu, który narzuca bezsenność tak skutecznie jak ból. Zrozumiała, że zaśnie, jakby dostrzegała stopniowe paraliżujące działanie trucizny albo narkozy. Obudziła się w ciemności, powoli dostrzegając promyki elektrycznego światła, przeciskające się przez żaluzję. Była noc i już zapalono latarnie na ulicach. *Wstaniesz powoli* – przypomniała sobie – *zanim wybiję dziesiątą*. Bolało ją całe ciało, a głowa ciążyła tak, jakby przed snem dużo wypila i wypaliła sporo papierosów. Smród niedopałków w popielniczce przyprawił ją o mdłości. Zapaliła chłodne światło, przez chwilę siedziała na łóżku, powstrzymując nudności, z łokciami wspartymi na kolanach i twarzą w dłoniach, kołysząc głową na boki, jakby sama sobą potrząsała, patrzyła przez palce na płytki podłogi i nagie stopy. Wstać, włożyć buty, nacisnąć przycisk windy i zjechać na ulicę – była to sekwencja czynności niemożliwych. Wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi, odjęła dłonie od twarzy w nagłym przypływie niepokoju i radości, która rujnowała wszystkie cele stawiane przez jej godność. Ale to nie był on, nie mógł być, nie dzwoniłby do własnego mieszkania. Postanowiła zaczekać; na pewno ktoś zadzwonił przez pomyłkę. Ktokolwiek to był, zadzwonił ponownie, wielokrotnie, raz za razem, z niecierpliwością albo złością, walił też w drzwi pięściami. Boso przeszła do przedpokoju, słuchając szelestu swych stóp na płytkach i skrzypienia stawów. Teraz uderzenia powodowały drżenie drzwi i nie były to tylko uderzenia pięści, ale czegoś twardszego – ciężkiego, metalowego przedmiotu. Odsunęła zasłonę wizjera i nic nie zobaczyła; szepczący głos przez ułamek sekundy wydawał się jej jego głosem, wymawiającym jej imię. Światło na klatce schodowej zgasło. Kiedy ponownie się zapaliło, w wizjerze pojawiła się mała zniekształcona twarz, z wybałuszonymi oczyma i bardzo długimi wąsami, z ustami, które otworzyły się szeroko do krzyku. „Otwierać!”, usłyszała i uderzenia

wstrząsnęły drzwiami, „Policja!” Cofnęła się w ciemności, aż oparła się plecami o ścianę. Nagle mocno zachciało jej się sikać i całe jej ciało zaczęło się trząść, ręce, broda, kolana. Kuliła się pod ścianą, jakby przerażenie zmniejszało jej rozmiary, a uderzenia przyprawiały o drżenie jej głowę, tak samo jak ścianę, o którą ją opierała, i kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie po wyrwaniu zamka i światło klatki schodowej wtargnęło do korytarza, policjanci znaleźli ją siedzącą w kucki w kącie, patrzącą na nich bardzo błyszczącymi i szeroko otwartymi oczyma, a potargane włosy zasłaniały jej twarz.

Zapomnieliśmy już, jakie były te sukinsyny z tajnej policji, mówi Manuel, albo wolimy nie pamiętać: byli młodzi, skuteczni, brutalni, cechowało ich przemysłane i chamskie cwaniactwo, tak rażące jak kolor ich koszul i wielkość krawatów, i pistoletów, którymi wymachiwali. Podczas gdy jeden z nich, ten, który wydawał się starszy i brutalniejszy, przeszukiwał pokoje, kopniakami przewracając stosy książek, i deptał leżące na podłodze papiery i płyty, drugi, szczuplejszy, może młodszy, z rudymi włosami i odrobinę krótszymi baczkami, poprowadził ją do fotela, boleśnie ściskając ramię, nie spuszczać z niej oka, schował pistolet do kabury pod marynarką i zapytał o José Manuela. „Jeśli się będziesz dobrze zachowywać, nic ci nie zrobimy. Mój kolega jest trochę brutalny, więc będzie lepiej, jeśli nie będziesz go denerwować. Nie mamy nic przeciwko tobie, póki co. A więc lepiej nam powiedz, gdzie jest twój przyjaciel. Denerwujesz się, co? Chcesz papierosa?” Zapalał go jej, kiedy ten drugi wyszedł z sypialni. Wyglądało na to, że guziki kamizelki zaraz się oderwą, tak jego pierś nadymała się od wściekłości. Wyciągnął rękę, w której za lufę trzymał pistolet; skuliła się na fotelu, czując, że zostanie uderzona kolbą pistoletu, i niemal poczuła smak krwi w ustach. Ale nie mogą mi nic zrobić, myślała, nie jestem Hiszpanką; było to tak, jak powiedzieć sobie „śnię” w środku koszmaru, a mimo to nie zdołać oddalić niebezpieczeństwa. Białe i bezwzględne palce, jak palce chirurga, zacisnęły się na jej brodzie, wciskając się w skórę, uwierając szczękę; zmusił ją do podniesienia twarzy i spojrzenia na niego z tak bliska, że czuła na ustach dotyk jego wąsów. Ślina śmierdziała mu jasnym tytoniem, a skóra wodą kolońską. Mówił do niej, jakby wypluwał słowa, nigdy wcześniej nie słyszała tak wulgarnych hiszpańskich słów, przestraszały ją równie mocno jak wilgotne usta policjanta i błyszcząca stal pistoletu. Kciuk i palec wskazujący ręki, która uniosła jej twarz, teraz wykrzywiały jej usta, a mężczyzna mówił do niej, patrząc jej w oczy, zadając sprośne pytania, które przerywał śmiechem, wybierając obelgi, jakich nigdy wcześniej nie słyszała, groźby celne niczym pchnięcia nożem. „To jednak był ktoś. Nie dość, że czerwony, to jeszcze deprawator nieletnich. A teraz puścił cię kantem, więc nie dość, że jesteś kurwą, to jeszcze głupią”. „Daj spokój, stary, nie jesteś jej ojcem”. Drugi policjant pomógł jej wstać i włożył kolejnego papierosa do ust. Usiadł obok niej na tylnym siedzeniu samochodu, którym zawieźli ją do komisariatu. Nie myślała o José Manuelu, ale o ojcu, w przypiływie poczucia winy widziała go, jak czeka w domu w kolonii Carmen, w łóżku, nie mogąc zasnąć, licząc, tak samo jak ona, uderzenia zegara na wieży. Nie zaprowadzili jej do celi, jak się spodziewała, do małego i ciemnego pomieszczenia z siennikiem i zakratowanym okienkiem. Kazali jej przejść do biura, ze stołem, kartoteką w stalowej szafce i drewnianym krzesłem, na którym kazali jej usiąść, pośrodku pomieszczenia, pod lampą o bardzo białym świetle. Na ścianie wisiał obraz Franco i kalendarz z kolorową fotografią Matki Boskiej z Gavellar, patronki Maginy. Zostawili ją samą na bardzo długo, a kiedy ponownie otworzyły się drzwi za jej plecami, wszedł policjant, ten z dłuższymi baczkami i gęstszymi wąsami, nie miał marynarki i rozluźnił krawat. Nosił szelki i nie zdjął kabury, ale już nie miał pistoletu. Stał obok niej, opierając łokieć na krześle, powtarzając metodycznie te same obelgi i groźby, prawie szeptał jej do ucha, jakby się zwierzał, jakby składał miłosną propozycję. W taki sam sposób jak poprzednio – pewnie robił to wszystkim przesłuchiwanym – złapał ją za brodę palcem wskazującym i kciukiem, wykrzywiając jej dolną wargę, i zmusił do odwrócenia

twarzą w jego stronę. Głos znowu stał się donośny i brutalny, „Możesz sobie być Amerykanką, ale jeśli zaraz nie zaczniesz śpiewać, przed wyjściem stąd tak dostaniesz, że popamiętasz”... Puścił ją, a ona wytrzymała jego spojrzenie. Przerazenie zaczęło się zmieniać w swego rodzaju rezygnację czy też obojętność. Wtedy otworzyły się drzwi i drugi policjant, nie wchodząc do środka, dał znak swemu koledze. „Przyszedł stary” – usłyszała – „chce, żebyś natychmiast mu ją posłał”. „Stary? O tej porze? Nie pierdol, powiedz mu, żeby poszedł spać, że już ją mamy”. „Nie masz pojęcia, jaki jest wściekły, zupełnie jak nie on. Wrzeszczał na mnie i zagroził karami”.

Bardziej korpulentny policjant niechętnie ujął ją za nadgarstek, pociągnął za sobą przez korytarz z szeregiem zamkniętych przeszkłonych drzwi i ruszył po schodach. W gabinecie ze starymi ciemnymi meblami mężczyzna sześćdziesięcioparoletni, o kręconych siwych włosach, z kwadratową twarzą i mięsistą, opadłą dolną wargą, poprosił, by usiadła naprzeciwko niego, i sucho rozkazał policjantowi, żeby zostawił ich samych. „Ależ szefie, już ją mieliśmy, złapaliśmy, jak by to powiedzieć, *in flagranti*”. Podkomisarz Florencio Pérez wykazał w końcu odrobinę charakteru i mocno uderzył pięścią w stół: „Proszę się zamknąć i wykonywać rozkazy, a kiedy chce pan coś powiedzieć, proszę poprosić o pozwolenie. A teraz proszę wyjść”. Ani jednego zająknięcia, żadnego drżenia ust. Policjant ostentacyjnie wzruszył ramionami i zrobił pogardliwy gest, ale kiedy miał wyjść, napotkał wzrok podkomisarza i nie odważył się trzasnąć drzwiami. „Proszę się nie obawiać, nic się pani nie stanie. Są młodzi i gubi ich nierozwaga, ale ja, w moim wieku, nie toleruję, kiedy okazują mi brak szacunku. Może pani iść do domu. Jest późno i ojciec na pewno bardzo się o panią niepokoi”. Wstał i okazało się, że jest znacznie niższy, niż wydawało się wtedy, gdy siedział. Ze staroświecką i trochę nadwerżoną elegancją przepuścił ją przodem w drzwiach i delikatnie wziął pod rękę, kiedy szli korytarzem. Przechodząc obok gabinetu inspektorów, wyprostował się i uniósł głowę. Było chłodno na placu generała Orduńi, słychać było szum wody w fontannie u stóp pomnika i głosy taksówkarzy rozmawiających przed budynkiem komisariatu. Podkomisarz Florencio Pérez, prowadząc Nadię pod rękę, podszedł do jednego z nich, wysokiego i kościstego, o bardzo szerokich ramionach i dużej łysej głowie: „Julianie, proszę wyświadczyć mi przysługę i zawieźć tę panią do domu w kolonii Carmen, ona wskaże numer”. Sam otworzył jej tylne drzwi, pochylił się trochę, przepuszczając ją, i pomyślała, że pocałuje ją w rękę. „Proszę wybaczyć to całe zamieszanie i przekazać uszanowanie ojcu”. Żadnej wątpliwości, żadnego niepotrzebnego słowa ani żadnego ustępstwa. „Zna go pan?”, spytała Nadia, siedząc już w taksówce. „Poznaliśmy się bardzo dawno temu. Ale on na pewno mnie nie pamięta”. Duży czarny wóz ruszył, a podkomisarz Florencio Pérez patrzył za nimi, aż zniknęli za rogiem ulicy Mesones. W świetle holu komisariatu pewnie skręcił papierosa, nie upuszczając ani źdźbła tytoniu, łakomie polizał bibułkę i paląc, ruszył do domu, krótkimi krokami, z rękoma zaplecionymi na plecach, z wysoko uniesioną głową, wypuszczał przez nos strużki dymu i wymyślał kłamstwo, jakie opowie żonie, kiedy położy się w łóżku u jej boku, i słowa, jakimi opowie wszystko nazajutrz porucznikowi Chamorro.

BYŁY TO NAJDŁUŻSZE WAKACJE, najgorsze w moim życiu, i nie skończyły się wraz z końcem lata. Jakiś zwariowany minister generała Franco wymyślił, że rok szkolny nie rozpocznie się w październiku, ale w styczniu, tak więc musieliśmy odłożyć na trzy długie miesiące naszą ucieczkę z Maginy. Tylko Serrano na nic nie czekał, nie czekał nawet, aż skończą się lekcje. Ku utrapieniu swego ojca przestał chodzić do szkoły i ścinać włosy w połowie maja i w czerwcu pojechał autostopem do jakiegoś miasta nad morzem, gotowy zostać barmanem, uwodzicielem zagranicznych piękności i rockowym perkusistą. Martin i ja niejasno obiecaliśmy, że do niego dołączymy, ale nasi ojcowie nie wyrazili zgody, a nasz plan, by uciec którejs nocy wagonem towarowym ze stacji Linares, poszedł w zapomnienie, w miarę wzmaganą się lipcowych upałów i naszego przystosowywania się do nudnych wakacyjnych zwyczajów: Martin spędzał czas na poddaszu swego domu, oddając się chemicznym eksperymentom i słuchaniu płyt, a ja z rana wychodziłem w pole i wracałem wieczorem po zawiezieniu warzyw na rynek. Wujek Pepe, wujek Rafael i porucznik Chamorro przychodzili czasem, żeby nam pomóc. Wujek Rafael, który tylko letnią porą nie cierpiał z powodu odmrożeń, w końcu kupił, nie bez wielkich wyrzeczeń, wielkiego i silnego osła, bardzo potulnego, o brązowej sierści, rozpieszczał go i rozmawiał z nim jak z synem, utrzymywał, że jest radością jego domu, nie tak jak ten poprzedni, który wszystkich gryzł i którego sprzedał mu jakiś niegodziwiec, nadużywając jego zaufania. Pewnej lipcowej niedzieli, wcześniej rano, kiedy w porannym chłodzie zebraliśmy już kilka koszyków fig i pomidorów i posilaliśmy się w cieniu figowca, porucznik Chamorro opowiedział nam, że major Galaz z córką wyjechali z miasta, a może też z Hiszpanii. „Przeklęty kraj” – powiedział tonem, który tak bardzo podziwiali wujek Pepe i wujek Rafael – „jego najlepsi synowie zawsze kończą na wygnaniu”. „A tu zostajemy tylko my, melony”, wymamrotał wujek Rafael, jakby odpowiadał w litanii. „A ten też już niedługo sobie wyjedzie” – powiedział porucznik Chamorro, wskazując na mnie. – „No, młody, powiedz coś po angielsku”. Wstydziałem się, ale w głębi duszy byłem dumny ze swej zdolności do języków i wyrecytowałem im najszybciej jak potrafiłem słowa *Riders on the storm*. Przestali jeść i patrzyli na mnie z otwartymi ustami. „Znakomicie” – powiedział wujek Pepe – „wspaniale”. „A my” – wujek Rafael smutno pokręcił głową – „nie potrafimy nawet porządnie mówić po hiszpańsku”. „To nie to samo” – zauważył porucznik Chamorro – „jego ojciec poświęcił się, żeby mu dać wykształcenie, a my w jego wieku już nawet nie pamiętaliśmy tego krótkiego czasu, jaki spędziliśmy w szkole. A może zapomnieliście, jak się wtedy źle żyło?” „Ty przynajmniej potrafisz dobrze czytać, a nawet piszesz na maszynie. A ja patrzę na gazetę i zlewają mi się litery, widzę wszystko na czarno i zasypiam. Dlatego każdy może mnie oszukać. Mówią: Rafael, przeczytaj i podpisz, a ja udaję, że czytam, i podpisuję, nic nie rozumiejąc”. Wujek Rafael przywiązywał osła w cieniu szopy i wsypywał mu dużo zboża do słomy. Nie objuczał go zanadto, żeby się nie przedzwigał, i od czasu do czasu zostawiał pracę, żeby pójść go zobaczyć, jak młody ojciec nowo narodzone dziecko. Pewnego wrześniowego wieczoru poszedł po łądunek winogron i kiedy je zbierał, zostawił osła przywiązanego do pnia topoli. Zerwała się burza, piorun roztrzaskał topolę na pół i zwęglił osła. Kiedy wujek Rafael podbiegł do niego pośród ciężkiego gradu, nietknięte były tylko uzda i podkowy. Przeziębł się wtedy, a potem dostał zapalenia płuc i kilka tygodni później zmarł z powodu gorączki i smutku. Podczas czuwania przy zmarłym wujek Pepe w czarnym

garniturze i czarnym kapeluszu, z szeroką czarną opaską na prawym ramieniu, pozwalał, by płynęły mu łzy po wysokich, kościstych policzkach, i powtarzał bez ustanku: „Święty, mój brat był święty”.

Nocami, kiedy zostawiałem klacz zamkniętą w stajni, szedłem spotkać się z Martinem i Feliksem w barze przy Granadyjskiej Bramie, lokal nazywano Arabską Jaskinią, miał on taras, z którego widać było całą dolinę: na ścierniskach płonęły żółte linie ognia i widać było dalekie światła wiosek Sierry, migoczące niczym gwiazdy. Niemal wszystkie płyty, jakie mieli w szafie, były bardzo złe, oprócz jednej Led Zeppelin, *Whole lotta love*, ale dawali tam tanie wino, a na tarasie wiał chłodny wiatr i słyszać było szum wody w kanałach nawadniających ogrody i szelest wiatru w figowcach i granatowcach. Brak nam było Serrana; zazdrościliśmy mu, przede wszystkim Martin i ja, w głębi ducha było nam wstyd, że nie pojechaliliśmy razem z nim. Feliks dawał prywatne lekcje łaciny i greki, od dziewiątej rano do ósmej wieczorem, z przerwą na obiad. Jego ojciec od dziesięciu lat nie wstawał z łóżka, matka miała takie bóle nóg, że nie mogła już myć podłóg i schodów, a przecież odkąd wynaleziono mopy, jak mówiła, praca nie była już taka ciężka. Feliks wydawał się jednak doskonale przystosowany do przeciwności losu i biedy; nigdy, a znałem go od szóstego roku życia, nie słyszałem, żeby się uskarżał, nigdy nie schodził mu z twarzy spokojny i lekki uśmiech, który zdawał się oddalać go od wszystkiego, Feliks nie był jednak zagubiony, jak ja, lecz osadzony w pogodnym i własnym królestwie, które bez wątpienia wzmocniło się dzięki jego oddaniu łacinie, lingwistyce i muzyce klasycznej, trzem dziedzinom wiedzy zupełnie mi obcym. Zdumiewało mnie, że nigdy się nie zakochał; nie mogłem uwierzyć, kiedy mi wyznał, że nie zna smutku ani nadmiernej ekscytacji. On też miał wyjechać w październiku, ale nie do Granady jak Martin ani do Madrytu jak ja, ale znacznie bliżej, do stolicy prowincji. Mawiał roztropnie, że było to tańsze i że w ten sposób mógł być bliżej rodziców. Był jedynym z nas, który nie rozpaczał, kiedy się dowiedział, że rok szkolny zacznie się w styczniu. Z ciekawością, ze swego rodzaju współczującym i lekko rozbawionym spojrzeniem, wypytywał mnie o miłość do Mariny: Co się czuje? Dlaczego wybiera się tę, a nie inną kobietę? Wyjaśniając mu, przypominałem sobie czasy, kiedy byliśmy dziećmi i opowiadałem mu historie wymyślane w trakcie opowiadania. Ale wolałem, żeby koledzy nie przypominali mi Mariny. Wyjechała, jak co roku, do Benidorm, ale miała już nie wrócić w październiku, a zanim wyjechała, widywaliśmy ją, jak spacerowała po ulicy Nowej pod rękę z tym typem, którego nadal nienawidziłem, i przesiadywała z nim na tarasie Monterrey, trzymał ją za rękę, pieścił w zenujący sposób, niemal intymny, jakby już byli małżeństwem, i byli szczęśliwi.

Nie potrafiłem sobie przypomnieć, co się działo ze mną tej niedzielnej nocy pomiędzy północą i piątą rano, ale to już mnie nie martwiło, choć ojciec nie rozmawiał ze mną przez cały tydzień. Następnego dnia, kiedy czekaliśmy na Praxisa, żeby wejść na egzamin z literatury, Pavón Pacheco puścił do mnie oko, jak współnik, a ja zaczerwieniłem się i unikałem jego towarzystwa. Ale Praxis nie przyszedł. Powiedziano nam, że jest bardzo chory, przebywa w Madrycie, i inny nauczyciel przeprowadził egzamin z literatury. Nie ucząc się prawie w ogóle, skończyłem szkołę z bardzo wysokimi notami – byłem pewien, że dostanę stypendium. Nie kręciłem się już po kolonii Carmen, a kiedy w niektóre noce spacerowaliśmy z przyjaciółmi po ulicach w pobliżu szkoły, ogarniało mnie smutne uczucie, że minęły lata, a nie miesiące od ukończenia ostatniej klasy. Czasem widziałem nocami autobus przyjeżdżający z Madrytu i odczuwałem w ustach i brzuchu odrobinę lęklive podekscytowanie: ja też miałem wyjechać, a Madryt i uniwersytet miały być pierwszym krokiem w życie pełne namiętności i podróży. Nie przyznawałem się nawet przed samym sobą, ale umierałem ze strachu. W jadalni domu, oglądając dziennik pełen katastrof, dziadek Manuel, mający już siedemdziesiąt lat i ciągle dziarsko pracujący w polu, wzdychał i mawiał: „Wiele zła jest na świecie”. Oglądał reportaże z badań kosmicznych i zapewniał, że wszystko

to jest kłamstwem. „No dobrze” – zgadzał się – „wylądowali na Księżycu, ale może mi powiesz, którędy tam weszli?” Podczas transmisji z Tour de France wpadał we wściekłość: chłopcy jak dęby, w najlepszych latach życia, i zamiast robić coś pożytecznego, mordują się jak durni, jeżdżąc na rowerze. Wypijał do obiadu trochę więcej wina, rozpalala mu się twarz i nie przestawał gadać, dopóki babka Leonor, siedząca obok niego, nie uszczypnęła go w bok. „Manuelu, gęba ci się nie zamyka, wypijasz szklanke wina, zaczynasz pleść bzdury i już nikt nie daje rady cię powstrzymać”.

Tego roku, podczas październikowych świąt, nie występował Rzeźnik z Maginy; wpadł swym białym mercedesem na drzewo, na prostym odcinku madryckiej drogi. Jechał wtedy sam, ale w ogrodzie i w domu mówiono o wpływie złych kobiet, alkoholu i różnych hultajów, a dziadek stwierdził bardzo poważnie, że łzami w niebieskich oczach, bo z wiekiem coraz łatwiej się wzruszał: „Powiedz mi, z kim przestajesz, a powiem ci, kim jesteś”, i spojrzął na mnie, a ja od razu wiedziałem, jakie zada mi pytanie: „A wiesz, dlaczego młody chłopak jest podobny do aktora?” Babcia Leonor uszczypnęła go mocno, a matka i siostra zasłoniły usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem, i odpowiedziały chórem razem z nim: „Psuje ich zła kompania!” Lorencito Quesada napisał w „Singladurze”, że pogrzeb toreadora z Maginy był wspańiałą żałobną manifestacją. Mszę odprawił don Estanislao, proboszcz i miłośnik korridy z kościoła Świętego Izydora, a kiedy wyniesiono trumnę, przykrytą kapą i czapką nieszczęsnego mistrza szpady – były to dni smutnej chwały dla naszego lokalnego reportera, który dopiero wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczył na pierwszej stronie podpisany przez siebie artykuł, co prawda złośliwie albo przez zaniedbanie umieszczono tylko jego inicjały – rozdzwoniły się unisono wszystkie dzwony w Maginie i wystrzeliła bateria rakiet, jakby Rzeźnik, umierając, odciął wszystkie uszy, jakich nie zdołał odciąć podczas korrid swych ostatnich lat. Wpadnięto na pomysł postawienia mu pomnika z publicznych składek, a urząd miejski ogłosił konkurs poetycki na jego cześć; ku zaskoczeniu wszystkich nagrody nie zdobył żaden z uznanych autorów z miasta, które według Quesady było niewyczerpanym źródłem poetów, ale ktoś, czyjego imienia nie poznano, zyskał on jednak jednogłośnie poparcie jury dzięki anonimowemu sonetowi, który później wyryto na postumencie pomnika, na płycie ze sztucznego marmuru. Najśłynniejsze stały się dwa ostatnie wersy:

*Z Maginy Hiszpanii przydaje blask
ośńiewających twych czynów brzask.*

Lorencito Quesada porównał w „Singladurze” tajemnicę spowijającą nie podpisany wiersz z innymi niezgłębionymi tajemnicami ludzkości: autorstwem *Łazika z Tormesu* i *Anonimowej romancy*, tożsamością Nieznanego Żołnierza i architektami, prawdopodobnie pozaziemskimi, którzy wzniesli egipskie piramidy. W styczniu, w dniu moich urodzin, ojciec pokazał mi w Madrycie stronę z gazety, gdzie wydrukowano anonimowy sonet i artykuł Lorencita Quesady, obok bardzo zamazanej fotografii z uroczystości odsłonięcia pomnika Rzeźnika, podczas której prawie nie było przemówień i nie grała orkiestra, ojciec nie wiedział, czy z powodu niedbalstwa władz, czy dlatego, że jeszcze byli pogrążeni w nieutulonym żalu po śmierci admirała Carrero Blanca. Pomnik, choć przedstawiał całą postać, też nie był szczególny, i ojciec nie potrafił odnaleźć żadnego podobieństwa do oryginału ani nie był zachwycony miejscem, w którym postanowiono go ustawić: mały skwer na obrzeżach Maginy, zagubiony pośród szerokich asfaltowych skrzyżowań otaczających miasto od północy.

Przebywałem w Madrycie zaledwie od kilku dni, w skromnym i czystym pensjonacie przy ulicy Świętego Bernarda, w pobliżu Plaza de España, i wspominałem Maginę, jakby upłynęło już wiele czasu od mojego wyjazdu; nie wiadomo dlaczego czułem się samotny i

przepelniony nostalgią, przede wszystkim wieczorami, kiedy siadałem nad książką i patrzyłem przez okno na podwórko, na którym rozbrzmiewały rodzinne rozmowy i unosił się zapach jedzenia. Miałem długie pejsy i wąsy, a kiedy przyjechał ojciec, policzki miałem już przycienione brodą – nieregularną, raczej rzadką, która być może miała stać się podobna do brody Che Guevary. Pomyślałem, czy jej nie ogolić, kiedy ojciec zadzwonił do pensjonatu i oznajmił mi, krzyżując, że przyjedzie do mnie w dzień moich urodzin. W noc poprzedzającą jego przyjazd, stojąc przed lustrem z pokrytym pianą pędzlem w jednej ręce i maszynką do golenia w drugiej, zebrałem się na odwagę i zdecydowałem się nie golić. Przyjechał ojciec, przytulił mnie mocno i ucałował w oba policzki, odsunął mnie od siebie, żeby zobaczyć, czy mocno schudłem i czy mam podkrążone oczy, nie powiedział nic na temat brody. Miał wielką paczkę z kiełbasą i ciastem przygotowaną przez matkę i sam zamknął ją w szafie na klucz – w Madrycie jest wielu łajdaków, a ja jestem biednym nieszczęśnikiem, dlatego muszę mieć oczy szeroko otwarte, żeby mnie nie oszukali i nie okradli.

Obejrzał pokój; jest mały, powiedział, ale wygodny, choć miał tę niedogodność, że nie docierało do niego świeże powietrze, był zdecydowanie lepszy od pokojów w pensjonatach, w których on sypiał w młodości podczas podróży do Madrytu. Zrobiła na nim wrażenie łazienka – powiedział, że jak tylko będzie mógł, zrobi taką samą w naszym domu w Maginie. Przyjechał bardzo wcześnie, ekspresem, a ja zasnęłam i nie wyszedłem po niego na stację Atocha. Niewrażliwy na brak snu i zmęczenie po nocy spędzonej w wagonie drugiej klasy, pojawił się w pensjonacie, emanując taką samą radosną i młodzieńczą siłą, z jaką codziennie o świcie przychodził na rynek, ubrany starannie, jakby szedł na pogrzeb, w szarym płaszczu i w krawacie, w wielkich czarnych butach skrzypiących przy każdym kroku. „Jak to, już tak późno, a ty jeszcze śpisz?” Zaprowadziłem go na śniadanie do kawiarni na parterze i zapytał mnie, co zamówiłem; po raz pierwszy w życiu widział croissanty. Zamówił faworki, a ja powiedziałem, że w Madrycie nazywają się *churros*. Stwierdził, że nie ma to znaczenia, bo i tak nie umywają się do faworków z Maginy. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, przy niewielkim, czerwonym, plastikowym stoliku, postrzegając go jako nieokrzesanego, raczej nieprzystającego do stałych bywalców kawiarni, w tym szarym płaszczu o bardzo szerokich ramionach, z niepewnymi i ceremonialnymi ruchami, wielkimi, ciemnymi i popękkanymi dłońmi o bardzo grubych palcach, złożonymi na czerwonym blacie stolika.

W wieku czterdziestu pięciu lat miał już siwe włosy, ale jeszcze bardzo mocne, kręcone, błyszczące, jak na ślubnym zdjęciu. Uśmiechał się, wycierał usta papierową serwetką, patrzył, jak kroję croissant nożem i widelcem, i znać w nim było pewną dumę. „To ci dopiero” – powiedział – „masz osiemnaście lat, a mnie się wydaje, że dopiero wczoraj się urodziłeś. Było tak zimno w pokoju belki, a ty byłeś taki malutki, że baliśmy się, że nam umrzesz. Twoja matka, wiesz, jaka ona jest, patrzyła na ciebie i uderzała w płacz. Jakbym widział, jak myje cię kuma, przy świeczce. Tak wiało, że połamało słupy elektryczne. Myśleliśmy, że zerwie nam dach. To był rok wielkich mrozów. Przemarzła połowa drzew oliwnych w Maginie. Naszej krowie skwaśniało mleko i cielak zdechł z głodu”.

Nigdy nie słyszałem, żeby coś wspominał na głos; znałem na pamięć wszystko, co mi opowiadał, bo matka i babka Leonor powtarzały mi to wielokrotnie, ale nie sądziłem, że wspomnienia są dla niego ważne albo że mógł je przywoływać z taką czułością i zawstydzeniem. To jednak nie sprawiło, że czułem się mu bliski; peszył mnie, kulilem się instynktownie i pozwalałem mu mówić, spuszczałem głowę, czując się niezręcznie, żeby na niego nie patrzeć. Był pochmurny niedzielny poranek, ale nie padało, i fasady domów w Madrycie, poczerńnię od samochodowych spalin, miały ten sam odcień jednostajnej szarości co niebo. Wspominałem białe ściany budynków w Maginie, migotanie słońca na piaskowcu pałaców. Zeszliśmy na Plaza de España i ojciec odchylił mocno głowę i oparł się na moim ramieniu, aby podziwiać wysokość Torre de Madrid. Opisał mi z satysfakcją szczegóły swej

podróż metrem, przesiadkę na Puerta del Sol, jak bardzo uważał na nazwy stacji, żeby nie pojechać za daleko, jak bardzo uważał przy wsiadaniu i wysiadaniu z pociągu, jak przezornie schował portfel do wewnętrznej kieszeni, żeby mu go nie ukradli. Udałem, że interesuję się ogrodem i zbiorami oliwek; odpowiedział, jak wszyscy mówili co roku, że zbiory będą fatalne, bo nie padało już tak jak kiedyś. Zdziwił się na widok drzew oliwnych na Plaza de España, zbliżył się do nich z zadziwieniem, z jakim pozdrowiłby jakiegoś niespodziewanie spotkanego krajana, dotknął gałęzi, zerwał garść poskręcanych, spiczastych liści i przyjrzał się im z pogardą – były to chore drzewa, zatrute spalinami i bliskością ludzi. Zanim wymyślono pestycydy, można było sadzić oliwki tylko w pewnej odległości od ludzkich siedzib. „Dzieje się z nimi to co ze mną”, powiedział, popatrzył na pomnik Don Kichota i Sancho Pansy i wyrzucił pęd do fontanny, „wiedną, kiedy jest dużo ludzi”. Postać Sancho mu się spodobała: „Nie wydaje ci się podobny do porucznika Chamorro? I oślica też jest taka sama”. Wiał silny wiatr od Parku Zachodniego. Zapiął płaszcz, zatarł dłonie, powiedział, że na pewno się przeziębę, ubrany tylko w dżinsy i granatową kurtkę. „Przynajmniej nie zimno ci w kark”; była to aluzja do moich za długich włosów.

Poszliśmy w górę Gran Via, niemal pustą o tej porze, ruch był tak niewielki, że ulica wydawała się opuszczona i szersza, nieograniczona w swej najwyższej części, przy budynkach Callao i olbrzymich markizach kin. „Pomyślałem sobie, że sprzedam ziemię”, powiedział ojciec po chwili milczenia. Spojrzawszy na niego, poczułem, że zmieniły się rozmiary świata – byłem wyższy od niego, ale przede wszystkim pomniejszała go wielkość Madrytu, bo do tamtej chwili widziałem go tylko w Maginie, w tych samych miejscach, które zostały powiększone dziecinnym spojrzeniem. „Nie mam już sił, żeby tyle pracować, a lekarz mówi, że w każdej chwili może mnie złapać ten ból”. Nie ganił mnie za to, że go opuściłem; poddawał się melancholijnie oczywistym zmianom, akceptował to, że nie jest już młody i że moja przyszłość nie będzie taka, jak to sobie wyobrażał. Nie wiedziałem jednak, co powiedzieć ani w jaki sposób spędzić z nim cały dzień, długą i pustą niedzielę, która miała trwać aż do czasu, kiedy w nocy, o jedenastej, pożegnam go na stacji. Był niez mordowanym piechurkiem; zaproponowałem mu, że pójdziemy pieszo aż do parku Retiro. Przy stacji metra Callao zatrzymał się, żeby obejrzeć mapę Madrytu, i wyciągnął z kieszeni kartkę, na której miał zapisany jakiś adres: „Zobacz, czy potrafisz zawieźć mnie tutaj. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy odwiedzić kuzyna Rafaela”.

Udało mi się nie pogubić w rozkładach jazdy metra i autobusów i po dwóch godzinach wysiedliśmy na nie pokrytym asfaltem placu w Leganés. Teraz trzeba było tylko znaleźć dom. „Nie martw się. Jeśli nie znasz drogi, możemy zapytać. Kto pyta, nie błądzi”. Kuzyn Rafael mieszkał w dziesięciopiętrowym bloku, otoczonym wykopami, stosami rur, opuszczonymi i zniszczonymi przez koparki ogrodami. Pośród błota stał domek taki sam jak w naszym ogrodzie, ze żłobami pod okapem, ale z zawalonym dachem i powyrywanych futrynami. „Siedem B. Znaleźliśmy”, powiedział ojciec, wzruszył ramionami i poprawił krawat. Zauważyłem, że bał się w windzie i starał się, żebym tego nie zauważył. Mieszkanie kuzyna Rafaela było niewielkie i mroczne w ten zimowy poranek; w korytarzu pachniało jedzeniem, a na ścianie wisiał obrazek Chrystusa Nazareńskiego pod plastikowym daszkiem i z niewielkimi światełkami. Kuzyn i ojciec objęli się, a potem jego żona, rozczochrana, w brudnym fartuchu, w starych kapciach i wełnianych skarpetkach, wyszła z kuchni, ucałowała nas i zapytała, czy chcemy wypić kieliszek anyżówki i zjeść ciasto z Maginy. Wysoki chłopak z długimi włosami przeszedł szybko z balkonu do pokoju w środku mieszkania, a kuzyn Rafael kazał mu podejść i się przywitać. „Choć tu i pocałuj się z kuzynami”. Był mniej więcej w moim wieku, ale miał znacznie dłuższe włosy i więcej przyszczy. Musnął nasze twarze, nie patrząc na nas, i znowu zniknął, zaraz potem usłyszeliśmy zza zamkniętych drzwi ostrą piosenkę Slade. W jadalni, nad kanapą ze skaju, na której usiedliśmy z ojcem, wisiał gobelin przedstawiający jelenie, a obok niego oprawiona w ramki fotografia wujka Rafaela.

„Kuzynie, jaka szkoda mojego ojca, był takim dobrym człowiekiem. Patrząc na zdjęcie i wydaje mi się, że się do mnie odezwie”.

Kuzyn Rafael metodycznie wypytał nas o całą rodzinę, zainteresował się studiami, które zacząłem, powiedział, że gdyby mi czegoś brakowało, wiem, gdzie go znaleźć, żalił się, że jego syn nie chce się uczyć, spędza czas zamknięty w pokoju i słucha tej muzyki, od której można ogłuchnąć. Zapytał mnie, czy pamiętam, jak mieszkaliśmy w pokoju belki i on przychodził odwiedzać ojca i robił dla mnie zwierzątka z pudełek po lekarstwach. „Popatrz, kuzynie, taki był mały, a teraz jest już mężczyzną”. Wspominali czasy, kiedy byli dziećmi i razem łapali żaby w zbiornikach wody w ogrodach; panował taki głód, że próbowali tylko takiego mięsa. „A twój ojciec nie był nikim. Siał miętę w rowach nawadniających, a potem sprzedawał ją Maurom Franco, żeby sobie robili herbatę, a za to, co zarobił, chodziliśmy razem oglądać rewię”. Zachował akcent z Maginy. Patrząc na mojego ojca z takim samym entuzjazmem, z jakim pewnie parzył na niego, kiedy różnica wieku – dwa czy trzy lata – zmieniała go we wzór do naśladowania albo niemal bohatera. „Powinieneś przyjechać do Madrytu wtedy, kiedy ja przyjechałem, kuzynie, i zostawić ziemię i te wszystkie wyrzeczenia. Popatrz na mnie: osiem godzin i jeszcze nadgodziny, wakacje, opłacone Boże Narodzenie i 18 lipca, i nie muszę patrzeć w niebo, żeby sprawdzić, czy będzie padać czy nie”. Był jednak w jego głosie, w twarzy, bardziej zniszczonej niż mojego ojca, smutek przedpokoju i mebli z jego mieszkania, i pochmurnego niedzielnego poranka, początki złego samopoczucia, podobnego do nastroju kogoś, kto nieustannie myśli o chorobie, o której nie mówi. Zamyślał się, choć nie przestawał uważnie śledzić tego, co mówiliśmy, z niesmakiem wsłuchiwał się w głośną muzykę dobiegającą z pokoju syna i natychmiast spieszył dolewać nam anyżówki, a potem piwa, częstował chipsami i duszonymi, przyprawionymi tymiankiem oliwkami z Maginy. Musieliśmy zostać na obiad, a ojciec, zamiast wracać tej samej nocy do mordęgi rynku i ogrodu, może spędzić kilka dni w jego domu, pokaże nam całe Leganés, zabierze nas do baru pełnego naszych krajanów, pojeździmy po całym Madrycie autobusem za darmo, był przecież kierowcą weteranem w przedsiębiorstwie. „Kuzynie, nie wyobrażasz sobie, jakie pieniądze ludzie tu zrobili. Śmiej się z don Juana Marcha i z rodziny generała Orduñi. Widziałeś te wszystkie bloki? Całkiem niedawno były tu ogrody i nie wyobrażasz sobie, ile milionów dali właścicielom. Ale człowiek patrzy na maszyny rozwalające to wszystko i ściska go w gardle”.

Zjedliśmy ogromne talerze ryżu z kurczakiem przyprawionym tak, jak robiono to w Maginie, a potem poszliśmy do baru, gdzie wisiał obraz właścicielki, wielkie zdjęcie Rzeźnika i kolorowy plakat, na którym widać było plac generała Orduñi. Zmierzchało, kiedy kuzyn Rafael odprowadził nas na przystanek. Dumnie oznajmił kierowcy, że jesteśmy jego rodziną i nie musimy płacić za bilet powrotny do Madrytu. Nie przestawał mówić, czekając, aż odjedziemy, ze swego rodzaju smutnym wigorem, z wyrazem drażliwej dobrotliwości, sprawiającym, że wydawał się podobny do swego ojca z fotografii, na której wypatrzyłem podpis Ramira Portrecisty. „Kuzynie, a wiesz, że go widziałem któregoś dnia na Plaza de España? Podeszedłem, żeby go pozdrowić, ale mnie nie pamiętał. Miał taki wielki aparat do portretowania turystów i par zakochanych. Pamiętasz, jak sobie zrobiliśmy to zdjęcie na jego motorze w czasie świąt?” Drzwi autobusu zamknęły się i kuzyn Rafael został na przystanku, machając ręką, dopóki nie stracił nas z oczu. Ojciec wiercił się na siedzeniu, zerkał na zegarek, nie mógł się doczekać przyjazdu na stację. Była szósta, do odjazdu pociągu zostało jeszcze pięć godzin, ale krew się w nim burzyła, jak zawsze mówił, nie mógł zapanować nad strachem, że się spóźni. Siedząc po drugiej stronie autobusu, widziałem jego profil na tle okna, za którym przesuwali się przytłaczający pejzaż betonowych budów i pogrążonych w mroku osiedli; niespokojny, godny, rozpoznawany i przewidywalny w każdym ruchu, w sposobie patrzenia na zegarek albo poprawiania płaszczka, spoglądania na światła

nadjeżdżających z przeciwka samochodów, na mruganie świateł ulicznych w smolistej ciemności asfaltu, na oświetlone okna na najwyższych piętrach wieżowców. Któregoś dnia oglądaliśmy w telewizji film dokumentalny o wojnie na Kubie i pokazano zdjęcie tłumu mężczyzn w pasiastych mundurach, tłoczących się na nabrzeżu w Hawanie, tuż przy trapie parowca. „Widzisz tych wszystkich ludzi?”, zapytał, a ja pomyślałem, że zacznę mówić o pradziadku Pedro Expósito, „Wszyscy już umarli”. Kiedy ogłaszano przez megafony odjazd pociągu, siedzieliśmy na stacji Atocha już od ponad godziny. Stojąc tuż przy stopniach, bardzo zdenerwowany, chcąc z pewnością powstrzymać strach przed tym, że pociąg odjedzie bez niego pomimo wszystkich środków ostrożności, objął mnie i pocałował, przesunął dłonią po moich potarganych włosach, powiedział, żebym dobrze jadał, uczył się, wstawał wcześniej, nie mieszał się do polityki. Potem otworzył portfel i wręczył mi dwa banknoty tysiącpesetowe. Zrobił to dyskretnie, ale nie omieszkał zasugerować mi – rozmyślną powolnością gestu i poważną miną – że jestem w Madrycie wbrew jego woli i że wiele go kosztowało zarobienie tych pieniędzy. Energicznie wszedł po schodkach, kiedy rozległ się gwizdek. Trzymając się poręczy, pewien już, że pociąg nie odjedzie bez niego, powiedział, że poprosi mnie tylko o jedną rzecz. „Na Boga, zgol tę brodę”. Dzięki jego siwym włosom mogłem go odróżnić pomiędzy innymi pasażerami wychylającymi się przez okna, kiedy pociąg się oddalał, a potem, z uczuciem ulgi i niewielkiego żalu z powodu jego odjazdu, wyszedłem w noc i chłód w kierunku odległych świateł Madrytu.

III

Jeździec polski

NIGDY TYLE NIE MÓWIŁEM, przez tyle czasu, mówię do ciebie, kiedy na mnie patrzysz albo kiedy gasimy światło i wtulasz się we mnie, i prosisz, żebym nie przestawał opowiadać, mówię jednak, nawet kiedy już zasnąłaś i słyszę twój równy oddech, a gdy budzę się rano i widzę, że wyszłaś, żeby kupić gazetę, i zaskakuje mnie twoja nieobecność, ponownie prawie zasypiam, wyciągam się w łóżku i wydaje mi się, że otula mnie nie tylko pościel i kołdra, lecz twoje ciepło; lubię tak leżeć, drzemiąc jeszcze, ale bardzo bliski obudzenia, odbierając wrażenia nie związane ze snem, słyszę zgrzyt klucza w zamku, twoje ostrożne kroki, szum wody w zlewie, szcęk filiżanek i wyciskarki do soku, czuję zapach opiekanego chleba i kawy, otwieram oczy i widzę cię po drugiej stronie korytarza, w kuchni za przymkniętymi drzwiami, odgarniasz włosy, przytrzymując je po jednej stronie palcami, widzę twój profil, skupiasz się na rozstawianiu filiżanek, szklanek z sokiem i dzbanka z kawą na tacy, jesteś bardzo zamyślona, jakbyś nie miała pewności, że niczego nie brakuje, przechodzisz przed drzwiami sypialni, być może myśląc, że śpię, i wiem, że nastawisz płytę, lubisz zaczynać dzień przy piosenkach Arethy Franklin albo Sama Cooka, albo Beatlesów, choć czasem nie stronisz też od Miguela de Molina albo Conchy Piquer, kryształowej fugi Bacha, a kiedy przychodzisz z tacą, bojąc się, że wyśliznie ci się z rąk, ja już jestem rozbudzony i znowu zaczynam mówić, leniwie opowiadam ci swój sen, patrzę, jak wlewasz do mojej kawy gorące mleko i nie pytając, dodajesz dwie łyżeczki cukru, i zdaję sobie sprawę, że nabraliśmy już przyzwyczajęń, podczas tych zaledwie kilku dni, zdumiewa mnie to i cieszy, tak samo jak dziwi mnie to, że mówię nieustannie przez tyle czasu, tak refleksyjnie, tak powoli, z precyzją, której nauczyłem się od ciebie, mówię na głos o sobie i o własnym życiu, czego dotychczas nie robiłem, może dlatego, że nikt nigdy nie zadawał mi tylu pytań co ty.

Wolałbym zamilknąć, słuchać innych, patrzeć na nich i podglądać. Używałem swego głosu, żeby wymyślać albo kłamać, albo żeby maskować się w głosach innych, żeby mówić to, co inni chcieli, żebym powiedział, albo to, co uważałem za stosowne, wymawiałem słowa miłości i nie byłem pewien, czy są prawdziwe, ale starałem się w nie wierzyć, kiedy je wypowiadałem, żyłem poza sobą samym, w gąszczu słów, wyszedłem z siebie, aby się zgubić pośród nich, tak samo jak wychodziłem z domu, aby móc znieść samotność i, gnany nagłą potrzebą, poszukiwałem kogoś, kogokolwiek, przyjaciół albo kobiet, barów, gdzie wybuchy śmiechu i muzyka przytłumiłyby mą świadomość, gdzie mógłbym słyszeć wokół siebie słowa, które ścigałem bez przyczyny, podobnie jak ścigam te rozbrzmiewające w słuchawkach, kiedy siedzę zamknięty w kabinie tłumacza, fragmenty przemówień lub rozmów, setki tysięcy, miliony słów wypowiedzianych jednocześnie w czterech albo pięciu językach, a żadne nie ma nic wspólnego ze mną ani z żadnym rodzajem prawdy; przestawałem ich słuchać i powracałem do tej samej ciszy, przed którą umykałem, doprowadzały mnie do rozpacz, ale nie potrafiłem bez nich żyć, bałem się nie słuchać, niczym ślepiec, który odkrywa, że został sam, nastawiałem płytę, włączałem radio, milkłem, aby usłyszeć głosy z sąsiedniego mieszkania, prowadziłem nużące dialogi z własnym cieniem, wydawałem sobie rozkazy i udzielałem porad, nie zobaczysz więcej tej kobiety, nie pij więcej, nie zapomnij wyrzucić śmieci, wstawaj, bo jest za dwadzieścia dziewięć, nie strać tej blondynki, która weszła do jadalni, albo w myślach rozmawiałem z Feliksem przez telefon, pisałem do niego listy, których nigdy nie przelałem na papier, zmieniałem głos, rozmawiałem z kimś i przejmowałem jego akcent, w przypadku opinii i stanów duszy innych

ludzi dzieje się ze mną to samo, natychmiast mi się udzielają, dlatego nie potrafię dyskutować, natychmiast stają po stronie swego przeciwnika, nie kosztuje mnie też wiele nauczenie się języka albo naśladowanie czyjś głosu, Feliks mówi, że mógłbym zarabiać na życie jako brzuchomówca; to tak jak podróżować do innego kraju, nie ruszając się z miejsca, jak zmienić duszę i pamięć, a nawet tożsamość, i mnie umyka moja tożsamość, kiedy przestaję uważać, nie potrafię zostać przy pierwszej osobie liczby pojedynczej, a w liczbie mnogiej niemal nigdy jej nie używałem, wydaje mi się, że dopiero teraz potrafię zdobyć się na powiedzenie ja i my bez poczucia fałszowania rzeczywistości albo pragnienia ucieczki, nie wymyślając tego, co mówię i do kogo mówię. Jednak boję się słów nigdy i teraz, kochankowie uwielbiają je powtarzać, ty i ja na pewno mówiliśmy je innym osobom, nigdy nie kochałem nikogo tak jak ciebie, nigdy nie byłem tak szczęśliwy jak teraz, nigdy nie było mi tak dobrze, nienawidziłem ich, kiedy się z tobą spotkałem, postanowiłem wyleczyć się z miłości, mniej więcej tak samo jak odzwyczajają się od palenia, buntowałem się przeciw jej złudności, pustce, wszechobecności, wszystkie piosenki, książki i filmy zanudząją miłością, we wszystkich językach, wszyscy kochankowie przysięgają sobie nigdy i nigdy więcej, i tylko teraz, i na zawsze, wszyscy czekają na miłość albo ją udają, albo w tej chwili się kochają, albo tęsknią za nią, albo cierpią rozpaczliwie z jej powodu lub bez przyczyny, dlatego, że przeczytali książki albo wysłuchali piosenek, w których ludzie się zakochują, zabijają się, by zdobyć miłość, płacą i kłamią, i upokarzają się, by jej zaznać, duszą się z nudów, rozczarowania albo zwykłej chęci ucieczki, albo ze strachu, że zostaną sami w łóżku, kiedy ją posiadli, udając pieśczęty i orgazmy – co za słowo, powinno się go zakazać, choć istnieje bolero, którego tytuł brzmi właśnie tak – skowycząc jak psy, maskując w ciemności obojętność albo obrzydzenie, palą później w łóżku, zachowując milczenie, bo nie wiedzą, co sobie powiedzieć, albo z obawy, że kiedy otworzą usta, nie będą potrafili pohamować ziewania, albo gorzej jeszcze – rozważnie komentują błahe perypetie swego związku, aby uszlachetnić je wazeliną szczerości, powtarzają pozycje lub słowa wyuczone z pornograficznego filmu wideo, skromne perwersje, grubiańskie detale, od których spąsowieliby, myśląc o zażenowaniu innych ludzi, gdyby je usłyszeli, wyobrażają sobie z zamkniętymi oczyma, że obejmują inne ciało i wypowiadają inne imię.

Odrzucałem to z wściekłą determinacją, niczym mnich zamykający się na siedem spustów w swej celi, aby nie wyjść, odmawiałem sobie pożądanego, nakazywałem sobie neurotyczne wypełnianie obowiązków, manię mężczyzny samotnego pośród ludzi tak samotnych jak on i w dżdżystym mieście, gdzie ulice pustoszeją po szóstej wieczorem; czytanie gazety podczas powrotu do domu autobusem, umiejętność tak trudna do wyćwiczenia jak nieocieranie się o nikogo i niepatrzenie nikomu w oczy, przesadne ogrzanie mieszkania, nieporządek cotygodniowo likwidowany przez gosposię, ale rosnący z godziny na godzinę niczym zarośla w puszczy, brudny ręcznik w rogu łazienki, stos talerzy ułożonych w zlewie, kolacja szybko podgrzana w kuchence mikrofalowej i spożyta przed telewizorem, coraz bardziej dojmująca cisza, nie do zniesienia około dziesiątej albo jedenastej w nocy, szczególnie jeśli nie ma żadnego interesującego filmu albo takiego, któremu łatwo ulec, przezorne nastawianie budzika i jako największa rekompensata – satysfakcja z wczesnego położenia się i nieupicia, niecierpienia z niczyjego powodu, i świadomość, że nikt nie ma prawa twierdzić, że cierpi przeze mnie, papieros wypalony do połowy i szybko odłożona książka, szklanka wody i kapsułka valium, podstępny ukłutek, aby przetrwać bez entuzjazmu, ale także umiarkowanie oddalające niebezpieczeństwo przerażenia, samotna małostkowość stopniowo wtłaczająca człowieka w swego rodzaju pancerz, którego nie dostrzega, ukryty w swym zakątku jak karaluch, z rezygnacją i poczuciem zagubienia, które nie wpływa na efektywność w pracy, a nawet ją zwiększa, bo praca jest jedyną prawdopodobną przyszłością, jaką potrafi sobie

wyobrazić, i na koniec każdego miesiąca przynosi niewątpliwą korzyść, a każdego dnia dostarcza swej dozy intryg, próżności, nudy i żalu.

Przyzwyczałem się do rozmawiania z niewieloma ludźmi i do bycia obcokrajowcem, i już nie czułem nostalgii za Hiszpanią, wracałem na wakacje i odnajdowałem kraj prostacki i hałaśliwy, gdzie wszyscy palą wszędzie i zawsze rozmawiają, krzycząc, i już po tygodniu chciałem wyjechać. Jechałem do Maginy i umierałem ze smutku, widząc postarzałych rodziców, dziadków coraz bardziej zgrzybiałych i zniedołężniałych, przyjaciół zamkniętych w sobie bez śladu buntu w swej prowincjonalnej melancholii, grubszych, bardziej łysych, z dziećmi i swoimi obowiązkami, i przyjaźniami, które nie miały już ze mną nic wspólnego, przyjmowali mnie za każdym razem z gościnnością przytłumioną nieufnością, jakby w głębi duszy wyrzucali mi moją ucieczkę, która była tylko konsekwencją naszej wspólnej chęci wyrwania się, a którą tylko ja zrealizowałem do końca, nie dlatego, że byłem odważniejszy od nich, ale dlatego, że pchający mnie prąd był silniejszy i nie miał fali zwrotnej; wyrzucali mi, że nie byłem na ich ślubach, że straciłem akcent z Maginy, pytali o moją pracę i o miasta Europy, w których żyłem od lat, a ja obawiałem się, że zranią ich moje odpowiedzi. Z jaką ulgą wyjeżdżałem z Maginy i wsiadałem do samolotu w Madrycie! Teraz jednak odkrywam, spostrzegłem to któregoś dnia w hotelu na obrzeżach Chicago, który wydawał mi się nawiedzony, że bałem się bardziej, niż mi się zdawało, czułem, jakbym zbliżał się do granicy, gdybym zrobił jeszcze kilka małych kroków, nie byłoby odwrotu, stałbym się obcokrajowcem na zawsze, nie istniałoby na świecie żadne miejsce na tyle dla mnie ważne, bym chciał w nim przebywać. Poznałem wielu takich ludzi, są jak jakieś plemię, odrębna rasa, żyjąca w diasporze bez prześladowań ani ziemi obiecanej, nigdy nie wiedzą zbyt dobrze, gdzie się znajdują, nigdy nie przyzwyczajają się do państwa, w którym się osiedlili, ale wracają do swego kraju i stwierdzają, że zbyt wiele czasu spędzili za granicą, że utracili wyczucie własnego języka i nie udaje im się zrozumieć na przykład wiadomości telewizyjnych albo żartów z gazety, ponownie wyjeżdżają, poddają się, wiedzą, że nie ma już sensu wracać, że stracili pamięć i że od tej chwili będą żyli niczym duchy, nie zostawiające śladów i pozbawione cienia. Jednak kiedyś chciałem być właśnie taki, przysięgam, byłem zatruty słowami i to znacznie dłużej, niż trwało moje dorastanie, wydawało mi się, że kocham nomadyzm i samotność, bo były to czarodziejskie słowa, zaczerpnięte z wielkiej literatury. Jedyną rzeczą pewną pośród tylu kłamstw, jakie sobie opowiadałem, był strach przed pozostaniem w Maginie, przed wpadnięciem w sieć zależności i przyzwyczajień, śmiertelna trucizna codziennych zwyczajów: miłości, barów, pracy, rozmiłowanie się w powtarzaniu, więzące człowieka w domu, pośród rosnącej liczby przedmiotów, mebli, urządzeń elektrycznych, dzieci albo zwierząt, i w końcu wiążące go ostatecznie, nie dlatego, że tak postanowił, ale dlatego, że bezwiednie zaczął tracić możliwość wyboru.

Doprowadza mnie do szału posiadanie rzeczy: książek, fotografii, płyt, teczek z wycinkami z gazet, kolonii owadów rozmnażających się bez celu w dusznych pokojach, a nawet w kieszeniach, szafach z nieużywaną odzieżą, niepotrzebnych listów, na które się nie odpowie, ale których nigdy się nie wyrzuca, książek, których już się nie przeczyta, kaset, które utraciły pudełko i karteczkę z opisem, rzeczy bezwładnych, oblegających człowieka: monstualny sprzęt grający, klucze do dawno opuszczonych domów, bilety metra z numerem telefonu zapisanym na odwrocie, wizytówki, stare paszporty, są jak dżungla, w której bezustannie należałoby machać maczetą, aby nas nie zarosła, jak dom zjedzony przez termyty, który należy czym prędzej porzucić, zostawiając w nim wszystko, tak samo jak robili aeronauci Juliusza Verne'a – aby balon wzniósł się w powietrze, trzeba pozostawić balast: zwyczajne przedmioty, stare ubrania, bezużyteczne książki, nawet wspomnienia; wystarczy lekka torba podróżna, bilet na samolot, walkman mieszczący się w dłoni, paszport i karta kredytowa, nic więcej, nikt więcej, nawet nie ja sam, ten, którym byłem i już nie jestem, ten, który pozostał w opuszczonym domu jak wyschnięta i przezroczysta skóra gada, podczas gdy ja, uwolniony od

wszystkiego, lekki, niemal płynący nad ziemią wchodzę do taksówki i odjeżdżam w kierunku lotniska albo stacji kolejowej, podekscytowany, neurotycznie sprawdzam, czy nie zapomniałem żadnej z niezbędnych rzeczy, patrzę na zegarek, bojąc się, że przyjadę za późno, przeliczam minuty, naglony czasem, czuję, że się rozplątam, z takim samym niepokojem, z jakim wsłuchuję się w strumień płynących w słuchawkach słów i wychwytyuję je, aby ułożyć wedle składni innego języka, obawiając się, że pominię któreś z nich, czasownik, słowo klucz, i nie będę już mógł powstrzymać ich nie rozszyfrowanego zalewu, kaskady słów, która mnie zatopi, jakby szklana kabina była akwarium, z którego nie można wypłynąć. Stale je słyszę, jeszcze po wyjściu z kabiny, kiedy zapalam papierosa i sam idę ulicą albo jadę metrem, i mimowolnie tłumaczę słowa rozbrzmiewające wokół mnie, traktuję je jako zwiastun tych, które nadejdą później, słyszę je w ciszy swego pokoju i w półśnie, przed zaśnięciem, a czasem, po całym dniu pracy, śpię i śnię, że nie wyszedłem z kabiny tłumacza, i słowa mnie popychają, spowijają, wloką po bajorach tekstów, skserowanych przemówień, książek pisanych w miarę czytania, i usiłuję na bieżąco tłumaczyć, a kiedy podróżuję, to gdy nie słucham muzyki z walkmana, mówię do siebie, wybieram język, jakbym wybierał kraj, i dobieram w myślach właściwy akcent; korzyścią płynącą z życia pośród nieznanym jest to, że można, jeśli się chce, stać się tak plastycznym jak glina, opowiadać swe życie w miarę wymyślania go, modyfikować, sztukować, przypisywać sobie pamięć i sposób mówienia, z którym nie ma się nic wspólnego, wymazywać miesiące, całe lata, miasta, historie kobiet. Było to tak łatwe, że nie zdawałem sobie sprawy, iż jest też niebezpieczne, bo kłamstwo, raz wymyślone, zaczyna żyć własnym życiem i staje się kwasem żrącym prawdę w sposób nieodwracalny, szczególnie kiedy człowiekowi brakuje solidnych punktów odniesienia, a ma tylko miejsca ucieczki, z tego powodu z wielu miast i lat nie mam żadnych wspomnień, niczego, choć może ci się to wydać niemożliwe, biała plama, tak jak wtedy, gdy w Maginie wymazało mi się z pamięci tamtych pięć godzin, jak wtedy, gdy pije się zbyt wiele i traci się ostatnie fragmenty nocy; niektóre słowa za późno zostają wypowiedziane, a schody nie znajdują się na swoim miejscu, i wtedy pojawia się strach, trwoga i nieuzasadnione poczucie winy, podejrzenie, że się zapomniało albo przestało robić coś niezbędnego, że popełniło się drobny błąd, który spowoduje katastrofę.

Strach był wtedy, kilka tygodni temu, kiedy nie byłem z tobą, uczuciem wytrwałym i jedynym, odcieniem i barwą, osnową, dzięki której tkwały się inne namiętności, przede wszystkim pożądania i poczucia osamotnienia, strach wszechobecny jak powietrze i tak samo niewidzialny, czasem bezkształtny, bez zapachu ani smaku, niemożliwy do dotknięcia, a kiedy indziej był jak substancja dodana do wszystkich przedmiotów, wyczuwalna trucizna, niemal nigdy nazbyt gorzka, tak łatwa do przełknięcia bez mdłości, że przekształcało się to w nawyk, strach był jak jeden z soków podtrzymujących chemiczne funkcje organizmu i stany duszy, jak nikotyna i alkohol, a czasem, wieczorami, drobne białe kryształki kokainy; strach przyspieszający bicie serca w rytm posuwania się wskazówki sekundnika w budziku jarzącym się w bezsenne noce na szafce obok łóżka, strach ściągający usta w swego rodzaju sztywny uśmiech i przydający specyficznego blasku źrenicom, zbyt intensywnej czerwieni gruczołom łzowym, pobudzający palce do wybijania rytmu na aluminiowych blatach barów i obrusach w restauracjach, strach prowadzący dłoń do paczki papierosów albo do kieszeni kurtki w jej poszukiwaniu, strach, że się zostało bez papierosów w środku nocy w purytańskim kraju, gdzie nie ma już otwartych barów, że zgubiło się bilet na samolot albo paszport na kilka minut przed podróżą, że nie znajdzie się taksówki, że nie znajdzie się kogoś, z kim można by wrócić do hotelu albo do sypialni w mieszkaniu, strach przed dzwonkiem telefonu i zbyt długim jego milczeniem, strach przed utratą pracy z nieznanego powodu i powolnym pograżeniem się w nierzeczywistość oraz powrotem do biedy, do knajp z ceratowymi obrusami i zupą z makaronem na talerzach z duraleksu i do pensjonatów, w których unosi się zapach skarpet, strach odczuwany, kiedy startuje samolot albo kiedy zniecka zapalają się czerwone

światła ostrzegawcze podczas nocnego przelotu nad oceanem, strach przed ciężarówkami jadącymi z przeciwka i powiększającymi się aż zajmują całą przednią szybę, oślepiając reflektorami, strach przed bandytami i brutalnymi policjantami, przed plastikowymi strzykawkami rozdeptanymi w kącie jakiejś bramy, przed butlami z gazem, przed błędami sądowymi, przed urzędowymi listami pojawiającymi się w skrzynkach, strach przed bezsensownym zniszczeniem miłością i spustoszeniem samotnością, nieustanny strach, wszędzie, w każdych okolicznościach społecznych albo prywatnych, strach przed zarażeniem chorobą weneryczną, gdy dyszy się w twarz nieznajomej kobiety, przed rakiem płuc, przed wiatrem wiejącym od jeziora Michigan, przed kłującym bólem przeszywającym piersi podczas źle przespanej nocy, przed starością, przed zniedołężnieniem, przed powolną śmiercią, przed własną twarzą w lustrze, przed własnym cieniem kołyszącym się w niegodnym epilogu pijaństwa, cichy i uległy strach, niczym uspiony kot na kanapie, albo zjeżony i rosnący jak zwierz czający się w głębi korytarza, gdzie lśni czerwona tabliczka EXIT, strach przed strachem, strach przed szaleństwem, który poznać może tylko ktoś, kto samotnie spędza wiele czasu, przed nagłą utratą przytomności, przed stopniem, którego brakuje w schodach, przed intruzem pojawiającym się przede mną, kiedy otwieram drzwi mieszkania, i to ja nim jestem, moje odbicie w lustrze przedpokoju.

Tak żyłem, chory i umierający ze strachu, a zarazem żywy z powodu strachu i zdrowy, wsłuchiwałem się w strach pod skórą i w sekretnych tkankach serca i płuc i dostrzegałem go u innych z przenikliwością homoseksualisty albo uzależnionego, który wychwytuje swoich w tłumie albo pośród zaproszonych na wykwinną kolację; strach jako zasada w jakimś bractwie, jak wspólny język, którym posługują się wszyscy pod niepotrzebnym i zdradliwym brzmieniem słów, archeologia strachu, uczenie się go, jego pokłady, relikty przechowywane w podświadomości i w snach niczym fragmenty posągów pogrzebanych na dnie morza. Większa część mojego życia popadła w niepamięć, pozostawiając mi zaledwie kościec strachu; strach przed tajniakami na uniwersytecie i przed końmi niebieskich, strach – przed oficerami w koszarach, przed „dziadkami” w wojsku, przed bronią palną, przed pomyleniem kroku w czasie musztry i dostaniem w pysk – był, kiedy miałem dwadzieścia trzy lata, ożywionym strachem z dzieciństwa, dziecięcy strach przed większymi i okrutnymi dziećmi i przed sierotami z ochronki pomocy społecznej, które miały ogolone głowy i zbiegały ulicą Fuente de las Risas gromadami, w konopnych łapciach, marynarkach po dorosłych i beretach naciągniętych na uszy, z posępnymi twarzami z powojennego okresu, nie dziecięcymi ani dorosłymi, jedynie zrozpaczonymi i dzikimi, Czapki, tak je nazywano, a kiedy wiadomo było, że się zbliżają, Feliks i ja chowaliśmy się w naszych domach, bo nosili w kieszeniach noże i ostre kamienie, którymi ciskali z zabójczą celnością w psy, w tchórzliwe dzieci, takie jak my, i w głupków o obwisłych spodniach, zasmarkanych i nie wadzących nikomu, zdających się istnieć tylko po to, by być ofiarami jakiegoś spontanicznego okrucieństwa; Kuzyn o zapadniętej twarzy i łysej głowie w kształcie cebuli, nosił ogromne płaszcze z porozdzieranymi kieszeniami i ryczał wniebogłosy, kiedy ścigali go kamieniami, rechocząc ze śmiechu; Manolo, który był wielki i gruby, mongołowaty, z okularami na łańcuszku, skrupulatnie wypełniał polecenia matki, choć uwielbiał, bardziej niż przystoi, zaczepiać dziewczęta; Juanito miał zrośnięte brwi i ogromne czerwone dziąsła, zawsze chodził bardzo szybko i kłaniał się nabożnie wszystkim dziewczynom, którym recytował zaślinione komplementy o ich doskonałej niewinności; Matías, głuchoniemy, który nie był całkiem głupkowaty, ale raczej oszołomiony, i który po trzydziestu latach pracy jako pomocnik Ramira Portrecisty wcisnął się do kabiny dziwnego pojazdu i dobrze zarabiał na życie, rozwołując paszę; i wreszcie Juanito, który mieszkał na Altozano, obok fontanny, i był synem kobiety, którą otwarcie i z naturalnością nazywano Brzydulą, bo rzeczywiście nią była, a do tego była nieszczęśliwa, bo mąż wyjechał do Barcelony i porzucił ją z szóstką dzieci, z których najmłodszy był właśnie niedorozwinięty Juanito, z nim czasem się bawiłem, bo był

niemal jedynym w całej dzielnicy, który mnie nie bił ani nie zabierał mi komiksów i kulek, a kiedy widział, że się zbliżam, okazywał niewinną, psią radość. Widziałem go po raz ostatni, kiedy byłem w Maginie, wydaje mi się, że rok temu, przyjechałem na kilka tygodni, a wyjechałem po czterech dniach, teraz sprzedaje słonecznik i łakocie w kiosku w podcieniach na placu generała Orduñi, chodzi i patrzy zupełnie tak jak wtedy, ma takie same łagodne i smutne oczy zwierzęcia i taką samą infantylną twarz, nawet nie rośnie mu broda, podszedłem do niego, żeby kupić papierosy, i wzruszyły mnie te jego oczy, które już mnie nie rozpoznają, nie dlatego, że mnie zapomniał, ale dlatego, że ciągle żyje w czasie, z którego ja już odszedłem albo zostałem wyrzucony dwadzieścia pięć lat wcześniej, w czasie naszego wspólnego dzieciństwa, które dla niego nadal trwa.

Chciałem jednak dalej mówić o strachu i o tym, co prawdopodobnie było jego przyczyną i istotą, niepewność co do siebie samego, swoich pragnień i uczuć, oszałamiający i rosnący pośpiech, którym byłem wleczony, bez udziału woli ni świadomości, było to jak spacerowanie główną ulicą miasta w porze, kiedy wszyscy wychodzą z biur i, chociaż nie ma się nic do roboty, przyspiesza się kroku, aby wpasować się w rytm tłumu, pogrążony w nim i przezeń wchłonięty, szybkość, która zdaje się energią, a jest wirem powolnego opadania, nigdy się nie zatrzymać, nie uronić ani jednego ze słów słyszanych w słuchawkach, nie zostać samemu o pewnej nocnej godzinie, nie spóźnić się do pracy ani do stanowiska odpraw na lotnisku, dodawać minuty, nie patrząc w stronę wąskiej szczeliny pustki pomiędzy nimi, kieliszek za kieliszkiem, podróż rozpoczęta zaraz po zakończeniu poprzedniej, natychmiastowa odpowiedź w rozmowie zagrożonej zapadnięciem milczenia, nocny bar, a potem taksówka i następny bar, który zamykają trochę później, przynębiająca potrzeba zakończenia nocy i strach przed tym, że noc się skończy. Nie wiem, jak żyłem przez ostatnich kilka lat, jak mogły mi umknąć, nie zostawiając po sobie nic, jedynie twarze pozbawione rysów i miejsca, których nie potrafię rozpoznać, poruszone zdjęcia, kobiety i miasta, które mi się mylą, wszystko stale się oddala, jakbym to widział z okna pociągu albo taksówki, jak w tych filmach, w których wiatr odrywa kartki z kalendarza i widać, jak przewracają się strony gazet, i w ciągu dwóch minut przemija całe pokolenie; człowiek zakochał się na zawsze w czterech czy pięciu kobietach, powtórzył z nimi te same epizody namiętności i rozczarowania, i te same błędy, jakby w głębi ducha, pod powłoką różnorodności cech, zakochiwał się zawsze w tej samej kobiecie, częściowo wymyślonej, widział na placu Oriente kondukt odprowadzający generała Franco, zagłosował po raz pierwszy w życiu, na zawsze zgolił brodę, pewnego dnia wyszedł do pracy w Paryżu i w kupionej po drodze gazecie ujrzał zdjęcie żołnierza Guardia Civil, w czapce, z wielkimi wąsami i pistoletem, wyciągającego rękę jak toreador, i chciał umrzeć ze wstydu i wściekłości, z opóźnieniem dostał zaproszenie na ślub najlepszego przyjaciela, czasem wracał do swego kraju z zamiarem pozostania i wyjeżdżał za każdym razem z coraz bardziej dojmującym poczuciem wyobcowania i obrzydzenia, oszołomiony ruchem ulicznym, automatami do gry w barach, nieznośnym waleniem młotów pneumatycznych na rozgrzebanych chodnikach, zachłannością pozbawioną skrupułów i uśmiechniętym odszczepieństwem zniekształcającym twarze wielu z tych, których znał, zanim wyjechał. Choć teraz wie, odkrywa to codziennie, w każdym kraju, do którego zanieś go praca, że jeśli istnieje coś, czym nie chciałby być, to obcokrajowcem, i że jeśli szybko nie powróci na stałe, za kilka lat stanie się nim na zawsze, bez względu na to, co nam się wydaje, człowiek ma tylko jeden język i jedną ojczyznę, choćby się jej wyparł, a może nawet tylko jedno miasto i jeden pejzaż. Wyobraź sobie, jak by to było umrzeć w szpitalu, gdzie nikt cię nie zna, myślałem o tym wiele razy, albo tak jak ci ludzie, którzy dostają ataku serca w domu i leżą przez cały tydzień, gnijąc przed włączonym telewizorem, aż w końcu któryś z sąsiadów poczuje smród i zawiadomi policję.

Miałem w Brukseli przyjaciela, z którym rozmawiałem o takich sprawach, był jeszcze bardziej przewrażliwiony na tym punkcie niż ja i przyjechał z jeszcze bardziej odległego

miejsca, z Kolumbii, zatrzymując się po drodze w Nowym Jorku. Nazywał się Donald Fernandez i zarabiał na życie jako drobny handlarz kokainą, był człowiekiem nieszczęśliwym, bardziej wrażliwym i niewinnym niż którykolwiek z głupków z Maginy, przyjechał do Europy, aby zostać malarzem, ale jego kariera artystyczna rozwijała się tak fatalnie jak kariera dealera narkotyków, tak więc wrócił do Ameryki i zadzwonił po kilku miesiącach, żeby powiedzieć, że znalazł pracę w przedsiębiorstwie telefonicznym w Nowym Jorku i że niebawem będzie miał swą pierwszą wystawę. Mieszkał w Bronksie i nadal trochę handlował narkotykami; wyobraź sobie, biedny facet, bardzo wysoki, w okrągłych okularach, który bał się psów, obawiałem się, że zostanie rozdeptany jak mrówka i że nie zostanie po nim ślad. Przesłał mi katalog swej wystawy, która składała się w całości z wymyślonych pejzaży Afryki, bo wierzył w wędrówkę dusz i widział w narkotycznych wizjach, że jego korzenie znajdowały się w jakimś plemieniu w Kenii albo Zairze lub w męstwie lwa, ale od tego czasu nie miałem już od niego żadnej wiadomości, w tym okresie zmieniłem mieszkanie i numer telefonu, podjąłem pracę w agencji tłumaczeń, tak więc podróżowałem więcej niż poprzednio i trudno mu było mnie zlokalizować. Ale zdołał to zrobić, nie wiem jak, pewnej nocy, gdy wróciłem z Madrytu, odsłuchiwałem automatyczną sekretarkę i usłyszałem jego głos, który brzmiał, jakby dzwonił z bardzo daleka, wiadomość nagrano przed czterema dniami, dzwonił z jakiegoś hotelu w Nairobi. „Manuel, tu Donald, w końcu przyjechałem do Afryki”, ale nie zostawił numeru telefonu, a ja byłem zmęczony podróżą i tak bardzo chciało mi się spać, że zabrakło mi ochoty, by zacząć go poszukiwać, a następnego dnia o wszystkim zapomniałem i nie myślałem więcej o moim przyjacielu Donaldzie Fernandezie aż do dnia, kilka tygodni później, kiedy zadzwoniła do mnie jego siostra z Kolumbii; chciał ze mną rozmawiać i nie udało mu się, powiedziała, poprosił ją, żeby to zrobiła za niego. „Chciał, żeby pan wiedział, proszę pana, że dla niego był pan bardzo ważny”. Zarabiał dość dobrze w telekomunikacji, w końcu zdołał kogoś zainteresować swym malarstwem, planował przenieść się na Manhattan i porzucił swe bojaźliwe związki z mrocznym rynkiem kokainy, aż w końcu, pewnego dnia, wszystko się załamało, tak jak zawsze się obawiał, zwolnili go z pracy, pobili go jacyś handlarze, przypuszczam, że najpierw zdjęli mu i podeptali okrągłe okulary, nie mógł zapłacić za mieszkanie i wyrzucili go, zamieszkał w tunelach metra, zaczął żebrać, pojawiły mu się dziwne plamy na skórze i dowiedział się, że ma AIDS, był tak nieśmiały i zamknięty w sobie, że nigdy nie spostrzegłem, że jest homoseksualistą, cudem przeżył srogą zimę i wiosnę, nie wiem jak, jego siostra mi nie wyjaśniła, dostał od kogoś wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić bilet do Nairobi, chciał tam umrzeć, a zanim się to stało, próbował się ze mną skontaktować, ale ja zaniedbałem to, wyobraziłem sobie w roztargnieniu, że chodzi o jakieś kolejne jego szaleństwo, i nawet nie przyszło mi do głowy, aby starać się poznać jego numer telefonu, choć możliwe, że kiedy odsłuchiwałem jego wiadomość, już nie żył. Siostra powiedziała, że opuścił hotel i że znaleźli jego trupa w rezerwacie dzikich zwierząt, siedział, oparty o drzewo, uśmiechnięty, a policja przez ponad tydzień nie mogła ustalić jego tożsamości, bo cały bagaż i paszport zostawił w hotelu. Któż mógł powiedzieć, kiedy był dzieckiem mieszkającym w domu z ogrodem w Cartagena de Indias, że trzydzieści lat później skończy w kostnicy w Nairobi? Człowiek zaczyna o tym myśleć i wydaje się to nieprawdopodobne, ale jest też nieprawdopodobne, że jestem teraz z tobą i mam dość odwagi, aby z tobą rozmawiać, jakbym cię znał od zawsze, jakby nasze spotkanie nie było praktycznie niemożliwe. Nie mogę wyjść z podziwu i nie chcę się go wyzbywać, nie chcę się przyzwyczaić, chcę żyć właśnie tak przez resztę życia, nie chcąc niczego ani nie pragnąc niczego ponad to, co już mam, ani nikogo, tylko ciebie, dziękując za to, że istniejesz i mnie wybrałaś i że jesteś u mego boku codziennie rano, kiedy się budzę, bliska i rzeczywista, nie wymyślona, prawdziwsza i bardziej moja niż ja sam, nieustannie zadajesz mi pytania, prowokujesz mnie, bym opowiadał o tym, co przemilczałem, czego nawet nie pamiętałem,

uksztalowana cierpieniem i szczęściem, krucha i mądra, zatrzymujesz czas, aby każda godzina trwała niby leniwe dni i by nie zaczęła nas dręczyć myśl o pożegnaniu.

PROSTA DROGA, dzieląca równinę na dwie części, wydaje się prostopadła do płaskiego i zachmurzonego horyzontu, jasnoszarego, niemal białego, brudnego, choć nie tak przytłaczającego jak szarość Brukseli, bo tutaj niebo nie wydaje się tak niskie, choć też nie można wywnioskować na podstawie światła, czy jest przedpołudnie, czy już po południu. Wszyscy mają takie twarze, że chce się umrzeć, twarze podróżnych z lotniska, oprócz czarnych i żebraków, ale na lotnisku niemal nie ma czarnych i, rzecz jasna, nie ma żebraków, nie ma prawie nikogo, ze strachu przed wojną, połowa miejsc w samolocie pusta i niewiele walizek kręci się później na karuzeli pod sklepieniem aluminiowo-eternitowym, które przywodzi na myśl katedrę zaprojektowaną przez postmodernistycznego architekta w delirium, oszołomionego kokainą i próżnością, zupełnie jak ten elegancki tępak otwierający jutro w North Western University sympozjum o hiszpańskich śladach w Ameryce czy coś podobnego, który powinien wsiąść do tego samego samolotu w Nowym Jorku, ale jakoś go nie widać, na pewno zasnął wieczorem na *Walkirii* i jeszcze nie zdołali go obudzić, człowieka wyczerpanego, pogrzebanego przez znużenie i kulturę pod kilkoma tonami Wagnera; oczywiście kierowca z konsulatu też niepokoi się z powodu jego nieobecności, dlatego nie widać nikogo z kartką na piersiach i sztucznym uśmiechem na ustach, nie słychać nawet echa słów w głośnikach ani kroków, wyciszonych hektarami szarej wykładziny, jedynie nastrojową muzykę, szum spłuczek w ubikacjach i *Proud Mary* ułagodzoną chórkami i skrzypcami, te barany są w stanie przemienić w różową bitą śmietaną nawet *Międzynarodówkę*.

Przynajmniej jest czas na chwilę wytchnienia, papieros wypalony za zamkniętymi drzwiami ubikacji, jak w szkole, chociaż może zadziała jeden z wykrywaczy dymu, zapali się czerwone światło i zadzwoni dzwonek alarmu, kruchy spokój, niebieskoszare obłoki dymu powoli wydobywają się z ust, przyjemność wzmożona zakazem, nagle buty i czarne skarpetki kogoś, kto bardzo głośno oddycha w kabinie obok, w arktycznej ciszy, pustce, w ciszy toalety na lotnisku, a może domu wariatów, jakież nagły strach przed tym nieznanym, który odrywa kawałek papieru toaletowego, smarka za plastikową ścianką i szepcze *mein Gott*, jęcząc, jakby się onanizował, a może właśnie to robi? Komu by to przyszło do głowy w takim miejscu jak to? Ale on też na pewno wyczuł obecność kogoś, kto znajduje się o kilka centymetrów od niego i kogo nigdy nie zobaczy, i może naszedł go taki sam strach, strach zwierzęcia przyczajonego w nocnej puszczy albo podróżnika w butach i czarnych skarpetkach zamkniętego w aseptycznej i cichej ubikacji na lotnisku. Klaustrofobia, woda z kranu obmywająca twarz zniekształconą niewyspaniem, mydło w płynie i woda na dłoniach, twarz w lustrze, ciągnącym się wzdłuż całej ściany, odbijającym zamknięte drzwi kabin, pod jedną z nich widać stopy, jak w filmach, kiedy za zasłoną stoi złodziej i główny bohater widzi czubki jego butów. Co z moją głową? Zawsze to samo, torba podróżna, jeszcze trochę i o niej zapomnę, godziny odlotów, nazwy kompanii i miast pojawiają się i następują po sobie na monitorach, reklamy francuskich perfum i tropikalnych wysp na ścianach nie kończącego się korytarza, po którym przesuwają się kilku pasażerów niesionych ruchomym chodnikiem, uwaga, żeby się nie zgubić, jeśli człowiek zgubi się na lotnisku w Chicago, nie znajdą go przez kilka tygodni; wariuje, ponownie szukając oświetlonej wywieszki BAGGAGE CLAIM i strzałki, konsulatu Hiszpanii musi wysłać ekspedycję ratunkową, co za ulga, w końcu nietknięta walizka, wyjście, nikogo na postoju taksówek, rząd ogromnych żółtych wozów

przypominający kondukt, a przy pierwszym z nich twarz o śniadej i lśniącej cerze, trochę zielonkawej, z „rasy oliwkowej”, jak to określały kiedyś szkolne podręczniki, istnieje pięć ras ludzkich: biała, czarna, miedziana, żółta i oliwkowa, wielkie oczy, bardzo żywe, o powłóczyście i głębokim spojrzeniu, pierwszy człowiek, który patrzy otwarcie, od nie wiem jak długiego czasu, czarne włosy, kręcone, przetłuszczane, i papieros w ustach, co już samo w sobie jest cudem wymagającym uznania i wdzięczności, bo nie tylko pali, ale robi to ospale i z przyjemnością, bez nerwowych ruchów czy spojrzeń, z bezczelnością tak typową dla obcokrajowca, jak wielki błyskający bielą zębów uśmiech, z jakim podnosi walizkę i chowa ją w bagażniku, który zatrząskuje się jak wieko sarkofagu. Nie rozumie adresu, trzeba mu pokazać wizytówkę, zgadza się z wyrazem zadumania na twarzy, drapiąc się po głowie, uśmiecha się w końcu, na pewno nie ma pojęcia, gdzie to jest, ale udaje zorientowanego i uruchamia silnik, oddala się od lotniska, kieruje się w stronę równiny z betonowymi wiaduktami i skrzyżowań autostrady, po których krążą samochody z niepokojącą powolnością, co sprawia, że ich ruch zdaje się raczej złudzeniem optycznym. A więc to jest Chicago. Zatrzymując się na światłach, taksówkarz rozkłada na kierownicy płachtę gazety z tytułami wypisanymi w alfabecie wyglądającym na hindi, ale na pewno jest Pakistańczykiem albo Bengalczykiem, jak może brzmieć jego język? Jak nazywa się w nim pospolite rzeczy albo niecodzienne? Tuż przy spryskiwaczu leży wizytówka, na której widnieje jego fotografia i bardzo długie imię, rzecz jasna nie do wymówienia, a on mówi po angielsku z pełną wątpliwości gwałtownością, taką samą, z jaką prowadzi; na pewno nie zrozumiał adresu, zapadła noc, zanim dojechaliśmy do tego miejsca, o którym on, zdaje się, nigdy nie słyszał, Evanston, Illinois, luksusowe uniwersyteckie przedmieście nad brzegami jeziora Michigan.

Hamuje, o mały włos wpadłby na przyczepę ciężarówki, wzdycha, ponownie otwiera gazetę, nie zauważa, że zmieniły się światła, i ponagla go klakson jeszcze większej, stojącej z tyłu, ciężarówki, potężny jak syrena transatlantyku, jak syrena strażaków z Nowego Jorku, którzy zamiast gasić pożary, zdają się wyjeżdżać raczej po to, by powodować katastrofy. Serce się kurczy, śmiesznie byłoby zginąć pod kołami ciężarówki na przedmieściach Chicago, w towarzystwie Bengalczyka wzdychającego z tęsknoty za swą biedną i błotnistą ojczyzną. „Ależ daleko od domu”, mówi i spogląda w lusterko, przyjmuje papierosa, jakby przyjmował kondolencje, łakomie zaciąga się dymem, puszcza kółka i opowiada, że w Niemczech miał bardzo dobrą pracę, w Stuttgarcie, ale rodzice zaaranżowali jego małżeństwo z kuzynką z Ameryki i musiał tu przyjechać na ślub, i został. Jak te oczy mogą postrzegać świat? Jakie wspomnienia może mieć z kraju, w którym się urodził i do którego prawdopodobnie nie powróci? Przyjechał ze Stuttgartu do Ameryki, żeby się ożenić, podobnie jak łośność przemierza ocean, żeby złożyć ikrę w górze rzeki, a teraz prowadzi taksówkę i zanim coś powie, zamyśla się i przygryza usta, musi tłumaczyć słowa. Jaki jest dom, do którego wraca po pracy? Po trzynastu albo czternastu godzinach za kierownicą taksówki, krąży po autostradach, przedmieściach o domach z czerwonej cegły otoczonych trawnikami, z ogromnymi supermarketami, barami z hamburgerami otoczonymi parkingami tak bezkresnymi jak pola kukurydzy, jak szare niebo, które ciemnieje, choć nie wiadomo, czy zapadnie noc, czy jest dziesiąta rano, a patrzenie na zegarek w ogóle nie pomaga, poczucie czasu jest jakby znieczulone różnicą kilku godzin, tak samo jak bębenki ciśnieniem podczas lotu. Wskazówki pokazują godzinę z Nowego Jorku, lecz w świadomości, a nawet w przyzwyczajeniach ciała trwa godzina europejska, automatyczne przeliczanie, jak wartości pieniądza, w Madrycie jest teraz jedenasta w nocy, w Granadzie Feliks pewnie już położył dzieci do łóżka i ogląda z Lolą film w telewizji, w Brukseli pada i nie ma nikogo na ulicach, w audytorium przedłuża się konferencja o taryfach celnych na płody rolne albo o normach produkcji prezerwatyw, senni tłumacze spoglądają zza szyb swych kabin i natychmiast wyszukują odpowiedniki absurdalnych słów, które rozbrzmiewają w słuchawkach, i myślą o innych sprawach, a na przedmieściach Chicago, na ulicy identycznej jak te, przez które

taksówka sunie od godziny, trawnik, drzewa, czerwona cegła, oświetlone okna, pusto, Bengalczyk tęskniący za Stuttgartem pyta jakiegoś człowieka, który przebiega w koszulce i włożonej daszkiem do tyłu baseballówce, o hotel Homestead mający wszelkie cechy rzeczy nie istniejącej; facet jest spocony, przy tym zimnie, ma herkulesową klatkę piersiową, z naganą w oczach spogląda na taksówkarza i z obrzydzeniem na papierosowy dym wypływający przez okno, pokazuje coś wyciągniętą prawą ręką, trzeba pojechać w stronę jeziora; długą ulicą, z barami, supermarketami, z cmentarzyskami samochodów, więcej domów z czerwonej cegły i ogrodów, i drzew, i jasnych okien z firankami, masztów zatkniętych w trawniki, żółtych wstążek zawiązanych na skrzynkach na listy, flag zwieszających się nad drzwiami nędznych domów; puste chodniki, faceci w koszulkach z baseballówkami daszkiem do tyłu, którzy podrygują na czerwonym świetle, aby nie wypaść z rytmu biegu, i grzecznie przechodzą na drugą stronę dopiero, kiedy zapali się zielone światło, choć na ulicy nie ma żadnego samochodu, co za świat! W końcu taksówkarz zatrzymuje się tak gwałtownie, że głowa prawie uderza o kuloodporną plastikową szybę, i pokazuje coś z szerokim uśmiechem, budynek z czerwonej cegły, po prawej, bardzo wysoki, stojący pomiędzy parterowymi domkami i ogródkami, „Homestead Hotel”, obwieszcza triumfalnie w swej katastrofalnej angielszczyźnie; w jakiejż wiosce musiał się urodzić, skoro nawet nie nauczył się języka kolonizatorów?

W pomalowanym na biało bujanym fotelu kołysze się wiewiórka, uwaga, ostrzega taksówkarz przed odjazdem, może być wściekła, kolejna wspaniała możliwość, lepsza jeszcze niż zderzenie czołowe z ciężarówką – zgon w szpitalu w Evanston z powodu ugryzienia przez wiewiórkę, ma oczy wilgotne i słodkie, jak na filmach Walta Disneya; wiewiórka nie ucieka, kołysze się na fotelu, może przygotowana do skoku do mojej szyi niczym nietoperze z Amazonii, wydaje się, że w holu hotelu też nikogo nie ma, po dwóch albo trzech minutach pojawia się łysy staruszek, Murzyn, zgrzybiały chłopak hotelowy, jak podupadły kolos, upiera się przy niesieniu walizki, choć ledwie udaje mu się ją podnieść, podobnie jak z ledwością odrywa nogi od podłogi, obute w archaiczne, wspaniałe buty, ogromne i czarno-żółte zniszczone jak twarz ich właściciela, który pewnie stepował w nich w Cotton Club. Dysząc, stawia walizkę w zamian za napiwek, wskazuje na kontuar recepcji, gdzie leżą dwie koperty z wypisanymi nazwiskami, z których każda zawiera dwa klucze, od drzwi wejściowych i od pokoju, widać że jest to hotel mizantropów albo ze zautomatyzowaną obsługą, Murzyn zwała się ze zbolałą miną na wiklinowy fotel i gardłowo nuci bluesa, podczas gdy jego buty, na końcu ogromnie długich nóg, lśnią pośrodku holu. Nikogo w windzie, żadnego głosu ani szmeru, nie słyhać nawet odgłosów kroków w wyłożonym dywanem korytarzu, gdzie w dalekiej perspektywie można wypatrzeć czerwony napis EXIT. Czy to nie przypadkiem nazwa swego rodzaju anglosaskiego klubu samobójców albo towarzystwa popierającego eutanazję? Feliksowi sprawiłoby przyjemność etymologiczne sprecyzowanie: *exit*, *exitus*, wyjście. Feliks metodycznie rozpakowałby walizkę, powkładał ubrania do szafy, włączył telewizor i spokojnie wyciągnąłby się na łóżku z tomem Tacyta w rękę albo z podręcznikiem informatyki dla językoznawców. Jakaż on ma głowę! Jaki jest porządny! Nigdy by nie zostawił walizki ani torby w kącie pokoju ani nie pospieszyłby ponownie wykręcić numeru telefonu z Nowego Jorku, wiedząc z doświadczenia, że nie ma to sensu, że znowu usłyszy ten sam kobiecy głos, powtarzający nie imię, ale inny numer telefonu oraz uprzejmą informację, aby zostawić wiadomość, i pisk, po którym słyhać przesuwanie się taśmy magnetofonowej. Ale Feliks nigdy też nie przeleciał przez ocean, a potem przez połowę kontynentu, aby znaleźć kobietę, z którą spędził jedną jedyną noc w Madrycie, ani nie usprawiedliwiałby się, że właściwie nie przyjechał do niej, ale skoro już tu jest, skoro ma pracować jako tłumacz na jakimś międzynarodowym kongresie w Chicago, nie będzie go wiele kosztowało przy okazji umówić się w Nowym Jorku. Nie musi już patrzeć na kartkę z nazwą hotelu Mindanao, gdzie

zapisala swój numer, zanim sobie poszła, palec wskazujący wybiera go już odruchowo, a rozczarowana pamięć przewiduje każde nagrane słowo i dziwny ton głosu. Jaką wymowę mają ci ludzie? Z jaką dokładnością i obojętnością powierzają słowa słuchawce i magnetofonowej taśmie, przesuwałej się teraz automatycznie? Brzmi niczym głos ducha w opuszczonym mieszkaniu, gdzie pewnie jest już noc, dołączając do warkotu lodówki i skrzypienia mebli, a także do dźwięków docierających z ulicy poprzez zasunięte żaluzje. Gdzie? W jakiej części tego miasta, którym tak się zachwyca próżny i nieudaczny miłośnik *Walkirii* i hiszpańskich śladów w Ameryce? Jaki jest pokój, w którym zadzwonił już tak wiele razy dzwonek telefonu i została odtworzona ta sama wiadomość? Jakie są tam książki? Jakie obrazy i płyty? Jakie zdjęcia? Może któreś z nich należy do kobiety, która nie podaje swego imienia, tylko numer, Allison, nawet nie ma nazwiska, imię na niewielkim zalaminowanym identyfikatorze przypiętym do klapy jej męskiej marynarki, blond włosy, jasny uśmiech, niemożliwa do zapamiętania twarz pojawiająca się w korytarzu Centrum Kongresowego i znikająca potem w tłumie duchów wybladłych w świetle jarzeniówek, ponownie odkryta przypadkiem w jadalni, po której krążą te same duchy, zaopatrzone teraz w plastikowe tace z talerzami sałaty, kurczaka w potrawce i butelki gazowanych napojów, eksponują najbardziej powściągliwe i spreparowane uśmiechy na świecie, plastikowe identyfikatory w klapach marynarek, palce tak czyste jak chirurgiczne szczypce, przeprosiny, gdy delikatnie ocierają się o kogoś łokciami, nie ma pięciu ras ludzkich, jest ich sześć, szóstą stanowi biała i mieszana rasa uczestników kongresów, można ją rozpoznać po identyfikatorach i czarnych teczkach pod pachą, tak samo jak po dziwnych wisiorach, których końcówki podłącza się w kabinach; i nagle, pośród nudy i szumu głosów sennie szepczących w różnych językach, te umalowane na czerwono usta z uśmiechem jak rozwinięty sztandar, blond kobieta, rozpoznana w jednej chwili, tak swobodna i pewna siebie, że zdaje się wyższa, zapach perfum, zauważony już za pierwszym razem, woda toaletowa. Człowiek wyobraża ją sobie nagą, po kąpielu, malującą usta przed lustrem w łazience, najbardziej subtelne i najbardziej czerwone usta w całym Madrycie w tych dniach, najjaśniejsze włosy i najszcześniejsze ciało, bo to ciała i twarze pokazują, czy człowiek jest szczęśliwy, nie słowa ani nawet nastroj, człowiek może czuć się szczęśliwy i odkryć w lustrze, że jego twarz emanuje nieszczęściem. Człowiek może umierać z samotności przy telefonie w pokoju Homestead Hotel w Evanston, Illinois, i wejść nagle do łazienki, aby umyć zęby, i odkryć w lustrze, że w jego twarzy widać niezamierzoną wytrwałość szczęścia albo przynajmniej żartobliwości, dystansu do samego siebie, do tej sytuacji rodem ze środkowoeuropejskiej powieści, niczym w spokojnym wstępie horroru, cichy hotel, zagubiony podróżny, telefon po raz kolejny powtarzający tę samą wiadomość, a za oknem, w głębi, o siedem pięter poniżej, ogródki na tyłach, wielkie podwórza albo śmietniki pełne starych opon, szare, niskie niebo, zlewające się w dali z falującą i zamgloną powierzchnią jeziora, jeszcze bardziej szarego, z ciemnozielonymi żyłkami, tak smutnego jak Bałtyk w zimowe popołudnie.

Działać jak najszybciej, nie pozwolić ubraniom gnieść się i mnożyć w bałaganie walizki i torby, żadnego leżenia w łóżku i oglądania reklam i teleturniejów, żadnego odwracania się do nocnej szafki, aby sięgnąć po papierosa, albo powstrzymywania ręki, która już zmierzała w kierunku słuchawki telefonu, a przede wszystkim absolutny zakaz mówienia na głos, bo w ciszy i samotności własny głos staje się tak obcy jak twarz. Metoda, działanie, książka i walkman na nocnej szafce, valium w pudełku, piersiówka glennfiddicha na komodzie, tylko jeden łyk, nie za długi, żeby się rozgrzać, ubrania do szafy, garnitur na wieszaku, pianka do golenia i maszynki jednorazowe na półkę w łazience, szczoteczka do zębów, grzebień, pasta, przede wszystkim porządek, jeszcze trochę wody kolońskiej na twarz, szczegółowe oględziny grzebienia – pierwsze oznaki schyłku, włosy na grzebieniu i w umywalce, matowa zasłona prysznicowa, zdradliwe wspomnienie: odsunięta zasłona i Allison z na wpół otwartymi oczyma

pod strumieniami gorącej wody, powieki poplamione tuszem, nieznajoma twarz, nie spowita burzą włosów, bardziej naga i bardziej dorosła, kołyszące się piersi i skurczone sutki, szersze czoło, trochę się zawstydzila i zacisnęła uda, ręka z mydłem instynktownie zasłoniła ciemny trójkąt włosów i ten gest wstydu i niemal bezbronności sprawił, że stała się jeszcze bardziej podniecająca, o piątej albo szóstej rano, w madryckim hotelu tak przytulnym jak podziemny parking, nie tak jak ten, który zdaje się raczej wiktoriańską rezydencją, z białą wyszywaną kapą na łóżku, sielankowymi grawiurami z widokami Chicago sprzed stu lat, wielką wanną z miedzianymi kranami, w których woda bulgocze jak przeżarte rakiem płuca zatwardziałego kawalera, oknem z drewnianymi i popękany futrynami, w których świszczą i ryczy wiatr wiejący od jeziora, z każdą chwilą coraz mocniejszy, wiatr jak *tramontana* gnąca dzikie oliwki na przylądku Creus i jak afrykański wiatr wschodni w zatoce Kadyksu. Horyzont i jezioro znikły we mgle, słychać szum fal i syrenę statku, drżą szyby w oknach i skrzypią lufciki, a telefon nadal milczy i nie słychać ludzkich głosów, jest już noc, trzeba będzie wyjść coś zjeść, bo serwis pokojowy nie odpowiada, może ogłoszono alarm przeciwatomowy i w pośpiechu zapomniano o czarnym chłopcu hotelowym i o jedynym kliencie, ale chłopca hotelowego też już nie ma w westybulu, pobiegł do schronu w ostatniej chwili, wlokąc po ziemi swe prehistoryczne buty, choć w jego wieku i w jego stanie pewnie jest mu wszystko jedno. Na kontuarze recepcji nadal leży druga koperta z kluczami, tak więc fan *Walkirii* i MOMA jeszcze nie dojechał, pewnie jeździ, zagubiony, ulicami i po przedmieściach przypominających eleganckie cmentarze, zdany na łaskę litewskiego albo malajskiego taksówkarza, a może w porę zdał sobie sprawę z alarmu i wygłasza swój znakomity wykład przed audytorium tych, którzy przeżyją atak. Po prawej stronie holu jest salon jakby z początków XIX wieku, z neoklasycystycznym kominkiem, białymi plafonami na suficie, mahoniowymi meblami i fortepianem z podniesionym skrzydłem, z otwartą partyturą, Schubert, *Śmierć i dziewczyna*, nie wygląda na hotelowy pokój, ale na salon w domu, którego właściciele wyszli na kilka minut przed przybyciem zaproszonego gościa, nieostrożnego, potencjalnej ofiary, jest nawet nad kominkiem owalny portret panienki z lokami na skroniach i z obcisłym dekoltem, suchotnicza panienka, która przed stu laty grywała Schuberta na fortepianie, milczącym od owego czasu, gra on czasem sam, w burzliwe noce, trzykropek.

Wiatr niemal unosi człowieka jak gazetę, uwaga na linie wysokiego napięcia, bo mogą się zerwać, i na dachówki; ulice są opustoszałe, a za drzewami jarzą się okna z firankami, przez które można dostrzec wygodne anglosaskie wnętrza, a flagi wciągnięte na szczyty masztów łopoczą niby żagle; neogotycki kościół, swego rodzaju Partenon, który pewnie jest ratuszem, centrum handlowe, oświetlony McDonald's, niemal pusty, wszystko oflagowane, policyjny wóz, tak duży i niebieski jak w telewizyjnych serialach, powoli sunie wzdłuż chodnika i niemal zatrzymuje się przy jedynym nierozważnym człowieku, który postanowił w taką noc wybrać się na spacer po mieście. Spokojnie, nie patrz na niego, udawaj, że nic się nie dzieje, bez względu na to, jak źle wyglądasz, nie możesz uchodzić za złodzieja albo gwałciciela, albo Araba, trzeba się zachowywać tak jak wtedy, gdy z za węgła pojawiał się jeep niebieskich i w jego światłach ukazywał się twój cień, ręka szuka paszportu w kieszeni, głowa wyłania się z podniesionego kołnierza, czerwono-niebieskie światło odbija się na mokrym asfalcie, w wystawie zamkniętego sklepu z bronią, czarny policjant patrzy pytająco przez okienko. Wóz patrolowy nabiera szybkości, skręca z piskiem opon, całkiem znajomym, wydaje się nawet, że zabrzmiała muzyka z filmu i że gdzieś w ciemności zaczną się pojawiać nazwiska aktorów; widać jednak tylko neon irlandzkiego baru, Bannigan's, a w miejscu takim jak to ma się wrażenie, że się zobaczyło chatkę w bajkowym lesie. Szyby w oknach są zaparowane, wewnątrz jest ogrzane, gęste od głosów i dymu, długi bar z ciemnego drewna, ze złotymi kranami beczek piwa, z płyty bardzo głośno rozbrzmiewa piosenka Arethy Franklin, pijący mają twarze purpurowe i hultajskie, podłoga jest drewniana i brudna od niedopałków

papierosów i trocin, jakaś kobieta, bardzo wyprostowana na stołku, trzyma szklanę whisky i śmieje się na głos, nie wyjmując papierosa z ust. Wygląda to tak, jakby schronili się tu wszyscy bezwstydnicy z całego Środkowego Zachodu, ci, którzy nie zamykają się w domach po zmroku, jedyni, którzy zlekceważyli polecenie władz, by udać się do schronów. Siedzą z łokciami na barze, tak wdzięczni, jakby chwycili się kawałka ojczystej ziemi, ciemnego piwa z gęstą i letnią pianą, wielkiego hamburgera, który budzi i zaspokaja głód, a potem ta gwałtowna zmiana nastroju, która sprawia, że wszystko staje się gościnne w trakcie podróży, twarze pijących, akcenty, automatyczne rozpoznawanie ich pochodzenia, łagodna senność nad szklaną whisky z pokruszonym lodem, przyjemność nawiązywania rozmowy w obcym języku. Przy wejściu do toalety, tuż przy automacie z papierosami, jest telefon, piwo i whisky dodają animuszu przytępienemu pragnieniu, by zadzwonić, nie trzeba nawet monet, można zadzwonić, używając karty kredytowej; palec wciska, jeden po drugim, małe metalowe, kwadratowe klawisze, a potem następuje krótka chwila ciszy, zanim zabrzmie sygnał, najpierw długi, po ułamku sekundy dzwoni aparat w Nowym Jorku, znowu cisza, Allison usłyszała go w kuchni i dzwonek zadzwoni jeszcze dwa albo trzy razy, zanim podejdzie do telefonu, jeszcze dwa sygnały, śpi tak głęboko, że nie może się zbudzić, albo właśnie wyszła z windy, biegnie i boi się, że telefon przestanie dzwonić na sekundę przed podniesieniem słuchawki, ale ten szum, który słychać, oznacza przesuwającą się taśmę w automatycznej sekretarce, znowu głos, spokojny, metaliczny, obraźliwy, recytuje numery tak czysto jak na pierwszej lekcji angielskiego, sygnał oznaczający początek nagrywania wiadomości i ucho bezskutecznie w napięciu wsłuchujące się w ciszę, po półtorej minuty, kiedy gaśnie czerwone światło sekretarki, rozbrzmiewa kolejny sygnał, a męski głos nie zostawił ani jednego słowa nagranych na taśmie.

Jednak to bez znaczenia, że jej nie ma, jeszcze łatwo zapomnieć, najłatwiej, na pewno tak właśnie zrobiła, przed dwoma miesiącami spędziła noc w Madrycie z nieznajomym, a rano wyjechała do Ameryki i w ogóle go nie wspomina, a jeśli to robi, to z przekonaniem, że nigdy więcej go nie ujrzy, ze spokojem, że nie grozi jej żadne spotkanie, wszak był to swego rodzaju szybki cud, a cuda się nie powtarzają, może nawet wcale się nie wydarzają i było to tylko urojenie. Skąd więc kartka z numerem telefonu na nocnym stoliku? Dlaczego ostatnie słowa, słyszane już we śnie: „Nie zgub się”? I to pożegnanie, palce uniesione do ust, umalowanych na czerwono, o ósmej rano, kiedy przez okna hotelu wdzierało się światło, a oni jeszcze nie spali. Może tak lepiej, ani przyszłości, ani przeszłości, myśli ni wspomnień, żadnych obsesyjnych genealogii, jakie wymyślają kochankowie, żadnej próżności, z powodu tego, że się kogoś posiadało, ani fanatycznego odrzucenia poprzednich miłości, ochota pozostawienia pamięci pustej, tak jak zwala się pomniki i pali świątynie porzuconego kultu, aby z furią przechrzty rzucić się w nową religię; wdzięczność, nic więcej, intymna niezależność, dawka świadomości wystarczająca, by zdać sobie sprawę, że to nieobecność sprawia, że ta kobieta jest tak mocno pożądana, ale nie do tego stopnia, by stłumić pożądanie innych kobiet, irlandzkiej kelnerki stawiającej na barze szklanę z pokruszonym lodem i wlewającej do niej porcję whisky odmierzoną cynowym kubeczkim, kobiety o błyszczących oczach samotnie się upijającej i kołyszącej odrobinę na stołku, palącej długie winstony, kobiet nieznanych, poświadanych w jednej chwili, wyobrażanych potem w pokoju hotelowym z namietnością zrodzoną przede wszystkim z samotności pod wpływem alkoholu i spojrzeń rzucanych na kobiety czekające na światłach i przechodzące przez ulicę, widziane przez mgnienie oka przez okno wystawy sklepu obuwniczego, kiedy stawiają na dywanie bosą stopę z pomalowanymi paznokciami, blondynki w okularach przeciwsłonecznych, przejeżdżające w taksówkach, jadące autobusem i siadające ze skrzyżowanymi nogami, czekające na kogoś w holu hotelowym, pojawiające się z uśmiechem w jednym z korytarzy Centrum Kongresowego w Madrycie, w obszernych zielonych płaszczach i z plastikowym identyfikatorem w klapie, na którym zawsze czujne spojrzenie potrafi odczytać imię, Allison.

Na pewno wyjechała z Nowego Jorku, zmieniła mieszkanie, Amerykanie zmieniają mieszkania i pracę z zadziwiającą łatwością.

O pierwszej w nocy automatyczna sekretarka tym samym uprzejmym głosem powtarza ten sam numer, wyuczony już na pamięć jak litery imienia Allison, teraz jednak nagrał na taśmie przez półtorej minuty: łoskot wiatru znad jeziora Michigan, drżenie szyb w oknie Homestead Hotel, nawet głos recytujący w telewizji wersy Apokalipsy i gwarantujący Stanom Zjednoczonym Ameryki boską pomoc w nieuniknionej wojnie. Piersiówka z glennfiddichem i papierosy na nocnym stoliku, pokusa, by ponownie zadzwonić, aby powtórzyć telefon z pokoju hotelowego, na wszelki wypadek, choć lepiej będzie wyłączyć telewizor, żeby nie oglądać już tego faceta, który wzywa pomocy Boga i szermuje Biblią niczym karabinem szturmowym, zaciągnąć żaluzje, bo wiatr będzie wiał przez całą noc, i powierzyć się valium i ciemności, na pewno następnego dnia pojawi się facet nawrócony na kokainę i Wagnera i zobaczy się, gdzie będzie się odbywać sympozjum, i ujrzy się twarze pracowników hotelu, a może nawet któregoś z gości, a może nawet zadzwoni telefon i usłyszy się prawdziwy głos, nie ten nagrany na taśmie, głos Allison, przepraszający i pytający, co robisz? gdzie jesteś? jeśli będziesz długo w Chicago, polecę do ciebie, żeby się z tobą spotkać na siódmym piętrze tego budynku, który w burzową noc nad jeziorem Michigan wydaje się latarnią morską z końca świata, w wietrzną noc niezwykłości, opuszczenia i bezsenności, w noc, podczas której jeśli zdoła się zasnąć, śni się, że jeszcze się jest na jawie i widzi się pokój i wyłączony telewizor i chowa się głowę pod kołdrę, aby nie słyszeć drżenia szyb i świstu wiatru zrywającego dachówki i łamiącego słupy telefoniczne, nie tylko w tej chwili, ale przed wieloma laty, w czasie i mieście, które pojawiły się we śnie i zostaną zapomniane, kiedy przejrzyste światło dnia i cisza na jeziorze nadadzą przebudzeniu pozór, że burza, pusty hotel i bezsenność należały do sennego koszmaru.

CHCĘ CI OPOWIEDZIEĆ, KIM BYŁEM i co robiłem, i jest tak, jakbym wymazał sobie z pamięci połowę życia, jakbym nie był obecny w moich własnych wspomnieniach i jakby zostały mi opowiedziane przez kogoś innego, bo dokładnie widzę miejsca, w których byłem, ale nie widzę w nich siebie albo się nie rozpoznaję, jestem neutralnym spojrzeniem kamery, uchem wychytującym słowa i systemem nerwowym nawykłym do ich rozpoznawania i natychmiastowego przekładania na słowa innego języka, jestem głosem przyzwyczajonym do działania jak echo i cień innych głosów, nieznanym, z którym zetknęłaś się po raz pierwszy, nie zwracając jeszcze uwagi na jego twarz, obcokrajowcem, którego słońce budzi pewnego poranka w Homestead Hotel, a on przez kilka minut nie potrafi sobie przypomnieć, gdzie jest, i zdać sobie sprawy, że nocna burza nie była złym snem wynikającym ze strachów dzieciństwa. Podpiera się na łokciu, oślepiiony światłem, znieważony przez nie w swym lenistwie i pragnieniu snu, spogląda na telefon i decyduje, że nie zadzwoni, aby jeszcze raz usłyszeć automatyczną sekretarkę, schodzi do holu i nie widzi nikogo, a w salonie z fortepianem znajduje ekspres do kawy, dzbanek z letnim mlekiem, paczuszki cukru, szklanki i plastikowe łyżeczki, sacharynę, rzecz jasna, i torebkę z kawą bezkofeinową, zostawione tam przez te same sympatyczne duchy, które, podczas gdy on jadł śniadanie, posprzątały jego pokój, bo kiedy do niego wrócił dwadzieścia minut później, łóżko było już zasłane, popielniczka opróżniona, a pasta do zębów i szczoteczka, które zostawił Bóg wie gdzie, stały schludnie w plastikowym kubku na umywalce.

Kiedy opowiem to Feliksowi, nie uwierzy, lubię opowiadać mu w myślach rzeczy, które mi się przytrafiają, a możliwe, że on nie całkiem w nie wierzy, a może nawet ich nie zapisuje w tym sekretnym dzienniku, który od lat prowadzi w komputerze, ale w końcu nawet ja sam nie wierzę w nie, choć to mnie się przytrafiają; zbieg okoliczności, który sprawił, że cię spotkałem, strach, nieszczęścia, przyzwyczajenie do rozczarowań, wrażenie, że nie jestem o krok od zagubienia się, ale że już się zagubiłem, i to dawno temu, nie dopiero wtedy, nad jezioro Michigan, lecz kilka miesięcy wcześniej, gdy wróciłem do Hiszpanii, nie myśląc jeszcze o tym, że zostanę, kiedy oświetliły mnie reflektory ciężarówki przy wyjściu z zakrętu i nadepnąłem hamulec, ale prędkość się nie zmniejszyła. Zamknąłem oczy, gotowy na śmierć, ręce odruchowo i rozpaczliwie skręciły kierownicę, nie widziałem nic ponad ciemność, a kiedy otworzyłem oczy i rozejrzałem się wokół, stałem na zmrożonej ziemi i nadal żyłem, słuchając w radiu piosenki Otisa Reddinga, którą ostatnio słyszałem siedemnaście lat wcześniej. Teraz wiem, kim jestem, bo ty na mnie patrzysz i nazywasz mnie po imieniu, przekazujesz mi wiadomości o mnie samym, te, o których zapomniałem, jeśli jednak myślę o Homestead Hotel albo o tej somnambulicznej podróży do Madrytu, podczas której omal się nie zabiłem, nie mając jeszcze trzydziestu pięciu lat ani nie wiedząc, że istniejesz, wydaje mi się, że wspominam życie kogoś, kto nie istniał, albo że czytam życiorys i zaskakują mnie daty, wybierane, aby je z tobą świętować i odkrywać, że w zasadzie nie minęło aż tak wiele czasu, trochę ponad dwa miesiące, i wystarczył ułamek sekundy, aby wszystko się wymazało, ta chwila, twoja twarz w tej chwili, sposób, w jaki na mnie patrzysz, kiedy mówię o Feliksie i o pragnieniu, jakie nagle poczułem, żeby się z nim spotkać, pewnej listopadowej soboty wieczorem, świeżo przybyły do Madrytu z Brukseli, świeżo zainstalowany w pokoju hotelu Mindanao, pytałem siebie, co zrobię, aby przetrwać dwie noce i straszną niedzielę, jakich brakowało do dziewiętej w poniedziałek, kiedy rozpocznie się praca w Centrum

Kongresowym. Usiadłem na łóżku, przez chwilę patrzyłem na zielone zasłony i oglądałem filmy rysunkowe w telewizji, spokojny, przynajmniej trochę bardziej niż podczas ostatnich kilku tygodni, ciesząc się tą ciszą, jaką zostawia po sobie miłość, która już przeminęła, jak mówi bolero, niewyspany, poddawałem się znużeniu i valium i w mniej niż pięć minut zdecydowałem, że jeśli zostanę chwilę dłużej, budynek zawali mi się na głowę, tak więc wyszukałem w notesie numer telefonu Feliksa, a kiedy z nim rozmawiałem, słyszałem w tle krzyk dzieci i barokową fugę. Dzwonię do niego kilka razy w roku, z najbardziej niezwykłych miejsc, ale zawsze podnosi słuchawkę tak szybko, jakby oczekiwał telefonu, i mówi do mnie takim samym tonem, podczas gdy w tle słychać głosy dzieci i muzykę, którą niezmiennie lubi od czasów liceum. Popatrzyłem na zegarek, stwierdziłem, że wystarczy mi czasu, aby dotrzeć do stacji Chamartin i wsiąść do nocnego pociągu, włożyłem zmianę bielizny do raczej nędznej torby z hotelowej pralni i następnego dnia, o ósmej, zataczając się z niewyspania, szcękając zębami z zimna, kręciłem się po ulicach w pobliżu stacji w Granadzie, poszukując otwartej kawiarni, w której mógłbym przeczytać gazetę, z torbą na brudną bieliznę w ręku, sam w ledwie mi znanym mieście, w którym nie spało zaledwie dwóch czy trzech szaleńców oraz kilku żebraków, którzy wstają jak urzędnicy, aby zająć dobre miejsce przed wejściem do kościoła, kilku ludzi w dresach, jakżeby inaczej, i staruszka z umalowanymi ustami, w butach na powykręcanych obcasach, ciągnąca ogromną, przewiazaną sznurkami walizę. Wyprzedziłem ją na chodniku, bo posuwała się naprzód z prędkością ślimaka, i przyszło mi do głowy zaproponować jej pomoc, byłem zamroczony współczuciem i niemal poczuciem winy – ta biedna kobieta, sama, dysząca, wlokąca wielgachną walizę, ale w porę tego pożałowałem i czym prędzej się oddaliłem, bojąc się, że mnie przywoła, młodzieńcze, proszę mi pomóc, mogła mnie poprosić o zanieśenie walizki i musiałbym w ślimaczym tempie przejść przez całe miasto, zdarzały mi się już podobne rzeczy, a Feliks umiera ze śmiechu, kiedy mu o tym opowiadam, mówi, że pewnie mam magnes przyciągający największych szaleńców, najdziwniejszych ludzi, a najgorsze, że kiedy tylko przestają się pilnować, od razu stawiam się w sytuacji każdego z nich i widzę siebie samego w wieku osiemdziesięciu lat, ciągnącego walizkę w nieznanym mieście, a jeśli w sierpniowy poranek natykam się w jakiejś dzielnicy Madrytu na Murzyna obciążonego dywanami, których nie ma żadnej szansy sprzedać, i wchodzi do baru, i pokornie przyjmuje brutalne żarty klientów, natychmiast sobie wyobrażam, że jestem nim, i umieram z żalu, albo też że jestem sobą i próbuję sprzedawać dywany w jakimś mieście Kamerunu, i mam ochotę zaprosić go na kawę i kupić wszystkie dywany, a nawet zaprzyjaźnić się z nim, aby facet nie czuł się tak samotny i otoczony rasistami.

Owego poranka przemierzałem więc mniej więcej w takim stanie puste miasto, zadając sobie pytanie, jak zorganizuję sobie czas do jedenastej albo do dwunastej, to znaczy do godziny, o której będzie można przyjść do czyjegoś domu w niedzielę z torbą pełną prezentów: statki kosmiczne z obracającymi się światłami dla dzieci Feliksa, butelka whisky ze sklepu wolnocłowego dla niego, flakon perfum dla Loli, bez entuzjazmu, nerwowo, bo przyjeżdżanie do różnych miejsc przygnębia mnie w takim samym stopniu, w jakim ekscytuje mnie wyjeżdżanie z nich, dzwigram nie dywany, ale martwe godziny znużenia; czas jest jak garnitur, który nigdy mi nie pasuje, staje się przykrótka i doprowadza mnie do rozpacz albo nagle jest zbyt obszerny i nie wiem, co z nim zrobić. Przeczytałem nie wiem ile gazet, zjadłem kilka śniadań, widziałem wcześniej wstające rodziny, które spieszyły na mszę, i kawalerów o obfitych brzuchach skrywanych pod bluzą dresu, którzy nieśli wielkie paczki paczków. Jak zwykle zadałem sobie pytanie: co ja tu robię? Zawsze się o to pytam, a demon, którego noszę w sobie, nigdy nie odpowiada mi w sposób satysfakcjonujący; zadawałem sobie to pytanie częściej niż kiedykolwiek wcześniej w Homestead Hotel, kiedy jadłem śniadanie, nie mogąc spuścić oczu z ducha panny grającej *Śmierć i dziewczynę* w wietrzne

noce, i potem podczas przyjęcia, które dla nas wydano na uniwersytecie, kiedy w końcu zostałem uwolniony spod władzy hotelowych duchów przez widzialnych organizatorów sympozjum i znalazłem się, uśmiechnięty, z kieliszkiem sherry w ręku, i rozmawiałem o pogodzie z różnymi profesorami i autorytetami o uśmiechach, które zdawały się zawinięte w celofan jak kanapki z ogórkiem, krążyli od jednej grupy do drugiej charakterystycznym tanecznym krokiem, jakim poruszają się Anglosasi podczas *parties*. W końcu dostają mdłości, zostają sam pomiędzy grupami rozmawiających, z uwagą wpatruję się w dno kieliszka i mój cień zbliża się do mnie, abym nie był samotny, i po cichu zadaje mi pytanie: co ty tutaj robisz? Co ty masz z nimi wspólnego? Tak mówił ojciec, żeby odciągnąć mnie od złego towarzystwa, co ja robię w kabinie tłumacza Parlamentu Europejskiego? Na lotnisku w Chicago albo we Frankfurcie? Co robię, kręcąc się jak biedak po Granadzie? Wczesnie rano, pijąc kolejne kawy, na które nie mam ochoty, i paląc papierosy, które w ogóle mi nie smakują, rzucam okiem na zegarek, zabijam czas, słucham z wyuczoną uprzejmością gładzenia taksówkarza, który też pewnie nie spał przez całą noc i jest wściekły na cały świat. Około południa wysiadam niedaleko domu, w którym mieszka Feliks, i jeszcze nie decyduję się zadzwonić, jakbym był domokrążcą – to następna grupa ludzi, która budzi we mnie solidarne poczucie krzywdy, także winy, pęka mi serce, kiedy muszę zebrać się na odwagę, aby nie kupić pasty do podłóg albo rodzinnej encyklopedii zdrowia. Wyszedłem z windy, a Feliks stał już na klatce schodowej, z tym swoim uśmiechem niezmiennym jak sposób mówienia albo ubierania się, śpiewał mi na powitanie fragment z *Luisy Fernandy*, uścisnęliśmy się bez zbytnej wylewności, bo obaj jesteśmy bardzo nieśmiali, zapytał, dlaczego przychodzę tak późno, już się bali, on i Lola, że spóźniłem się na pociąg, a gdy tylko wszedłem do jego mieszkania, odniosłem miłe wrażenie, że przynajmniej przez kilka godzin nie będę zupełnie nie na swoim miejscu, choć przerażały mnie te tak żywe, choć uporządkowane pokoje, obrazy na ścianach, meble, zasłony, biblioteka pełna tomów i stojaki z płytami Feliksa, wszystko o spoistości cokolwiek przytłaczającej, z zapachem czystości, dobrze poskładanych ubrań w szafach, delikatnego odświeżacza w łazience, a pomiędzy tym wszystkim, siedząc przede mną na kanapie, nalewał mi piwa do szklanki stojącej na niskim stole z lśniącego szkła mój przyjaciel Feliks, taki sam jak w moich wspomnieniach z ostatnich dziesięciu czy piętnastu lat, tylko odrobinę grubszy, nawet z taką samą fryzurą, krzepki i wielki, ale z pewną dziecięcnością w rysach twarzy, ubrany w wełnianą kamizelkę, którą bez wątpienia zrobiła na drutach jego matka, w kapciach, rozpierał się wygodnie w swym skromnym powodzeniu, jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi i siadał wieczorami na schodach domu na Fuente de las Risas, jedząc kromkę chleba z oliwą albo tabliczkę ziemistej czekolady. Lola zaprowadziła dzieci do domu swych rodziców, powiedział, żebyśmy mogli spokojnie zjeść obiad, ty nie jesteś przyzwyczajony i dzieci na pewno doprowadzają cię do szalu; wydawało mi się, że powiedział to z odrobiną dystansu albo ostrożności, wstał, aby nastawić płytę, a kiedy usiadł, gwizdał melodię i napełnił moją szklankę piwem, nie patrząc mi w oczy.

Pomyślałem z wyrzutami sumienia, że ostatnimi czasy nie pielęgnowałem naszej przyjaźni, że być może zbyt mocno wierzyliśmy w dawną zażyłość, niszczoną jednak stopniowo przez odległość i gnuśność; co wiemy teraz o sobie nawzajem? Co mają ze sobą wspólnego nasze życia? On uczy lingwistyki na uniwersytecie, czyta po grecku i po łacinie, bada nie wiem jakie kodeksy czy tajemnice syntaktyczne, żeby programować komputery, jego pasje to zaszyfrowany dziennik i barokowi kompozytorzy, spędza Boże Narodzenie i Wielkanoc w Maginie, co lato wynajmuje niewielki domek nad morzem. Patrząc na niego i widząc, że jest tak inny ode mnie, i nieodmiennie zadaję sobie pytanie, co mamy ze sobą wspólnego? Dlaczego jest moim najlepszym przyjacielem od prawie trzydziestu lat? Bez wątpienia tego poranka on też zadawał sobie to pytanie, ale piwo i muzyka powoli nas

rozkręcały, przypominaliśmy sobie słowa, jak hasła, niesamowite przezwiska, zwroty z Maginy, szaleństwa, które ciągle wypisuje Lorencito Quesada w „Singladurze”. Patrzyliśmy na siebie kątem oka i wybuchaliśmy śmiechem, bo nie trzeba było nawet gestu albo odpowiedniej intonacji, abyśmy siebie rozpoznali, a kiedy wróciła Lola, mieliśmy już błyszczące oczy od śmiechu i piwa, bo Feliks dopiero co wyrecytował mi z pamięci anonimowy sonet poświęcony Rzeźnikowi z Maginy, którego już nawet nie pamiętałem. Cały dom rozjaśniało czyste światło, które wydawało mi się przejrzyste jak muzyka, której słuchaliśmy, koncerty na obój Haendla, wyjaśnił mi Feliks, muzyka, która przepełniała delikatnym, ale wyczuwalnym szczęściem i działała na mnie jak to odrobinę przedwcześnie piwo, które piliśmy, i jak śmiech. Feliks przygotowywał aperitify w kuchni, a Lola patrzyła na nas dwóch oparta o ścianę, uśmiechała się, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i z papierosem w dłoni, z sympatią i trochę z wyrozumiałością. Gdzie teraz mieszkasz? – zapytał mnie. Z kim żyjesz? Jak długo z nami zostaniesz? A kiedy mu odpowiedziałem, że wyjeżdżam tej samej nocy, Feliks pokręcił głową, sprawdzając ustawienie szklanek i małych talerzyków z zakąskami, które przygotował, i powiedział, nie patrząc na mnie: „Nigdy się nie zmieni. Wydaje mi się, że przyjeżdża gdzieś tylko po to, żeby jak najszybciej wyjechać”.

Nie miałem już wątpliwości, miał do mnie żal, ale nigdy mi tego nie powie, powtarzaliśmy te same żarty co zwykle, opowiadali mi o dzieciach i o pracy, pytali o moją, a Feliks patrzył na mnie, jakby mnie nie słyszał, jakby szukał w moich oczach, w mej zmęczonej twarzy, w nerwowych gestach, odpowiedzi na nie wypowiedziane pytanie, na które nie miałem mu odpowiedzieć, i wtedy zacząłem się skupiać i patrzeć na siebie jego oczyma. Na to też nie ma rady, mogę stać się obcy dla samego siebie i obserwować się z perspektywy innej osoby, nawet nie kogoś, kto zna mnie tak dobrze jak Feliks, ale jakiegokolwiek nieznanego, automatycznie jestem skłonny uważać, że jego osąd będzie surowy, i również jestem skłonny przyznać mu rację. Zauważyłem nagle, że moje ręce poruszają się szybko i niespokojnie, że nie jestem w stanie wytrzymać zbyt długo spojrzeń przyjaciół, że zapalam papierosa zaledwie po upływie kilku minut od zgaszenia poprzedniego i szybko kończy mi się piwo w szklance, lecz usłużność Feliksa nie była pełna przygany, jedynie nieustająca i drobiazgowa, jak wszystkie jego czyny, jak sposób, w jaki kroi ser albo wypisuje tytuły i nazwiska muzyków na kasetach. Patrzę, jak coś robi, i przypominam sobie, jak siedzieliśmy w szkolnej ławce i pisał, wysuwając język, absolutna i spokojna koncentracja. W taki sposób zbudował swoje życie, nie zmieniając się za bardzo od czasu, kiedy go poznałem, ale też nie upierając się sztywno przy swoich zamierzeniach, z uporem, który żywi się urazą i który mogłyby uzasadniać wszystkie nieszczęścia jego dzieciństwa: ojciec unieruchomiony w łóżku nieodwracalnym paraliżem, matka zmywająca podłogi i ubierająca swoje dzieci w pomocy społecznej, o żadnej z tych rzeczy nie mówi, nigdy nie widziałem, żeby się przeciwko czemuś buntował, nawet w czasach, kiedy niemal wszyscy znajdowaliśmy upodobanie w teatralnych gestach, ale też nie skapitulował, jest taki sam jak dwadzieścia pięć lat temu i jak poprzedniego lata, a Lola, kiedy widzę ją obok niego, sprawia takie samo wrażenie spokoju i trwałości, jakby tacy oboje się urodzili i ograniczyli się do postępowania według swego rodzaju instynktu, który ich ochrania i ulepsza. Nie zostali zniszczeni, jak ty i ja, podczas lat błądzenia czy strawionych na bezowocnych miłościach, zdają się nie znać rozpacz ani niezgody, żyją razem, mają dzieci i wychowują je, idą do pracy, oglądają telewizję po położeniu dzieci do łóżek, a potem na pewno pożądamy się nawzajem i oddajemy się sobie, widziałem, jak na siebie patrzą, jak przypadkiem się dotykają i uśmiechają do siebie, nie z tym głupkowatym szczęściem wiecznych nowożeńców typu Doris Day, obnażających się przed znajomymi małżeństwami i w końcu nazywających siebie mamą i tatą, słucham ich i rzygać mi się chce, naprawdę, ale ze skromnością i doświadczeniem, jak ktoś, kto przez całe życie coś robi i robi to dobrze, jak mężczyzna i kobieta przyzwyczajeni do związku, który

przez lata potwierdził swą wartość. Ty i ja boimy się, jeszcze nie spędziliśmy ze sobą nawet dziesięciu nocy, boimy się tego, co czas z nami robi, i każda godzina wydaje nam się przypadkiem darowana, nie mieliśmy niczego, co nie byłoby kruche albo co w naszych odczuciach byłoby niewątpliwie nasze, oni przeciwnie, zdaje mi się, że cierpią na brak uczucia niepewności, tak jak my cierpimy na brak świadomości tego, na czym polega trwałość. W zeszłym roku przeprowadzili się do tego mieszkania, bo w poprzednim z dziećmi nie mogli się już pomieścić, podpisali hipotekę i kupili nowe meble na raty, nie czują się jednak przytłoczeni ani zaharowani. Feliks pokazał mi je, podczas gdy Lola przygotowywała obiad, a ja myślałem o swoim domu, o mieszkaniach, w których mieszkałem od przypadku do przypadku przez ostatnich dziesięć lat, mając jedynie radiomagnetofon, kilka książek i kaset, walizkę, którą ktoś mi pożyczył na przeprowadzkę i której nie oddałem, i torbę podróżną, miejsca tak odporne na przesiąknięcie czyjąkolwiek obecnością jak hotelowe pokoje, bez obrazów na ścianach ani oprawionych fotografii, bez wizytówki z nazwiskiem na drzwiach, całe budynki zamieszkałe przez osoby samotne, co najwyżej pary z psem, cienkie ściany, przez które słychać hałasy sąsiadów, a które zsyłają człowieka na wygnanie tak odległe jak w tybetańskim klasztorze. Gdy ktoś umrze na atak serca, oglądając telewizję, będą potrzebowali więcej czasu, by odnaleźć jego ciało, niż gdyby się zgubił na australijskiej pustyni.

„A tutaj moje *santo santorum*, jak powiedziała Lorencito Quesada”, oznajmił Feliks; jego pokój ze ścianą całkowicie zastawioną regałem wypełnionym książkami i płytami, okno, przez które widać dolinę białych domów i ogrody z cyprysami, sprzęt muzyczny używany tylko przez niego, akwarele przedstawiające Maginę i dolinę Gwadalkiwiru widziane z punktów widokowych, duży pusty stół, komputer, w którym co wieczór prowadzi swój dziennik, almanach z Systemu Metrycznego z dawną fotografią placu generała Orduñi. Akwarele znalazł na madryckim Rastro i udało mu się dostać je bardzo tanio, choć sprzedawca przekonywał go, że zostały wykonane przez malarza dość znanego w latach trzydziestych; może dlatego, że kolory były bardzo wyblakłe, na obrazkach nie widać miasta takiego, jakie jest, ale takie, jak można je pamiętać, kiedy przez wiele lat się go nie widziało. Rozmowa się nie kleiła, siedzieliśmy w milczeniu, popijałem piwo i rozglądałem się w poszukiwaniu popielniczki, a kiedy Feliks mi ją podawał, napotkałem jego wzrok i odniosłem wrażenie, że zaraz mnie o coś zapyta, ale natychmiast ocalał nas jakiś żart, gra słów bez większego sensu, niemal pretekst do zagłuszenia ciszy. On albo ja zaczęliśmy mówić i zdawaliśmy sobie sprawę, że uwaga drugiego miała charakter głównie grzecznościowy. Podczas obiadu uspokajała nas obecność Loli, oglądaliśmy wiadomości w telewizji z uczuciem ulgi, że milczymy i nikt nie zauważa ciszy. Przeprowadzano wywiad z jakimś mężczyzną o kręconych siwych włosach, który mówił bardzo szybko i miał okulary o przezroczystych oprawkach. Feliks odłożył widelec, uderzył dłonią w stół i wybuchnął śmiechem: „Popatrz na niego, to niemożliwe, wiesz, kto to jest?” Byłem rozkojarzony i kiedy ponownie spojrzałem na ekran, widać było formację wozów bojowych na pustyni. „Naprawdę go nie poznałeś? Praxis, stary, ten, co nas uczył literatury w liceum! Jest deputowanym, właśnie go mianowali dyrektorem generalnym czegoś tam. On też poczuł powołanie, żeby zostać strażnikiem zachodniej kultury”. Nie pamiętałem go i po pięciu minutach znowu zapomniałem, skąd miałem wiedzieć, że za kilka miesięcy, w tej chwili, ten człowiek będzie tworzył część mojego życia i że niedziela w domu Feliksa, moja tajona zazdrość i przybicie z powodu wyrzeczenia się korzeni były zarazem końcem i preludium katastrofy. Jechałem pociągiem przez całą noc, żeby spotkać przyjaciela, i w miarę upływu czasu ogarniało mnie rozczarowanie, bo go nie spotkałem, nie z jego winy, lecz dlatego, że nie byłem w stanie wyzbyć się uczucia, że znalazłem się bardzo daleko, i stopniowo zacząłem odczuwać niepokój, spojrzenia na zegarek, przeliczanie godzin, jakie zostały mi, aby bez pośpiechu dotrzeć na stację, pragnienie przebywania już gdzie indziej, nie chciałem jednak, by Feliks

zdał sobie z tego sprawę. Wypiliśmy powoli ponad połowę butelki, którą mu ofiarowałem, i o zmierzchu, odrobinę pijani, poszliśmy po jego dzieci, a Feliks zaproponował, żebyśmy najpierw wypili piwo w pobliskim barze. Pozdrowiał prawie wszystkich na ulicy i kelner przywitał go po imieniu. Przy drugim piwie oparł się łokciami o bar i przemówił do mnie tak poważnie, że nie mogłem rozpoznać jego głosu. „Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale zachowujesz się dziwnie, przede mną się nie ukryjesz. Jesteś nerwowy, spieszysz się, przyjechałeś rano i już nie możesz się doczekać, kiedy wyjedziesz. Lola też to zauważyła. Może za długo mieszkasz w tych krajach, gdzie słońce pojawia się tylko w reklamach. Ja na twoim miejscu bym wrócił. Nie mówiłeś, że pracujesz na własny rachunek? No to możesz zarobić na życie tak samo tutaj jak w Brukseli. Poza tym jest coś jeszcze i wstydzę się o tym mówić. Prawie z nikim nie rozmawiam, nie śmieję się z nikim. Jestem prezesem wspólnoty mieszkańców mojego bloku. Mam dwanaście lat stażu i dobrą pensję. I nie powinienem ci o tym mówić, ale brakuje mi ciebie. Ty może tego nie wiesz, bo mieszkasz daleko i nie zwracasz na to uwagi, ale ludzie, których znaliśmy, bardzo się zmienili. Tak jak w tym filmie o Marsjanach, który niedawno widziałem w telewizji. Kosmici przylatują do nieznanego kraju i zamiast podbić go za pomocą broni, zdobywają ludzkie dusze. Jesteś z żoną albo z przyjacielem i początkowo niczego nie zauważasz, ale potem widzisz, że mają jakby puste oczy i że chodzą trochę sztywno, a oni już się zmienili w Marsjan. Człowiek uderza się w głowę, a kiedy otwiera oczy, już jest inny, chociaż mówi tak samo i ma tę samą twarz. Dziś rano, kiedy cię zobaczyłem, przestraszyłem się, że ty też już zacząłeś się zmieniać. Teraz jestem spokojniejszy, ale nie dowierzam nawet sobie. Kiedy wrócisz?”

Zaczęło się robić późno, o wpół do jedenastej pożegnałem się z Feliksem i Lolą i ponownie przemierzałem miasto w taksówce, tak samo jak dwadzieścia cztery godziny wcześniej w Madrycie. Klepałem się po kieszeniach w poszukiwaniu dowodu, paszportu, karty kredytowej, nie dowierzałem zegarkowi i zapytałem taksówkarza o godzinę. Przyjechałem na stację i wydało mi się, że jest znacznie wcześniej, niż wskazywały zegary, bo w holu było bardzo mało ludzi, a ekspres do Madrytu nawet nie stał na peronie. Trzeba było czekać, ale prawie dochodziła jedenasta, dziwne, kasa była zamknięta, podobnie jak kiosk i bar, przewidywałem katastrofę, kto kazał mi ufać hiszpańskim pociągom? Kolejarz w czapce zsuniętej na tył głowy i z papierosem w ustach powiedział, patrząc na mnie jak na idiotę, że to niemożliwe, żebym nie wiedział, że jest strajk maszynistów. Musiałem jednak wyjechać, musiałem być w Centrum Kongresowym o dziewiątej rano i nie stać mnie było na jazdę taksówką. Musiałem wynająć samochód, o ile uda mi się znaleźć w Granadzie agencję otwartą przez dwadzieścia cztery godziny. Ruszyłem aleją przy stacji w poszukiwaniu jakiegoś baru z telefonem i natknąłem się na kobietę z walizką, bardziej rozczochraną i starszą, w bardziej rozczłapanych butach, mówiła do siebie, a gdy mnie ujrzała, machnęła do mnie ręką, żebym się zbliżył, taka moja dola, nie miałem odwagi przejść obok niej i zatrzymałem się, choć przysięgałem sobie, że za nic w świecie nie będę niósł tej walizki. „Przepraszam, nie wie pan, gdzie jest Marañas? Nie wiem, co zrobili z ulicami, na pewno je pozamieniali albo polikwidowali, ja mieszkam przy Marañas, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie to jest, a najgorsze, że nie pamiętam też, który jest mój dom, tak więc jeśli nie spotkam kogoś, kto mnie zna, będę musiała spać w bramie. Pana twarz wydaje mi się znajoma. Nie zna mnie pan?” Dalej mówiła do siebie, kiedy jej uciekłem i nie chciałem oglądać się za siebie, ale nie mogłem zapomnieć jej twarzy, pomyślałem, że jest trochę podobna do babci Leonor, i rzeczywiście, później wspominałem babcię, po północy, kiedy prowadziłem forda fiestę, którego udało mi się wynająć po przygnębiających perypetiach, i zadawałem sobie pytanie, czy ta kobieta znalazła w końcu kogoś, kto ją zaprowadził na Marañas.

Przed wyjazdem wypilem kilka kaw, ale chciało mi się spać, ciążyły mi powieki, hipnotyzowały mnie reflektory nadjeżdżających z przeciwka samochodów i białe linie na jezdni, bolał mnie kark i mięśnie szyi i bałem się oprzeć głowę o zagłówek, siedziałem sztywno, mocno zaciskałem ręce na kierownicy i wciskałem gaz z poczuciem opuszczenia i zagrożenia, skupiałem się na białej linii, która zdawała się szybko do mnie zbliżać z ciemności, by zaraz potem gubić się w lusterku wstecznym, z każdą minutą coraz szybciej i dalej od bezksiężycowej nocy, pomiędzy mrocznymi wzgórzami i szybko migającymi rzędami drzew oliwnych, tak ulotnymi jak senne obrazy; kobieta w okolicach stacji w Granadzie, siwe włosy babci Leonor, wariatka, która o zmierzchu chodziła po ulicy Pozo z kamieniem ukrytym pod czarną chustą, światła na narożnikach ulic, takie same, jakie teraz widziałem przed sobą, opuszczone wiejskie domy przy szosie, dziadek Manuel idący nocą przez góry podobne do nocnych pejzaży, przez które gnałem samochodem pół wieku później sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, jeździec, o którym czasem śniłem, wuj Pepe wracający z wojny, Michał Strogow na okładce książki, którą matka kupiła mi na urodziny. Zdawałem sobie sprawę z tego, że zasnę, potrząsałem głową, zwolniłem, widząc przed sobą tylne światła ciężarówki, miałem czas, żeby ją wyprzedzić, zmieniłem bieg i wyczułem wibracje silnika, a kiedy wyprzedzałem ciężarówkę, poczułem się zawieszony pomiędzy życiem i śmiercią, poza czasem i rzeczywistością, jakbym śnił, że lecę, nie wracałem od Feliksa ani nie spieszyłem do Madrytu, aby następnego ranka pracować jako tłumacz symultaniczny, byłem tylko sylwetką mężczyzny prowadzącego samochód, oświetloną światłami innego mijającego się z nim samochodu, słyszałem głosy i piosenki w radiu, widziałem delikatne zielonkawe światło i wskazówkę potencjometru przesuwającą się od jednej stacji do drugiej, jakbym przemierzał wszystkie nocne przestrzenie wypełnione głosami; przypomniał mi się wtedy aparat z wyszywanymi zasłonkami, który stał w domu rodziców, bardzo wysoko, na wsporniku z pobielonych cegieł, musiałem wdrapywać się na fotel, na którym stawiali mi talerz zjedzeniem, żeby osiągnąć potencjometrów, i słychać było szum deszczu i stukot końskich kopyt, zaczynał się serial *Powóz numer trzystaście*, albo jakiś jeździec gnał przez noc i słychać było dalekie grzmoty. Coraz szybciej, od jednej stacji do drugiej, zalew piosenek uciszanych jednym nieznacznym ruchem palców, oślepiające światła, drogowskaz w prawo, Mágina 54 kilometry, natychmiast został w tyle i już prowadziłem swobodnie i euforycznie, z niebezpieczną przejrzystością umysłu, podobną do tej po zażyciu kokainy, która pojawia się, kiedy udaje się przetrzymać pierwszy atak senności. Teraz to sobie przypominam i nie wiem, czy będę w stanie ci to wyjaśnić, była to mieszanka tchórzostwa i zawziętości, nieuzasadniony entuzjazm, przyprawiający o zawrót głowy i pusty jak jezdnia ciągnąca się przede mną w nieskończoność, kiedy minąłem Despeñaperros, około trzeciej nad ranem, i wskazówka szybkościomierza osiągnęła sto trzydzieści kilometrów na pierwszych równinach La Manchy, widziałem czerwonawą jasność na horyzoncie i przyszło mi do głowy, że będzie świtać, ale to były światła miast, znalazłem stację, w której nadawali piosenkę Otisa Reddinga i powtarzałem na głos słowa, nie przypominając sobie jeszcze jej tytułu, odruchowo zdjąłem nogę z gazu, zbliżając się do znaku obwieszczającego ostry zakręt w lewo, i wtedy zobaczyłem światła ciężarówki, zrozumiałem w jednej chwili jasności umysłu i przerażenia, że jeśli nie zjadę na bok, zginę pod jej kołami, ale naciskałem hamulec, a szybkość się nie zmniejszała, żółte światła oślepiły mnie, biała kabina ciężarówki wypełniała całą przednią szybę, wstrząsnął mną dźwięk klaksonu i przez ułamek sekundy absolutny spokój wymazał strach przed śmiercią. Być może skręciłem kierownicą z zamkniętymi oczyma. Kiedy przestało mną rzucać i otworzyłem oczy, samochód stał w miejscu, radio ciągle było włączone i brzmiała ta sama piosenka, której zacząłem słuchać, wchodząc w zakręt. Najdziwniejsze nie było to, że żyję, ale to, że Otis Redding kontynuował *My girl*, jakby podczas ostatniej minuty nie minęły całe lata.

IDZIE ALEJĄ LEXINGTON, opatulony niczym Eskimos i złorzecząc swemu losowi, zgiełkowi i spalinom, wiatrowi niosącemu śnieg z deszczem, który dopada człowieka na każdym zakręcie. Jest jeszcze zimniej niż w Chicago, ma grube rękawice, szalik, kurtkę w czerwone i czarne kwadraty, dwie pary skarpetek, a ponieważ tutaj nikt go nie zna, kupił sobie wełnianą czapkę i nauszniki, ale i tak umiera z zimna, powinien zostać w hotelu i oglądać telewizję, wydobywa mu się z ust para tak gęsta jak ta wylatująca z kanalizacji i ze szczelin w asfalcie, zaczerwienił mu się nos, a na jego czubku ma zamarznąłą kroplę, tak jak wuj Rafael, niech spoczywa w pokoju, któż by powiedział, że ktoś będzie go wspominał w Nowym Jorku w tyle lat po jego śmierci. Jest zimniej niż podczas bitwy o Teruel, żebracy obłożeni gazetami i szmatami, opatuleni kawałkami plastiku, chodzą skuleni i powolni jak wojska napoleońskie podczas odwrotu z Rosji, jak pędzeni na Syberię; w taki sam sposób, po tych samych bezdusznych ulicach, chodził poprzedniej zimy mój przyjaciel Donald Fernandez, a taki był dumny, kiedy przyznano mu amerykańskie obywatelstwo. Przy krawężnikach leży wstrętne błoto ze śniegu rozjeżdżonego kołami samochodów, jeśli się człowiek zagapi, przechodząc przez ulicę, może się poślizgnąć, a ludzie rozdepczą go niczym stado bizonów. Tak mawiał Donald, jeśli się zatrzymasz, zmiażdżą cię, jeśli się potkniesz, już nie wstaniesz. No dobra, stary, myśl, chociaż czasem zapomina się i wymykają mu się słowa na głos, jak obłąkanym Murzynom proszącym o jałmużnę, potrząsającym drobnymi miedzianymi monetami w papierowych kubkach, już wróciłeś do Nowego Jorku, jak by ktoś powiedział, znowu jesteś na szczycie świata, w Najwyższej Kloace, uskarżasz się na życie w przededniu swych trzydziestych piątych urodzin, jak by bez wątpienia powiedział dynamiczny dygnitarz, który skłonił go do podróży z Madrytu do jednego z najbardziej zagubionych miejsc na ziemi, aby służył za tłumacza jego przemówień. Facet jest zachwycony, Manhattan go odmładza, wymyślił sobie ważne spotkanie w Nowym Jorku, aby nie wracać bezpośrednio z Chicago do Madrytu i zostać jeszcze kilka dni w Nowym Jorku, bo Wagner ciągle wyje w Metropolitan tak nieprzejednanie jak wichury nad jeziorem Michigan i on nie chce tego stracić, szczególnie teraz, kiedy już nie mówi Metropolitan, tylko Met, nauczył się wszystkich skrótów i odpowiednich zwrotów, ze swadą mówi o MOMA i o *twins*, a mówiąc o westybulu hotelu, nie mówi *hall* tylko *lobby*, został ekspertem od nowojorskich niedopowiedzeń, sklepów, restauracji, dyskotek, klubów jazzowych, galerii w Soho. Nie odpoczywa, a nawet upiera się z miną znawcy, że Village nie jest już takie jak dawniej, a odkąd stwierdził, że dzięki „ślodom Hiszpanii” w Ameryce rozumieją go wszyscy kelnerzy, chłopcy hotelowi i taksówkarze, postanowił zrezygnować z tłumacza, który teraz, wolny jak ptak, samotny jak pies, ubrany jak Lapończyk, niepocieszony i znudzony pod murami z brudnej cegły na alei Lexington i pod ogromnymi masztami, na których powiewają flagi, żałuje, że wrócił do Nowego Jorku i do absurdalnego dzwonienia do domu, który nie wiadomo gdzie się znajduje i w którym nigdy nikogo nie ma.

Przed wyjściem z hotelu zadzwonił jeszcze raz, a nawet zebrał się na odwagę, żeby nagrać na automatycznej sekretarce swój numer telefonu i pokoju, niczym melancholijne zawiadomienie, Allison, to ja, upierdliwy jak zawsze, po południu lecę do Madrytu, o wpół do siódmej, bardziej niż propozycja randki było to już pożegnanie, a nawet nie to, nie można pożegnać się z kimś, kogo się nie widziało. Idzie, klęnąc na Nowy Jork i na wszystkie miasta,

w których panuje zima, łąją samego siebie, swój cień, myśli po angielsku ze strasznym amerykańskim akcentem, *I wanna fly away*, przypomina sobie Lou Reeda, który śpiewając, zdaje się wałęsać po tych samych ulicach, a cień odpowiada mu po hiszpańsku, chcesz zjeżdżać stąd gdzie pieprz rośnie, dostarcza mu wersów piosenek z bezczelną erudycją, która nie brzydzi się bolerami ani hiszpańskimi piosenkami, ani najbardziej plebejskimi rumbami, tyle podróży, oglądania świata i nauki języków, żeby tak skończyć, żeby marnieć z samotności i melancholii w pokoju, z którego okna można zobaczyć jedynie stalowe rusztowanie jakiegoś parkingu, i oglądać w telewizji nędzne konkursy dla szczęśliwych małżeństw i filmy Imperia Argentino i Miguela Ligero, które niespodziewanie pojawiają się na latynoskim kanale, bardziej samotny niż podróżnik – oto kim jesteś, nabija się z niego cień, obląkanym podróżnikiem przez krainy słów, jak chart ścigasz słowa innych ludzi, upojony uczuciami z filmów i pospolitych piosenek, stopniowo przez nie zabijany, *podaj mi truciznę, bo chcę umrzeć*, czuje się, jakby niósł w głowie radio, w którym stacje nakładają się na siebie, Lou Reed, Juanito Valderrama, Antonio Molina, *żegnaj, piękna Hiszpanio, ziemio ma rodzinna, piękna, wesola i powabna, jak kwietniowa róża*, śpiewa cień, aby przytłoczyć go nostalgią na rogu Piątej Alei i Central Parku, a wtedy śnieg z deszczem gęstnieje i cień bez skrupułów przemawia głosem Armanda Manzanero i szepcze z obrzydliwą słodyczą, *wieczorem padał deszcz, widziałem biegnących ludzi, ale ciebie pośród nich nie było*. Nie pada i nie nadszedł jeszcze wieczór, choć w tym przypadku nie ma to znaczenia, ciemne chmury pędzą szybko, bardzo nisko, zasłaniają ostatnie piętra drapaczy chmur i zamazują perspektywę ulic, a ludzie już o dwunastej mają kwaśne miny i spieszą się, nieprzyjaźni, co zmieni się punktualnie o piątą, kiedy wyjdą z pracy, i rzeczywiście widać kobiety w kaloszach, biegnące pod osłonę markiz, i oczywiście nie było ciebie, myśli, że tak jej powie, kiedy ją zobaczy w ostatnim momencie, kiedy będzie już miał spakowaną walizkę i torbę, ulegnie słabości, ponownie zadzwoni i w końcu zastanie ją w domu. Wyobraża sobie, że do niej mówi albo pisze bardzo długi list, chciał to zrobić, lecz nie znalazł jej adresu, choć sceptyczny cień oznajmia mu, że nawet znając adres, i tak by nie napisał, o ile cię znam, mogłeś do niej zadzwonić i tego nie zrobiłeś, najpierw ze wstydu, a potem z lenistwa albo dlatego, że już ją zapomniał, pamięta tylko blond włosy przycięte na wysokości brody i czerwoną szminkę, ubranie, które nosiła, ciemnozielony płaszcz, garsonkę, jakby męską, szarą w prążki, marynarkę z szerokimi kłapami, widać było haftowany rąbek stanika, kiedy pochylała się ku niemu przy obiedzie, świeży zapach perfum. To teraz, w Ameryce, pamięta ją z największą intensywnością i boleśnie za nią tęskni, pomimo ironicznego cienia szepczącego mu do ucha, nie byłoby ci jej tak brak, gdybyś tych kilka dni z nią spędził, znam cię, zacząłbyś się badać jak hipochondryk, w poszukiwaniu niedoskonałości albo znudzenia, a gdybyś nie zdołał ich stwierdzić, strach przed rozczarowaniem przekształciłby się w przerażenie miłością, a nawet teraz, w tajemnicy, na pewno pragniesz wyjechać jak najdalej stąd, za ocean, uciekając nie przed cierpieniem, ale przed dokuczliwością namiętności, rozmowami telefonicznymi, listami czytanyymi po wielokroć, zredukowaniem świata do tylko jednej osoby, uporządkowanym i trywialnym życiem, które raptem staje się nie do zniesienia. Cóż za przygnębienie! – mówi mu z ulgą cień, niczym przyjaciel wyczulony na jego najgorsze nawyki, tak jest lepiej, samotność i wygoda, bilet na samolot w kieszeni, pamiętaj o Feliksie, który mówi, że nigdy nie zaznał takich zmian, jakie relacjonujesz mu od czternastego roku życia, i na pewno lepiej mu było z Lolą niż tobie z całym tym katalogiem czarujących i enigmatycznych kobiet, którym poświęciłeś, prawie zawsze bezsensownie, więcej energii, entuzjazmu i bólu niż jakiegokolwiek innej rzeczy w swoim życiu.

Nie zaczął padać śnieg, na szczęście od Central Parku dobiega zapach lasu, wilgotnej ziemi i mokrych liści. Teraz idzie energicznie na północ ulicą, przy której stoją domy bogaczy, na progach portierzy w uniformach z galonami noszą pod czapkami z daszkiem

nauszniki tak podłe jak jego, zwraca uwagę na numery ulic i na kobiety opatulone futrami, wysiadające z limuzyn i przechodzące szybko do dyskretnie oświetlonych portali z białymi ramami i mahoniowymi fryzami, zostawiające w powietrzu jakby złoty ślad najdroższych perfum na świecie.

Przez chwilę wydaje mu się, że wyczuł zapach wody toaletowej Allison, i prawie przypomina sobie jej twarz, ale to niemożliwe, to jakby urojenie zapachu i po raz pierwszy zdaje sobie sprawę, że bardzo mu ciężko z powodu tego, że nigdy więcej jej nie zobaczy, i odczuwa nienawiść do mijających go twarzy nieznajomych. Na wysokości Sześćdziesiątej Czwartej Wschodniej czuje się słabo, od ponad godziny nie zatrzymał się ani na chwilę, jest głodny, tym rodzajem głodu, zmieszany z poczuciem opuszczenia, o jaki zawsze przyprowadzają go wrocie miasta, a w tej okolicy o domach jak twierdze, gdzie mieszkają tylko milionerzy, nie ma barów ani budek z hamburgerami, z których unoszą się kłęby cuchnącego tłuszczem dymu, tylko portierzy w mundurach honduraskich marszałków i szerokie i czyste chodniki, bez dziur i żebraków czy włóczęgów w łachmanach, popychających wózki sklepowe pełne odpadków. Allison, mówi, Allison, Allison, jakby rzeczywiście był w niej zakochany i powtarzanie jej imienia mogło ją sprowadzić do niego z najodleglejszego zakątka Nowego Jorku albo Ameryki, w którym się ukryła. Jednak najdziwniejsze nie jest to, że nie może jej znaleźć, ale to, że ją poznał i tak szybko się ze sobą spoufalili, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, biorąc pod uwagę, ilu ludzi jest na świecie, jak mawiał wuj Pepe, można dostać zawrotu głowy od liczby nazwisk ułożonych alfabetycznie w książce telefonicznej Nowego Jorku, miliony kobiet i mężczyzn mówiących tysiącami języków, a nie można znaleźć bliźniego, kiedy jest najbardziej potrzebny, tak więc lepiej podziękować za szczęście spędzenia z nią jednej nocy i nie desperować już ani minuty dłużej, wrócić do Europy, zainstalować się w Madrycie, zaoszczędzić na mieszkanie i zacząć się przyzwyczajać do zbliżającej się czterdziestki, co za niesmak, a więc to jest życie; ciesz się przynajmniej, że jeszcze nie wypadły ci włosy i nie pojawił się brzuch, mówi cię, że nie poszedłeś w heroinę ani alkohol, ani w religię, nie nosisz też spodni z wieloma kieszeniami ani markowych swetrów, ani nie masz gabinetu i żadnej funkcji politycznej, że nie nosisz w kieszeni srebrnego pojemniczka na kokainę, że nie jesteś przytłoczony ojcostwem ani pogodzony z małżeństwem i cudzołóstwem, że nie zostałeś sparaliżowany po jakimś wypadku samochodowym, że nie zgłupiałeś z tęsknoty za bohaterską przeszłością, która nigdy nie istniała, że uwolniłeś się z dybów biur i bez moralnych blizn przetrwałeś częste katastrofy miłosne.

Umiera z głodu, drżą mu nogi, z zimna boli go nos, dobrze chociaż, że przezornie kupił czapkę i nauszniki, „Mnie jest ciepło, a was niech pochłonie piekło”, mawiała matka przed jego wyjściem do szkoły, gdy było zimno i siedł w kominiarce, która doprowadzała go do szału, bo wyglądał w niej jak kat. Doszedł do narożnika Sześćdziesiątej Szóstej Ulicy i dalej idzie na północ z uporem robota, ale powinien zawrócić, bo może się zrobić późno, ojciec już by drżał ze strachu, że spóźni się na samolot, on zresztą też, człowiek przez pół życia nie chce być podobny do swojego ojca, a w pewnym momencie zauważa, że odziedziczył po nim nie to, co najlepsze, ale jego najgorsze manie; zwrot, znowu niemal dwugodzinny marsz, a potem największa kanapka, jaką mają w hotelowym barze, i jedno z tych łagodnych, ciemnych piw, z białą, bardzo gęstą pianą, które są znakomite, żeby się trochę upić i zasnąć w samolocie. Już go ekscytuje pewność wyjazdu, ma natychmiastowe zachcianki, z których mógłby się zwierzyć tylko Feliksowi, bo ktokolwiek inny, nawet on sam, nazwałby go wieśniakiem, tost z oliwą, kanapka z szynką, pół porcji *churos* posypanych cukrem, kawa z mlekiem, ale prawdziwa kawa z mlekiem, mocna i dobrze palona, a nie ta lura, którą piją tutaj, nawet do obiadu, porcja ryżu z królikiem przyrządzonym przez matkę, orgia cholesterolu. Niemal zalewa się łzami, z nostalgii, z zimna, z tak wściekłego głodu, jaki nachodził go podczas

zbierania oliwek albo pracy w polu, i wtedy widzi przed sobą, na rogu, niski budynek, który wydaje się włoskim pałacykiem, a kiedy zauważa, że jest to muzeum, przychodzi mu do głowy, że w środku będzie ogrzewanie, łazienka, a może nawet kawiarnia, tak więc rzuca okiem na zegarek, stwierdza, że ma jeszcze czas, wchodzi po schodach i kupuje bilet. Muzeum nazywa się The Frick Collection, dla niego brzmi to tak, jakby chodziło o muzeum napojów Perico Chicote, choć teraz chyba sobie przypomina, że ktoś całkiem niedawno mu o nim mówił, być może Feliks, który wie o malarstwie tyle, co o muzyce barokowej i poezji łacińskiej, i językoznawstwie, ale zataja to, przez niechęć do wyróżniania się. Rzeczywiście, jest gorąco, z ulgą zdejmuje rękawiczki, wełnianą czapkę i nauszники, jest strzałka wskazująca ubikacje, ale w szatni informują go, że nie ma kawiarni, ciepłe powietrze, cisza i półmrok osłabiają jednak głód. Idzie korytarzem wyłożonym marmurem i nie odnosi wrażenia, że znajduje się w muzeum, ale że zakradł się do czyjegoś domu. Na ścianach wiszą małe i słabo oświetlone obrazy, a z zewnątrz nie dociera zgiełk ruchu ulicznego ani nawet szum wiatru. Po kilku minutach cisza nabiera nierealnej intensywności, jaką miała w Homestead Hotel, ale tutaj nie zagraża, jest gościnna, słychać skrzypienie rozważnych kroków na wypolerowanej drewnianej podłodze i szepty, czyjs głośny śmiech w sali obok i szum wody spadającej do marmurowej wazy. Na zadaszonym dziedzińcu, gdzie panuje szara przejrzystość, samotnie stoi kobieta z papierosem w ręku i otwartym katalogiem. Znudzeni strażnicy rozmawiają półgłosem w głębi korytarza i zasłaniają usta, aby nie było słychać ich zbyt głośnego śmiechu. Nie wyglądało to jak muzeum, będzie opowiadał Feliksowi, wszyscy strażnicy mieli pozbawione wdzięku twarze współników, szczególnie gdy widzieli kogoś obcego i stawali się poważni i sztywni, jakby udawali, że są strażnikami, i nie potrafili pohamować śmiechu. Był tam salon z biurkiem, biblioteką i kominkiem, a nad nim portret właściciela domu, mężczyzny z siwą brodą, w garniturze, który spoglądał na mnie z góry, jakby nie podobała mu się moja obecność, choć chełpił się przede mną swym pałacem i kolekcją malarstwa. Widzi blade twarze kobiet i mężczyzn sprzed dwóch wieków i myśli z niechęcią, że ogląda portrety zmarłych, że niemal wszystkie obrazy, książki, a nawet filmy, które tak lubi, opowiadają o nich, o zmarłych. Odkrywa nie bez zaskoczenia jeden obraz Goi, jeden Velazqueza i jeden surowy autoportret Murilla, co mile łechce jego uczucia patriotyczne, przez ileż miejsc musiały przejść te obrazy, żeby dotrzeć tutaj, można dostać zawrotu głowy od wyobrażenia sobie tego, ma ochotę już sobie iść, robi się późno i odrobinę niepokoi go ta cisza, nawet cień zamilkł, jest tak, jakby cisza spłynęła na niego z wnętrza obrazów i spoza przestrzeni, z której spoglądają na niego spokojne oczy zmarłych, przestrzeń i czas, niedotykalna przestrzeń okalająca postaci niczym szyby akwarium i czas odległy od ulic Nowego Jorku i wskazówek zegarka, które niedługo pokażą godzinę jego odlotu, lata i wieki zamrożone w salach i korytarzach muzeum, w szarej przejrzystości dziedzińca, gdzie woda spływa na marmurową wazę, w rysach twarzy tych bezimiennych ludzi, którzy zostali zmieceni z ziemi, a trwają w głębi obrazów ze smutnymi uśmiechami i wzrokiem utkwionym sztywno w ciemność. Nie lubi muzeów, bo przypominają mu, że umrze, i sprawiają, iż myśli, jak mawia dziadek Manuel, że nie jesteśmy nikim, to samo dzieje się z nim, kiedy ogląda któryś z tych filmów, gdzie główni bohaterowie starzeją się, mają zmarszczki i drżą im ręce, coś go ściska za gardło, bez względu na to, jak podły byłby film, choć aktorzy wydają się znacznie młodszy, niż mieli być, i widać wyraźnie, że siwizna jest efektem farbowania. W Metropolitan Museum podczas poprzedniej podróży zobaczył rozmazane odbicie swej twarzy w srebrnym egipskim lustrze i odwrócił wzrok, pytając siebie, jakie były twarze ludzi, którzy wpatrywali się w nie pięć tysięcy lat temu. Zrzeszenia umarłych, katalogi umarłych, rysy umarłych wyrzeźbione w kamieniu albo wymalowane farbami olejnymi, albo zachowane na brystolu fotografii. Nie mam dzieci i pewnie już nie będę miał, za sto lat nie pozostanie ślad mojej twarzy ani w czyjejś pamięci, ani w czyichś rysach. Matka mówi, że jestem bardzo

podobny do pradziadka Pedra – kiedy umrą dziadkowie, kiedy umrze ona, nikt nie będzie o tym wiedział.

Spokojnie, wtrąca się cień, chodźmy stąd, albo jak mawia Feliks, kiedy niesie kieliszki i kołysze się, tak wysoki, i wydaje się, że zaraz runie na podłogę jak posąg z Wysp Wielkanocnych: „Drogi Maksie, nie bądź dowcipny”⁵. Ale jeszcze nie wychodzi, krąży po salach, niczym po pokojach niedawno opuszczonego domu, oszołomiony zmęczeniem i głodem, tyłoma godzinami samotności, z pewnym somnambulizmem, który z łatwością dopada go w muzeach, na lotniskach i w supermarketach. Wtedy go zauważa, początkowo zaledwie kątem oka, potem zatrzymuje się, jak ktoś, komu się wydaje, że rozpoznał na ulicy w obcym mieście kogoś znajomego, i dopiero po kilku sekundach zdaje sobie sprawę, że to niemożliwe, obraz jest raczej ciemny, natychmiast odnosi niejasne wrażenie, że nie jest on podobny do żadnego innego obrazu na świecie: młody mężczyzna na białym koniu, w nocy, w czapce wyglądającej na tatarską, na tle wzgórza, na którym z trudem można dostrzec zarys szerokiej i niskiej wieży albo zamku. Podchodzi, aby zobaczyć tytuł, *The Polish Rider*, ale ponownie musi się oddalić, bo światło odbija się od ciemnej i błyszczącej powierzchni płótna. To najdziwniejszy obraz, jaki zdarzyło mu się zobaczyć w życiu, choć nie potrafi wyjaśnić dlaczego, jest bardzo dziwny, ale wydaje mu się też znajomy, jakby go widział w zapomnianym śnie, niedawno, ale przecież człowiek nie śni o czymś, co zobaczy za kilka miesięcy, nie rozpoznaje i zarazem nie tęskni za czymś, nie zostaje zaatakowany zniemacka przez poczucie zagubienia i szczęścia, sprawiającego, że ściska go w gardle, jak dotąd tak wpływało na niego zaledwie kilka piosenek, jakby czas i rzeczywistość się nie liczyły, jakby nie był sam w Nowym Jorku w mroźny styczniowy dzień, o krok od lotu do niegościnnego miasta w Europie i od ukończenia trzydziestego piątego roku życia, a następnie kontynuowania egzystencji, w którą już się nie rzutuje i która interesuje go tak jak życie nieznanego, mieszkającego w mieszkaniu obok. Jest pewien, że śnił tego jeźdźca, napęnia go to poczuciem szczęścia i napawa przerażeniem, jak historie opowiadane przez dziadka Manuela, jankonie schodzące ze stoków gór zimowym świtem, powrót do Maginy z obozu koncentracyjnego pośród gór tak ciemnych jak te z obrazu, dalekie ognie w noc świętojańską, bo za jeźdźcem można dostrzec rozpalone ognisko, końskie kopyta głucho dudnią po ziemi. Chce odejść, ale po kilku krokach odwraca się i patrzy, nie może znieść niesamowitego napięcia wyostrzającego mu pamięć, gdzie ja go widziałem? Kiedy? Przypomina sobie, że przez lata zdarzało mu się coś takiego, widział koszyk albo wiklinowy kufer i ogarniało go przerażenie, od razu wyobrażał sobie przeszywające go zakrzywione szable i płynącą z niego krew, aż pewnej nocy, drzemiąc przed telewizorem, odkrył, że nie było to wspomnienie snu, lecz filmu, na który zabrano go, gdy był dzieckiem, tego samego, który oglądał wtedy, *Tygrys z Esnapur*, i w brukselskim mieszkaniu odżył w nim cały strach, ale też ówczesna niewinność i szczęście. Może wspomina jakiś film albo książkową ilustrację, ta wieża na szczycie wzgórza, zamek w Karpatach, zaklęty zamek, jeździec stuka kołatką z brązu i odpowiada mu tylko echo albo zobaczył wieżę z daleka i z góry odrzucił możliwość uzyskania schronienia albo zażycia kilkugodzinnego odpoczynku, bo nie chce przerywać swej podróży, nie chce zejść z konia ani zdjąć swej tatarskiej czapki i kołczanu ani łuku przytroczonego do siodła, aby walczyć przeciw nie wiadomo komu, w nie wiadomo jakiej wojnie, aby rzucić się w wir nie wiadomo jakiej rzezi, na jakich stepach, tak bezkresnych jak te, które bez chwili wytchnienia przemierzał Michał Strogow, kurier carski, który podczas swej tajnej misji poznał w pociągu dziewczynę o blond włosach i utracił ją, i znowu spotkał, został przez nią

⁵ Zdanie powtarzane przez don Latina de Hispalis w odpowiedzi na desperackie zapewnienia, że popełni samobójstwo, wygłaszane przez ociemniałego poetę Maksa Estrella w *Światach cyganerii* don Ramóna del Valle-Inclán. Wydanie polskie w tomie Ramón del Valle-Inclán, *Dziwadła i makabrydy*, tł. Zofia Szleyen, Warszawa 1975.

ocalony, kiedy już nie mógł jej widzieć, bo jacyś Tatarzy wypalili mu oczy rozżarzoną do czerwoności szablą.

Czas nagli, musi iść, odwraca się plecami do obrazu i na progu sali myśli, że może już nigdy więcej go nie zobaczy, odwraca się po raz ostatni, ale z tej odległości światło odbija się od matowej powierzchni, co uniemożliwia mu powtórne przeżycie takiego wzruszenia, znowu jest tym, kim był, zanim nań spojrzął, i ten tak gwałtowny powrót do poprzedniego stanu jest podobny do rozczarowania nocą pełną miłosnych uniesień, jakie pojawia się wraz ze światłem dnia. Wychodząc, żegna się z autoportretem Murilla jak z rodakiem, który zostanie sam na wygnaniu. Wkłada szalik, wełnianą czapkę, nauszники i rękawiczki. Jest już druga, na dworze nie jest tak bardzo zimno i nie wieje znad East River ten wiatr zabójczy jak ostrze brzytwy. Zaczął padać śnieg. Naciąga czapkę na skronie, podnosi kołnierz kurtki, zasłania usta szalikiem, a włókna wełny, wilgotne od pary, ocierają mu się o czubek nosa i przywołują wspomnienie dawnych zim. Niskie i białe chmury przekształciły Nowy Jork w miasto bez wieżowców, wygląda jak Londyn, ale we mgle, nad drzewami Central Parku, zarysowują się lekkie kształty i zapalone światła drapaczy chmur, a ponieważ już wie, że wyjedzie, pozwala sobie na odrobinę przedwczesnej nostalgii, nasilającej się później, kiedy przeciera zaparowaną szybę w taksówce, którą wraca do hotelu, i spogląda na ludzi w zimowych ubraniach, wyobrażając sobie, już bez przekonania, a raczej z przyzwyczajenia, że widzi jasnowłosą Allison w ciemnozielonym płaszczu, która ma tak nienowojorski sposób chodzenia, cechuje ją niechętny i sceptyczny pośpiech albo spokojne znużenie, jakby żyła w swoim rytmie i objawiała się w ostatniej chwili. Gdybyś pojawiła się teraz, gdybyś czekała pod markizą hotelu, ze skulonymi z zimna ramionami i rękoma w kieszeniach płaszcza, z rozpuszczonymi jasnymi włosami wokół twarzy, jeśli wstaniesz z fotela, w którym siedziałas, kiedy wejdziesz do holu, i podejdziesz do mnie... jak pragnąłem od nie wiem ilu lat, żeby podchodziły do mnie kobiety, które mi się podobają. Ale pod markizą stoi tylko portier, który próbuje się rozgrzać, przestępując z nogi na nogę, a na kanapach w holu nudzą się Japończycy, Skandynawowie i jakiś zwalisty grubas albo grubaska o różowej skórze i przeżuwających ustach. Nie ma dla pana żadnej wiadomości, oznajmia Kolumbijka czy też Kubanka przy kontuarze recepcji, ma szklany uśmiech, jest wręcz obraźliwa w swej obojętności, kwitnie w surowym i złotym świetle jak lubieżna plastikowa roślina, nie musiała nawet przeglądać notesu ani stukać w klawiaturę komputera, żeby powtórzyć swe uprzejme zaprzeczenie, wystarczyło, że zobaczyła, jak wchodzi, zdejmując nauszники i czapkę, i strzepuje śnieg z ramion, żeby się wyprostowała w swym uniformie z marynarką w kolorze jaskrawopomarańczowym i odpowiedziała jasno i wyraźnie „nie”, mierząc go wzrokiem, jakby uważała za niemożliwe, by ktoś mógł dla niego zostawić wiadomość, nadając mu w ten sposób przywilej istnienia. Mimo to dziękuje jej z resztkami stanowczości, nawet odpowiada na olśniewający uśmiech Kolumbijki swym skromnym hiszpańskim uśmiechem, ale dziewczyna, zamiast wręczyć mu klucz, zostawia go pogardliwie na kontuarze i odwraca się z uśmiechem do innego klienta, dla którego bez wątpienia będą wiadomości, zaszyfrowane telegramy dotyczące operacji finansowych, listy miłosne, zaproszenia na spotkania w interesach, mężczyzna jest znacznie wyższy i lepiej ubrany niż on, nosi płaszcz jak senatorską togę i wystawia na pokaz kanty tak ostre jak rogi swego skórzanego portfela i połączanej karty kredytowej błyszczącej na marmurowym blacie. Kąty i linie, kroki po linii prostej i geometryczne gesty, myśli, kierując się do windy, ludzie, wysocy, o blond włosach, mijający się pod kątem prostym jak ulice i samochody, mężczyźni i kobiety tak przyzwyczajeni, że wszystko jest im posłuszne, że ani przez moment nie wahają się przed automatycznymi drzwiami, stanowczo zmierzają przed siebie, bo idą po prawej stronie i nie dopuszczają myśli, że ktoś może nie przestrzegać zasad ruchu i wpadnie na nich, a jeśli to się wydarzy, jeśli ktoś nieostroźnie idzie wolniej albo rozkojarzy się, patrząc na wystawy, i zboczy na lewą stronę,

bezlitośnie na niego napadną, bez złośliwości, szepcząc, *excuse me*, wbijając mu łokieć pod żebro, i patrzą na niego lodowato, niczym Marsjanie z tego filmu, o którym mówił Feliks. Mają postać ludzką i mówią tak jak my, odróżnić ich można tylko dzięki pustemu spojrzeniu albo dlatego, że na karku pod włosami skrywają oko lub mają sztywny mały palec, stopniowo biorą świat w posiadanie, tak że nikt tego nie zauważa, jeśli zaś ktoś ich odkryje, likwidują go albo rzucają na niego urok, żeby był taki jak oni. W całym Nowym Jorku został tylko jeden człowiek, nie może nikomu ufać, tylko pewnej samotnej kobiecie, ale nie wie, gdzie jest, umówił się z nią, a ona nie przychodzi, zostawił jej dziesiątki wiadomości na automatycznej sekretarce i nic, może musiała uciekać i nie miała czasu, by się z nim skontaktować, może uległa napastnikom, skapitulowała wobec inwazji złodziei ciał, Feliks mówił, że tak brzmiał tytuł filmu. Przegląda się w lustrze w windzie, otoczony japońskimi i anglosaskimi twarzami, i zadaje sobie pytanie, czy inni zauważają, że nie jest taki jak oni, czy zatrzymają windę pomiędzy piętrami i będą na niego patrzeć, nie mrugając swymi rybimi oczyma, i powiedzą *excuse me*, zanim któryś z nich otworzy torbę i zrobi mu usypiający zastrzyk. Ale to nie jego wybujała wyobraźnia, naprawdę na niego patrzą, drzwi windy są otwarte i nikt nie wychodzi, bo to on nacisnął przycisk czwartego piętra i inni czekają, aż wysiądzie. Kiedy zdaje sobie z tego sprawę, robi się czerwony i stara się precyzyjnie do wyjścia, mówiąc *excuse me* i bojąc się, że automatyczne drzwi zamkną się, kiedy będzie przechodził, i przytrzasną mu rękę albo nogę, wydaje mu się, że inni dają sobie znaki i kiwają głowami, ubolewając nad głupotą Hiszpana, powodującą niedogodności.

Z ulgą zamyka się w pokoju, zapala papierosa i natychmiast go gasi, trzeba wyjechać jak najszybciej. Patrzy przez okno na piętrowy parking, który w ciągu ostatnich dni stał się najbliższym mu widokiem z Nowego Jorku, i słucha ciągłego szumu przywodzącego na myśl pracujący tłok albo pulsowanie, który nie pozwalał mu spać po nocach. Spakował już walizkę i torbę, przelicza pieniądze, upewnia się, że ma paszport i bilet na samolot, ale – panika! – przez ponad minutę nie mógł ich znaleźć, pośród tylu kieszeni, patrzy na telefon, podnosi słuchawkę i po chwili ją odkłada, nie słuchając nawet, czy jest sygnał, nie ma czasu, zresztą wszystko jedno, chce tylko stąd wyjechać. W windzie chłopak hotelowy mierzy wzrokiem walizkę, próbując oszacować jej wagę, i nie robi najmniejszego gestu, by mu pomóc, a dziewczyna z recepcji uśmiecha się, kiedy wręcza jej klucz, jakby się cieszyła, że nie będzie musiała go więcej oglądać, zawsze jest tak samo podczas samotnych podróży, człowiek czuje się otoczony przez potencjalnych wrogów. Jednak kelnerka, która obsługuje go w kawiarni, jest kobietą grubą i uprzejmą, z hiszpańskim akcentem z Karaibów, i pyta go, czego sobie życzy, tak czule, że ma ochotę ją przytulić. Czeka na jedzenie, patrzy na ulicę i na śnieg przez zaparowane szyby, spokojniejszy już, jakby zachowanie kelnerki było dla niego chwilowym wsparciem, bo jest beznadziejnie uzależniony od sympatii nieznajomych. Nerwowo patrzy na zegarek i odwraca się w stronę baru, jakby bojąc się, że mimo wszystko zapomniano o jego zamówieniu, i wtedy w szklanych drzwiach oddzielających kawiarnię od holu widzi kobietę, zdaje się kogoś nerwowo poszukiwać, dopiero weszła z ulicy, ma spoconą albo mokrą od śniegu twarz, w ręku trzyma brązowy kapelusz i ma na sobie ciemnozielony płaszcz. Patrzy na nią przez kilka sekund, zanim w końcu go zauważa, coś się zmieniło w jej twarzy i nie wie co takiego, jest tylko pewien, że zobaczył Allison. Kobieta dostrzega go i przechodzi pomiędzy stolikami, podczas gdy on jeszcze się nie poruszył, uśmiecha się do niego umalowanymi na czerwono ustami, obdarza go uśmiechem, w którym biorą udział nie tylko usta i oczy, ale cała twarz, kolory ubrania, sposób chodzenia, zapach zimy i wody toaletowej, i emanujący z włosów i zimnych policzków, całe ciało, przywierające do jego ciała, a karaibska kelnerka staje obok nich, zbita z tropu, z jowialną miną i z tacą w dłoniach.

PAMIĘTAM, ŻE PATRZYŁEM SOBIE W OCZY we wstecznym lusterku, widziałem fragment swej twarzy, jak maska, szorstkiej brody, najpierw trwałem nieruchomo we wnętrzu oświetlonego samochodu, zwrócony plecami do ulicy, skąd dobiegał warkot ciężarówek, w mroku upstrzonym w oddali światełkami jakiejś wioski, pod niebem, na którym Mleczna Droga jaśniała blaskiem szronu, a potem, drżąc jak nigdy wcześniej, zdołałem zacisnąć szczęki i powstrzymać dziwne, mechaniczne szczekanie zębów, brzmiało jak maszyna do szycia. Zaciskałem obie dłonie na kierownicy, żeby się nie trzęsły, ale drżenie rozchodziło się falami po całym ciele. Ogrzewanie przestało działać i chłód wspinał się od stóp. Widziałem swoją twarz w lusterku, odwracając się to w jedną, to w drugą stronę, jakbym czemuś zaprzeczał, trzymałem kierownicę, aż zaczęły mnie boleć palce i drżenie ramion stało się jeszcze gwałtowniejsze, zaciskałem powieki, żeby nie widzieć swej trzęsącej się głowy, ale musiałem natychmiast otworzyć oczy, bo pod powiekami miałem oślepiający blask reflektorów ciężarówki. Sięgnąłem po papierosy i nie mogłem ich znaleźć, wyjąłem jednego, wbijając paznokcie w filtr, i z trudem podniosłem go do ust, a gdy już to zrobiłem, nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy go zapaliłem, zbliżenie zapalniczki do papierosa wymagało ogromnej cierpliwości i precyzji. W radiu ktoś mówił jak gdyby nigdy nic, jakaś kobieta, jak gdyby nie istniał i o mały włos nie zginął. W schowku miałem piersiówkę z whisky, paliła mnie w usta i podniebienie, a kiedy zmieszała się z nikotyną, dostałem mdłości. Otworzyłem drzwi i wychyliłem się na zewnątrz, gdzie pachniało zamrażaną ziemią, nie wyjąłem papierosa z ust, niewygodna pozycja czyniła drżenie bardziej bolesnym, dusiłem się dymem, ale filtr przykleił mi się do ust i nie mogłem go wypluć. Oderwałem go, jakbym pozbywał się czegoś lepkiego, widziałem, jak żar dopala się na grudzie ziemi. Teraz drżenie było słabsze, ale nie ustępowało, a nieruchome zimne powietrze przynosiło ulgę. Gdybym zginął, nie zmieniłoby się absolutnie nic, ta kobieta w radiu dalej zapowiadałaby piosenki, dziadkowie rytmicznie chrapaliby w łóżku, matka wzdrygnęłaby się we śnie, bo źle śpi i miewa koszmary, ojciec już pewnie pojechał na rynek hurtowników na obrzeżach Maginy i ładuje skrzynki warzyw do swej nowej furgonetki. Nie myślałem o tych rzeczach, widziałem je tak wyraźnie jak rodziców, dziadków i siostrę, siedzących wokół stołu z żarownikiem, kiedy zbliżałem się na prostej drodze z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę do świateł ciężarówki i poczułem gorzki smak w ustach, będący zapewne smakiem śmierci, a później, kiedy samochód rozbijał stalową barierkę i podskakiwał na grudach ziemi, mocno chwyciłem się kierownicy i zachowując resztki świadomości, zimno zadawałem sobie pytanie, kiedy nastąpi wstrząs, który wbije mi kierownicę w piersi i rzuci mnie na przednią szybę, a druga część mnie słuchała radia i czuła na szyi dotyk pasa bezpieczeństwa. Może w chwili śmierci dzieje się właśnie to – rozszczepienie świadomości, które umożliwia jednocześnie odczuwanie strachu i zachowywanie spokoju, poczucie oddalenia i kłóśnięcie bólu, świadomość tego, kim się było i co się utraci, zniesiony czas i jednoczesna szaleńcza pogoń za ułamkami trwożnych sekund.

Jednak najlepiej pamiętam ten spokój: wypadek, strach, godziny spędzone z Feliksem w Granadzie, samobójcze upojenie, z jakim naciskałem pedał gazu, wyjeżdżając z tuneli Despeñaperros, wszystko odpływało w odległą przeszłość, tak jak woda cofa się podczas gwałtownego odpływu. W mojej świadomości i wokół mnie zalegała głucha cisza, pustka, bez

obrazów ni pragnień, bezwolny bezruch, obojętny na strach i na zaskoczenie, że zachowałem życie. Przestałem się trząść, wyłączyłem radio, bo nie mogłem znieść głosów ani muzyki, przekręciłem kluczyk w stacyjce, a zimny silnik dopiero po chwili zaskoczył. Podskakiwanie samochodu na grudach ziemi podrzucało mną jak ciałem denata; byłem od tego odległy, tak samo jak od odzyskanego instynktownego strachu, który mnie ogarnął, kiedy ponownie znalazłem się na ulicy i zobaczyłem białe linie biegnące przede mną i reflektory, i czerwone światła ciężarówek. Nie bałem się śmierci – już nie żyłem, ale wiedziałem o tym tylko ja. W Madrycie, o szóstej rano, byłem nieboszczykiem zostawiającym wynajęty samochód na hotelowym parkingu i wjeżdżałem windą do pokoju, z torbą na brudną bieliznę w rękę, i zanim wszedłem pod prysznic, telefonicznie zamówiłem śniadanie; nieboszczyk doświadczony i przebiegły, znający wszystkie obyczaje żywych ludzi, tak jak szpieg na wrogim terenie, który po kąpielii przepasuje się ręcznikiem, otwiera drzwi kelnerowi popychającemu stolik na kółkach i dokładnie wie, jaki dać napiwek, żeby nie narazić się na jakieś podejrzenia. Jednak to nie był spokój, ale znieczulona jasność umysłu, obsesyjna myśl, że tak naprawdę mnie tam nie ma i że zmysły już mnie nie łączą z przedmiotami, lecz z ich najbardziej kruchymi wyobrażeniami, jakbym na zawsze został ich pozbawiony: wzroku, dotyku, smaku i słuchu, obecności ludzi. Jeszcze była noc, położyłem się i zamknąłem oczy, a kiedy zasypiałem, zrywałem się przestraszony, że zrobiło się późno albo że znowu prowadzę samochód i za chwilę zderzę się z ciężarówką. Widziałem świt nad Madrytem i pomyślałem, że ani to światło, ani to miasto nie mają ze mną nic wspólnego, bo byłyby takie same, gdybym umarł i nie patrzył na nie. Mogłem nie wrócić do tego pokoju, a niemal wszystko byłoby takie samo jak teraz, kiedy na to patrzyłem. Najbardziej niesamowita nie jest śmierć, ale to, że następnego dnia wschodzi to samo zimowe słońce, jeżdżą samochody i ludzie jedzą śniadanie w barach, jakby człowiek patrzący na to jeszcze istniał, jakby oni byli odporni na śmierć.

Był przejrzysty i błękitny listopadowy poranek, złoty, bardzo zimny, tym specyficznym zimnem Madrytu, które sprawia, że odległości stają się wyraźne, a źrenicom nadaje precyzji obrobionego kryształu. Łagodny, daleki od wszystkiego, nieżyjący, punktualnie o dziewiątej zająłem miejsce w kabinie, jaką mi przeznaczono w Centrum Kongresowym, sprawdziłem mikrofon, wyłączniki, miękkie słuchawki, wyszedłem na korytarz, żeby zapalić papierosa, pragnąc nie spotkać nikogo znajomego, niezdolny do wykrztuszenia dwóch czy trzech banalnych zdań powitania. Zmarli nie rozmawiają, poruszają ustami, ale żaden dźwięk nie wydobywa się z ich ust, wchodzą do kabiny tłumacza i sadowią się w niej, niczym za sterami batyskafu, i spoglądają na salę zza szyby, jakby oglądali głębinowy spektakl: rzędy foteli, powoli zajmowanych przez identyczne postacie, stół ciągnący się przez całą scenę, wszyscy są do siebie podobni, szczególnie z daleka, mężczyźni z ciemnymi krawatami i w szarych garniturach, kobiety w średnim wieku, z trwałą ondulacją, ochroniarze rozpoznający się po ciemnych okularach i sposobie patrzenia przez ramię, młode hostessy ubrane na granatowo, wielkie wiązanki kwiatów w rogach, fotografowie i kamery telewizyjne pod sceną, liczne błyski fleszy, a potem cisza jak ta poprzedzająca sygnał startu na zawodach lekkoatletycznych, słabe brzęczenie w słuchawkach, pierwsze słowa, jeszcze powolne, protokolarne, przewidywalne, zawarte w materiałach, które mi dano, kiedy przyjechałem, pośpiech, by je pochwycić w momencie, kiedy jeszcze brzmią, i przełożyć je na inne o ułamek sekundy później, słowa z mgły, które rozwieją się, znikną po wybrzmieniu niczym biała linia na jezdni we wstecznym lusterku, abstrakcyjne, ulotne, powtarzane tysiące razy, rozbrzmiewające w głośnikach sali i jednocześnie przekładane na trzy czy cztery języki, w moich uszach i w uszach pozostałych tłumaczy, którzy spoglądają na scenę z takimi samymi wyrazami twarzy wyrażającymi monotonię i senność, ujednoliceni w swej bladej światłami lotnisk, tak innymi od światła na zewnątrz jak twarze, które można zobaczyć na ulicy, ale

także słowa i głosy nie są podobne do tych z baru czy sklepu, są monotonne, cywilizowane, metaliczne, po półgodzinie już mieszają się dźwięki i znaczenia i powstaje neutralna papka, jak szum klimatyzacji. Zmieniają się potem, choć nie całkowicie w holach i kawiarni, są głośniejsze, a nawet można odróżnić jedno od drugich, przyporządkować je konkretnej osobie, kolorowi i wyrazowi oczu, tak jak wtedy, gdy w autobusie słucha się rozmowy ludzi siedzących za nami i człowiek się odwraca, aby ich zobaczyć, i odkrywa, że głosy nie należą do tych osób, którym je przypisywał, tak samo jak kobieta widziana od tyłu wydaje się inna, jeśli się ją wyprzedzi i rzuci na nią okiem, będąc zachęconym jej figurą albo sposobem chodzenia.

Siedziałem odosobniony w kabinie, ponad audytorium, w którym odbywał się międzynarodowy kongres turystyczny, tak oddalony jak poszczególni ludzie dla astronauty, który ze swej kapsuły widzi tylko niebieskie plamy kontynentów, bardziej niewidzialny i bardziej odległy niż kiedykolwiek, bo tego rana umarłem, tłumaczyłem, jakbym pisał na maszynie, nie patrząc na papier i klawiaturę, i podczas gdy mój głos dublował inny, wzrokiem z daleka wybierałem kobiety, zamazane rysy hostess, ciemne i jasne włosy, oczy błyszczące w świetle reflektorów, profile, których dokładne rysy uzupełniała moja wyobraźnia, nogi skrzyżowane podczas siedzenia w fotelach; poszukiwałem i wybierałem bez pożądania, słyszałem głos kobiety w słuchawkach i starałem się wyobrazić sobie jej twarz, krążyłem później w przerwie po korytarzach i holach, oszołomiony tą niewyczerpaną różnorodnością – która zlewała się jednak i zdawała jednorodna – jaką mają twarze personelu organizacji międzynarodowych. Przyglądałem się wszystkim, szczególnie twarzom kobiet, kobietom w garsonkach, ze skórzanymi torebkami, z trwałą ondulacją, kobietom z północy, wysokim i białym, Hinduskom z czerwoną kropką na czole i walkmanem przypiętym w pasie do sari, Amerykankom z Ameryki Południowej, o krótkich nogach i szerokich policzkach, hostessom o długich nogach w ciemnych rajstopach i szpilkach, z apaszkami na szyjach, z rozkapryszonym i nosowym akcentem z dzielnicy Salamanca, fotografkom o szerokich ramionach, niedbałych gestach, z papierosami w ustach. Patrzyłem im w oczy, a one przechodziły obok, nie widząc mnie, albo przez chwilę zatrzymywały na mnie wzrok; wydaje mi się, że to jedyne zajęcie, które nigdy mnie nie nużyło, patrzenie na kobiety, wąchanie ich perfum i obserwowanie, jakie noszą ubrania albo buty, w jaki sposób trzymają kieliszki lub papierosy, jak krzyżują nogi albo opierają łokieć na barze, na jaki kolor pomalowały paznokcie albo ufarbowały włosy. Patrzę na kobiety siedzące w pobliżu mnie w autobusie, na te, które weszły na chwilę przed zamknięciem drzwi i odjazdem z przystanku, na te, które chodzą po ulicy, na te pojawiające się na okładkach i w reklamach, na te, które spieszą się rano, żeby zdążyć do windy w biurach, i na te, które leniwie spoglądają przez okna taksówki stojącej obok mojej na światłach, na te, które boso wchodzą na wystawę, aby zmienić ubranie na manekinie, i na te, które uśmiechają się do mnie, jakby rzeczywiście cieszyły się, że mnie widzą, kiedy wchodzę po schodach do samolotu.

Popatrzyłem na blondynkę w ciemnozielonym płaszczu, o krótkich i potarganych włosach, z taką samą napiętą uwagą, z jaką patrzę na wszystkie kobiety, zawsze zadając sobie pytanie, czy któraś z nich zostanie kobietą mego życia. Zwyczaj przyglądania się i wybierania jest tak instynktowny, że nawet tego dnia mnie nie opuścił, namiętna miłość nie trwająca nawet tak długo jak piosenka, nagły entuzjazm ostudzony przez niezgrabne nogi albo okropny wyraz twarzy. Nie jestem pewien, czy tak bardzo się na niej skupiłem ani czy mi się spodobała na pierwszy rzut oka, nie była jakoś szczególnie atrakcyjna lub wyższa niż pozostałe ani nie miała charakterystycznej twarzy, trochę pociągłej, takiej, w jakich się zakochiwałem od dziesiątego czy jedenastego roku życia, ale wyróżniła się z daleka przez opieszałość, z jaką chodziła, nie powolność, bo widziałem, jak bardzo szybko wyszła z konferencji prasowej, i wydawało mi się, kiedy zmierzała w moim kierunku, że jest spóźniona, ale poruszała się ze

swobodą, jakby uspokajała ją pewność, że miejsca nie znikną, nawet jeśli wejdzie się do nich piętnaście minut później, i że pociągi nie odjadą pół minuty przed czasem z czystej perfidii, by zostawić człowieka na peronie. Nie należała do tych kobiet, które przyciągają męskie spojrzenia, przynajmniej nie wtedy, nie chodziła, jakby miała wypisane na czole obwieszczenie, że wystarczy jedno spojrzenie, by stała się kobietą niezapomnianą.

Szła swoim rytmem, szybko, skupiona, ze spuszczoną głową i rękoma w kieszeniach męskich spodni, poły płaszcz powiewały luźno za nią jakby uniesione pośpiechem, z jakim się poruszała, i być może jedyną przyczyną, dla której ją zapamiętałem, było to, że na mnie spojrzała. Zaczęła mi się przyglądać na długo przedtem, nim pojawiła się obok mnie, rozmawiając z fotografem i śmiejąc się z czegoś, co jej opowiadał, to było wtedy najdokładniejsze wspomnienie: rozciągnięte w uśmiechu czerwone usta i cała twarz zmieniona śmiechem, szła, zwrócona w stronę towarzyszącego jej mężczyzny i skupiona na tym, co mówił, ale ze spojrzeniem utkwionym we mnie, brązowe i radosne oczy pod ciemnymi brwiami, plastikowy identyfikator, na którym wyczytałem jej imię, kiedy mnie mijala i wpatrywała się we mnie, jakby chciała zapytać, czy się skądś nie znamy. Allison z uśmiechem wybrała mnie kilka godzin później, w kawiarni, kiedy zobaczyłem ją w przejściu pomiędzy stolikami z plastikową tacą w ręku, poszukującą wolnego miejsca. Ale jadalnia była pełna zdyscyplinowanych i żarłocznych uczestników kongresu, którzy sztywno poruszali ustami, nie otwierając ich, i operowali nożami i widelcami jak aseptycznymi pęsetami, a ona się spóźniła, była ostatnia, przyszła dokładnie na minutę przed zamknięciem kawiarni. Ale okoliczności, które mnie zwykle są nieprzychylnie, jej były posłuszne, bo gdy tylko zaczęła szukać wolnego miejsca, wstał dyrektor szwedzkiego biura podróży, siedzący naprzeciwko mnie. Niosła nie tylko tacę, ale też krótki czarny szalik i płaszcz zwinięty pod jedną pachą, a teczkę z konferencji prasowej, pełną wycinków z gazet pod drugą, malutki magnetofon oraz jakiś amerykański magazyn w połach płaszcz, ale nic jej nie upadło. Mnie wysypałoby się wszystko i zaczerwieniłbym się ze wstydu, patrząc na walające się u mych stóp skorupy potłuczonych talerzy i butelek, podczas gdy uczestnicy kongresu przestaliby jeść i odwróciliby się, aby mnie obserwować. Wstałem, zapytałem po angielsku, czy jej pomóc, a ona, nie wypuszczając z rąk tacy, wskazała płaszcz i gazetę, które już się jej wymykały. Pachniała wodą toaletową i szminką, pochyliłem się nad nią i dostrzegłem, że pod marynarką w szare prążki o wydatnych ramionach ma tylko czarny stanik. Czy wcześniej nie miała białej koszuli i krawata? Wymieniłem jej imię, aby okazać, że już zwróciłem na nią uwagę, i bardzo ją tym zaskoczyłem. Zapytała, jak się nazywam i czym się zajmuję. Mówiła po angielsku z akcentem ze Wschodniego Wybrzeża, choć w jej wymowie było coś, co uniemożliwiało mi ustalenie ponad wszelką wątpliwość, skąd pochodzi. Pracowała dorywczo dla jakiegoś magazynu specjalizującego się w ekskluzywnej turystyce, ale nie czuła się upoważniona do tego, by twierdzić, że jest dziennikarką. Tak naprawdę, powiedziała, wzruszając ramionami, co wyrażało zamyślenie i niepewność, nie była pewna, czy jest kimkolwiek. Ocenilem, że ma trochę ponad trzydzieści lat, lecz czasem, szczególnie kiedy patrzyła na mnie i się uśmiechała, jakby zapomniała o widelcu albo o trzymanej w ręku szklance piwa, zdawała się znacznie młodsza, może z powodu napiętej uwagi. Z pewnością nie była Anglosaską, w każdym razie nie całkiem, miała inne spojrzenie i inny tembr głosu. Włosy, równo przycięte na czole i na wysokości brody, były bardzo bujne i trochę rozczochrane, czasem opadały jej na policzki, co sprawiało, że jej twarz wydawała się bardziej pociągła. Chciała wiedzieć, skąd pochodzę, gdzie mieszkam, jaka jest moja praca, jak długo chcę zostać w Madrycie. Słuchała mnie z bardzo poważną miną, potakując głową, dziobiąc widelcem sałatkę, bez apetytu, jak kobieta paląca i nerwowa. Z łatwością zmieniała wyraz twarzy, zamyślała się na chwilę, wycierając usta albo spoglądając najedzenie na czubku widelca, i znikał błysk napięcia w jej oczach, po czym natychmiast odgarniała włosy i ponownie się uśmiechała, jakby nie wykonała poprzedniego gestu. Wydawało się, jakby jednocześnie się spieszyła i była rozleniwiona,

emanowała znużeniem i żywym zainteresowaniem, przybierała postawę kobiety zmęczonej i refleksyjnej, która wykonuje swą pracę z nieugiętym zdecydowaniem, to znów dziewczynki gotowej zdumieć się czymkolwiek. Malowała sobie oczy i usta, ale nie krótkie i różowe paznokcie. Piła kawę i słuchając mnie, paliła papierosa, którym ją poczęstowałem, trochę odchyłona do tyłu, przymykała oczy, jakbyśmy byli sami, spowici ciszą, a nie znajdowali się w przestronnej jadalni, gdzie rozbrzmiewały rozmowy w różnych językach i brzęk sztućców i talerzy. Jedzenie, wino, ciepło, obecność i spojrzenie tej kobiety, którą poznałem mniej niż pół godziny wcześniej, potęgowały poczucie wyobcowania i opuszczenia, ale nie wrażenie braku rzeczywistej substancji, jakim wcześniej skazyła wszystkie rzeczy i mnie samego bliskość śmierci. Opowiadałem jej coś i słuchałem własnego głosu, jak wtedy, kiedy rozmawiam sam ze sobą; patrzyłem na jej usta albo na wyszywany rąbek stanika, wychylający się z dekoltu, kiedy się ku mnie pochylała, aby poprosić o ogień, i pomyślałem sobie, że można jej pragnąć, ale nie oszałamiała mnie możliwość pójścia z nią do łóżka, nie było tego ucisku w piersiach, jaki pojawia się, kiedy mężczyzna zaczyna czuć, że być może pożąda go kobieta, której nawet jeszcze nie pocałował.

Przyszedł po nią fotograf i pożegnała się ze mną, podając mi rękę, delikatną i ciepłą, energicznie uściśnęła mi dłoń cienkimi palcami. Nie potrafię spokojnie dotykać kobiecej dłoni, choćby był to kontakt szybki i przypadkowy, dotyk kasjerki wydającej resztę w supermarkecie, nieznamomej, której pomagam zejść po schodach w pociągu; chwila cieplej, szczerzej i czystej bliskości innego ciała, jakby dłoń była opłatkiem czułości, znakiem nie potrzebującym wielu znaczeń, będącym jednocześnie nadzieją i spełnieniem. Pracowicie zebrała wszystkie przyniesione ze sobą rzeczy: teczkę, torebkę, szalik, płaszcz, zapomniała magnetofonu, wróciła po niego i wysypały się jej fotokopie, pomogłem jej je zebrać, zaśmiała się, kiedy spotkaliśmy się na czworakach pod stołem, każde z nas z plikiem kartek w dłoni. Patrzyłem, jak oddala się z fotografem, bardzo wysokim brodaczem, w kozuchu i w kamizelce, i zdziwiłem się, byłem zaskoczony tym, że odczuwam wobec niego pewną wrogość, bo zastanawiam się, czy nie są kochankami; nie muszę być zakochany, aby odczuwać zazdrość o jakąś kobietę, wystarczy, że odrobinę mi się spodoba, i już zaczynam wypatrywać możliwych niebezpieczeństw i z przezornością i urazą spoglądam na każdego kręcącego się obok niej mężczyznę. Nie widziałem jej w audytorium podczas popołudniowych wystąpień ani w holu, ani w kawiarni. Dwa czy trzy razy pomyliłem ją z jakąś blondynką, która z daleka wydawała się do niej podobna. Już w nocy, kiedy otumaniony zmęczeniem opuszczałem puste korytarze Centrum Kongresowego, myślałem, że senność jest znacznie większa niż chęć spotkania jej. Powiedziała mi, że mieszka w tym samym hotelu co ja; wyjść jak najszybciej, zjeść coś lekkiego w barze i wypić kieliszek przed pójściem do łóżka o godzinie, o jakiej chodzą spać ludzie Północy, mogłem też bezskutecznie jej poszukiwać, nie przyznając się przed samym sobą, że bardzo chciałbym z nią być. Usłyszałem jej śmiech, gdy tylko wszedłem do hotelu, kiedy wchodziłem marmurowymi schodami prowadzącymi do recepcji. Zawołała mnie po imieniu, udałem, że jestem rozkojarzony i że zajęło mi trochę czasu zauważenie jej, pozdrowiłem ją gestem, który od razu wydał mi się bardzo niezręczny; oczywiście był z nią fotograf, który obejmował ją swym obmierzłym ramieniem i skwapliwie podsuwał jej zapalniczkę za każdym razem, gdy sięgała po papierosa, choć sam nie palił. Był tam także jakiś grubas o bardzo jasnych włosach, który nie odpiął z klapy identyfikatora, a który okazał się wielkim ekspertem od północnoamerykańskich podróżników po Hiszpanii, od Washingtona Irvinga po Ernesta Hemingwaya. Kiedy przyszedłem, jedli kolację. Allison przedstawiła mi ich i grubas zaproponował, żebym się przysiadł. Po kilku minutach odkryłem dwie rzeczy: że fotograf jest homoseksualistą, co przyniosło mi pewną ulgę, i że grubas – doradca albo redaktor naczelny magazynu, dla którego pracowała Allison – nie ma najmniejszej ochoty zamilknąć choć na

chwilę, przynajmniej dopóki nie dorzuci ostatniego przypisu do swej przytłaczającej erudycją wypowiedzi. Wiedział wszystko, był wszędzie, nawet w Maginie, zdziwił się niezmiernie, kiedy się dowiedział, że stamtąd pochodzę, spędzał życie, przemierzając wszystkie drogi i mieszkając w ekskluzywnych hotelach Hiszpanii, pochłaniając wszystkie potrawy regionalne i biorąc udział we wszystkich obchodach Wielkiego Tygodnia, świąt Maurów i chrześcijan, niczego przy tym nie rozumiejąc i ucząc się zaledwie dwóch czy trzech słów po hiszpańsku, które powtarzał z koszmarnym akcentem, opowiadał nam o swojej drugiej, trzeciej i czwartej żonie z obrzydliwym bezwstydem, nazywał „Papa” i „Starym” Hemingwaya, jakby byli bliskimi przyjaciółmi i opierali się łokieć w łokieć o barierki wszystkich aren, pił czerwone wino i śmiał się głośno z otwartymi ustami, brutalnie klepiąc mnie po plecach. Patrzyłem na Allison – słuchała z uśmiechem, dobrze wychowana i być może znudzona, opierała łokieć na krawędzi stołu, przed talerzem, z którego niemal nic nie zjadła, a brodę na dłoni, w której trzymała papierosa. Spoglądała na mnie co chwilę, pochylała głowę i unosiła brwi, jakby mnie przepraszała. Fotograf, trochę pijany, umierał ze śmiechu przy popisach grubasa, który teraz udawał, że żuje cygaro, i mówił przez zęby, naśladując Hemingwaya; myślałem z rozpaczą, że on nigdy się nie zamknie, że jestem zmęczony i że robi się późno, a następnego dnia muszę pracować, że bezsensownie dałem się wpuścić w maliny, złapać w pajęczynę słów, straty czasu, papierosów i alkoholu.

Chciałbym mieć odwagę, by wstać i z oburzeniem powiedzieć temu gadule, żeby przestał pleść bzdury o moim kraju, że nie jesteśmy krwiożerczym i egzotycznym plemieniem matadorów ani stadem trawiącym czas na nieustającym celebrowaniu tubylczych świąt. Musiałem iść, ale nie odchodziłem. Siedziałem z łokciami przyklejonymi do obrusu, wyobrażałem sobie, że wstaję i mówię im dobranoc, korzystając z krótkiej chwili ciszy pomiędzy wyjaśnieniami i zmyślanymi historiami grubasa, i że Allison żegna mnie uśmiechem i zostaje z nimi. Tak będzie lepiej, lepiej położyć się spać i spokojnie zrezygnować z seksualnej przygody, która przecież mogła być nieprawdopodobna. Zebrałem się na odwagę, odmówiłem uczestnictwa w następnej kolejce, spojrzałem na zegarek i powiedziałem, że muszę iść, wściekły, rozzłoszczony na siebie samego, uśmiechałem się i pewnie nawet bym wstał, gdyby Allison z naturalnością, która zbiła mnie z tropu, nie położyła swej dłoni na mojej i nie powiedziała, że bym trochę zaczekał. Natychmiast zabrała rękę, lecz jej delikatny dotyk, kiedy przelotnie ucisnęła moje palce, sprawił, że po całym moim ciele rozpląnęła się fala ciepła, która po raz pierwszy od poprzedniej nocy je ożywiła. Grubas i fotograf zdawali się niczego nie dostrzegać, Allison też już na mnie nie patrzyła, zwracając uwagę na głośny śmiech pozostałej dwójki, ale dłoń, która zręcznie ścisnęła moją, jeszcze leżała na obrusie, niczym dyskretna propozycja, wyciągała się po papierosa, przytrzymywała mój nadgarstek, kiedy podawałem jej ogień, cienkie i niecierpliwie palce bezwiednie dotykały mikroskopijnych okruszków chleba albo tytoniu, tylko ja zdawałem sobie sprawę z tych gestów. Powiedziała mi, że bym poczekał, ale może był to tylko przejaw kurtuazji, znowu powątpiewałem, niecierpliwiłem się, jeśli razem wstaniemy od stołu, prawdopodobnie wszyscy wsiądziemy do windy, oni prawdopodobnie mają pokoje na tym samym piętrze, kulturalne *good night* i ogromny ciężar samotności i rozczerowanie, kiedy będę sam szedł korytarzem, z kluczem w ręku, kolejna pusta noc, jak niemal wszystkie, a nazajutrz niewyspanie i ból głowy, znudzenie pracą i nieustanne poszukiwanie kobiet, nie tyle z powodu niezaspokojonego pożądanego, ile z samego nawyku wyobrażania sobie i wybierania, ze strachu przed samotnym powrotem do pustego pokoju. Nie mogłem w to uwierzyć – grubas przywoływał kelnera i w napuszeniu wydobywał z portfela kartę kredytową, gestem wzbraniając się przed przyjęciem pieniędzy, które mu podawaliśmy; nie mieszkał więc w tym hotelu, gdyby miał tu pokój, ograniczyłby się do podpisania rachunku. Pozostał jednak fotograf, ten może nie pójdzie i zaproponuje jeszcze jeden kieliszek. Po moim trupie,

zarzekłem się, a jeśli obaj sobie pójdą, co ja z nią zrobię, musiałem zdecydować się w ciągu kilku sekund, jeśli wejdziemy do windy, będę zgubiony, nie potrafię zaproponować jej, żeby ze mną poszła. Czas upływał, niebawem wszystko przepadnie, grubas potrząsał moją dłoń, a ja ciepło i bezsensownie zapraszałem go, aby ponownie odwiedził Maginę, a nawet dałem mu telefon rodziców. Fotograf, ziewając, powiedział mi cześć, pożegnali się z Allison, za kilka sekund zostaniemy sami, a ja nadal nie miałem żadnej rozsądnej strategii, grubas przytulił ją jak niedźwiedź polarny, ze swym amerykańskim entuzjazmem. Stopy Allison w butach na niskim obcasie oderwały się od podłogi, a kiedy patrzyła, jak wsiadają do taksówki, przesunęła dłoń po włosach, wzruszyła ramionami i powiedziała, że już się bała, iż nigdy sobie nie pójdą. Jest bardzo zmęczona, pomyślałem, pożegna mnie z tą obojętną grzecnością Anglosasów, a może nawet nic nie znaczącym pocałunkiem w usta. Zdecydowałem, że tak naprawdę nie zależy mi na pójściu do łóżka z Allison i że nie mam nic do stracenia; zaprosiłem ją na ostatni kieliszek w hotelowym barze tak obojętnie, jakby już mi odmówiła, i zaskoczyła mnie skwapliwość, z jaką się zgodziła. Jednak kiedy przyszedliśmy do baru, kelner już gasił światła. Zaryzykować propozycję wyjścia na ponure i nieprzyjazne ulice Madrytu w poszukiwaniu, z pewnością bezskutecznym, barów, które nawet jeśli jeszcze są otwarte, to zostaną niebawem zamknięte? Nic nie mówiąc, podeszliśmy do recepcji i poczekaliśmy, aż nam podadzą klucze. Allison mechanicznie kołysała breloczkiem, podczas gdy szliśmy do windy. Aby powiedzieć cokolwiek, zaryzykowałem wyrażenie opinii, że grubas jest sympatyczny, ale chyba za dużo mówi; język angielski pozwala na wybiegi, które w hiszpańskim zostałyby uznane za stwierdzenia brutalne. Allison powiedziała, że wydaje jej się okropnym facetem, sparodiowała zaskakująco udanie jedną z jego wypowiedzi na temat Hiszpanii i oboje się roześmialiśmy; śmiech, sposób, w jaki na mnie spojrzała, kiedy stanąłem z boku, aby przepuścić ją przodem podczas wchodzenia do windy, zadziały na stan mojego ducha jak dotyk jej palców albo przypadkowe dotknięcie stopami moich stóp, kiedy jedliśmy kolację. Opowiadała mi coś, na co nie zwracałem uwagi, staliśmy nieruchomo i w pewnej odległości, starając się, by nasze oczy nie spotkały się w lustrach windy, patrzyliśmy na wyświetlające się czerwone cyfry, nieuchronnie zbliżające nas do kresu strefy bezpieczeństwa. Patrzyłem na jej dekolt i rowek pomiędzy piersiami i myślałem z niedowierzaniem, że być może wystarczyło jedno słowo, aby móc je dotykać i całować, aby łakomie gryźć zwilżone śliną sutki. Sztywny, zawstydzony, zamykałem oczy i zaciskałem zęby, starając się, by moje podniecenie nie stało się zbyt wyraźne. Miałem wysiąść pierwszy; wydało mi się, że drzwi otwierają się stanowczo i gwałtownie, i zobaczyłem wyłożony wykładziną korytarz i akwarelę przedstawiającą żaglowce przy nabrzeżu. Allison odsunęła się, abym przeszedł. Uczucie duszności, ucisk w żołądku, jasna świadomość każdej sekundy niezdecydowania i milczenia. Stałem już na korytarzu, Allison opierała się o szklaną ścianę, jej blond włosy błyszczały w padającym z góry świetle jarzeniówki, kiedy spytałem nagle bez nadziei, czy nie chciałyby ze mną zostać. Dokładnie w tej samej chwili drzwi zaczęły się zamykać i szybko wyciągnąłem rękę, aby uniknąć nie tylko katastrofy, ale też śmieszności. Przechyliła głowę, z lekkim uśmiechem na wymalowanych na czerwono ustach, powiedziała tak i wyszła z windy, obejmując się ramionami.

Tak więc to, czego tak pragnąłem, dziwnym zrzędzeniem losu miało się wydarzyć. Starłem się powstrzymać drżenie rąk, gdy wsuwałem klucz do zamka. Teraz mówiliśmy oboje, nerwowi, niecierpliwi, zakłamanii, jakbyśmy jeszcze znajdowali się w neutralnej sytuacji. Stojąca na telewizorze torba z pralni, którą zabrałem do Granady, natychmiast przypomniała mi, że dwadzieścia cztery godziny wcześniej omal nie straciłem życia. Otworzyłem barek, nucąc mimowolnie jakąś piosenkę, a Allison natychmiast ją rozpoznała i po cichu zaśpiewała refren: *My girl*. Odwróciłem się do niej z dwoma szklankami spienionego piwa w dłoniach; zdjęła buty i usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami.

Wypiła łyk piwa, otarła pianę z ust i dalej spokojnie opowiadała mi historię o grubasie, którą rozpoczęła w windzie. Pomyślałem niecierpliwie, niemal ze zdumieniem, że jeśli któreś z nas czegoś nie zrobi, będziemy kulturalnie gawędzić ze sobą aż do świtu. Usiadłem obok niej i jej stopy oparły się o mój bok; miała krótkie skarpetki w żywych kolorach, z jakimś wzorkiem, raczej nie na miejscu, tak do niej nie pasowały jak krótkie, nie pomalowane paznokcie. Zamilkła, skrzepowana, ze szklanką w dłoni, nie patrząc na mnie, kołysała się nieznacznie na łóżku i powtarzała przez zaciśnięte usta piosenkę Otisa Reddinga. Jej twarz zmieniła się, kiedy się pochylałem, by ją pocałować; cała się przemieniła, później mnie od siebie odsunęła, po tym, jak szybko poruszała językiem w moich ustach, i gwałtownym gestem odrzuciła włosy, wyostrzyły się jej rysy, patrzyła na mnie bez uśmiechu, z łagodną powagą, jakby w poczuciu opuszczenia i strachu, położyła się na plecach, włosy ponownie przykryły jej czoło i policzki i odniosłem wrażenie, że odkrywam rysy innej kobiety, starszej, znacznie bardziej pożądanej, ale też przerażonej, z nieruchomymi oczyma, z wyrazem pożądliwości i swego rodzaju fatalizmu na w pół otwartych ustach, w twarzy wilgotnej od śliny i szminki, która kurczyła się w bolesnym oczekiwaniu, kiedy usiłowała podnieść głowę, by patrzeć, jak jest rozbierana. Już nie rozmawialiśmy, już nie ukrywaliśmy się w pośrednictwie i kłamstwie słów, oddychaliśmy szybko, w szale bez zwłoki ni czułości, nie mieliśmy przeszłości ani imion, godności ani wstydu, nie byliśmy w Madrycie ani w żadnym innym miejscu na ziemi, trwaliśmy jedynie w drzeniu naszych zespolonych ciał, pokrytych potem, nie znani sobie i dyszący sobie nawzajem w twarze, lizałem jej usta, nos, powieki, ona gryzła mnie, kiedy słabłem, i obejmowała moje biodra, opierając pięty na mych plecach, ale nawet już po wszystkim nie zamknęła oczu, stale miała je otwarte, patrzyła z napięciem i w zdumieniu przez cały czas. Ja zaś rozpaczliwie starałem się odsunąć wizję reflektorów ciężarówka i białych linii jezdni, byłem żywy i pchał mnie impuls całkowitego oddania i osiągnięcia szczytu. Nie chciałem się poddać, nie chciałem, żeby pragnienie się skończyło. Allison wyprężyła się pode mną i uniosła mnie z impetem morskiej fali, jęcząc, jakby śniła z otwartymi oczyma, znowu ugiwała kolana i obejmowała moje biodra udami, znowu zaczynała się poruszać w powolnym rytmie. Opierałem dłonie na poduszce i uwalniałem się z jej ciała, a wtedy unosiła głowę, aby patrzeć na wilgotny cień, w miejscu, gdzie mój brzuch uderzał o jej, miała mokre włosy na skroniach, szerokie czoło, które widziałem po raz pierwszy i które zmieniało kształt jej twarzy, ścięga na szyi i wystające obojczyki. Teraz, mówiła chciwie, teraz, teraz, jej biodra uderzały o mnie, palce wpijały mi się w skórę na plecach, kochałem się z nią w moim rytmie, otwierałem oczy, a ona ciągle na mnie patrzyła, chowałem twarz w zagłębieniu jej ramienia, aby nie widzieć, aby nie widzieć całego cierpienia życia, o którym nic nie wiedziałem i nic nie chciałem wiedzieć, teraz, powtarzała mi do ucha, wypowiedziała moje imię, Manuel, a kiedy ja wielokrotnie wypowiedziałem jej imię, z intonacją nie mającą nic wspólnego z moim głosem, poczułem radość i strach, że złączyłem się z nieznaną kobietą, która jest dokładnie taka sama jak ja, w tym, co ma najlepszego, i w tym, co niewyjaśnione i rozpaczliwe we mnie samym. Było możliwe, że jeszcze byłem martwy, że moje ciało było krwawym strzępem wbitym w asfalt kołami ciężarówka, nawet wtedy ta kobieta byłaby ze mną, przytulona do mnie, otwarta, rozczochrana, naga; klęczy pomiędzy moimi udami, wywyższona wiedzą i bólem, bezwstydną i skromną, podpira się, aby wyjąć z ust kręcony włos, mądra i bezbronna, oddana i nieprzenikniona, zasłania sobie krocze dłonią, w której trzyma mydło, kiedy odsuwam zasłonę prysznic i biorę ją ponownie w strumieniach gorącej wody, wychodzi z pokoju przed świtem, aby wyjechać do innego kraju i do innego życia, o którym nic nie wiedziałem, pojawia się niespodziewanie w kawiarni hotelu w Nowym Jorku, zmieniona, w swym męskim ubraniu i ciemnozielonym płaszczu, z uśmiechem niczym czerwona plama na twarzy okolonej lokami. Ale nawet teraz, w Nowym Jorku, była inna, mogę przez całe życie na nią patrzeć i nigdy nie będzie taka sama jak kilka minut wcześniej; teraz nie była blondynką, mówiła po hiszpańsku z madryckim akcentem i

już nie nazywała się Allison; nie oszukała mnie, zaprotestowała, śmiejąc się, kiedy się spotkaliśmy, nie zapytałem jej, jak się nazywa, a ona nigdy mi nie powiedziała, że to jest jej imię.

KIEDY ODSUNĘŁA ZASŁONY i odwróciła się do niego, wybuchnęła głośnym śmiechem, zobaczywszy, że nadal stoi w korytarzu. Może chciał się przyzwycząić do nieprawdopodobnej sytuacji, do tego, że znajduje się w miejscu, do którego dzwonił tyle razy; stoi z czapką w dłoni, strząsa śnieg z kurtki w czerwono-czarne kwadraty, trochę dusi go ogrzewanie po zimnie ulicy, z walizką i torbą podróżną u stóp, jakby jeszcze nie zdecydował się zostać, oszołomiony tym, że po spotkaniu jej odkrył, iż jest w niej zakochany; przyjechał do Ameryki w poszukiwaniu blondynki o imieniu Allison, z którą spędził jedną noc przed dwoma miesiącami, a teraz, zaskoczony spotkaniem i korygowaniem przez rzeczywistość pamięci, która przez cały ten czas odmawiała mu widoku jej twarzy i udostępniała tylko żywe, kolorowe plamy włosów i ust, wspomnienie drżenia i ciepła jej skóry na opuszkach palców i smaku brzucha i ust, do tego wszystkiego musiał teraz dodać nagłą zmianę, przypisywaną w przeszłości i być może w zakłamaniu innej kobiecie, nie dlatego, że Allison, przynajmniej na początku, zdecydowała się ukryć, ale dlatego, że on sam wolał widzieć ją i wyobrażać sobie stosownie do swego pożądania i braku zainteresowania. Zaskoczyły go jej rude włosy i hiszpański, tak czysty, że zdawał mu się wręcz archaiczny; ale najbardziej zaskoczył go jego własny do niej stosunek, czułość, z jaką na nią patrzył, pieszcząc zapomniane szczegóły, co uznał za oznaki miłości, jej dłonie, sposób, w jaki obejmowała się ramionami, ironicznie albo skromnie, z przyzwoleniem i bezbronnością, pojawiając się i zbliżając do niego, jakby swą obecnością domagała się pierwszeństwa w świecie, a zarazem jakby z przyjemnością stawała z boku.

Nie okłamała go, bo nie zadał jej żadnego pytania na temat jej życia, którego nie potrafił dostrzec, bo miał zwyczaj zakochiwać się w kobietach owianych tajemnicą, która wydaje się nieprzenikniona z banalnego powodu, jakim jest jej nieistnienie. Miała włosy ciemnokasztanowe lub rude i nazywała się Nadia Galaz; Allison została na kilka lat, kiedy wolała nie przypominać sobie nazwiska po mężu. Kilka miesięcy wcześniej ufarbowała włosy na blond, co było kaprysem albo oznaką rozpoczęcia nowego życia. Pamiętałam cię i wybrałam, oznajmiła mu dumnie. Zobaczyła go, zanim on ją zauważył, za dziesięć dziewięta tamtego poranka w Madrycie siedziała w kawiarni Centrum Kongresowego i zobaczyła, jak przygnębiony wysiada z taksówki i przechodzi obok niej z pośpiechem neurotyka, ale jeszcze go nie rozpoznała, było to niemożliwe, nie widziała go od osiemnastu lat, zwróciła na niego uwagę, bo wydał się jej przystojny i dlatego, że od jakiegoś czasu ponownie zaczęła zwracać uwagę na mężczyzn i bez wrogości przyglądać się sobie w lustrach. Później, o jedenastej, powiedziała ze swą skłonnością do dokładności, która w zaskakujący sposób współgrała z jego brakiem poczucia czasu, usiadłeś przy mnie w barze i nie spojrzales na mnie, rzecz jasna, byłeś jakby nieobecny, jakby dookoła ciebie nie było nikogo i istniała tylko kawa z mlekiem, szklanka soku pomarańczowego i twój tost. W tej chwili byłeś tak podobny do wszystkich pozostałych, że niemal przestałeś mi się podobać, w ciemnym garniturze, z plaketką tłumacza w klapie, z umiejętnością patrzenia tak, by nie napotkać niczyich oczu, i dotykania przedmiotów jakby w gumowych rękawiczkach, zachowywałeś się jak jakiś Belg albo amerykański profesor, jak jeden z tych Hiszpanów, którzy przez długi czas uczą na amerykańskich uniwersytetach. Siedziałeś sztywno wyprostowany i z pochyloną głową, operowałeś nożem i widelcem i popijałeś kawę, nie odrywając łokci od boków, przysięgam,

nie patrz tak na mnie, jadłeś tak samo jak oni, bardzo szybko, przeżuwałeś jednak z wielką uwagą, jakbyś robił coś wstydliviego, ale zapewne chodziło ci wyłącznie o względy zdrowotne. Kroiłeś drobne kęsy tosta i od razu wkładałeś je do ust, popijałeś łyeczki kawy z mlekiem albo soku i natychmiast ocierałeś usta papierową serwetką, nigdy nie rozejrzałeś się dokoła. Ale nie patrzyłeś też na kelnera ani na butelki na półce, ani w lustro przed sobą, w którym widziałam twoją twarz. Wtedy cię rozpoznałam, niemal miałam pewność, bardzo niewiele się zmieniłeś przez te wszystkie lata, wątpić mi kazało tylko twoje zachowanie, sposób bycia, ten garnitur, tak poważny, tyle że trochę wygnieciony, jak garnitury międzynarodowych urzędników średniego szczebla, trochę nowoczesny, ale dyskretny, miałeś czarne buty i czarne skarpetki, siedziałeś ze stopami złączonymi na szczebelku stołka barowego. Zwróciłam uwagę na wszystko, nawet na to, że nie miałeś obrączki i że twoje ręce nadal były takie, jak je zapamiętałam, choć zanadto blade, nie masz pojęcia, jak nienawidzę rąk żonatych mężczyzn, które mogłyby należeć do księży, wyobrażam sobie, że mnie dotykają, i zbiera mi się na wymioty. Kiedy cię poznałam, miałeś opalone i mocne dłonie; byłam wtedy bardzo sentymentalna i spodobały mi się, bo wydawały się takie hiszpańskie. Byłeś bardzo chudy, jakby niedorobiony, miałeś pryszczę na twarzy, grzywkę na oczach, długie baczki, jakie się wtedy nosiło. Wyglądałeś w nich okropnie, zresztą tak jak każdy, ale twoje dłonie były dłońmi mężczyzny, głos też, był bardzo niski. Kiedy wróciłam dziś rano do domu i usłyszałam go na sekretarce, zabrzmiał dokładnie tak samo jak tamtej nocy.

Której nocy, pyta Manuel, jeszcze zagubiony, zaskoczony, ograniczony zapomnieniem, widziałeś mnie z baczkami i pryszczami na twarzy? Ale ona tylko się śmieje i nie odpowiada, mokre włosy opadają jej na policzki i uśmiech błyszczy w jej oczach i całej twarzy, wygląda, jakby przed chwilą rubasznie się śmiała. To niemożliwe, aby miała cokolwiek wspólnego z tym majorem Galazem, o którym opowiadały głosy z jego dzieciństwa, ma na sobie szaroczarny sweter, podkreślający jasnocynamonowy kolor skóry i rudawy poblask włosów, są dłuższe i bardziej kręcone niż przed dwoma miesiącami, wydaje się też, że schudła przez ten czas, teraz jej twarz ma klasyczne ostre rysy, jakich wcześniej nie miała, jakby odmłodził ją radosny spokój. Zdjęła buty i wskoczyła na kanapę, aby rozsunąć zasłony i dosięgnąć korbki żaluzji, a kiedy wróciła do niego, nadal stał w korytarzu jak sparaliżowany, w kurtce i w czapce, z włosami przyprószonymi śniegiem, niczym arktyczny badacz, zauważyła stolik, na którym stał telefon, i wcisnęła przycisk, aby ponownie odsłuchać sekwencję pisków i wiadomości, coraz bardziej posępnych, choć wypowiedzianych z zamiarem oddania doskonałej obojętności, szczególnie ostatnia, Allison, to ja, upierdliwy jak zawsze, po południu lecę do Madrytu, o wpół do siódmej, zadzwonię stamtąd do ciebie, jak będę miał telefon. Nie rozpoznaje własnego głosu, ale natychmiast się go wstydzi, przede wszystkim słuchając siebie mówiącego po angielsku, prosi, żeby wyłączyła kasetę, żeby przestała się z niego natrzęsać, cofa się, kiedy kobieta, która nie nazywa się Allison, zbliża się do niego i zatrzymuje go, chwytając rękoma końce szalika, którego jeszcze nie zdjął. Kim jesteś? – pyta ją. Skąd o mnie tyle wiesz? Ale ona nie odpowiada, cieszy się tym, że go intryguje. Przypomnij sobie Martosa, przypomnij sobie, jak bardzo chciałeś wyjechać z Maginy. Oddycha przez na wpół otwarte, czerwone usta i przyciąga go, nie po to, żeby go objąć, ale żeby poprowadzić korytarzem, wpatruje się w niego uważnie, nie uśmiecha się, idzie tyłem, wypuszcza z ręki jeden koniec szalika, aby pchnąć drzwi, za którymi znajduje się pograżony w półmroku pokój. Prowadzi go do łóżka, siada i zaczyna rozpinać mu kurtkę, pewnymi ruchami, ze zręcznością palców, które zdają się tak delikatne, a które kiedyś były sprytnie i mądre. On kończy zdejmować kurtkę i rozgląda się, gdzie ją odłożyć, ale ona wyjmuje mu ją z rąk i rzuca na podłogę. Stojąc, przygaszony, podenerwowany, bo nigdy nie czuł się dobrze w mieszkaniach innych ludzi, rozgląda się dokoła i widzi szafę, zamknięte okno, kufer na podłodze, a obok niego dużą tekturową tubę. Rozbiera się, myśląc z wahaniem, iż ona

odkryje, że włożył nie tylko dwa swetry i dwie pary skarpetek, ale też spodnie od pizamy, ale nigdy nie widział u żadnej kobiety tak bezwstydного i władczego pożądania, ponagłania tak szczerego i pozbawionego rezerwy i wstępów. Włosy ocieniają jej twarz, wyciągnęła rękę do tyłu, aby zapalić lampkę na nocnej szafce. Zmienił się wyraz jej twarzy, tak jak wtedy, wystrzają się jej rysy, kiedy się kładzie, kiedy szuka poduszki i wkładają sobie pod głowę, aby patrzeć na niego, gdy kłęczy przed nią na podłodze, rozczochrany, z błyskiem niecierpliwości w oczach, zdejmując jej skarpetki i pieści stopy, podnosi się, aby rozpiąć jej pasek i zdjąć spodnie razem z majtkami, w uniesieniu, pomiędzy jej udami, kłęczy wyprężony nad nią, z włosami przyklejonymi do czoła i wilgotnymi ustami, delikatny i szorstki, kładzie się, stara się ją otworzyć palcami. Ale ona nie pozwala, napięta, spowalnia go, ma wyprostowane i złączone nogi, odgarnia mu włosy z twarzy i zmusza go, by na nią patrzył. Znowu zmieniła się jej twarz, stężała, jakby czekała na przyływ bólu albo nie mogła pohamować zniecierpliwienia. Zaciska zęby i szminka rozmazuje się jej na ustach, wypowiada jego imię, gładzi jego skronie, mierzwi mu włosy, patrzy w dół, na przestrzeń pomiędzy dwoma ciałami i zgina kolana, aby skłonić go do przysunięcia bioder, aby go dopasować, prowadzi go, więzi, przyciska do swych uwolnionych piersi, odgarnia mu włosy z czoła, unosi powieki, dotyka skroni i wyczuwa pulsowanie krwi. Nie chce, żeby przestał na nią patrzeć, żeby zamknął oczy i stał się cieniem dyszącym jej w twarz. Chce rozpoznać mężczyznę, z którym była przed dwoma miesiącami, i podrostka sprzed osiemnastu lat, wacha go i czuje na twarzy ciepło oddechu i szorstkość zarostu, którego nie zgolił tego rana. Nie zna go, przyjmuje go, jak nie przyjmowała dotychczas żadnego mężczyzny, i oddaje się, ulegając własnemu pożądaniu i rytmicznej, delikatnej męskiej brutalności, jakby jej własne ciało było miękką substancją, przelewającą się, płynną, rozszczepioną na dwoje, rozbitą i ponownie złożoną, triumfalną, wstrząsaną coraz wolniej, wzburzoną i spokojną.

Potem trwali nieruchomo; pozostał wyciągnięty na niej, jeszcze w niej, nie chcieli się rozdzielić. Osłabiony i spokojny, wracał stopniowo do zewnętrznej rzeczywistości, tak leniwie, jak się rozbudza ze snu i widzi się ściany i zasłony, i światło w oknie, i nie walczy się z chęcią zapadnięcia na kilka minut w nieświadomość. Zagłębiał się w nią delikatnie, bardzo powoli, schlebiał jej trwaniem pragnienia, przytłumionego, ale nie wyciszonego zaspokojeniem, przekształconego teraz we wdzięczność i czułość, przedłużającego się w przelotnych skurczach, które obojgiem wstrząsały tak dogłębnie, jakby stanowili jedno ciało. Wypowiedział jej imię, prawdziwe, Nadia, a gdy to zrobił, wydało mu się, że dopiero teraz ją obejmuje i naprawdę widzi jej twarz, pozbawioną strachu i bólu, odnowioną albo odmłodzoną pewnością szczęścia, z uśmiechem zaspokojenia kochanej kobiety, który też widział po raz pierwszy; uśmiech błąkał się po jej ustach, uwidaczniał się w ich kącikach, a także żrenicach, przypominał lekki uśmiech człowieka śpiącego. Starał się nie poruszać, unoszony i wabiony jej spokojnym oddechem przywodzącym na myśl pływaka pozwalającego się kołysać spokojnemu morzu, gładził jej boki z ostrożną czułością, zamierzał się delikatnie z niej wysunąć. Schwytałam cię, powiedział, przyciskając jej nadgarstki do poduszki, ale Nadia zacisnęła uda i oplotła go nogami, to ja cię złapałam i nie wypuszczę, tym razem mi nie uciekniesz. Wszystko było tak łatwe, jakby znali się od zawsze, jakby nie było wcześniej innych mężczyzn i kobiet, jakby nie przeżyli nocy samotności i strachu, jakby nie widzieli znajomych twarzy, które stawały się wrogie i obce, godziny obrzydzenia i tajonego cierpienia, chęć skończenia jak najszybciej i zaśnięcia, zapadnięcia w śmierć zaraz po zamknięciu oczu, w tej samej chwili, myśli Nadia, jeszcze nie odważyła się tego powiedzieć, w tym samym łóżku i w tym samym pokoju, tyle razy oddawała się w męce niemożliwemu zadaniu, przygnieciona latami niezaspokojenia i poczucia winy, aż tu nagle nieznanemu okazał się tym, który najlepiej mnie zna, który wie, jak i gdzie mnie dotykać, i w której chwili, i jakie słowa mnie podniecają, jeśli mi je szepcze na ucho, jakby znajdował się wewnątrz mnie i odgadywał

moje pragnienia dokładnie w momencie ich pojawiania się, chwilę wcześniej, zanim ośmieliłam się o nich pomyśleć. Patrzyła, jak się podnosi, klęknął nad nią, ujęła jego twarz w dłonie, chcąc go zatrzymać, odgarnęła mu włosy, gładziła czoło, widziała w jego oczach zdumienie i pewność, swego rodzaju dumę i pragnienie poznania. Odwrócił się do niej plecami i wydał jej się bardziej opuszczony i wyższy, niż sam się sobie wydawał, ale to nieprawda, myślała, jest silny i o tym nie wie. Słyszała, jak sika w łazience i odkręca kran, aby umyć twarz, na chwilę wystraszyła ją panująca cisza, nie było słychać odgłosu kroków jego dużych bosych stóp na wykładzinie. Poszedł po papierosy do jadalni, a ponieważ wyostrzyły się jej zmysły, wyczuła zapach dymu, zanim Manuel pojawił się w pokoju, podszedł do niej i podał zapalonego papierosa. Patrzyła na niego, kiedy wypuszczał dym ustami, stał w przytłumionym świetle lampy, z pełnym napięciem oddaniem, które ją rozczulało. Leżała z rękoma splecionymi na karku, z rozsypanymi włosami, rozchyłonymi nogami, jedna noga zwieszała się z boku łóżka, czerwone i nabrzmiałe wargi wyglądały niczym brzegi rany pośród owłosienia, pomiędzy udami. Podał jej papierosa – był tak schludny, że nie zapomniał o popielniczce – ale nie usiadł obok niej, położył się na łóżku, trochę bardziej rozchylił jej nogi, pieszcząc kostki i palce stóp, pocałował kolana i miękką wewnętrzną stronę ud, posuwał się wyżej powoli, zostawiając na jej skórze ślad śliny, rozgarnął jej włosy, uważnie, z oddaniem i powoli, zaczął ją całować tak samo, jakby całował jej usta, zatapiając w niej język, poruszając nim okrężnym ruchem, w górę i w dół. Oddychał przez nos, odchyłał się, aby nabrać powietrza albo wyjąć z ust kręcony włos, i patrzył na nią z uśmiechem, z wyrazem zachwytu na mokrej twarzy, patrzył, jak paliła z przymkniętymi oczyma, świdrował ją, wdychał jej zapach. Jej różowe ciało rozciągało się i kurczyło jak serce. Zamknęła oczy i westchnęła, papieros wysunął się jej z palców, a kiedy jego dłonie sunęły w górę, by zamknąć się wokół jej piersi, jej ręce zsunęły się, aby pieścić zmierzwione włosy, czoło, drżące płatki nosa, wyszukała jego język i usta i niemal nie potrafiła ich odróżnić od własnego brzucha i mokrych włosów, w których się zanurzał w coraz szybszym rytmie. Ona sama otworzyła się jeszcze bardziej, aż poczuła ból w stawach, przekroczyła granice oddania i wstydu, nie wiedząc już, do którego z nich dwojga należą wargi, które pieściła, oddech i wypowiedane słowa, stopniowe upojenie, które ich miażdżyło i sprawiało, że przylgnęli jedno do drugiego, aby mieć jakieś oparcie w tym szaleństwie wydzielin, potu i zapachów, spowijających i wilżących ich członki, zrównujących ich w szaleńczym i wspólnym omdleniu.

Gdy ponownie się całowali, każde z nich wyczuło swój własny, nieznany smak w ustach drugiego. Niemal nie odważali się patrzeć sobie w oczy. Traktowali się z rozważną, małżeńską delikatnością, jakby każdy gest był rezultatem doświadczeń wieloletniego współżycia, sposób zginania poduszki, zostawiania miejsca dla drugiego ciała, aby wygodnie się ułożyło, rozchylenie kolan, aby przyjąć nogę partnera, przezorne naciąganie kołdry aż do ramion i wyszukiwanie po omacku dłoni i kładzenie jej na biodrze. Wtulony w jej szyję, muskając ustami jej kręcone włosy, Manuel kątem oka oglądał pokój, na który dotychczas nie zwrócił uwagi: białe ściany bez obrazów, zaciągnięte zasłony, nocna szafka z elektronicznym zegarkiem wskazującym czwartą trzydzieści dziewięć. Pomyślał, że tę samą godzinę powtarzały wszystkie zegary na lotnisku Kennedy'ego jako sygnał do pożegnań i pośpiechu. Jakby jedna jego część nie spotkała Nadii i widziała siebie w taksówce pod szarym niebem jadącego przez dzielnice przemysłowe i obrzydliwe tereny Queens, patrzy ze strachem na zegarek i wypatruje z daleka pierwszych samotnych terminali towarzystw lotniczych, zbliża się z walizką i torbą do stanowiska Iberii, prawie pustego, podobnie jak korytarze i ruchome schody, bo bardzo możliwe, że niebawem rozpocznie się wojna i tylko niewielu szaleńców ważyło się na podróże lotnicze. Jednak nie miał wykorzystać tego biletu, nie spieszył się ani nie bał, że gdzieś się spóźni, zaczynało brać górę ciężkie i spokojne zmęczenie, w którym nie

znać było ani śladu przygnębienia, jak w czasach, kiedy nie potrzebował pastylek valium, aby zasnąć. Przytulał się nagi pod lekką i ciepłą kołdrą do pleców i bioder kobiety, którą ledwie znał, w obcym mieszkaniu, w którym dostrzegł zaraz po przyjściu, jakieś dwie godziny wcześniej, oznaki tymczasowości, co czyniło je bardziej gościnnym, podobnie jak Nadia bardziej należała do niego, a zarazem była bardziej obca niż którakolwiek z kobiet, z którymi zdarzyło mu się wcześniej być, i wiedziała o rzeczach, o jakich nigdy nikomu nie opowiadał i nawet ich nie pamiętał. Słyszał stały i daleki zgiełk ruchu ulicznego i nie miał świadomości, że znajduje się w Nowym Jorku, w tym samym mieście, po którym chodził kilka godzin wcześniej, zatrzymując się więcej niż kilka razy na rogu Lexington i Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy, o krok od miejsca, w którym teraz się znajdował, tak odległego wtedy jak Biegun Południowy, jak zamglony brzeg jeziora Michigan i wyłożone dywanami korytarze Homestead Hotel. Nie wiem, gdzie jestem ani kim ty jesteś, która jest godzina ani czy to dzień czy noc, ani co stanie się z moim życiem nazajutrz, ale jest mi to obojętne, nic nie chcę wiedzieć, chcę zostać przytulony do ciebie i poczekać, aż się do mnie odezwiesz, chcę zamknąć oczy i zasnąć bez nadziei i niepokoju, i stwierdzić po przebudzeniu, że nie śniłem. Nigdy nie czułem się tak ostatecznie odległy od wszystkiego jak teraz, nigdy nie odpoczywałem tak jak w tej chwili w środku własnego życia, w samotności i próżni, na wyspie, takiej jak te, na których pragnąłem się zagubić, kiedy miałem czternaście lat. W Maginie jest jedenasta w nocy, dziadkowie drzemią na kanapie, ojciec śpi już od dwóch godzin, bo jutro jest sobota i musi wstać o czwartej, matka wyszywa i ogląda film w telewizji albo włożyła okulary i usiłuje czytać książkę, podnosząc ją do oczu i sylabizując po cichu, jakby się modliła.

Nadia słyszy, jak Manuel oddycha, wyczuwa w swoich włosach jego regularny oddech i ostrożnie odsuwa się od niego, siada na łóżku, odgarnia włosy za uszy, widzi, że śpi, i okrywa mu kołdrą ramiona. Przewiązuje w pasie jedwabny szlafrok i bosy wychodzi do kuchni, aby wypić szklanek wody. Na dworze nadal pada śnieg, który wycisza fosforyzujący zmierzch i zamazuje miasto, niskie chmury spowijają szczyty drapaczy chmur i odległą East River, i aleje. Uśmiecha się w lustrze w łazience, bez niechęci ogląda bladą twarz zmęczonej miłością, moczy róg ręcznika, aby wytrzeć plamę szminki i nasienia. Rozchylił się jej szlafrok i uwolnione białe piersi kołyszą się, kiedy myje zęby. Maluje usta i wydyma je, jakby sama się z siebie natrzęsała, po czym poprawia palcem czerwony kontur ust. Wraca do sypialni, nachodzi ją ochota, by położyć się cicho u jego boku, ale boi się, że go obudzi. Manuel śpi, przytulając poduszkę, skulony, nigdy nie widziała, by ktoś spał w taki sposób, smakując sen, ze spokojem malującym się na twarzy, co bardzo go odmładza. Siada u jego boku na brzegu łóżka, wdycha ciepły zapach jego oddechu i całego ciała, ale nie decyduje się go pocałować, rozczulają ją jego ciężkie buty na podłodze, dwie pary wełnianych skarpet, spodnie od piżamy, które zdjął z takim zażenowaniem. Mówi przez sen, wypowiedział dwa albo trzy słowa po hiszpańsku, których Nadia nie rozumie, tak bardzo lubi patrzeć na niego, że broni się przed własną czułością i tym, co ze sobą niesie, ale czuła to samo podczas pierwszej nocy, w Madrycie, kiedy szła do windy i myślała ze strachem, że być może nie odważy się jej zaprosić, kiedy weszła do jego pokoju, zdjęła buty i usiadła na łóżku, wiedząc, że cokolwiek się wydarzy, nie będzie odwrotu. Tak bardzo go pragnęła, że bez oporów zmierzała w stronę zachwyty albo rozczarowania, bo miała iść do łóżka z nieznanym i starała się stłumić nie tylko strach i niepokój, ale też podszept doświadczenia i bólu. Zauważa zamknięty kufer, tekturową tubę, wspomina strych domu starców i nieuprzejmą pielęgniarzkę w uniformie, która kazała jej podpisać rachunek za pogrzeb, zaledwie dwa dni temu. Kiedy wróciła z pogrzebu i zaczynał padać śnieg, pomyślała o ojcu, niedawno pogrzebanym w wilgotnej ciemnej ziemi i poczuła wyrzuty sumienia, że go opuściła, była to pierwsza noc, którą miał spędzić po tamtej stronie.

Stała, patrząc na jego ubranie za plastikową zasłoną, i ktoś zasugerował, żeby je oddała jakiejś instytucji dobroczynnej, dwa garnitury, piżamę, sportowe buty, była to profanacja, ale też ulga. Chłodno złożyli jej kondolencje, podając formularze, zaprowadzili ją na strych. Kiedy ojciec tu przyjechał, nie przywiózł ze sobą prawie nic, oznajmili, jedynie ten kufer i tekturową tubę z metalowym zamknięciem. Kazała je przesłać do hotelu, w którym mieszkała przez ostatnie dwa tygodnie, odległego o kilka ulic od pawilonu, w którym umierał ojciec, na przedmieściach New Jersey. Pomyślała, że wróci tego samego wieczoru do Nowego Jorku, ale wydało jej się to przejawem niewierności; została w pokoju o drewnianej podłodze, polakierowanych belkach, z firankami w oknie. Siedząc na łóżku, niezdolna do płaczu, starała się nie wyobrazać sobie samotnego ciała zamkniętego w trumnie, wspominała sposób, w jaki ojciec na nią patrzył i uśmiechał się, zaciskał palce na jej nadgarstkach, jeszcze to czuła. Przespała się trochę przed świtem i obudziło ją zimno. Nie zgasła światła ani się nie rozebrała i dopiero po kilku sekundach przypomniała sobie, że ojciec umarł; mała tabliczka z hiszpańskim nazwiskiem i dwie daty na pokrytym śniegiem trawniku amerykańskiego cementarza, tuba, w której przechowywał jakąś reprodukcję i kilka wojskowych dyplomów wydanych przed ponad półwieczem oraz kufer wypełniony fotografiami, którego ojciec być może nigdy nie otworzył i zabrał go ze sobą, wracając z Hiszpanii, tylko dlatego, że przyrzekł, iż się nim zajmie. Uśmiecha się, myśląc o ojcu, pogodzona i wyzwolona, dziękując mu za rzetelność, której nigdy się nie wyżył, opuszczona i osamotniona przez jego tak niedawną śmierć, chroni się w jego cieniu tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i patrzyła w górę, dziwiąc się, jaki jest wysoki.

Nie ma wyrzutów sumienia, nie czuje się winna temu, że po dwóch dniach od śmierci ojca pobiegła szukać Manuela i że znowu pragnie go w tej chwili, gdy patrzy, jak śpi. Ogarnia ją strach na samą myśl, że mogła go już nie zastać w hotelu. Ulegając pokusie, otwiera tubę i wyjmując z niej dyplomy przewiązane tasiemkami czerwonymi, żółtymi, fioletowymi, ale nie rozwiązuje węzłów, chowa dokumenty ponownie z poczuciem, że dopuszcza się profanacji, po czym rozwija na kolanach reprodukcję *Jeźdźca polskiego*. Nie widziała go od chwili, kiedy razem z ojcem wyprowadzili się z domu w Maginie; przypomina sobie ogród, którym nigdy się nie zajęli, koty buszujące pośród zielska. Spogląda na obojętną młodą twarz jeźdźca i wydaje jej się, że dostrzega w niej lodowate wyzwanie, które zawsze ją przerażało, samotność i determinację, teraz widzi w nim duchowy portret ojca; jakby reprodukcja została przykryta szybką i zobaczyła w niej odbitą, wtopioną w wizerunek mężczyzny na koniu i w zarys wzgórza za nim, martwą już, ale jeszcze pełną wigoru, surową twarz majora Galaza. Płacze, początkowo nie zdając sobie z tego sprawy, widzi reprodukcję i światło w sypialni rozmazane łzami, ale jest to szloch bez żalości, nie ściska jej w piersiach ani nie dusi w gardle, jest tak cichy i wytrwały jak padający śnieg, przypływ współczucia i nostalgii, któremu teraz może się poddać, bo nikt nie patrzy. W ciszy, wycierając nos i oczy chusteczką, ostrożna i energiczna, Nadia wysuwa kufer z sypialni. Na ulicach zapada już noc i słychać gwałtowne wycie syren straży pożarnej albo policji. Klęka, unosi wieko i pierwszą rzeczą, którą widzi, jest bardzo duża oprawiona w czarną skórę Biblia z fotografią pomiędzy kartkami, to zdjęcie kobiety jakby z poprzedniego stulecia, ma czarne włosy, szerokie policzki i duże lekko skośne oczy. Po jakimś czasie Nadia przypomina sobie tego grubego i łagodnego mężczyznę, który co wieczór odwiedzał ojca w domu w Maginie, i jego historie, Ramiro, tak miał na imię. Czyta na chybił trafił wersy na stronach, pomiędzy którymi była fotografia, *odwróć oczy twoje ode mnie, gdyż mię one srogim czynią*. Myśli, że przeznaczeniem niektórych przedmiotów, tak jak niektórych osób, jest długie pielgrzymowanie i że też cierpią one z powodu wygnania i zasługują na wierność. Ile rąk przed nią dotykało tej Biblii? Ile osób ją czytało? W ilu miejscach znalazł się ten kufer, zanim dotarł tutaj? Kto patrzył w twarz tej kobiety, kiedy jeszcze żyła i była młoda, i przepisał dla niej ten fragment *Pieśni nad Pieśniami* na karteczce, która, według tego, co powiedział Ramiro Portrecista majorowi Galazowi,

została ukryta za dekoltem jej sukienki. Chowa zdjęcie pomiędzy stronami Biblii. Usłyszała coś, nie głos Manuela ani odgłos jego kroków, ale być może zmianę w rytmie jego oddechu. Postrzega wszystko z niesłychaną ostrością i jasnością, jakby przewidywała dźwięki, zapachy, nawet dotyk jego skóry i pulsowanie krwi, jakby obudziła się z narkozy albo odrzuciła zasłonę, która przez lata przytłumiała jej zmysły. Stojąc w progu sypialni, ze skrzyżowanymi ramionami, w rozpiętym szlafroku, z odchyloną głową i odrzuconymi do tyłu włosami, patrzy na niego, jeszcze przezeń nie zauważona. Manuel siedzi na brzegu łóżka, nagi, z wyrazem rozleniwienia i zdumienia na twarzy. Ma na kolanach rozwiniętą reprodukcję obrazu. Nie słyszał, jak weszła, ale podnosi wzrok i patrzy na nią pytająco, wydaje się zadawać jej pytanie, na które bezskutecznie poszukuje odpowiedzi we własnej pamięci, i zdaje się jej mówić: nic nie rozumiem, poddaję się, opowiedz mi, kim jestem.

NIE WYSILAJ SIĘ, powiedziała Nadia, nie jesteś w stanie sobie przypomnieć, nie pamiętałeś nawet wtedy, w poniedziałek wieczorem, kiedy poszłam po ciebie na rynek, bo mi powiedziałeś, o której godzinie przywozisz warzywa, a ja bardzo chciałam cię zobaczyć. Wyglądałeś jakoś dziwnie, widziałam, jak idziesz pomiędzy samochodami, ciągnąc klacz za uzdę, w starych spodniach i w słomianym kapeluszu. Czekałam na ciebie na chodniku, wyobrażając sobie twoje zdziwienie, ale gdy się do mnie zbliżyłeś, popatrzyłeś na mnie i nic nie powiedziałeś, przeszedłeś obok ze spuszczoną głową. Byłam tak zaskoczona, że nie potrafiłam zareagować. Nic nie pamiętałeś, nawet nie wydawałeś się taki sam, popatrzyłeś na mnie, jakbyś nigdy wcześniej mnie nie widział, a może było ci wstyd z powodu tego, co się wydarzyło, z powodu pijaństwa i haszyszu, i wszystkich tych rzeczy, które mi opowiedziałeś. Przez chwilę szłam za tobą i chyba nawet cię zawołałam, ale czułam się taka śmieszna, prawie tak śmieszna i upokorzona jak wtedy, gdy José Manuel kilka dni wcześniej mi powiedział, że dalej będzie mnie kochał i że nigdy mnie nie zapomni, ale że mnie opuszcza. Jeśli ty mnie kiedyś zostawisz, proszę, nie mów mi takich rzeczy, nie mów, że tak będzie lepiej dla nas obojga i że bardzo cierpiełaś, zanim się zdecydowałaś, albo że mnie nie zapomnisz, albo że mimo wszystko oboje będziemy mieli wspaniałe wspomnienia, powiedz po prostu, że odchodzisz, i niczego nie wyjaśniaj ani nie zwlekaj z wyjściem nawet dwóch minut, nie patrz na mnie ze współczuciem ani z bólem czy wyrazem poświęcenia, idź sobie i nie wracaj, zwiąż się z inną albo zostań księdzem, albo strzel sobie w łeb, ale nigdy więcej mi się nie pokazuj. Wiele lat zajęło mi zrozumienie, co się wtedy z tobą stało, a zrozumiałam to właśnie tutaj, w tym mieszkaniu, pewnego okropnego poranka poprzedniej zimy. Obudziłam się z kacem i okropnymi mdłościami, a kiedy poszłam do łazienki, był tam ktoś, kogo nie znałam, jakiś mężczyzna spokojnie golił się, z ręcznikiem zawiązanym na biodrach, maszynką do golenia i pianką, których mój mąż nie zabrał ze sobą, kiedy się rozstaliśmy, świeży, wykąpany, jakby był we własnym domu. Uśmiechnął się do mnie, gdy mnie zobaczył, jak w reklamach wód kolońskich, nie mogłam w to uwierzyć, chciałam zacząć krzyczeć albo zadzwonić na policję, ale skoro ten mężczyzna tu był, to dlatego, że ja go tu przyprowadziłam. Mówił do mnie z twarzą pokrytą pianką i pytał, czy lepiej się czuję, a ja, nic nie rozumiejąc, a tylko udając, przypominałam sobie w jednej chwili całą poprzednią noc. Poszłam na jakąś imprezę z Sonnym, fotografem, którego poznałeś w Madrycie. W tamtym okresie, w soboty i niedziele, kiedy nie było u mnie syna, szłam dokądkolwiek i niemal z kimkolwiek, żeby nie zostawać sama w domu i nie siedzieć na kanapie, gapiąc się w ścianę, ten mężczyzna tam był, przedstawił mi go jakiś znajomy Sonny'ego, piliśmy koktajle i z jakiegoś powodu zgodziłam się pójść z nim na jakieś przyjęcie i towarzyszyć mu do jakiegoś baru przy Drugiej Alei. Przypominałam sobie wszystko fragmentarycznie, stałam oparta o futrynę drzwi i patrzyłam na niego z wyrazem twarzy, który jemu wydał się zuchwały; pojechaliśmy taksówką z East Village i koktajle zaczęły na mnie działać, zaciągnęłam się dwa czy trzy razy skrzętem, w tamtym miejscu dalej piliśmy, przypominałam sobie, że bar był pusty i jakaś para śpiewała na małej scenie, jacyś dość czyści, żałośni hipisi, on grał na gitarze, a ona klaskała, kiedy śpiewali *California Dreamin'*, jakby mieli przed sobą tłum ćpunów z Woodstock, a kiedy skończyli i biliśmy im brawo, zginali się wpół, zostaliśmy do końca, bo było mi ich żal. Na pewno wtedy powiedziałam, że idę do domu, i on zaofiarował się mnie odprowadzić. Byliśmy bardzo blisko stąd, nie wiem, kto z nas w końcu przejął

inicjatywę; prawda jest taka, że o dziesiątej rano umierałam z powodu kaca i wściekle żałowałam czegoś, czego nie potrafiłam sobie przypomnieć, a on zadowolony, z obraźliwym wyrazem twarzy znamionującym zaspokojoną próżność, interesował się moim zdrowiem, goląc się maszynką i pianką innego, chociaż – i na to zwróciłam uwagę – wybrał nową jednorazówkę, plastikowe opakowanie leżało obok kranu, i na pewno przyniósł własne prezerwatywy. Kiedy wyszedł, zobaczyłam opakowanie na nocnej szafce i poczułam się, jakbym zobaczyła karalucha, higieniczny uwodziciel. Patrzyłam, jak się ubiera, i nie mogłam sobie tego wybaczyć, nawiązywał do rzeczy, o których pewnie rozmawialiśmy poprzedniej nocy, a ja udawałam, że pamiętam, aby zachować godność. Zanim wyszedł, zostawił mi wizytówkę i poklepał mnie po brodzie, o tak, koniuszkami palców, jakby chciał mnie podnieść na duchu, a nawet puścił do mnie oko, powiedział, że mimo wszystko była to cudowna noc, pomimo co? Ale przynajmniej sobie poszedł. Myślę, że nigdy nie byłam bardziej zadowolona z samotności. Wyrzuciłam pudełko po kondomie, piankę do golenia i maszynkę też, opróżniłam popielniczki, chociaż była zima, otworzyłam okna na oścież, zmieniłam pościel i wrzuciłam ją do pralki razem z ubraniem, które śmierdziało barem i tytoniem, przygotowałam sobie bardzo gorącą kąpiel i przez godzinę nie wychodziłam z wody. Niemal byłam wdzięczna za tę amnezję, chociaż bardzo się jej bałam, bo zdarzyła mi się już wcześniej, ale nie w taki sposób, nigdy wcześniej nie umknęła mi cała noc. I wtedy przypomniałam sobie ciebie, przypominałam sobie zawsze, kiedy byłam zrozpaczona, i rozumiałam z opóźnieniem piętnastu albo szesnastu lat, co ci się przytrafiło, nawet wyrzucałam sobie trochę, że byłam dla ciebie niesprawiedliwa. Może ci się to wydać nieprawdopodobne, ale przez te wszystkie lata nigdy o tobie nie zapomniałam. Czasem mieszkalam w Ameryce, czasem w Hiszpanii, zakochałam się cztery czy pięć razy, wykonywałam najprzedziwniejsze zawody, wyszłam za mąż i rozwiodłam się, urodziłam dziecko, nie wróciłam do Maginy, ale wydaje mi się, że nikogo tak często nie wspominam jak ciebie, nawet ojca. Kiedy pojechałam go odwiedzić i zobaczył mnie z włosami ufarbowanymi na blond, zrobił bardzo poważną minę i powiedział – zanim umrę, chcę zobaczyć kolor twoich włosów – i tego samego wieczora, kiedy wróciłam do hotelu, zmyłam farbę. Gdybyś mógł zobaczyć, jak się do mnie uśmiechnął następnego rana, podniosłam mu oparcie łóżka, podłożyłam poduszki pod głowę, usiadłam obok niego, a on bez słowa pogładził mnie po włosach. Miał osiemdziesiąt siedem lat i bystry umysł człowieka znacznie młodszego. Wiedział, że umrze, i było mu wszystko jedno. Chciał zobaczyć wnuka i ja mu go przywiozłam, bez wiedzy jego ojca. Musiałam go oszukać, bo Bob, mój były mąż, uważał, że oglądanie umierającego dziadka ze strony matki może być dla dziecka doświadczeniem traumatycznym, tak więc powiedziałam mu przez telefon, że ojciec ma się lepiej, umówiłam się z nim na lodowisku Rockefeller Center i kiedy zostałam sama z synem, zawiozłam go taksówką do New Jersey, żeby zobaczył swojego dziadka. Był zachwycony, pielęgniarka dała mu jakąś zabawkę, która w ogóle go nie zainteresowała, i przez całe popołudnie słuchał hiszpańskich bajek, które ojciec opowiadał mi, kiedy byłam mała, i próbował kręcić korbką podnoszącą łóżko.

Zawsze robię to samo – zaczynam mówić i gubię wątek, nie tak jak ty, twoje wypowiedzi zawsze są uporządkowane. Kiedy mówię, siedzisz cicho i mam wrażenie, że nabijasz się ze mnie albo że nie wierzysz w to, co opowiadam. Pamiętałam cię, byłam tak przekonana, że nigdy więcej cię nie zobaczę, że gdy jechałam do Hiszpanii, nigdy nie przyszło mi do głowy, by pojechać po ciebie do Maginy. Ale wracałeś, wydawało mi się, że widuję cię w najdziwniejszych albo w najbardziej absurdalnych sytuacjach, albo kiedy słuchałam piosenki Carole King, którą ci włączyłam w moim domu i która tak cię wzruszyła, bo rozumiałeś wszystkie słowa, *You've got a friend*, tego też nie pamiętasz? Powiedziałeś mi, że mają ją w szafie grającej w Martosie. Mówiłeś do mnie po angielsku, angielskim z Maginy, bardzo

płynnym, ale bardzo zaskakującym. Żeby cię zrozumieć, musiałam myśleć po hiszpańsku. Mówiłeś zdaniami z piosenek, a ponieważ byłeś dobrze wychowany, posłużyłeś się zdaniem z piosenki Beatlesów, aby poprosić, żebym cię wzięła za rękę: *I wanna hold your hand*. Szliśmy przez park Vandelvira, opierałeś się o mnie, miałeś dreszcze, wypacałeś dżin, kiedy światła fontanny oświetlały ci twarz, byłeś bledszy niż trup, podtrzymałam cię, żebyś nie upadł. Upadłbyś u moich stóp, gdybym cię nie podtrzymała, gdy się spotkaliśmy na chodniku przed szkołą. Widziałam, jak się zataczałeś, przechodząc przez ulicę, a ponieważ było ciemno, przestraszyłam się, bo myślałam, że jesteś jednym z tych pijaków, którzy wtedy krążyli po Maginie, ale zatrzymałam się i rozpoznałam cię, tyle razy widziałem cię na ulicy Nowej albo obok mojego domu w kolonii Carmen, kiedy poszukiwałeś tej dziewczyny, o której mi opowiadałeś przez dwie godziny, tej, która cię oszukała, mówiłeś. Wybuchasz płaczem i wycierałeś ręką smarki, mówiłeś o niej jak jakiś śpiewak i byłeś żalony, ale ja byłam tak samo żalona jak ty, mną też wzgardzono, a jeśli nie zaczęłam pić, to nie dlatego, że myślałam, że to nieodpowiednie, ale dlatego, że wtedy, tak samo jak teraz, nie znosiłam smaku alkoholu ani zapachu, jaki unosi się w pomieszczeniach, w których pito, przeraża mnie władza, jaką ma nad wolą ludzi, i szkoda, jaką wyrządza pamięci. W domu w Maginie wstawałam rano i już w korytarzu wyczuwałam z obrzydzeniem zapach koniaku, który ojciec zostawił w nocy w kieliszku. Gdy wróciłam z komisariatu i zastałam go czekającego przy furtce o czwartej nad ranem, pierwszą rzeczą, jaką wyczułam, przytuliwszy się do niego, był alkohol. Później piłam wielokrotnie i upijałam się aż do utraty pamięci albo tak, że chorowałam, ale zawsze robiłam to, jakbym nakładała na siebie karę. Jak mawia się w Hiszpanii: sam grzech był pokutą. Usłyszałam to po raz pierwszy w Maginie w jakimś sklepie od kobiet opowiadających sobie plotki. Przez jakiś czas piłam wyłącznie z powodu tego, że Bob uważał to za karygodne. On nie pije i nie pali. Do posiłków pije kawę albo wodę mineralną. Na krótko przed rozwodem powiedziałam mu coś, co według Sonny'ego wymyślił Baudelaire: „Człowiek pijący wyłącznie wodę skrywa jakiś sekret przed bliźnimi”. Stał jak skamieniały. Skamielina z pumeksu. Popatrzył kątem oka na dziecko, jakby się obawiał, że moje słowa spowodują jakieś monstrualne zmiany w jego twarzy. „Jeśli ktoś coś skrywa, to ty”. Tak powiedział, upił łyk wody z dyskretnym i obrzydliwym mlaśnięciem i odłożył na obrus nóż i widelec, jakby heroicznie się przygotowywał do wysłuchania wstydliwego wyznania. Jak można nienawidzić tak bardzo kogoś, kogo się kochało? Jak to możliwe, że najbliższa osoba jest zarazem najbardziej obca? Patrzyłam na niego i nie mogłam zrozumieć, dlaczego za niego wyszłam, gorzej jeszcze, jak mogłam oszukiwać samą siebie do tego stopnia, że myślałam, iż jestem w nim zakochana i chcę urodzić jego dziecko. Co za koszmar, nie wiem, co zrobiłam ze swoim życiem, co prawie zrobiłam. Wróciłam z Hiszpanii przed dwoma miesiącami i on czekał na mnie na lotnisku z kwiatami i dzieckiem trzymanym za rękę. Chciał dostać drugą szansę, chciał uratować nasze małżeństwo, jak mawiają w gabinetach lekarskich z telewizyjnych seriali. A ja jestem tak słaba albo tak głupia, że gdyby nie ty, zgodziłabym się, wiedząc, że to kolejny błąd. Szantażował mnie, nie brutalnie, ale bardzo subtelnie, bardzo wspaniałomyślnie, z najlepszymi intencjami: nie rób tego dla mnie, jeśli nie chcesz, mówił i powtarza to za każdym razem, kiedy rozmawiamy, zrób to dla naszego dziecka, a ja się czułam winna, tak że wszystkie decyzje, które z takim trudem podejmowałam, nagle wydawały się bez sensu. Zbierałam się po trochu, zaczynałam żyć, wychodziłam z oszołomienia straconych z nim lat. Lubiłam mieszkać sama z synem, ale w piątkowe popołudnia, kiedy przychodził po niego, rzucał się na kanapę z miną ofiary i milczał, wszystko wracało do tego samego stanu, wyrzuty sumienia, wrażenie, że ponownie wpadłam w sieć, która mnie dusiła, chociaż walczyłam, żeby się z niej wyplątać, i jeśli się nie poddałam, to z powodu zawziętości, nie zwracałam się przeciwko niemu, ale przeciwko sobie samej, przeciw przytłaczającej świadomości, że robię mu świństwo i pozwalam sobie na kaprys samotnego życia kosztem jego szczęścia. Mówił: powiedz mi, co ci zrobiłem?

Powiedz, kiedy popełniłem błąd? Niemal mnie błagał, a ja nie mogłam udzielić mu sensownej odpowiedzi, bo zło albo pomyłka nie tkwiły w nim, lecz we mnie, on ograniczył się do działania według swoich zasad i cech charakteru, a kiedy zgodziłam się za niego wyjść, dobrze wiedziałam, jaki jest i dlaczego nigdy go nie pokocham. Był tak we mnie zakochany i tak bardzo mi ufał, że prawie udało mi się przekonać siebie, że też go kocham. Nie był winien temu, że nie jest kochankiem, który może zawrócić mi w głowie. Pożądaliśmy siebie, ale nie do szaleństwa, poza tym dla mnie pożądanie było znacznie ważniejsze niż dla niego. Był dobry, atrakcyjny, szczery, byliśmy zgodni w większości naszych opinii i upodobań, ale było w nas coś niemożliwego do pogodzenia. Zauważałam to, a on nie, byłam tak niewierna albo tak tchórzliwa, że mu o tym nie powiedziałam. Było to bezpodstawne niezadowolenie, które, z czasem coraz głębiej skrywane, stawało się coraz bardziej gorzkie, swego rodzaju małostkowa uraza, nie z powodu czegoś, co on zrobił, ale z powodu czegoś, czego nie robił, irytacja, która żywiła się każdym szczegółem jego sposobu mówienia albo poruszania się, drobnymi przyzwyczajeniami, które nie miały w sobie nic obraźliwego, ale na mnie działały jak największa obraza. Parę razy przyprawiłam mu rogi. Kiedy jednak wieczorami wracałam do domu i widziałam, jak przygotowuje kolację dla dziecka, umierałam ze wstydu, widząc, z jaką naturalnością daje wiarę kłamstwom, które wymyślałam, by usprawiedliwić spóźnienie. Był tak czysty i tak szczęśliwy, że nie mógł sobie wyobrazić, że go zdradzam. Ale nie jest przestępstwem nie kochać kogoś. Kosztowało mnie kilka strasznych lat nauczenie się, że jedynym przestępstwem jest udawanie i zatajanie, podczas gdy rozgrywa się dramat, ta conocna cisza, kiedy idzie się do łóżka, to okropne siedzenie przed telewizorem i komentowanie filmu, spędzanie całych dni bez patrzenia sobie w oczy, nawet w łóżku i w łazience, jeśli przypadkiem spotyka się w niej, żeby umyć zęby, rezygnacja i poczucie fatalizmu, atakujące człowieka jak rak, wstręt do życia, który jest bardziej wyniszczający, bo nie zmienia pozorów. Nie dzieje się nic złego, nikt nie krzyczy, nie ma łez ani pełnych żalu oskarżeń, nic, tylko cisza i pospolite słowa. Człowiek wkłada piżamę, myje zęby, idzie do pokoju dziecka, żeby zobaczyć, czy przypadkiem się nie odkryło, nastawia budzik, podczas gdy druga osoba porusza się jak cień albo coś mówi, albo ziewa, zajmuje swoje miejsce w łóżku, może nawet pocałunek na dobranoc i uśmiech przed zgaszeniem światła albo w ciemności podsyca się udawane pożądanie, oboje milczą i dyszą, nie patrząc na siebie, w końcu ulga zamkniętych oczu i brak potrzeby mówienia czegokolwiek, trwanie w bezruchu i w milczeniu, jakby się już spało.

Kiedy czułam się najgorzej, wspominałam ciebie. Myślałam, ile możesz mieć lat, powiedziałeś mi, że za pół roku skończysz osiemnaście. Zastanawiałam się, jak możesz wyglądać, czy jesteś gruby albo łysy, czy się ożeniłeś, czy osiągnąłeś wszystkie cele, o jakich opowiadałeś mi tamtej nocy, myślałam o własnych ówczesnych celach i sądziłam, że ty swoje też porzuciłeś. Zacytowałeś mi wers jednej z piosenek Jima Morrisona: chcemy świata i chcemy go teraz. Chciałeś wyjechać z Maginy i nigdy nie wrócić. Poprosiłeś, żebym ci opowiedziała, jaki jest Nowy Jork i co się czuje, kiedy się przelatuje przez Atlantycką. Nigdy nie widziałeś morza i nawet nie jechałeś pociągiem. Miałeś siedemnaście lat i wyjeżdżałeś z Maginy tylko do stolicy prowincji, nigdy też nie całowałeś kobiety. Byłam pierwszą, którą pocałowałeś. Nie potrafiłeś tego zrobić, przyciskałeś zaciśnięte usta do moich i mocno dyszałeś. Nie patrz tak na mnie, wszystko, co opowiadam, to prawda. Chodziłeś po korytarzach Centrum Kongresowego w taki sam sposób jak wtedy, gdy się do mnie zbliżałeś przed szkołą. Pamiętam nawet nazwę ulicy: aleja Ramón y Cajal. Przez chwilę pomyślałam, że ty też mnie rozpoznałeś, bo bardzo się we mnie wpatrywałeś, ale kiedy stanęłam przed tobą, odwróciłeś wzrok. Tamtej nocy, kiedy mnie zobaczyłeś, starałeś się iść wyprostowany, ale z daleka było widać, że nie możesz się utrzymać na nogach. Byłeś bardzo rozczochrany, błyszczały ci oczy, w ustach miałeś zgaszonego papierosa. Wybiła dwunasta i na ulicy nie było nikogo poza nami. Szedłeś w moją stronę, mieliśmy się minąć tak jak tyle razy

wcześniej, niemal się o siebie ocierając, choć nigdy na mnie nie patrzyłeś. Znieruchomiałeś i ja też się zatrzymałam. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby się do ciebie odezwać. Zobaczyłam, że opierasz się o latarnię i że jesteś bardzo blady, i zrobiło mi się ciebie żal. Miałeś koszulę wyciągniętą ze spodni i pot lśnił ci na twarzy. Podeszłam do ciebie, o niczym nie myśląc, zapytałam, czy coś jest nie tak i czy mogę ci pomóc. Nie czułam litości tylko współczucie, bo ja też byłam zrozpaczona tej nocy i widziałam w tobie samą siebie. Wtedy po raz pierwszy popatrzyłeś mi w oczy, ale jak sądzę, nie zauważałeś mojej twarzy ani nie byłeś świadomy mojej obecności. Zarzuciłam sobie twoje ramię na szyję i objęłam cię w pasie – byłeś bardzo ciężki, miałeś dreszcze, nie mogłeś utrzymać się na nogach. Śmierdziałeś dżinem, ale po błyszczących oczach i ogólnej niemrawości wywnioskowałam, że paliłeś też haszysz. Usiłowałeś mówić i plątał ci się język, powtarzałeś jakieś imię. Udało mi się zaprowadzić cię do parku Vandelvira, posadziłam cię na ławce przed oświetloną fontanną. Prosiłeś, żebym cię zostawiła, wpatrywałeś się we mnie szklanymi oczyma i pytałeś po angielsku, kim jestem. Opierałeś łokcie na kolanach, a głowa powoli opadała ci aż do ziemi. Chciałeś wymiotować. Zmoczyłam chusteczkę w fontannie i wytarłam ci twarz; ssaleś ją, lizaleś mi dłonie, ale znowu naszły cię mdłości, popchnęłam cię trochę i przytrzymałam ci głowę, żebyś nie zwymiotował na siebie. Długo nie mogłeś zwymiotować, jęczałeś, przyciskałeś do twarzy moją dłoń z chusteczką, aż w końcu zostałeś tak, jęcząc ze spuszczoną głową, a ja wytarłam ci nitkę śliny zwisającą z ust. Uniosłam ci głowę, ponownie zamoczyłam chusteczkę, żeby przetrzeć ci twarz, i przytulałam cię, aż przestałeś się trząść. Powiedziałeś, że nie możesz wrócić do domu, że nie masz klucza, że nie pamiętasz drogi. Rozglądałeś się dookoła, jakbyś się zbudził w mieście, którego nie znasz. Mówiłeś bardzo cicho i jednostajnie, trochę bredząc, stale powtarzałeś, że jest bardzo późno, ale nie chcesz iść do domu, bo musiałbyś obudzić rodziców. Pomogłam ci wstać, już trzymałeś się znacznie lepiej, objęłam cię w pasie i spodobała mi się siła, z jaką mnie przygarnąłeś, mówiłeś, że nigdy nie obejmowałeś na ulicy żadnej kobiety, ani na ulicy, ani w żadnym innym miejscu, przyciskałeś moje biodro dłonią z rozcapierzonymi palcami. Już mnie nie pytałeś, dokąd idziemy, pozwalając się prowadzić, bardzo potulny, pijany i zagubiony, otumaniony haszyszem, z rozszerzonymi źrenicami, z lekkim uśmiechem, jakbyś śnił to, co widzisz, i to, co mi opowiadałeś tym tak dziwnym angielskim stworzonym z fragmentów piosenek. Mówiłeś coś i natychmiast zapominałeś, dwa albo trzy razy zapytałeś mnie o imię, powtarzałeś je, jakby bardzo ci się spodobało, powiedziałeś, że nazywam się tak samo jak narzeczona Michała Strogowa, i zaczęłeś opowiadać mi książkę, ale zapominałeś fabułę, mówiłeś, że słowa są nicią i że jeśli przestaniesz mówić, nic się urwie i wszystkie słowa wymażą ci się z pamięci, dlatego mówisz tak szybko, tak udręczony, i nie było sensu prosić cię o powtórzenie czegokolwiek, bo już tego nie pamiętałeś. Zaprowadziłam cię do mojego domu, ale nie chciałeś wyjść z przedpokoju, bardzo się wstydzileś i znowu się martwiłeś, że jest tak późno, wprowadziłam cię, ciągnąc za rękę, posadziłam na kanapie, a sama poszłam do sypialni ojca, który już zgasił światło, ale na pewno jeszcze nie spał. Kiedy wróciłam do jadalni, patrzyłeś na reprodukcję *Jeźdźca polskiego*, powiedziałeś, że to jest Michał Strogow, a potem, że przypomina ci jeźdźców w burzy Jima Morrisona. Nastawiłam bardzo cicho płytę Carole King i przygotowałam kawę, a kiedy piliśmy, dalej mówiłeś, opowiedziałeś mi całe swoje życie, to, co ci się przytrafiło, co chcesz robić, kiedy wyjedziesz z Maginy. Nic nie wiedziałeś i chciałeś wiedzieć wszystko, nigdzie nie byłeś i opowiadałeś mi o miastach i krajach, do których chciałeś wyjechać, jakbyś z nich właśnie wrócił, nigdy nie dotknąłeś żadnej kobiety i widać było w twoich oczach skłonność do zatracenia się w pożądaniu, którą nadal masz, tyle że bardziej skrywaną i niezręczną. Już nie uciekałeś wzrokiem, siedzieliśmy na kanapie, słuchając Carole King, zamilkłeś. Widziałam, że przełykasz ślinę, że nie zdając sobie z tego sprawy, pochylasz się w moją stronę, ale nie potrafiłeś całować, przesuwałam językiem po twoich ustach, a ty ich nie otwierałeś, gładziłeś mi bluzkę i brakowało ci odwagi,

żeby ścisnąć moje piersi. Musiałam pokierować twoimi dłońmi, żebyś to zrobił, i myślałam wtedy: zwariowałaś, ojciec może wyjść z sypialni i nas przyłapać, ale w tamtej chwili było mi wszystko jedno, nie czułam podniecenia, ale bardzo spokojną, pełną tęsknoty słodycz, jaką wtedy wywoływały niektóre piosenki, jakbym będąc z tobą, nie miała obowiązku udawania ani obawiania się czegokolwiek. Odsuwałeś się ode mnie, aby na mnie patrzeć, ale znowu zaczynałeś źle się czuć – smutne konsekwencje palenia haszyszu – nagle wydało mi się, że widzisz mnie z bardzo daleka, oddychałeś z otwartymi ustami, uspokajałam cię, gładząc twoją twarz i włosy.

Było już po czwartej, kiedy przeszliśmy przez plac generała Orduñi, zmierzając w stronę twego domu. Szliśmy objęci przez całe miasto. Opierałam głowę na twoim ramieniu i pytałam o twoje życie i o rodzinę. Prosiłam, żebyś opowiedział mi o pracy w polu, ale o tym nie chciałeś mówić, robiłeś się bardzo poważny i zmieniałeś temat. Na rogu tego pałacu z głowami potworów czy ptaków na gzymsach poprosiłeś, żebym zostawiła cię samego. Ależ się bałeś, znowu byłeś bardzo blady, zaciskałeś szczęki i zagryzałeś wargi. Ledwie mnie pocałowałeś, wydawało się, że wstydzisz się na mnie patrzeć, odwróciłeś się plecami i poszedłeś do domu, trzymając się bardzo blisko muru. Potykałeś się, prawie upadłeś. Czekałam, aż się odwrócisz i pomachasz mi na pożegnanie – ale to było wszystko. Następnego dnia już mnie nie rozpoznałeś. Wspominałam tę noc i wydawało mi się, że to było bardzo dawno temu albo że wszystko wydarzyło się we śnie. Ale ja nie miewałam takich snów. Na początku lipca wyjechaliśmy z ojcem z Madrytu. On chciał wrócić do Ameryki, ale ja nie. W Madrycie znalazłam pracę w biurze podróży. Matka zapisała mi w testamencie kilka tysięcy dolarów. Wtedy życie w Madrycie było dla nas znacznie tańsze niż w Nowym Jorku, ale ojciec nie chciał zostać. Powiedział mi, że już nie jest w stanie znieść Hiszpanii, że zbyt długo zwlekał z powrotem. Wszystko go drażniło, kupował gazetę i natychmiast wyrzucał ją do kosza, kiedy włączałam telewizję, żeby obejrzeć wiadomości, wychodził, mawiał, że zmienia się w nieznośnego starca, i prosił o wybaczenie, to prawda, że nie był już taki jak rok wcześniej. Nie przyjmowałam jednak do wiadomości, że w głębi duszy wołałam, żeby zostawił mnie samą. W dniu, kiedy zabili Carrero Blanco, po raz pierwszy kłóciliśmy się, krzycząc; nie pozwolił mi wyjść na ulicę. Niczego się nie nauczyłaś, mówił, nie zdajesz sobie sprawy z tego, co się dzieje w Hiszpanii, nie rozumiesz, że każdy z tych okropnych ludzi może cię zastrzelić. Zostałam jednak, a on wyjechał. Sprzedał mieszkanie w Queens i zamieszkał w domu starców w New Jersey. Miał tam przyjaciela, też weterana z republikańskiej armii. Przez lata się nie widzieliśmy. Odwiedziłam go z Bobem, żeby zaprosić go na ślub, zmierzył go wzrokiem, podał mu rękę, poprosił, żeby zostawił nas samych na kilka minut, i powiedział, że się pomyliłam. Kiedy urodziło się dziecko, odniosłam wrażenie, że trochę się ze mną pogodził albo że się rozklejał, kiedy myślał o czasach, kiedy byłam małą. Bawił się z nim tak samo jak ze mną i opowiadał mu bajki z Calleja, a mój mąż dostawał szału, bo utrzymywał, że to historie zbyt brutalne dla dziecka. Udawałam przed ojcem, tak samo jak przed samą sobą, ale kiedy zostawaliśmy sami, spoglądał na mnie z tą pewnością, z jaką odgadywał moje myśli, i mówił: ostrzegałam cię, że to był błąd. Nie chciał, żebym się dowiedziała, jak bardzo jest chory. W zeszłym miesiącu zadzwonili do mnie z domu starców, żeby powiedzieć, że zostało mu bardzo mało czasu. Od tej chwili stale z nim byłam. Mówiłam mu o tobie, uśmiechał się, kiedy opowiedziałam mu, jak bardzo się zdziwiłam, kiedy spotkałam cię w Madrycie, prosił o szczegóły. Powiedział, że umrze spokojny, bo widzi mnie taką, jaka byłam, kiedy razem przyjechaliśmy do Hiszpanii, podczas tych pierwszych dni w Madrycie, kiedy chodziliśmy pod rękę po ulicy Velazqueza i zaprosił mnie na małże i wermut w parku Retiro. Nie możesz wiedzieć, jak bardzo się zmieniłaś, mówił, jaka byłaś chuda i mizerna, wyglądałaś jak te rozhisteryzowane Amerykanki. Siadałam przy nim na łóżku i spędzałam całe godziny, słuchając. Przez ostatnie dni niemal nic nie mówił, bo brakowało mu tchu. Umarł we śnie. Zostałam go śpiącego pewnej nocy i

już się nie obudził. Pielęgniarka powiedziała, że miał zamknięte oczy i jedną rękę ułożoną na piersiach, druga zwisała się z łóżka. Po pogrzebie zostałam jeszcze dwa dni w hotelu. Nie płakałam, nie mogłam uwierzyć, że ojciec nie żyje. Myślałam, że gdyby nie syn, nie miałabym żadnego bliskiego krewnego na świecie. Wspomniałam kobietę na wózku inwalidzkim, mężczyznę w ciemnym garniturze i trochę młodszego żołnierza, których widziałam kiedyś w kościele w Madrycie. Ale oni nie mieli ze mną nic wspólnego, nawet z moim ojcem, przynajmniej takim, jakiego ja znałam. Niemal w tej samej chwili dostałam zawiadomienie o rozwodzie i znowu nazywałam się tak samo jak on. Nie masz pojęcia, jak byłam dumna, podpisując papiery w szpitalu swoim prawdziwym nazwiskiem, Galaz. Bardzo się zdziwiłam, kiedy mnie nazwałś Allison w Centrum Kongresowym, nawet się wściekłam i omal ci nie powiedziałam, że to nie jest moje imię, ale spodobało mi się, że zwróciłeś uwagę na imię wypisane na identyfikatorze, i byłeś tak zadowolony z wrażenia, jakie zrobiłeś, że wolałam nie wyjaśniać nieporozumienia. Było to jak obserwowanie cię, zanim jeszcze mnie zauważyłeś, pozostawałam w ukryciu, żeby wy badać, co się stało z twoim życiem przez te wszystkie lata i w kogo się zmieniłeś. Obawiałam się ciebie, czasem byłeś dokładnie taki sam jak kiedyś, a czasem wydawałeś się jednym z tych urzędników, a najgorsze było to, że nie miałam czasu, wracałam do Ameryki następnego dnia, nie chciałam ryzykować rozczarowania, ale nie chciałam też stracić niesamowitej okazji, która mi się nadarzała, tak więc w jednej chwili zdecydowałam się zmienić hotel, a kiedy znaleźliśmy się oboje pod stołem w jadalni, zbierając papiery, które mi wypadły, i wybuchnęliśmy śmiechem, już byłam pewna, że mi się podobasz. Musiałam jednak działać rozważnie, wydawałeś się taki poważny, że bałam się tego, co mogłeś o mnie pomyśleć, gdybym okazała się zbyt łatwa. Szybko pojechałam przewieźć bagaże, a jeśli nie zaproponowałbyś mi spotkania, znalazłabym sposób, żeby przypadkiem się na ciebie natknąć, kiedy skończą się popołudniowe wystąpienia. Ale wszystko się pomieszało, utknęłam w korku, w hotelu straciłam mnóstwo czasu, zanim dali mi pokój, nie zdążyłam już do pałacu Kongresów. Zaryzykowałam i zadzwoniłam do ciebie, nikt nie odbierał, zdecydowałam się pojechać po ciebie, ale była godzina zamykania sklepów i wszystkie taksówki były zajęte. Pomyślałam, że najrozsądniej będzie zostać w hotelu, ale zabrakło mi cierpliwości, tak więc w końcu udało mi się złapać taksówkę i przyjechałam do Centrum Kongresowego, ale zastałam tam tylko sprzątaczkę. Wracając do hotelu, przez całą Castellana, miałam nerwy napięte do granic możliwości, doprowadzała mnie do szału powolność ruchu i byłabym zdolna do zakneblowania taksówkarza, żeby tylko się zamknął. Zadzwoniłam do twojego pokoju, ale cię nie było, przygotowałam sobie kąpiel i ledwie weszłam do wanny, zadzwonił telefon, pośliznęłam się na kafelkach, nawet do głowy mi nie przyszło, że mogłeś to nie być ty. Dzwonił ten pierdoła od Hemingwaya, przejechali z Sonnym cały Madryt, żeby mnie odnaleźć, i byli zachwyceni, że mogą mnie zaprosić na kolację. Miałam ochotę udusić go kablem telefonicznym. Powiedziałam, że jestem bardzo zmęczona; było im wszystko jedno, zjemy kolację w hotelu. Widać było, że ma ochotę i pewną nadzieję na pójście ze mną do łóżka; na pewno myślał – świeżo rozwiedziona, sama w Madrycie, bez pewnej pracy w piśmie, w którym on przypadkiem ma duże wpływy. Kiedy się pojawiłeś, pierwszą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy, było poproszenie cię o pomoc. Widziałam, jak na niego patrzyłeś koso podczas kolacji, i myślałam: pójdzie sobie, ma zamiar stąd uciec jak najszybciej. Szukałam twoich nóg pod stołem, a byłam tak oszołomiona, że natrafiłam na niego, dobrze chociaż, że zdałam sobie z tego sprawę, bo zamilkł i zaczął się do mnie uśmiechać, nawet puścił do mnie oko, bardzo dyskretnie, podnosząc kieliszek, tak żebyście ty i Sonny niczego nie zauważyli.

Teraz nam się wydaje, że wszystko musiało się tak potoczyć, ale boję się na samą myśl, jak niewiele brakowało tamtej nocy, żebym cię straciła, jak mało brakowało, żebym nie wzięła cię za rękę, kiedy powiedziałaś, że już idziesz, i zadaję sobie pytanie, co bym zrobiła,

gdybyś nie spytał, czy chcę z tobą zostać. Nie odważy się, myślałam, skoro nie zaproponował wyjścia do miasta, to znaczy, że jest bardzo zmęczony albo że nie podobam mu się tak bardzo, jak mi się wydawało. Czekaliśmy na windę, a ty bawiłeś się kluczem i patrzyłeś na oświetloną strzałkę, jak gdyby nigdy nic, nie zwracając uwagi na to, co ci opowiadałam. Wjeżdżaliśmy do góry, a mnie zabrakło animuszu, żeby przejąć inicjatywę. O czym mogłeś myśleć, taki poprawny, taki poważny, a kiedy otworzyły się drzwi, żołądek podszedł mi do gardła, jeśli nic nie powie, ja się odezwę. Czekales do samego końca, zanim się zdecydowałeś, i właśnie zamykały się drzwi. Zaczęłam się śmiać z nerwów, a ty się zaczerwieniłeś, chciałam od razu cię przytulić na środku korytarza i wycałować cię, i zapytać po hiszpańsku, czy mnie pamiętasz, ale strasznie się bałam. Kiedy wchodziłam do twojego pokoju, położyłeś mi dłoń na biodrze, przepuszczając mnie w drzwiach, i podnieciłam się tak bardzo, że miałam ochotę uciec albo wyciągnąć się na łóżku i przywołać cię bez żadnych wstępów, ale ty działałeś bardzo powoli, z opanowaniem, które zbijało mnie z tropu – papieros, piwo, delikatne żarty po angielsku, ton, jakim powiedziales, żebym się rozgościła, jakbyś to już mówił innym kobietom w tym pokoju. Przez siedemnaście lat nic o tobie nie wiedziałam i umierałam z zazdrości, nie dowierzałam, bałam się, że naprawdę jesteś taki, jaki mi się wydałeś, kiedy jadłeś śniadanie, że będziesz ze mną postępował tak pedantycznie, jak kroiles croissanta nożem i widelcem. Ale bardzo się zmieniłeś, kiedy zaczęliśmy się całować! byłeś inny, nie miałeś uprzedzeń, wyglądało tak, jakbyś wraz z ubraniem zdjął też maskę albo zbroję, nie wstydziles się, ale byłeś delikatniejszy niż inni, popychales mnie, jakbyś chciał mnie połamać, a jednocześnie troszczyłeś się o mnie, odgarniales mi włosy, żeby widzieć moją twarz, i uśmiechałeś się do mnie, kiedy miałam orgazm, i poczekałeś prawie do samego końca, aby do mnie dołączyć, ale nawet wtedy nie pozwoliłam ci, żebyś zamknął oczy. Nie wiesz, w jaki sposób patrzysz w takiej chwili ani jak patrzysz teraz. To spojrzenie jest moje i nie widział go nikt poza mną. Nie jestem już zła, że nie pamiętasz tej nocy w Maginie. Też należy do mnie i podoba mi się to, że możesz wiedzieć o jej istnieniu tylko dlatego, że ja ją pamiętam i opowiadam tobie.

DWA GŁOSY w półmroku i ciszy zamkniętego domu, splatające się tak samo jak ciała i ręce, ciepłe, gdy szepczą do uszu, wyciszone na granicy snu, tak samotne i wierne, jakby były ostatnimi głosami, które jeszcze rozbrzmiewają na świecie, wznoszą się do śmiechu, powoli i stopniowo posepnieją, kiedy ważą się na wyznania, przeciągłe w długim jęku rozkoszy albo w krzyku tłumionym poduszką, mądre, znane już po kilku dniach, bezwstydne, ale też skromne, uczą się nazywać po imieniu to, co początkowo się zatajało, czyny i pragnienia, pożądane miejsca ciała, które biorą w posiadanie z chwilą ich nazwania; dwa głosy łączące potok słów w jedno objawienie, każde z nich, odkrywając drugie, przedstawia siebie, tak jak się sam widzi, i dziękuje za cud tajemnicy, za istnienie kogoś, kto jest tak podobny, a mimo to skrywa w swym nienaruszalnym wnętrzu i na oddanej powierzchni skóry królestwo, którego nigdy nie będzie można przemierzyć. Nie ma przerw w zadawaniu pytań ani szczelin w upływie czasu, nie potrafią albo nie chcą przeliczać godzin i dni powolnego rozleniwienia i nagłej gorączki podniecenia. Mówią, patrzą, słuchają, zaczynają delikatnie się dotykać, otwierają oczy i zdają sobie sprawę, że zapadła już noc albo że świta, przypominają sobie słowa piosenek, szukają ich pośród płyt, czekają na siebie i ścigają się po pokojach z taką samą łapczywością i niepewnością, z jaką szukaliby się na ulicach miasta, w sześciennym i zamkniętej przestrzeni, która stanowi dla nich cały świat, zupełnie jakby tych kilka dni odosobnienia nagle stało się całym ich życiem. Łączą ich głosy, ale też odgłos kroków dochodzący z jadalni i szum wody w łazience, trzask otwieranej puszkii piwa, zapach mydła albo wody kolońskiej, świeżo parzonej kawy, pianki do golenia, banalne i cenne oznaki obecności drugiej osoby, buty na obcasie zostawione przy łóżku obok otwartego kufra i fotografii, szminka na umywalce, męska marynarka pomiędzy damskimi ubraniami w szafie, na stole w kuchni dwa kieliszki z resztkami czerwonego wina, ślad szminki na chusteczce. Pod pretekstem, że panuje zima, niemal nie wychodzą z domu, odkładają na nieokreśloną przyszłość wypełnienie swych obowiązków, nic do siebie nie mówiąc, pozwalają sobie na przerwę, która stale się przedłuża, jeszcze jeden dzień, jedna noc, kilka godzin. Nie ma początku ani końca opowiadanych historii ani dokładnych granic w przeciąganym pożądaniu. Przerywają sobie, porównują daty i wspomnienia, zdjęcia, miejsca, w których oboje byli i się nie widzieli, pomyłki i entuzjazm, gubią wątek opowiadania i odkrywają inne obrazy albo odczucia, przy których chcą się zatrzymać. Prawie już śpią, zgasili światło, gdy szczególny dotyk sutka albo palców stóp rozbudza ich i ożywia pomimo zmęczenia i ponownie popycha do upartego poszukiwania w ciemności, spoceni i zbolali, wyczerpani, wymacują najbardziej apetyczne fragmenty skóry, zagłębienia i fałdy, zwilżane językiem, słabe pulsowanie, które z wrażliwością i czułością wyczuwają opuszki palców, ruch oczu pod powiekami, rytm krwi w skroniach, w niebieskich żyłach nadgarstków, w lekkim zgięciu kostki.

Nie wiedzą, jaki jest dzień ani co się dzieje w świecie. Włączają telewizor i natychmiast go wyłączają, rozpoczęła się wojna, bardzo daleko, i w wiadomościach, a nawet w reklamach dominuje histeria sztandarów, zabójczego patriotyzmu, który mogą choć iluzorycznie odrzucić, wciskając przycisk pilota, uciekinierzy albo ocaleni z apokalipsy, która ich nie dosięgnie, jeśli będą się ukrywać w schronie mieszkania, jeśli spróbują zapomnieć o oburzeniu i wściekłości i ukryją się jeszcze głębiej, nadzy i przytuleni do siebie pod gorącym okryciem pościeli, za szybami i firankami, i za zamkniętymi drzwiami, które chronią ich

przed lodowatym zimnem i wyciszają hałas docierający z ulicy. Rozmawiają, aby nie słyszeć nic poza własnymi głosami i nauczyć się na nowo tego, o czym zapomnieli, starają się uporządkować cudowne archiwum Ramira Portrecisty, czarno-białe twarze, porozkładane fotografie wyglądają niczym siedlisko duchów, niebываły gąszcz życiowych perypetii, stłoczone na podłodze, na stole w jadalni, ułożone szeregiem na półkach i wsparte o grzbiety książek, oglądane o północy w świetle lampy, niewyczerpane w swej różnorodności jak skarby ze snu, tłum postaci z Maginy, które pojedynczo albo w grupach prężą się przed rażącą oczy pobieloną wapnem ścianą w studiu albo spacerują pod rękę po ulicy Nowej lub pomiędzy budkami na jarmarku; twarze z przeszłości, nieśmiałe, poważne, przedwcześnie postarzałe z powodu biedy, sztywne, rozjaśnione nieprzeniknionym i minionym szczęściem, przestraszone faszystami, wyzywająco uniesione brody, ciemne marynarki, konopne łapcie z białymi tasiemkami zawiązanymi na wystających kostkach, wstążki albo sztuczne kwiaty wplecione w loki, spojrzenia i uśmiechy zdradzające straszne wyobcowanie, twarde lakierki i podkolanówki, szerokie i obciśnięte perkalowymi spódnicami biodra, buty na korkowej podeszwie, umalowane usta i nierówne zęby u bardzo młodych ludzi, kloszowe spódnice, wyprężone biusty, buty na szpilkach, oliwkowe twarze i przylizane włosy, ciemne policzki, azjatyckie rysy, ubrania niedzielne, z Wielkiego Piątku, z procesji Bożego Ciała, sukienki od Pierwszej Komunii i suknie ślubne z takiej samej satyny z takimi samymi wyszywanymi wzorami, oczy ofiar, które jeszcze nie wiedzą, że nimi są, i obelżywych zwycięzców, księży w okrągłych okularach i z olbrzymimi podwójnymi podbródkami, faszystów, nieznajomych, którzy wyróżniają się tylko skrywanym napięciem swego tchórzostwa, dzieci na kartonowym koniu albo trzymające przy uchu słuchawkę telefonu-zabawki w zaimprovizowanej bibliotece, w granatowych mundurkach o sztywnych kołnierzykach, ze zwilżoną i uciętą nad czołem grzywką, szarość starych ubrań o postrzępionych mankietach, żalosna monotonia zbyt krótkich rękawów, obszerne spodnie przewiązane sznurkiem i sztuczne, wymuszone uśmiechy na przestraszonych twarzach; wyraźne podobieństwo ustalone nie tylko przez odległość w czasie, lecz także bezstronną litość kogoś, kto przez pół wieku obserwował te twarze i widział, jak kształtują się ich rysy w kuwecie z wywoływaczem, i przechowywał kopię każdej zrobionej przez siebie fotografii, nie podejrzewając nawet, jaki los jest im pisany, nie wiedząc, że jest jedynym świadkiem i depozytariuszem życia ludzi, o których później nikt nie chciał pamiętać, a którzy teraz wyłaniają się niczym w potajemnym i powszechnym zmartwychwstaniu w mieszkaniu na Pięćdziesiątej Drugiej Wschodniej Ulicy w Nowym Jorku, w ciągu ośmiu albo dziesięciu dni stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, przed oczyma dwojga wzruszonych ludzi, słuchających docierającego zza zamkniętych okien świstu zimowego wiatru i hałasów miasta, jakby szmeru wodospadu. Rzadko wychodzą, odnajdują w kufrze Ramira Portrecisty to, czego nigdy nie szukali, a co zawsze do nich należało, choć o tym nie wiedzieli ani tego nie pragnęli, najdawniejsze przyczyny ich wykorzenia i wspólnoty.

Mieszają im się porządek dni i upływ godzin, czas przelewa im się w teraźniejszości obejmującej ich własne życie i życie ich rodzin, głosy, które nosili w sobie przez lata, nie słysząc ich, stają się ich głosami i przywracają im słowa i zapomniane sytuacje, jakie ich poprzedzały, ale ustanowiły ich gesty, upojenie czułością, świadomością i pożądaniem głosy i piosenki, nagłe wspomnienia i wytrwałe pieszczoty, przyjemność czuwania, oddawania się rozmowie i sypiania do jedenastej w południe, rozkoszne i wszechogarniające zmęczenie, które ich usypia, wyprawy taksówką po papierosy albo na późną kolację lub ostatni kieliszek przed snem. Spoglądają przez szyby na umykające nocne miasto o zaśnieżonych chodnikach i pustych alejach, z oświetlonymi drapaczami chmur pośród mgły, wysokimi i samotnymi jak latarnie morskie, i puste owocarnie lśniące na najciemniejszych narożnikach ulic Nowy Jork jest znacznie mniej realny niż miasto, o którym nieustannie rozmawiają, Mágina, niedostępna

w przyszłości odległej o sześć godzin, w przeszłości, w której oboje są obcokrajowcami, ale z którą czują się związani jak z krajem pochodzenia rodziców. Wracają do mieszkania skostniałi z zimna, już w windzie zrzucają zimowe oszroniałe ubrania, przesiąknięte wrogością ulic, ty otwórz, mówi Nadia, podaje mu klucze na znak, że bezwarunkowo oddała mu swoje życie, swe piękne i umartwione ciało, zniesławione i uświęcone latami niedoli i minutami gorącego szczęścia. Kochając się z nią, posiada ją w tej chwili, ale też wszystkie kobiety, jakimi była, kobiety, które kochały się z innymi mężczyznami i drżały tak samo jak teraz, i mówiły im słowa, które dopiero teraz zdają się nabierać prawdziwego znaczenia; dziewczyna mieszkająca przez kilka miesięcy w Magmie i później sama w Madrycie podczas zimy tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego i kobieta, która wyczuła w swym ciele dziwne i ciepłe pulsowanie dziecka i otworzyła się, krwawiąc, aby wydać je na świat, blondynka nazywająca się Allison podczas jednej jedynej nocy w jakimś madryckim hotelu i rudowłosa, która pojawia się niby przypadkiem w kawiarni Doral Inn w Nowym Jorku i zostaje na zawsze, ta, która uśmiecha się, ubrana w purpurową koszulę i dżinsy, na fotografii zrobionej w Central Parku, ta, która ma spojrzenie i wykrój ust czyniący ją podobną do hiszpańskiego żołnierza sfotografowanego w Maginie przed pięćdziesięcioma pięcioma laty i do młodego Amerykanina o blond włosach, urodzonego w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym. Oddaje się jej aż do utraty świadomości i przekształca w jej cień i sobowtóra, i dopiero wtedy czuje, że wszedł w posiadanie samego siebie. Układa się nagi pod kołdrą w łóżku, w którym jeszcze kilka miesięcy wcześniej sypiał inny, i uspokaja go uczucie, nie znane mu wcześniej, znajdowania się na swoim miejscu, w środku swej spokojnej życiowej drogi. Opowiada Nadii to, co opowiedzieli mu jego dziadkowie i rodzice, a w jej zdumieniu i uwadze dostrzega własną żądzę wiedzy, dawne pragnienie słuchania innych i odkrywania najbardziej skrywanych części ich jestestwa.

Otwiera oczy, nie patrzy na zegarek, stara się określić godzinę według światła wpadającego przez okno, widzi na ścianie reprodukcję *Jeźdźca polskiego* i uparcie stara się sobie przypomnieć tę noc ze swego życia, która istnieje tylko dlatego, że ona nigdy o niej nie zapomniała. Wyobraża sobie majora Galaza, stojącego przed wystawą antykwariatu w Maginie albo wspartego łokciami na stole z surowego drewna, z koalicijką i rewolwerem, albo spoglądającego na krajobraz nie należący już właściwie do jego pamięci, lipcowy zmierzch w dolinie Gwadalkiwiru, niebieskawa Sierra po drugiej stronie rzeki. Zostawia śpiącą Nadię i wychodzi do jadalni, aby ponownie otworzyć kufer Ramira Portrecisty, poszukuje pośród tylu nieznanomych twarzy zdjęć dziadków i rodziców, stara się je ułożyć w porządku chronologicznym, czuje się jak wtedy, gdy jako dziecko wślizgiwał się potajemnie do pokojów w domu przy placu Świętego Wawrzyńca i grzebał w szufladach pod poskładanymi ubraniami, w szafach, gdzie wisiał mundur Gwardii Szturmowej i stała puszka wypełniona banknotami Republiki, jakby ponownie oglądał twarze pradziadków przywodzące na myśl płaskorzeźby na etruskich sarkofagach, i mundury, i ślubne sukienki, stara się stąpać cicho na poodklejanych płytkach, żeby babcia Leonor nie przyłapała go na myszkowaniu, odległy od życia naznaczonego obowiązkową pracą i zabawą na ulicy, odporny na niebezpieczeństwo i wzmocniony samotnością, w półmroku pokojów jak w muzealnych salach, z meblami, które nigdy nie były używane, z nietkniętymi serwisami za szybami kredensów, zagubiony i szczęśliwy, otwierał szafy i unosił wieka kufrów wydzielających rozproszony zapach czasów, w których jeszcze nie było go na świecie, znajdował tajemnicze przedmioty, moździerz z brązu, podarty jedwabny parasol, dziecięce buciki, które być może należały do jego matki, kartki na jedzenie, skórzaną kaburę w kształcie pistoletu, pusty flakon po wodzie kolońskiej, rozkładał listy napisane przez dziadka Manuela z obozu koncentracyjnego i czytał tytuły o śmierci Hitlera albo o wojnie w Korei na stronach toczonych przez mole gazet, którymi były wyściełane szuflady. Z uporem odkrywał w

zdjęciach młodość dziadków i dzieciństwo rodziców, widział siebie takiego, jaki był, gdy miał trzy albo cztery lata, okrągła twarz, bardzo chude nogi, równa grzywka nad brwiami, koszula w paski i kordobański kapelusz, siedzi na grzbiecie kartonowego konia, który zdaje się ogromny, z niepewnym uśmiechem, który może po kilku chwilach przeszedł w płacz, bo przerażały go rozmiary konia i wydawał mu się on prawdziwy. Nie pamięta, patrzy, pozbywa się zapomnienia jak łusek oślepiających go częściowo od nie wiadomo jak dawna, widzi twarze i światła Maginy w zimowym zmierzchu, który zapada jednocześnie w jego pamięci i w nieosiągalnej rzeczywistości placu Świętego Wawrzyńca i punktów widokowych, w przeszłości i terażniejszości, w jego własnym życiu i w życiu innych ludzi połączonych z Nadią i z nim niewidzialnymi więzami przypadku albo krwi, które teraz nabierają zdumiewającej realności w ich podwójnym przeznaczeniu. Patrzy, ten mężczyzna to pewnie don Mercurio, a książka leżąca na stole to ta sama Biblia, Nadia patrzy na mojego ojca stojącego na baczność na schodach ratusza w nocy 18 lipca, na pradziadka Pedra o siwych włosach, siedzącego na stopniach schodów i gładzącego grzbiet psa, Ramiro Portrecista musiał ukryć aparat za oknem, żeby zrobić im zdjęcie, dlatego widać z boku cień żelaznego pręta kraty. Patrzy na dziadka Manuela i na babcię Leonor, na moją matkę, która nie może tu mieć więcej niż jedenaście albo dwanaście lat, jesteś do niej podobny, mówi, czekaj, kim jest ten tak poważny człowiek? Z tą cierpiętniczą miną? A kim ma być? to inspektor Florencio Pérez w swoim gabinecie w komisariacie; popatrz na ten przedmiot obok jego lewej ręki, to przycisk do papieru w kształcie bazyliki z Montserrat; nie wspominałam go od tamtej nocy, kiedy mnie aresztowali i on mnie ocalił, ale to zdjęcie zrobili mu wiele lat wcześniej. Nadia patrzy na twarz mojej matki w dniu ślubu i na ojca w wypożyczonym smokingu, masz podobne oczy. Popatrz na niego tutaj, dziesięć lat wcześniej, na niemieckim motorze Ramira Portrecisty, ten obok na przyczepie to jego kuzyn Rafael. Manuel odsuwa niecierpliwie plik zdjęć nieznanomych, aby znaleźć twarze krewnych i pokazać je Nadii, i opowiedzieć ich życie, czasem wahając się podczas rozpoznawania. Myślę, że ten tu to wujek Rafael, to jest zdjęcie, które powiesił w jadalni swego domu jego syn, kiedy go odwiedziliśmy z ojcem w Leganés, a ten uśmiechający się obok Rzeźnika z Maginy w dniu pasowania na matadora to Lorencito Quesada, popatrz, jak się puszy, jak obejmuje go ramieniem, popatrz na mojego przyjaciela Feliksa ze swymi rodzicami, w jakiś niedzielny poranek, na pewno, przed pomnikiem generała Orduñi, jakżeżby się zdziwił, widząc to zdjęcie, na którym ojciec jest młody i stoi o własnych siłach, a nie leży błady i nie ogolony w łóżku, z którego nigdy więcej nie wstał.

Kogoś tutaj brakuje, zauważa Nadia, zgadnij kogo; leży na kanapie, bosa, ze szlafrokiem rozchylonym na wysokości ud, włosy ma podniesione w górę szeroką elastyczną opaską, z plikiem zdjęć na kolanach, bez makijażu, emanuje seksem i rozspaniem kogoś, kto dopiero co wstał z łóżka, a czasem, jeśli nie wychodzą z domu, wygląda tak przez całe przedpołudnie. Brakuje jego, mówi, Ramira Portrecisty, przez całe życie robił zdjęcia i zachowywał kopię każdego z nich, ale przejrzelśmy już wszystkie i nie odnaleźliśmy żadnego, na którym by się pojawił. Szpiegował innych, nie tylko w studiu, ale też na ulicach, w barach i kawiarniach Maginy, widział ich takimi, jacy byli w chwili, gdy ich mijał, i jacy byli wcześniej, przewidywał w swej przenikliwości, jak się zmieniają z upływem czasu, studiował niczym przyrodnik powolne przemiany twarzy i następujące po sobie okresy dojrzewania i upadku, odkrywał melancholijnie i z odrobiną strachu, że życie wszystkich ludzi jest mniej więcej takie samo i że nie ma niezmiennych rysów, że zmieniają się one i nikną tak łatwo jak refleksy świetlne na wodzie albo ziarenka piasku. Nie zrobił sobie żadnego zdjęcia, a jeśli zrobił, to nie chciał go zachować, wolał zostać na uboczu, obserwując wszystko ze strefy cienia, spod zasłony z czarnego pluszu tego przedpotopowego aparatu, którym sfotografował kobietę zamurowaną w Casa de las Torres, kobietę swego życia, jak wyznał ojcu, mówi

Nadia, biedny człowiek zwariował, mówił o niej, jakby ją znał za życia i został wdowcem, ze łzawym sentymentalizmem. Pamięta to dokładnie, niezauważona, podsłuchiwała ich rozmowy podczas niejednego popołudnia. Ramiro wypijał pierwszy kieliszek koniaku, który major Galaz stawiał przed nim, i pokazywał mu zdjęcie, niech pan na nią spojrz, panie majorze, niech pan powie, czy w tych krajach, po których pan podróżował, widział pan kiedyś kobietę taką jak ona, proszę sobie wyobrazić, jaka to musiała być nieszczęśliwa miłość, co czuł ten mężczyzna, który ją stracił, że przepisał te biblijne wersy, które znalazłem przy jej cudownym ciele. *Przyłóż mię jako pieczęć na serce swoje, jako sygnet do ramienia swego!* – czyta Nadia na głos, a Manuel spogląda na oczy i policzki, i spokojny uśmiech zamurowanej kobiety i przypomina sobie najstarsze strachy swego dzieciństwa: przed zamkniętą bramą Casa de las Torres i rzędami gargulców, na które podnosił wzrok, bojąc się, że mur zawali się na niego; pod latarniami na rogach ulic starsze dzieci opowiadały historię mumii, a on wyobrażał ją sobie, jak drapie cegły zasłaniające teraz gotyckie okna, a kiedyś przyłączył się do grupy dzieciaków, które przedostały się do sieni pałacu celem zapuszczenia się w głąb piwnic, by zobaczyć zamurowaną niszę, ale niczym zjawa pojawiła się strażniczka złorzecząca i dzierżąca niechybnie w celach zabójczych wielki pasterski kij; zwariowała, opowiada mu Nadia, wyrzucili ją z Casa de las Torres i przeniosła się na drugi koniec Maginy, ale wracała co noc. Pałac był w remoncie i przed drzwiami leżała wielka kupa gruzu. Szła ulicą Pozo opatulona czarną wełnianą chustą, wlepiając wzrok w ziemię i z rękoma splecionymi na brzuchu, szepcząc modlitwy albo bredząc. Opowiadała, że osobiście odwiedza ją Pan nasz Jezus Chrystus i chodzi z nią do łóżka, jest bardzo czuły i bardzo czysty, ale przede wszystkim bardzo męski, wysoki, bosy jak pokutnik, w białej tunice, z kasztanowymi włosami do ramion i delikatną, bardzo miękką brodą, zupełnie jak *Król królów*. O szarym zmierzchu, zanim jeszcze zapalono światła, widać było na placu siwą plamę jej włosów. Udawała roztargnioną, zasłaniała twarz, jakby nie chciała zostać rozpoznana przez swe dawne sąsiadki, szybko wyciągała ręce i chowała kamień pod chustą, po czym wracała ulicą Pozo, drobiąc jak przestraszony ptak, przyciskając kostkę brukową do piersi, jakby niosła chore zwierzę albo cenny skarb, który ktoś chciał jej zabrać, albo trupa dziecka, które zmarło jej w młodości. Nie pozdrawiała nikogo, ginęła potem w mroku na Altozano. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, gdzie składowała kamienie ani po co jej one były, ale nieodmiennie wracała co wieczór, nawet zimą, w deszczu, bez płaszcza ani parasola, tylko w wełnianej chuście, z rozczochranymi albo mokrymi siwymi włosami, drżąc z zimna i szepcząc strzeliste akty.

Jakże daleko to wszystko i jak bardzo zapomniane!, myśli, z jaką jasnością teraz powraca, jakże czyste dźwięki i intensywne zapachy, ubitej i zimnej ziemi, dymu palonego drewna, wilgotnego wiatru we wrześnie wieczory, który wstrząsał koronami topoli przed burzą, monotonia różańca, który dobiega z radia od sąsiada, dzwony kościołów, bicie zegara na placu generała Orduña, sygnał na modlitwę w koszarach i syrena w odlewni, do której szli pracować młodzi mężczyźni porzucający pracę w polu, odgłos kopyt końskich i krowich racic na bruku, stukanie o okienne kraty laski niewidomego Domingo Gonzáleza, mieszkającego obok naszego domu i noszącego bardzo duże ciemne okulary, żeby nie było widać blizn wokół oczu, pozostałości po strzałach pociskami z solą. Żył w przerażeniu, powiedział nam dziadek Manuel, nosił pistolet w kieszeni, długą dziewiątkę, i nigdy nie spał, bo człowiek, który go oślepił, przyrzekł, że wróci, żeby go zabić. Kto go oślepił? – pyta Nadia, dlaczego? Tego jeszcze mi nie opowiedziałeś. Był falangistą, spędził pierwszy rok wojny ukryty na poddaszu, a kiedy go znaleźli, zdołał uciec po dachach. Pojawił się znowu w Maginie dwa lata później, awansował do stopnia pułkownika i był prokuratorem w niemal wszystkich sądach wojennych, rzeźnik, mawiał porucznik Chamorro, dla którego Domingo González dwa razy zażądał kary śmierci. Wychodził przed świtem ubrany w mundur i jeździł konno, bez odpoczynku, przemierzał ścieżki pomiędzy ogrodami i oliwnymi gajami, a punktualnie o dziesiątej był już w sądzie. Znaleźli go na ziemi w pobliżu rzeki, z twarzą zalaną krwią, koń

stał obok niego, a później mówiono, przynajmniej tak mówił dziadek Manuel, że mężczyzna uzbrojony w dwururkę wyszedł na drogę, celując mu w piersi. Zatrzymaj konia i nie spiesz się tak, powiedział, wyrzuć pistolet, zejź z konia z rękami do góry, i Domingo González umierał ze strachu, a taki był odważny, kiedy żądał dla jakiegoś nieszczęśnika najwyższego wymiaru kary (dziadek Manuel uwielbiał ten zwrot), padł na kolana przed nieznanym i błagał, żeby go nie zabijał. Nie martw się, bo póki co nie mam zamiaru cię zabijać, ale zrobię tak, żebyś wiedział, co to jest strach przed śmiercią, wrócę, kiedy będziesz się najmniej spodziewał. Wymierzył mu w twarz, wystrzelił raz, a potem drugi, sól z pocisków wypaliła oczy Domingo Gonzálezowi, przez resztę życia żył on w ciemności, w której nieustannie słyszał kroki i głos tego mężczyzny, który kiedyś wróci, aby wyrzucić zemstę. Co się z nim mogło stać? – pyta Nadia, przytulając się do pleców i bioder Manuela pod ciepłą kołdrą. Wyglądała niczym jego cień, w sypialni rozjaśnianej tylko poblaskiem czerwonych cyfr na tarczy elektronicznego zegara. Co się stało z nimi wszystkimi? Z mężczyzną, który strzelił solnymi nabojami i być może uspokoił się z upływem lat albo wyjechał z Maginy i zapomniał o Domingo Gonzálezie, gdzie może być Ramiro Portrecista? Jest wielce prawdopodobne, że umarł stary i samotny w jakimś pensjonacie albo azylu w Madrycie, co dzieje się z ludźmi, kiedy odchodzą? Kiedy zostają zapomniani i nie zostawiają po sobie nawet fotografii?

Zapala światło, prosi Nadię, żeby odwróciła się do niego, odgarnia jej włosy z twarzy, odsłania czoło, gładzi palcami brodę i usta uśmiechające się sennie, chce nauczyć się jej rysów tak szybko i ze wszystkimi szczegółami, żeby nie mógł już ich zapomnieć chce wyryć sobie w pamięci kształt ust i nosa, i brody Nadii, kolor jej oczu, tak jak zarysowuje się postać na białym brystolu fotografii. My nie możemy zniknąć, mówi jej, nie możemy zatracić się jak ci wszyscy ludzie. Nagle ogarnia go strach, czuje, że musi się w nią wpatrywać i przytulać jej ciało, i nie wypuszczać nigdy więcej z objęć, jakby wystarczyło zamknąć oczy albo zostać samemu na kilka minut, podczas gdy ona wychodzi do ubikacji albo schodzi na dół, żeby coś kupić, by nigdy już nie wróciła, by zgubiła się pośród tłumu Nowego Jorku jak Ramiro Portrecista w Madrycie albo jego przyjaciel Donald na przedmieściach jakiejś afrykańskiej stolicy, jak ci bezimienni nieznajomi, którzy przypadkiem pojawiają się na drugim planie fotografii, na chwilę niechcący przyłapani podczas swej anonimowej podróży w stronę nieistnienia, niemniej obdarzeni szczegółowymi biografiami i wspomnieniami, które nie pozostaną jednak w niczyjej świadomości. Nadal nie śpi i przytulają, kiedy już zasnęła, ma ochotę zarazem opiekować się nią i oddać się w opiekę jej odwadze i czułości, silny i bezbronny, dumny z niej i z siebie, ale też słaby i tchórzliwy, zawsze o krok od trwogi. Gasi światło, słyszy, jak Nadia oddycha przez na wpół otwarte usta i szepcze coś, czego on nie rozumie, przewraca się we śnie, aby wygodniej do niego przyłgnąć, i teraz jej spokojny i ciepły oddech laskocze mu twarz. Jeszcze nie może zasnąć, nie chce, czuje, że nieuchronnie zaczyna ześlizgiwać się w otchłań o nieprzeniknionych ciemnościach, gdzie już nie widzi czerwonej plamy cyfr budzika ani białej postaci jeźdźca. Pogrąża się najpierw powoli z uczuciem podobnym do tego, jakie towarzyszy nam podczas nocnej podróży samolotem, który wytraca wysokość, kiedy w oddali widać już światła miasta. Wzdryga się nagle w zamroczeniu, jakby schodził po omacku po schodach i nagle zabrakło jednego stopnia, spostrzega zaskoczony, że niemal pogrążył się we śnie i że serce bije mu bardzo szybko, odkrywa, że nie jest sam, że Nadia obejmuje go w pasie. Ponownie wzbija się w górę i widzi światła w dole, obrazy szybko następujące po sobie i wymazujące się wzajemnie, nocne ulice miasta, budynki Rockefeller Center oświetlone reflektorami penetrującymi żółtą mgłę, drapacze chmur Buenos Aires w ciemności, oświetlone błyskawicą podczas burzy, neon „Chicago Tribune”, mrugający na wysokości trzydziestu pięter ponad wieżowcem o gotyckich zwieńczeniach, biała kopuła Kapitolu i nieskończona rozciągłość światła Waszyngtonu albo Los Angeles, albo Londynu. Miasta szybko się zmieniają, przelatuje nad

nimi, nie zatrzymując się, zostają w tyle i natychmiast pojawiają się światła w jeszcze większej ciemności na zakrzywionym horyzoncie, na końcu oceanu, na brzegach Europy, po drugiej stronie łańcuchów górskich i równin rozbłyskujących reflektorami samochodów, które znikają i znowu się pojawiają pomiędzy rzędami drzew oliwnych; miasto w głębi, na szczycie wzgórza, światła drżące nad białymi domami na punktach widokowych, pod fioletowym niebem, gdzie jeszcze nie zapadła noc, plac z trzema topolami, gdzie rozbrzmiewają głosy i stukot kołatek, gdzie przechodzi kobieta o siwych włosach skrywająca pod chustą brukową kostkę, dokąd wraca mężczyzna z dwuletniej niewoli, skąd umyka nastolatek, który chce żyć daleko stąd wymyślonym życiem, a który wraca później po upływie połowy swego życia i zatrzymuje się przed zamkniętym domem, stuka kołatką, drzwi się otwierają i nie ma nikogo w sieni ani w kuchni, ani na podwórzu, ani w pokojach, w których stoją te same meble, które oglądał jako dziecko, ciemny drewniany stół i sześć wyściełanych krzeseł, na których nikt nigdy nie usiadł, łóżka z żelaznymi wezglowiami i brązowymi obramowaniami, w których nikt nie sypia, szafy i komody, gdzie jeszcze przechowuje się ubrania zmarłych, napisane przez nich listy, zdjęcia, na których jeszcze się śmieją, jakby nie zostali pozbawieni życia. Otwiera oczy, Nadia zapala światło i pochyla się nad nim, pyta, co mu się śniło, dlaczego tak kręcił głową, jakby uparcie mówił nie, ale on nie pamięta, nadal się boi, ale nie wie czego.

NIE MOGĘ SIĘ PRZYZWYCZAIĆ, nie potrafię zmierzyć odległości, która mnie od ciebie dzieli, ani obliczyć czasu, jakiego brakuje, żebym znowu cię zobaczył, ani tego, który z tobą spędziłem, dziesięć lat czy dziesięć dni, ile dokładnie godzin? Ile słów wypowiedzieliśmy? Ile razy szczytowałem w tobie albo w twoich ustach, albo na twoich piersiach i słuchałem, jak jęczysz, z otwartymi oczyma, jakbyś była w agonii. Nie chcę niczego zapomnieć, nie chcę pomieszać dni ani sprowadzić do jednego objęcia wyjątkowości każdego z nich, bo zapomnieć i ujednolicić znaczy utracić, a ja wymagam teraz od siebie niemożliwego – posiadania wszystkich słów, wszystkich pieszczot i zmian, jakie wywołują w twojej twarzy ból i melancholia albo śmiech, albo zmiana światła, każdego rodzaju śmiechu i wszystkich barw głosu. Nie chcę przestać tego widzieć ze wszystkimi cennymi szczegółami: fasada twego domu, lustro w przedpokoju, metaliczne błyski windy, kuchenka i sztucce ułożone w szufladach, i talerze, i szklanki w szafie nad zlewem. Chcę na zawsze zapamiętać ustawienie mebli i wszystkich przedmiotów na wiklinowych półkach w łazience: flakony z wodą toaletową, paczki chusteczek i podpasek, jedwabny szlafrok na wieszaku, szminki i pudełeczka z pudrem, które wkładasz do torebki, gdy wychodzisz, pędzelek, którego używasz do nakładania cieni, i kredka, którą rysujesz kreski na powiekach, nie chcę zapomnieć ubrań ani butów, jakie nosiłaś w te dni: czerwona obcisła sukienka i czerwone pantofle, które włożyłaś, jakby był kwiecień i jakbyśmy mogli zjeść kolację na tarasie pod gołym niebem, ciemnozielony płaszcz, który miałaś podczas naszego pierwszego spotkania, męska marynarka i szeroki, luźny krawat, które nadają ci ten przekonywający, acz nieprawdziwy pozór amerykańskiej skuteczności, nie chcę zapomnieć odrobiny beztroski, jaka cechuje wszystkie twoje czyny, pewnej niedbałości, z jaką sprzątasz w kuchni albo układasz płyty, sposobu, w jaki umiejscawiasz się w czasie, nie spoglądając na zegarek, jakby to on musiał się dopasować do twojego rytmu albo jakbyś była gotowa poświęcić całe życie wykonywanej właśnie czynności, miłosnej rozmowie albo malowaniu ust, albo pisaniu czy tłumaczeniu tych artykułów, których nie pozwalasz mi zobaczyć i w których pozornie interesują cię tylko otrzymywane za pracę pieniądze, choć w to nie wierzę, przyzwyczailem się obserwować cię uważniej niż którąkolwiek z kobiet, jakie znałem i kochałem, i odkryłem, że masz szczególną zdolność do bycia kimś, kim zdajesz się nie być, i do wydawania się taką osobą, jaką nie jesteś, albo do całkowitej i tajemniczej metamorfozy w ciągu dwóch minut. Zobaczyłem to pierwszej nocy w Madrycie, kiedy zaczęliśmy się całować i twoja twarz się zmieniła. Do tej chwili wydawałaś się tak młoda, jakby ból nigdy cię nie dosięgnął, a nagle zmieniłaś się w kobietę bezbronną i samotną, oddającą się całkowicie nieznanemu. Wydajesz się bezwstydną i skrywasz ogromne pokłady wstydu, starasz się wyglądać na osobę słabą, aby instynktownie zamaskować swą odwagę, i zdajesz się silniejsza wtedy, kiedy być może jesteś słaba, i wolisz uśmiechnąć się i objąć ramionami, kiedy jesteś zrozpaczona. Nigdy nie patrzysz na zegarek i nigdy się nie spóźniasz. Ale nie udajesz, jestem o tym przekonany, jesteś każdą z tych kobiet, Allison i Nadią, znam cię od zawsze i nic o tobie nie wiem, spędziłem z tobą jedną noc bez przyszłości i przeszłości i całe życie, szalejąc z zazdrości, bo wcześniej poszłaś do łóżka z innymi mężczyznami i któregoś z nich pieściłaś dokładnie tak samo jak mnie, widzę w twych oczach zdumienie dziewczycy, doświadczenie i niewinność, pewność i strach, ostrożność i upór.

Na lotnisku obejmowałaś mnie przy pożegnaniu, jakbyśmy mieli nigdy więcej się nie zobaczyć, i uśmiechałaś się później tak spokojnie, jakbyśmy się umówili na spotkanie za kilka godzin. Przeraza mnie niedostrzegalna erozja pamięci, lecz nie potrafię cię nie wspominać, nie wyczuwać zapachu twego ciała czy dotyku twojej skóry, moja własna stała się bardziej napięta i delikatniejsza, znacznie bardziej czuła, jakbyś mnie dotykała moimi własnymi rękoma; nie jestem twój, jak mawiają kochankowie, bo czasem zaskakuje mnie to, że jestem tobą, używam wyrażeń albo słów, których się od ciebie nauczyłem, widzę rzeczy tak, jak ty byś je widziała, albo przypominam sobie coś, co ty mi opowiedziałaś, i wierzę przez chwilę, że to wspomnienie należy do mnie. Nie zdając sobie z tego sprawy, zapalam papierosa tak, jak ty byś to zrobiła, albo proszę stewardesę o twoje ulubione amerykańskie piwo, jest więc w niemal wszystkich moich gestach bezwiedne upamiętnienie, w informacjach, które czytam w gazecie, w piosenkach w radiu, w sposobie, w jaki przyglądam się mijającym mnie ludziom. Nawet zacząłem się przyglądać dzieciom, czego nigdy wcześniej nie robiłem, zadaję sobie pytanie, czy są starsze czy młodsze od twojego, co mogą myśleć, kiedy idą takie poważne, trzymając za rękę swoje matki, kiedy patrzą na mnie szeroko otwartymi oczyma, jakby się mnie bały albo prowokowały, i to sprawia, że wspominam siebie samego w tym wieku, a także ciebie i to, co opowiedziałaś mi o swoim ojcu. Wydaje mi się, że słyszę dziadka Manuela albo porucznika Chamorro opowiadających o majorze Galazie i mieszają mi się wątki zapamiętane i wyobrażone. To niemożliwe, by to niemal „mityczne” nazwisko pamiętane z dzieciństwa należało do ciebie, by ta kobieta na zdjęciu, które mi dałaś, kiedy wyjeżdżałem, była jego córką i zakochała się we mnie, i w tej chwili wspomina mnie, podobnie jak ja o niej myślę, przemierzając korytarze lotniska Kennedy’ego, po ostatnim geście pożegnania, już po przejściu przez kontrolę paszportową, gdzie zostałem przesłuchany i przeszukany przez ogromnego urzędnika w przeciwsłonecznych okularach i granatowej marynarce, wypchniętej pod pachą przez kaburę pistoletu, i zmierzony wzrokiem przez strażnika w czarnym mundurze, czarnej czapce baseballowej, z naładowanym karabinem maszynowym i w wysokich butach, któremu z pewnością nie podobał się kolor moich włosów i oczu. Już przekroczyłem granicę, już wyszedłem ze schronienia, w którym nie ma wojny. Wchodzę w wąski korytarz wyłożony gumą, prowadzący mnie do drzwi samolotu, i zaczynam wkraczać na rozległe tereny, na których cię nie ma. Rozglądam się dookoła i po raz pierwszy od wielu dni nie widzę twojej twarzy. Nie mogę się przyzwyczaić do kształtu ani do rozmiarów świata, nie rozpoznaję już siebie w swej zręczności wiecznego i samotnego podróżnika. Przesuwam palcami po ustach, aby wyczuć jeszcze świeży zapach twoich dłoni. Wyszukuję pomiędzy stronami książki zdjęcia, które ze sobą zabrałem, i spokojnie je oglądam, podczas gdy huczą silniki i niemal pusty samolot nabiera szybkości i zaczyna odrywać się od ziemi. W słoneczny i przejrzysty zimowy dzień pozostają w dole i daleko w tyle małe domki z ogródkami w Queens, widzę z daleka zarys Manhattanu na tle zamglonego błękitu i metalicznych błysków na nieruchomych wodach zatoki i myślę, że w tej samej chwili wracasz do miasta i wspominasz mnie, istniejesz w jakimś konkretnym punkcie pośród tego tłumu, który kłębi się w holach drapaczy chmur i na stacjach, i w zalewie samochodów przejeżdżających pod metalowym rusztowaniem mostów, wjeżdżających w tunele i gnających dalej na południe autostradą wzdłuż East River. Być może widzisz swoją twarz w lusterku taksówki tak wyraźnie, jak ja widzę ją na fotografii, albo wspominasz moją twarz lub swego syna, nie możesz się doczekać spotkania z nim, poruszasz się szybko pięć tysięcy metrów niżej i nie wiem w jak bardzo odległej dali, zwiększającej się gwałtownie z każdą chwilą, a ja w ogóle nie odczuwam ruchu, siedzę w wąskim fotelu samolotu i z ulgą palę pierwszego papierosa, patrzę na ciebie, jak się uśmiechasz na ławce w Central Parku przed świeżo zazielenionymi drzewami, za którymi zaledwie można odróżnić niebieskawe zarysy budynków na tle białego zachmurzonego nieba. Blask słońca sprawia, że masz rude włosy, które naprawdę są kasztanowe i niemal czarne w półmroku, a uśmiech utrzymuje się

niepokromiony i bezwstydy w kącikach ust. Chowam zdjęcie, nie chcę, żeby mi spowszedniało od nieustannego patrzenia, tak samo jak powszednie piosenka, jeśli słucha się jej zbyt często. Czuję zazdrość, kiedy pytam siebie, kto ci je zrobił, do kogo się uśmiechałaś tego poranka w Central Parku? Gdzie byłem w tym samym momencie? W zeszłym roku, w kwietniu, kto to może wiedzieć, nie pamiętam i nie ma to znaczenia. Gdzie w tej chwili jesteś, kiedy ogromny i prawie pusty samolot leci nad ciemnym Atlantykiem, a ja przeglądam czarno-białe zdjęcia z mojego dzieciństwa i młodości rodziców i staram się sobie przypomnieć, co robiliśmy wczoraj w nocy o tej porze, ostatniej nocy. Niemożliwe do wytrzymania ściskanie w gardle na myśl o pożegnaniu, czas do tamtej chwili stojący w miejscu, zaczął teraz nieuchronnie nas przybliżać do rozstania, długie minuty ciszy, nagła nierealność wszystkiego i bolesna pewność, że wszystko robi się po raz ostatni, niemożność zaśnięcia i niechęć do trwonienia ostatnich godzin na sen, zawzięte pożądanie, nie utrzymywane już przez instynkt, lecz przez upór woli, udawanie, że przygotowuje się śniadanie jak co dnia i komentowanie wojowniczych tytułów w gazetach, jakby nic się nie stało, jakby nic się nie miało z nami stać. Znowu byłem zdenerwowany, przez niecały tydzień poszła w zapomnienie moja zdolność do wyjeżdżania i powołanie nomady. Ścisnęło mnie w gardle, kiedy wyjmowałem ubrania z szafy, znowu katowały mnie wszystkie odczuwane przed podróżą strachy neurotycznego podróżnika, wszystko zgubione jak zwykle – paszport, karty kredytowe, bilet na samolot – to tak jakby ścigać małe zwierzątka, chowające się pod meblami i stale uciekające, kiedy wydawało się, że są już uwięzione w klatce, gotówka, czeki podróżne. Patrzysz na mnie spokojnie i poważnie, popijając kawę i przeglądając gazetę, albo pojawiaasz się uśmiechnięta z moim paszportem w ręku, kiedy mnie wszystko wydawało się już stracone.

Uspokaja mnie twój spokój, łagodzi pośpiech i desperację, jakby twoja obecność przynosiła ciepłą ironię i spokój, który mnie też spowija i w którym też pozostaję, choć teraz znajduję się tak daleko od ciebie, drzemiąc w ciemnej kabinie samolotu, wyciągnięty na rzędzie siedzeń i otulony kocem, patrzę na przepływające przed moimi oczyma, jak cienie rzucane na ścianę, wszystkie twarze, które widzieliśmy w archiwum Ramira Portrecisty, widzę miejsca w Maginie, które już nawet nie wiem, gdzie się znajdują, pokoje z wysokimi sufitami i belkami, w których spałem jako dziecko, spiżarnie i piwnice, w których pachnie oliwą i wilgocią, zaułki, w których nocą rozbrzmiewają czyjeś kroki. Wracam do rzeczywistości, jak płetwonurek, który jednym ruchem nóg wznosi się do mniej ciemnych i płytszych wód, zanurzam się w bliższą przeszłość, w Nowy Jork i twój dom, podniecony wspomnieniami, które stają się bardziej żywe, zmieniając się w sny. Zamykam oczy i siedzę na brzegu twego łóżka, widzę cię nagą, jak klęczysz pomiędzy moimi nogami, zanurzam dłonie w gąszczu twoich włosów, unosisz twarz i uśmiechasz się do mnie, zanim znowu się pochylišz. Kładziesz się na plecach i rozchyłasz uda, wślizguję się w ciebie bardzo powoli albo gwałtownie, co wstrząsa nami obojgiem i sprawia, że przez chwilę naprężamy się i nieruchomiejemy. Bezwiednie jedna z moich rąk naśladuje twoją albo też jest przez ciebie prowadzona i wsuwa się dyskretnie pod koszulę i pod pasek, budzę się, zapalono światła, jakiś nieprzyjemny, nosowy głos obwieszcza kilku pasażerom, że zostały jeszcze dwie godziny lotu i że podadzą nam śniadanie. Jakie śniadanie? myślę z wściekłością, jaka mnie nachodzi, kiedy nie pozwalają mi spać, przecież przed chwilą była północ. Nagle godzina na moim zegarku jest już nieważna. Nie dość, że nie jestem na tym samym kontynencie co ty, to jeszcze zmuszają mnie do życia sześć godzin później i zapalają światło, żeby zmusić mnie do jedzenia jak kurę na wzorcowej fermie. Wróciłem na dobre, obudziłem się w nieprzyjazny poranek pełen blasku jarzeniówek i złych, zaspanych twarzy grubych i rozczochranych kobiet kierujących się do toalety z kosmetyczkami w dłoniach i opierających się sennie o zagłówki foteli, nie ogoleni mężczyźni, tak jak ja, ziewają wykończeni nieprzespaną nocą i podróżą,

zaskoczeni światłem poranka pojawiającym się, kiedy podnoszą plastikowe żaluzje w oknach, panuje atmosfera pewnej poufałości, właściwa dla długich lotów, która jeszcze się pogłębia, bo jest nas tak mało w tak wielkim samolocie i dzielimy skromną śmiałość podróżowania do Europy w czasie wojny. Co za oszołomienie, cóż za brak ochoty, by w końcu dolecieć i znowu wpaść w sidła rozkładu godzin i obowiązków. Boli mnie głowa od papierosów i valium, mam w ustach gorzki posmak. Przyglądam się sobie w lustrze toalety, kołysząc się z powodu wstrząsów ogona samolotu, i zdaje mi się, że już nie jestem taki jak wtedy, gdy byłem z tobą, że znowu staję się tym mężczyzną, który dwa tygodnie wcześniej leciał do Ameryki. Ale nie poddaję się, nie chcę, nie mogę ulec przygnębieniu wszystkich podróży. Myję twarz i zęby, golę się, jakbym po wyjściu z tej trzęsącej się aluminiowej kapsuły miał się spotkać z tobą. Ożywia mnie zapach mydła na dłoniach i wody kolońskiej na twarzy, czeszę się dla ciebie. Od tej chwili będę pielęgnował miłość z całą przebiegłością i energią, niczym święty ogień, który może zgasnąć, jeśli się go nie dogląda. Muszę bronić miłości, jej żaru i jej dumy nie przed dzielącą nas odległością i zapomnieniem, ale przed sobą, przed zniechęceniem, przed mym tchórzostwem i trucizną mego wykorzenienia i rozproszenia, przed straszną głupotą tylu lat i bezwładem tylu miłości z góry skazanych na niepowodzenie. Wszystko było kłamstwem, byłem zatruty, nie chcę żyć sam, nie chcę być bezpaństwowcem, nie chcę skończyć czterdziestu lat, szukając kobiet po ostatnich nocnych barach, albo zasypiać przed telewizorem. Może cię utracę albo nigdy więcej nie zobaczę, albo samolot zapali się za piętnaście minut na płycie lotniska w Brukseli, ale mnie jest wszystko jedno. Dog, Elohim, Brausen, miej litość nade mną, jeśli mam umrzeć, chcę umrzeć żywy, a nie przedwcześnie umarły, po coś musi mi się przecież przydać to, że spędziłem u twego boku trzydzieste piąte urodziny i zabrałem w swej świadomości i krwi całą miłość, cierpienie i impuls życia, który przejąłem od rodziców. Nie jestem sam, teraz to wiem, ani nie jesteśmy sami, ty i ja, kiedy oddajemy się sobie tak żarliwie, że niknie zewnętrzny świat, nie jestem cieniem, który może zgubić się pomiędzy milionami cieni i twarzy nagromadzonych albo porozrzucanych, które poruszają się w tej chwili pod oceanem białej mgły, w której zanurzył się dziób samolotu. Patrzę na twoją fotografię, zanim schowam ją w torbie, neurotycznie sprawdzam, czy nic nie zostawiłem i czy światełka pozwalają mi na odpięcie pasów bezpieczeństwa. Idę korytarzami lotniska, słuchając z walkmana piosenek, które dla mnie nagrałaś i które obojgu nam się podobały, choć o tym nie wiedziałem, nie poznałbym ich, gdybyś ich mi nie puściła. Nie ma podróżnych w poczekalniach, tylko puste przestrzenie wysłane linoleum, oświetlone panele reklamowe, obserwujący nas żołnierze i uzbrojeni policjanci, jeden za drugim, wspierają łokcie na karabinach. Wydaje się, że wojna to tylko nieustanne i zimne obserwowanie i dziwne rozciągnięcie czasu i przestrzeni. Bardzo dokładnie przeglądają paszporty, czekają, uzbrojeni, na najbardziej odległych zakrętach korytarzy, odsyłają na bok grupę pasażerów, którzy wyglądają na Arabów. Literki na tablicach informacyjnych przewracają się jak klocki domina i nie ma niemal nikogo, kto by czekał na odlot albo przyłot samolotu. Niczym rozwiane wiatrem zmieniają się nazwy miast: Karaczi zamienia się w Los Angeles, Madryt w Delhi, a Rabat w Moskwę. Mruga czerwona lampka obok ogłoszenia natychmiastowego odlotu do Nowego Jorku. Zawsze staję jak zaczarowany, patrząc na te tablice, jakbym podróżował do tych wszystkich miast, patrząc na ich nazwy jak wtedy, gdy jako dziecko kręciłem potencjometrem radia, przesuwając wskazówkę po całej oświetlonej tablicy: Andora, Bukareszt, Belgrad, Ateny, Istambuł, obcojęzyczne słowa i fragmenty piosenek ginące pośród pisków i trasków jak w szumie morskich fal zamkniętym w muszlach, głosy mówiące przez telefon z końca świata i pozostawiające na automatycznych sekretarkach informacje o morskich katastrofach, biedny Donald Fernandez, Manuel, to ja, dzwonię do ciebie z hotelu w Nairobi, Allison, to ja, duch z hotelu Mindanao, jestem w Nowym Jorku. Przyjechałem do mieszkania w Brukseli, otwieram drzwi po nerwowym poszukiwaniu kluczy we wszystkich kieszeniach i w zniszczonym

przedpokoju wita mnie, jak nieznośny, choć wierny pies, zapach kurzu, brudnej kuchni i zamkniętego domu. Wyjąłem ze skrzynki garść listów z banku i reklamówek. Odkryłem, niczym archeolog omiatający światłem latarki smutną kryptę, stary nieporządek, jaki zostawiłem tu przed dwoma tygodniami, odkrywam w nim teraz ślady życia innego człowieka, mnie samego, mojego najbliższego przodka, samotnego i autystycznego włóczykija, który nie zadał sobie trudu usunięcia pustej puszkę po piwie, opróżnienia popielniczki ani umycia filiżanki po ostatnim śniadaniu, która teraz ma stwardniałe ziemiste dno. Popatrz, jaki jesteś koszmarny, pewnie byś pomyślała, niedzielny dodatek do gazety rzucony przy nie posłanym łóżku, długa matowa szklanka z żółtawymi resztkami whisky, zapach skwaśniałego mleka i gumy w lodówce, tubka pasty, która została nie zamknięta i wylała się na umywalkę, niedbalstwo kogoś, kto mieszka sam i nie przyjmuje wizyt, nieprzyjemny wilgotny chłód w pokojach w ten wczesny poranek, niegościnnie, pochmurny, pierwszy nie nadający się do zamieszkania poranek po powrocie. Chciałoby się zatrzasnąć drzwi, niczego nie zabierając, i wyrzucić klucze do najbliższej kratki ściekowej, wykręcić twój numer w Nowym Jorku, obudzić cię o drugiej nad ranem i poprosić o pomoc. Poddaję się i nerwowo rzucam na kanapę, zrzucając na podłogę gazety sprzed miesiąca, i gapię się na deszcz i niskie szare niebo. Dzwoni telefon i żołądek, skatowany jedzeniem z samolotu i kawą na lotnisku, podchodzi mi do gardła, czy to ty dzwonisz? ale zanim sięgnąłem po słuchawkę, uruchomił się mechanizm automatycznej sekretarki. Wzywają mnie do pilnej pracy, słucham głosu dyrektorki biura i wstrzymuję oddech, nie poruszam się, jakbym się ukrywał. Wydaje się wściekła, żąda, żebym dał znak życia albo żebym podał jej adres klasztoru, w którym się ukryłem, nazywa mnie kochaneczkiem, co oznacza, że ma ochotę mnie udusić. Co za ulga! – odłożyła słuchawkę, zbieram się na odwagę i przewijam taśmę, gotów wysłuchać grózb i ostrzeżeń przed katastrofami, które już się dokonały podczas mojej nieobecności; głosy mówiące po angielsku, po francusku, po niemiecku, po hiszpańsku, do niedawna zwykle głosy, które nagle stały mi się obce albo odległe, dyrektorka biura przechodząca od rutynowej uprzejmości do nieufności, a potem złości, jakaś Niemka zaprasza mnie na kawę, a ja w ogóle jej nie pamiętam, ktoś proponuje mi podpisanie pokojowego manifestu w pięciu językach. Decyduję się rozpakować bagaż, choć jedyną rzeczą, którą robię, jest postawienie twojej fotografii na półce z książkami. Przynajmniej ty się nie zmieniłaś, uśmiechasz się w Central Parku, jakbyś siedziała na ławce w raju, w dżinsach i czerwonej bluzce z dekoltem, uśmiechasz się do mnie, a nie do kogoś, kto ci robi zdjęcie.

Nadal rozbrzmiewają głosy z sekretarki, ale już ich nie słucham. Choćby nawet ogłaszali potop. Niech ginie Samson ze wszystkimi Filistynami. Zaczynam wyjmować ubrania z walizki i na jednej z koszul czuję twój zapach. Czasem ją wkładałaś, wstając z łóżka, zapinałaś tylko jeden albo dwa guziki, nie przykrywała ci włosów łonowych, a kiedy nachylałaś się po coś, rozchyłała się na biuście, następne godne pogardy słowo, piersi twoje białe i pełne jako te winogrona, o których mówi *Pieśń nad Pieśniami, ten twój wzrost podobny jest palmie, a piersi twoje gronom*. Wydaje się niemożliwe, że mnie się to przytrafiło, siedzę oparty o poduszkę, a ty czytasz mi protestancką Biblię, którą don Mercurio zostawił w spadku Ramirowi Portreciście, a Ramiro twojemu ojcu, ten zaś tobie, nam obojgu, nie wiedząc o tym. Stoisz naga i wyprostowana przede mną, a ja czczę ciebie pięknymi i nieskromnymi hiszpańskimi słowami, które przekazał nam heretycki mnich z XVI wieku i których bez wątpienia słuchała kobieta zamurowana w Casa de las Torres, o *jak piękne są nogi twoje w trzewikach, o córko książęca! opasania biodr twoich są jako zawieszania, ręką dobrego rzemieślnika urobione, pępek twój jako czasza okrągła, która nie jest bez napoju; brzuch twój jest jako bróg pszenicy osadzany lilijami, obie piersi twoje są jako dwoje bliźniąt młodych sarniąt*. A teraz to wygnanie, bezlitosny powrót do tego, co najgorsze w moim życiu, do obojętnych słów i jałowych dni. Nie widzę cię od dziesięciu godzin i twoja nieobecność już wydaje mi się nie do zniesienia. *Wody wielkie nie mogłyby zagasić tej miłości ani rzeki*

zatopić, to mi przeczytałaś, boję się, jesteś po drugiej stronie wielkich wód Atlantyku i dzieli nas sześć godzin. Tropię twój zapach w moich ubraniach i na moim ciele i już niemal go nie wyczuwam, zadzwonię do ciebie, wykręcę twój numer i kabel na dnie morza albo satelita na orbicie udzieli mi natychmiastowego przywileju usłyszenia twojego głosu. Jeśli śpisz, obudzę cię, a jeśli nie możesz spać, bo nagle znalazłaś się sama w domu, będę ci szeptał na ucho tak jak wtedy, kiedy prosiłaś, żebym nie przestawał mówić. Siadam przy telefonie, jeszcze nie zatrzymała się taśma sekretarki i teraz rozbrzmiewa bardzo znajomy głos, z akcentem z Maginy. Przez kilka sekund nie mogę rozpoznać głosu matki, wahającego się, drżącego, bo boi się telefonów i automatycznych sekretarek. Straciłem pierwsze słowa wiadomości. Zatrzymuję kasetę i przewijam ją, serce bije mi szybciej, przewijam do początku, zapada cisza, a potem rozbrzmiewa sygnał. Matka zaczyna mówić bardzo dziwnym tonem, jakby z daleka, wymawia moje imię, przerywa, wzdycha, wokół mnie wszystko zastyga w bezruchu, słyszę szum przesuwającej się taśmy i słaby dźwięk silniczka. Natychmiast rozpoznaję ten rodzaj strachu, najbardziej pierwotny i w najczystszej postaci. Matka mówi, nie wiem kiedy, przed iloma dniami, że wczoraj moja babcia Leonor poczuła się bardzo źle, że zabrali ją do szpitala, że umarła i dzisiaj po południu będzie pogrzeb, szukali mnie i nie wiedzą, gdzie jestem.

DOPIERO TERAZ CIĘ ROZUMIEM, do tej chwili śmierć nigdy nie weszła w moje życie, nie porwała nikogo, kogo kochałem, była czymś abstrakcyjnym, co wydarzało się zawsze z dala ode mnie, na najbardziej nieokreślonych obrzeżach rzeczywistości. Nawet kiedy o mały włos nie straciłem życia tamtej listopadowej nocy na szosie, zamarłem, nic nie czułem, a kiedy później to wspominałem, odnosiłem wrażenie niespójności albo osamotnienia. Nie miałem wrażenia, że nagle coś nieodwołalnie utraciłem i dowiedziałem się o tym ze znacznym opóźnieniem, nie staram się określić daty i godziny i nie chcę się dowiedzieć, co wtedy robiłem i myślałem, w tej samej chwili, kiedy ona odwracała się do ściany, podkurczała nogi pod białą kołdrą opieki społecznej i przytulała się do poduszki, jakby przygotowywała się do snu. Matka była u jej boku i zdała sobie sprawę dopiero po chwili. Powiedziała, że spostrzegła krótki wstrząs, jakby dreszcz, jakby wzdrygnięcie się przy zapadaniu w sen, nic więcej, żadnego spazmu, żadnego jęku. Miała bardzo słabe serce, powiedzieli lekarze, zniszczone osiemdziesięcioma siedmioma latami bicia, pod koniec poruszała się bardzo powoli, delikatnie obcierając się o ściany jak niewidomy, upokorzona w swej godności przez nikczemne prześladowanie starości. Zakręciło jej się w głowie, kiedy wstawała od stołu po obiedzie, i lekarz, który do niej przyszedł, nakazał natychmiast zawieźć ją do szpitala. Nie bała się albo nie wyglądało na to, że się boi, po raz ostatni zeszła ze schodów, prowadzona pod rękę przez moją matkę, i patrzyła na wszystko, jakby się żegnała, ubrana w to samo ubranie, które wkładała na pogrzeby i śluby, powolna i nieporadna, ale nie zniedołężniała, z resztką swej dawnej urody, nie zmienionej na brodzie, policzkach i skórze, tak jeszcze białej i gładkiej na ramionach, z żółtawym odcieniem starej kości słoniowej na delikatnych i silnych dłoniach, które długo gładziły mnie po twarzy, kiedy widziałem ją po raz ostatni i żegnałem się z nią, myśląc, bez przekonania, że może nigdy więcej jej nie zobaczę; dlaczego wyjeżdżasz tak szybko, dopiero co przyjechałeś, już nas nie chcesz znać, na pewno już nie pamiętasz, jak byłeś mały i chciałeś, żebym ci czytała. Lubiała, kiedy siadałem obok niej na kanapie, i brała mnie za rękę, jakby chciała mi je ogrzać. Ależ ty jesteś milczący, powiedziała, na szczęście w tym nie jesteś podobny do dziadka, popatrz no, tyle zawsze gadał, a teraz tylko by spał, i jeszcze jęczy, że nie może zmrzyć oka. Szczypała go pod stołem, Manuelu, obudź się, nie pożegnasz się nawet z wnukiem. Upierała się, że wstanie i podejdzie do drzwi, a kiedy odjeżdżałem taksówką, widziałem, jak stała na rogu placu Świętego Wawrzyńca, z trochę rozczochranymi siwymi włosami, z czarną chustą na ramionach, z rękoma splecionymi na brzuchu, miała spuchnięte nogi, uśmiechała się, choć już prawie mnie nie widziała, miała jedno oko zasnutę kataraktą i nie chciała poddać się operacji, bo bała się, że całkiem oślepie. Jaka szkoda, mówiła, po co Bóg pozwolił nam dożyć tego wieku. Taksówka minęła zakręt przy Casa de las Torres i przez tylną szybę widziałem ich wszystkich zebranych przed drzwiami, jakby pozowali do smutnego zdjęcia, ona i dziadek Manuel opierali się o siebie, rodzice też się postarzel, wszyscy czworo jakby osiedli na mieliźnie, na brzegu czasu zatrzymanego przed wielu laty, z którego znowu uciekałem.

W szpitalu kilka razy pytała o mnie i matka powiedziała jej, że mnie poinformowała i że niebawem przyjadę do Maginy, ale ona nie uwierzyła. Nikt nigdy nie kłamał tak dobrze ani nie był wystarczająco przebiegły, by ją oszukać, nigdy nie wierzyła w żadne z tych szumnych słów, które tak lubił dziadek Manuel, ani nie zwracała uwagi na plotki, opowiadane przez

sąsiadki przy publicznej pralni albo w kolejkach do studni. Codziennie wspominała cichą dobroć swego ojca, dziecko, które zmarło na gorączkę, mając dziesięć miesięcy, deszczową noc, podczas której biegała pomiędzy pełnymi więźniów ciężarówkami o zapalonych reflektorach, które stały rzędem przy murze więzienia, trzęsąc się w rytm warkotu silników, i szukała dziadka Manuela, i inną noc, pierwszą noc wojny. Byli na placu generała Orduña, patrząc na przejeżdżające ciężarówkami z żołnierzami jadącymi do ratusza, a moja matka, wtedy sześćioletnia, puściła jej rękę i zgubiła się w tłumie. Posługiwała się swą inteligencją i ironią jako tajną bronią w walce przeciw bezmyślności i kłamstwu i zawsze wystarczyło, że spojrzała mi w oczy, i już wiedziała, czy mówię prawdę, i mogła odgadnąć moje myśli; jeszcze teraz kiedy kłamię, zdaje mi się, że słyszę jej głos ostrzegający mnie, że łatwiej złapać kłamcę niż kulawego. Zachowywała święte oburzenie i sentymentalną łatwowierność na seriach radiowych, a później latynoamerykańskich telenowel. Żli wyprowadzali ją z równowagi, zwłaszcza ci z wąsami albo z pieprzykiem, albo ci, którzy zaczesywali sobie włosy na brylantynę. Popatrz na niego, wygląda, jakby go cielę oblizało. Kręciła się niespokojnie na kanapie, bo słyszała głosy, ale nic nie widziała, wściekała się, wyzywała bohaterów od łotrów i zdrajców i matce ledwo udawało się ją uspokoić, zapewniała ją, że to wszystko kłamstwo, że biedna, niewinna dziewczyna wcale nie jest naprawdę w ciąży albo że kasjer niesłusznie oskarżony o defraudację nie pójdzie do więzienia, i że krew zamordowanych jest nieprawdziwa. Ale nie było sposobu, by ją przekonać. Ona, która w rzeczywistości nigdy nie dowierzała oczywistym dowodom, nie mogła zrozumieć, że to, co pojawia się w telewizji, czasem jest prawdą, a czasem nie. Wymyślała niesamowite porównania: ten ma oczy jak kwiat bobu albo twarz białego muła, albo Jana Dwudziestego Trzeciego, gębę rozdziawioną jak stare drzwi albo wielką jak rozdarcie w kocu, a kiedy złościła się na mnie, strofowała mnie, natrzęsając się – nie rób takiej miny, bo można ci zawiązać pysk sznurowadłem. Patrzę teraz na jej zdjęcia, te, które zapodziały się w moim domu, kiedy byłem dzieckiem, a które odnalazłem dzięki tobie i dzięki przypadkowi w kufrze Ramira Portrecisty. Zadzwoń do biura, poproszę o dwa tygodnie urlopu, podając jako przyczynę jakąś chorobę, i było mi obojętne, że ryzykuję utratę pracy. Odczuwam nie znany mi dotychczas spokój i mam poczucie, że nie ryzykuję niczym, że nie mam ani nie potrzebuję niczego, spokojnie oddaję się wspomnianiu ciebie, siedząc w samolocie, który niesie mnie do Hiszpanii, i odkładam na bok twoje zdjęcie z Central Parku, aby patrzeć na twarz, jakie miała babcia Leonor w dwóch chwilach, do których sprowadza się jej życie: dzień ślubu, poważna i młoda, niższa niż dziadek Manuel, wyzywająca w swej urodzie, z krótkimi włosami, szeroką twarzą i z koroną na głowie, na zdjęciu, które jeszcze nosi podpis don Otta Zennera; a potem w wieku czterdziestu kilku lat, ubrana w czarne ubranie, jakie nosiła już zawsze, i z włosami zebranych w kok, otoczona dziećmi z ogolonymi głowami, z krzywymi i kościstymi kolanami, w krótkich spodenkach, stoi w drzwiach domu na placu Świętego Wawrzyńca obok swego ojca, mojego pradziadka Pedra, który siedzi na schodach i być może wie, że zrobią mu zdjęcie, i pozwala się oszukać.

Przejeżdżam przez Madryt, nie widząc go. Jest słoneczne i zimne popołudnie pod koniec stycznia, pozwalam się nieść z lotniska na stację tak lekko, jakby nie było mi ciężko, jakby nie istniała ta chwila. Słucham w radiu wojennych wiadomości i pozbywam się ledwie przejranych gazet z uczuciem, że nie mam z tym nic wspólnego, ani z miastem, które roztacza się przed moimi oczyma, ani z zapowiedziami odjazdów i przyjazdów, ani z hałasem pociągów, ani z przenikliwymi głosami rozbrzmiewającymi dookoła mnie, podczas gdy czekam na swą kolejkę przy kasie. Co za akcent!, myślę, zawsze kiedy wracam. Jaki prowincjonalizm i brutalna opryskliwość! Nie zapuszczam korzeni w żadnym miejscu, nie czuję pod stopami twardości ziemi, wszystko jest ulotne i przesuwa się za oknami pociągu z szybkością przyprawiającą o zawrót głowy, tak jak prześlizgują się miejsca przeznaczenia i

rozkłady jazdy pociągów na elektronicznych wyświetlaczach. Patrę na zegarek, stwierdzam, że jeszcze mam czas, kupuję papierosy, wypijam kawę i zjadam kanapkę przy barze kawiarni. Natychmiast płacę, rzecz jasna, żebym później nie musiał biec. Wypalam papierosa za ledwie do połowy, nie kończę kawy i zostawiam prawie nie napoczętą kanapkę, niedokończone czyny, postanowienia, których nie dotrzymuję. Widzę telefon na karty i przychodzi mi do głowy, że do ciebie zadzwonię, teraz w Nowym Jorku jest jedenasta przed południem, twoje życie toczy się w kierunku zupełnie innym niż moje – wieczorem albo raczej o godzinie, która dla ciebie jest wieczorem, poszłaś po syna, a kiedy dwie godziny temu leciałem z Brukseli do Madrytu, prowadziłaś go za rękę do szkolnego autobusu, a teraz wróciłaś do domu, żeby jak najszybciej skończyć jakieś tłumaczenie, które miałaś oddać kilka dni wcześniej. Usiadłaś przy maszynie do pisania, zebrałaś włosy elastyczną opaską, żeby nie spadały ci na twarz, kiedy będziesz pisać z tą stanowczą szybkością, którą tak starannie skrywasz pod swą opieszałością. To niemożliwe, żebyś mnie wspominała, a jeśli nawet myślisz o mnie, obecna chwila rozdziela nas w dwóch odrębnych królestwach, bo nie wiesz, gdzie jestem. Nie mogę tego znieść, decyduję się zadzwonić, choćby po to, żeby usłyszeć twój głos na automatycznej sekretarce, ale zapowiadają odjazd mojego pociągu. Nie ma czasu, kiedy byłem z tobą, godziny rozciągały się w słodkiej powolności, nie zmęczonej przygnębieniem, a teraz umykają, rozsypują mi się, wloką mnie jak na rozpadającej się tratwie. Wchodzę do Talgo i rozkładam siedzenie, patrę przez szybę i widzę w niej swoją twarz, gdy przejeżdżamy przez tunel. Wprowadzany w letarg delikatnym i rytmicznym stukaniem kół, przypominam sobie bardzo dokładnie rysy i głos babci Leonor, tak jakbym osłuchiwał samego siebie. Szukam w sobie cierpienia z powodu jej śmierci i tak naprawdę nie potrafię go znaleźć, być może dlatego, że od lat, nie zdając sobie z tego sprawy, nie myślałem o niej jako o osobie rzeczywistej. Była cieniem z mego dzieciństwa, postacią niezmienną, którą zawsze znajdowałem w tym samym miejscu, w czarnym fartuchu i z rękoma złożonymi na stole z żarównikiem, drzemała, albo oglądała telewizję, zatrzymana w wiecznej starości, jakby zawsze była taka i żyła na brzegu kanapy, tak jak pomnik generała Orduñi pośrodku placu z zegarem, i nigdy nie miała młodości ani uczuć, ani pragnień takich jak ja.

Dopiero teraz mogę cię zrozumieć. Widzę twe oczy błyszczące od łez, kiedy opowiadałaś mi o ostatnich dniach spędzonych z ojcem, milkłaś i przełykałaś ślinę, a potem wycierałaś nos chusteczką higieniczną. Dopiero teraz rozumiem to, co mi powiedziałaś, że płacz nie jest oznaką bólu, ale pojednania i pociechy. Czuję, jak wzbiera w piersi, podchodzi do gardła i do oczu, coraz bardziej intensywnymi falami, udaję, że mam katar, i wycieram łzy, aby pokazać bilet konduktorowi. Nie chcę, żeby cokolwiek mnie rozpraszało ani odsuwało od niej teraz, kiedy wreszcie uświadomiłem sobie nie tylko jej obecność i śmierć, ale też całą moją wdzięczność i poczucie opuszczenia. Wyobrażam sobie, że jedziesz razem ze mną i gładzisz mnie po policzkach opuszkami palców, przy tobie nie wstydzę się płakać. Otwieram oczy i jest noc, odbicie mojej twarzy drży w szybie, już bardzo niedaleko do Maginy. Nie upłynęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, odkąd się z tobą pożegnałem, i minęły za ledwie dwa dni od śmierci babci Leonor. Być może chłód uchronił jej śliczną twarz przed zniszczeniem. Leży zimna w ciemności, z zamkniętymi oczyma i ściągniętymi, półotwartymi ustami. Odruchowo kręcę głową, nie chcę o tym myśleć, nie ma jej w trumnie ani w żadnym innym miejscu, jest w słodczy nicości i w mej wiernej pamięci, w szarości i sepii fotografii, w obrazach filmu wideo z chrzcin, który nakręcił jeden z mych licznych kuzynów; właśnie wyszła od fryzjera, dumna ze swych włosów i doskonałości dłoni, śpiewa cicho mojej siostrze, która siada u jej boku, którąś z tych bezwstydných karnawałowych piosenek lub tych śpiewanych w pralni za czasów jej młodości, *oj będzie, oj będzie, mąż w robocie, a ja z księdzem, brzuch przy brzuchu, a ministrant w ruchu*. Widzę w szybie, że się uśmiecham. Przypominam sobie jej uśmiech i przychodzi mi do głowy, niczym jakieś wielkie odkrycie, że nieporadna i niemal ślepa staruszka, w jaką w końcu zmieniła się babcia Leonor, nie jest sobą, że na pewno tak jak

ja i ty znała przyływy pożądania i upojenie rozkoszy i zaspokojenia; na ślubnym zdjęciu ona i dziadek Manuel byli piękniejsi i młodszy niż my. Cóż za kretyńska próżność każe nam czuć wyższość nad zmarłymi? Jaka żałoba nas czeka, kiedy zaczniemy się zmieniać tak jak oni? Gdy nie będziemy mogli dostrzec tego, co znajduje się przed naszymi oczyma, i staniami oko w oko z przyszłością, która będzie nam obca, i nie będziemy mogli zrobić ani kroku, bojąc się opuścić ten pędzący pociąg, kiedy nasza zwykła rzeczywistość rozplynie się nam w cieniach i wyrosną w niej nieprzekraczalne fosy i mury?

Uderza mnie w twarz zimny wiatr i zapowiedź odjazdu Talgo, który zatrzymuje się na stacji tylko na dwie albo trzy minuty. Jak w żadnym innym miejscu powietrze pachnie nocą i zimą, nocą i zimą w Maginie, cichą ziemią i dymem z wilgotnego drewna oliwkowego. Podoba mi się ten zapach, bo ty też byś go rozpoznała, gdybyś tu była. Pociąg oddala się pomiędzy błyskami czerwonych i zielonych świateł na końcach peronów i echo głośników zamiera w głębi gajów oliwnych. Ojciec wychodzi do mnie z oświetlonego holu; uśmiecha się na widok mojej zdziwionej twarzy. Kiedy zadzwoniłem z Madrytu, nie powiedział, że wyjdzie po mnie na stację. Ma na sobie kurtkę ze skórzanymi klapami i golf, który kilka lat temu należał do mnie i który podkreśla młodzieńczy wygląd jego twarzy. Siwe, mocne włosy przerzedziły się, już są gęste tylko na skroniach. Przytula mnie krótko i ceremonialnie, jak zawsze, teraz jednak przyciska mnie trochę mocniej, a odsuwając się ode mnie, wymawia imię babci i oczy zachodzą mu łzami. Nie znoszącym sprzeciwu gestem odbiera mi torbę, która zdaje się lżejsza w jego rękach, i mówi, że chyba schudłem; kto to może wiedzieć, jak ja żyję, jakie jedzenie mi dają za granicą. Schodzi przede mną po schodach i czeka na mnie z uśmiechem przed rzędem taksówek. Zdaję sobie sprawę, że przyjechał na stację, aby z dumą pokazać mi swą nową furgonetkę, nie jest też pewien, czyją zauważę, wszak od dziecka samochody były mi obojętne, tak samo jak gaje oliwne i zwierzęta. Ale nie kłamię, kiedy mówię, że wóz bardzo mi się podoba, ani nie udaję grzecznej uwagi, gdy opowiada, jak łatwo mu się go prowadzi, jaką ma ładowność, jak mocny jest silnik. Podoba mi się jego zadowolenie, gdy samochód zapala za pierwszym razem, gdy swobodnie i z wprawą skręca kierownicę, uważnie spogląda na światła, czekając na zielone, to, że pewnie i szybko skręca w prawo na drogę do Maginy, której światła widać w oddali, na wzgórzu. Kierowanie odmładza go, może dlatego, że nauczył się tego po pięćdziesiątce. Wnętrze furgonetki pachnie warzywami, wilgotnymi workami i pogniecionymi oliwkami. Wyprostowany i sztywny, ojciec śledzi białą linię na szosie i opowiada o śmierci babci Leonor. W ogóle nie cierpiała, wyglądała tak, jakby zasnęła. Na czuwanie przyszło tylu ludzi, że nie mieścili się w sieni i pokojach na parterze. Wyobrażam sobie to nabożne szeptanie podczas pogrzebów, które intrygowało mnie, gdy byłem dzieckiem; plac Świętego Wawrzyńca wypełniony ubranymi na czarno kobietami i mężczyznami, przejmująca cisza przerwana wybuchami płaczu, kiedy drzwi się otworzyły na oścież i wujkowie wynieśli trumnę na ramionach, powaga surowych twarzy podkreślona usztywnionymi kołnierzykami koszul, przymknięte okna w sąsiedztwie, powolne bicie dzwonów w kościele Świętej Marii. A ty tak daleko, mówi do mnie, w Ameryce. Zawsze mnie prosi, żebym mu opowiedział, jak wygląda moje życie i praca, a ja niemal nie potrafię mu odpowiedzieć, bo słowa, jakich musiałbym użyć, nie należą do jego języka ani do świata materialnych przedmiotów i niewzruszonych przekonań, w których on wzrósł i z których nigdy się nie wyswobodził. Przyjmuje do wiadomości, ale nie wierzy do końca, że w Nowym Jorku jest dzień, kiedy w Maginie już zapadła noc, albo że samolot z Brukseli do Madrytu leci dwie godziny. Kiedy byłem mały, mawiał, że na horyzoncie niebo jest podtrzymywane przez słupki podobne do tych, jakich używa się w inspektach melonów, i że południowy wiatr bierze początek w jaskiniach leżących w górach na krańcu ziemi. Nie rozumie mnie i już się do tego przyzwyczaił, choć strofuje mnie jak przed dwudziestu laty; dziwi go, że nie mam samochodu, że się nie ożeniłem, że noszę

pieniądze i dokumenty wymieszane ze sobą w kieszeniach, zamiast je schować, tak jak on, w portfelu, że nie kupiłem mieszkania, mimo lat pracy. Powtarzam z przyzwyczajenia, niemal z przyjemnością, te same odpowiedzi. Pałę, spoglądając przez szybę na czarne umykające rzędy drzew oliwkowych, słucham, jak mówi, że powinienem rzucić palenie, zainwestować pieniądze w Maginie w jakiś dobry dom albo gospodarstwo. Banki wysysają pieniądze, trwonią je, i w końcu człowiek nie ma nic. Mówi bardzo poważnie, starannie wymawiając zdania, na chwilę odwraca oczy od drogi i patrzy na mnie z boku, nie potrafi do końca uwierzyć w moje nieprawdopodobne szaleństwo, może nie jest pewien, czy przypadkiem się nie pomylił, kiedy zrezygnował z największych ambicji swego życia, żeby umożliwić mi studiowanie – jeszcze mielibyśmy ogród, zbudowalibyśmy oborę z jarzeniówkami, korytami z aluminium i elektrycznymi dojarkami. Dałbym mu dwóch albo trzech wnuków, jeździłbym land-roverem i traktorem, siadałbym naprzeciwko niego w lutowe deszczowe noce, żeby przeliczyć rachunki ze zbiorów oliwek, wyjechałbym z Maginy tylko w podróż poślubną, nie spotkałbym się z tobą.

Wjeżdżamy do miasta, które nigdy nie jest podobne do tego z mych wspomnień. Jest zbyt wiele wysokich budynków i oświetlonych wystaw sklepowych z ubraniami, akcesoriami łazienkowymi, samochodami. Traktorami i land-roverami załadowanymi oliwkami. Przy szpitalu Świętego Jakuba i na ulicy Nowej widać grupy młodych dziewczyn w ciemnych rajstopach i zimowych kurtkach. Z baru o neonowym szyldzie, który nie istniał, kiedy byłem tu ostatnio, do moich uszu dobiega ta sama muzyka, jaką słychać było w Nowym Jorku. Powoli przechadzają się małżeństwa, trzymając się pod rękę, stateczne pary chodzą po tej samej ulicy w taki sam sposób, kiedy byłem nastolatkiem, mężczyźni z uniesionymi brodami, w ciężkich płaszczach, kobiety ufarbowane na blond, z charakterystycznym spokojem małomiasteczkowej klasy średniej. Pary wyglądające na przedwcześnie dojrzałe, popychają dziecięce wózki. Wystawy oświetlają to wszystko intensywnym światłem, które wcześniej pojawiała się tylko podczas świątecznych nocy. Furgonetka ojca posuwa się bardzo powoli naprzód, ulica Mesones, plac generała Orduñi z żółtą tarczą zegara na wieży i mrocznymi podcieniami, gdzie nie ma już chłopów z rękoma w kieszeniach i papierosem w kąciku ust, spoglądających w niebo w oczekiwaniu końca deszczu albo suszy. Stoją za to rozgadane grupy młodzieży, która dopiero co weszła w anarchiczny okres dojrzewania, już tak odległy od mojego, bardziej beczelny i czystszy; nie urodzili się jeszcze, kiedy ja po raz pierwszy wyjechałem z miasta, teraz kupują torebki słonecznika i papierosy na sztuki w tych samych stoiskach w podcieniach i włóczą się po tych samych chodnikach, na których myśmy się nudzili i rozpaczali w żałosne niedzielne wieczory i fatalne frankistowskie Wielkie Piątki, kiedy nawet nie otwierano kin. Przytłoczeni nudą i dręczeni tchórzostwem, z poczuciem winy oglądaliśmy się za bardzo młodymi dziewczynami o bardzo umalowanych ustach, kobietami tak teraz nierozpoznawalnymi, mającymi mężów i dzieci, szerokie biodra, futra i trwałą ondulację.

Czuję, że wracam do Maginy po raz pierwszy, bo przyjechałem z miejsca, w którym nigdy nie byłem. Nie wracam od ucieczki ani żalu, tylko od ciebie, nie postrzegam miasta tylko przez pryzmat własnej pamięci, ale też twojej. Dziewczyna w spodniach z teksasu, w skórzanej kurtce i z długimi włosami, która zdaje się na kogoś czekać przy budce telefonicznej obok komisariatu, sprawia, że przypominam sobie, jaka wtedy byłaś. Widzę światło na balkonie, z którego zwiesza się flaga, i myślę o podkomisarzu Florencio Pérezie, bawiącym się swym przyciskiem do papieru w kształcie bazyliki z Montserrat i mówiącym do ciebie nieśmiało i czule w nocy, kiedy zatrzymali cię tajniacy. Furgonetka ojca przejeżdża przez Rastro, a potem przez ogrody Cava, ulice pustoszeją i stają się ciemniejsze, miasto jest coraz bardziej podobne do tego z mych wspomnień, Altozano, róg ulicy Pozo, pozamykane drzwi domów, plac Świętego Wawrzyńca skąpo oświetlony czerwonawą lampą. W miarę jak

się zbliżaliśmy, docierała do mnie świadomość śmierci babci Leonor. Furgonetka zatrzymuje się, ojciec gasi silnik i światła. Przez chwilę siedzę nieruchomo, patrzę na Casa de las Torres, roziskrzone nocne niebo nad dachami, pozamykane drzwi i ciemne okna, w żadnym innym miejscu noc nie jest tak nieprzenikniona, a cisza tak kryształowa. Ojciec otwiera tylne drzwi furgonetki i wyciąga moją torbę, a ja nadal siedzę, oszołomiony zmęczeniem dwudziestu czterech godzin podróży, niepewny miejsca, w którym się znajduję, ani czasu, w którym żyję, jakbym wspominał tę chwilę albo wyobrażał sobie jakąś noc z przyszłości i chciał powstrzymać bieg wydarzeń, tak samo jak zaciska się powieki, żeby zatrzymać sen.

Plac stał się znacznie mniejszy, od kiedy wycięli drzewa i zaczęli na nim parkować samochody. Teraz jest pokryty cementem, a nie udeptaną ziemią, znikły chodniki z kamiennymi krawężnikami. Patrzę na fasadę mego domu i wyczekuję uderzenia kołatki, ale ojciec nacisnął przycisk dzwonka. Zamilkliśmy i stoimy, nie patrząc na siebie, a z wewnątrz dobiega głos, który mówi, już idę. Słyszę lekkie kroki i szcęk zamka, widzę promyk światła pod drzwiami i matka bardzo młodym głosem pyta kto tam. Otwiera i początkowo nie odważam się jej przytulić, jest wymizerowana, oczy ma przygaszone i zaczerwienione za szklami okularów, w czarnym swetrze i spódnicy, które zdecydowanie ją postarzają, ma powolne ruchy i otepiały wyraz twarzy kogoś, kto był przy czyjejs śmierci. Zauważam, że ojciec też ją całuje i że mówią do siebie ze słodyczą, jakiej nigdy nie widziałem albo nie potrafiłem dostrzec. Głosy brzmią inaczej w sieni mego domu, szczególnie tej nocy, wydaje się, że przytłumia je nieobecność babci. Dziwią mnie kafelki, olejna farba na ścianach, małe obrazki kupione przypadkiem w jakimś sklepie z meblami, ale te zmiany zaszły bardzo dawno, a ja ich nie zauważałem. Zapomniałem o wilgotnych kamieniach w sieni i zapachu stajni tam, gdzie teraz jest kuchnia. Patrzę na sufit i po raz pierwszy od nie wiem ilu lat przypominam sobie kiście rodzynek i pęta kiełbas zwisające z belek powały. Jest tak, jakbym dopiero teraz zauważył, że matka niebawem skończy sześćdziesiąt jeden lat i że jej ufarbowane na czarno włosy mają białe odrosty, bo zawsze ją widziałem niezmiennie młodą, tylko dlatego, że nigdy na nią nie patrzyłem. Gdybyś wiedział, jak często cię wspominała, powiedziała łamiącym się głosem, jak bardzo żałowała, że cię więcej nie zobaczy. Dziadek Manuel siedzi na kanapie przed wyłączonym telewizorem, pogrążony w drzemce, sam, w swym granatowym szlafroku i szerokim czarnym berecie. Otwiera oczy, słysząc, że ktoś przyszedł. Pochylam się nad nim, żeby pocałować go w policzki, i nie jestem pewien, czy mnie rozpoznaje. Jego powolne niebieskie oczy zatrzymują się na mnie, wymawia moje imię, uśmiecha się lekko rozchylonymi ustami, ponownie spuszcza głowę na piersi, lecz nie zamyka oczu, a jego wielkie ciało przeszywa dreszcz. Chowa ręce pod obrusem żarownika, znowu na mnie spogląda i wydaje z siebie dziwny jęk, który brzmi jak zbyt wysoka nuta w jego ponurym dyszeniu. Już niemal nie kontroluje ciała, matka mówi do niego, żeby wstał z kanapy, że czas do łóżka, a on się kuli i czerwieni, zaciska z wysiłku usta, przytrzymuje się obiema rękami krawędzi stołu, ale znowu się zapada w skajowych poduszkach i zastyga z nieobecny wyrazem twarzy, w poczuciu krzywdy i osamotnienia. Podaję mu rękę i ciągnę go, jakbym chciał wydobyć z wody ciężki toból. Wspiera się na oparciu fotela i na gzymsie kominka, podaję mu rękę, która jest tak cienka w porównaniu z rozmiarami jego ciała, że boję się, że się złamie, kiedy wesprze się na niej całym ciężarem. Matka bierze go pod rękę i bardzo powoli przechodzą przez jadalnię i sień, zaczynają wchodzić po schodach, krok za krokiem. Słyszę później ich kroki w pokoju na górze, ciało ciężko opadające na materac, na którym jeszcze przed dwoma dniami sypiała babcia Leonor, ale najpierw szum wody w kranach, nie chcę o tym myśleć. Teraz go podmywa, wyjaśnia mi ojciec. Siedzi przede mną, swoje wielkie, popękane, ciemne dłonie złożył na stole. Już nie potrafi się powstrzymać, wstydzi się prosić, żeby zaprowadzić go do łazienki i rozpiąć rozporek albo spuścić spodnie, więc robi w majtki, matka zakłada mu takie pieluchy jak dla dzieci, tyle że ogromne, wyobraż

sobie, przepisuje je lekarz. Ojciec wzdycha ze spuszczoną głową, patrząc na ręce; na pewno myśli, że on też jest na to narażony, że ma sześćdziesiąt trzy lata i nieodwołalnie zbliża się do starości. Mówi mi, że bardzo mało śpi, że coraz więcej kosztuje go wstawanie o czwartej rano, żeby iść na rynek, że bardzo boli go kręgosłup i kolana. Ma trochę spuchniętą twarz, zaczerwienione policzki, gruczoły łzowe podrażnione zmęczeniem i bezsennością. Brakuje mu tylko dwóch lat do emerytury. Myślę o tym i nie chcę tego przyjąć do wiadomości. Wstaje i przeprosza, mówiąc, że musi się położyć, a ja mam ochotę podejść do niego i pocałować go, ale siedzę, mówię dobranoc, a kiedy patrzę na jego plecy, widzę, że jest silny i wyprostowany, zmęczony, ale nadal niezwykły, wydaje się znacznie młodszy niż którykolwiek mężczyzna w jego wieku.

Matka pościeliła mi łóżko w tym samym pokoju co zwykle, na ostatnim piętrze. Kiedy dowiedziała się, że przyjeżdżam, zostawiła w nim włączony grzejnik, żeby zmniejszyć chłód panujący w tym starym i tak dużym domu. Jest to wysokie łóżko z żelaznymi szczeblami, przekazującymi do rąk całe przejmujące zimno minionych zim, z dwoma wełnianymi materacami, które uginają się pod moim ciężarem, jakby połykał mnie sen, z owczą skórą rozciągniętą w nogach. Mimo grzejnika panuje przejmujące zimno, zapomniane, zimno zmrzające płytki i skłaniające do chowania głowy i ramion pod kołdrę i do niewyjmowania rąk. Zimno usztywnia czystą bawełnianą pościel i zmusza do bezruchu przez pierwsze minuty, leżę z podkurczonymi nogami i zmarzniętymi stopami, szczękając zębami. W tym pokoju, do którego nigdy nie wchodzi goście, nic się nie zmieniło przez ostatnich dwadzieścia lat: pobielone ściany, krokwie zgięte pod ciężarem dachu, wielka komoda o złożonych uchwytach, nad którą wisi fotografia rodziców dziadka Manuela, łysy mężczyzna, który wydaje się dojrzały, ale być może wygląda na takiego ze względu na swą korpulentność, i znacznie młodsza kobieta, z ustami i brodą identycznymi jak u mojego dziadka, w sukience z czarnym haftem na zapiętym pod szyją kołnierzu. Nazywała się tak samo jak moja matka, owdowiała cztery razy i miała osiemnaścioro dzieci, z których żyje tylko dziadek Manuel. Ma ten sam wygląd wyrażający zamyślenie i obojętność, i surową prostotę rzymskich profili, to samo połączenie tajemnicznej bliskości i całkowitego oddalenia. Gaszę światło i przynosi mi ulgę nieoglądanie jej, czuję pod prześcieradłem ciężar koców, kapy i owczej skóry, głębię zapadniętego materaca, powolność, z jaką ogarnia mnie ciepło i sen. Jestem tak zmęczony jak wtedy, gdy odsuwałem się od ciebie, ślizgając się po twym mokrym brzuchu, jak wtedy, kiedy miałem czternaście albo piętnaście lat i spałem w tym samym pokoju po długim dniu pracy w polu i zasypiałem zaraz po zgaszeniu światła. Wyobrażałem sobie wtedy to, co teraz wspominam: w ciemności, w ciszy i ciepłe białe i gorące kobiece ciało, stworzone z pożądania i snu, przytulała się do mnie, powodowana pragnieniem i doświadczeniem przesuwająca dłonią po moich pachwinach, miała włosy, usta, twarz i uda takie, jak chciałem, uczyła się ode mnie mądrości i tajemnic tej sztuki, tajemnych wylewów rozkoszy, po których później zostawały na prześcieradle żółte ślady winy. Teraz to ty jesteś tą kobietą, której pragnę i którą wymyślam, dryfując w słodką nieświadomość, jesteś ciałem wyobrażanym ze wszystkimi szczegółami tak jak wtedy, określam cechy, talenty, delikatności i zapachy, na które czekałem przez tyle lat i których bym nie zaznał, gdybym nie spotkał ciebie.

NIGDY NIE PRZESTAJĘ DO CIEBIE MÓWIĆ, opowiadam ci wszystko, w miarę jak się wydarza, w ciszy piszę do ciebie długi list, który rozplywa się niczym słowa wypowiedziane na głos lub tylko w myślach. Moje myśli są teraz rozmową z tobą. Zadzwoiłem do ciebie, wykręciłem numer międzynarodowego połączenia i słychać było w słuchawce szum, jakby odległego oceanu. Słyszając twój głos na automatycznej sekretarce, przypomniałem sobie, jak sądziłem, że jesteś blondynką, że nazywasz się Allison i że nigdy więcej cię nie zobaczę. Powiedziałem, że jestem w Maginie, i zostawiłem numer telefonu rodziców, a odkładając słuchawkę, zauważyłem, że serce bardzo mocno mi bije, tak jak wtedy, gdy całymi godzinami zbierałem się na odwagę, żeby zadzwonić do Mariny, i w końcu nie otrzymywałem w zamian za me bohaterstwo nic ponad grzeczną odmowę.

Spokojna śmierć babci Leonor pozostawiła w domu zmęczenie, przytłoczenie zrezygnowaniem i pustką, i półmrok, taki jak ten w kaplicach oświetlonych lampkami oliwnymi, gdzie niemal nikt się nie zatrzymuje, aby się pomodlić. Płonie ogień na kominku, dziadek drzemie z rękoma pod obrusem żarownika albo wpatruje się w ścianę z niezgłębionym wyrazem twarzy, a czasem, kiedy ma najbardziej napięte spojrzenie, oczy stają się szkliste i spływa mu po policzku łza, której długo nie ociera wierzchem szorstkiej dłoni. Mówimy po cichu i wszystkich nas podrywa dźwięk dzwonka u drzwi albo telefonu. Nie włącza się telewizora ani radia, na znak żałoby. O zmierzchu matka z ciotką, ubrane na czarno, odmawiają różaniec i kończą każdą tajemnicę litanią za babcią Leonor: Matko Boża Pocieszycielko przyjmij ją do siebie i zanieś do nieba. Żeby nie hałasować, poruszam się po domu z ostrożnością cienia, który się na mnie obraził, bo nie rozmawiam z nim, odkąd zacząłem w myślach rozmawiać z tobą. Godzinami siedzę przed kominkiem, zahipnotyzowany żółcią, purpurą i niebieskością płomieni, patrzę, jak wrą kuleczki żywicy na jeszcze wonnych nacięciach oliwnego drewna, wącham później z przyjemnością ubranie. Zapach dymu, zapach biedy, mawiała babcia. Czasem przychodzi ktoś z wizytą, żeby złożyć kondolencje, i przewijają się twarze przepełnione bólem, westchnienia, łzy, rytualne słowa smutku i pociechy, kobiety w grubych i obłych dłoniach trzymają staromodne czarne torebki, składane później na podółku, pozostają w zażyłości z kondolencjami i pogrzebami, będącymi być może w ich życiu, tak jak w życiu mojej matki, jedynymi okazjami do utrzymywania kontaktów towarzyskich. Była taka dobra, do końca miała taki trzeźwy umysł, ze wszystkiego zdawała sobie sprawę, serce jej nie wytrzymało, Bóg ją wziął do siebie. Kobiety w czerni siedzące z matką wokół stołu, dalekie krewne, o których zapomniałem, a one mówią, że pamiętają mnie, kiedy byłem mały, takie same słowa, jakich słucałem, nie rozumiejąc, trzydzieści lat wcześniej; konwentykiel dorosłych, ich tajemnicze zachowania, szpiegowane z jakiegoś zakątka z dziecięcą uwagą, w której było coś z niewidzialnej obecności. W innych czasach, kiedy ta jadalnia była ogromną kuchnią, mężczyźni zbierali się w burzowe poranki wokół ognia i na żarze piekli kawałki słoniny i świńskiego ucha, a dziadek Manuel, szef grupy, która z powodu deszczu nie mogła wyjść do pracy przy zbiorze oliwek, był wyższy od nich wszystkich i miał najbardziej donośny głos. Zapadała cisza i słycać było tylko świst wiatru, uderzanie kropel deszczu o szyby i strzelanie ognia, kiedy zaczynał opowiadać o bohaterskim poświęceniu całego batalionu Gwardii Szturmowej, który poległ w ogniu karabinów maszynowych wroga w miejscu położonym bardzo blisko Madrytu, a zwanym

Przepiórczym Wzgórzem, albo o słowach, jakie major Galaz wypowiedział do alkada, stanąwszy przed nim na baczność na schodach ratusza: „Garnizon z Maginy jest i pozostanie wiemy Republice”.

Przytłacza mnie cisza, tak pozbawiona głosów jak czysta kartka papieru, z której wymazano słowa, jakie miały być trwale na niej zapisane. Przewyciężam strach przed tym, że do mnie zadzwonisz, kiedy nie będzie mnie w domu, i wychodzę na ulicę, na pusty plac, przy którym już prawie nikt nie mieszka, tak smutny w szare poranki, odkąd wycięli drzewa. Idę ulicą Pozo i niektóre stojące w drzwiach sąsiadki rozpoznają mnie i składają kondolencje. Przechodzę przez punkty widokowe od ogrodów Cava do kościoła Zbawiciela i wpatruję się w błyszczącą zieleń i delikatne szarości, i błękity mgły w dolinie Gwadalkiwiru, wysoki zarys Sierra de Mágina, zamazany deszczem, białe ścieżki pomiędzy ogrodami prowadzące w kierunku gajów oliwnych i rzeki, kolumny dymu. W ogrodach Cava, wokół pomnika chorążego Rojasa Navarrete patrzącego na północ, tak jak generał Orduña patrzy na południe, krzewy róż i mirtów, pomiędzy którymi w niedzielę przed dwudziestoma pięcioma laty przechadzały się pary narzeczonych, zostały zniszczone, a gdy się przechodzi, chrzęści pod nogami szkło potłuczonych butelek po piwie i zmiażdżone jednorazowe strzykawki. Porośnięta bluszczem aż do krzyża na szczycie dzwonnica kościoła Świętego Wawrzyńca nadal stoi, ale zbiornik wody przy murze, tuż obok bramy granadyjskiej, został zanieczyszczony butelkami i puszkami, i plastikowymi opakowaniami, a z trzech rurek, przez które zawsze płynęła przejrzysta i słonawa woda, tylko jedna nie została zatkana, a i z niej sączy się bardzo słaby strumyk ginący pośród mchu i glonów. Tutaj przychodziły prac rozczochrane i krzykliwe kobiety z przedmieścia zwanego Casillas de Cotrina, a kiedy wracałem z ogrodu, podniecało mnie patrzeć z wysokości grzbietu klaczy na ich dekolty i drżące białe piersi; opowiadano mi, że tutaj po wojnie przychodzili Maurzy Franco, żeby prac swe ubrania, a o zmierzchu rozkładali koce na brudnym od gnoju bruku i klękali, aby modlić się do swego boga, o tej samej godzinie, kiedy rozbrzmiewały dzwony Świętej Marii i trąbka na modlitwę w koszarach. Z Casillas de Cotrina zostały tylko ruiny, powybijane okna, trzciniowe dachy zawalone na stare meble i dowody złudnego dobrobytu: ogromny kineskop telewizora, plastikowa miska z niebieskimi plamami. Nie ma już bruku, tylko kałuże i koleiny pełne błota, w którym odcisnęły się ślady opon traktorów. W pochmurny i wilgotny poranek, pod koniec stycznia, zatrzymuję się przy ostatnich domach Maginy, gdzie o zmierzchu zapalą się mętne żarówki nie oświetlające drogi dla nikogo. Droga wzdłuż punktów widokowych przytula się tu do muru i zatacza łuk w kierunku wschodnim, dominujący nad całą doliną i odległymi górami – ponad nasypami i ogrodami, Mágina zdaje się zbudowana na krawędzi urwiska, na którego zachodnim krańcu wznoszą się mury koszar, skąd wiatr południowy przynosi rozproszone i przenikliwe dźwięki trąbek i bębnow.

Nie odnoszę wrażenia, jakbym wspominał, ale patrzył. Spojrzenie ogarnia stąd pofalowane i niezmierzone przestrzenie czasu aż poza niebieskie kontury, które przed dwudziestu laty ograniczały przyszłość i kształt świata. Schodzę ścieżkami w dół, pomiędzy zawalonymi murami ogrodów, i nie potrafię odróżnić szczęścia, bólu ani uczuć tego, kim jestem w tej chwili, od uczuć należących do tego, kim byłem podczas mej ostatniej zimy w Maginie. Może wspominając tego siedemnastoletniego chłopaka, który jest mi w znacznej mierze obcy, wymyślam go w taki sam sposób, jak wtedy wymyślałem mnie obecnego; jednak jego wyobraźnia nie dotarła tak daleko, nie potrafił sięgnąć poza trzydziesty rok życia, nie mógł się na to odważyć. Jednak jestem teraz obcym, w którego on chciał się zmienić, i intryguje mnie myśl, że może kogoś raz wymyślił powrót podobny do tego i że w jakiś sposób posiadał mnie, bo to przewidział, tak samo jak pradziadek Pedro bał się, że skradną mu duszę, jeśli pozwoli sobie zrobić zdjęcie. Przewidział w wieku siedemnastu lat, że się zmieni, a kiedy wróci, wszystko będzie takie samo – teraz rozumiem, że się pomylił. Nie jestem już tym, kim

byłem, i dlatego mogę mówić w trzeciej osobie, ale choć jestem inny, zmieniłem się w mniejszym stopniu – na szczęście albo ku własnej rozpaczy – niż zewnętrzna rzeczywistość. Niemal wszystkie ogrody zostały opuszczone; nie jestem jedynym z mego pokolenia, który porzucił ziemię. Mury się zawaliły i zielsko zarasta kanały nawadniające. Na zboczach i w dolinie panuje cisza, jakby przykrył je szklany klosz, pod którym rozchodzą się najdalsze i najsłabsze dźwięki: chłupot wody w studni, szum wiatru w nadrzecznych trzcinach, ćwierkanie ptaka albo głuche uderzenie kija o gałąź drzewa oliwnego. Cisza, tak jak czyste i zimne powietrze, wyostrza moje zmysły, ale też przytłacza mnie i napawa strachem, bo nie jestem do niej przyzwyczajony. Widzę, słyszę i czuję zapachy z bardzo daleka. Pod nogami mam błoto, czuję zapach złocistych pędów, które zniszczyła wilgoć w leżącej odłogiem ziemi, mokra trawa, przesiąknięte wodą liście pośród ciemnych grud ziemi, kora granatowców i figowców, glony w zbiornikach wody, ciepło nawozu i oddechów zwierząt w stajni. Widzę róż u dołu łodyg szpinaku, wilgotną i olśniewającą biel kalafiorów zamkniętą w szerokich liściach, fiolet soku z oliwek, plamiący dłonie, i jego zapach, zmieszany z zapachem boczką pieczonego na ognisku, i jutowych worków, i sznurów z ostnicy.

Opowiadam ci o innym świecie, w którym cechy przedmiotów były zawsze tak niewątpliwe jak kształty figur geometrycznych wyrysowanych w szkolnych podręcznikach. Nie mogę jednak nie zdawać sobie sprawy, że bez ucieczki nie istniałaby słodycz powrotu ani że docenianie jest możliwe tylko po zdradzie. Po jednej stronie drogi znajduje się ogród ojca. Z daleka wszystko wyglądało tak samo: chatka, zadaszenie z eternitu, topola, do której z taką czułością wuj Rafael przywiązywał tego osła, którego zabił piorun. Ale znikły ścieżki i rowy nawadniające, zapadł się dach chatki, nie widać wody w zbiorniku pod sitowiem i zielskiem, które teraz wszystko pokrywa. Jedyną rzeczą, którą rozpoznaję z tamtych czasów, są litery wryte na betonowej ścianie: F. M. V. 1966. Przypominam sobie inicjały zostawiane przez rozbitków na korze drzew bezludnej wyspy, do której po wielu latach przybija jakiś statek, ale już nikogo nie zastaje. Przypominam sobie wujka Pepe, wuja Rafaela i porucznika Chamorro ścinających sałaty w pewien grudniowy poranek i układających je ciasno w worku, który trzymałem poczerwieniałymi z zimna rękoma. Sękatę rękę, zapadnięte policzki i orli nos wuja Rafaela miały w zimie fioletowy odcień. Wujek Pepe zrobił sobie nieprzemakalny płaszcz z plastikowych worków ze znakiem czarnego jeźdźca chilijskiej firmy i spacerował dumnie w deszczu, wyrażając swój podziw dla tej lekkiej i nieprzemakalnej materii, którą nazywał *presislase*m. W chatce, przy ogniu, kiedy padało tak bardzo, że trzeba było przerwać pracę, wujek Pepe, entuzjastyczny zwolennik postępu, skręcał papierosy za pomocą maszyny wyposażonej w wałek i niewielką korbkę i mówił nam, że kiedyś wszystkie obowiązki kosztujące nas tyle wysiłku będą wykonywane przez maszyny. Wujek Rafael spoglądał na urządzenie do skręcania papierosów, jakby na dowód tego, że przepowiednie brata nie są pozbawione sensu, a porucznik Chamorro, który był już zmęczony strofowaniem ich z powodu żalostnego nałogu palenia tytoniu, mówił poważnie i sceptycznie, że nawet kiedy zostaną na świecie same maszyny, nadal jeszcze będą istnieli wykorzystujący i wykorzystywani. Teraz chatka ma pomalowane na zielono drzwi zamknięte na łańcuch z kłódką, jakby w środku pozostało coś więcej niż ruina. Pewnego dnia, podczas ferii Bożego Narodzenia, na krótko przed moimi jedenastymi urodzinami, czekaliśmy, aż ojciec wróci z rynku i przyniesie jedzenie, spóźnił się tak bardzo, że z głodu trzęsły mi się nogi. Na pewno coś mu się stało, mówił wujek Rafael, patrząc na drogę, którą nie nadchodził ojciec. Wujek Pepe, którego spokój ducha nigdy nie został zachwiany przez żadną przeciwność losu, nawet przez wojnę, stwierdził, że ojciec zabawił trochę dłużej w mieście, wypijając kilka kieliszków z okazji świąt. Usłyszeliśmy jednak, że wybiła trzecia po południu, a ojca nadal nie było. Oszołomiony głodem, patrzyłem na drogę i czułem, jak narasta we mnie strach przed nieszczęściami, jaki rodzice na zawsze mi zaszczepili: ojciec się zabił, dostał bólu kręgosłupa,

już więcej go nie zobaczę. Opowiadali, że w dawniejszych czasach coś takiego przydarzało się wielu ludziom: wychodzili rano do pracy i już nie wracali albo słyszeli walenie do drzwi w środku nocy, schodzili boso i przytrzymując spodnie w pasie, i nie pozwalano im nawet wrócić, żeby mogli włożyć buty. Wyglądając przez drzwi chatki, widziałem ojca w każdym ogrodniku, który schodził od strony Maginy. Być może był to dzień bardzo podobny do tego, pochmurny i mokry, z podmuchami południowego wiatru i zapachem świeżej trawy i przemokniętej kory. Siedzę w kącie chatki, gdzie są wyryte inicjały ojca (on ją odbudował, oczyścił zbiornik wody z mułu i glonów, na nowo wykopał rowy nawadniające i kazał zrobić wiatę z eternitu, która z biegiem lat miała się zmienić w wielką nowoczesną oborę, i wydaje mi się, że w końcu widzę ojca na samej górze drogi, prawie mdleję z radości i głodu. Już idzie, mówię pozostałym, i wybiegam mu naprzeciw po błotnistym zboczach, lecz zbliżając się do niego, zauważam z przerażeniem, że musiało mu się stać coś, czego nie potrafię zrozumieć. Nie ma na sobie roboczego ubrania, ale to, które wkłada, idąc do miasta. Czarne buty i nogawki spodni są ubłocone. Nie idzie wyprostowany, jak zawsze, ani prosto przed siebie, potyka się, wspiera się na mnie, żeby nie upaść, i mówi do mnie dziwnym głosem. Płacze mu się język, jest bardzo czerwony. Nie rozpoznaję też jego spojrzenia. Płaszcz wisi mu na ramionach, oddech śmierdzi kwaśnym winem i anyżówką, ma przekrzywiony beret, a w ustach zaślinionego i zgaszonego papierosa; nie znam go, boję się go i jeszcze nie wiem, że to, co czuję, to litość. Odsuwam się od niego, uciekam, wpadam na wujka Pepe, nienawidzę go, bo wybuchnął śmiechem, kiedy zobaczył ojca. Bratanku, aleś się urządził. Nie mogę znieść ucisku w piersiach, biegnę drogą w dół, chowam się za figowcem i patrzę w stronę chatki. Wujek Pepe przytrzymuje ojca, wujek Rafael i porucznik Chamorro spoglądają na niego, stojąc w drzwiach. Nie mogę zapanować nad uczuciem wstydu i litości, mój ojciec nie może być tym mężczyzną, który potyka się i bełkocze jak ci pijacy wychodzący z barów Maginy i zataczający się na ulicach. Nie chcę go widzieć, ale nie mogę odwrócić wzroku i patrzę na niego przez łyżę. Jego szary płaszcz spadł na ziemię i porucznik Chamorro podnosi go, otrzepuje z błota i nawozu, płaszcz, w którym chodzi na rynek i na pogrzeby. Ojciec schyla się, jakby męczył go ból. Nie ma już beretu, opiera się o pień topoli, wydaje mi się, że się przewróci, i chciałbym podbiec, aby go podtrzymać, ale nie upada. Teraz nie widzę jego twarzy, chcę do niego podejść albo zamknąć oczy, ale nie poruszam się, ukryty za bezlistnymi gałęziami figowca. Białozółta substancja wypływa mu z otwartych ust, pochyla się bardziej, żeby nie pobrudzić butów, wujek Pepe trzyma go za ramiona, a porucznik Chamorro wyciera mu twarz. Wołają mnie, ale nie wychodzę, ukrywam się w najdalszym zakątku ogrodu. Zaczęło mocno padać i słyszę z daleka, że wykrzykują moje imię. Wspinam się po zabłoconych ścieżkach, ślizgając się, szcękając zębami. Z komina chatki unosi się biały dym. Porucznik Chamorro przywołuje mnie od drzwi chatki jak nieufne zwierzę, a ja nie chcę się zbliżyć. Chodź, mówi, ojciec już lepiej się czuje, to nic takiego, zaszkodziło mu coś, co zjadł. Ale po sposobie, w jaki mnie obejmuje i przesuwając dłoń po moich mokrych włosach, widzę, że wie, iż nie uwierzyłem w jego kłamstwo. Prowadzi mnie do ciemnego i ciepłego wnętrza wypełnionego dymem. Ojciec, oświetlony ogniem, siedzi na wiklinowym krześle, z głową opartą o ścianę. Jest rozczochrany, bardzo blady, pomimo czerwonego blasku płomieni, przywołuje mnie gestem, a ja instynktownie się odsuwam. Czuję, że porucznik Chamorro delikatnie mnie popycha. Płoną mi policzki i mam ściśnięte gardło, które rozluźni się dopiero tej nocy, kiedy ukryję twarz w poduszce i będę płakał przez kilka godzin. Nie martw się, powiedział, już mi przeszło, całuje mnie, a jego oddech śmierdzi bimbrem i papierosami.

Jest tak, jakby to wspomnienie czekało na mnie przez te wszystkie lata, tak jak inicjały wyryte w betonie i smutny pejzaż ogrodu, w którym nie został już żaden ślad pracy ani marzeń mojego ojca. Zaczynam iść w kierunku miasta, przyspieszam kroku ze strachu przed

deszczem. Zimny wiatr wieje mi w twarz, ale przewyciężam pokusę odwrócenia się. Idę coraz szybciej, jak wtedy, gdy w niedzielne popołudnia spieszyłem się do domu, żeby szybko się ochłapać, włożyć czyste ubranie i wyruszyć na poszukiwanie przyjaciół albo Mariny, i przejść obok ciebie, nie zwracając na ciebie uwagi. Przez kamienny murek na punkcie widokowym przy kościele Zbawiciela jakaś para wychyla się, patrząc w stronę zbocza pokrytego ogrodami i na gaje oliwne w dolinie. Chociaż nie mają aparatów fotograficznych, od razu widać, że są obcy. Nagle przychodzi mi do głowy, że pejzaż, który widzą, jest nieprawdziwy, bo nie wiedzą, w jakim stopniu został ukształtowany pracą i uporem ludzi; patrzą na szarości i ochry, przytłumione mgłą i morskim błękitem, jakby patrzyli na obraz, nie dostrzegając oznak wysiłku i cierpliwości ani żyzności ziemi. Przez okno domu przy placu Świętej Marii przygląda mi się jakaś kobieta i podejrzewam, że bierze mnie za jednego z przyjezdnych, którzy mieszkają w hotelu i fotografują kościoły.

Czas wracać do domu. Może właśnie masz zamiar do mnie zadzwonić i jeśli spóźnię się kilka minut, nie będę mógł z tobą rozmawiać. Idę przez plac Poległych, gdzie wycięto akacje i ustawiono latarnie z kloszami z białego plastiku, przechodzę przez zaułek Świętej Klary, gdzie stoi dom, w którym przez wiele lat mieszkał Feliks, wchodzę na plac Świętego Piotra, z którego głównej fontanny nie wypływa już strumień wody, wcześniej wylewający się z kamiennej niszy. W zaułku, w którym znajdowało się kino Principal, muszę przylgnąć do muru, żeby nie rozjechały mnie samochody. Skądś dobiega mnie dzwonek telefonu i serce podchodzi mi do gardła. Zadzwonisz do mnie, jestem tego pewien, zapytasz o mnie i odłożysz słuchawkę dokładnie w chwili, kiedy minę narożnik placu Świętego Wawrzyńca. Zatrzymuję się przed drzwiami domu, długo nie otwierają, słyszę lekkie kroki matki, która mówi, już otwieram. Przypominam sobie, że kiedy byłem dzieckiem przy wchodzeniu do domu mówiło się – pochwalona niech będzie Najświętsza Panienska, a ze środka odpowiadano: niepokalanie poczęta. Wtedy zamykano drzwi dopiero o zmroku. Wchodzi i zamknij drzwi, mówiła babka, żeby nie wlaź nam tu jakiś głupek, widziała któregoś z miejscowych głupków schowanego w ciemnej bramie i pytała mnie, dlaczego głupki zawsze po zmroku chowają się w bramach? Matka otwiera drzwi, natychmiast zauważa błoto na nogawkach i butach i pyta, gdzie byłem. Dotyka mojego zimnego policzka. Nie ubrałeś się ciepło, usiądź przy ogniu. Więc nie zadzwoniłaś, gdybyś to zrobiła, matka od razu by mi o tym powiedziała. Z żalem i nadzieją patrzę na telefon, wchodzę do jadalni. Dziadek Manuel siedzi w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiłem, wychodząc, nieruchomy na kanapie, w berecie zsuniętym na czoło, z opuszczonymi ramionami, obojętny na światło dnia i upływ czasu. Uśmiecha się, widząc mnie, jakby budził się ze snu, i może mnie nie rozpoznaje albo myli z kimś innym, z którymś z moich wujków, ze mną sprzed dwudziestu lat. Matka mówi do mnie niemal ze smutkiem, żebym usiadł przy żarowniku i zarzucił obrus na kolana, żebym się nie przeziębził. Zauważam, że nie wie, jak mnie traktować. Obserwuje mnie, wyczekując najmniejszego ruchu, aby natychmiast odgadnąć moje pragnienia, czy jestem głodny, czy chcę szklankę ciepłego mleka, czy chcę, żeby rozdmuchała ogień, czy smakowało mi jedzenie. Robię ruch, jakbym chciał wstać, i natychmiast pyta, czy wychodzę. Proszę, żeby usiadła przy mnie na chwilę i opowiedziała mi o ostatnich godzinach babci. Nie potrafi bez niej żyć, nie może przyzwyczaić się do jej nieobecności. Kiedy jest w kuchni, wydaje się jej, że słyszy jej głos na piętrze, odgłos kroków. Wzięła mnie za rękę, mówi, przez cały czas w karetce trzymała moją dłoń i nie chciała puścić, gdy przyjechalśmy do szpitala. Córko, powiedziała na chwilę przed tym, nim odwróciła się do ściany, nawet nie wiesz, jak bardzo mnie boli, że zostawiam cię samą, tak bardzo cię kocham. Nie miała twarzy nieboszczki, mówi matka z melancholijną dumą, nie zrobiła się fioletowa ani nie wykrzywiła się jej twarz, wyglądała, jakby zasnęła. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak często cię wspominała. Mówiła, ależ daleko musi teraz być mój wnuk, tak lubi podróżować, a jako dziecko był takim tchórzem, w ogóle nie wychodził za próg,

nawet gdy poszliśmy za róg, musiałam go prowadzić za rękę, a jak długo nie nauczył się mówić, a teraz zobacz, zna wszystkie zagraniczne słowa. Dziadek Manuel powoli otwiera bezrzesę oczy z ociężałością pomarszczonego przedpotopowego zwierzęcia. Może wie, o czym rozmawiamy, może nie stracił świadomości i pamięci, a tylko się ukrywa, żeby nikt nie odkrył jego upokarzającej samotności i wstydu, że nie panuje nad swoim ciałem. Patrzy na nas z otwartymi ustami i jego głos, który był tak donośny, teraz jest zaledwie jękiem. Wymawia jedno czy dwa słowa, może imię babci, krzywi się i zalewa łzami, ma wyraz twarzy trudny do zniesienia dla patrzącego, jak cierpiące dziecko. Przy obiedzie matka zawiązuje mu pod szyją serwetę, bo trzęsą mu się ręce i wszystko wylewa, wtedy wydaje się ogromnym głupkiem, a ja odwracam wzrok, żeby przynajmniej nie urażała go moja litość. Nic nie jesz, mówi ojciec, za granicą zniszczyli ci żołądek, ciągle tylko palisz.

W ciszy, jaka może panować w klasztorze albo w studni, dzwoni telefon. Jestem tak zamyślony z powodu braku głosów i wrażenia oddalenia, że z trudem dociera do mnie, że to możesz dzwonić ty. Do ciebie, mówi ojciec. Nie pamiętałem twego głosu, zaczynałem zapominać, jaką przyjemnością jest słuchanie go, wymawiam twoje imię i brzmi dziwnie, Nadia, powtarzam, żeby mieć pewność, że odnosi się do ciebie. Nadia, słyszę cię tak blisko, tak wyraźnie, że przez ułamek sekundy wyobrażam sobie, że nie jesteś w Nowym Jorku, ale tuż obok, w Maginie, że właśnie przyjechałaś na dworzec autobusowy i dzwonisz z budki telefonicznej. Z mieszaniną nieuzasadnionego entuzjazmu i niedowierzania słucham cię i nie mogę uwierzyć, że mówisz do mnie, ale to ty, nie ma wątpliwości, a nawet gdybym nie rozpoznałbym tembru twego głosu, zdradziłby cię madrycki akcent z lekkimi naleciałościami angielskiego, twój ironiczny spokój i bezczelność. W Nowym Jorku jest południe i nieustannie pada śnieg. Wyobrażam sobie, jak siedzisz przy telefonie, plecami do okna, twoje rudawe włosy rozsypują się, okalając twarz, i opadają na ramiona. Pytam, co masz na sobie, lekko się podniecam, twój głos rozbudza przytłumione pożądanie, czarne spodnie, ściągnięte w kostkach, jedną z zapomnianych przez ciebie koszul, tak się starannie pakowałeś, a i tak połowa rzeczy tu została. Śmiejesz się ze mnie, przestajesz mówić i nagle wyobrażam sobie, że spoważniałaś, bo masz mi coś do powiedzenia i musisz dobrze przemyśleć każde słowo, tak jak wtedy, gdy wymieniasz ważne szczegóły jakiegoś wspomnienia. Popadam w desperację, słysząc cię tak blisko i wiedząc, że jesteś na drugim końcu świata. Nic nie mówisz. Boję się, że przerwało połączenie. Jesteś tam jeszcze, pytam. Tak, ale już niedługo, jeśli będziesz chciał, żebyśmy wyjechała. Oto co mi odpowiedziałaś, choć nie jestem tego tak do końca pewien. Słowa brzmią z lekkim pogłosem, a ty je wymawiasz, jakbyś trochę się bała, że gdy je wypowiesz, stracą znaczenie, jakbyś zasięgała mojej opinii o czymś nieistotnym. Pomyślałam sobie, że mogłabym na kilka miesięcy przyjąć pracę, którą zaproponowano mi w Madrycie. Mojemu synowi dobrze by zrobiło pomieszkać trochę w Hiszpanii, ja też zmęczyłam się Nowym Jorkiem i Ameryką, co o tym myślisz. Ta sama nieśmiałość paraliżuje nas oboje, odległych od siebie o sześć tysięcy kilometrów, tchórzliwa obawa każdego z nas co do uczuć drugiego po upływie kilku dni. Mówię, mimowolnie naśladowując twój obojętny ton, że też myślałem, żeby tymczasowo zamieszkać w Madrycie. W przypływie pożądania przypominam sobie zapach twej skóry, błysk oczu i smak twoich ust, twoje nogi w obcisłych czarnych spodniach i bose stopy. Bezwstydnie proszę cię, żebyś przyjechała, nie za miesiąc czy tydzień, ale już jutro, w tej chwili, niech zabrmi dzwonek u drzwi, a ja wyjdę otworzyć i zobaczę cię, jakby wbrew wszystkiemu, tak jak wtedy, gdy podniosłem oczy w kawiarni hotelu w Nowym Jorku i zobaczyłem, że stoisz w progu, szukasz mnie, z tym spokojnym uśmiechem, jakbyś nigdy nie wątpiła w to, że zdążysz na czas, ani w to, co się nam przydarzy.

PRZELICZAM GODZINY I DNI, czekając na ciebie. Przyzwyczajam się do opieszałości czasu, który wydaje się stać w miejscu, a mimo to płynie w kierunku twego przyjazdu z taką samą szybkością, z jaką od południa przesuwają się cienie dachów na chodnikach placu Świętego Wawrzyńca, i nikt nie dostrzega tego rytmu, tak jak i gęstniejącego półmroku w pomieszczeniach domu. Matka i ciotka w żałobnych ubraniach odmawiają różaniec i jeszcze nie zapalają światła. Słysząc warkot silników land-roverów i wypełnionych oliwkami furgonetek wracających z pola. W chłodne wieczory spowite fioletową mgłą, kiedy niebo pozostaje gładkie i błękitne ponad wieżami, a na ulicach już jest noc; w końcu przechodzi kilku zbieraczy oliwek, którzy wracają do miasta pieszo, jakiś mężczyzna ciągnący na postronku wyładowanego workami i pękami kijów muła, ale takich jest już bardzo niewiele. Już nie słychać na bruku kroków grup zbieraczy, drewnianych kół ani stukotu zwierzęcych kopyt, nie słychać też głosów dziewczynek śpiewających romance i grających w klasy ani dziecięcych przyspiewek, *ależ boję się tu przechodzić, bo mumia może na mnie czekać*, stada krów nie idą do poidła i nie ma też nikogo, kto by im śpiewał, *Hej, kej, skacz na czarne i na kolorowe, na białe nie, bo białe jest morowe*. Znienacka zaczynają bić dzwony kościołów, a pośród ich czystych i odległych dźwięków wyróżniają się niższe uderzenia zegara z placu generała Orduñi, który teraz *nazywa* się placem Andaluzijskim, mimo że pomnik stoi na swoim miejscu, tak samo jak wózki ze słonecznikami i papierosami sprzedawanymi na sztuki w podcieniach, i zegar na wieży, i rząd taksówek, i komisariat z flagą zwieszającą się z balkonu, z którego nie wychyla się już podkomisarz Florencio Pérez. Jak mi powiedziano, zmarł zeszłego grudnia, został pożegnany artykułem Lorencita Quesady w „Singladurze”, zajmującym całą stronę i wyjaśniającym z szesnastoletnim opóźnieniem, że to właśnie podkomisarz był autorem anonimowego sonetu wyrzytego na żalonym pomniku Rzeźnika, tak zapomnianego jak sława naszego matadora. Stoi on na mizernym skrawku trawnika, wciśnięty pomiędzy bloki i skrzyżowania w północnej części Maginy. Minąłem go, kiedy szedłem na cmentarz zobaczyć grób babci Leonor, i wydało mi się, że jestem w innym mieście. Nie znałem ulic, szukałem nieużytków, na które chodziliśmy z kolegami palić papierosy, kryjąc się przed krewnymi, a znalazłem tylko osiedla pozbawione chodników, garaże, warsztaty samochodowe, a nawet bary z whisky o zachęcających nazwach z dopełniaczem saksońskim, zdecydowaną i monotonną brzydotę przedmieść, przydrożnego baru, hańbę opuszczonych dworów bez śladu wiązowych alei, które pamiętałem, a jedynie domki postawione pośrodku pustyni i przemysłowe śmietniki, i toporne garaże z cegły i dachami z eternitu.

Tak więc ten koszmar, który rozwijał się niczym rak, bez mojej wiedzy albo bez chęci dostrzeżenia go, jest moim miastem i krajem, uprzywilejowanym i jedynym, siedzibą mej pamięci, miejscem wybranym przez ciebie na spotkanie ze mną. Patrząc na to wszystko, opowiadałam ci i ogarnia mnie wściekłość, brudne ulice, nieprzejezdne z powodu intensywnego ruchu, polne drogi zarośnięte i zasypane śmieciami, starymi lodówkami i zmywarkami, i pogruchotanymi telewizorami, szklami butelek, zgniecionymi plastikowymi opakowaniami, epidemia prostactwa i brudu, złego wychowania i skąpstwa, luksusowe sklepy i zdewastowane parki, gryzmoły sprayem na fasadach budynków popadłych w ruinę, neony mrocznych wideoklubów w opuszczonych zaułkach, pogniecione puszki coca-coli unoszące

się w gnijącej wodzie fontanny w parku Vandelvira, której już nie oświetlają po zmroku i jej żółte, niebieskie i czerwone strugi nie wznoszą się ponad dachy domów, wywołując zdumienie i wbijając w dumę magińskie rodziny oraz przydając chwały kolorowym pocztówkom, jeszcze wystawianym w niektórych kioskach. Przechodziłem obok szkoły, kiedy skończyły się lekcje, pośród grupki uczniów, którzy onieśmielają mnie nieco, bo sprawiają, że czuję, ile naprawdę mam lat i ile czasu oddziela mnie od wrażeń i wspomnień, które zdają się tak nieodległe. Przeszedłem obok przeszklonych drzwi Martosa i nie odważyłem się wejść. Na dworze świeci słońce, ale wewnątrz jest pogrążone w półmroku. Z zewnątrz nie widać kąta, w którym stała szafa grająca, tylko bar i postarzała, bladą twarz, może właściciela, tego samego co kiedyś, tego, który był marynarzem, o płynął świat dookoła i dostawał z dalekich krajów płyty, którym moi koledzy i ja zawdzięczamy entuzjazm i życie. Zatrzymałem się na chwilę, szybko przeszedłem obok. Zobaczyłem pionowy neon hotelu Consuelo, który wydawał nam się tak kosmopolityczny i jakby rodem z powieści, a jest brzydkim budynkiem z lat sześćdziesiątych. Zszedłem w dół aleją Ramóna y Cajal i znalazłem się w krótkich i cichych uliczkach kolonii Carmen. Niemożliwe, żeby te domki były tak małe. Postrzegam je zarazem twymi i moimi oczyma. Nadal wisi złota tabliczka na płocie przy furtce domu Mariny, ale nie ma już na niej nazwiska jej ojca. Szukam domu, który ty pamiętasz, a ja nie, tego domu z ogrodem, w którym drzemały koty w zimowym słońcu, ale nie udaje mi się go znaleźć, albo już nie istnieje, albo go odnowili. Szczeka coraz więcej psów, wysuwających łapy i pyski przez szpary pomiędzy sztachetami, i jakiś mężczyzna w dresie, pochylający się nad silnikiem bmw, patrzy na mnie podejrzliwie. Pewnie widzi we mnie obcego. Ma rzadkie, przyklepione do skroni żelem włosy, tak gładkie, jakby go ciele polizało, i niewielki brzuch, przesuwa w ustach papierosa z jasnego tytoniu. Patrzy z ospałością i wyższością, która tak bardzo mnie peszyła u lekarzy i adwokatów, gdy byłem dzieckiem. A kiedy już się od niego oddaliłem, prawie się odwróciłem, bo go rozpoznałem. Siedział dwie albo trzy ławki przede mną na lekcjach u Salezjanów, a więc ma tyle samo lat co ja. Ogarnia mnie strach, to niemożliwe, jestem znacznie młodszy od tego typu z góry osadzonego w dojrzałości, nigdy nie widziałem w lustrze takiej brody wspierającej się z samozadowoleniem na załączkach podwójnego podbródka. Ja poruszam się niespokojnie i ukradkowo, jakbym jeszcze miał przed sobą wszystkie niepewności związane z życiem. Nie mam domu i samochodu ani nie jestem pewien, co ze mną będzie, nie za kilka lat, ale nawet za kilka miesięcy, może jednak chodzi tylko o złudzenie optyczne albo o próżność, tak powiedziałaby mój cień, gdybym go nie zostawił w hotelowym pokoju w Nowym Jorku, tak porzuconego i samotnego jak autoportret Murilla na ścianie muzeum Frick Collection. Człowiek nigdy nie wie, jak naprawdę wygląda jego twarz. Spogląda na nią z dużą dozą wyrozumiałości, jakby przez jeden z tych filtrów, jakie zakłada się na kamery, aby rozmyć zbyt ostre rysy czterdziestoletniej aktorki.

Odkrywam siebie z daleka w oknie wystawy jakiegoś sklepu z akcesoriami łazienkowymi. Spostrzegam, że chodzę ze spuszczoną i trochę przekrzywioną głową, z rękoma w kieszeniach kurtki w kwadraty, kupionej w Chicago, żeby się obronić przed zabójczym wiatrem, i przypominam sobie, że chodziłem po tych samych ulicach w granatowej wojskowej kurtce dziadka Manuela, która nadawała mi, przynajmniej tak sądziłem, wyglądu awanturczego lub maoistycznego. Recytowałem piosenki Jima Morrisona albo Lou Reeda, szukałem kobiety, która nie zwracała na mnie uwagi, chyba że chodziło jej o moje notatki z angielskiego, i mijałem inną, której nie zauważałem, aktora w tej samej chwili pakuje walizki w mieszkaniu na Manhattanie i krąży po pokojach albo schodzi do koreańskiego sklepu na Drugiej Alei, świadoma tego, że każdy jej krok skraca dystans i przybliża ją do chwili rozpoczęcia podróży. Twoje kroki i moje, nasze dwa zegarki przesuujące wskazówki w dwóch odmiennych czasach, śnieg w Nowym Jorku i zimne lśniące słońce w Maginie, jasność

tak czysta, że razi w oczy, uszlachetnia skalane piękno pałaców z herbami i wieżami i białych domów z kamiennymi nadprożami i odsłania, bez możliwości pomyłki, ogrom szkód, jakich doznało to miasto, które uważałem kiedyś za niezmiennie. Ponownie oddalam się w kierunku południowych osiedli. Patrzę na wszystko z żywą uwagą i zdumieniem, bo ty też bardzo niedługo to zobaczysz. Na alei, zwanej kiedyś Trzynastego Września i Osiemnastego Lipca, a obecnie Konstytucji, ścięto kasztanowce. Cóż za nienawiść do drzew. Na parterze domu, w którym się urodziłem (widzę na ostatnim piętrze zabite deskami okno pokoju belki), znajduje się teraz pub o nazwie Lony. Ulice w pobliżu odlewni wydają się szersze, bo zostały wyasfaltowane, i nie ma już ani jednego z wielkich drzew morwowych, które w maju dostarczały nam mięsistych liści dla naszych jedwabników co też może myśleć Feliks, kiedy tu przyjeżdża, kiedy przechodzi ulicą Fuente de las Risas i dochodzi do nasypu, który zdawał nam się urwiskiem, a teraz jest śmietnikiem; gdzieś w połowie otwierał się kamienny łuk kanału i starsze dzieci straszyły nas, mówiąc, że jest to grotta potwora, który połyka ludzi w całości, a potem śpi w ciemnościach z otwartymi oczyma, żeby strawić posiłek. Nad wilgotną i żyzną ziemią ogrodów i czystą zielenią obsianych pól słońce wznosi delikatne niebieskie opary, rozpływające się w miarę postępów dnia, niczym mgła nad Gwadalkiwirem.

Już jedziesz. W którąkolwiek stronę skierowałbym kroki, zbliżam się do twego przyjazdu, każdy gest odchodzi natychmiast w przeszłość, żebyś ty przyjechała jak najszybciej, a nawet Mágina staje się miastem obiecanym i miastem przyszłości, bo za kilka dni będę tu z tobą. Przylecisz sama, ale nie chcesz, żebym pojechał po ciebie do Madrytu, przyjedziesz po południu autobusem nadal nazywanym Gamonem, tak jak wtedy, gdy jechałaś tu z ojcem, a ja, mocno zdenerwowany, będę czekał w holu dworca, gasząc dopiero co zapalone papierosy, i pewność, że niebawem cię zobaczę, będzie słabnąć w miarę oczekiwania na autobus. Będę myślał, że nie zdążyłaś albo że pomyliły mi się godziny i miejsca. Dla dodania sobie animuszu zamówię whisky w barze i wypiję tylko dwa łyki, z obawy, że przyjedzie autobus, a ja go nie zauważę. Ugną mi się nogi ze strachu, kiedy zaczną wychodzić pasażerowie objuczeni pakunkami i walizkami i nie zobaczę cię natychmiast pośród nich. Zaskoczy mnie twoja twarz, początkowo tak mało podobna do tej z fotografii i wspomnień. Będę przyzwyczajał się do twojego głosu i do twej obecności, podczas gdy będziemy jechać taksówką na plac Świętej Marii, trochę onieśmieleni. Jeszcze oszołomiona zmęczeniem i zmianą czasu, przeczeszesz włosy palcami, wysiadając z taksówki, i będziesz spoglądać na balkony i schody hotelu z jasnym i zmęczonym uśmiechem. Jeden z tych balkonów należy do pokoju, który już dla ciebie zarezerwowałem. Podając recepcjoniście nasze nazwiska i widząc, jak obojętnie notuje bardzo bliską datę, wydało mi się, że moje pragnienie i nasze spotkanie utraciły całą wyimaginowaną niedookreśloność, aby wkroczyć w obiektywność rzeczywistych czynów. Nie tylko ja wiem, że przyjedziesz, nie wymyśliłem cię, tak jak wymyślałem inne kobiety, nawet po ich poznaniu – twoje nazwisko i datę przyjazdu wypowiedział na głos ktoś, kto nigdy cię nie widział, i wystukał je na klawiaturze komputera. Poszedłem do pokoju, wielkiego i białego z ciemnymi belkami na suficie. Otworzyłem drzwi na balkon i zobaczyłem to, co ty zobaczysz, a czego prawdopodobnie nie pamiętasz, fasadę kościoła Zbawiciela, wieżę z blankami i brązową kopułą, dachówki domów na osiedlu Alcazar, i jeszcze dalej, w oddali, na jakby morskim horyzoncie – szczyty Sierry. Cóż za niecierpliwość, jakaż ochota nieruszania się stąd aż do twego przyjazdu, wyciągnięcia się na łóżku i zaśnięcia. Chciałbym śnić, że się do ciebie przytulam, i zobaczyć cię, kiedy otworzę oczy, tak jak wtedy, gdy w Nowym Jorku budził mnie zgrzyt klucza w zamku i słyszałem twoje kroki. Pojawiałaś się w drzwiach sypialni z twarzą czerwoną od zimna i z umalowanymi ustami, z wielką papierową torbą w ręku. Jesteś pilna i wcześniej wstajesz, jak ktoś, kto nigdy nie poddaje się rozleniwieniu. Poczulem przyływ podniecenia, to neutralne miejsce, którego jeszcze nie widziałaś, stanie się niebawem jednym z najbardziej pamiętnych

pokojów w moim życiu. W lustrze naprzeciwko łóżka odbije się twoje nagie ciało, kiedy wstaniesz ze zmierzwionymi włosami, aby pójść do łazienki albo sięgnąć po jedwabny szlafrok. Na nocnej szafce, na której póki co stoi tylko popielniczka i lampka, będą leżeć twoje papierosy, zegarek, szminka. Na wyściełanej wykładziną podłodze i fotelu, mającym na razie tak majestatyczny wygląd, będą leżeć w nieładzie nasze byle jak rzucone ubrania. Jestem tego tak pewien, że nagle potrafię sobie przypomnieć to, co jeszcze się nie wydarzyło. Będzie tak samo jak poprzednio i w żadnym razie nic nie będzie takie samo, zaskoczenie złączy się z przyzwyczajaniem, a odkrywanie z potwierdzeniem. Zobaczą wszystkie twoje znane mi twarze i dojrzą jakąś, której istnienia nie podejrzewałem. A kiedy opadniemy na poduszki już uspokojeni i wyczerpani, i odwrócimy się do siebie, poczujemy, że wreszcie zaczynamy się rozpoznawać po rozłące.

Przechodzę z przyszłości do przeszłości. Teraźniejszość oczekiwania i spacerów po Maginie jest niczym obrotowe drzwi prowadzące do jednej i drugiej w mniej niż jedną sekundę, odległych o krok. Wychodzę z hotelu podekscytowany twą przyszłą obecnością i kilka metrów dalej, przy domu starców, gdzie rząd staruszków opatulonych szalikami i futrzanymi kurtkami wygrzewa się w słońcu, słyszę rozmowy o burzach i zbiorach sprzed pół wieku i widzę wyiębione postacie zniszczone wiekiem, które wydają mi się znajome. Niemal wszystkich tych mężczyzn znałem, kiedy byli silni i sprawni, i właśnie to nigdy nie kończące się porównywanie wspomnień z tym, co widzę, sprawia, że tylko w tym mieście potrafię tak dokładnie i obsesyjnie nabrać świadomości upływającego czasu. Niemal nikt tutaj nie jest mi całkowicie obcy, jakkolwiek kierunek obrany w mych bezcelowych spacerach staje się bezwiednym celebrowaniem jakiegoś wydarzenia z mego życia. Ten wielki i gruby mężczyzna z wielkimi uszami i nieobecny wzrokiem, który wysiadł z ciężarówki na placu Poległych i na migi zwraca się do municypalnego policjanta, jest głuchoniemym Matiasem; wydaje mi się dziwne, że żyje poza moją wyobraźnią i rozmowami z tobą. Przy Rynku powoli zbliżają się do mnie dwaj staruszkowie, zatrzymują się co kilka kroków i jeden z nich, niższy i bardziej krzepki, w welwetowej kurtce, koszuli zapiętej pod szyję, w szerokim berecie i w okularach z grubymi szklami, jest porucznikiem Chamorro. Jak zwykle żywo gestykuluje i ma pod pachą niebieską teczkę, na pewno trzyma w niej pełne podkreśleń wycinki z gazet albo napisane na maszynie fragmenty wspomnień, które miał zamiar zacząć spisywać już wtedy, kiedy chodził do ogrodu mego ojca. Nadal wygląda godnie i zdrowo, co pewnie ciągle z dumą przypisuje swemu wolnościowemu purytanizmowi. Świeża woda a nie bimber, mawiał, biblioteki i szkoły zamiast barów. Przechodzi obok, nie zauważając mnie. Wymachuje oskarżycielsko palcem i mówi o korupcji panującej w naszych czasach. Nagły wstyd nie pozwala mi zbliżyć się do niego, chociaż ojciec mówi, że on zawsze o mnie pyta. Twój syn to jest gość, mawia, od małego było widać, że nadaje się do czegoś więcej niż praca w polu. Wzrusza mnie, jak poważają to, czego sami nigdy nie mieli: wiedzę i książki, możliwość podróżowania, używanie słów, które dla nich należą do nieosiągalnej skarbnicy. Nie wypowiedają ich ze strachu, że się pomylą, może też dlatego, że im nie dowierzają, bo zdają sobie sprawę z tego, że są to słowa innych i że często oznajmniają kłamstwa i służą do podkreślania wyższości ich „właścicieli”. Słucham słów z Maginy, słów ogrodników i właścicieli gajów oliwnych, słów, których nauczyłem się od rodziców, i nagle zdają sobie sprawę, że niemal przestają istnieć, bo nie ma już rzeczy, które nazywały, tak samo jak znikły romance recytowane przy grze w klasy i pełne strachu przyśpiewki, bo w dzielnicy Świętego Wawrzyńca nie ma już dzieci, które bałyby się Ciotki Żerochłopki albo mumii z Casa de las Torres. Także w słowach jestem obcy, utraciłem te, które mi przekazali bliscy, oraz akcent, z którym uczyli mnie je wymawiać, nie przyjmuję jednak za własne tych słów, których nauczyłem się później. Żyję pośród nich i dzięki nim, lecz są mi obce, nie są w stanie mnie wyjaśnić i być może odrzucają mnie jak czyste i jasne spojrzenia ludzi mijających mnie w

miastach, do których chciałem uciec, kiedy miałem piętnaście lat. W domu rodziców i na ulicach Maginy czuję, że zamieszkuję w królestwie słów i że ponownie biorą mnie w posiadanie, niczym dom, w którym nikt nie mieszkał przez wiele lat i w którym ze zbyt donośnym echem rozbrzmiewają słowa i kroki nowo przybyłych; głosy dobiegające ze sklepu albo salonu fryzjerskiego, słowa piękne albo brutalne, które chwytam, przechodząc, jakbym pochylał się, by podnieść z ziemi monetę; spojrzenia i twarze przenoszące mnie do zdjęć Ramira Portrecisty, do historii, które opowiadaliśmy sobie podczas tych odległych dni w Nowym Jorku tak żywą jak Feliks i ja opowiadaliśmy sobie filmy albo historie z radiowych powieści, siedząc na schodach jakiegoś domu przy ulicy Fuente de las Risas. Twarze w oknach za firankami, patrzące na przechodzących ludzi z odwieczną ciekawością, twarze zniekształcone albo otepiałe upływającymi latami, przesuwane się o zmroku ulicą Nową z powolnością procesji, rysy przedwcześnie zniekształcone domową wygodą i zadowolonym z siebie znudzeniem Maginy, twarze blade, skrywające za okularami wiejską surowość, twarze pomocników z apteki, którzy stali za kontuarem w tym samym miejscu, kiedy matka prowadziła mnie za rękę, postarzałe twarze i delikatne księżowskie dłonie podstarzałych subiektów z magazynów z tkaninami i konfekcją, które opustoszały i stały się anachroniczne z winy niszczącego oddziaływania nowoczesności ostatnich czasów. Lorencito Quesada wypada niczym bolid z Systemu Metrycznego i pozdrawia mnie, jakby mnie skądś znał, dynamiczny, żądny nowych wiadomości, z lekko drżącymi mięsistymi policzkami, z dwiema albo trzema gazetami pod pachą i z niewielkim magnetofonem w ręku. Może idzie przeprowadzić wywiad z tym marnotrawnym synem podkomisarza Florencia Péreza, który teraz jest znanym piosenkarzem i przyjechał na kilka dni do swej małej ojczyzny. Według notki zamieszczonej dziś rano w „Singladurze”, Mágina gorąco witała naszego ziomka, który osiągnął sukces w świecie lekkiej piosenki, czyniąc zadość sprawiedliwości, wbrew wszelkim przeciwnościom, podobnie jak kiedyś zatriumfował na arenie nasz szczerze opłakiwany Rzeźnik. Chowam stronę z gazety, aby przesłać ją Feliksowi, który jest chyba najwierniejszym czytelnikiem prozy Lorencita Quesady. W podcieniach placu generała Orduña kupuję paczkę papierosów z czarnego tytoniu od mego dawnego kolegi Juanita, siedzącego przy swym kramie z łakociami. Nigdy mnie sobie nie przypomni. Patrzy na leżące na dłoni monety i marszczy brwi w niemal bolesnym akcie koncentracji, aby przeliczyć, ile należy mi się reszty. Ma wielkie infantylne oczy idioty, kąciki ust zwilżone śliną i odrobinę ciemnego meszku nad górną wargą. Zapomniał podać mi papierosy czy też dał nie tę markę, o którą poprosiłem, i kiedy wracam, żeby mu o tym powiedzieć, podnosi na mnie swe przestraszone oczy, a ja odwracam wzrok, abym nie został zatruty żalem i czułością, bo Juanito spogląda na mnie z oszołomienia dzieciństwa, które z nim dzieliłem, a teraz nie wie, kim jestem.

Żyję w zawieszeniu, czekając na ciebie. Spaceruję po mieście, wyobrażając sobie, że z tobą rozmawiam i że chodzisz ze mną. Nic nie robię, nie decyduję się odwiedzić Martina ani Serrana. Dzwonię do ciebie z budki telefonicznej i tracę majątek, opowiadając ci ze szczegółami, jaki jest pokój, który dla nas zarezerwowałem. Trapi mnie po zmroku ten sam smutek zim sprzed dwudziestu lat. Wstaję późno i jem śniadanie przy ogniu. Obiad zjadam w milczeniu w towarzystwie rodziców i dziadka Manuela. Bez celu chodzę po pokojach na ostatnim piętrze domu, nigdy nie wchodzę do sypialni babci Leonor. W jakiejś szafie natrafiam na moje szkolne podręczniki i zeszyty pełne żalonych wynurzeń płynących z poczucia nieszczęścia i buntu, nie chcę ich otwierać. O północy dzwoni telefon. Słyszę twój głos i umieram z pożądania. Jutro dokładnie o tej porze wsiądziesz do samolotu. Kiedy znajdziesz mieszkanie w Madrycie, wrócisz po syna. Nie mam odwagi ci powiedzieć, że chcę mieszkać w tym mieszkaniu z tobą. Gaszę światło i nie mogę zasnąć. Myślę o mojej nieżyjącej babci, o tym, co czuła w chwili śmierci, żal i może ulgę, nie przerażenie czy

tęsknotę. Nie wiem, jak uda mi się przetrwać dwie noce dzielące mnie od twego przyjazdu. Wsłuchuję się w zapomniane odgłosy domu, chrobotanie komików, wiatr na dachu, skrzywienie belek brzmiące tak, jakby ktoś stąpał mi nad głową. Na placu zegar wybija czwartą. Dziadek Manuel kaszle i jęczy przez sen. Ojciec wstaje i ciężko stąpa na schodach, zapala silnik furgonetki, żeby pojechać na rynek hurtowników. Śnię, że już przyjechałaś do Maginy i że z powodu jakiegoś banalnego nieporozumienia nie mogę cię odnaleźć. Budzę się i widzę promienie słońca przeciskające się przez żaluzje, i przychodzi mi do głowy, że w maju pod balkonem jaskółki zawsze wiją gniazda. Schodzę do kuchni, matka stoi pochylona nad zlewem i wstrząsa nią powstrzymywany płacz. Od dawna nie farbuję włosów i ma siwe odrosty. Całuje mnie, pyta, czy dobrze spałem. Jeszcze nie odważyłem się jej o tobie powiedzieć. Wychodzę na ulicę pospacerować w słońcu próżniaków i emerytów.

Według moich obliczeń na pewno teraz śpisz, a kiedy otworzysz oczy, pomyślisz, że nadszedł dzień podróży. Oczekiwanie przekształciło się dla mnie w nagłą potrzebę seksualną, tęsknię za tobą jak człowiek uzależniony, z przestrachem zauważam, że nie mogę bez ciebie żyć. *Abym, cię znalazłszy na dworze, pocałowała cię, czytałaś w Biblii, bo plastrem miodu opływają wargi twoje.* Mijam róg ulicy Real i za kratami widzę twarz, znajomą, szeroką i bladą, ktoś przyglądał mi się, zanim go spostrzegłem, niesamowita twarz ze znamieniem tuż obok ust, czarne włosy rozdzielone nad czołem równym przedziałkiem, ciężkie czarne loki opadają wzdłuż policzków, szkaplerz na szyi. Minąłem ją już i odwracam się. Nie mogę uwierzyć, choć widzę ją przez szybę w otoczeniu bezwartościowych obrazów, starych mebli, garnków i miedzianych moździerz. Nie jest to okno, ale przez chwilę kobieta jest rzeczywista. To wystawa antykwiariatu, a w tle, trochę ukryta w cieniu, siedzi mumia znaleziona w piwnicy Casa de las Torres przed pięćdziesięciu laty, ta, która opętała Ramira Portrecistę i miała ukrytą na piersi kartkę z fragmentem *Pieśni nad Pieśniami*.

Ależ to niemożliwe, powiesz, że jestem łgarzem, kiedy ci o tym opowiem. Pcham drzwi sklepu, dzwoni dzwonek i nikt się nie pojawia. Kobieta, którą widzieliśmy na fotografii zrobionej siedemdziesiąt lat po jej śmierci, siedzi sztywno oparta o ścianę, w swego rodzaju szklanym pojemniku z malutkim złotym zamkiem i kluczykiem przypominającym te do nakręcania ściennych zegarów. Przekręcam go z pewną zuchwałością. W sklepie znajduje się ktoś jeszcze. Otwieram szklane drzwiczki, a mumia wpatruje się we mnie jasnymi oczyma, skulona, bardzo dystygowana jak złowieszcze postaci nieszczęsnych ministrantów, jakie kiedyś stały w kościołach i napawały nas jeszcze większym strachem, kiedy odkryliśmy, że były zrobione z gipsu. Ktoś podchodzi do mnie od tyłu, przedzierając się przez gąszcz przedmiotów, ale nie odwracam się. Mumia nie jest większa od małej dziewczynki, spiczaste budki wystające spod sukienki wiszą kilka centymetrów nad podłogą. Dotykam jej twarzy i przesuwam po niej opuszkami palców. Jest z wosku, dlatego tak błyszczy, a źrenice są bez wątplenia zrobione ze szkła. Właściciel sklepu stoi u mego boku, mężczyzna około czterdziestoletni, z miną zdradzającą zachłanność, pełną sympatii i grzecznego zainteresowania. „Prawda, że robi wrażenie na pierwszy rzut oka? Mnie też się to przytrafiało na początku. Otwierałem sklep i jeszcze przed zapaleniem światła widziałem jej oczy. W ciemności wyglądają jak kocie. Później człowiek się przyzwyczaja i chociaż może się to panu wydać dziwne, w końcu zaczyna ją lubić. Interes to interes, ale nie chciałbym się jej pozbywać. To skarb, proszę mi wierzyć, cenniejszy jeszcze przez swoją unikalność, figura woskowa z XIX wieku, chociaż panu pewnie nie muszę o tym mówić, widać, że się pan na tym zna. Przyjechał pan do Maginy w celach turystycznych, jak sędzę. Zawsze powtarzam, że to, co tutaj mamy, potrafią docenić tylko ludzie z zewnątrz”. Nie słucham go, wpatruję się w mumię, w woskową figurę. Patrę na naturalne włosy i oczy z niebieskawego szkła wpatrujące się we mnie, w pustkę, drobne dłonie złożone na podołku, szkaplerz Pana Naszego Jezusa, mam ochotę sprawdzić, czy po drugiej stronie jest portret kawalera z wąsami i

hiszpańską bródką, ale nie mam odwagi ponownie jej dotknąć. Został mi na palcach chłód i trochę lepka miękkość wosku, jego konsystencja. Czuję się tak, jakbym patrzył na zmarłą karlicę, piękną i odrażającą zarazem, żalną, z olśniewającymi oczyma lalki i sztucznymi lokami, uwięzioną wewnątrz urny wyglądającej jak gabloty w muzeum. Żeby coś powiedzieć, pytam o cenę. Antykwariusz po minucie zastanowienia proponuje jakąś zawrotną kwotę. Udamę, że się zastanawiam, interesuję się tożsamością woskowej damy, ale on nic nie wie. Mówi, że wezwano go, żeby oszacować wartość mebli i obrazów z jakiegoś domu, który miał zostać zburzony. Bardzo się przestraszył, znalazłszy gablotę w jakiejś szafie. Proszę sobie wyobrazić, mówi, stary dom, w którym nie było nawet elektryczności, sam kurz, stare meble i bezwartościowe obrazy, jak zawsze, i dużo książek pochowanych w kartonach, niesamowite podręczniki anatomii z XIX wieku, może je pan zobaczyć, jeśli chce, są tutaj. Był nawet taki bardzo prymitywny stetoskop z kauczukową tubą i trąbką z rogu, sprzedałem go lekarzowi, mojemu bardzo dobremu znajomemu i miłośnikowi staroci, każdy ma jakieś swoje widzimisie. O czym to ja mówiłem? Aha, dali mi klucze i wszedłem sam do tego domu. Był bardzo duży, otworzyłem wszystkie okna, żeby dobrze zobaczyć meble i obrazy i żeby nie zadusił mnie kurz, i doszedłem do, zdaje się, głównej sypialni, dwuskrzydłowe drzwi, łożo z baldachimem i bardzo wysoka szafa. Ponieważ nie było okna, zapaliłem latarkę i nagle z powodu przeciągu drzwi szafy otworzyły się same. Wtedy ją zobaczyłem, myślałem, że dostanę ataku serca, nie żebym wierzył w duchy, ale w moim zawodzie wchodzi się do starych domów i człowiek nasłucha się różnych historii, no więc zmroziło mnie, przysięgam, pomyślałem, że to może być zjawa albo trup, i miałem zamiar zwać stamtąd czym prędzej i wyrzucić klucze. Całe szczęście, że w sumie jestem człowiekiem sprytnym, tak więc jeszcze raz oświetliłem ją latarką i zobaczyłem, że jest zrobiona z wosku, i uspokoiłem się, ale nie za bardzo. W tym domu było coś dziwnego, czyjaś obecność, jakiś nastrój, jak mawia w swoich artykułach pisarz, którego tutaj mamy, pan na pewno o nim nie słyszał, nazywa się Lorenzo Quesada, chociaż w Maginie wszyscy nazywają go Lorencito. Prowadzi w naszej gazecie bardzo ciekawy dział poświęcony ufologii i parapsychologii, zatytułowany „Po tamtej stronie”. Oczywiście poinformowałem go, żeby przyszedł, ale jeszcze nie miał na to czasu. Nie wyobraża pan sobie, jak ten człowiek jest zajęty. Ciągłe chodzi to tu, to tam, z notesem i małym magnetofonem. Pomiędzy Systemem Metrycznym i „Singladurą” pewnie nie ma już czasu nawet na sen, a do tego jeszcze w gazecie mu nie płacą, ale jemu to obojętne. Zawsze mi mówi, Guillermo, dziennikarstwo jest moim powołaniem, nie chcę innej zapłaty niż wierność moich czytelników i splendor, jakiego przydaje Maginie we wszystkich moich artykułach.

Antykwariuszowi gęba się nie zamyka, jak by powiedziała babcia Leonor, po której być może odziedziczyłem niecierpliwość, jaką w niej budzili rozmaici szarlatani. Nie wie dokładnie, do kogo należał ten dom. Mówią, że do jakiegoś znakomitego lekarza, ale on go nie znał. Prawda jest taka, że choć czuje się w Maginie u siebie, nie jest stąd, przyjechał tu przed dwudziestoma laty i jest gotów zostać do końca. Poleca mi gorąco artystyczne wyroby garncarskie i obchody Wielkiego Tygodnia, jedyne w swoim rodzaju. Mówi mimochodem, że może obniżyć cenę, jeśli jestem zainteresowany woskową figurą. No to kto mu dał klucze, udaje mi się wtrącić, korzystając z tego, że antykwariusz zamilkł na chwilę, aby nabrać powietrza. Kto mu sprzedał to wszystko. Młode małżeństwo, odpowiada, nagle oschły, niemal obrażony, zrozumiał już, że nic od niego nie kupię. Odziedziczyli dom i nie wiedzieli, co z nim zrobić, no tak, sprzedać firmie obrotu nieruchomościami. Z daleka było widać, że to kobieta rządziła, trzymała kasę, jak byśmy powiedzieli, jest córką albo synową bardzo tu znanego człowieka, który przez wiele lat był taksówkarzem. Niech sobie przypomnę, Julián, nazywano go Julián Taksówkarz, korpulentny jegomość, wyższy niż pan, już bardzo stary, rzecz jasna, starość nikogo nie omija, zawsze to powtarzam. Widać, że syn i synowa albo

córka i zięć chcieli się go pozbyć, i gdy tylko dostali spadek, jeszcze przed śmiercią tego Juliana, żeby zaoszczędzić na kosztach, wysłali go do przytułku, takiego dożywotniego, u sióstr, ale teraz to się chyba nazywa dom spokojnej starości. Pewnie tam mieszka, no chyba że mu się zmarło. Antykwariusz kręci głową, wzdycha, zamyka gablotę malutkim kluczykiem i ostentacyjnie chowa go do kieszeni. Nie patrząc mi w oczy, prosi o wybaczenie, zadzwęczał dzwonek u drzwi i mężczyzna oddala się, przygnębiony i usłużny, w stronę pary niewątpliwie przyjezdnych ludzi.

WYDAJE MI SIĘ, ŻE ŻYJĘ w dwóch miejscach jednocześnie, w dwóch czasach, że chodząc, poruszam się w dwóch kierunkach z różnymi szybkościami, które w jakiś dziwny sposób zaczęły się ze sobą zlewać i jutro wieczorem przyniosą cię do mnie. Jeszcze nie wyszłaś ze swego mieszkania, a już wyjeżdżasz, nagli cię nieodwołalna podróż, podobnie jak mnie. Popatrzyłem na telefon i wyobraziłem sobie siebie w południe w Nowym Jorku, samą w mieszkaniu, kończysz przeglądać bagaż i potwierdzasz, że schowałaś do torebki paszport i bilet, może przygotowujesz jakiś szybki posiłek. Wykręciłem twój numer nie po to, żeby się upewnić, że przyjedziesz, ale po to, żebyś odczuła moje istnienie. Rozbrzmiewa pierwszy sygnał, słyszysz go z kuchni, podczas gdy ja siedzę w sieni domu rodziców. Wchodząc do jadalni, słyszysz drugi dzwonek. Powiedziałaś mi, że telefony wprawiają cię w podenerwowanie i że dopiero teraz zaczęłaś je akceptować, bo istnieje możliwość, że to ja telefonuję. Niecierpliwie się, słysząc sygnał po raz trzeci. Kto wie, czy w ostatniej chwili nie postanowiłaś zostać i wyszłaś z domu, żeby ze mną nie rozmawiać. Nagle podnosisz słuchawkę, wymawiam twoje imię, ale to nie twój głos odpowiada mi po angielsku, ze zdenerwowania pomyliłem numery, to dziecięcy głos, twój syn, zdaje sobie sprawę, gdy już miałem odłożyć słuchawkę. Może ci się to wydać śmieszne, ale boję się z nim rozmawiać. Pyta, kim jestem. Znajomym, odpowiadam, z wrażeniem bezsensownej tajemniczości. Woła cię głośno – jakie to dziwne, że jesteś czyjąś matką – i oddycham z ulgą, kiedy odchodzi od telefonu. Słyszę twoje kroki, mówisz coś do syna po hiszpańsku, a potem zwracasz się do mnie tonem, który mnie przeraża, ciszej niż zwykle, bardziej sztywno i chłodno. Wydaje mi się, że słyszę w tle męski głos. Zamykają się jakieś drzwi i twój głos odzyskuje swą zwykłą czystość i ciepło. Nie możesz się doczekać przyjazdu, Bob przyjechał po syna i zaofiarował się, że zawiezie cię samochodem na lotnisko Kennedy’ego. Odpowiedziałaś mu, że to niepotrzebne, ale i tak umieram z zazdrości, że inny mężczyzna swobodnie porusza się po twoim domu z poczuciem własności. Przecież zna to mieszkanie lepiej niż ty, bo mieszkał w nim lata, a nie parę dni, natrząsas się ze mnie. Zauważam zadowolenie i podniecenie w twoim śmiechu. Gdy już mamy się rozłączyć, robisz mi bezwstydną propozycję, którą masz zamiar spełnić za dwadzieścia cztery godziny, i zazdrość oraz strach ustępują, znosi je pewność wzajemnego pożądania. Z kim rozmawiałaś, pyta zaraz matka, masz taką minę i oczy jak nie wiem co. Także to wyrażenie należy do babci Leonor, a matka, powtarzając je, jest tego świadoma. Wydaje się, że obecność i wpływy babci zostały głównie w słowach, których oboje się od niej nauczyliśmy i które czczą jej pamięć, nie nazywając jej po imieniu.

Nocą, bardzo późno, kiedy położyła już dziadka, matka wyłącza telewizor, sprząta ze stołu, podgarnia żarownik, wyjmuje podręcznik i zeszyt w linie i zapisuje w nim ołówkiem w wielkim skupieniu ćwiczenia, które musi jutro zanieść do szkoły dla dorosłych. Ma niepewny charakter pisma, stawia duże litery, dziecięce, wątpi i zagryza usta, używa gumki do mazania, a potem dmucha na kartkę. Wróciła do szkolnej ławki po pięćdziesięciu pięciu latach od zamknięcia szkoły na początku wojny. W moim wieku, mówi, z odrobiną wstydliwą dumą, uczę się rachunków i piszę dyktanda. Teraz zamiast wyszywać, wkłada okulary, żeby czytać przy lampie, i powoli szepcze słowa z książek. Siedzę naprzeciw niej, w ciepłe żarownika. Minuty nie zatrzymują się, biegną w kierunku twego przyjazdu tak szybko jak wtedy, gdy uciekały przed pożegnaniem. Przed domem na Pięćdziesiątej Drugiej Wschodniej Ulicy

przytulasz i całujesz syna, chłopaczka o blond włosach ze zdjęcia, uśmiechającego się i patrzącego dokładnie tak samo jak ty. Na położonej na uboczu ulicy w Maginie zatrzymuję się przed wejściem do przytułku i wciskam mosiężny przycisk dzwonka, który rozbrzmiewa na podwórku niczym dzwonek na mszę. Wjeżdżasz windą, w której pieściliśmy się tyle razy, rzucasz okiem na walizki i torby przygotowane w przedpokoju, na łóżko, w którym tej nocy nie będziesz spać, reprodukcję *Jeźdźca polskiego*. Widzisz wszystko, jakbyś już wyjechała, puszczasz płytę Animalsów albo Miguela de Molina i słuchasz jej, spokojnie paląc w fotelu. Dojrzała kobieta, wyglądająca na zakonnice, pomimo wełnianego swetra i dżinsów, otwiera mi drzwi z matowego szkła. Mówię jej, że przed chwilą rozmawiałem z nią przez telefon. W korytarzach przytułku pachnie szpitalem i starością, chloroformem i uryną. Pod ziemią babci Leonor nadal rosną w ciemności siwe włosy i paznokcie. Wypijasz piwo i zjadasz coś w kuchni, patrzysz przez okno na śnieg albo zgaszone światło popołudnia. Przypominasz sobie zmartwioną i potępiającą minę, z jaką patrzył na ciebie przy pożegnaniu ojciec twojego dziecka, jakby przepowiadał ci nieszczęście. Gruba i barczysta kobieta, prawdopodobnie zakonnica w dżinsach, pyta, czy jestem krewnym Juliana. Mówię, że tak, dalekim krewnym. Wzrusza ramionami, dziwne, odkąd tu jest, nikt go nie odwiedził, chociaż on się nie skarży, oby wszyscy staruszkowie sprawiali tak mało kłopotów. Chciałbym wiedzieć, jak bardzo za mną tęsknisz, czy twoja tęsknota jest taka jak moja, czy kiedy leżysz w łóżku, zamykasz oczy i wyobrażasz sobie, że się nad tobą pochylam i że to nie twoja ręka przesuwana się po udach i delikatnie pieści pachwiny. Na drzwiach sali, w których teraz przepuszcza mnie zakonnica, powtarzając nieustannie okropne zdrobienia: staruszkowie, biedaczki, nieboraczki, jest kartka, na której napisano „Świetlica” odręcznie na kartce w kratkę. W pomieszczeniu panuje gwar, suche uderzenia klocków domina i szelest odkrywanych kart, nad wszystkim góruje muzyka i brawa z telewizyjnego programu. Telewizor trzeba tak głośno nastawiać, bo biedaczkowie są głusi. Ale niemal nikt nie patrzy w telewizor, przynajmniej żaden z mężczyzn, kobiety wyszywają albo mają dłonie złożone na brzuchach i zwracają twarze w kierunku konsoli, na której jarzy się kolorowy ekran. Może odczuwasz strach, tak jak ja, strach przed oddaniem się, przed zerwaniem ze wszystkim i przegraniem, przed nieuchronnym powtórzeniem wszystkich błędów, których się wyrzekłaś, zanim mnie poznałaś, rodzaju błędów, które człowiek nosi ze sobą jak własny zapach albo linie papilarne, choć próbuje je składać na karb pecha albo niewierności innych.

Oto on, pokazuje zakonnica, biedaczek jest bardzo dobry, ale przyszedł do nas niedawno i jeszcze się nie zintegrował. Zawsze jest tak samo, dużo ich kosztuje przyznanie, że są tak samo starzy jak pozostali, i milcząco protestują. Sam, przy plastikowym stole, z otwartą gazetą, siedzi Julián Taksówkarz, który zawsze woził nas do lekarza do stolicy prowincji. Zachował swą opaleniznę, łysą i kościstą czaszkę, której częścią zdają się czarne oprawki okularów. Pozdrawiam go, zakonnica protekcjonalnie klepie go po plecach, a on nienawistnie rzuca na nią okiem. Kiedy mówię mu, kim są moi dziadkowie i rodzice, z najwyższą uprzejmością wskazuje mi stojące obok krzesło. Oczywiście, że sobie mnie przypomina, jakbym cię widział małego, kiedy ojciec prowadził cię za rękę, idąc sprzedawać mleko, ależ ten czas leci, jedni do góry, a inni w dół, jak w studni. Za młodu był wielkim przyjacielem dziadka Manuela, też omal się nie zaciągnął do Gwardii Szturmowej jako kierowca, ale nie zrobił tego, bo żał mu było zostawić don Mercuria. Twój dziadek to był gość, mówi z uśmiechem, nikt go nie potrafił powstrzymać, kiedy zaczynał śpiewać piosenki Pepe Marcheny. A jaki to był pies na kobiety, za przeproszeniem, choć twoja babcia Leonor, niech odpoczywa w pokoju, była najpiękniejsza w całej Maginie. Ależ ona wyglądała, jak szła do studni z dzbanem na ramieniu, nawet księża się do niej zalecali, choć nie wypada o tym mówić. Ale widzisz, jak wszyscy kończymy, wyprowadzają nas, żebyśmy siedzieli na słońcu, przynajmniej twój dziadek ma szczęście i nie stracił ciepła rodzinnego. Podaję mu papierosa,

ale Julián odmawia melancholijnie. Już nie palę, mówi, a tak lubiłem. Nieboszczyk don Mercurio zawsze ofiarowywał mi paczkę tytoniu, ale potępiał nałóg. Julianie – wydaje mi się, że jeszcze go widzę – tytoń to jedna z najgorszych konsekwencji odkrycia Ameryki. Nie rozumiałem go, ale przyznawałem mu rację, to był przecież wybitny człowiek, ważna figura, najlepszy lekarz, jakiego kiedykolwiek miała Mágina, nie taki jak ci urzędnicy z kasy chorych, faszeringujący człowieka tabletkami i podtykający recepty. Nigdy nie brał pieniędzy od biednych, nieraz zawoziłem go wozem do tych zagród w Casillas de Cotrina. Ludzie wychodzili z domów, żeby go całować po rękach, jakby był świętym, i był nim, chociaż wredne dzieciaki z ulicy wymyśliły o nim piosenkę, na pewno ją słyszałeś jako dziecko, śpiewali ją jeszcze długo po jego śmierci. Nie wierz też w to, co mówią klechy, że poprosił o sakramenty, kiedy już umierał. Jasne, że otaczali go jak sępy, jak te zakonnice po cywilnemu, które mamy tutaj, ale był zbyt chytry, żeby pozwolić się wodzić za nos, nie chciał nawet lekarzy, tylko mnie pozwolił zostać z sobą do końca. Prosił, żebym mu przeczytał kilka wersów z tej jego wielkiej Biblii, co ją zostawił Ramirowi Portreciście w spadku, i czytałem mu, kiedy skurczył się jeszcze bardziej, jak mały ptaszek, w ogóle nie było widać go pod kołdrą. Julianowi spływa z oka łza, smarka i wyciera sobie nos i oczy chusteczką, potem czyści szkła okularów. Ponownie je nakłada, a widząc dokładnie moją twarz, wspomina, że zadzwoniłem do niego kilka godzin temu i powiedziałem, że chcę go o coś zapytać. Powiedz, co mam ci opowiedzieć, bo ja nie przestaję gadać i na pewno cię nudzę. Waham się, muszę bardzo ostrożnie dobierać słowa i ton głosu, żeby nie zaczął mi nie dowierzać i się nie wycofał. Proszę mi opowiedzieć o don Mercurio, mówię, o tej mumii, którą znaleziono w Casa de las Torres, dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie mieszkali dziadkowie i moja matka. Słyszałem, co wtedy opowiadano, widziałem zdjęcia, jakie zrobił Ramiro Portrecista, i wiem od innych, co mu opowiedział don Mercurio, ale nic nie rozumiem. Dziś rano zobaczyłem ją w jakimś antykwariacie i to nie jest żadna mumia tylko woskowa lalka. Julian przytakuje i uśmiecha się, szepcze coś pod nosem. A więc mumię też sprzedali, gady. Teraz patrzy na mnie w inny sposób, może z mniejszą sympatią albo większą uwagą. A tobie do czego to potrzebne? – pyta zaintrygowany, jakby przeczuwał jakiś powód, którego mu nie wyjawię, jakąś ukrytą przyczynę. Do niczego, odpowiadam, zwykła ciekawość. Kiedy byłem mały, dziadek Manuel i matka opowiadali mi historie o mumii, dzieci z placu Świętego Wawrzyńca śpiewały o niej straszne piosenki, kilka razy pojawiła się w moich koszmarach, a teraz, kiedy ją zobaczyłem, nie mogę uwierzyć, że była to tylko woskowa lalka przechowywana w szafie. Julián słucha i wydaje się spokojniejszy, może nawet trochę rozczarowany. Głosy i oklaski z telewizji grzmią w sali i mieszają się z głośnymi uderzeniami klocków domina. Początkowo Julián mówi bardzo cicho i ledwie mogę go dosłyszeć. Dziwi się, że wiem o rozmowie, jaką don Mercurio odbył z Ramirem Portrecistą na kilka tygodni przed swoją śmiercią, ale nie pyta mnie, kto mi o niej opowiedział. Nie można za bardzo wierzyć w to, co mówił Ramiro. Dodaje, że to był dobry człowiek, ale trochę głupawy i trochę szalony, jak don Otto Zenner. Wierzył w każdą bzdurę, dlatego don Mercurio nie musiał się wysilać, by oszukać go tą tanią historią rodem z powieści, którą mu opowiedział, aby dał mu spokój: przebierańcy w karnawałową noc, powóz, kobieta rodząca w pokoju służącej, martwe dziecko, nic z tego nie jest prawdą, Julián śmieje się z mego zdziwienia, jakby myślał, że usłyszałeś tę wymyśloną historię, zarazilem się łatwowiernością Ramira Portrecisty. Jediną rzeczą prawdziwą jest to, co tobie wydaje się fałszywe, mumia. Figura, którą widziałeś dziś rano, nie jest tą samą, którą znaleźliśmy w piwnicy Casa de las Torres, ale jej dokładną kopię. To don Mercurio ją zamówił, nie u jakiegoś rzeźbiarza figur cementarnych, jakich wtedy było pełno, ale u artysty, który krótko potem stał się sławny, tego, co wyrzeźbił wszystkie figury z procesji Wielkiego Tygodnia, które spłonęły w czasie wojny, u Eugenia Utrery, nie wiem, czy miałeś okazję go poznać. Zrobił też ten pomnik, co to stoi na placu Poległych. Miał warsztat na tyłach placu Świętego Piotra. Don Mercurio zapłacił mu fortunę w pieniądzach z tamtego czasu i wymógł

na nim przysięgę, że na zawsze dochowa tajemnicy, ciągnie Julián, sam podekscytowany swym opowiadaniem. Wlepił w niego te swoje ptasie oczka i powiedział, na zawsze, do dnia mojej i pańskiej śmierci, i Utrera przysiągł, że zamilknie na wieki. O mnie proszę być spokojnym, don Mercurio, to, o czym rozmawialiśmy, nie wyjdzie poza ten pokój, myślę, że się bał, że don Mercurio będzie go pilnował jeszcze po śmierci.

Pochylałam się do Juliana, aby nie uronić ani słowa. Nie potrafię uporządkować pytań, które cisną mi się na usta. Już nie słyszę głosów innych starszków dookoła nas ani ryku telewizora. Siedzę przed tym mężczyzną jak wtedy, kiedy słuchałem dziadka Manuela przy żarowniku i nie słyszałem tykania ani bicia zegara i widziałem tylko jego twarz i sceny z opowiadania, przeżywane jak fragmenty opisywanych przez niego snów. Ale dlaczego don Mercurio ukradł mumię? Jeśli to był on, co z nią potem zrobił? Dlaczego kazał zrobić jej kopię? Julián mlaska językiem o sztuczną szczękę, a potem oblizuje usta, marszczy czoło i drapie siwe włosy na karku. No proszę, i właśnie ty mnie o to pytasz po tylu latach. To nie don Mercurio ją ukradł, tylko ja, on mi kazał, rzecz jasna. Przewiązaliśmy szmatami kopyta koni, Weroniki i Bartłomieja, i cicho zjechaliśmy powozem ulicą Pozo o czwartej nad ranem. Don Mercurio poczekał w środku, za zasuniętymi firankami, podczas gdy ja przeskoczyłem przez na wpół zawalony mur i wśliznąłem się do domu. Podnieś ją bardzo ostrożnie, Julianie, powiedział don Mercurio, z krzesłem i ze wszystkim, żeby się nie rozsypała. Żeby świecić sobie w korytarzach, gdy będę ją niósł, sprawiłem sobie taki górniczy kask z latarką, ale nawet nie wiesz, jak się przestraszyłem, kiedy miałem zejść do piwnicy i nagle zobaczyłem światło, i usłyszałem, że ktoś wchodzi po schodach. Myślałem, że to strażniczka, która wrzeszcząc, pogoni mnie pasterskim kijem, ale w drzwiach pojawił się Ramiro Portrecista. Szedł jak pijany, minął mnie i nawet nie zauważył, choć światło jego latarki prześliznęło się po moich butach. W końcu zszedłem do piwnicy i podniosłem mumię, z krzesłem i w ogóle. Była lekka jak piórko. Wyniosłem ją stamtąd, przyświecając sobie górniczą latarką, i prawie ją upuściłem, kiedy przeskakiwałem przez mur. Dobrze chociaż, że wtedy byłem sprawny. Posadziłem ją w powozie obok don Mercuria, który wyglądał, jakby mówił do siebie, i niezauważeni wróciliśmy do domu. Don Mercurio, powiedziałem z mumią w ramionach, jakbym trzymał sparaliżowaną osobę, gdzie mam ją postawić? Póki co w moim gabinecie, Julianie, a później znajdziemy jej jakieś przytulniejsze miejsce. Wstydził się. Takie szaleństwa w moim wieku, Julianie, mawiał, ale zachowywał się dziwnie, starzec z manierami małego dziecka. Czy to było to, co nazywał starczą demencją? Przygotowałem mu szklankę ciepłego mleka, bo się wyziębił. Rozpaliłem ogień, a on powiedział, żebym był ostrożny i nie zaproszył na nią ognia, bo spłonie w ciągu minuty niczym hubka. Biedny don Mercurio, opatuliłem mu nogi kocem, a i tak cały trząś się z zimna. Poprosił mnie o Biblię, sam nie miał już sił, nawet żeby ją podnieść. Patrzył na mumię wilgotnymi oczyma, wycierał kropelkę błyszczącą mu na koniuszku nosa. Proszę mnie nie oceniać, Julianie, tak do mnie mówił, ale ja bardzo kochałem tę kobietę, kiedy oboje mieliśmy po dwadzieścia kilka lat, i do wczoraj rana nie wiedziałem, co się z nią stało. Wyobraź sobie tę scenę: świta, przy świetle kinkietu i ognia niemal stuletni starzec z kocem na kolanach chlipie i czyta bardzo sprośne rzeczy w tej Biblii, która nie jest taka jak nasza, tylko protestancka, i zmumifikowana kobieta, która czasem wydawała się jak żywa, kiedy blask ognia padał na jej oczy, miało się wrażenie, że patrzy na nas obu. Co miałem zrobić? To, co kazał mi don Mercurio. Zamknąłem dobrze wszystkie okna, piórami otrzepałem z kurzu tę panią, która nazywała się Agueda, i starałem się nie patrzeć jej w oczy, żeby uniknąć dreszczy. Słuchałem don Mercuria, dokładałem do ognia i podgarniałem żarownik, podczas gdy on do mnie mówił, skoro mi powiedział, że mam się wśliznąć do Casa de las Torres i ukraść mumię, to tak zrobiłem, a gdyby powiedział, Julianie, proszę skoczyć do studni głową w dół, to też bym to zrobił, bo on był dla mnie jak ojciec i dziadek, był moim doradcą i mistrzem, wszystkim naraz. Nie mogłem wytrzymać

jego szlochania. Przystawał mówić, żeby się wysmarkać i nie męczyć zbytnio serca, a ja powtarzałem, no dobrze już, don Mercurio, chodźmy spać, już świta, a on nic. Julianie, pozwól mi kontynuować, pozwól mi przypomnieć sobie to, co szeptałem tej kobiecie na ucho, kiedy jej mąż klerykał wyjeżdżał odwiedzać swe ziemie i sanktuaria, a my zostawaliśmy sami w jego domu. Byłem tam lekarzem rodziny. Ona w koszuli, Julianie, miała ciało bielsze i delikatniejsze, niż kiedykolwiek widziałem, włosy spływały jej na ramiona, kiedy je rozpuszczała. Zbadaj mnie, doktorze, tak do mnie mówiła, gryząc mi ucho, bo dręczy mnie wielka choroba. Umieraliśmy z rozkoszy, Julianie, wszystko nas rozpalało, a im bardziej nas bolało, tym większą czuliśmy przyjemność. Szedłem ulicą i drżały mi kolana. Piłem mleko i surowe jajka, żeby wzmocnić organizm, bo bałem się, że nabawię się suchot. A jeśli spędziliśmy choć jeden dzień bez cielesnego zespolenia, uderzały na nas poty i cierpieliśmy na bezsenność, jak morfiniści. Przychodziłem z wizytą do Casa de las Torres i wystarczyło, że otworzyłem drzwi salonu, w którym czekała na mnie ona i jej mąż, a wyczuwałem jej zapach lepiej niż wyżeł. Proszę mnie zrozumieć, Julianie, nie jej mydła toaletowego ani różanej wody, ani ryżowego pudru, jaki nakładała na twarz, lecz wilgoci spływającej na jej uda, kiedy mnie widziała.

Co ja opowiadam, mówi Julian, łypiąc okiem na pobliskie stoliki, z odrobiną pogardy wobec zaakceptowanej starości innych i infantylności ich gier, gdyby też zakonnica mnie usłyszała! Ale nie myśl sobie, ja też się czerwieniłem, kiedy don Mercurio mi to opowiadał. Miałem wtedy jakieś trzydzieści lat, ale wiedziałem o kobietach mniej, niż teraz wie czternastolatek, takie mieliśmy nędzne życie, co najwyżej chodziłem do domu uciech, rozumiesz, do burdelu, dlatego bredzenie don Mercuria brzmiało dla mnie jak historie z filmu albo z tych sprośnych powieści, które wypożyczali w podcieniach na placu przed wojną. I wzięła mnie zazdrość, a jakże, mam już osiemdziesiąt lat, a jeszcze mi się nic takiego nie zdarzyło. Ten starzec, który mógł się rozsypać przy najłżejszym podmuchu, użył więcej za młodu niż ja przez całe życie. Czytał tę Biblię i sobie przypominał, co za słowa! Szkoda, że nie mam pamięci, żeby móc je powtórzyć. Powiedział mi, że kiedy nie było jej męża, czytał jej, że jej piersi były winogronami, a pępek kielichem, a brzuch snopkiem pszenicy, takie rzeczy. Zamykał książkę, patrzyli na siebie i ogarniało ich szaleństwo, tak mi powiedział. Któregoś razu musieli schować się w szafie i udało im się to zrobić tak, że ani służący, ani mąż niczego nie usłyszeli.

Ale w końcu ich przyłapali, nie pytaj mnie jak, bo don Mercurio nie chciał mi o tym opowiedzieć. Powiedział za to, że już wtedy wiedział, że ona była w ciąży. O mało co uciełiby mu łeb, musiał uciekać i wylądował na Filipinach, a potem na Kubie. W czasie tamtej wojny wyleczył z malarii nie wiem ilu żołnierzy i wrócił razem z nimi do Hiszpanii na ostatnim statku odpływającym z Hawany. Nie mógł się doczekać powrotu do Maginy, dopłynął do Kadyksu, a kiedy dotarł na nasz plac Świętego Wawrzyńca, z sercem w gardle, już się domyślasz, co zobaczył – opuszczony pałac Casa de las Torres. Zostawili tylko strażniczkę, matkę tej, którą poznałeś, i nikt nie potrafił mu powiedzieć, dokąd wyjechali państwo, w ogóle już o nich nie pamiętano po tylu latach. Wszędzie pytał, odwiedził nie wiem ile sanatoriów w Hiszpanii, bo ktoś mu powiedział, że pani zapadła na płuca i że mąż zabrał ją z Maginy, żeby klimat jej nie szkodził. Napisał nawet po francusku i niemiecku do najlepszych szwajcarskich sanatoriów, a jedyne, czego się dowiedział dzięki starej akuszerce, której szwankowała już pamięć, to że zanim wyjechali, jego ukochana urodziła syna, którego od razu oddali do ochronki. Popatrz, jakie miałem życie, Julianie, don Mercurio mówił do mnie tamtej nocy tym swoim kwiecistym stylem, najpierw strona z *Pieśni nad Pieśniami*, a potem nędzne romansidło...

Czy znalazł syna? Powiedział, że tak. Kiedy don Mercurio zabierał się do czegoś, nikt nie mógł go powstrzymać. Ale nie chciał mi powiedzieć kto to. Powiedział tylko, że mieszka w

Magmie i że nie chciał poznać swego ojca, dziwne to były czasy. Nalegałem, ale przerwał mi gwałtownie, machając ręką, o tak, jakby przeganiał muchę. Poprosił, żebym się zbliżył, wydaje mi się, że go widzę, był bardziej żółty niż mumia, w swojej aksamitnej czapce, i rzekł do mnie, Julianie, zanim umrę, chcę ci coś powiedzieć. Miałem w młodości syna i straciłem go, nie obwiniam go za to, że nie chciał mnie znać ani niczego ode mnie dostać, ale na starość znalazłem innego, ciebie. Tak więc może udało mi się naprawić część zła, jakie uczyniłem, płodząc człowieka, którego przeznaczeniem było upokorzenie i nędza. Tak mi powiedział, dokładnie takich słów użył. Ludzie już tak nie mówią, nawet w starych filmach, jakie puszczają w telewizji, a wtedy, to jest w moich czasach, też już tak nie mówili. Nie rozumiałem połowy z tego, co mówił don Mercurio. A kiedy ukradliśmy mumię i przestał wychodzić na ulicę nawet na swe spacerki dla zdrowia, to już w ogóle. Zawsze trzeba było trzymać zamknięte okna, bo światło dnia jej szkodziło, świeże powietrze też, nawet ciepło. Tak więc don Mercurio nie pozwalał mi rozpałać ognia ani żarownika. Biedak szczekał zębami, opatulony kocami, żał było patrzeć. Z dnia na dzień stawał się coraz bardziej wyniszczony i cichszy, aż w końcu zdał sobie sprawę, że mumia, Agueda, zaczyna stopniowo znikać, jak mumie egipskie. Pękała jej twarz, odpadały loki. Wtedy właśnie kazał mi zawołać rzeźbiarza, Utrere. Czekał na niego tak, jak się czeka na lekarza w domu, gdzie ktoś jest ciężko chory. I Utrera siedział u nas, pracując przez nie wiem ile dni, a nawet w nocy, don Mercurio nie pozwalał mu spać, i jak dobrze zrobił, ze wszystkimi szczegółami, tak jak tych świętych i figury Matki Boskiej, które robił do kościołów, wydaje się, że zaraz się do człowieka odezwą. A był to wyścig z czasem, jak mawiają teraz w wiadomościach, bo biednej Aguedy już nie można było rozpoznać. Możesz sobie wyobrazić, don Mercurio już na nią nie patrzył, wszystko jej odpadało, robiła się łysa, jak chorzy na raka, odpadał jej nos, żał było patrzeć. Tak się jej bałem na początku, a później nawet ją polubiłem. Przesuwałem dłonią po jej sukience i zostawało mi na ręce coś jakby popiół, który dusił mnie w gardle, tak jak przy młocce. Don Mercurio wszedł do gabinetu, kiedy Utrera skończył swoją pracę, i już się stamtąd nie ruszał. W niektóre noce nie chciał nawet, żebym położył go do łóżka. Czytał Biblię przez lupę i prosił mnie, żebym podsypał więcej popiołu do żarownika, żeby ciepło nie zaszkodziło nowej Aguedzie. Nie zapytał mnie, co zrobiłem ze starą, tak mało już z niej zostało. Nie lubię tego wspominać. Zebrałem wszystko miotłą, najlepiej jak się dało, wsypałem do worka i rozpałałem ognisko na podwórku, a nawet zmówiłem „Ojcze nasz”, kiedy szła z dymem, tylko przez dobre wychowanie, bo byłem już wtedy takim samym ateistą jak don Mercurio...

Nie zdając sobie z tego sprawy, zostaliśmy prawie sami. Włączony telewizor grzmiał teraz jeszcze potężniej w niemal pustym pomieszczeniu. Kobieta w białym szlafroku i czepku na głowie prowadzi pod rękę staruszka wlokącego po terakocie stopy w sportowych butach, nieustannie trzęsie mu się broda, jego twarz nie jest mi obca, ale nie chcę wiedzieć, kto to jest ani kiedy i w jakich okolicznościach widywałem go wcześniej. Rozbrzmiewa dzwonek taki sam jak ten obwieszający w szkole koniec lekcji. Kolacja, mówi Julian z obrzydzeniem i rezygnacją. Zupa z torebki, smażona mortadela i mrożone placki ziemniaczane. Prosi o wybaczenie, odzwyczyił się tutaj od mówienia i gdy tylko nadarza się okazja, gada ile wlezie. Tutaj są tylko umarli, którzy jeszcze oddychają, a połowa z nich nawet nie chodzi. Robi gest, jakby chciał wstać, podaje mu rękę, ale on ją odtrąca, wstaje ciężko z udawaną energią. Jest wyższy niż ja, ale chodzi w dziwny sposób, odrobinę pochylony i z kolanami zbyt mocno rozstawionymi. Pyta o moją pracę, słyszał, że mam dobrą posadę za granicą i że znam więcej języków niż minister. W drzwiach jadalni, z której dochodzi odrażający smród, jak w koszarach, mocno ściska mi dłoń na pożegnanie i każe pozdrowić dziadka Manuela. Powiedz mu, że od Juliana Taksówkarza. Mówię, że prawdopodobnie dziadek sobie nie przypomni, a on pochyla głowę. Na pewno tak, powiedz mu, a zobaczysz, że przynajmniej się uśmiechnie, po tych wszystkich przygodach, jakie razem przeżyliśmy w tawernach flamenco. Odwraca się

do mnie plecami, zamykają się za nim wahadłowe drzwi z białymi futrynami i szlifowanymi szybami. Po chwili ponownie się otwierają i widzę, jak Julián idzie środkiem korytarza, bardzo wysoki z łysą, dużą czaszką, z rękami wiszącymi wzdłuż tułowia i szeroko rozstawionymi kolanami, słabszymi niż reszta ciała. Spod oparów zupy spogląda na mnie rząd okropnie brzydkich twarzy. Z głośników płynie nowoczesna pieśń liturgiczna z gitarowym akompaniamentem. Na ścianach korytarzy, przylepione do kafelków, wiszą plakaty przedstawiające wschody słońca z poetyckimi podpisami i łagodne, zarosnięte twarze Chrystusa. Przechodzę obok ławki, na której bardzo stara kobieta artretycznymi palcami przesuwa paciorki różańca. Chcę się wybiec jak najszybciej, nie chcę czuć tego zapachu ani słuchać tych głosów i łagodnych piosenek z gitarowym akompaniamentem, szczęku sztukców na talerzach z duraleksu, szurania powolnych, samotnych kroków na posadzce. Patrzę na zegarek, jest dziewiąta wieczorem, trzecia po południu w Nowym Jorku. Jeszcze tyle godzin do twojego wejścia do samolotu. Minie cała wieczność, zanim wylądujesz w Madrycie i złapiesz autobus do Maginy.

Wychodzę na ulicę i cieszę się z zimna, hałasu i głosów dobiegających z barów, z młodych twarzy, świateł sklepowych wystaw. Zdaję sobie sprawę, że idę szybciej, niż to mam w zwyczaju. Uciekam z przytułku. Rozglądam się wokół siebie i nic z tego, co tam zostawiłem, nie wydaje się istnieć naprawdę. Tamci ludzie nie są jednak z innego świata, żyją ukryci jak trędowaci, jak uchodźcy w obcym i obojętnym kraju, wyrzuceni z miasta, które przed dwoma pokoleniami należało do nich, niezdolni teraz do jego rozpoznania, do przejścia z odpowiednią szybkością przez ulicę, przedwcześnie zespoleni ze zmarłymi, są znacznie bardziej podobni do nich niż do żywych. Słyszę ich głosy, ale nie chcę, żeby mnie schwytały. Teraz dostrzegam niebezpieczeństwo zbyt długiego rozpamiętywania albo kłamstw innych ludzi czy nawet własnych. Kiedy byliśmy dziećmi, zapewniano nas, że jeśli usłyszymy śpiew Ciotki Żerochłopki w noc świętojańską, będziemy zgubieni, bo zaczaruje nas i zabierze ze sobą. Nagle chcę słyszeć tylko twój głos i chcę, byś była moją jedyną ojczyzną i by moja przeszłość miała tylko kilka miesięcy. Widzę na wystawie czarną sukienkę, ściśle przylegającą do plastikowych ud manekina, który ma na głowie rudą perukę, i podnieca mnie myśl o tobie w tej sukience w ciepłą majową noc. Nazywam cię, myślę o twoim imieniu, starając się przypomnieć sobie twoją twarz. Powtarzam je na głos, Nadia, Nadia Allison, Nadia Galaz, a wypowiadając sylaby, niemal czuję smak twoich wilgotnych ust, języka liżącego mi twarz, kiedy leżę na tobie i nie wiem już, kim jestem ani kim ty jesteś w tej chwili, w której tracimy odrębność naszych rysów i imion, a nawet świadomość naszego życia, i jesteśmy tylko kobietą i mężczyzną, mocno ze sobą zespolonymi, którzy pocałują się, zaciskają zęby i poruszają się rytmicznie, nieczuli na opóźniające pieszczoty i słowa, prymitywni, nienasytzeni, dajemy sobie pocałunki, które chcą przemienić się w kąsanie, i pieszczoty przechodzące w drapanie, mamy niewidzące oczy i zmienione twarze, dyszymy i jęczymy, unikając swoich spojrzeń albo wpatrując się w siebie nawzajem z intensywnością, w której jest też być może trochę przerażenia, myśląc, że umieramy, i powoli wracając do życia kilka minut później. Odzyskujemy oddech i zdolność mówienia, i uśmiechania się ze spokojnym poczuciem współnictwa i może trochę wstydu, bo posunęliśmy się dalej, niż wydawało nam się możliwe, i zostawiliśmy za sobą, w tamtym transie, wszystkie usprawiedliwienia, moralność i roztropną rezerwę miłości. Napawa nas strachem i przepełnia dumą nasze oddanie i poświęcenie, to, że piliśmy i lizaliśmy jedno drugie w swego rodzaju akcie ofiarnym. Uśmiełabyś się, gdybyś mnie teraz zobaczyła, gdybyś spuściła oczy na mój rozporek, tak jak wtedy, gdy w restauracji zdjęłaś buty i zaczęłaś mnie pieścić bosą stopą, a ja prosiłem, żebyś jeszcze nie wstawiała, żebyś nawet nie dotykała mojej dłoni. Co za upał. W Maginie, sam, na ulicy Nowej patrzę na kobiece sukienki zwiastujące letnią modę już pod koniec stycznia. Lato, ta dziwna i obiecująca pora roku, której razem nie poznaliśmy.

Wspominam cię, dobrze chociaż, że osłania mnie płaszcz. Z don Mercuriem pewnie działo się to samo w młodości, kiedy wchodził do Casa de las Torres, chociaż jego osłaniał surdut albo peleryna. Wyobrażam to sobie, wszystko ci opowiadając. Opowiadałem ci o tym już wtedy, kiedy słuchałem Juliana. Widziałem cię u mego boku, dumny z ciebie, byłaś bardzo uważna, opierałaś łokcie na stole, odgarniałem włosy opadające ci na twarz. Byłaś bliska i rzeczywista, choć odległa o sześć tysięcy kilometrów, gdy spacerowałaś ze mną pod rękę po zmroku i w dzień po placu generała Orduña, rozleniwiona, zmęczona, pełna ochoty, by już wrócić do pokoju. Obserwuję ze skrywaną satysfakcją spojrzenia zatrzymujące się na tobie, podczas gdy przekazuję ci to, co Julian mi opowiedział, to, co wyznał mi don Mercurio przed pięćdziesięcioma laty, to, co opowiedziała mi matka o moim pradziadku Pedro. Tyle głosów przez tyle lat, a prawie żaden nie powiedział prawdy, ale może właśnie w tym są podobne do naszych głosów i ważniejsze jest to, co przemilczeli, nie pragnienia ani marzenia, ale czysta przypadkowość zapomnianych zdarzeń albo tajemnic, trwających jednak w swych konsekwencjach. Słyszę swoje kroki na ulicy Pozo, trąbkę obwieszczającą ciszę nocną w koszarach. Zegar wybija jedenastą. Widzę światło na rogu placu Świętego Wawrzyńca. Już jedziesz na lotnisko. Taksówka zmierza na północ wzdłuż East River, może grzęźnie w korku, ale ciebie to nie niepokoi, ja już bym obgryzał paznokcie, sama myśl o tym mnie denerwuje. Ty spokojnie patrzysz przez okno, malujesz usta, czytasz gazetę albo rozmawiasz z taksówkarzem, tak pewna, że przyjedziesz, że nawet nie bierzesz pod uwagę możliwości spóźnienia się na samolot, tak spokojna, że może spędzisz ostatnią minutę, spacerując powoli po sklepie wolnoctwowym, i będziesz ostatnią pasażerką, która wsiądzie do samolotu. Uśmiechasz się zawsze o krok od tragedii, która nigdy się nie wydarza, tak jak krótkowzroczna i rozkojarzona postać z kreskówki pochyla się z ciekawością nad motylkiem dokładnie w chwili, gdy ma ją dosięgnąć pocisk. W jadalni matka wyszywa, patrząc w telewizor, a dziadek Manuel zasnął albo udaje, że śpi w ciepłe żarownika i śni wspomnienia z młodości, które zapomni, gdy na chwilę otworzy oczy i nie będzie wiedział, gdzie jest. W prawie pustym samolocie lecącym nocą nad Atlantykiem na wysokości dziesięciu tysięcy metrów kobieta o rudych włosach i zaspanych brązowych oczach pochyla się do okienka, przez które widzi tylko ciemność, i przelicza, ile godzin brakuje do lądowania w Madrycie. Julian, taksówkarz, oddycha, leżąc na plecach w swym łóżku w przytułku, słucha głośniego chrapania, przenikliwego starczego szlochu, dyszenia chorych albo umierających. Myśli o młodym mężczyźnie, który odwiedził go tego wieczora. Wspomina, jak odbijał się echem stukot końskich kopyt i kół powozu don Mercuria w zaułkach Maginy i od fasady Casa de las Torres. Za szerokim okratowanym oknem sklepu na rogu ulicy Real poblask światła latami pada na źrenice woskowej lalki. W jakimś muzeum Nowego Jorku strażnicy, człapiąc ciężko, gaszą światła i pozostawiają w półmroku obraz Rembrandta, na którym można teraz dojrzeć zaledwie zarys końskiej sylwetki i twarz jeźdźcy w tatarskiej czapce. W Maginie na placu generała Orduña, którego zniszczony brązowy pomnik zwraca się lekko na południe, ciągle świeci się światło w oknie jednego z balkonów komisariatu. Ciężko rozbrzmiewają kuranty zegara i ktoś, kto nie może zasnąć, nie potrafi ich policzyć. W jakimś mieszkaniu w Brukseli, gdzie głośno szumi silnik pustej lodówki, brudne światło świtu pada na opróżnioną do połowy puszkę piwa i rozpostartą gazetę sprzed ponad miesiąca. We wnętrzu kufra, postawionego w kącie jakiejś sypialni na Manhattanie, skrywają się tysiące czarno-białych fotografii i Biblia przetłumaczona na hiszpański w XVI wieku przez heretyckiego mnicha, wydana w Madrycie w 1869 roku, oprawiona w czarną skórę, nadgryziona przez mole na brzegach. Dwa metry pod zlodowaciałym trawnikiem cmentarza w New Jersey leży sztywne, gnijące ciało majora Galaza, a po drugiej stronie świata, w kartotekach jakiegoś biura w Nairobi, zostały zarchiwizowane zdjęcia i odciski palców trzydziestoczteroletniego Kolumbijczyka Donalda Fernandeza, pogrzebanego w zbiorowym grobie przed kilkoma miesiącami. Aby przetrwać ostatnią noc oczekiwania, noc samotnych kochanków, ktoś zażywa dwie pastylki valium,

popija szklanką wody i zamyka oczy. Tak jak w dzieciństwie słyszy chrobot korników, dalekie pianie kogutów i szczekanie psów. Wyobraża sobie, że zasypia, słuchając szumu silników samolotu. Piętro niżej sześćdziesięcioletnia kobieta nie śpi przy chrapiącym obok mężu i uważa za swój obowiązek i oznakę wierności podsycać swego bólu z powodu śmierci matki.

Mówię do ciebie, wspominam cię, jestem tym, który budzi się ze słońcem w oczach i myśli, że przyjedziesz właśnie dzisiaj, że oszołomiona snem, czekasz na dworcu autobusowym, ubrana w czarną podróżną kurtkę, obcisłe spodnie i spiczaste buty. Ktoś na godzinę przed twoim przyjazdem już po ciebie wyszedł, aby uniknąć niepewności. Sprawdza rozkład jazdy, wypytuje pracownika informacji. Widzi, jak go wypatrujesz przez okno autobusu, który przyjechał z niemożliwym do wybaczenia dziesięciminutowym opóźnieniem. Wyrzuca papierosa. Ma wrażenie, że serce wpadło mu do żołądka. Zbliży się do ciebie pośród tłumu pasażerów, a widząc twe potargane włosy i spokojny uśmiech szczęścia, jakim go obdarzasz, myśli, mówi cicho na chwilę przed tym, nim łączywie i desperacko do niego przylgnie: Dog, Soid, Brausen, Elohim, kimkolwiek jesteś i gdziekolwiek cię nie ma, panie zwierząt i robaków, prawodawco oceanów i unicestwionych tłumów, władco ironii, zniszczenia i przypadku, ty, który stworzyłeś ją na obraz i podobieństwo moich pragnień, który wymodelowałeś jej twarz i talię, ręce i kostki, i kształt stóp, który spłodziłeś mnie i ochraniałeś mnie co dnia, aż stałem się mężczyzną, zapragnąłem jej i odnalazłem, który przywiódł ją pewnego poranka o właściwej godzinie do właściwego miejsca w Madrycie, a potem pozwoliłeś, by pojawiła się w kawiarni hotelu w Nowym Jorku, nie pozwól, bym teraz ją utracił, by mnie zatrął strach albo nawyk poddawania się rozczarowaniu. Miej ją w opiece, tak samo jak opiekowałeś się jej rodzicami, żeby wydali ją na świat, i daję odwagę sercu jej ojca w pewną lipcową noc, i wysłałeś go na wygnanie w jednym celu: aby ona urodziła się dla mnie dwadzieścia lat później. A jeśli mimo to mi ją zabierzesz, nie pozwól na powolny schyłek i kłamstwo. Zabij mnie w pierwszej chwili żalu albo znużenia, niech zostaną bez niej i cierpię jak pies, ale niech nie popadnę w upokarzające wygodnictwo u jej boku, niech nie będzie spokoju ani pociechy dla żadnego z nas podczas naszego przyszłego życia, niech nasze ręce staną się pokrzywami i obyśmy nie musieli patrzeć na siebie jak dwie woskowe lalki o szklanych oczach. Jeśli to możliwe, daj nam przywilej wiecznego niezaspokojenia, oświeć nas i oślepi zarazem, daj nam taką przyszłość, z jakiej po raz pierwszy w życiu nie będziemy chcieli uciec. Wspominam to, czego jeszcze nie przeżyłem, boję się w pełni być tym, kim jestem. W holu dworca autobusowego ogłaszają przez megafon przyjazd autobusu z Madrytu. Chcę jakoś skrócić czas, aby w tej chwili przytulić twoje szczupłe i żywe ciało. Podchodzisz do mnie z torbą na ramieniu i walizką w rękę. Pojawiasz się przy łóżku w hotelu z włosami opadającymi na nagie ramiona. Niczego nie pamiętam, nie zdawałem sobie sprawy, że zaczął zapadać zmierzch. Nie wiem, czy jestem z tobą w Maginie, w Nowym Jorku czy Madrycie, mówi Nadia, ale jest mi wszystko jedno. Nie czują nic, tylko wdzięczność i pożądanie.

POSŁOWIE

Antonio Muñoz Molina (Úbeda, 1956) należy do młodego pokolenia pisarzy hiszpańskich debiutującego w latach osiemdziesiątych. Autor ten bardzo szybko osiągnął sukces, bo już po publikacji drugiej swej powieści zatytułowanej *El invierno en Lisboa* (1987, wyd. pol. *Zima w Lizbonie*, Historia i Sztuka, Poznań 1995) został obsypany licznymi nagrodami, w tym Premio Nacional i Premio de la Crítica, a później – tyleż prestiżową, co bardzo wysoko gratyfikowaną – Premio Planeta za powieść *El jinete polaco* (*Jeździec polski*, 1991). Szczytem osiągnięć Muñozza Moliny na niwie literatury było przyjęcie go w poczet członków Real Academia Española (jest to ciało, w którego skład wchodzi najwybitniejsze postacie kultury Hiszpanii, zajmujące się m.in. normalizacją języka, członkostwo jest dożywotnie) jako najmłodszego w dziejach tej instytucji. Tak wielkie sukcesy w ciągu zaledwie kilku lat musiały wywołać polemikę co do jakości tworzonej przez Molinę literatury, niestety, często na niezbyt wysokim poziomie z racji niskich pobudek, jakimi kierowali się dyskutanci, pośród których pojawili się m.in. Francisco Umbral oraz Camilo José Cela, co skądinąd nie powinno dziwić, jeśli się weźmie pod uwagę ekscentryczność tych autorów. Obecnie nie wydaje się już jednak możliwe, by ktokolwiek kwestionował wielkość pisarstwa Antonia Muñozza Moliny, zresztą autora, który jako pierwszy w połowie lat osiemdziesiątych zaczął koncentrować się na tworzeniu opowiadań, gatunku do tej pory postponowanego przez większość pisarzy, a który od tego czasu wydał kilku znakomitych autorów.

Za swych młodych lat, kiedy jeszcze mieszkał w prowincjonalnym miasteczku Úbeda w Andaluzji, młody Antonio przedkładał czytanie książek w miejskiej bibliotece nad chodzenie do baru i oglądanie piłki nożnej w telewizji. Biblioteka nie była zbyt bogata, a często zdarzało się, że zamykano ją na czas świąt lub wtedy, gdy w telewizji pokazywano jakiś ważny mecz (co w Hiszpanii zdarza się nader często). Kiedy więc Antonio nie mógł pożerać kolejnych tomów, sam zaczynał fantazjować i tworzyć nowe historie. Pierwsze próby, przede wszystkim na niwie poetyckiej, nie dały zbyt dobrych rezultatów. Niemniej w tym okresie swego życia Molina nabrał zamiłowania do literatury, a ślady pierwszych lektur znajdujemy we wszystkich napisanych przez niego później utworach. Najważniejszą jednak „zdobyczą” Moliny z tego okresu jest skłonność do fantazjowania, tworzenia nowych światów, co zawdzięcza przede wszystkim – jak sam podkreśla – powieściom J. Verne’a i ulubionemu bohaterowi literackiemu, kapitanowi Nemo. Echa tej fascynacji odnajdujemy w zbiorze esejów napisanych po porzuceniu studiów dziennikarskich w Madrycie i ukończeniu historii sztuki w Granadzie, a zatytułowanym *El diario de Nautilus* (wcześniej publikowanych pod tym samym tytułem w granadyjskim piśmie „Ideal” w latach 1983-84). Wcześniej jednak Molina opublikował swój pierwszy cykl felietonów, z lat 1982-83, zatytułowany *Robinson urbano*. Jest to cykl o tyle ważny, że wykazuje wielką erudycję Moliny, który odwołuje się do pisarzy, artystów i filozofów wszystkich epok, oraz dlatego, że pozwala określić jego

preferencje literackie, punkt widzenia na literaturę, strukturę powieści, sposób konstruowania scen i bohaterów.

Według Moliny najlepsze dzieła współczesnej literatury zostały stworzone przez, jak ich nazywa, „miejskich Robinsonów”, rozbitków życiowych, wyrzutek społecznych, ludzi odrzuconych przez współczesne społeczeństwo, którzy snują się po ulicach miast w towarzystwie jedynie swoich myśli. Jak zauważa Muñoz Molina, Baudelaire jako pierwszy stwierdził, że relacje człowieka ze współczesnym, pełnym bezwzględności i bezmyślności społeczeństwem stanowią doskonały temat dla literatury, podobnie jak przyjemność, jaką się odczuwa podczas samotnego przemierzania ulic w towarzystwie jedynie swej własnej świadomości. Później temat ten został rozwinięty przez J. Joyce’a, którego wpływ także dostrzegamy w twórczości Moliny. Z pozostałych twórców, którzy odcisnęli piętno na sposobie budowania świata literackiego Moliny, należy wymienić przede wszystkim Marcela Prousta i Juana Cariosa Onettiego, a także Juana Marsé, co Molina potwierdza z niespotykaną szczerością. Wpływy pierwszego z nich dostrzegamy w specyficznej budowie scen, szczególnie opisów. Muñoz Molina zwraca uwagę na te elementy rzeczywistości, które zwykle umykają naszej uwadze, np. zamiast pisać, że samochód zatrzymał się na czerwonym świetle, koncentruje się na czerwonym poblasku oczu kierowcy widzianych we wstecznym lusterku lub postrzega świat przez sieć żółtych żyłek, które widzimy, gdy przymykamy oczy. Należy zresztą zwrócić szczególną uwagę na plastykę jego opisów (niekwestionowany wpływ Juana Marsé, tak samo zresztą jak obsesyjne odwoływanie się do pamięci), np. powieść *Beltenebros*, w klimacie nie odbiegająca zbyt od obrazów tenebrystów, w wielu swych scenach jest impresjonistyczna. Autor buduje pejzaż ze świetlnych refleksów, strzępów rozmów i przypadkowych dźwięków, zapachów, a wszystko to jest na dodatek okraszone bardzo subiektywnymi odczuciami głównego bohatera. Możemy powiedzieć, że wzorując się na Prouście, Molina w swoisty sposób łączy różne rodzaje sztuki, co widzimy dodatkowo na przykładzie wymyślenia muzyki dla potrzeb powieści, głównie w powieści *Zima w Lizbonie*, gdzie główny bohater większość czasu trawi na wsłuchiwanie się w fikcyjne kompozycje Santiaga Biralba i Billy’ego Swanna. Dodajmy, że ten ostatni swym nazwiskiem (pod którym skrywa się jazzowy trębacz Chet Baker, będący inspiracją dla tej postaci) nawiązuje do słynnego cyklu *W poszukiwaniu straconego czasu*. W większości powieści Moliny odnajdujemy odnośniki i aluzje zarówno do malarstwa i architektury, jak i do filmu oraz muzyki. Powieści *Beltenebros* i *Zima w Lizbonie* noszą wyraźne piętno dziesiątej muzy, natomiast druga ze wspomnianych powieści oraz *Jeździec polski* przepełnione są muzyką, zarówno wymyśloną dla potrzeb historii, jak i tą zaczerpniętą ze świata rzeczywistego.

Typowego dla swych powieści i opowiadań bohatera (czy raczej antybohatera) Molina zaczerpnął z twórczości urugwajskiego pisarza Juana Cariosa Onettiego, tłumaczonego również na język polski. Bohater utworów Moliny to człowiek samotny, pozbawiony złudzeń, sfrustrowany, który pozwala się nieść prądowi wydarzeń. Doskonale określa go zdanie zawarte w opowiadaniu *Nieosiągalna miłość*: „(...) nie chodzi jednak o to, że brak mi silnej woli, ja w ogóle nie mam żadnej woli, ani godności, ani nic (...)”. Słowa te równie dobrze mógłby wypowiedzieć Larsen, główny bohater powieści *Martwy port i Kolekcjoner* Onettiego. Sam autor tak mówi o fascynacji urugwajskim mistrzem:

Juan Carlos Onetti stwarza biografie i postaci mężczyzn samotnie palących papierosy w hotelach i czekających na coś w mieście spowitym mgłą płynącą od rzeki; zgorzkniałych i zatraconych kobiet o wymalowanych ustach; ludzi bez przyszłości, których jedyną ojczyzną są bary, wynajęte pokoje, domy publiczne, puste nocne ulice.

Nie ulega wątpliwości, że takich bohaterów i takie scenerie odnajdujemy w powieściach Antonia Muñoz Moliny. Warto także nadmienić, że Moliną, przedstawiając w 1991 roku do

konkursu Premio Planeta powieść *Jeździec polski*, podpisał ją pseudonimem A. Larsen, co miało być swego rodzaju hołdem złożonym Onettiemu.

Głównym tematem najważniejszych powieści Moliny, a za takie uważam *Zimę w Lizbonie*, *Beltenebros* i *Jeździec polskiego*, jest samotność i sfrustrowana miłość stająca się udziałem mężczyzn pozornie silnych, lecz pozbawionych przyszłości i złudzeń, w głębi duszy słabych, zniszczonych rozczarowaniem wobec życia. Taki jest kapitan Darman i Valdivia z *Beltenebros*, taki jest Manuel i major Galaz z *Jeździec polskiego* i tacy są Santiago Biralbo, Malcolm i bezimienny narrator w *Zimie w Lizbonie*. W tej ostatniej powieści autor do granic możliwości prześledził wszystkie możliwe stopnie samotności wynikającej z nieodwzajemnionego uczucia: nieustające niecierpliwe czekanie na list, telefon, spotkanie w barze nad szklanką bourbona, przerywane melancholijnym wsłuchiowaniem się w muzykę jazzową z płyt lub na koncertach, życie jakby poza nawiasem czasu, w kompletnej samotności, w pustym mieście, w którym nawet czas, jakimś dziwnym trafem, przestał płynąć.

Bez wątplenia jednak najważniejszy w prozie Antonia Muñoza Moliny jest jego styl, cechujący się płynnością i poetyckością, sprawiający, że opisy statycznych sytuacji, przewlekłe rozmyślenia nad samotnością w żadnym razie nie nużą, a chwilami wręcz olśniewają. Wydaje się, że autor nie musi zbytnio się zastanawiać, pisząc. Zdania swobodnie spływają z pióra, a połączenie słów ze słownika ludzi o wielkiej erudycji i gruntownym wykształceniu oraz częste stosowanie metafor jest równoważone prostymi porównaniami i płynnością narracji. Znaczący to, że autor zdołał osiągnąć ideał, o którym mówił Yeats, a więc pisać tak, by się zdawało, że pisanie przychodzi lekko i bez wysiłku. Ponadto Molina eksperymentuje ze strukturą zdania poprzez nietypowe stosowanie znaków interpunkcyjnych w zależności od zabarwienia emocjonalnego zdań, co jest szczególnie widoczne w opowiadaniach i w *Jeźdźcu polskim*, zdecydowanie najbardziej rozbudowanej i najlepiej skonstruowanej pod względem stylistycznym powieści tego autora.

Zima w Lizbonie jest hołdem złożonym światowi jazzu i czarnemu kryminałowi. Przez dłuższy czas czytelnik odnosi wrażenie, że akcja powieści rozgrywa się w latach trzydziestych lub czterdziestych ubiegłego wieku. Pełno tu twardych mężczyzn z pistoletami, w kapeluszach i długich płaszczach, rodem z gangsterskich filmów. Dopiero mniej więcej w połowie powieści dowiadujemy się, że jej akcja toczy się w 1984 r., choć czytając, chwilami odnosi się wrażenie, że ogląda się czarno-biały film. Książka posiada dwa główne wątki: kryminalny i miłosny. Pierwszy dotyczy handlu obrazami i kradzieży jednego z nich przez Lukrecję, narzeczoną Malcolma, członka szajki, która zaczyna ścigać Santiaga Biralba, muzyka, uznając za pewnik, że on także maczał w tym palce. Malcolm i jego wspólnicy ścigają Biralba po całej Europie w przekonaniu, że ten doprowadzi ich do Lukrecji, w której jest od lat zakochany, notabene pozornie z wzajemnością. Akcja toczy się głównie w nocnych lokalach San Sebastian, Madrytu i Lizbony. Obok pełnych liryzmu i plastyczności przemysłów narratora, który relacjonuje opowieść powierzaną mu przez Biralba w jakimś pokoju hotelowym, często pojawiają się opisy muzyki i nocnych pejzaży, w przedstawianiu których Molina osiągnął niekwestionowane mistrzostwo. Najlepiej charakter tej powieści zilustruje jej fragment:

Nasza przyjaźń była doraźna, nocna, oparta raczej na zbliżonych upodobaniach alkoholowych – piwo, białe wino, angielski dzin, bourbon – niż na bezwstydnym jakiegokolwiek typu wynurzeń, w jakie nigdy, no, może prawie nigdy nie zdarzało nam się popaść. Jako pijacy ze znacznym stażem, obaj nie wierzyliśmy zbytnio w przesadną euforię i przyjaźń, niesione przez alkohol i noc. Tylko jeden raz, nad ranem, pod wpływem nieroztropnych czterech wytrawnych martini, Biralbo opowiedział mi o swojej miłości do dziewczyny, prawie mi nie znanej – Lukrecji – i o ich wspólnej podróży, z której właśnie powrócił. Obaj wypiliśmy zbyt dużo tamtej nocy. Następnego dnia, kiedy wstałem, okazało się, że wprawdzie nie mam kaca, ale ciągle jestem

pijany, i że zapomniałem o wszystkim, co mi opowiedział. Pamiętałem jedynie nazwę miasta, w którym ta tak gwałtownie rozpoczęta i zakończona podróż miała dobiec kresu: Lizbona...

Lizbona w tej powieści to swego rodzaju talizman zaszyfrowanej geografii, mityczny cel, do którego dąży człowiek, *terra incognita*, przeznaczenie. „To bardzo dziwny kraj. Tutaj wszystko dzieje się inaczej: jakby wszystko zdarzyło się już dawno temu, a człowiek to sobie przypominał”, mówi Billy Swann, a Lukrecja, opuszczając Biralba, by udać się do Lizbony, oznajmia: „Muszę jechać jak najszybciej. Tam jest jakby koniec świata. Wyobraź sobie, co czuli starożytni żeglarze odpływający na pełne morze, kiedy już tracili ziemię z oczu”. Wspaniałe opisy tego miasta, uchwycenie jego schyłkowości i wszechogarniającego marazmu, jego niepowtarzalnego charakteru *finis terrae* („gdzie ziemia się kończy i ocean zaczyna”, jak pisał Fernando Pessoa), stawiają Molinę w rzędzie najwybitniejszych mistrzów literackiego opisu.

W podobnym stylu, choć z większym naciskiem na wątek sensacyjno-kryminalny, została napisana powieść *Beltenebros* (1989). Powieść ta bardziej jeszcze niż *Zima w Lizbonie* stanowi hołd dla kina lat czterdziestych i sama w sobie mogłaby być scenariuszem filmu gangsterskiego. Zresztą obie wspomniane powieści doczekały się swych ekranizacji w Hiszpanii, niestety, niezbyt udanych. Odnajdujemy tu mnóstwo odniesień do świata filmu, a najważniejsze sceny tej powieści rozgrywają się w zniszczonym upływem czasu kinie z lat poprzedzających wybuch hiszpańskiej wojny domowej, a kroki i myśli głównego bohatera przemierzającego Madryt niezmiennie prowadzą go do kina, na przykład:

To jednak działo się w czasach, kiedy mówiono, że kino jest najbezpieczniejszym schronieniem, kiedy kobiety nie ściągały swych malutkich kapeluszy, siadając w fotelach, a dym papierosowy gęstniał w stożkowatych smugach światła. Przypomniałem sobie kronikę, w której żołnierze radzieccy i amerykańscy w tej samej chwili przekraczali Łabę i w wodzie padali sobie w ramiona. W ciemności publiczność przeżuwała różne rzeczy i biła brawo.

Także tu głównym bohaterem jest człowiek, kapitan Darman, zniszczony przez samotność i niemożliwą miłość, choć dowiadujemy się o tym dopiero po dłuższym czasie. Początkowo mamy wrażenie, że chodzi o bezwzględnego mordercę, o czym przekonuje już pierwsze zdanie powieści, skądinąd rozbudzające ciekawość czytelnika w iście hitchcockowskim stylu: „Przyjechałem do Madrytu, żeby zabić człowieka, którego nigdy w życiu nie widziałem”. Stopniowo jednak dowiadujemy się, że główny bohater jest jakby żywcem przeniesionym do powieści bohaterem z filmów z Humphreym Bogartem: twardym mężczyzną o gołęmbim sercu i skłonności do melancholii:

Tamtej nocy, kiedy zobaczyłem to zdjęcie po raz pierwszy, kiedy Bernal podsunął je w moją stronę swymi krótkimi palcami zegarmistrza, natychmiast ogarnęła mnie żądza odgadnięcia, co też skrywało to spojrzenie, nie powody zdrady, bo te w ogóle mnie nie interesowały, choć przyjąłem na siebie obowiązek zabicia go, ale powody smutku, bo było to spojrzenie człowieka na zawsze zagubionego w melancholii, zatrutego nią, oddalonego od wszystkiego, od kobiety, którą obejmował, od córki, w której ledwie się rozpoznawał bardziej z wyrzutem sumienia niż czułością, na tle spokojnego morza.

Warto przy tym zauważyć, że osobowość Darmana i jego życiowa droga pokrywają się z tym, co wiemy o majorze Galazie z *Jeźdźca polskiego*.

Jak już wspomnieliśmy, powieść ta zawiera więcej niż *Zima w Lizbonie* impresjonistycznych opisów, co autor ułatwia sobie, sytuując prawie całość akcji w nocy, w niemal absolutnie ciemnych pomieszczeniach, do których dociera jedynie blask neonów, ulicznych świateł i przejeżdżających samochodów. Na tę ciemną stronę świata zwraca uwagę już sam tytuł powieści, będący imieniem Księcia Ciemności zaczerpniętym ze słynnej

średniowiecznej powieści rycerskiej o iberyjskim pochodzeniu *Amadis z Walii*, w której to tytułowy bohater, gdy z jakichś przyczyn nie może walczyć, przybiera właśnie to imię, aby ochronić się przed złośliwymi czarownikami. W najpiękniejszej scenie tej powieści kapitan Darman, ukryty za pewnym magazynem, jest świadkiem sceny miłosnej rozgrywającej się w kompletnych ciemnościach i odgaduje przebieg wydarzeń dzięki intuicji, chwilowym błyskom światła przejeżdżających pociągów, szmerom i szelestom.

Darman przybywa do Madrytu z poruczenia komunistycznej organizacji hiszpańskiej, walczącej z reżimem generalissimusa Francisco Franco. Proste zadanie zabicia zdrajcy zaczyna się jednak komplikować i Darman błąkający się bez celu po Madrycie nagle zauważa, że czas zatoczył koło i że zaczyna wpadać w sidła przeszłości, co pociąga za sobą szereg nieprzyjemnych dla niego wspomnień i, koniec końców, prowadzi do dziwnego pomieszania przeszłości z rzeczywistością, z którego to labiryntu nie ma już wyjścia. W pewnym momencie czytelnik nie wie już, czy jest świadkiem wydarzeń współczesnych, czy tych sprzed dwudziestu lat, czy też może scen z filmu wyświetlanego na ekranie opuszczonego kina.

Jeździec polski przez wielu krytyków jest uważany za najlepszą powieść Antonia Muñoz Moliny. Akcja rozgrywa się w rodzinnej Úbedzie, ukrytej pod nazwą Mágina, co również jest zabiegiem zapożyczonym od J. C. Onettiego, choć nieobcym także innym pisarzom, wystarczy wspomnieć choćby Macondo Gabriela Garcii Marqueza. Trzeba tu jednak dodać, że nie jest to ani pierwsza, ani ostatnia powieść, której akcja rozgrywa się w Maginie – możemy odnaleźć to miasto także w *Beatus Ille*, *Los misterios de Madrid*, *El dueño del secreto* czy *Plenilunio*. Powieść przedstawia opartą na wspomnieniach z dzieciństwa historię tej miejscowości sięgającą ubiegłego stulecia, widzianą oczami młodego Manuela, syna rolników, który zdołał wyrwać się z małego miasteczka i rozpocząć życie w „wielkim świecie”. Jak przyznaje sam autor, jest to powieść autobiograficzna, w której przedstawia się historię Hiszpanii i zmian zachodzących w tym kraju z punktu widzenia życia biednej rodziny z prowincji. Nie brak tu tematów miłości i samotności, typowych dla Moliny, choć tym razem autor nie skrywa się za ludyczną fasadą powieści kryminalnej. Tym razem czytelnik otrzymał prostą, szczerą relację z osobistego życia autora, niemniej osiagającą wymiar transcendentalny. Stylistycznie powieść ta jest najbardziej złożona ze wszystkich utworów Moliny. Wielość długich zdań (pierwsze zdanie w książce liczy sobie 33 linie i zajmuje cały akapit), brak dialogów, mnogość porównań, niekonwencjonalne używanie znaków interpunkcyjnych sprawia, że lektura tej powieści nie jest łatwa i wprowadza swego rodzaju monotonię. Nie zmienia to jednak faktu, że stylistycznie jest to jedna z najlepiej napisanych powieści hiszpańskich ostatnich trzydziestu lat, nieprzypadkowo nagrodzona Premio Planeta, o czym świadczy też wysokość pierwszego nakładu, który osiągnął 210 tysięcy egzemplarzy. Można powiedzieć, że jest to powieść, na którą Hiszpania długo czekała: nienaganna pod względem stylistycznym, poruszająca bliski wszystkim temat przemian, jakie zaszły w XX w. w Hiszpanii, w sposób subiektywny, a zarazem (w odróżnieniu od innych autorów, np. Miguela Delibesa) bez niepotrzebnego waloryzowania czy opowiadania się po którejkolwiek ze stron w zagmatwanym politycznym życiu tego kraju.

Trzy wielkie wydarzenia determinowały życie Hiszpanii w XX w.: wojna 1898 r., która zakończyła się ostateczną utratą kolonii i spowodowała republikański ferment w społeczeństwie, wojna domowa 1936-1939 i przejęcie władzy przez dyktatora Francisco Franco oraz wstąpienie Hiszpanii do Unii Europejskiej w 1986 r. i zaistniałe w związku z tym wydarzeniem zmiany ekonomiczne i społeczne. Echa tych trzech wydarzeń są wyraźnie widoczne w *Jeźdźcu polskim* i wokół nich wiruje świat młodego Manuela i jego bliskich. Na tym tle przedstawił Molina wchodzenie w życie młodego pokolenia, które nie przeszło przez piekło wojny domowej, znało ją tylko z opowieści, choć zdążyło odczuć na własnej skórze jej skutki, mroczne lata 50. i 60. frankistowskiej dyktatury.

Powieść dzieli się na trzy rozdziały, z których każdy traktuje o innym okresie życia Manuela i dlatego rozgrywa się na innym tle społeczno-historycznym. Pierwszy rozdział mówi o dzieciństwie i latach je poprzedzających, drugi opisuje lata dorastania, poprzedzające wyjazd z rodzinnego miasta, a trzeci traktuje o życiu w „szerokim świecie”, a więc o spełnionych marzeniach nastolatka, który jako dorosły mężczyzna w końcu decyduje się na powrót w rodzinne strony. Oddzielne wątki stanowią dwie historie opowiedziane niejako na marginesie wydarzeń związanych z życiem Manuela. Chodzi o historię życia majora Galaza, ojca Nadii, i lekarza don Mercuria oraz dzieje miłości tego ostatniego do kobiety zamurowanej w Casa de las Torres. Dzięki wprowadzeniu tych wątków autor dopełnił społeczno-historyczną wizję Hiszpanii, z drugiej strony zaś dzieje ich życia stanowią niejako egzemplifikację możliwego rozwoju wydarzeń życiowych dla stojącego na rozdrożu Manuela. Don Mercurio ze swą niespełnioną miłością, dobrowolny wygnaniec w Maginie, skrywający się w rutynie codziennego życia prowincji, i major Galaz, dobrowolny wygnaniec z Maginy, obrazują to, kim Manuel może czy też mógłby się stać, dokonując różnych życiowych wyborów. Dopiero ostatnie strony powieści odkrywają przed czytelnikiem znacznie istotniejszą przyczynę, dla której Molina w tak wyczerpujący sposób przedstawia historię don Mercuria, jak się okazuje prapradziadka Manuela.

Z jednej strony jest to więc powieść o ucieczce z prowincji i odnajdywaniu własnych korzeni, a z drugiej to panorama Hiszpanii XX w., zachodzących w niej procesów historycznych i przemian. Młody Manuel niczym postfrankistowska Hiszpania poszukuje swego miejsca w świecie. Ucieka od przeszłości, pogardza nią i odrzuca. Pragnie nowego, piękniejszego życia, takiego, o jakim opowiadają amerykańskie piosenki i zagraniczne filmy. Jest typowym przedstawicielem młodego pokolenia okresu przemian, jakim podlegała Hiszpania od 1962 roku, tj. od przejścia władzy przez lojalne wobec Franco, lecz postępowe siły związane z Opus Dei. Kiedy jednak Manuelowi udaje się zrealizować młodzieńcze marzenia i rozpoczyna życie w oderwaniu od własnych korzeni, skrywając się samotnie w obcych miastach, kulturach i językach, spostrzega, że znalazł się o krok od utraty tożsamości, od stania się permanentnym obcokrajowcem – bez względu na to, gdzie będzie żył – tak jak major Galaz. To właśnie wtedy postanawia wrócić w poszukiwaniu samego siebie i swych korzeni do rodzinnej Maginy. Spotkanie z Nadią w zasadzie tylko przyspiesza lub ułatwia podjęcie nieuchronnej decyzji. Manuel zrozumiał, że nie można żyć, negując swe pochodzenie i wypierając się przeszłości, własnego ja. Manuel to zrozumiał, a czy rozumiała to Hiszpania?

Jak mówi sam główny bohater:

Zawsze powtarzam to Feliksowi: obcokrajowcy nie są tacy jak my. Człowiek uczy się ich języka, ukrywa jak może swój hiszpański kompleks niższości, naśladuje ich zwyczaje, przyjmuje ich rozkład dnia i przyzwyczajają się do życia w ich miastach, ale i tak nigdy nie zdoła ich zrozumieć, nigdy nie stanie się jednym z nich⁶.

Oto dlaczego powieść ta jest tak ważna dla Hiszpanów. Porusza najbardziej chyba ważki problem własnej tożsamości w nowym, globalizującym się świecie, a zarazem pokazuje, że można i trzeba odrzucić narodowe kompleksy wobec innych, bogatszych narodów i z pełną świadomością swych wad i zalet żyć w zgodzie z samym sobą. Proces dojrzewania Manuela nabiera cech uniwersalnych, transcendentnych i może być przełożony nie tylko na procesy społeczne zachodzące w Hiszpanii, ale – jestem o tym głęboko przekonany – także w Polsce.

Obok typowych dla Moliny tematów sfrustrowanej miłości i samotności, mamy tu też dwa elementy nowe, jakie we wcześniejszych powieściach tego autora nie znalazły miejsca.

⁶ W powieści nie ma tego fragmentu, ponieważ polskie wydanie *Jeźdźca polskiego* zostało przygotowane na podstawie tekstu poprawionego przez autora, który postanowił wykreślić te zdania.

Pierwszym jest szczęśliwa miłość, wątek, po który – według samego autora – od XVIII w. po dzień dzisiejszy sięgali jedynie autorzy pokroju Amandy Cartland. Molina kończy swą opowieść happy endem, choć wątpliwości i rozterki obojga kochanków sprawiają, że ich historia nie wydaje się nierealna czy cukierkowa. Drugim elementem godnym uwagi jest wspomniana już wszechobecność muzyki. Wydaje się, że poszczególne postaci tej powieści mają swe ulubione piosenki (Antonia Moliny, Franka Zappy, The Doors, Demisa Rousosa, autor nie stroni też od ludowych przyśpiewek czy flamenco itd.), które znakomicie określają osobowość każdej z nich. Różnica pomiędzy *Jeźdźcem polskim* a *Zimą w Lizbonie* polega na tym, że na potrzeby tej drugiej autor wymyślił fikcyjne utwory Billy’ego Swanna i Santiaga Biralba, podczas gdy w *Jeźdźcu polskim* starannie wyszukał i wplótł w narrację tytuły i słowa istniejących już piosenek.

Wiele dyskutowano nad autobiografizmem tej powieści i doszukiwano się w niej elementów życia rodzinnego miasta Antonia Muñoza Moliny. I rzeczywiście, wszystkie opisy Maginy pokrywają się z opisami Úbedy i okolic. Również wiele postaci pojawiających się w *Jeźdźcu polskim* i innych powieściach rozgrywających się w Maginie odnajduje swe pierwowzory w rzeczywistości – dość tu wspomnieć porucznika Chamorro, w którym mieszkańcy Úbedy podobno z łatwością rozpoznają ojca znanego piosenkarza Joaquina Sabiny. Notabene szereg ekscentrycznych i na swój sposób komicznych postaci, do jakich obok porucznika Chamorro należy zaliczyć don Mercuria, Ramira Portrecistę czy podkomisarza Florencia Péreza, żywo przywodzi na myśl bohaterów z powieści Benita Péreza Galdosa. Jakkolwiek by jednak było, powtarzając za Jacintem Solaną z powieści *Beatus Ille*, „Nieważne jest to, czy historia jest prawdziwa czy nie, ale to, żeby umieć ją opowiedzieć”, a sztukę tę Molina posiadał w stopniu doskonałym.

Cidade da Praia – Porto, styczeń 2003 r.
Wojciech Charchalis